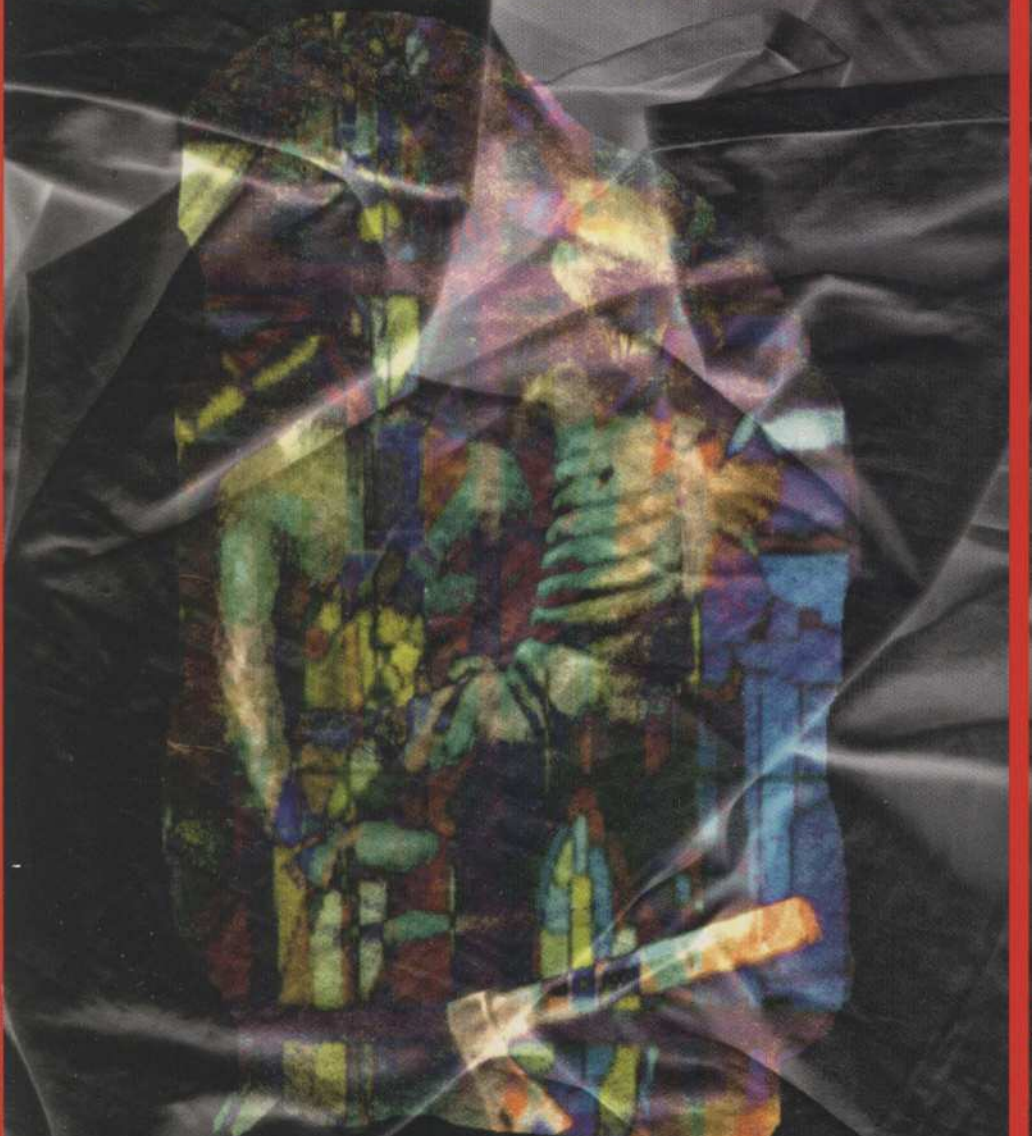


fronda

FRONDA

PISMO POŚWIĘCONE

- 
- ❖ LEGION MICHAŁA ARCHANIOŁA ❖ OD BANALIZMU DO ONANIZMU ❖
 - ❖ MESJANIZM POLSKI: BRAUN, CYWIŃSKI, KOEHLER, SOSNOWSKI ❖
 - ❖ MEGATECHNOTERROREFECT ❖ UNABOMBER ❖ PJ HARVEY ❖

FRONDA

Pismo po wi cone

NR 6 PRZEDWIO NIE



MIELONE KRASNOLUDKI

FRONDA

Pismo poświęcone

NR 6 PRZEDWIENIE

REDAKCJA: Grzegorz Górny, Rafał Smoczyński, Sonia Szostakiewicz

ZESPÓŁ: Nikodem Bończa-Tomaszewski, Natalia Budzyńska, Adam Jagielak, Estera Lobkowicz, Robert Mazurek, Marcin Pieszczyk, Karolina Prewęcka, Wawrzyniec Rymkiewicz, Marek Sieprawski, Wojciech Sobolewski, Dariusz Suska, Piotr Terlecki, Rafał Tichy, Marcin Dominik Zdort

PROJEKT OKŁADKI: Paweł M. Saramowicz

WYDAWCA: Fronda sp. z o.o.

ADRES REDAKCJI: ul. Reymonta 30/61, 01-842 Warszawa

SKŁAD: Fronda Technogonik Group

DRUK: "Gem-Text", ul. Puławska 34, 05-500 Piaseczno

SPRZEDA HURTOWA: Dom Księgarski SWS, tel. (02) 635-92-16

ILUSTRACJE: Wojciech Sobolewski (str. 50, 79, 169, 284, 306, 372), John C. Berry (str. 42, 107, 154, 187, 195, 210, 221, 232, 243, 258, 323, 351, 380), str. 13 - "Archanioł Michał", 1 poł. XVII w., tempera/drewno, Muz. Historyczne w Sankcie, str. 7, 21, 31 - zdjęcia z książki "Din Luptele Tinerelului Roman 1919-1939", Bukareszt 1993

© Copyright by Fronda, Warszawa 1996

PODZIĘKOWANIA: Fundacja Inicjatyw Kulturalnych w Radomsku, a szczególnie Małgorzata Drzewowska; Joanna Czarnecka; Paweł Dunin-Wąsowicz; Wojciech Klewicz; Jacek Kopciński; Angelika Korszyńska; Michał Małachowski; Hanna Mądra; Andrzej Pakuła; Joanna Rolińska; Pan Zbigniew; wydawnictwo Zebra; spóźnione podziękowania dla Tomasza Przedpełskiego i Piotra Zaremby

Materiałów nie zamówionych nie odsyłamy. Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów.

SPIS TRECI

Leon XIII	
Egzorcyzm	6
Bohdan Herbut-Kozieł	
Rycerz Archanioła Michała	8
Corneliu Zelea Codreanu	
Legion Archanioła Michała	14
Roman Wyborski	
Lepiej, eby jeden zgin ł	22
Corneliu Zelea Codreanu	
Dziennik wi zienny	32
Dariusz Suska	
Pozostał przyptyw, oczodoły morza	38
Stanisław Piasecki	
Imperjalizm idei	39
Maciej Urbanowski	
Prawo do wielko ci	43
Paweł Dunin-W sowicz	
Dla Polski	49
Sonia Szostakiewicz	
Pijak i stra nik	51
Ankieta mesjanistyczna:	
Dariusz Brzózka-Brzoskiewicz, Bohdan Cywi ski, Marek Jurek, Dariusz Malejonek, Stefan Niesiołowski, Peter Raina, Jan Pospieszalski, o.Jacek Salij, ks.Jan Socho , Jerzy Sosnowski, Kazimierz M.Ujazdowski, Maciej Urbanowski, Jerzy Zelnik.....	57
Krzysztof Koehler	
Nie jeste my sami	80
Rafał Tichy	
Naród troch wybrany	95
Jerzy Braun	
Rola Polski w "erze krytycznej"	104
Jakub Winiarski	
wiersze	108
Paweł Lisicki	
Głowa Holofernesa	111
Jestem psem papie a -	
- rozmowa z Dariuszem Brzózk Brzoskiewiczem.....	123
Zofia Stanisławska	
Henry Miller nieznanym	147
Przed miertne konwulsje mamy przed sob -	
- korespondencja Henry Miller-Lawrance Durrell.....	148
Unabomber	
Manifest terrorysty (fragmenty)	155

Grzegorz Wróblewski	
Opowie Williama S. Burroughsa	158
Efekt Trzeciego Pokolenia	
- rozmowa z Bogna Pawlisz, redaktor naczelni pisma "Jidete".....	159
PJ Harvey	
To Bring You My Love, Down By The Water	167
Terror szyderców -	
- rozmowa z Jarosławem Markiem Rymkiewiczem.....	170
Andrzej Fiderkiewicz	
Poszukiwacz utraconego ładu	179
Artur Grabowski	
wiersze	185
Od banalizmu do onanizmu	
- rozmowa z Andrzejem Rodysem.....	188
Wojciech Saramonowicz	
"Nowofalowa subkultura miska" (przeł d prasy pedalskiej).	196
Fakir Mustafar	
Gra ciała	211
Moja pederastia -	
- rozmowa z Dariuszem K.....	222
Gerard van den Aardweg	
Czy homoseksualizm jest dziedziczny?	233
Dennis Prager	
Dlaczego judaizm odrzucił homoseksualizm?	244
Nazywa rzeczy po imieniu	
- rozmowa z ks. bp. prof. Józefem yci skim.....	259
Janusz Kota ski	
" * * * ".....	274
KASZA I RUBOKR T	275
"Teraz jest donkiszoteria"	
- rozmowa z Jarosławem Kaczy skim.....	291
Piotr Zaremba	
Oszołomy miały racj	302
Roman Honet	
wiersze	304
IMPRIMATUR:	
*Piotr Zaremba	
Uwolni ksi dza	307
*Nikodem Bo cza-Tomaszewski	
Absurdalna wojna, absurdalny pokój?	311
*Marcin Pieszczyk	
Kawałki mózgu na tapicerce, czyli kino cynizmu	316
*Michał Gromki	
Bohater nie naszych czasów	320
ks. Jan Socho	
wiersze	322

Michał Kietlicz	
Monty bez grzechu	324
Tomasz Szczepański	
Współczesne neopogaństwo polskie	327
Paweł Nessel	
wiersze	334
Piotr M.A.Cywiński	
Ju nie "Ora et labora"	336
Za du o Rydzyków, za mało Michników - obrazki z wystawy	339
Andrzej Wierciński	
W wodach potopu (cz II)	342
Józef Dostatni	
Moja walka	356
Mircea Eliade	
Intelektualiści to faszyści	358
Estera Lobkowitz	
Spór o Lisickiego	360
Jan Wróbel	
Przyszłe ewentualne jednoczenie prawicy, czyli Obóz 200 miejsc	365
KSIKI NADESŁANE	368
INDEKS KSI G ZAKAZANYCH	371
NOTY O AUTORACH	375
ALARM	378
POCZTA	379

LEON XIII

EGZORCYZM

(do odmawiania prywatnego)

Sancte Michael Archangele, defende nos in proelio;
contra nequitiam et insidias diaboli esto praesidium.

Imperet illi Deus supplices deprecamur: tutque,
Princeps militiae coelestis, satanam aliosque spiritus
malignos, qui ad perditionem animarum pervagantur in
mundo, divina virtute in infernum detrude. Amen.*

** wi ty Michale Archaniele, wspomagaj nas w walce, a przeciw zło ci
i zasadzkom szatana b d nasz obron .*

*Niech go Bóg pogromi, pokornie prosimy, a Ty, Ksi wojska
niebieskiego, szatana i inne złe duchy, które na zgub dusz po tym wiecie
kr , moc Bo str do piekła. Amen.*



RYCERZ ARCHANIOŁA MICHAŁA - CORNELIU ZELEACODREANU

Jest noc z 29 na 30 listopada 1938 roku. Rumunia. Wojskowe wi ziennie Doftana. Na wi ziennym dziedzi cu stoi ci arówka. andarmi prowadz skutego wi nia. Wysoki m czyzna o ciemnych, g sto poprzetykanych siwizn włosach. Twarz ma zm czon i zszarzał . Wpychaj go do samochodu. W rodku jest jeszcze trzynastu innych wi niów. Spogl daj na nowo przybyłego i twarze ich rozja niaj si na moment. On te spogl da na ka dego z nich. Nie pada ani jedno słowo, ale słowa s tu niepotrzebne. Oni poznali jego, a on ich. Samochód rusza. Wi niowie siedz w dwu rz dach, twarz do plandeki auta. R ce maj skute na plecach. Za placami ka dego z wi niów siedzi andarm. Czternastu wi niów i czternastu stra ników. Od czasu do czasu, gdy samochód zwalnia, stra nicy zerkaj w okienko do kabiny kierowcy. Samochód wje d a do lasu Baneasa, zwalnia bieg, wreszcie zatrzymuje si . Dowódca konwoju, siedz cy obok kierowcy, trzykrotnie wieci latak przez okienko. To znak. Ka dy z andarmów wyci ga z kieszeni kawalek linki, zarzuca błyskawicznie na szyj siedz cego przed nim wi nia i dusi sw ofiar . Egzekucją przebiega sprawnie i szybko. Jest godzina pi ta nad ranem, 30 dzie listopada 1938 roku...

W taki właśnie sposób zamordowany został Corneliu Zelea Codreanu - założyciel i przywódca Legionu Archanioła Michała, zwany przez Legionistów *Capitanul* (**Kapitanem**). Razem z nim zginęło trzynastu jego towarzyszy, których Legion już wcześniej uznał za bohaterów i męczenników. Byli to trzej *Nicadori*, zabójcy premiera Duki, oraz dziesięciu zabójców Stelescu, zwanych *Decem viri*...

* * *

Rumuński *Legiunea Arhanghelului Mihail* (**Legion** Archanioła Michała) umieszczany jest w jednym rzędzie z innymi ugrupowaniami nacjonalistycznymi i faszystowskimi Europy lat 20. i 30. Niestusznie. Była to bowiem organizacja wyjątkowa, niezwykła i nieporównywalna z żadną inną. Tak samo jak jej twórca nie da się porównać z żadnym z licznych wodzów, *duce* i *fuhrerów* swych czasów.

Corneliu Zelea Codreanu był bowiem bardziej prorokiem nowej wiary i religijnym mistykiem aniżeli przywódcą politycznym. Stworzony przezeń **Ruch Legionowy przypominał bardziej zakon rycerski lub bractwo religijne ni parti polityczn ...**

Codreanu utworzył Legion Archanioła Michała 24 czerwca 1927 roku. Miał wówczas 28 lat i znany był ze swej wcześniejszej działalności w studenckim ruchu narodowym. Tworząc Legion, Codreanu miał już własną wizję tego,

co chce osiągnąć i jaki typ ludzi chce wokół siebie skupić. Legion miał być narzędziem kształtowania postaw i charakterów, a nie narzędziem politycznych rozgrywek. Wraz z Kapitanem liczył wówczas ledwie dziesięciu młodych ludzi. Gdy jedenaście lat później - w lutym 1938 roku król Karol II rozwiązywał Legion, organizacja liczyła 350 tysięcy członków i dwa razy tyle osób należących do różnego rodzaju przybudówek i organizacji afiliowanych.

Corneliu Codreanu chciał dokonać w Rumunii rewolucji. **Ale miała to być rewolucja duchowa, a nie społeczna czy polityczna.** Rewolucja w imię tradycyjnych wartości narodowych i chrześcijańskich. Kapitan wierzył, że tylko wówczas, gdy ideały Legionu utwierdzą się w ludzkich duszach i sercach, można będzie dokonać przebudowy kraju. Tylko zwycięstwo rewolucji serc może przynieść odrodzenie polityczne i społeczne Rumunii. Nigdy odwrotnie...

Legion był szkołą poświęcenia, męczeństwa, walki i pracy. Codreanu kładł nacisk na formowanie duchowej postawy Legionistów, a nie na szkolenie ideologiczne czy przygotowania do wyborów parlamentarnych. Pierwsi Legioniści - kadra i elita późniejszej organizacji masowej - żyli wspólnie, jak zakonnicy, w zbudowanym własnymi rękami domu w Jassach. Przez trzy lata, do grudnia 1929 roku, Legion nie prowadził żadnej działalności zewnętrznej, żadnej propagandy, żadnego werbunku. A mimo to Legionistów przybywało.

Dom Legionu - Cytadela Świętego Michała - przypominał klasztor. Centralne miejsce zajmowała tam ikona z wizerunkiem patrona Legionu - Archanioła Michała. W dniu jego święta, 8 listopada 1927 roku, pierwsi Legioniści złożyli przysięgę. Było ich wówczas trzydziestu jeden. Wtedy też każdy z nich otrzymał talizman - skórzany woreczek zawierający ziemię z pól bitewnych z całego kraju, ziemię przesiąkniętą krwią bohaterów poległych w obronie Rumunii od czasów Decebala aż po I wojnę światową.

Codreanu wychowywał Legionistów przez wspólne życie i wspólną pracę, a także wspólny śpiew czy wycieczki po kraju. Później, gdy Legion się rozrósł, każda z podstawowych komórek Legionu, zwanych *cuib* (gniazdo), miała organizować każdej niedzieli po nabożeństwie wspólne wędrowki po najbliższej okolicy. Praca była obowiązkiem każdego Legionisty. Organizowano wielkie obozy letnie, jak słynny obóz w Carmen Sylva, które łączyły wypoczynek wakacyjny z pracą. Gromady Legionistów pomagały przy żniwach, przy remoncie cerkwi i chłopskich chat, przy budowie dróg i studni.

Bardzo szybko wokół organizacji i jego przywódcy urosła legenda. Pierwsze publiczne wystąpienia Legionu miały znamiona ludowej krucjaty. Ubrani w chłopskie stroje Legioniści, w zwartym szyku, śpiewając religijne i patriotyczne pieśni, wędrowali przez wsie i miasteczka. Na czele pochodu niesiono ikonę przedstawiającą Świętego Michała, za obrazem zaś, na białym koniu, jechał Kapitan. Tak zrodziła się legenda o Wystanniku Archanioła, który przybył, aby ukrócić niesprawiedliwość i dać ludowi nadzieję...

Od samego początku Kapitan przygotowywał swych Legionistów do ofiar i poświęceń. Oddawali oni cześć poległym bohaterom i sami przygotowywali się do wyrzeczeń lub śmierci. Rychło ich wiara została wystawiona na ciężką próbę. Początkowo rząd rumuński traktował Legion jako grupkę niegroźnych marzycieli i fantastów. Jednak w 1930 roku Legion był już poważną siłą polityczną, w której szeregach byli działacze tej miary co Mircea Eliade czy Emil Cioran. Corneliu Codreanu przeniósł siedzibę organizacji z prowincjonalnych Jass do stolicy, utworzył też zmilitaryzowaną formację *Garda de Fier* (Żelazna Gwardia). Pod tą nazwą Legion zyskał rozgłos w kraju i za granicą, dlatego później określenie to, niesłusznie, zostało przez dziennikarzy i historyków przypisane całemu Legionowi. Mundurem Żelaznej Gwardii były zielone koszule, sam Codreanu - jako jej dowódca - przyjął tytuł Kapitana (tak zwali się dowódcy powstańczych oddziałów hajduków, walczących w XVII-XVIII wieku z Turkami i z hospodarami, którzy współpracowali z Osmanami). Rząd poczuł się zagrożony. Zaczęły się represje policyjne, konfiskaty, aresztowania, delegalizacje...

Najcięższe prześladowania spadają na Legion w styczniu 1931 i grudniu 1933 roku. Legioniści znakomicie zdają egzamin ze swej gotowości do poświęceń i męczeństwa. Legion ma już własnych męczenników. Pierwszy to Sterie Ciumetti, zamordowany przez policję w grudniu 1933 roku. Po nim przychodzą dziesiątki, a wreszcie tysiące innych.

Codreanu uczył Legionistów, że cierpienia i prześladowania znosić należy z pokorą i godnością. Ale uczył też, że zło należy zwalczyć, a za niegodziwość i zdradę - wymierzać karę. Sam dał przykład takiej postawy zabijając w październiku 1925 roku, jeszcze przed założeniem Legionu, prefekta policji w Jassach, który prześladował studentów-narodowców. W grudniu 1933 roku trzej Legioniści - *Nicadori* - wykonują wyrok na premierze Ionie Duce, odpowiedzialnym za krwawe represje i prześladowania Legionu. Latem 1936 roku dziesięciu Legionistów - *Decemviri* - wykonuje wyrok na Michale Stelescu - zdrajcy, który próbował rozbić organizację od wewnątrz. *Nicadori* i *Decemviri* zostali skazani na dożywotnie ciężkie roboty. Podczas śledztwa, mimo tortur i zastraszania, do końca twierdzili, iż działali z własnej inicjatywy, bez niczyjego polecenia. Legion ogłosił ich męczennikami i bohaterami. W oczach Legionistów *Nicadorii* *Decemvirinie* byli mordercami, tylko wykonawcami Boskiej sprawiedliwości, narzędziem, którym Bóg posłużył się, by pokarać zdrajcę i niegodziwca...

Kult poświęcenia i męczeńskiej śmierci rozwija się w Legionie. Powstaje specjalny Oddział Ochotników Śmierci, ślubujących umrzeć dla Kapitana, Legionu i Rumunii. **Bowiem mier jest tylko pocz tkiem nowego ycia** - lepszego i wspanialszego, w szeregach niebiańskiego hufca Świętego Michała Archanioła. Tam Legionista nadal będzie walczył z siłami szatana, tak jak na ziemi walczył z jego sługami.

Hierarchia Cerkwi prawosławnej potępia Legion, ale dla Legionistów nie ma to znaczenia. Wierzą, że Chrystus jest po ich stronie i że to oni są prawdziwymi wyznawcami Wiary Chrystusowej. Znaczna część niższego kleru myśli podobnie i popiera Legion, błogosławi jego sztandary i modli się za Kapitana.

Legion to ruch mistyczny. Legionista wie, że modlitwa i wiara przyniosą mu zwycięstwo. Kapitan naucza, że walka, którą Legion toczy na ziemi, to tylko słaby refleks tej straszliwej walki, jaką każdy człowiek prowadzi w swej duszy z pokusami szatana, ciec heroicznych zmagających, jakie rozgrywają się w świecie duchowym...

Legion celebrował kult poległych, kult zmarłych bohaterów, bo w ten sposób nawiązuje się z nimi bezpośredni, żywy kontakt. Zmarli bojownicy - bohaterowie rumuńskiej ziemi - przychodzą, by wesprzeć swych synów. Stają w jednym szeregu obok Legionistów - niewidzialni, ale realni, żywi, naprawdę obecni.

Legionista nie boi się śmierci. Legionista pragnie śmierci, bo wie, że śmierć w walce daje mu bezpośredni wstęp w szeregi prawdziwego Legionu Archanioła, otwiera bramy Niebios... Gdy jesienią 1936 roku najbliższy przyjaciel Kapitana, towarzysz wszystkich walk i współzałożyciel Legionu - Ion Motza jedzie do Hiszpanii razem z sześcioma innymi wybranymi Legionistami, by walczyć po stronie gen. Franco, oświadcza, że wyjeżdża "aby zdobyć koronę męczeństwa". I zdobywa ją - ginie na froncie wraz z drugim Legionistą - Vasile Marinem, a Legion zyskuje dwu nowych bohaterów...

* * *

W lutym 1938 roku król Karol II objął dyktatorskie rządy w kraju i rozwiązał Legion. W dwa miesiące później Corneliu Zelea Codreanu zostaje aresztowany. Początkowo zostaje skazany na sześć miesięcy więzienia, a następnie - po procesie-farsie - na dziesięć lat ciężkich robót. Wraz z Kapitanem do więzień trafiają tysiące Legionistów. Ale Legion trwa w podziemiu, a kult "Wysłannika Archanioła" rozwija się wśród ludności chłopskiej.

Ani zgładzenie Codreanu w mroźną listopadową noc, ani wymordowanie setek innych Legionistów nie oznaczało końca Legionu. Legion żyje i daje o sobie znać. Armand Calinescu, premier i minister spraw wewnętrznych, który wydał rozkaz zamordowania Kapitana, zostaje zlikwidowany w niecały rok później przez dziewięćosobowe komando zwaną *Rasbunatori* (Mściciele). Po zabiciu Calinescu nastąpiła prawdziwa rzeź Legionistów - zamordowano wówczas około 2-3 tysiące ludzi, wszystkich członków Legionu, którzy znajdowali się w tym czasie rumuńskich więzieniach.

Corneliu Codreanu wybrał na emblemat Legionu zarys więziennej kraty, jako symbol prześladowań, które Legion już przeszedł i jakie jeszcze czekają organizację w przyszłości. Symbol okazał się wyjątkowo trafnie dobrany. W zasadzie od momentu swego powstania Legion Archanioła Michała nieustannie podlegał represjom. Jedynie we wrześniu 1940 roku, doprowadzi-

szy do obalenia dyktatury króla Karola II, Legion dochodzi na kilka miesięcy do władzy u boku gen. Iona Antonescu.

To właśnie wtedy, w tym krótkim okresie tryumfu, 27 listopada 1940 roku odbył się uroczysty pogrzeb Corneliu Zelea Codreanu i zamordowanych wraz z nim trzynastu Legionistów. Wszyscy zostali ogłoszeni przez Cerkiew rumuńską "narodowymi męczennikami". Już wkrótce poczet męczenników Legionu miał się znowu powiększyć... Od stycznia 1941 rok u rozpoczęło się ostatnie prześladowanie Legionu. Gen. Antonescu pozbył się ludzi, którzy wynieśli go do władzy. Komuniści po roku 1944 dokończyli dzieła. Ostatnie "gniazda" Legionu przetrwały w konspiracji do 1952 roku.

Bogdan Herbut-Kozieł



LEGION MICHAŁ A ARCHANIOŁA

Legion

Legion jest organizacją opartą na dyscyplinie i porządku.

Legion kieruje się czystym patriotyzmem, wypływającym z nieograniczonej miłości do Narodu i Ojczyzny.

Legion pragnie pobudzić do walki całą energią twórczą Narodu.

Legion broni ołtarzy Kościoła, które wrogowie pragną zburzyć.

Legion oddaje hołd na mogiłach bohaterów i męczenników Narodu.

Legion stoi niezłomnie na straży wokół Tronu, na którym zasiadali Książęta i Królowie poświęcający się w obronie chwały i dobra Narodu.

Legion pragnie wzniesć, dzięki mocy ducha i sile ramion, potężny kraj, Nową Rumunię.

Sze fundamentalnych prawd legionowych

1. Prawo dyscypliny :

Bądźcie zdyscyplinowani, Legioniści, gdyż tylko w ten sposób możecie zwyciężyć. Podążajcie za swym dowódcą na dobre i złe.

2. Prawo pracy :

Pracujcie! Pracujcie każdego dnia. Wkładajcie serce w swą pracę. Niech waszą nagrodą będzie nie zysk, ale satysfakcja, że dzięki swej pracy położyliście kolejną cegłę budując siłę Legionu i kwitnącą Rumunię.

3. Prawo milczenia :

Mówcie niewiele. Mówcie tylko to, co jest konieczne. Mówcie tylko wtedy, gdy jest to konieczne. Waszym krasomówstwem powinny być czyny, a nie słowa. Powinniście działać - niech inni mówią.

4. Prawo wychowania :

Musicie stać się inną osobą - bohaterem. W Gnieździe będziecie wychowywani w takim właśnie celu. Musicie dobrze poznać Legion.

5. Prawo wzajemnej pomocy :

Pomóżcie swemu bratu, który popadł w nieszczęście. Nie porzucajcie go.

6. Prawo honoru :

Podążajcie wyłącznie drogą honoru. Walczcie i nigdy nie okazujcie tchórzostwa. Pozostawcie drogę niesławy innym. Lepiej zginąć w honorowej walce niż zwyciężyć przy pomocy podłości.

Modlitwa jako decydujący element zwycięstwa

Legionista wierzy w Boga i modli się o zwycięstwo Legionu.

Powinniśmy pamiętać o tym, że Naród Rumuński jest tutaj, na tej ziemi, dzięki woli Boskiej i błogosławieństwu Kościoła Chrystusowego. Przed

ołtarzami naszych kościołów cały Naród Rumuński zbierał się od niepamiętnych czasów w okresach trwogi i prześladowań - kobiety, dzieci i starcy, świądomi, iż jest to ostatnie schronienie. I dzisiaj również jesteśmy gotowi zgromadzić się - my, Naród Rumuński - wokół ołtarzy, jak w dawnych czasach niebezpieczeństw, i klęczeć, by otrzymać Boskie błogosławieństwo.

Apel do naszych przodków

Wojny były wygrywane przez tych, którzy potrafili przywołać tajemnicze niewidzialne siły z zaświatów i zapewnić sobie ich pomoc. Te tajemnicze siły to dusze zmarłych, dusze naszych przodków, którzy byli przywiązani do tej ziemi, do naszych pól i lasów, i którzy zginęli w obronie tej ziemi, a dzisiaj są przywoływani, dzięki pamięci o nich, przez nas - ich wnuków i prawnuków. Lecz ponad duszami zmarłych stoi Chrystus.

Kiedy te siły zostaną wezwane, przybędą na pomoc i dodadzą nam odwagi, dadzą nam siłę woli i wszystko, co jest niezbędne, aby zwyciężyć. Zasięgą twogę i panikę w sercach naszych wrogów i sparaliżują ich działania. W ostatecznym rozrachunku zwycięstwo nie zależy od przygotowania materialnego, od siły materialnej walczących stron, lecz od zdolności wykorzystania owego zgromadzenia sił duchowych. Takie jest też wyjaśnienie tajemnicy cudownych zwycięstw z naszej historii, odniesionych pomimo znacznej dysproporcji sił materialnych.

Szkoła cierpienia

Ktokolwiek chce przyłączyć się do naszej walki, powinien przede wszystkim zdać sobie sprawę, że będzie musiał znosić wiele cierpień. Ten, kto potrafi znosić cierpienie - zwycięży. Każde cierpienie jest kolejnym krokiem wiodącym do zbawienia, do zwycięstwa. Dlatego my, Legioniści, z radością przyjmujemy cierpienie.

Cierpienie nie powinno pozbawiać Legionisty odwagi, powinno dodawać mu siły, uodparniać i hartować jego duszę. Ci, którzy cierpieli i muszą ciągle znosić cierpienia, będą prawdziwymi bohaterami walk Legionu. Błogosławieństwo Narodu otoczy ich i ich rodziny.

Jak drog musi przej Legionista?

Życie Legionisty jest wspaniałe. Nie z powodu bogactw, ani zdobytego luksusu, lecz z powodu mnogości niebezpieczeństw, którym musi stawić czoła. Życie Legionisty jest wspaniałe dzięki najściślejszej więzi, jaka łączy wszystkich Legionistów w całym kraju w jedno święte bractwo walki. I będzie ono wspaniałe, gdy wszyscy Legioniści ukształtują w sobie niezłomną męską postawę w obliczu cierpienia.

Każdy, kto przystępuje do Legionu, musi przede wszystkim zdać sobie sprawę z tego, jakie życie go teraz oczekuje; musi znać drogę, którą będzie musiał przebyć. Droga ta biegnie poprzez górę cierpienia, las zamieszkały przez dzikie bestie oraz trzęsawisko rozpacz.

Kiedy człowiek wstępuje w szeregi Legionu z miłością ojczyzny w swym sercu, to nie powinien oczekiwać, że zostanie przygotowany dla niego nakryty stół, lecz musi być gotów, by nieść jarzmo Zbawiciela Jezusa Chrystusa.

I droga Legionisty zaczyna wspinać się na szczyt zwany Górą Cierpienia.

Na początku wspinaczka wydaje się łatwa. Później staje się coraz trudniejsza, cierpienie coraz większe. Pierwsze krople potu pojawiają się na czole Legionisty.

Wówczas zły duch, który wśliznął się ukradkiem pomiędzy Legionistów, podsuwa myśl: "Czy nie lepiej byłoby zawrócić? Droga Legionisty, w którą wyruszyliśmy, staje się zbyt trudna, góra jest stroma i wysoka, a celu wciąż nie widać". Ale Legionista nie słucha, idzie swoją drogą, jakkolwiek nie byłaby ona ciężka. Po pewnym czasie zaczyna być zmęczony tą niekończącą się wędrówką; wydaje się, że opada z sił.

Na szczęście jednak dociera do strumienia, który jest czysty jak serce przyjaciela. Pije, obmywa twarz, bierze głęboki oddech i kontynuuje swą wspinaczkę na Górę Cierpienia.

Kiedy Legionista spogląda na odległy szczyt, mówi: "Trudno mi będzie dojść tak daleko, pomóż mi, Panie, dostać się na wierzchołek". Lecz zły duch szepcze: "Czyż nie lepiej byłoby zawrócić? Zapomnij o miłości do Króla i Ojczyzny, do Narodu i ziemi ojczystej. Cóż od nich zyskałeś? Czy nie lepiej byłoby wygodnie siedzieć w domu?"

Legionista idzie jednak dalej z niezachwianą wiarą poprzez ostre skały. Jest zmęczony. Upada. Ręce ma podrapane, po raz pierwszy zauważa, że jego kolana krwawią. Pozostało mu już niewiele drogi, ale skały stają się urwiste i ostre. Jego czoło krwawi i krople krwi padają na nieczułą skałę. "Czy nie lepiej byłoby zawrócić?", szepcze znowu zły duch. Legionista zdaje się wahać. Lecz wtem słyszy głos wzywający z głębi stuleci: "Naprzód, dzieci! Nie poddawajcie się!"

Ostatni wysiłek. I dzielny człowiek osiąga szczyt Góry Cierpienia dzięki swemu chrześcijańskiemu i rumuńskiemu duchowi, pełen szczęścia i radości.

"Będziecie szczęśliwi, gdy będą was prześladować i mówić wszelkie rzeczy przeciwko wam". "A oni kroczyli swą drogą radośnie, gdyż zwyciężyli w imię Chrystusa".

Legioniści muszą wiele wycierpieć na owej górze. Wielka książka potrzebna będzie, aby to opisać.
Las Dzikich Bestii

Niech Legionista nie wyobraża sobie jednak, że jego kłopoty skończyły się wraz ze zdobyciem góry. Każdy powinien wiedzieć od samego początku, co go czeka, jaka droga jeszcze przed nim do przebycia.

Druga próba. Droga Legionisty wiedzie do lasu, który ludzie zwą Lasem Dzikich Bestii.

Już na skraju lasu słycać ryki owych bestii, które tylko czekają, aby rozederzeć na strzępy każdego, kto ośmieli się wejść do lasu.

Po Górze Cierpienia jest to druga próba, którą przejść musi Legionista. Ktokolwiek jest bojaźliwy, powinien lepiej pozostać na skraju lasu. Kto ma odważne serce - wchodzi. Walczy mężnie i pokonuje wiele niebezpieczeństw, o których powinien ktoś napisać - i z pewnością napisze - osobną książkę. Legionista nie próbuje unikać walki, nie próbuje kryć się za drzewami. Przeciwnie, zmierza tam, gdzie niebezpieczeństwo jest największe. Kiedy już Legionista przejdzie przez las i wyjdzie bezpiecznie po drugiej stronie, oczekuje go nowa próba.

Trzęsawisko Rozpacz y

Droga nagle urywa się i przed Legionistą rozpościerają się rozległe moczary. Jest to tak zwane Trzęsawisko Rozpacz y, gdyż ktokolwiek próbuje się przez nie przedostać, zostaje pokonany przez rozpacz zanim osiągnąć zdoła drugi brzeg. Niektórzy nie mają nawet odwagi, aby tu wejść - zaczynają wątpić w zwycięstwo, które wydaje im się zbyt odległe; czują, że przebycie bagna jest niemożliwe. I tak wielu z tych, którzy zdołali wspiąć się na Górę Cierpienia i przebyć Las Dzikich Bestii, poddaje się, widząc przed sobą Trzęsawisko Rozpacz y. Inni wchodzi i zawracają, jeszcze inni giną w moczarach. Ale prawdziwy Legionista nigdy nie traci nadziei. Pokonuje tą nową przeszkodę i okrzyty chwałą osiąga drugi brzeg.

Teraz, po przebyciu trudnej drogi, po przejściu trzech prób, zaczyna się błogosławiona praca przy wznoszeniu od fundamentów Nowej Rumunii.

[fragmenty ksi ki "Carticica Sefului de Cuib" (Podr cznik dowódcy Gniazda), wydanej w maju 1933 r.]
tłumaczy}: Bogdan Kozie)

Dziesi przykaza legionisty

Dziesięć przykazań, których Legionista musi przestrzegać, aby nie zboczyć z drogi chwały w tych dniach ciemności, nieszczęść i szatańskich pokuszeń. Niechaj cały świat wie, że jesteśmy Legionistami i pozostaniemy Legionistami na wieczność.

1. Nie wierz w najmniejszym stopniu w informacje i wiadomości na temat ruchu legionowego przeczytane w jakiegokolwiek gazecie, nawet jeśli przedstawia się ona jako pismo nacjonalistyczne, lub szeptane do ucha przez agentów prowokatorów, a nawet przez ludzi uczciwych. Legionista wierzy tylko rozkazom i słowom swojego Dowódcy. Jeśli takie rozkazy nie przychodzą, oznacza to, że nic się nie zmieniło i Legionista powinien spokojnie podążać własną drogą.
2. Bądź ostrożny wobec ludzi, z którymi obcuje. I oceniaj ich tak, jak należy: osądź czy masz do czynienia z wrogiem, który chce cię oszukać, czy też z naiwnym przyjacielem, który został oszukany przez przeciwnika.

3. Strzeż się jak wielkiego nieszczęścia nieznanego, który namawia cię do zrobienia czegoś. Ma on w tym własny interes i chce posłużyć się tobą dla osiągnięcia swoich celów, albo też chce skompromitować cię w oczach innych Legionistów. Legionista działa tylko na podstawie rozkazów lub swojej spontanicznej inicjatywy.
4. Jeśli ktoś próbuje kusić cię obietnicami lub przekupić cię - napluj mu w twarz. Legioniści nie są głupcami, ani towarem na sprzedaż.
5. Unikaj tych, którzy chcą obdarzyć cię podarunkami. Nie przyjmuj niczego.
6. Odsuń się od tych, którzy ci schlebiają albo cię chwala.
7. Gdzie znajdują się tylko trzej Legioniści, niechaj żyją pomiędzy sobą jak bracia: jedność, jedność i jeszcze raz jedność! Poświęć wszystko, poświęć siebie samego, wszystkie swoje pragnienia i cały swój egoizm na rzecz tej jedności. Jedność da nam zwycięstwo. Ten, kto występuje przeciw jedności, występuje przeciw zwycięstwu Legionu.
8. Nie mów źle o swoich towarzyszach. Nie oskarżaj ich. Nie szemraj innym na ucho żadnych oskarżeń i nie toleruj szemrania z ich strony.
9. Nie lękaj się, jeśli nie otrzymujesz rozkazów, wiadomości, odpowiedzi na piśmie lub jeśli zdaje ci się, że walka wygasa. Nie przejmuj się tym, nie oceniaj rzeczy tak tragicznie, gdyż Bóg czuwa nad nami, a twoi dowódcy znają właściwą drogę i wiedzą czego chcą.
10. W twej samotności proś Boga w imię naszych poległych, aby pomógł ci znieść wszystkie ciosy aż do kresu cierpień - do wielkiego odrodzenia i zwycięstwa Legionu.

[instrukcja wewn trzorganizacyjna z 5 czerwca 1935 r. opublikowana w zbiorze "Circukui: si Manifeste" (Okólniki i manifesty)]

Bezinteresowno w walce

Pokonanie interesu osobistego jest fundamentalną cnotą Legionisty. Jest to postawa pozostająca w całkowitej opozycji wobec postawy polityków, dla których jedynym motywem działania i walki jest wyłącznie interes osobisty, wraz ze wszystkimi towarzyszącymi mu zdegenerowanymi zjawiskami: żądzą zysku, luksusem, arogancją, korupcją.

Oto dlaczego, drodzy towarzysze, tak długo jak długo trwać będzie życie Legionu, powinniście być świadomi, że jeśli kiedykolwiek poczujecie, czy to w duszy kogoś z bojowników, czy też we własnej, pomruk osobistego interesu, Legion przestanie istnieć. Wówczas Legionista umrze, a swoje kły pokaże "polityk".

Spoglądajcie nowo wstępującym Legionistom uważnie w oczy i jeśli odkryjecie w nich błysk najmniejszego chociażby osobistego interesu - czy to materialnego, czy też ambicji, pasji, dumy - wiedźcie, że człowiek ten nie może stać się Legionistą.

Aby stać się Legionistą, nie wystarczy nosić zieloną koszulę i używać legionowego pozdrowienia, ani nawet znać zasady legionowe; trzeba prowadzić życie zgodne z normami życia legionowego. Normy te są bowiem dla

Legionu nie tylko systemem logicznym, łańcuchem argumentów; jest to "żywa wiara". Tak samo jak nie jest chrześcijaninem ten, kto zna i rozumie Ewangelię, ale ten, kto żyje zgodnie z normami życia wyłożonymi w Ewangelii - ten, kto "żyje Ewangelią".

Wolno , autorytet i miłość

Cała społeczna historia ludzkości pełna jest zmagania, mających u podstaw walkę dwóch zasad, z których każda usiłuje zająć miejsce drugiej: zasady autorytetu i zasady wolności.

Autorytet usiłuje rozprzestrzeniać się kosztem wolności, ta zaś próbuje ograniczyć, tak mocno jak tylko jest to możliwe, siłę autorytetu. Te dwie siły muszą znajdować się w nieustannym konflikcie.

Oparcie naszego ruchu na bazie którejś z tych zasad oznaczałoby kontynuację z jednej strony historycznej linii tyranii, przemocy i niesprawiedliwości, z drugiej zaś strony - linii krwawych powstań i nieustannych konfliktów.

Ruch Legionowy nie opiera się ani na zasadzie autorytetu, ani na zasadzie wolności; jako fundament naszego ruchu przyjęliśmy zasadę miłości. W niej zarówno autorytet, jak i wolność mają swe źródła.

Miłość ustanawia pokój pomiędzy dwoma zasadami: autorytetu i wolności. Miłość jest w nich obu, pomiędzy nimi i ponad nimi, zawierając wszystko to, co jest w nich najlepsze i usuwając konflikt pomiędzy nimi.

Miłość wyklucza tyranie, przemoc, niesprawiedliwość, krwawe powstania i społeczną wojnę. Miłość nigdy nie oznacza konfliktu. Jedynie przepełniona hipokryzją koncepcja miłości, praktykowana przez tyranów i faryzeuszy, zakłada, że podczas gdy nieustannie i systematycznie apelują oni do uczucia miłości, jednocześnie nieprzerwanie stosują przemoc i nienawiść wobec innych.

Dobroć i miłość dają nam pokój, ale nie sprawiedliwość. Bardzo trudno jest bowiem zrealizować zasadę sprawiedliwości. Nawet gdyby instrument jej doskonałej realizacji został wynaleziony, człowiek, który jest niezdolny do jej uznania i docenienia, pozostałby na zawsze niezadowolony.

Miłość jest kluczem do pokoju, który nasz Zbawiciel ofiarował narodowi świata. W końcu narody, po licznych wędrówkach, poszukiwaniach i próbach, przekonują się, że z wyjątkiem miłości, którą Bóg zaszczylił w duszach ludzkich jako syntezę wszelkich ludzkich cech, i którą zesłał nam poprzez naszego Zbawiciela Jezusa Chrystusa, nie istnieje nic, co mogłoby przynieść nam pokój i ukojenie.

Wiara, praca, porządek, dyscyplina - mają swe źródło w miłości.

Na niej opiera się nasz ruch. Nie wiem jak jeszcze bardziej zachęcić was, abyście kultywowali miłość. Miłość da wam nieoczekiwane i nieograniczone

czone możliwości rozwiązywania wszelkich trudnych problemów, przed którymi staniecie. Tam, gdzie nie ma miłości, nie ma życia legionowego.

Ale miłość nie zwalnia od obowiązku dyscypliny, tak samo jak nie zwalnia od obowiązku pracy i obowiązku wykonywania rozkazów.

[fragmenty ksi ki "Pentru Legionari" (Dla mych Legionistów), wydanej w pa dzienniku 1936 r.]

wszystkie fragmenty tłumaczył: **Bogdan Kozieł**



LEPIEJ, ŻEBY JEDEN ZGINĄŁ

Szanowna Redakcjo, istotnym powodem skłonił mnie do przyjęcia Waszego zaproszenia, by podzielić się swoimi myślami o pewnym złożonym zjawisku historycznym, aktualnym aż do dzisiaj, a mianowicie o Legionie Św. Michała Archanioła, znanym później pod nazwą Żelaznej Gwardii.

Przez kilka ostatnich lat mojego pobytu w Rumunii myśli te kształtowane były przez osoby, których samo poznanie jest dla mnie zaszczytem, a rozmowy z nimi - źródłem głębokiej wiedzy i cennego doświadczenia. Niejako w rewanżu winien im jestem przynajmniej tyle - przekazywać jak najszerzej prawdę o nich, albo przynajmniej tyle prawdy, ile według dzisiejszego stanu wiedzy da się odtworzyć.

Zgodzicie się z pewnością, iż jest to, na polskim gruncie, zadanie karkołomne. Mało jest bowiem krajów tak fałszywie u nas postrzeganych oraz tak idiotycznie zaszufładowanych jak Rumunia. Czymkolwiek bowiem na podstawie swej wiedzy i doświadczenia chciałbym się podzielić - od Cyganów poczynając, na nacjonalistach kończąc - pierwszą przeszkodą jest zawsze niedowierzanie. Tym trudniej jest pisać o ludziach i o Ruchu, do którego obowiązujący przez ostatnie kilkadziesiąt lat stereotyp przykleił najcięższe etykiety typu: faszyści, zdrajcy, zbrodniarze... Pod takimi jednoznacznymi kwalifikacjami należało o utożsamiać legionistów, po rumuńsku: *le jonari*.

Ten stan świadomości właściwy jest także, a może przede wszystkim, współczesnym Rumunom. Kto przyznaje się do chęci poznania historii Legionu lub co gorsze do sympatyzowania z nim (o przynależność i nawet nie wspominając), może być niemile postrzegany zarówno przez sąsiada, jak i przez SRI, pod którym to skrótem ukrywa się przemianowana *Securitate*. Przez sąsiada? - zapytacie. A ja Wam odpowiem, że nawet przez własną rodzinę. Sam znam jedną, wspaniałą skądinąd, rodzinę, gdzie głęboko skłócenie są z jednej strony wyrafinowany, sprawny intelektualnie zięć antykomunista, z drugiej - prosta, pełna poezji i mocy ducha teściowa legionistka. Mediatorem między nimi jest żona/córka, urodzona w strasznym więzieniu *Vacaresti*, niemowlę-więzień polityczny, dziś z legitymacją odpowiedniego stowarzyszenia ofiar komunizmu.

Sprzeczność ta polega, jak myślę, na tym samym co u nas i wszędzie. Inteligencja wyczerpuje znamiona działania najczęściej gadulstwem i pisaniną, podczas gdy zdeterminowani prości ludzie wolą zawierzyć przywódcom i organizacji opartej na tradycyjnych wartościach.

W jednym z najcięższych byłych więzień Rumunii, w Sighet Marmatiei poetka i polityk Ana Blandiana od trzech lat zwołuje co roku w czerwcu wszystkich tych, którzy - wedle jej słów - "*głoszą prawdę, wymierzają sprawiedliwość*", którzy odfałszowują i uzupełniają zniekształconą wiedzę historyczną wyniesioną przez dwa-trzy pokolenia zeskótki mediów.

Wsluchiwanie się w dziesiątki, w setki świadectw więźniów politycznych, w tym członków Żelaznej Gwardii, oraz uczestników zbrojnego ruchu oporu w Karpatach do 1964 roku - było dla polskiego dyplomaty (zwykle jedyne w tym dziwnym gronie) każdorazowo najcenniejszym doświadczeniem rumuńskości, jakże bliskiej temu, co dla nas jest polskością, a jakże boleśnie nieobecnej w naszej o nich świadomości.

Nie to jednak jest najbardziej istotne. Z ubiegłorocznego spotkania nakręcono reportaże dla jednej z telewizji niemieckich. Pokazano go w wrześniu. W komentarzu kilkakrotnie podkreślono, iż w Sigecie spotkali się neofaszyści, a gdy obraz wypełniały trzy setki uroczyste stojących postaci, neofaszyści owi - jak mówił spiker - śpiewali swój hymn. Prawda, stojąc odmawialiśmy *Tatalnostru, Olcze* nasz.. .

Przykład ten dowodzi aktualnej nośności etykietek w sytuacji, gdy Ruchów, można powiedzieć, prawie nie istnieje. A cóż dopiero się działo, gdy rósł w siłę i był siłą, mimo represji w latach 20. i 30., a następnie 40. i 50. Czym i komu aż tak się naraził?

Był ruchem narodowo-prawosławnym, najpierw studenckim, potem ludowym. W znacznym uproszczeniu można go określić pozytywnie - jako kształtowanie charakteru młodego, wierzącego, odpowiedzialnego Rumuna; natomiast negatywnie - jako nakierowanie działań i struktur przeciwko niebezpieczeństwu sowieckiego bolszewizmu, europejskiej masonerii, faszycacji rodzimej władzy, oportunistycznej cerkiewnej hierarchii, itp.

Weźmy przykładowo bolszewizm. W 1919 roku wpływy tej chwytliwej ideologii oraz rosnąca aktywność coraz liczniejszych bolszewików na terenie Mołdawii, zwłaszcza uniwersyteckiego miasta Jassy, z tygodnia na tydzień zagrażały opanowaniem coraz szerszych mas nieuświadomionego prawosławia, a więc obrona tradycyjnej tożsamości wymagała podjęcia natychmiastowej skutecznej kontrakcji i kontrideologii.

Wydawałoby się naturalne poszukiwanie owej ideologii antybolszewickiej w prawosławiu, okazało się to jednak - i wówczas, i później - znacznie mniej oczywiste. Konieczność zaistnienia zupełnie nowego ruchu - ludowego laikatu ortodoksyjnego - wynikała stąd, iż od XIX wieku znamienite prawosławne rody ziemiańskie wysyłały kolejne młode pokolenia na uniwersytety zachodnie, zwłaszcza francuskie, czego o efekcie była a laicyzacja i rosnący wpływ y masonerii. To reszta masoneria była jedną z sił sprawczych powstania po wojnie krymskiej państwa rumuńskiego.

W takich warunkach ten, kto próbowałby zorganizować rumuńskie społeczeństwo - w przytłaczającej większości tradycyjnie, jawnie i spokojnie chrześcijańskie - by przeciwstawić się ideałom dwóch największych rewolucji (paryskiej i petersburskiej), musiał stać się wrogiem publicznym numer jeden. Tym kimś był urodzony w 1899 roku **Corneliu Zelea Codreanu** - założyciel, dusza i Kapitan Legionu Michała Archanioła. W 1938 r. osądzony, skazany na 10 lat więzienia i skrytobójczo zamordowany.

Dla polskiego czytelnika ciekawostką jest niewątpliwie domniemane polskie pochodzenie Codreanu vel Zielińskiego, gorąco kwestionowane przez Rumunów sympatyzujących z Legionem. Przykładem argumentacji, jakże

często fałszywej, może być tu mowa pani Lizety Gheorghiu, obrończyni Codreanu, w ostatnim dniu jego procesu 25 maja 1938 roku. Usiłuje ona oddalić prokuratorskie supozycje o naturalnej skłonności osoby obcego pochodzenia do zdrady narodu rumuńskiego i służenia obcym interesom, zapytując retorycznie, czy publiczna dyskusja nad pochodzeniem Codreanu nie jest kwestionowaniem etnicznej przynależności do wielkiego narodu rumuńskiego takich sław politycznych jak ministrowie Iamandi, Franasovici czy **Cancicov** oraz wojennych, jak generałowie **Górski**, Samsonovici czy **Dombrowski**.

Dziadek Corneliu, Necula **Zelinschi**, czyli według aktu urodzenia Mikołaj Zieliński, był leśnikiem, a więc nazywany go *pedurar*(*padure*/rum./ - las), ale on sam wolał mniej banalne miano *codreanu* (codru /rum./ - puszcza). Ojciec Ion, profesor liceum w Husci, w 1902 roku dokonał zmiany w nazwisku, skracając Zelinschi na Zelea, czym powrócił do rodowego miana, które pani mecenas Gheorghiu wyprowadziła z rumuńskiego słowa *zale* (kolczuga). W takiej kolczudze niegdysiejsi woje, wolni chłopci mołdawscy zwani rezeszami (od węgierskiego rezes), stawali w obronie Bukowiny w okolicach Storożyńca, skąd mieliby się wywodzić Zeljowie vel Zielińscy po narzuconej polonizacji.

Domniemana polonizacja opiera się na niezwykle oryginalnych dziejach tego regionu, autorstwa nie tylko pani mecenas. Jej zdaniem, "pod sławetną polską administracją, w latach 1786-1848, trzy czwarte nazwisk rumuńskich na Bukowinie zostało spolszczonych, i odtąd Pietrar (kamieniarz) był Pietrarski, Andrei (Andrzej) - Andreziuc, ponieważ, widzicie Państwo, skąd się końcówkami nazwisk ruskich i panowie polscy dodawali je do imion rumuńskich bukowińczyków, aby już nie było mowy o Rumunach na Bukowinie, aby można było mówić: ci, co mówią po rumuńsku, nie są Rumunami, bo jakież to oni mają nazwiska: Romanowicz, Jasiński, Zieliński,..."

Powołując się na największy autorytet, Nicolae Iorga (Histoire des Roumains, str.61/62), pani mecenas Gheorghiu przypisuje Polakom "polonizację imion mołdawskich jako część systematycznych prześladowań przeciwko wszystkiemu, co mogło przypominać czasy władców Mołdawian - w administracji, w szkole i w życiu społecznym". Działo się zaś tak dlatego, że "Polacy dążyli za wszelką cenę do likwidacji wiary prawosławnej i do przejścia Rumunów na katolicyzm", co stanowiło m.in. wymóg pracy dla nauczycieli. Drugim celem tych strasznych Polaków było "tępienie języka rumuńskiego, uważanego przez nich za niegodny używania, jak i cygański". Tępienie to - zdaniem pani Gheorghiu oraz historyka Morariu - przybierało zwłaszcza w szkołach formy niespotykanego barbarzyństwa.

Przypominam polskiemu czytelnikowi, iż te przydługie cytaty są fragmentami mowy obrończej na procesie Codreanu-Zielińskiego w maju 1938 roku. Nie wchodząc głębiej w poszukiwanie przyczyn tak rażąco subiektywnego przedstawiania polskiej roli w dziejach regionu, zwrócę uwagę jedynie na rok 1938, kiedy to polscy "panowie" (rumuński pan oznacza wyłącznie polskiego pana) znów zadzierali nosa, uchodząc w ówczesnej Europie za prawą rękę faszystowskich Niemiec. A matka Corneliu była na pewno córką bawarskiego kupca - Braunera...

Cofnijmy się jednak o prawie dwadzieścia lat i oddajmy głos samemu Codreanu:

"Wiosn 19 roku, ze dwudziestu licealistów zebralo si w lesie goruj cym nad Husi, aby dyskutowa powa nie nad tym, co b dziemy robi , gdy wejd bolszewicy. Koledzy podzielali moj opini , i po ewentualnym przezej ciu przez nich Dniestru i Prutu, my si nie podporz dkujemy i pójdziemy do lasu, aby stamt d skutecznymi akcjami ruchu oporu n ka nieprzyjaciela i zarazem podtrzymywa na duchu mieszka ców okolicznych miast i wsi. Zło yli my lubowanie, które odbierał wielowiekowy las, wła ciwie skrawek słynnej puszczy Tigheciului, w którego ost pach wielu nieprzyjaciół Mołdawii znalazło mier .

Choć tacy młodzi, rozumieliśmy y aż nadto dobrze ówczesny chaos spowodowany (...) rosnąc ą atrakcyjności ą rewolucji bolszewickiej i dla robotników i inteligentów, co w połączeniu ze słabością zdeorganizowanego aparatu Państwa kazało w każdej chwili oczekiwać katastrofalnego wybuchu społecznego lub nawałnicy zza Dniestru (...)

Solidne 5-letnie wychowanie wojskowe wszczepione mi w tak młodym wieku w Monastyrz e **Dealului** (...) wyrobiło we mni e poczucie porządku , dyscypliny, hierarchii, godności wojownika oraz wiarę w swoje siły. Na takich fundamentach, do których można dorzucić inne cechy, np. zamiłowanie do milczenia jako przeciwieństwo pustej retoryki i gadulstwa, oparłem całą swoją działalność: wybierając okopy, znienawidziłem salony (...)

Jesienią studiowałem już prawo w Jassach. Poza trzema profesorami, **A.C.Cuza, I.Gavanescu i C. Sumuleanu**, absolutna większość profesorów afiszowała się lewicowością, "światłem ze Wschodu" próbując rozświetlić "mrok nacjonalizmu". Zdeorientowani studenci bądź popierali bolszewizm otwarcie, bądź wyczekiwali ferując sądy typu: "ludzkość idzie na lewo, czas nacjonalistów się skończył". Dwa obozy studentów (...) Lebuszki i Ionescu, z którymi mogłem na początku się utożsamiać, doznały: pierwszy - wykolejenia na lewo, drugi - rozpadu po przegranych wyborach (...)

Zagnieżdżanie się antyrumuńskiej ideologii, wspomagane przez wrogów zjednoczonego państwa , nie napotykało w świecie studenckim na żaden rumuński odpór. Garstka nas próbowała manifestować swoje przekonania, mimo fizycznych nawet oznak wrogości, zwłaszcza ze strony kolegów spod znaku "wolności sumienia", którzy nie dawali nam swobodnie przejść, ani na ulicy, ani przed salą wykładową. Małym pocieszeniem było to, iż jeszcze nas nie atakowano. Mityng za mityngiem gromadził tysiące studentów i tyleż gardłowań przeciwko **Armii, Sprawiedliwoci, Cerkwii i Koronie**, ale z a bolszewizmem. Jedyny nasz Uniwersytet, z tradycją nacjonalistyczną od 1860 roku, stawał się ogniskiem antyrumuńskości.

Ale nie e tylko tam . Mas y robotnicze Jassy w czekały na hasło . W fabrykach prawie nie pracowano. Godzinami obradowały rady, komitety i zgromadzenia. Zaplanowany sabotaż przebiegał według prostego planu u "niszczcie, psujcie maszyny , doprowadzajcie szybciej do nędzy , niech wybuchnie rewolucja"(...)

Niewielu z nas zdawało sobie sprawę, że w tych godzinach decyduje się nasz los, sprawa życia i śmierci narodu rumuńskiego. Nie rozumiała tego ani inteligencja, ani policja, ani służba bezpieczeństwa, ani nawet armia. Nikt nie stawał przeciw już nie tysiącu, a 15,20 i większej, coraz większej liczbie tysięcy rozpalonych głów, coraz lepiej zorganizowanych."

Codreanu zgłasza się do paramilitarnej robotniczej Straży Narodowego Sumienia. W lutym 1920 roku staje na czele setki Strażników, która ma ściągnąć czerwony sztandar z siedziby Zarządu Monopolu Państwowego, wciągnięty o 12.00, na znak przystąpienia do strajku generalnego. Tysiąc zatrudnionych "zrzuciło i podeptało portrety Króla, wieszaj c w zamian Marksa, Trockiego i Rakowskiego (...) Wyra am swoj opini , i trzeba natychmiast - była godzina 13 - tam i i za ka d cen na miejsce tamtego zatkn nasz, rumu ski, trójkolorowy. Moja opcja wygrywa.(...) Rozbijamy grupy komunistów pod zakładem. Wpadamy do głównego budynku, lec z flag na gór , na dach. Stamt d pierwszy raz wygłaszam mow . Na nasz uprzedni telefon zjawia si wojsko, aby pilnowa flagi. Wracamy piewaj c. Wie o naszej udanej akcji lotem błyskawicy obiega całe miasto. Niemniej strajkuj dalej. Wojsko pilnuje flagi, a nie zajmuje si zakładem. Co robimy? Szukamy po całych Jassach wolnej siły roboczej. Po trzech dniach wprowadzamy 400 nowych pracowników do fabryki. Fabryka rusza. Strajk przegrał. Po dwóch tygodniach połowa z tysi ca strajkuj cych składa podanie o ponowne przyj cie do pracy. Zwyci stwo!"

Miesiąc później podobną akcją przeciwko czterem tysiącom strajkującym w ZNTK i pięciu tysiącom uzbrojonych komunistów przeprowadził Codreanu na czele tłumu, który wcześniej na stacji kolejowej załaduje do przechwyconego pociągu. Wekslując go nagle na zwrotnicy wprost na teren ZNTK, zaskoczy strajkujących. Z "flag rumu sk wz bach, wspinam si po elaznej drabince przytwierdzonej do muru. Ledwo daj rad , tak wysoko. Wskakuj na dach, tapi drzewce czerwonego i przy niesamowitym krzyku rzucam go podnosz c w gór trójkolorow flag . Zatkn wszyj , wygłaszam drug moj mow . (...) Moralny wyd wi k tej akcji jest ogromny. Całe miasto o tym mówi. W powietrzu czuje si na nowo odżywianie ducha rumu skiego. (...) Zdajemy sobie spraw , e bolszewizm b dzie pokonany, bo przeciw niemu wzniosła si bariera wiadomo ci.

W tamte wieczory du o dyskutowali my o tym , e nie wystarczy pobi komunistów, robotnikom trzeba chleba i godno ci. **Godno ka dego wynika z godno ci narodu.** Wi c te nie pozwolimy, aby za trójkolorowymi sformułowaniami tyra ska oligarchia dobierała si robotnikom do skóry, szermuj c wielkimi słowami: **Ojczyzna**, której nie kochaj , **Bóg**, w którego nie wierz , **Ko ciół**, do którego nigdy nie zachodz , i **Wojsko**, które wysyłał na wojn z pustymi r koma. Niebawem zaj łem si te organizowaniem robotników w krajowych zwi zkach zawodowych, a nast pnie parti polityczna o nazwie **Socjalizm narodowo-chrze cija ski** (wówczas nie wiedziałem nic o Hitlerze i narodowym socjalizmie germa skim)".

Początek roku akademickiego 1920 wystawia Codreanu na kolejną próbę." *Pierwszy raz w dziejach jasse skiego Uniwersytetu senat obwieszcza uroczyst inauguracj bez duchowie stwa i nabo e stwa. eby zrozumie wag tego ciosu trzeba wiedzie , e przez ponad pół wieku była to nieprzerwanie najpi kniejsza uroczysto uniwersytecka w pełnym gronie senatu, profesorów, studentów, nowo przyj tych i całej elity Jassów. (...) W tak trudnych czasach najznamienitsza szkoła rumu ska ogłasza walk przeciw Bogu, **wydalenie Boga ze szkoły**, z instytucji, z pa stwa. Poza czterema- pi cioma osobami profesura jasse ska przyjmuje z satysfakcj poga sk decyzj senatu, ów krok do przodu nauki rumu skiej na drodze wyzwolenia z barbarzy stwa redniowiecznych przes dów. (...) W o miu studentów chodzili my po wszystkich mo liwych profesorach. Bez skutku. W wigili postanowili my targn si na co straszneho: nie dopu cimy do inauguracji, sił . W dwa dni pó niej, w przepelnionej auli uniwersyteckiej, w obecno ci całego miasta odbywało si nabo e stwo inauguruj ce rok akademicki. Wszyscy mi gratulowali, a ja ju wiedziałem na zawsze, e kto stara si , walczy o Boga i swój naród, cho by sam, nigdy nie b dzie pokonany".*

Ideę krajowej partii politycznej realizuje młody adwokat Codreanu w Jassach, 4 marca 1923 roku, zakładając pod przewodnictwem profesora Cuzy **Lig Obrony Narodowo-Chrześcijańskiej**. Codreanu - móz gi dusz a organizacji - zwołuje n a 22-25 sierpnia pierwszy kongre s przywódcó w studenckich z Bukaresztu, Klużu i Czerniowiec. Dla oddania atmosfery tamtych dni oddajmy głos samemu Codreanu:

"22-go rano, po odebraniu kolejnych delegacji na dworcu, idziemy in corpore na 10.00 do katedry metropolitalnej, na modlitw i parastas (nabożeństwo żałobne) w intencji studentów, którzy oddali w ostatniej wojnie ycie za Ojczyzn . (...) Przed katedr ... andarmi, a drzwi zwi zane ła cuchami. Zdumienie, przera enie: nawet Turcy nie zamykali cerkwi przed modl cymi si ! Kl kamy na rodku ulicy, modlimy si gło no. Przypadkowy pop, widz c kl cz cych podszedł do nas i odczytał stosowne modlitwy.

W milczeniu, przepelnieni bólem, poszliśmy środkiem ulicy w stronę Uniwersytetu, gdzie na 12.00. zaplanowano początek obrad. Na szerokich stopniach uczelni witają nas władze miejskie i uniwersyteckie... w otoczeniu znacznego oddziału policji. Prokurator obwieszcza nam zakaz ministra spraw wewnętrznych odbycia kongresu i wzywa do rozejścia. Podszedłem bliżej i głośno, zdenerwowany, powiedziałem: Panie prokuratorze, wiem ja, wiemy wszyscy, że żyjemy w państwie prawa. Konstytucja gwarantuje nam prawo gromadzenia się, a Pan wie lepiej niż ja, że żaden minister nie może zawiesić naszych praw konstytucyjnych. W imieniu prawa, przeciw któremu nie my, a Pan wykracza, wzywam do odstąpienia od drzwi.

Godzinę temu łańcuchami odebrano nam prawo do modlitwy w naszej świątyni. Teraz barykaduje sie nam wejście do naszego domu, do szkoły. Prowokacja, upokorzenie , deptanie prawa doprowadziło na s do pasji : z determinacją roztrąciliśmy wszystko, co stało nam na drodze, gdzie było trzeba, to i bójką, zajęliśmy siłą Uniwersytet barykadując drzwi wejściowe. Toczącym się obradom towarzyszyła determinacja jednych i strach drugich przed

wkroczeniem wojska do budynku, przed którym rozstawiono regiment: po trzech żołnierzy pod każdym oknem. A przecież wszystko to działo się pierwszy raz, dla każdego z nas.(...)

O 8-jej wieczorem larum i hałas przed budynkiem. Nadchodzą? Tak, ale moi przyjaciele ze Straży, na czele gromady studentów i mieszkańców Jass z workami chleba.

O 9-jej zaczynają się negocjacje z władzami. Chcą wypuścić wszystkich, jeżeli dostaną Codreanu. Studenci odmawiają. O 11-jej proponują wyjście wszystkich trójkami - tak chcą mnie złapać. Akceptujemy.

*Drugiego dnia kongres odbywa si na wzgórzu za miastem, w Monasterze **Cetatuia**, z którego ka dego przychodz cego wida z odległo ci 2 km". Codreanu dostaje się tam w przebraniu, "tak, e nawet koleddy mnie nie rozpoznaj ". Trzeciego dnia przenosz ą się na inne wzgórze, w lesie z a Monastylem Galateia.*

Niebawem Codreanu i całe prezydium Kongresu zostają aresztowani i osadzeni na 6 miesięcy w Vacaresti -monastyrz e zamienionym w więzienie, gdzie oczekują na proces. Zamiast spodziewanego wyroku 5 lat przymusowych robót, proces kończy się uniewinnieniem i triumfalnym powrotem na wolność. W Vacaresti, w cerkwi tego monastyrz-więzienia, codziennie się modlili.

"Vacaresti, cerkiew i ikona stały si osi naszego nowego ycia. Według oryginału zamówiłem kilka kopii. Wielk , na półtora metra długo ci, dałem do cerkwi w. Spirydona, aby potem, 24 czerwca 1927 roku, w w. Jana Chrzyciciela, zawiesi j w zbudowanym przez nas samych Domu Studenta.^...) Tego te dnia, z grupy (byłych wi niów) Vacaresti, o 10-jej wieczorem, powołuj **Legion Michała Archaniola** pod moim przywództwem. Niech do wst pi ten, kto bezgranicznie wierzy. Niech poza nim pozostanie ten, kto ma w tpiwo ci. Szefem Stra y Ikony mianuj Radu Mironowicza. Podpisał: Corneliu Z. Codreanu ...)

Pierwsze posiedzenie Legionu trwało jedną minutę, akurat tyle, abym zdążył przeczytać powyższy rozkaz. Potem wszyscy mieli się rozejść, żeby przemyśleć, czy są na tyle przygotowani duchowo, aby wstąpić do organizacji, której jedynym programem była dotychczasowa walka, moja i towarzyszy.

Najgłębiej stan naszej duszy, podłoże Legionu, określiłbym tak: nie obchodziło nas, czy zwyciężymy, przegramy czy polegniemy. Nasz cel był inny: iść do przodu silni jednością między nami, z Bogiem i Narodem; wówczas każdy los będzie błogosławiony i przyniesie owoce. Są klęski i zgony, które naród pobudzają, i sukcesy, które usypiają. Stanęliśmy murem pod Ikoną wierząc, że im więcej trudności i ciężarów w na nas spadnie, tym bardziej zasłużymy na to, aby być przedłużeniem Jego ramienia i miecza. Ikona nie jest fotografią, a obecnością Żywego, stąd dzień i noc zmieniane straże i zapalone świece.

Kiedyśmy się ę znó w spotkali , opracowują c listow ą wiadomośc ó o zaistnieniu Legionu, okazało się, że tak jak nas było piętnastu bidusów, nie mieliśmy dość pieniędzy, aby złożyć się na koperty i znaczki.(...) Zabierać się do robienia polityki bez grosza?! W wieku wszechmocnej materii, kiedy to nikt niczego najdrobniejszego nie zaczyna bez odpowiedzi na pytanie "ile na

początek?" Bóg chciał ruchu legionowego, gdzie Materia nie odegra żadnej roli. Tym samym chcieliśmy odciąć się od mentalności ogarniającej wiek i świat, który w sobie - można powiedzieć - zabijaliśmy, wznosząc na jego miejsce inny, wyższy, sięgający nieba.(...) Nie kwestionujemy istnienia, sensu i potrzeby materii w świecie, sprzeciwiamy się bezwzględnemu panowaniu złotego cielca nad ludzkim duchem. Zdawaliśmy sobie sprawę, że zniszczenie odwiecznej harmonii ducha poruszającego materię służy diabłu dla odebrania nam istoty człowieczeństwa: wiary, woli, nadziei, odwagi.(...)

Poza brakiem pieniędzy, początki nasze cechował brak racjonalnego programu. Myślą c ta k samo , czują c ta k samo , świadomi e spychaliśm y racjonalizm z pomnika , na który świat zdążył wsadzić swego bożka , aby tronował przeciw Bogu, podczas gdy Jemu przede wszystkim i wymogom życia powinien służyć.(...)

Cztery zasady organizowały zatem początki naszego życia a legionowego: wiara w Boga i w naszą misję, miłość wzajemna i śpiew.(...) Może najbardziej zaskakuje ta ostatnia. Śpiewają ludzie z harmonią w duszy. Nie śpiewa ten, kto idzie kraść i krzywdzić, kto żyje nienawiścią i nieufnością, kto traci czas na konferencje i dyskusje o immanentnych sprzecznościach (...)

Nie autorytet, nie wolno , a miło jest naczeln zasad ruchu legionowego. Miło mediuje między autorytetem a wolno ci . Miło nie doprowadzi nigdy do konfliktu i tyranii, za to doprowadzi na pewno do pokoju w duszy, w narodzie, w wiecie. "Następuje cytata z Pierwszego Listu Św. Pawła do Koryntian oraz przykazanie Codreanu: " *Takie s zasady ruchu legionowego. Nie wiem, jak skuteczniej mógłbym jeszcze zachca Was do kulturowania miło ci, Was, którzy przewodzicie i Was, którym przewodz . Dzi ki niej rozwi ecie najtrudniejsze, nieprzewidziane problemy. Gdzie nie ma miło ci, nie ma ycia legionowego.(...) Jednak e miło nie zwalnia od obowizku dyscyplinyf...)* *Setka ludzi miłuje si jak bracia. Kiedy maj do wykonania jak akcj - sto zda , sto opinii nic nie da. Trzeba dyscypliny. Przyj cia jednej opinii, jednej decyzji najbardziej do wiadzonego - Szefa.*

Są ciężary, które może unieść tylko zjednoczony naród, pod jednym przywództwem. Jakże imbecyl odmówi wówczas dyscypliny w imię "zagrożenia osobowości": kiedy naród jest zagrożony, przyszłość dzieci niepewna, rodzina w rozkładzie (...) on upiera się przy swoim zagrożeniu osobowości. A przecież dyscyplina jest najmniejszą z ofiar, jaką osoba może ponieść wobec wspólnoty. Każda ofiara zaś wywyższa, nie poniża."

Przez siedem lat - od 1927 do 1934 roku - Codreanu przechodził wszystkie stopnie dowódcy legionowego - od gniazda do regionu.

"Gniazdo, filar Legionu, liczy od 3 do 13 osób, nie-członków. Legion nie ma członków, ma gniazdo i szefa. Oby nikt nie starał się być szefem z nominacji. Wyniosą go umiejętności, samo gniazdo uczyni zeń szefa.(...)

Zebrane gniazdo jest w Kościele m . Wstępują c do gniazda , zrzuc zbyteczne odzienie spraw tego świata i godzinę czystego myślenia poświęć Ojczyźnie. Czas posiadzenia gniazda jest czasem ojczyzny, czasem wywołania duchów wszystkich tych, którzy dla niej i dla nas zmarli.(...) Jak najmniej słów

i pustych dyskusji, niech głównie pieśń i modlitwa i milczenie sprzyjają harmonii i wspólnocie ideałów. Niech więc legionista nie wnosi sporów do gniazda; jeżeli ma ochotę się pokłócić, niech poszuka wrogów i do nich niech pójdzie.(...)

Gniazdo jest legionową rodziną opartą na miłości. W "Książeczce Szefa Gniazda" wyznaczyłem tej rodzinie sześć praw - praw, a nie na przykład kaprysów szefa. Są to prawa: **dyscypliny** (na dobre i na złe postępuj za szefa), **pracy** (zapłać coraz silniejszy Legion, kwitnąca coraz bardziej Ojczyzna), **milczenia** (krasomówstwo faktów, które ty kreujesz; niech inni gadają), **wychowania** (bądź ż inny, stań się bohaterem), **samopomocy i honoru.**"

Od przyjęcia takich właśnie zasad zaczynała się męczeńska historia zamordowanego w 1938 roku Kapitan a i jeg o Legionu , którego o ostatnie oddziały walczyły przeciw komunistom w Karpatach do 1964 r.

Na zakończenie chciałbym przytoczyć trzy znamienne świadectwa. Na wiosnę 1938 roku Miron **Costin**, prawosławny patriarcha Rumunii, premier rządu rumuńskiego po d dyktatur ą król a Karol a II , ta k zapowiedział lo s Codreanu księżom , którzy y przyszli i do n z tradycyjnym i życzeniam i wielkanocnymi: *Christos a mwa!*(Chrystus zmartwychwstał): *"Pewien człowiek, w którego yłach nie płynie ani kropla krwi rumu skiej, chce podło y pod nasz dom, pod nasze pa stwo ogie . Lepiej byłoby, aby zgin ł człowiek za naród, ni by naród miał zgin z powodu jednego".*

Nina **Dombrowski**, skazana na dożywocie córka generała , osoba niezwyklego ducha i takiejż pobożności, o poznanych w więzieniu legionistach mówi zawsze z uznaniem:" *zachowywaliklas "*. Znam Nin ę dobrz e i kied y ona tak mówi, to jej jednej wierzę bezwzględnie.

W pewnym momencie znalazłem się w biurze dyrektora archiwów byłej *Securitate*. Na boku leżał y dwa niesamowicie opasłe tomszcza , "biblie w okuciach", jak rzekłem. Dyrektor podał mi obite aluminium dwa tomy *Dziejów Ruchu Legionowego* , niesamowite , kolorowe , staranne i kaligrafowane , wielusetstronicowe dzieło. Dzieło o resocjalizacji legionistów w w strasznym więzieniu w Aiud. *"Polowa zbiorów tutaj to le jonari* - powiedział dyrektor, p o czym dodał : - *Materialna niejeden dobry doktorat*".

Roman Wyborski

INRI

Corneliu Z. Codreanu
Caranica Ion
Belimace Doru

Constantinescu M-lae
Caratânase Ion
Bozântan Iosif
Curcă Ștefan
Pele Ion

State Gr. Ion
Atanasiu Ion
Bogdan Gavrilă
Vlad Radu
Georgescu Ștefan
Trandafir Ion

1938



DZIENNIK WIĘZIENNY

Wielkanoc 1938 - 24 kwietnia

Oczekuję Zmartwychwstania Pańskiego.

Czy poprosić podoficera o świeczkę? Tutaj nie można nigdzie kupić świecy, ale być może ma jedną więcej w domu?

Dwaj oficerowie przyszli do mojej celi tuż przed ostatnim obchodem. W celi, do której przeniesiono mnie wczoraj, nie zapala się lampa. Co za nieszczęście! Przyszli a mi do głowy myśl, że to zły znak... Pierwszy raz w moim życiu będę spędzał Wielkanoc bez światła... W ciemności... Sam...

Ale oficerowie i podoficer, po wielu próbach, zdołali zapalić światło. Przynieśli mi nawet jedną małą woskową świeczkę, którą wręczyli mi jako dowód szczególnej życzliwości.

Podczas kilkuminutowych regularnych inspekcji, dwa lub trzy razy dziennie, nie rozmawiają ze mną. Ani oni nie mają mi nic do powiedzenia, ani ja nic od nich nie chcę. Jedyne słowa, jakie padają, to: "Czy potrzebujecie czegoś?", na co zawsze odpowiadam: "Nie".

Czuję jednak z ich spojrzeń, z ich oczu, że rozumieją moją osobistą tragedię. Zdają sobie również sprawę z powagi wysuniętych przeciwko mnie oskarżeń, z odpowiedzialności, jaką ponoszę, kierując ruchem liczącym blisko milion dusz w momencie, gdy ważą się losy narody, oraz z bólu, który rozrywa mi duszę w obawie o najbliższych i o każdego z setek czy nawet tysięcy Legionistów, którzy w tej chwili znoszą takie same surowe prześladowania.

Rozumieją nawet upokarzającą sytuację, w jakiej się znalazłem, gdyż pozbawienie wolności to jedna sprawa, ale to, co spotyka mnie tutaj, to maksymalne upokorzenie i degradacja istoty ludzkiej.

To, czego nie rozumieją, to być może machinacje i wszystkie diaboliczne plany, które uknuto, aby sprowokować zagładę moją i mojego ruchu (...)

Władze z łatwością uzyskają wyrok skazujący, jednak opinia publiczna może przekonać się, dzięki własnej świadomości, o naszej niewinności.

I nasze męczeństwo dotrze aż do niebios, gdzie Bóg - Najwyższy Sędzia - wysłucha także nas.

Moja dusza umęczona jest przez niesprawiedliwość...

* * *

Znów kładę się na drewnianej pryczy. Czekam na godzinę jedenastą w nocy, kiedy ludzie zaczynają wychodzić do kościoła. Otulam się płaszczem. Nie mogę leżeć na wznak, bolą mnie plecy (...)

Nadchodzi jedenasta. Wstaję. Myję się. Ubieram płaszcz. Siadam na brzegu łóżka i rozmyślam nad samotnością i pustką, jaka mnie otacza.

Sam! Pamiętam : obchodziłem już dwa razy Święta Wielkanocne w więzieniu. W 1925 w Focsani i w 1929 w Galacie. Ale nigdy nie byłem tak przygnębiony, tak pogrążony w bólu i ponurych myślach.

Biorę modlitewnik i zaczynam czytać. Modlę się do Boga za wszystkich. Za moją żonę, pogrążoną w bólu i niepokoju. Za moją matkę, która znów musi znosić prześladowania i złe traktowanie ze strony komisarza policji w Husci; za mojego ojca, który znajduje się w jakiejś innej celi więziennej tej samej nocy . Za moich braci . Później modlę się o z a towarzyszy Legionistów, starszych i młodszych , bohaterów i męczenników w wierze legionowej, wyrwanych ze swych domów i zawleczonych do więzień (...)

Następnie modlę się za zmarłych. Za dziadów i krewnych, za przyjaciół, którzy kochali mnie i pomagali w życiu. Widzę ich , jednego po drugim , wszystkich. Oto Hristache,¹ a oto Ciomett² z grupą Legionistów męczenników, którzy polegli wraz z nim. Przed nimi stoi - widzę to wyraźnie jak na obrazie - wielki, stary, liczący sobie pół tysiąca lat, Stefan książę Mołdawii, z długimi włosami, w koronie na głowie. Modlę się za niego. Pomagał mi w tyłu walkach! A oto nasz Generał,³ ten legendarny bohater, otoczony zastępem męczenników Legionu poległych w ostatnich walkach. A obok Generała, w zielonej koszuli Legionu, stoi Marin⁴, bohater hiszpańskich pół bitewnych.

Motza,⁵ bracie ! Drogi Motza ! Serce mi pęka , gdy cię widzę ! Rozpoczęliśmy razem, piętnaście lat temu, tę walkę. Byliśmy wówczas niemal chłopcami. Widzę cię jak odważnie , bez cienia lęku , stawiasz z czoła a przeciwnościom, jak swoimi stalowymi oczami przeszywasz serca wrogów.

Widzę cię później, przytłoczonego trudnościami i biedą, w kraju, gdzie dla Iona Motzy nie było chleba. Żeby zdobyć w Rumunii ten skromny kawałek chleba, nie wystarczały twoje zdolności i inteligencja - trzeba było mieć jeszcze serce zdrajcy. Widzę cię pracującego z desperacją. Widzę cię odnoszącego sukcesy na egzaminach, w prasie, w adwokaturze, na uczelni. Widzę cię wtrąconego do więzienia . Upokorzonego i pełnego gorczy . Widzę cię przygnębitego, z duszą wyczerpaną tyłoma złośliwymi atakami nieprzyjaciół. Widzę cię drżącego i płaczącego z lęku o mnie. Widzę cię odjeżdżającego na spotkanie śmierci - by wypełnić najwyższy obowiązek wobec Ojczyzny, by wyzwolić się poprzez śmierć , by otworzyć rozdartą pociskami i poranionymi stopami drogę zwycięstwa dla naszego pokolenia.

Spójrz teraz na nas, drogi Motza. Leżę tutaj opuszczony jak pies na tej przycy. Bolać mnie kości i kolana drżą z zimna. Wszyscy nasi towarzysze, kwiat rumuńskiej młodzieży, marnieją w więzieniach.

Panie, modlę się w noc Twego zmartwychwstania, przyjmij moje poświęcenie. Weź moje życie. Gdyż dla Ciebie, dla ziemi ojczystej, nasze siły już nie wystarczają. Chcesz naszej śmierci.

Minęła północ. Być może nawet minęła pierwsza w nocy. Nie słyszałem dzwonów obwieszczających Zmartwychwstanie. Zapaliłem świecę i wyszeptałem: "Chrystus zmartwychwstał!" We wsiach i miastach ludzie wracają do domów z zapalonymi świecami. Wszyscy nasi bliscy, nasze rodziny, płaczą tej nocy...

Środa, 27 kwietnia

Minęły trzy dni Świąt Wielkanocnych. Nikt mnie nie odwiedził. Ani moja żona, ani żaden znajomy... Na pewno nie otrzymali zgody na odwiedzin. Być może także oni zostali aresztowani?...

Czas mija przeraźliwie wolno, kiedy jestem sam. Do mojej celi człowiek nie zagląda częściej niż trzy razy dziennie przez jedną minutę: rano, w południe, kiedy przynoszą mi jedzenie, i wieczorem.

Słońce zagląda tylko przez kilka minut o piątej po południu i to ledwie przez skrawek okna. Spędzam czas klęcząc przy brzegu łóżka i od czasu do czasu pisząc te linijki na zwitku papieru. Nie ma w mojej celi ani stołu, ani krzesła. Kawałek ołówka, znaleziony w kieszeni, kończy się. Ledwie mogę utrzymać go w palcach. Resztę czasu spędzam leżąc przykryty kocem.

Poniedziałek, 6 czerwca

Przez cały dzień jestem sam i rozmawiam, kolejno, z tymi spośród nas, którzy zmarli. Widzę ich tak, jakby byli żywi i stali blisko mnie. Chodzą obok nich po celi, stoją przy moim łóżku. Wielu z nich przeszło przez więzienie w Jilavie: Motza, Marin, Ciumetti, Generał Cantacuzino, Hristache. Są zawsze obok mnie, gdy się modłę, i modlą się wraz ze mną.

Czytam teraz Ewangelię od początku do końca i z perspektywy tylu wieków, z perspektyw dwóch tysięcy lat, widzę Naszego Pana Jezusa Chrystusa opisanego w Ewangelii tak, jakby stał o dziesięć kroków ode mnie. Widzę Go kroczącego powoli razem z apostołami. Widzę jak wznosi ramię, kiedy rozmawia z nimi, jak błogosławi lud. Widzę Go jak leży na ziemi i modli się: "Ojcze, jeśli to możliwe, oddal ode mnie ten kielich gorzkości". Widzę Go pojmanego, jak jest wleczony od Annasza do Kajfasza. Co czuł w swoim sercu podczas tej wędrówki? Jaki ból, jakie niepokoje, jakie straszliwe lęki przeżywał w swym wnętrzu? Jak niezmiernie ciężką próbę musiał przejść! Widzę jak Go biczują, jak został uderzony w twarz podczas przesłuchania przez faryzeuszy i uczonych w Piśmie. Widzę jak próbują zaskoczyć Go podstępными pytaniami, a On milczy i patrzy na wszystkich dokoła. Spogląda im w oczy: być może znajdzie współczucie w którymś spojrzeniu?

Na swoje nieszczęście człowiek potrzebuje spojrzenia przyjaznych oczu. Spojrzenie ciepłe, przyjazne, współczujące, daje siłę. Nic... Wszędzie dokoła jedynie oczy okrutne, pełne nienawiści i fałszu, bezlitosne... Teraz widzę Go jak przygnębiony opuszcza wzrok ku ziemi.

(...) Chrystus zmartwychwstał rozsiewając po całym świecie, aż do końca czasów, ziarno nadziei - nadziei, że nie zostaniemy nigdy zmiażdżeni pod głazem niesprawiedliwości, choćby nie wiem jak ciężki był on dla naszych słabych ciał.

Zmartwychwstaniemy i zwyciężymy.

Chrystus zmartwychwstał rozsiewając nadzieję zmartwychwstania po śmierci, albowiem nasze życie nie kończy się tutaj, po owych przejściowych 60-70 latach, lecz trwa dalej w niebiosach. Spotkamy się tam ponownie z naszymi bliskimi, by nigdy się już nie rozdzielić. Zmartwychwstaniemy po śmierci w imię Chrystusa i tylko przez Chrystusa, gdyż poza wiarą w Chrystusa nikt nie zmartwychwstanie, ani nie będzie zbawiony.

Środa, 15 czerwca

Kiedy skończyłem czytać Ewangelie, zrozumiałem, że jestem tutaj, w więzieniu, z woli Boga. Ponieważ nie popełniłem żadnego przestępstwa z punktu widzenia prawa, Bóg karze mnie za moje grzechy i wystawia na próbę moją wiarę. Jestem teraz spokojny. W mojej udręczonej duszy panował pokój, tak jak wieczorem na wsi, pokój wycisza wszystkie troski, niepokoje i napięcia dnia. Ludzie, ptaki, zwierzęta, drzewa, rośliny, ziemia zaorana przez chłopskie plugi - odpoczywają.

A przecież moja dusza była udręczona!... Podobnie cierpiało moje ciało. Nigdy nie cierpiałem w moim życiu bardziej niż obecnie.

Nie utraciłem Wiary ani Miłości, lecz od pewnego czasu czułem, że zerwała się nić Nadziei.

Udręczony fizycznie jak pies, ubranie przesiąknięte cierpieniem: mija już sześćdziesiąt dni, odkąd śpię w ubraniu, na tych deskach i materacu; sześćdziesiąt dni i sześćdziesiąt nocy, podczas których moje kości nasiąkają wilgocią od ścian i podłogi; od sześćdziesięciu dni nie zamieniłem z nikim słowa, ponieważ nikomu tutaj nie wolno ze mną rozmawiać. W tym czasie została zaatakowana moja postawa moralna, zostałem oskarżony o zdradę, okrzyknięty cudzoziemcem: zarzucono mi, że nie jestem Rumunem ani ze strony ojca, ani ze strony matki; wskazano na mnie jako wroga Państwa; zostałem wystawiony na ciosy z rękoma związanymi na plecach, bez żadnej możliwości obrony.

Z sercem przepełnionym troską i niepokojem na myśl o cierpieniach, zniewagach i prześladowaniach, jakich doznają moi bliscy: rodzina i przyjaciele, czułem jak rwie się jedna z owych trzech niewidzialnych nici, które wiążą chrześcijanina z Chrystusem - Nadzieja. Wszystko jawiło się czarne przed mymi zmęczonymi oczyma. Związałem jednak ponownie tę zerwaną nić, walcząc dzień po dniu. Jak? Czytając cztery Ewangelie. Kiedy skończyłem lekturę, poczułem, że znów posiadam nienaruszone trzy nici: Wiarę, Nadzieję i Miłość.

I teraz, skończywszy czytać Listy Św. Pawła Apostoła, odkryłem ostateczne dowody prawdziwości słów o zmartwychwstaniu Jezusa Chrystusa i Jego mocy jako Zbawiciela (...)

Niemal każdy list Apostoła zaczyna się słowami: "Ja, uwięziony, znajdując się w okowach wiary w Naszego Pana Jezusa Chrystusa".

Im bardziej zagłębiałem się w lekturę listów, dochodziłem do wniosku, że:

I. Nie jesteśmy chrześcijanami, jesteśmy dalecy od tego, by być godnymi miana prawdziwych chrześcijan... Bardzo dalecy!...

II. Chrystianizujemy się pod względem formy, ale dechrystianizujemy pod względem treści, istoty...

III. Ludzkość znosi ów proces dechrystianizacji w ciągu stuleci, aż do naszych czasów, jedynie z niewielkimi odchyleniami w stronę duchowej głębi... Wydaje się, że najbardziej zajmuje świat chrystianizacja powierzchowna...

IV. Charakterystyka naszych czasów: zajmujemy się walką pomiędzy nami a innymi ludźmi, a nie walką pomiędzy zaleceniami i Duchem Świętym a pragnieniami naszej ziemskiej natury; walczymy i pragniemy zwycięstw nad ludźmi, a nie zwycięstw nad szatanem i naszymi grzechami.

Wszyscy wielcy tego świata, wczoraj i dziś: Napoleon, Mussolini, Hitler i inni są przede wszystkim zajęci odnoszeniem zwycięstw ziemskich.

Ruch legionowy stanowi wyjątek, zajmując się - chociaż niewystarczająco - również zwycięstwem ducha chrześcijańskiego w człowieku, mając na uwadze jego zbawienie. Niewystarczająco! Wódz nie powinien nęcić swoich zwolenników perspektywami i przyszłymi zwycięstwami w ziemskich, nie przygotowując ich w tym samym czasie do decydującej walki, w której dusza każdego człowieka może odnieść wieczne zwycięstwo lub ponieść ostateczną klęskę.

V. Wreszcie: brak - przynajmniej u nas - kasty kapłanów, która mogłaby zachować święte ognie pierwszych chrześcijan. Brak szkół i wielkiej chrześcijańskiej dyscypliny i wielkiej chrześcijańskiej wzniosłości.

Piątek, 17 czerwca, wieczorem

Pół godziny temu przyszli adwokaci i powiedzieli, że moja apelacja do najwyższego wojskowego trybunału kasacyjnego została odrzucona. Byli przygnębieni. Rozmawiałem z nimi około kwadrans. Pytałem, jak przebiegała rozprawa. Odpowiedzieli w kilku słowach. Gdy już poszli i wróciłem do swojej celi, usiadłem na brzegu łóżka i modliłem się do Boga, powtarzając słowa modlitwy: "Ojcze Nasz, Panie, niech się dzieje wola Twoja".

Corneliu Zelea Codreanu

[fragmety dziennika więziennego prowadzonego od momentu aresztowania i uwięzienia w Jilavie (19.04.1938) do momentu przeniesienia do więzienia Doftana (19.06.1938)]

tłumaczył: Bogdan Kozieł

¹ - Salomon Hristache - wielki właściciel ziemski z regionu Focsani, współzałożyciel Legionu Michała Archanioła, wspierał organizację finansowo. Pomimo jego podeszłego wieku władze nie oszczędziły mu pobytu w ciężkich więzieniach w Focsani i Jilavie, co zrujnowało mu zdrowie. Zmarł 31 maja 1935 r.

² - Sterie Ciumetti - jeden z założycieli ruchu legionowego, zamordowany przez policję rumuńską 29 grudnia 1933 r.

³ - George Cantacuzino Granicerul - generał, bohater I wojny światowej, jeden z najbliższych współpracowników w Codreanu. W 1937 r. mianowany przewodniczącym partii "Totu I Pentru Tara" (Wszystko dla Ojczyzny), stanowiącej polityczną emanację Legionu. Zmarł jesienią 1937 r.

⁴ - Vasile Marin - prawnik i dziennikarz, członek Gniazda "Axa" skupiającego intelektualistów Legionu. W listopadzie 1936 r. razem z Ionem Motzą i pięcioma innymi Legionistami wyjechał jako ochotnik do Hiszpanii, by walczyć po stronie gen. Franco. Zginął 13 stycznia 1937 r. w walkach pod Majadahonda.

⁵ - Ion Motza - adwokat, dziennikarz, wydawca pisma "Libertatea", najbliższy przyjaciel i współpracownik Codreanu, wspólnie działali jeszcze w ruchu studenckim i zakładali Legion. Razem z Vasile Marinem zginął na froncie hiszpańskim pod Majadahonda 13 stycznia 1937 r.

⁶ - Jilava - słynne z wyjątkowo ciężkich warunków rumuńskie więzienie wojskowe, które od 1933 r. nieustannie niemal zapełniali Legioniści.

⁷ - Ojciec Kapitana, Ion Zelea Codreanu pochodził z polskiej rodziny Zielińskich, natomiast matka, Eliza Brauner, z rodziny pochodzenia niemieckiego.

DARIUSZ SUSKA

POZOSTAŁ PRZYPLÝW, OCZODOŁY MORZA

Pozostał przyplýw, oczodoły morza
i wszystko jak na dłoni, nie do odczytania.
Pozostały laguny podłóg i wodorosty szaf,
wypreparowany z mułu katafalk kredensu.

Niedługo bóg języka zdradzi ostatecznie,
rzeczy odda pleśnion, wilgotnym nostalgiiom.
Kiedyś ład z dobrej strony ściennego zegara,

bąble na asfalcie, rydwany rowerów.
Teraz pływy, odrosty, królestwa **Dez**
znaczeń, szybkie miłości, jeszcze szybsze

sny.

IMPERJALIZM IDEI

Odrodzenie uczuć narodowych w Europie, tak charakterystyczne dla historii XIX-go wieku, zastało Polskę podzieloną przez rozbiorników, niewolną, wyzutą z niezawisłości politycznej. Musiało to zaciężyć na charakterze polskiego patriotyzmu, który stał się szczególnie obronny, defensywny, negatywny. Nasze pieśni narodowe oplatają się około słowa "nie": "Jeszcze Polska **nie** zginęła", "**Nie** rzucim ziemi skąd nasz ród". Ten sam zresztą negatywizm dzwięczy w pieśni Legionów Piłsudskiego "Pierwszej Brygadzie": "**Nie** chcemy już od was uznania". Ba, nawet pojęcie "wolność" woleliśmy sformułować sobie negatywnie: "niepodległość".

Polska poezja i polska pieśń, odwzorowując wiernie rodzaj naszej uczuciowości narodowej, nastrojone są na nutę obrony i ofiary. W czytankach historycznych najulubieńsze postaci, to wielcy obrońcy i wielcy ofiarnicy: Żółkiewski pod Cecora, Kordecki na Jasnej Górze. Literatura nasza najchętniej opiewa bohaterstwo obrończe; pozytywista Sienkiewicz z nie mniejszą pasją uczuciową odmaluje na kartach "Potopu" obronę Częstochowy, niż romantyk Mickiewicz nakreślił płomienne strofy "Reduty Ordona". W ten sam ton uderzy Żeromski w "Dumie o hetmanie".

Ale bo też **obrona** była naczelnym przykazaniem polskości w latach naszej niewoli politycznej. Obrona wiary, obrona języka, obrona obyczaju, obrona - narodowości. W ten sposób polski ruch narodowy, powstały w warunkach nienormalnych, stał się ruchem z programem minimalistycznym. Pojęcie narodu utożsamiało się w nim najczęściej z pojęciem narodowości.

Odbudowanie państwa polskiego wydobyło na jaw te wszystkie skrzywienia i spaczenia w sposobie myślenia narodowego. Dla jednych, pojęcie naród, utożsamiane z pojęciem narodowości, stało się kłopotliwe we własnym państwie. Nie sposób wykroić na mapie państwa, zamieszkałego przez jedną tylko narodowość. Co zrobić z nieuchronną szachownicą narodowościową na kresach? Więc szybka rezygnacja z terminologii narodowej. Nie naród, tylko państwo ma być ideą całkującą. Państwo, czyli pojęcie prawne, sucha forma! Ale jeśli tak, to dlaczego my sami, Polacy, nie chcieliśmy zostać "państwowcami" rosyjskimi, niemieckimi czy austriackimi w czasach zaborów?

Dla drugich pojęcie naród pozostało żywe, ale nieokreślone. Dla tych naród, a nie jego forma prawna, państwo, daje tytuł moralny do sprawowania władzy. Naród, który jest jednością duchową, naród, który dla zapewnienia sobie rozwoju powinien rządzić się egoizmem, stosować eksterminacyjną politykę wobec obcych, znajdujących się na jego terytorium i nie tylko się bronić, ale zdobywać ziemie etnograficznie, czy historycznie polskie, których nie objęły dotąd granice państwa. W tej postawie, pozornie, nie ma już nic defensywnego. Przeciwnie, jest zdobywczość: należy się nam jeszcze Śląsk Opolski, trzeba odwojować Prusy Wschodnie!

I ten program jednak, choć tak ofensywny, gdy go rozsrubować na części składowe, okaże się programem minimalizmu narodowego. Operuje argumentami etnograficznymi i historycznymi, a więc argumentami zasięgu obecnego i niegdysiejszego **narodowo ci**. Jest typowy dla XIX-go wieku, kiedy to naród i narodowość uznawano za jedno i to samo. W swojej zaś ofensywności na terytoriach kresowych, zbliżony jest do pruskiej, bismarckowskiej odmiany dziewiętnastowiecznego nacjonalizmu, łączącej w sobie zasadę narodowościową ze starą germańską pasją *Drangu*, uzasadnioną na nowo teorią egoizmu narodowego.

Zasadzie narodowości zawdzięczają Niemcy zespolenie ziem niemieckich w cesarstwie Hohenzollernów. To zaś stało się bazą, na której oparł się *Drangnach Westen* w r. 1870 i zamierzony *Drangnach Osten* w r. 1914. Ten drugi już się nie udał. Nie można bezkarnie łączyć dwóch sprzecznych zasad. Hasła wolnościowe, którymi rozbrzmiewały księstwa niemieckie czasu "wiosny narodów", znalazły się w wilsonowskiej zasadzie samostanowienia narodów. Z chwilą, gdy każda Łotwa uzyskała niezawasłość państwową, dziewiętnastowieczny - i jeśli go tak można nazwać - narodowościowy nacjonalizm wypowiedział swoje ostatnie słowo. Równocześnie zaś skończyła się możliwość stosowania murzyńskiej etyki pomiędzy narodami. Jeśli moje poczucie narodowe jest najdroższym, co mam na świecie, nie ma takiego dobrego prawa, które pozwoliłoby mi gwałcić to poczucie u innych.

Toteż wielkie powojenne ruchy narodowe, to znaczy te, które chcą być czemś więcej w dziejach świata, niż obroną narodowości i negacją wobec sąsiadów, z innych już wychodzą założeń i szersze sobie stawiają zadania. Naród to coś znacznie więcej, niż narodowość. Naród naprawdę godny tego imienia - to piastun idei cywilizacyjnej, idei przebudowy społecznej, idei o cechach możliwie uniwersalnych. Wiara w taką ideę, wiara w misję, jaką ma się do spełnienia w świecie, wiara w konieczność zdobywania wyznawców - tworzy wielkość narodu i daje mu postawę moralną wobec innych. Rzym starożytny stworzył swą potęgę i choć jako państwo dawno rozsypał się w gruzy, żyje po dziś dzień we wszystkich krajach cywilizacji zachodniej. Taką wiarą powstało chrześcijańskie średniowiecze. Takie poczucie misji cywilizacyjnej pozwoliło Anglosasom zawojować pół świata. Takie napięcie hasel przebudowy społecznej wysunęło Francję na przełomie XVIII-go i XIX-go wieku na czoło Europy. Taką ideę cywilizacyjną widzą hitlerowcy w głosie krwi nordyckiego człowieka. Namiastkę takiej idei pragną sobie stworzyć Włochy faszystowskie w nawiązywaniu do rzymskich tradycji. Wokoło takiego wreszcie gigantycznego programu przebudowy społecznej tworzy się na terytorium wielojęzycznego imperjum radzieckiego nowy naród sowiecki.

My zaś? My, wtłoczeni pomiędzy Rosję sowiecką a hitlerowskie Niemcy radujemy się papierowymi sukcesami naszej dyplomacji i paktami o nieagresji. Mocarstwowe stanowisko! "A widzisz, panie dziejski, jak Niemaszki spokorniały? O korytarzu, Śląsku i Pomorzu już ani mru, mru". Tak, jakby Niemcom, przygotowującym grunt pod wielkie imperjum nordyckie, mogło zależeć na takich drobiazgach, gdy rzecz idzie o pobicie ideowe całej Polski. "A, panie dziku, te bolszewiki, co? Jakie to grzeczne teraz, jakie układne. Ho,

ho!" Tak, jakby Sowietom obecna sytuacja nie stwarzała najlepszej okazji do infiltracji propagandowej, stokroć większe mającej znaczenie, od wszelkich innych sukcesów. Jeśli zaś już sowiecka i hitlerowska taktyka zaczynają w tym i owym budzić wątpliwości i podejrzenia ("może się przyczaili do wojny?") - to odpowiedź jest gotowa: "Nie damy się! Będziemy się bronić!"

Tak, będziemy się **broni** . Znowu bronić wiary, języka, obyczaju, broń - narodowości. I prawa do władania narodowościami "mniejszościowymi", które dla zaokrąglenia terytorjum państwowego są nam niezbędne. W razie czego nawet zaatakujemy. Przecież należy się nam jeszcze Śląsk Opolski, trzeba odwojować Prusy Wschodnie, a i Mińsk oddaliśmy zupełnie niepotrzebnie...

Niepoprawni minimaliści! Śląsk Opolski, Prusy Wschodnie, Mińsk - i ten złoty, z którego jesteście tacy dumni, że ani drgnie, i ta stabilizacja, i ta cała mocarstowość bankietowa - to drobiazgi. Trzeba mieć, do licha, większe ambicje. Trzeba mieć ambicję wyjścia na świat z wielką ideą, godną wielkiego narodu. Trzeba mieć ambicję obliczoną nie w setkach kilometrów kwadratowych - ale mierzącą się powierzchnią kuli ziemskiej. Trzeba mieć ambicję stania się ośrodkiem przebudowy, stworzenia takiego wkładu w strukturę cywilizacyjną ludzkości, który by pozostał i wtedy, po długich wiekach, kiedy Polski może nie będzie, ale zostanie cywilizacja polska. Jak dziś żyje cywilizacja rzymska i nasza papuzia duma z wasalstwa wobec niej.

Te światoburcze hasła - to ani megalomanja narodowa, ani utopijne fantazjowanie. To po prostu poczucie rzeczywistości. Właśnie my, w Polsce, w tej szerokości i długości geograficznej, mamy największe szanse. Właśnie między uwikłanym w kapitalistyczny spadek wielkiego przemysłu hitleryzmem, a samobójczo wznoszącym ostatnie, upaństwowione bastiony gospodarki wielkoprzemysłowej bolszewizmem. Niech kończą epokę mechanistycznej produkcji kapitalistycznej, ogłupiającej człowieka i zmieniającej go w niewolnika. My zaczniemy epokę nową, epokę człowieka pełnego, człowieka twórczego w zdekoncentrowanym ustroju gospodarczym. Trzeba na to tylko odwagi. Odwagi nieobawiania się śmieszności, odwagi drwienia z ponurych wypowiedzi ekonomistów, odwagi przewyciężenia oporu nadętych poczuciem odpowiedzialności wygodnisiów, lękających się własnego cienia. Nade wszystko zaś odwagi samodzielnego myślenia, odwagi żelaznej konsekwencji, odwagi wiary w odległe cele.

I wiary w Polskę.

Wiary takiej, jaką zamknął Wojciech Bąk, nieodrodny przedstawiciel młodego pokolenia, w końcowej strofie przepięknego wiersza "Ojczyzna - syn":
"Wołam: Wyżej!

O, nie matko, przed którą musiałbym uklęknąć,

Ale synu,

który musisz wysoko nademną wyrosnąć!"

Stanisław Piasecki

Przedruk za: Stanisław Piasecki "Prawo do twórczości", wyd. przez "Prosto z mostu", Warszawa 1936



PRAWO DO WIELKOŚCI

Kim był Stanisław Piasecki? Dla jednych „odnowicielem szkół literackich w Polsce”, utalentowanym publicystą i krytykiem literackim, twórcą i redaktorem „Prosto z mostu”, jednego z największych pism literackich II Rzeczypospolitej, słowem jednym z tych, którzy wytyczali szlaki literaturze polskiej lat 30. Dla innych, znacznie liczniejszych, Piasecki był groźnym faszystą i antysemitą, zażartym wrogiem lewicy, wreszcie cynicznym łowcą dusz młodych pisarzy. Gombrowicz dorzucał do tego portretu tępotę i wulgarność, podobnie jak Miłosz, który całkiem niedawno przestrzegał młodych Polaków przed fascynacją Piaseckim. Dorobek twórcy „Prosto z mostu” był dla niego jaskrawym przykładem degrengolady, jaka staje się udziałem tych, którzy piszą o literaturze używając słowa „naród” pisanego do dużej litery...

Urodził się we Lwowie w 1900 roku. Pochodził ze znakomitej rodziny. Jego dziadek, Wenanty, był pionierem wychowania fizycznego w Polsce, znanym lekarzem, taternikiem, właścicielem słynnego zakopiańskiego sanatorium „Klemensówka”. Ojciec Stanisława, Eugeniusz, również lekarz, był profesorem wychowania fizycznego i higieny na Uniwersytecie Poznańskim, a jego osiągnięcia w tej dziedzinie były tak wybitne, że w 1938 wysunięto jego kandydaturę do Nagrody Nobla w dziedzinie medycyny. Eugeniusz Piasecki był także jednym z twórców polskiego skautingu, autorem słowa „harcerz”.

Rodzinnie Stanisław Piasecki zawdzięczał znakomite wykształcenie, zamiłowanie do sztuki, miłość do gór (był zamiłowanym taternikiem), wreszcie głęboki patriotyzm. W 1920 uczestniczył w wojnie z bolszewikami. Rok później brał udział w trzecim powstaniu śląskim.

Studia ukończył w 1925 na Uniwersytecie Wileńskim jako magister ekonomii. W tym też czasie zbliżył się do środowisk młodzieży endeckiej. Rozpoczął współpracę z prasą narodową okazując duży talent dziennikarski i publicystyczny. Próbował też swego pióra jako autor powieści publikując w 1929 sensacyjny „Związek Białej Tarczy”. W 1931 Piasecki zaczął redagować bardzo ciekawy dodatek literacko-artystyczny do dziennika „ABC”, który w 1935 przekształcił się w samodzielny tygodnik „Prosto z mostu”. „Prosto z mostu” było jednym z najważniejszych pism literackich Polski lat 30. Drukowali w nim tak znakomici pisarze jak J. Mosdorf, J. Andrzejewski, K.I. Gałczyński, B. Miciński, A. Laszowski, W. Pietrzak, Cz. Straszewicz, W. Wasiułyński, A. Mikułowski, K. Regamey, J. Pietrkiewicz, K. Zbyszewski. Swoją nazwę tygodnik odziedziczył po tytule zbioru szkiców Piaseckiego opublikowanych w 1934. Jego następną i zarazem ostatnią książką publicystyczną, „Prawo do twórczości”, została wydana w 1936.

Twórca „bruLionu”, Robert Tekieli, powiedział kiedyś, że w XX wieku twórcą kultury jest przede wszystkim redaktor. Zapewne z tą myślą zgodziłby się w dużej mierze także Piasecki, dla którego „Prosto z mostu” było przedłużeniem walki jaką toczył jako publicysta i krytyk literacki, nowym sposobem wyrażania myśli, a więc swoistą i być może jego najważniejszą książką.

Myślenie autora "Prawa do twórczości" kształtowało się w opozycji wobec ideałów „głupiego” wieku XIX. Piasecki uznawał za anachroniczną i zarazem śmiertelnie niebezpieczną wiarę w mechanistyczną i deterministyczną strukturę świata, którą wyznawał wiek XIX opierając się na Newtonie, Marksie i Darwinie. Chwalcom tej wiary Piasecki prezentował "Nowy wspaniały świat" Huxleya, "Nowe średniowiecze" Bierdajewa oraz "Nowy świat fizyki" Jeansa, czyli książki przedstawiające anachronizm pozytywistycznej, racjonalistycznej wizji świata. Na marginesie "Nieba w płomieniach" Paradowskiego, którego młody bohater dojrzewa poprzez negację religii, Piasecki zauważał: „Jakże dziś daleko jesteśmy od tej epoki, obskuranckiej epoki, w której jednostronne i kruche hipotezy naukowe przyjmowano za dogmaty, a równocześnie z lekkim sercem odrzucano prawdy objawione. Jakże trudno nam zrozumieć czasy, w których cząstkowe i niedoprowadzone do końca odkrycia prawd fizycznych zdolne były obalać w mniemaniu każdego inteligenta prawdy wieczne."

Wiek XIX i jego XX-wiecznych kontynuatorów Piasecki oskarżał o zbrodnię duchowego zubożenia człowieka. Oderwani od wartości transcendentnych współcześni ludzie stali się wykorzenionymi nomadami, koczownikami, wólcęgami nie umiejącymi troszczyć się o zastany świat, odzegnującymi się od brania zań odpowiedzialności i nie potrafiącymi stworzyć nieczego trwałego. Współczesny człowiek stał się akulturalnym barbarzyńcą. „Twórczość z samej swej istoty jest aktem przekazywania siebie następnym pokoleniom - podkreślał Piasecki. - Człowiek z psychiką przechodnia nie dba o to. Pasjonować to może tylko człowieka osiadłego. (...) Cywilizacja tworzy się pospólnie, społecznie, z pokolenia na pokolenie. Jej warunkiem nieodzownym jest o s i a - d ł o ś ć tych, co ją tworzą. Cywilizacje koczownicze, cygańskie są kalekie lub karłowate. Brak im trwałości uprawy na tej samej glebie, w ciągłym przeschecpianiu i flancowaniu wątleją, marnieją jak rośliny doniczkowe. Nie czerpią soków z ziemi."

Współczesność, jego zdaniem, pozbawiła człowieka prawa do twórczości, zdehumanizowała ludzką pracę. Autor "Prosto z mostu" zauważał, że „praca większości ludzi w ustroju wielkoprzemysłowym straciła swój dawny charakter wyładowywania instynktu twórczego, tego instynktu, który odróżnia człowieka od zwierzęcia, tego instynktu, który jest iskrą Bożą w ludzkiej duszy". Twórczość, kreację zastąpił kult produkcji, produkcjonizm. Hasłem tego ostatniego, zauważał, stała się moda, snobistyczny kult nowości, który uniemożliwia współczesnym nawiązać trwałe stosunek z twórczością poprzedników, utrwalając tym samym konsumpcyjny, koczowniczy właśnie stosunek wobec kultury i rzeczywistości.

Konsekwencją takiego nietwórczego, rekreacyjnego traktowania kultury musiała nieuchronnie być jej marność, powierzchowność, doraźność i wtórność. Piasecki podpisywał się pod głośnym twierdzeniem Irzykowskiego o plagiatowym charakterze przełomów literackich okresu 20-lecia międzywojennego. Niepodległość dla polskich artystów oznaczała wolność do kopiowania i naśladowania tego, co działo się w ówczesnej Europie. Wołając o kulturę narodową w Polsce, Piasecki apelował do artystów o oryginalność, o świadomość swoich kreacyjnych zobowiązań i rzetelność - artystyczną i etyczną.

Bezstylowości kultury XIX-wiecznej i wtórności sztuki II Rzeczypospolitej Piasecki przeciwstawiał ambicję stworzenia kultury polskiej, mającej własny styl i "mocny charakter".

Kultura z charakterem? Dla Piaseckiego oznaczało to przede wszystkim kulturę ideową. Jego ostry sprzeciw budziły stanowiska, które traktowały kulturę immanentnie, szukając w niej samej sankcji dla swego istnienia. Stanowisku immanentnemu (klerkizm, „inteligencjonizm”, estetyzm, formalizm) przeciwstawiał transcendentale rozumienie kultury. Sens (i wielkość) nadaje jej związek ze współczesnością, zakorzenienie w wartościach moralnych oraz religijnych. Nie wystarczy mieć talent, „być na poziomie”. Pisarz musi być człowiekiem głęboko moralnym, mieć charakter, a to oznacza, że nie może uchylać się od wyrażania myśli i uczuć nurtujących jego współczesność. Nie ma literatury ponad swoim czasem, nie ma pisarzy ponad epokami.

Piasecki postrzegał kulturę integralnie: „Dzieła sztuki nie można traktować in abstracto, w oderwaniu od twórcy, od narodu, który go wydał. Zjawiska kulturalne musi się traktować całościowo. Wtedy nabierają właściwego sensu.” Stąd niezwykle charakterystyczne dla jego myślenia o sztuce stwierdzenie, że „(...) dzieło nie jest i nie może być przecież niczym innym, jak wypowiedaniem siebie. Nie może marny człowiek, który programowo pozwala sobie na marność, być wielkim artystą/Ściślelej: nie może człowiek, który programowo pozwala sobie na marność, być wielkim pisarzem. Bo może oczywiście być wielkim człowiekiem grzeszny, walczący z grzechem - ludzi bezgrzesznych nie ma: świętość jest nieustanną walką z grzechem. W walce zaś wypowiada się charakter. (...) Tę szkołę charakterów musi stworzyć nadchodząca epoka, musi postawić zasadę, że między twórczością a życiem twórcy zachodzi ściśły związek, że nie tylko tworzyć trzeba pięknie, ale i żyć trzeba pięknie, że życie osobiste artysty jest równie ważne jak jego sztuka. Jeśli zaś źródła będą zatrute - to i sztuka taka sama.”

Tworząc dorastamy więc do wielkości i świętości. W głośnej polemice z "Ferdynurke" Gombrowicza bronił prawa człowieka do maski-ideału i atakował nurt ekshibicjonistyczny w literaturze współczesnej, nurt widzący w ludzkiej kulturze fałszywą, cyniczną gębę.

Stąd też brało się przekonanie Piaseckiego, że nie ma wielkiej sztuki w społeczeństwie przeżartym „produkcyjnym”, biernym stosunkiem wobec świata. Od kulturowej „atmosfery”, w jakiej na codzień żyjemy, zależy styl poe-
dynczego wiersza i opowiadania.

Autor "Prosto z mostu" bardzo krytycznie oceniał atmosferę kulturalną w II Rzeczypospolitej. Raziła go jej lekkomyślność, jej kabaretowy, „kawiarniany” (bez)charakter. Krytykował towarzyski, nierzetelny i bezideowy charakter kryteriów rządzących ówczesną kulturą. Z drugiej strony był świadom tego, że w polskim życiu intelektualnym lat 30. rozpoczynał się czas wielkich przewartościowań. Oto pojawiało się nowe, młode pokolenie gwałtownie odrzucające sceptycyzm, liberalizm i kosmopolityzm starszej generacji symbolizowanej przez środowisko „Wiadomości Literackich”. Jak pisał Wasiutyński, w połowie lat 30. nastąpiło zjawisko nie wyłącznie polskie, ale najsilniej zaakcentowane w Polsce, to jest odrodzenie katolicyzmu wśród wykształconej młodzieży. Modny stał się Bierdajew, Chesterton, Eliot, św. Tomasz z Akwinu, Maritain... Podobnie było w innych krajach katolickich, we Francji, Włoszech, Hiszpanii. Rodziła się reakcja przeciw ateizmowi i materializmowi, które osiągnęły apogeum w bolszewiźmie. Zaczęło się poszukiwanie wartości duchowych i nawiązywanie do starszej tradycji narodowej. W Polsce zwrot ku religii był także wyrazem tego, co określa się dziś jako poszukiwanie tożsamości. Stąd fascynacja Dmowskim, Popławskim, Wyspiańskim, Brzozowskim, odkrywanie mitu polskiej wielkości i oryginalności w tradycji barokowej, piastowskiej czy nawet prasłowiańskiej...

To właśnie dla tych młodych inteligentów, studentów, gimnazjalistów, często pochodzących z dalekiej prowincji Piasecki otwierał „Prosto z mostu”. Regionalizm tygodnika był wyrazem przekonania, że uniwersalizm kultury europejskiej wyrósł z głębokiego poszanowania kultur narodowych. Był też wyrazem dążeń do demonopolizacji polskiej kultury y zcentralizowanej przez Warszawę.

Tygodnik Piaseckiego bardzo radykalnie kontestował ówczesne autorytety. Najwięcej rozgłosu, ale też i szkód, przyniosły pismu rozmaite, mniej lub bardziej otwarte teksty antyżydowskie, które po części były bardzo wygodną i efektowną bronią w walce ze „starymi” pisarzami z kręgu „Wiadomości Literackich”, pisma - jak przypominał ostatnio Miłosz - bardzo popularnego wśród inteligencji polskiej pochodzenia żydowskiego. Te ataki nabierały jednak niebezpiecznej dosłowności na tle antyżydowskiej histerii w III Rzeszy. Nawet jednak bez tego kontekstu trudno byłoby wytłumaczyć dzisiaj redaktora „Prosto z mostu” ze zgody (on sam takich tekstów nie pisywał) na druk po prostu głupich tekstów np. o Leśmianie czy Brzechwie.

Znacznie bardziej interesujące wydają się próby Piaseckiego, jak i innych ludzi z kręgu „Prosto z mostu” (zwłaszcza Jana Mosdorfa i Wojciecha Wasiutyńskiego) zdefiniowania narodowego czy nacjonalistycznego charakteru polskiej kultury. Piasecki przystając na to, by jego światopogląd określać

słowem „nacjonalizm”, dodawał zaraz: „(...) tylko proszę zapomnieć o jego końcówce «izm». Znaczy ono bardziej po prostu: miłość ojczyzny. To nie jest słowo stwierdzające pewną doktrynę, to słowo stwierdzające pewien stan oczywisty i odwieczny: związek człowieka z ojczyzną.” Autor "Prawa do twórczości" podkreślał, że w jego przekonaniu nacjonalizm jest czymś więcej niż tylko obroną narodowości czy - tym bardziej - szowinistyczną negacją prawa innych narodów do samodzielnego istnienia. „Naród - podkreślał - to coś znacznie więcej niż narodowość. Naród naprawdę godny tego imienia to piastun idei cywilizacyjnej, idei przebudowy społecznej, idei o cechach możliwie uniwersalnych. Wiara w taką ideę, jaką się ma do spełnienia w świecie, wiara w konieczność zdobywania wyznawców - tworzy wielkość narodu i daje mu moralną postawę wobec innych.”

Piaseckiemu chodziło oczywiście o wielkość Polski. Na czym miała ona polegać? Przede wszystkim na szczególnej misji przeciwstawienia się materialistycznemu dziedzictwu XIX wieku, którego historycznymi emanacjami były w jego przekonaniu hitleryzm i komunizm. „Coraz powszechniejsza - pisał - staje się w narodzie świadomość, że właśnie nam, tu, w tym miejscu Europy, pomiędzy imperializmem materialistycznego bolszewizmu, a imperializmem materialistycznego rasizmu niemieckiego przypada w udziale wielka misja dziejowa. Że problem naszego istnienia nie wygląda: z Niemcami przeciw Rosji, ani: z Rosją przeciw Niemcom, bo obie te koncepcyjki szachowe oznaczają likwidację Polski jako narodu, jako odrębności duchowej i cywilizacyjnej. Że musimy stawić czoła i jednemu i drugiemu imperializmowi równocześnie. Że musimy zbudować potęgę trzecią, która tamtym, materialistycznym światopoglądom przeciwstawi swój idealistyczny pogląd na świat. I skupić wokół niego wszystkich, którzy pomiędzy morzem Bałtyckim a Czarnym i Śródziemnym tak samo czują, jak my, a są słabi i rozbiści”.

Piasecki wiedział, że niepodległość Polski zależy od tego, czy Polacy potrafią sprostać tej misji. A to oznaczało bardzo wiele, bo stworzenie nowej epoki w dziejach ludzkości. Polska musiałaby stać się swoistym centrum nowego typu cywilizacji duchowej promieniującej na całą Europę. Jej ustrój miał pogodzić zaspokajanie potrzeb materialnych i duchowych człowieka, zerwać z podziałem na konieczność i przyjemność, przywrócić pracy ludzkiej charakter twórczy i zapewnić każdemu człowiekowi największe dobro: rozkosz twórczenia. Walka, którą w przekonaniu Piaseckiego toczył ówczesny nacjonalizm polski, była walką o upowszechnienie kultury pojmovanej nie jako świąteczny wypoczynek po oglupiającej pracy, ale jako zasadę samej pracy, która zarazem była walką o wyższy typ duchowy społeczności, wychowując człowieka twórczego, kreatora.

Aby takie zadanie spełnić, Polacy winni czynnie ustosunkować się do wiary i etyki katolickiej. „W ruchu katolickim, który chce świat zdobywać, nie będzie miejsca na biernych, wygodnych i lękliwych - przypominał Piasecki. - Utrwalić się musi typ psychiczny, wzorowany na świętości czynnej.” W pełni akceptował słowa ks. Kardynała Hlonda, że katolicy powinni stać się rewolucjonistami Bożymi, że „z walk duchowych wieku dwudziestego wyrósł powinien nowy człowiek, z człowieczeństwem nieskaleczonym, z człowieczeństwem

uporządkowanym, człowiek pełny, wolny, z inicjatywą, z obowiązkami i prawami, złączony ze swym Stwórcą i ze stworzonym światem, złączony ze swym Odkupicielem i Jego prawem, złączony z Duchem Świętym i Jego łaską. A więc nie mechaniczny, bezduszny robot w zamienionym na fabrykę świecie techniki, lecz prawdziwy władca świata, pan samego siebie, a sługa boży."

Po wybuchu wojny Piasecki - dotychczas nie należący do żadnej partii - wstąpił do konspiracyjnego Stronnictwa Narodowego i rozpoczął redagować jego organ, „Walkę”. Założył też kawiarnię, w której pracowali dotychczasowi współpracownicy „Prosto z mostu”. W nocy z 3 na 4 grudnia 1940 pisarz został aresztowany przez Gestapo. Po ciężkim śledztwie na Pawiaku został rozstrzelany 12 czerwca 1941 w Palmirach.

W walce wypowiada się charakter. Między twórczością a życiem twórcy zachodzi ścisły związek. Nie tylko tworzyć trzeba pięknie, ale i żyć i umierać trzeba pięknie. Tę szkołę charakterów musi stworzyć nadchodząca epoka...

Maciej Urbanowski

DLA POLSKI

Generał Sowiński stracił dla Polski nogę
Walery Sławek stracił dla Polski oko
Aleksander Kwaśniewski stracił dla Polski 10 kilo

Paweł Dunin-Wąsowicz (95 kg)



**CUDOWNY
APARAT
LECZĄCY!**

Różaniec!

...leczy z: namiętności, samogwałtu, skłonności samobójczych, głębokich depresji, schizofrenii, sodomii, hysterii,

800 lat tradycji.

decepcji, obsesji, paranoi... W modlitwie różańcowej rozważamy 15 tajemnic z życia Jezusa Chrystusa.

prosty w użyciu.

Przy każdej z nich odmawiamy 1 raz "Ojcze nasz", 10 razy "Zdrowśś Maryjo" i na koniec "Chwała Ojcu".

zawsze skuteczny.

PIJAK I STRAŻNIK

Idea mesjanizmu narodowego powstać mogła tylko na gruncie kultury biblijnej. Izrael, do którego odnoszą się obietnice Boga, jest zarówno pojedynczym człowiekiem (Jakubem), jak i całym narodem (Żydami). Zapowiedzi, które odnosily się do jednego, dotyczyły także drugiego. Zarówno teksty starohebrajskie, jak i chrześcijańskie pisma patrystyczne traktowały dzieje Narodu Wybranego jako uniwersalną figurę, w której odnajdywać się mogła tak wspólnota, jak i jednostka. Przykładowo więc kult złotego cielca pod górą Synaj był obrazem odstępstwa od Boga zarówno w wymiarze zbiorowym, jak też indywidualnym. Pojedynczy Żyd czy chrześcijanin mógł odnajdywać swe osobiste losy w perypetiach narodu, którego dzieje były historią ciągłych odwrótów od Boga i nawróceń do Niego.

Człowiek, od którego imienia cały naród wziął swoją nazwę, został wybrany przez Boga. Jahwe powiedział mu: *"Imi twe jest Jakub, ale od teraz nie będziesz zwa Jakubem, lecz będziesz miał imię Izrael"* (Rdz. 35,10). Nie był on wcale wzorem cnót i uczciwości. Wręcz przeciwnie: był chytry i podstępny. Używając fortelu oszukał swego ojca i wydziedziczył brata. Czytelnik Biblii nie ma żadnych złudzeń co do moralności Jakuba, ale to właśnie ten Jakub został przez Boga wybrany. Został zaś wybrany nie dla swoich szczególnych cnót czy zasług, ale dlatego, że "tak spodobało się Bogu". Wybraństwo nie jest więc w żadnym wypadku zasługą człowieka (nie ma zatem powodu, by wbijało go w pychę), jest natomiast arbitralnym wyborem Boga (i jako takie powinno być traktowane jako zadanie do spełnienia). Wybrany jest się bowiem nie dla samego faktu wybrania, ale dla wypełnienia jakiejś misji, przeznaczenia. I tak Izrael został Narodem Wybrany po to, aby mógł zeń wyjść Zbawiciel. Być wybranym oznacza więc wypełniać wolę Bożą.

Zauważmy jak odbiera sens wybraństwa hiszpański myśliciel José Ortega y Gasset. W swoim najgłośniejszym dziele, "Buncie mas" pisze: *"człowiek wybrany to nie kto butny i bezczelny uważający się za lepszego od innych, lecz ten, który wymaga od siebie więcej niż inni, nawet jeżeli nie udaje mu się samemu tych wymagań zaspokoić. Nie ulega w twój sposób, a to właśnie jest najbardziej podstawowym kryterium podziału ludzkość na dwa typy osobników: tych, którzy stawiają sobie duże wymagania, przyjmują na siebie obowiązek i narażają się na niebezpieczeństwo, i tych, którzy nie stawiają sobie żadnych specjalnych wymagań, dla których to pozostawa takim, jakim się jest, bez podejmowania jakiegokolwiek wysiłku w celu samodoskonalenia, to płyną przez życie jak boja poddająca się zmiennym prądom morskim"*.

Gdy mowa o wybraństwie, to dla katolików absolutnie podstawowe musi być stwierdzenie, że każdy człowiek jest przeznaczony do świętości, do zbawienia i do życia wiecznego. Każdy jest przez Boga wybrany, nie każdy jednak to wybranie przyjmuje. Człowiek, obdarzony wolną wolą, może powie-

dzień "nie" swojemu Stwórcy, a zarazem swojemu przeznaczeniu. Jeśli jednak zaufa, uwierzy i powie "tak", wówczas jego misja staje się bardziej konkretna. Pisze o tym szczegółowo św. Paweł w I Liście do Koryntian, kiedy podaje przykłady różnych funkcji, jakie mają do spełnienia wierni w Kościele. Zaznacza on wyraźnie, że choć funkcje te są rozmaite, to ich źródło pozostaje jedno: *"Ró ne s dary łaski, lecz ten sam Duch; ró ne te s rodzaje posługiwania, ale jeden Pan, ró ne s wreszcie działania, lecz ten sam Bóg, sprawca wszystkiego we wszystkich"*(1 Kor . 12 , 4-6) .

Zarówno Żydzi, jak i chrześcijanie zgodni są co do tego, że świat stworzony przez Boga jest uporządkowany i celowo ukierunkowany. Wszystko, co istnieje, ma swoje miejsce w Boskim planie zbawienia. Jaką rolę wobec tego odgrywają w tym planie narody?

W świetle Biblii twórcą wszystkich narodów jest Bóg. Mówi o tym historia wieży Babel. Kiedy na skutek pychy ludzkość próbuje przekroczyć przyrodzoną sobie kondycję i usiłuje dorównać Bogu, budując wieżę sięgającą nieba, następuje interwencja Najwyższego. Bóg czyni dwie rzeczy. Po pierwsze - miesza ludziami języki (d o tej por y posługiwali się jedną mową) , p o drugie - rozprasza ich po całej ziemi (do tej pory skupieni byli w jednym miejscu). Daje to początek różnicom między narodami. Bóg uznaje, że istnienie tych różnic będzie dla ludzi korzystniejsze niż jedność oparta na pysze i nierealnych ambicjach.

Jeżeli więc wszystko, co istnieje, ma swoje określone miejsce w Boskim planie zbawienia, oraz jeżeli to Boska interwencja przyczyniła się do powstania narodów - to logiczną konsekwencją takiego myślenia musi być uznanie, że w istnieniu narodów tkwi jakaś celowość zamierzona przez Boga.

Współczesna myśl polityczna może uznać podobne twierdzenia za wariackie. Nie może jednak zaprzeczyć, że o tym właśnie mówił Jan Paweł II, kiedy występując w roku 1995 na forum ONZ, charakteryzował podstawową wspólnotę łączącą wszystkie kultury i narody: *"ró ne kultury s jedynie ró ny mi odpowiedziami na pytanie o znaczenie ludzkiej egzystencji. I wła nie tu odnajdujemy ró dło szacunku, jaki nale y si ka dej kulturze i ka demu narodowi; ka da kultura to próba przenikni cia tajemnicy wiata, a zwłaszcza osoby ludzkiej, ka da jest form wyra enia ponadczasowego wymiaru ycia ludzkiego. W sercu ka dej kultury jest jej stosunek do najwi kszej z tajemnic: tajemnicy Boga. Nasz szacunek dla cudzej kultury jest zatem zakorzeniony w naszym szacunku dla próby, jak podejmuje ka da wspólnota, by odpowiedzie na pytanie o ycie ludzkie"*.

W tym ujęciu narodowość jest zarazem dana, jak i zadana. Różnorodność kultur jest świadectwem różnych wyzwań, predyspozycji i zadań poszczególnych narodów. Wybrany jest więc każdy naród, ale każdy ma inną misję do spełnienia. Tak rozumiany mesjanizm jest nie tylko przeciwieństwem nacjonalizmu, ale postuluje pewien uniwersalny ład, który zakłada wzajemną współpracę i duchowe wzbogacanie się narodów.

Warto wspomnieć, że taka właśnie idea - uniwersalna, a zarazem narodowa - reprezentowana była podczas II wojny światowej przez twórców związanych z pismem "Sztuka i Naród", a zwłaszcza przez Andrzeja Trzebiń-

skiego. Co ciekawe, tuż przed wybuchem wojny, wiosną 1939 roku młody Karol Wojtyła napisał "Sonety", w których dawał wyraz tej samej idei. Wierzył, że to Słowianie, a zwłaszcza Polacy, poprowadzą ludzkość ku nowej epoce - ku erze chrześcijańskiego renesansu. Pisał: "Podźwignij - o duszo słowiańska - tę Arkę Bożych Objawień - jasnością synajskich krzyżów spragnioną erę nawieź!"

Co ciekawe, taka celowa (teleologiczna) wizja narodów pojawiła się w naszym stuleciu w wielu objawieniach prywatnych. Zanim wspomnimy o kilku z nich, wyjaśnijmy, że objawienia i proroctwa towarzyszą Kościołowi od początku jego istnienia. Różnią się one od Objawienia zawartego w Piśmie i Tradycji, ale nie są z nim sprzeczne. Aprobata Kościoła dla danego objawienia oznacza, że można je uznać za rzeczywiste, ale nie obowiązuje wiara w nie.

Kościół katolicki potwierdził m.in. prawdziwość objawień w Fatimie w roku 1917. Trójce portugalskich dzieci objawił się wówczas między innymi anioł, który zachęcił je do modlitwy oraz *"złota ofiara Panu, jako zado uczynienie za grzechy którymi Go obraja i jako przebłaganie za grzechy innych. W ten sposób sprowadzicie pokój na kraj nasz. Jestem jego Aniołem Strómem, Aniołem Portugalii"*.

Katolicyzm naucza, że każdy człowiek jest powołany do życia wiecznego. Każdemu też Bóg posyła Anioła Stróża, aby pomagał mu to powołanie wypełniać. Okazuje się, że swoich Aniołów Stróżów mają też narody, a więc także i one mają przed sobą jakieś powołanie. Jest to zgodne z przekazem biblijnym, gdzie w Księdze Daniela jako anioł opiekujący się Narodem Wybranym występuje Archanioł Michał.

Świadcami cudu na niebie, jaki miał miejsce w Fatimie 13 października 1917 r., było ponad 70 tysięcy ludzi. Orędzie, jakie przekazała wówczas za pośrednictwem dzieci Matka Boska, zostało podjęte przez wielu Portugalczyków. Bardzo żywe było w nich później przeświadczenie, że to właśnie zdecydowało, iż w XX wieku Portugalia była właściwie jedynym krajem w Europie, który ominęła wojna. Jeden z mieszkańców Lizbony opowiadał o tym następująco: *"Ludzie zawieraj rózne umowy i kontrakty między sobą, a potem ich dotrzymuj i wynikaj z tego jakie efekty. No to teraz wyobraź sobie umowę, gdzie jedną ze stron jest Bóg, o którym wiadomo, że zawsze dotrzymuje swoich obietnic. Poczucie zobowiązania, jakie to u nas wywołało, było nie mniejsze niż w przypadku jakichś umów międzynarodowych, na przykład umowy celnej. Sięgało ono jeszcze głębiej, bowiem na takie rzeczy jak umowa celna nie zwracasz na co dzień uwagi, a codzienna modlitwa czy regularny post przemieniają twój osobowość. Nie ma co ukrywać: po Fatimie było tu bardzo silne przeświadczenie, w skali całego kraju, że jako Portugalczycy zawarliśmy przymierze, czyli tak włącznie umowę z Bogiem"*.

Jest to rzadki już w XX wieku przykład, by na skalę masową myślarstwo o historii w perspektywie spraw ostatecznych (mowa oczywiście o kręgu kultury chrześcijańskiej, gdyż np. w państwach islamskich jest zupełnie inaczej). Jeszcze rzadziej w XX-wiecznej historii natknąć się można na motywacje religijne przy podejmowaniu decyzji politycznych. Do nielicznych wyjątków na-

leżą tu przykłady kontrrewolucji w Meksyku i w Hiszpanii czy też powstanie państwa Izrael.

Na temat innych objawień maryjnych - w Medjugorje w Bośni - Kościół katolicki nie wydał jeszcze swojej opinii, a to dlatego, że nie może on wypowiedzieć się definitywnie w sprawach objawień, które jeszcze trwają. Wielu biskupów pielgrzymuje jednak do Medjugorje, a wiadomo, że sam prefekt Kongregacji d/s. Doktryny Wiary, kardynał Ratzinger życzliwym okiem patrzy na owoce tych objawień. Francuska siostra Emmanuel Maillard ze Wspólnoty Błogosławieństw, która całą wojnę w Bośni spędziła w Medjugorje, w liście z 16 kwietnia 1992 r. napisała: *"Jest to godzina próby dla narodu chorwackiego, wybranego spośród wszystkich przez Maryję, mającego przyjąć Jej najpiękniejsze, od czasu Wniebowstąpienia, objawienie w historii"*. W tym przypadku - ku szczególne wybraństwo narodu chorwackiego sprowadzałoby się więc do konkretnego zadania: do przekazania całemu światu treści orędzia maryjnego.

Zwraca uwagę fakt, że okolice Medjugorja - gdzie najczęściej mieszkańców zdecydowało się żyć zgodnie z orędziem - były jedynym skrawkiem Bośni, który ominęły zniszczenia wojenne. Próby zbombardowania Medjugorja przez Serbów kończyły się zawsze niepowodzeniem (unosila się wówczas gęsta mgła uniemożliwiająca zlokalizowanie obiektu), a żadnemu z tysięcy przybywających tam pielgrzymów przez cztery lata wojny nie stało się nic złego (obiecała to Matka Boska w jednym z objawień).

Z kolei o roli Francji w Boskich planach możemy się dowiedzieć z objawień francuskiej mistyczki Marty Robin. Chociaż zmarła ona w 1982 r., już przeprowadzony został jej proces beatyfikacyjny. *"Lecz wówczas zawołała Francja do Boga i Maryja przyjdzie i ocali. Podejmie znów swój rol starszej córki Kościoła, przez jej pełne mocy Zielone wi ta miło ci, a jej promieniowanie ponownie rozciśnie si na cały świat"*. Powołanie m Francji jest więc bytym, czym była ona w średniowieczu - "starszą córką Kościoła".

Miały miejsce też przywratne objawienia, w których mowa była o Polsce. Najbardziej znane z nich wiąże się niewątpliwie z postacią błogosławionej siostry Faustyny Kowalskiej. W 1938 r. zapisała ona słowa, jakie skierował do niej Jezus: *"Polsk szczególnie umiłowalem, a je li b dzie posłuszna Mojej Woli, wywysz j w pot dze i wi to ci - z niej wyjdzie iskra, która przygotowuje świat na powtórne Moje Przyjcie"*.

W tym miejscu należy dokonać wyraźnego rozróżnienia między historią a eschatologią. W historii ludzkiej Faustyna była tylko niewykształconą zakonnicą podejrzewaną o chorobę umysłową, w historii zbawienia Bóg przeznaczył jej rolę znaczącą, m.in. pomoc duszom czyścącym i rozpowszechnienie kultu Miłosierdzia. Nie oznacza to, że historia i eschatologia nie nakładają się na siebie. Wręcz przeciwnie: przenikają się one stale, inne są jednak sposoby ich rozeznawania. Narzędzia badawcze historyka, socjologa czy psychologa okazują się tutaj nieprzydatne, gdyż - jak pisze św. Paweł - *"człowiek zmysłowy nie pojmuje tego, co jest z Boga Duchem. Głupstwem mu się to wydaje i nie może tego poznać, bo tylko duchem można to rozstrzygnąć"* (1 Kor. 2,14).

Często więc wypełnienie Bożych obietnic nie jest przez ludzi jako takie odbierane. Nie musi ono bowiem oznaczać jakichś spektakularnych wydarzeń. Kiedy Jean Guittou zapytał wspomnianą już Martę Robin, jak wyobraża sobie te Zielone Świąta miłości, o których była mowa w jej objawieniu, odpowiedziała: *"Wcale nie w jakiej nadzwyczajnej formie. Widz je jako co , co przychodzi spokojnie, powoli, stopniowo. Uwa am, e ju si to zaczą to"*.

W podobny - nie zmysłowy - sposób należy odbierać obietnicę wobec Polski znaną z "Dzienniczka" siostry Faustyny. Słowa o roli Polski w kontekście powtórnego przyjścia Chrystusa są naprawdę wyjątkowe, ale nie powinny nas wbijać w pychę. Pycha z powodu wybraństwa oznacza natychmiastowe odrzucenie tego wybraństwa. Jeśli zostaliśmy wybrani, to nie dlatego, że jesteśmy lepsi czy mądrzejsi od innych narodów, ale dlatego, że tak spodobało się Bogu. Wybraństwo oznaczać musi budowanie w sobie postawy nie władzcej, lecz służebnej. Misja jest służbą.

Poza tym objawienie to (podobnie jak inne tego rodzaju orędzia) nie ma charakteru deterministycznego, lecz charakter warunkowy. Nie jest rozkazem, lecz propozycją. Pierwowzorem takiej propozycji są słowa Boga do Narodu Wybranego, b y dokonał on wyboru: *"Bior dzi przeciwko wam na wiadków niebo i ziemi , kład przed wami ycie i mier , błogostawie stwo i przekle stwo. Wybierajcie wi c ycie, aby cie yli wy i wasze potomstwo"* (PwP 30,19). Chociaż Bóg podpowiada, które wyjście jest lepsze, to nie rozkazuje człowiekowi, lecz apeluje do jego wolnej woli, pozostawiając mu wolność wyboru.

Podobnie jest w objawieniu siostry Faustyny. Chrystus mówi, że spełni swoje obietnice wobec Polski, ale tylko wówczas, gdy ona *"b dziepostuszną Mojej woli"*. Jeśli okaże nieposłuszeństwo, obietnica nie zostanie spełniona. Ja k jednak można być posłusznym woli Boga? Na to pytanie jednakową odpowiedź dają wszyscy święci i mistycy: rozeznać wolę Bożą można tylko poprzez bliskość z Nim. Być coraz bliżej Boga oznacza zaś - być coraz bardziej do Niego podobnym. Najlepszą instrukcją postępowania jest tutaj osiem błogostawieństw z Kazania na Górze. Objawienie siostry Faustyny sprowadza się więc do podstawowego wezwania, które jest punktem wyjścia dla wszystkiego innego - do wezwania o nawrócenie. Bez głębokiego wewnętrznego nawrócenia nie jest możliwe podjęcie żadnej misji.

Na koniec jeszcze jedna uwaga. Według pojęć starożytnych imię było nie tylko określeniem, lecz stanowiło także składającą część osobowości. Uważano więc, że imię człowieka czy też narodu odpowiada jego istocie lub przymiotom. Równie ż w przypadku Narodu Wybranego nominalność tożsama była z substancjalnością: imię Izrael znaczyło "silny Bogiem" i oddawało doskonale sens dziejowy jego misji.

W języku hebrajskim każde słowo miało swoją formułę fonetyczną, a jednocześnie numeryczną. W Biblii nie pojawia się ani razu słowo "Polak". Wybitny antropolog religii i znawca hermeneutyki biblijnej, prof. Andrzej Wierciński podczas jednego z seminariów na Uniwersytecie Warszawskim dokonał jednak ciekawego zestawienia. Odczytał wartość numeryczną, jaką ma w języku hebrajskim słowo "Polak", a następnie znalazł w Biblii wszystkie okre-

ślenia, które odpowiadałyby tej wartości liczbowej. Okazało się, że w całym Piśmie są tylko dwa wyrażenia, do których pasuje słowo "Polak". Pierwsze to "pijak". Drugie - "strażnik bramy".

Być może są to - nasze największe zagrożenie i nasza największa szansa. Być może jak dwa bieguny pokazują one to, czym możemy się stać, gdy nie będziemy wypełniać woli Bożej, a czym, kiedy będziemy jej posłuszni.

Jedynie na świecie znane objawienie prywatne, które dotyczyło alkoholizmu, miało miejsce właśnie w Polsce. W Gietrzwałdzie Matka Boska powiedziała krótko: "Nie pijcie!". Do dziś do tego miejsca udają się pielgrzymki Anonimowych Alkoholików.

A strażnik bramy? Jak pisze Tymon Terlecki w szkicu *"Polska a Zachód"*, w historii miało miejsce ok. 90 inwazji azjatyckich, które zatrzymała na sobie Polska. Być może dwukrotne uratowanie chrześcijańskiej Europy przed nawałnicą ze Wschodu - w 1683 r. i w 1920 r. - nie jest tylko megalomańską legendą narodową? Być może nie jest też przypadkowy tytuł, jakim jedna z niemieckich gazet opatrzyła reportaż o polskim katolicyzmie ludowym, zamieszczony z okazji kolejnej rocznicy pontyfikatu Jana Pawła II. Tytuł brzmiał: "Tam, gdzie Bóg ma jeszcze swoją ojczyznę".

Sonia Szostakiewicz

W 1993 roku Kościół katolicki wyniósł na ołtarze s. Faustynę Kowalską ze Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia Bożego, określaną często mianem największej mistyczki XX wieku. S. Faustyna a zapisała w 1938 r. w swoim "Dzienniczku" następujące słowa, jakie skierował do niej Chrystus: *"Polsk szczególnie umiłowalem, a je li b dzie poslušna Mojej Woli, wywy sz j w pot dze i wi to ci - z niej wyjdzie iskra, która przygotowuje wiat na powtórne Moje Przyj cie"*. Objawienie to jest zbieżne z orędziem, jakie za pośrednictwem pasterza Mikołaja Sikatki skierowała do narodu polskiego Matka Boska w 1850 r. w Licheniu. Wydarzenie to zapoczątkowało rozwój kultu maryjnego w tej miejscowości, cieszącej się błogosławieństwem hierarchów Kościoła. Matka Boska przepowiedziała wówczas I wojnę światową, odzyskanie przez Polskę niepodległości, II wojnę światową, Powstanie Warszawskie, czasy stalinowskie i peregrynację po kraju obrazu jasnogórskiego. Powiedziała też: *"Ku zdumieniu wszystkich narodów wiata z Polski wyjdzie nadzieja udr czonej ludzko ci (...). Polskie serca roznios wiar na wschód i zachód, północ i południe. Nastanie Bo y pokój."*

Jak Pana zdaniem należy potraktować treść tych dwóch objawień? Czy nie jest to wyzwanie dla narodu polskiego, czy raczej wezwanie do misji? Jeśli tak, to co powinniśmy czynić, aby mu sprostać? Kościół, który jest bardzo ostrożny i powściągliwy w uznawaniu objawień prywatnych (w zdecydowanej większości przypadków nie potwierdza ich prawdziwości), nigdy nie zakwestionował przekazu licheńskiego i słów Jezusa skierowanych do Faustyny, których wymowa jest naprawdę wyjątkowa: mówi o roli Polski w kontekście powtórnego przyjścia Chrystusa i nastania Bożego pokoju.

Jan Paweł II niejedną raz wyrażał nadzieję, że nowa ewangelizacja Europy wyjdzie właśnie z Polski. Czy postawę taką można tłumaczyć tylko polskimi korzeniami i Papieża?

A może to wszystko jest jedynie przejawem chorobliwego polskiego mesjanizmu, znanego od kilkuset lat - kolejną oznaką naszej narodowej megalomanii?

DARIUSZ BRZÓZKA BRZOSKIEWICZ, poeta, aktor:

Moim zdaniem, dla człowieka, który zarówno poważnie traktuje swoją wiarę jak i ojczyznę, fakt dwóch uznanych przez Kościół objawień, a dotyczących bezpośrednio Polski, jest dla nas szczególnie wyróżnieniem. To po pierwsze: traktują objawienia jako wyróżnienie.

Stawianie pytania o wyzwanie czy też wezwanie do narodu polskiego jest dla mnie trochę sztuczne. Najważniejszym jest tutaj dla mnie fakt Łaski i Miłości do narodu. Oczywiście m jest, że ten naród powinien być w jakimś stopniu lepszy, wzorcowy duchowo. Jest to jakby obraz optymalny. Na drugim biegunie jest zwykła duchowa codzienność. Żywię jednak głęboką wiarę,

że i tak nasz kraj pozostanie krajem, w którym w przyszłości wiara w Chrystusa nie zostanie zepchnięta do podręczników religioznawstwa. Już dzisiaj wiadać, że Dobra Nowina, chociaż *codzienna rzeczywistość* skrzeczy, daje owoce nawet w takich dziedzinach jak rock czy poezja. Ludzie dywagujący na temat objawień, podważający sam fakt ich istnienia, odrzucający objawienia, przypominają w Kościele raczej protestantów niż katolików.

Jeżeli wiemy, że siostra Faustyna jest błogosławiona, a wielu Polaków ignoruje fakt, że była Polką, to tym samym ignorują oni rolę Polski w jej objawieniach. Nie wiem, czy Polskę czeka wariant obojętności w wydaniu "izraelskim" a propos objawień. Myślę, że główny problem tkwi w nas, w świadomości czy też w głębokości przeżywania swojej religijności z całą jej wielowątkową duchowością Kościoła Powszechnego.

Niektórzy mówią, że Polacy, żyjąc jako jedyni na świecie przez 1000 lat z największą diasporą Ludu Wybranego, po jego Holokauście sami, poprzez kontakt z Izraelem, stali się narodem wybranym.

Czy tak jest w istocie? Tego nie wiem, mogę jedynie powiedzieć, że wierzę co do słowa w to, co Kościół uznał i moje albo czyjeś myślenie na nic się tutaj nie zda. Z faktami trzeba się pogodzić, czy się tego chce czy nie.

Po drugie, cieszy mnie bardzo, że Pan ma Polskę na uwadze do tego stopnia, że mamy to oficjalnie potwierdzone. Po trzecie, to już teraz ten cud wiadać, co to nad naszym krajem się rozpostarł. I dziękuję Mu za to serdecznie.

BOHDAN CYWILSKI, historyk idei:

O BOWIĄZEK ZŁOŻENIA ŚWIADECTWA

Pozwólcie, Państwo, że zacznę od końca: od owego „chorobliwego” mesjanizmu, który - jak piszecie - od kilkuset lat charakteryzuje Polaków i jest objawem narodowej megalomanii.

Doprecyzujmy: mesjanizm polski jest zjawiskiem z pierwszej połowy wieku dziewiętnastego, wyrosłym ze szczególnie trudnych przeżyć narodowych w odpowiednim klimacie duchowym epoki romantycznej. Nie jest przy tym niczym wyjątkowym w skali międzynarodowej - podobne tendencje znaleźć można w wielu kulturach o wyrazistym profilu narodowym i wyznaniowym. Przypomnijmy choćby wczesną ideologię Stanów Zjednoczonych, Francję po 1815 roku, czy najgłośniejszą i najtrwalszą mesjaniczną Rosję carską, która właśnie w ten sposób uzasadniała swe tendencje imperialne aż po pierwszą wojnę światową.

Specyfiką historyczną mesjanizmu polskiego nie jest jego siła, ni agresywność, ale ciekawe powiązanie ideologii religijnej z liberalnym i wywodzącym się z tradycji antyklerykalnej Rewolucji Francuskiej ideałem „wolności Ludów”. Stąd zresztą wywodzi się kłopotliwe dla przedstawicieli hierarchii kościelnej pytanie o polskie lata 1830 i 1863 • czy były to wymagające potępienia rewolucje, czy warte pochwały powstania katolickiego narodu przeciwko obcemu narodowo i wyznaniowo zaborcy. Zarzut „chorobliwości” polskiego

mesjanizmu wiąże się oczywiście z jego antyrosyjskim ostrzem i formułowany był pierwotnie oczywiście w Petersburgu i Moskwie, a stamtąd dopiero przejęty został przez polską myśl laicką.

O naturze, treści i sensie objawień, wspomnianych przez Autorów ankiety, wypowiadać się nie mogę z uwagi na brak kompetencji. Chciałbym natomiast, jako historyk idei, zwrócić uwagę na parę okoliczności, które warto wziąć pod uwagę przy rozważaniu kwestii ewentualnej roli polskiego wkładu w dalsze dzieje chrześcijaństwa.

Trzeba pamiętać, że cała dotychczasowa refleksja nad wzajemnym stosunkiem Kościoła i świata konfrontowała swe przesłanki teologiczne z historycznym doświadczeniem jednego regionu świata i z jedną tradycją kulturową i polityczną - z doświadczeniem zachodu Europy. Do niedawna było to całkiem naturalne, na naszych oczach sytuacja ta zaczęła się zmieniać. Kościół zmienia się powoli i nieznacznie, ale struktura świata podlega zmianom radykalnym. W efekcie ta sama, co zawsze, teologia staje wobec pytań nowych, bardziej, niż kiedyś, urozmaiconych. Skoro „Nową Ewangelizację” podejmujemy na przełomie tysiącleci, to trzeba w niej uwzględnić to różnorodne novum.

Jednym z najważniejszych regionów na światowej mapie współczesnego katolicyzmu jest środkowa i wschodnia Europa. Zamieszkujące ją narody należą do Kościoła bądź niemal w całości, jak Chorwacja, Litwa, Polska, Słowacja i Słowenia, bądź w przeważającej swej części, jak Czechy i Węgry, bądź wreszcie - mają znaczne i trwające od stuleci mniejszości katolickie o wyrazistej i odrębnej kulturze, jak obserwujemy to u Białorusinów, Bośnia -ków, Łotyszy, Rumunów siedmiogrodzkich i Ukraińców.

Katolicyzm w tych narodach rozwijał się w warunkach odmiennych niż na zachodzie kontynentu, generalnie rzecz biorąc - trudniejszych. Wszystkie te narody przeżywały okresy wielopokoleniowej niewoli i bytowania w państwach cudzych, prawie zawsze obcych wyznaniowe. W ostatnich kilku dziesięcioleciach wszystkie przeszły przez bolesne, a w niektórych przypadkach - przez męczeńskie dla Kościoła doświadczenia. W efekcie katolicyzm tego regionu nosi na sobie znamiona inne, niż katolicyzm zachodu Europy. Inność ta ujawnia się w odmiennym stosunku do praktyk religijnych, w odmiennym traktowaniu prawd wiary, w inaczej przeżywanym poczuciu przynależności do Kościoła. W sumie jest to religijność surowsza, przeżywana na poważnie i ze świadomością zagrożenia ze strony świata, który tylekroć już okazał się nieprzyjazny. Jest konserwatywna, bo zdołała przetrwać prześladowania właśnie dzięki upartej wierności i niepoddawaniu u się pokusom dopuszczania zmian. Najkrócej mówiąc, jest to religijność oparta o osobistą wiedzę o tym, że za wiarę trzeba w życiu sporo zapłacić.

Doświadczenie to jest znacznie mniej obecne w tradycji katolicyzmu w zachodnioeuropejskiego, od dawna nie stykającego się z rzeczywistością prześladowań. Stąd płyną liczne, czasem bardzo łatwo uderzające w oczy, różnice w sposobie odnoszenia się do problematyki religijnej.

Typowy dla naszego regionu, „wschodnioeuropejski” model przeżywania katolicyzmu do niedawna pozostawał zupełnie nieznaną na zachodzie,

ostatnio został spostrzeżony jako specyfika wyłącznie polska i traktowany jest przez jednych jako dziwactwo, przez innych jako relikwii epoki minionej, który musi zginąć w ciągu lat najbliższych, przez jeszcze innych zaś - jako ważne świadectwo innego nurtu mentalności katolickiej, świadectwo, którego nie może zabraknąć w historycznym doświadczeniu Kościoła Powszechnego i w prądzie „Nowej Ewangelizacji”. Ta ostatnia myśl przypomina czasem treść przytaczanych w ankiecie przepowiedni czy prorocत्व. I coś w tym chyba jest...

Wartość ukryta w naszym doświadczeniu wiary nie jest specyficznie polska. Jest duchową własnością całego naszego regionu, tyle, że światu znana jest pod nazwą "religijności polskiej".

O tym powinniśmy pamiętać - i to nas powinno bronić przed megalomanią, jeśli przed nią w ogóle cokolwiek racjonalnego jest nas w stanie obronić. Z drugiej strony - za przekazanie tego regionalnego doświadczenia, za złożenie regionalnego świadectwa, powinniśmy się czuć odpowiedzialni, ponieważ jako Kościół najmniej zniszczony prześladowaniami, najbardziej spośród sąsiedzkich znany na świecie, a od kilkunastu lat mający zupełnie wyjątkową sytuację - Rodaka-Papieża - mamy tu szczególnie wiele do zrobienia.

1 nie robimy w tym względzie nic, a w każdym razie nic odpowiednio znacznego. Nasze elity umysłowe nie potrafią dostrzec tego podpowiadanego im przez historię myśli chrześcijańskiej zadania. Czekają zapewne, aż rzecz ta zostanie zauważona i potwierdzona w Paryżu - i wtedy się do tej kwestii poważnie zajmą.

Stracimy tę niepowtarzalną szansę historyczną - to raz. Nie wykonamy zadania, jakie kładzie przed nami logika dziejów samego Kościoła - to dwa. Boję się tej odpowiedzialności za zbiorowy, spełniający się już dzisiaj i rsnący grzech naszego zaniedbania.

MAREK JUREK, historyk, członek Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji:

1. W orędziu Chrystusa Pana przekazanym błogosławionej siostrze Faustynie zawarte są dwa odrębne przesłania.

Pierwsze przedstawia stan aktualny, Chrystus Pan mówi, iż Polskę szczególnie umiłował. Nie ma w tym niczego zaskakującego. Szczególnie nie znaczy wyjątkowo. Chrystus, który umarł za wszystkich ludzi i kazał nawracać wszystkie narody, każdego człowieka i każdą kraj umiłował szczególnie, odrębnie, „inaczej”.

2. Drugie przesłanie ma charakter warunkowy - zapowiada możliwość, które stoją przed Polską, jeśli będzie posłuszna Woli Syna Bożego.

Najpierw więc należy rozważyć warunek.

Na naszych oczach dokonał się cud upadku komunizmu. Dziś wielu ludzi zaprotestuje przeciwko określeniu „cud”. Wiadomo przecież, że upadek komunizmu nastąpił w wyniku militarno-ekonomicznego „poślizgu”: gospodarka urządzona dla przygotowywania kraju do wojny dramatycznie przegrała nie tylko pogoń za uprawnionymi oczekiwaniami konsumpcyjnymi własnego społeczeństwa, ale i wyścig zbrojeń, dla którego została stworzona.

„Pieriestrojka” była po prostu aktem strategicznej kapitulacji. Cóż w tym cudownego?

Materialne wyjaśnienie przebiegu interwencji Opatrzności w dzieje w niczym nie zaprzecza jej realności - Pan Bóg najczęściej działa poprzez przyczyny wtórne, materialne (Chrystus używał błota i oddechu do dokonywania uzdrowień), zaś o cudowności upadku komunizmu niech prócz naszego własnego, egzystencjalnego doświadczenia, świadczy i to, że ci, którzy dziś rządzą Polską, nie potrafili sobie jeszcze parę lat wyobrazić tego upadku i swoje własne życie układali w perspektywie wiecznotrwałości tego systemu zdrady i przemocy.

Czy należy cię skorzystał z wolności, którą tak wyraźnie Opatrzność nas obdarzyła?

W 1956 roku biskupi polscy, wsparci duchową aklamacją miliona pielgrzymów na Jasnej Górze, ślubowali w imieniu narodu Maryi Królowej Polski, iż uczynimy wszystko „co leży w ludzkiej mocy, aby Polska była rzeczywistym Królestwem Twoim i Twego Syna, poddanym całkowicie pod Twoje panowanie w życiu naszym osobistym, rodzinnym, narodowym i społecznym”. Przyrzekli, że będziemy wychowywać „młode pokolenia w wierności Chrystusowi, bronić je przed bezbożnictwem i zepsuciem i otaczać czujną opieką rodzicielską”.

Te słowa to nie kaznodziejski patos i archaiczna ornamentyka, ale uroczysta deklaracja realizacji zasady chrześcijańskich w życiu publicznym, w opozycji do laicyzmu ignorującego Boga w życiu społecznym i publicznym, co najpełniej wyraził w swej encyklice o Chrystusie *Królu Quasprimas* papież Pius XI.

Obietnice te do tej pory wypełniliśmy bardzo częściowo, co więc jęparokrotnie przynajmniej wyraźnie jako naród zmanifestowaliśmy, że wypełniać ich do końca nie chcemy. Tymczasem rzeczy, których Bóg żąda od ludzi, są słodkim jarzmem: w istocie są jedynie gwarancją naszego własnego, również doczesnego, szczęścia. Polska dała jednak wiele dowodów, że żyć po chrześcijańsku nie chce, że pociąga nas post-chrześcijańska „normalność”.

Czy utrata obietnic Chrystusowych jest definitywna? Sądząc po rozmiarach miłości Bożej do ludzi, której objawienie w historii narodu można tak dobrze śledzić w Starym Testamencie, Bóg karze, ale i przebacza. Przebacza często siedemdziesiąt i siedem razy. Świadomość Bożej cierpliwości może być jednak wyłącznie motywem po chrześcijańsku rozumianej Nadziei, tej cnoty, która każe zawsze podnosić się z upadku, z wiarą - że u Boga wszystko jest możliwe. Gdyż trwanie w grzechach i kalkulowanie na Boże miłosierdzie stanowi grzech przeciwko Duchowi Świętemu, grzech nie zasługujący na wybaczenie.

Objawienia siostry Faustyny są więc ciągle aktualnym wezwaniem i ciągle aktualną obietnicą. W tym sensie jednak, że tylko zdecydowane podjęcie wezwania może wysłużyć nam spełnienie obietnic.

3. Jeśli chodzi o nasz kraj, doświadczyliśmy wielokrotnie miłości Bożej, jak i sami na nią odpowiadaliśmy.

Polska - kraj katolicki, zachodni, umieszczony między geopolitycznymi kolosami, jednak przetrwał, niczym Izrael między potęgami Starożytności - Egiptem, Asyrią, Babilonią.

Dziedzictwo XIX-wiecznego mesjanizmu sprawiło, że często szukaliśmy naszej szczególności tam, gdzie jej nie ma. Polska demokracja szlachecka nie była czymś wyjątkowym: przeciwnie, była postacią, i to bardzo jednostronną, demokracji stanowej charakterystycznej dla wszystkich państw Zachodu.

Podobnie unie, jakie w historii zawieraliśmy, również specjalnie nie różnią nas od Hiszpanii, Francji czy Monarchii Habsburgów.

Zamiast szukać naszej wyjątkowości, choć każdy kraj ma swoje cechy oryginalne, lepiej zwrócić uwagę na historyczną rolę, jaką Polska spełniła w dziejach całego chrześcijaństwa.

Nawróciliśmy Litwę, mimo, że w sposób naturalny, w drodze ruskich podbojów kraj ten stopniowo ciążył ku Wschodowi i prawosławiu, broniliśmy katolicyzmu w Szwecji i udzieliliśmy schronienia szwedzkiej katolickiej emigracji, ochroniliśmy katolicyzm na Warmii - łacińskiej wyspie w protestanckim morzu, pozyskaliśmy dla Kościoła przez Unię Brzeską dużą część Rusi, a w konsekwencji - narodu ukraińskiego, nawróciliśmy dynastię saską, dzięki czemu katolicyzm w Saksonii został obdarzony swobodami. Polską była obrończynią Kościoła i przedmurzem Chrześcijaństwa, co uroczyste potwierdził jeszcze niedawno papież Paweł VI.

Nasza kontrreformacja mogła służyć za wzór odzyskania dla Kościoła narodu i jego elity, przy zachowaniu roztropnej, wypływającej z miłości bliźniego i solidarności narodowej, tolerancji.

Oczywiście, nie e wszystkim w nasze j historii było chwalebne, co zresztą - paradoksalnie - może być również otuchą w czasach takich jak nasze. Weźmy pierwszy z brzegu przykład, Legiony Dąbrowskiego, tak wysoko stawiane w naszej tradycji, które w imię rewolucyjnego braterstwa krwawo tłumiły powstanie wiernych Papieżowi włoskich chłopów. Zresztą przez cały XIX wiek Polska w istocie była sojusznikiem europejskiej rewolucji, przed konsekwencjami czego często ostrzegali polscy konserwatyści.

A jednak Polska odrodziła się jako państwo katolickie.

4. Chrystus Pan obiecał Siostrze Faustynie, że wywyższy Polskę w potęgze i świętości.

Polska silna, szanowana i znacząca w Europie w oczywisty sposób leży w interesie Chrześcijaństwa.

Świętość ludzi i rodzin stanowi zaś ostateczny sprawdzian wartości kultur i społeczeństw. Świętość będąca w swej istocie pełnym spożytkowaniem potencjału człowieczeństwa.

Chrystus Pa n obiecał, że to wywyższenie w mocy i świętości przygotuje świat na Jego powtórne przyjsie. Tu bezpośrednio dotykamy tajemnicy: o dniu owym albo godzinie nikt nie wie, ani aniołowie w niebie, ani Syn, tylko Ojciec (Mk 13,32).

Ewangelia każe nam czuwać.

I to wystarczy.

Nie jestem żadnym autorytetem duchowym, aby kwestionować lub potwierdzać prawdziwość objawień bł. siostry Faustyny czy orędzia Helleńskiego. Jednakże interesuję się treścią i interpretacją objawień i orędzi, szczególnie maryjnych (Medjugorje, Korea i inne) i ich rolą w kontekście czasów ostatecznych. Moje wątpliwości budzą próby transmisji aspektów duchowych orędzi na materialne, widzialne, szczególnie w odniesieniu do Polski. Daleki jestem od idealizowania narodu polskiego, a jako jego nieodrodny syn jestem świadomy wszystkich wad i słabości, jakie ciągnie za sobą od wieków. Obcy jest mi chorobliwy polski mesjanizm, nieuzasadniona mania wielkości, skrywająca głębokie pokłady kompleksów. I nie wydaje mi się, żeby Polska jako kraj została wywyższona widzialnie dla innych narodów. Ręką Opatrzności światło na tę kwestię rzuca według mnie wyjaśnienie dane przez Pana Jezusa bł. siostrze Marii Marcie Chamobon (tej od nabożeństwa do ran Chrystusa) dotyczące generalnie Kościoła. Pan Jezus przestrzega przed wszelkim złudzeniem, przed niejasnym pojmowaniem jego słów. Wynika z nich, że nie może być mowy o tryumfie widzialnym i powszechnym, o czym marzy wiele dusz!... Kościół nigdy nie przestanie być poniewierany, oskarżany, atakowany. Aż do końca świata nigdy pod Barką Piotrowa nie ucichną fale. *"Nie wiecie, o co prosicie, daj c jego tryumfu. Ko ciół mój nigdy nie odniesie widzialnego tryumfu"*(l decydującego o przed końcu m świata). Właśnie poprzez walki i uciski dopełnia się dzieło Pana Jezusa - zbawienie świata. W tym kontekście zbawienie jednej duszy jest tryumfem duchowym, niewidocznym dla świata. Patrząc od tej strony, wszystko zaczyna się układać. W Polsce mamy naprawdę wielu wspaniałych kapłanów i z nich to Matka Boża przygotowuje specjalną "gwardię" na ostateczną bitwę (walka niewiasty obleczonej w słońce z wielką nierządnicą). Przygotowuje też świeckich, którzy będą w stanie sprostać wyzwaniu czasów ostatecznych. Mam tu na myśli owoce, jakie zaczynają wydawać ruchy wspólnotowe, szczególnie odwołujący się do powrotu do prostoty, wiary, czystości i mocy, wspólnotowości pierwszych chrześcijan, wspólnotowości katakumbowej neokatechumenat. Mam wrażenie, że tu leży generalnie przyszłość Kościoła, nie tylko zresztą w Polsce. Na skutek ostatecznej ofensywy szatana przy użyciu wszelkich dostępnych środków (media, muzyka, propagowanie konsumpcjonizmu i pornografii, internet) od Kościoła odpada wielu ludzi, którzy nie mają dostatecznej wiary i których trzyma jedynie tradycja. Myślę, że Kościół stanie się mniejszy ilościowo, ale lepszy jakościowo - bardziej radykalny, stając się bardziej atrakcyjny dla młodych. Będzie musiały przywdziać *"cał zbroj Bo, aby osta si przed zasadzkami diabelskimi. Gdy bój toczymy nie z krwi iz ciałem, lecz z nadziejskimi władzami, ze zwierzchno ciami, z władcami tego wiata ciemno ci, ze złymi duchami w okr gach niebieskich."*

Oдноśnie objawienia bt. Faustyny dotyczącego Polski, to nie podejmuję się dyskutować nad jego autentycznością. Istotnie Kościół, ze zrozumiałych względów zachowując wielką powściągliwość w przedmiocie wszelkich tego typu objawień, nigdy ich nie zakwestionował, ani też nie potwierdził. Wydaje mi się jednak, że nie ma powodów, dla których Polska miałaby być jakimś szczególnym miejscem na ziemi, a zwłaszcza impulsem duchowego odrodzenia świata. Takie traktowanie Polski nie jest chyba przejawem megalomanii, a raczej wynikiem naszej tragicznej historii i faktem, że istniejemy przede wszystkim na skutek niezłomnego trwania przy Kościele i wierze naszych ojców.

Trudno rzecz jasna wykluczyć impuls moralnego odrodzenia świata wychodzący akurat z naszego kraju, chociaż nic takiego impulsu w chwili obecnej nie zapowiada. Nie zgadzam się z obiegowym twierdzeniem, że jesteśmy narodem katolickim. To prawda, że ponad 90 proc. Polaków jest ochrzczonych w Kościele katolickim, ale ma to znaczenie tylko w wymiarze teologicznym. W wymiarze społecznym czy politycznym natomiast nie znaczy nic albo znaczy bardzo niewiele. Jest w naszym kraju nadal bardzo wiele powołań kapłańskich i zakonnych, zdaje się jest to w chwili obecnej najwyższy wskaźnik na świecie, co świadczy o sile i żywotności polskiego Kościoła. Ale z drugiej strony ogromne są wpływy ludzi i ugrupowań wrogich religii katolickiej, Kościołowi, Ewangelii, Matce Najświętszej. Mamy w Polsce coraz więcej bluźnierstw i znieważania symboli wiary oraz uczuć ludzi wierzących, antykatolickiej agresji i nienawiści do wszystkiego, co autentycznie dobre i piękne. Szczególnie podatna na te wpływy jest młodzież, nasila się propaganda wojującego ateizmu, laickiego humanitaryzmu, całkowicie obcego miłości Boga i drugiego człowieka.

Coraz większe wpływy zdobywa ideologia instrumentalnego traktowania człowieka, egoizmu, faktycznej demoralizacji określanej jako tzw. prawa jednostki. Polska pod wieloma względami upodabnia się do krajów Europy zachodniej z ich pustymi kościołami, plagą aborcji, pornografii, przestępczości, narkomanii, nieograniczonej bezmyślnej konsumpcji. Trwa oczywiście walka o kształt naszej demokracji i o moralne oblicze narodu. Warto przy tym pamiętać, że zapłaciliśmy straszliwą cenę w postaci wyniszczenia naszych warstw przywódczych, najwartościowszych, najwybitniejszych ludzi z rąk okupantów nazistowskich i komunistycznych. Z pewnością Bóg dopuszczając do tego kierował się jakimś planem, gdyż to Bóg włada losami narodów. I być może na tym właśnie opiera się przekonanie o, mimo wszystko, wyjątkowym zadaniu wyznaczonym w historii dla Polski. To, czy "z Polski wyjdzie iskra, która przygotuje świat na powtórne przyjście Pana Jezusa", nie wydaje mi się dziś możliwe do określenia.

Co do "przekazu licheńskiego" (a w ostatnim czasie Cudowny Obraz Matki Bożej w Licheniu i cały tamtejszy ośrodek wywierają coraz silniejszy wpływ na religijność przynajmniej kilku województw centralnej Polski) to rów-

niez bardzo trudno mi ocenić fragment dotyczący Polski, zwłaszcza to, czy z Polski "wyjdzie nadzieja udręczonej ludzkości". W moim przekonaniu już wyszła i jest nią nauka, a także sama osoba Jana Pawła II. Tylko czy polskie serca rozniosą wiarę na świecie? W moim przekonaniu także to dzieje się już obecnie, albowiem to polscy misjonarze stanowią dziś większość wszystkich misjonarzy Kościoła i na polskich misjonarzach opiera się ewangelizacja wielu narodów. Można na "przekaz licheński" patrzeć jako na fragment codziennej rzeczywistości Kościoła. Nie bardzo rozumiem, co oznacza termin "Boży pokój"? Taki pokój w sensie zapanowania Królestwa Bożego, czyli społeczności w przeważającej części wolnej od grzechu, nigdy na ziemi nie nastanie. Wynika to z ułomnej natury człowieka.

I tym razem nie przeceniałbym roli Polski. Na naszych oczach przenikają się dwie rzeczywistości, dwa światy. Świat oparty o naukę Pana Jezusa, można powiedzieć inspirowany Ewangelią, i świat inspirowany wrogością do Ewangelii. Tak jest w wielu miejscach na kuli ziemskiej, właściwie wszędzie, są oczywiście miejsca szczególnego nasilenia zła, prześladowań Kościoła. Ale w Polsce te dwie rzeczywistości walczą ze sobą. Na razie Polska, dokonując wiele w nawracaniu świata, dając światu wielkiego Papieża, sama musi walczyć o przetrwanie. Jest obiektem zmasowanej agresji dobrze zorganizowanych sił zła, pragnących oderwać nas od Boga. Myślę, że z przytoczonych objawień jedno wynika na pewno. Jesteśmy jakoś obecni w planach Boga, od których zależą losy narodów, trzeba się modlić i trwać niezłomnie przy Chrystusie, dziękując Matce Najświętszej, ustanowionej jak wiadomo przez wielkiego przyjaciela Polski Piusa XI Królową Korony Polskiej, za jej troskę i pamięć o nas. Czy jesteśmy tej troski godni zależy od każdego z nas, ale zależy też od naszej wiary. I jeszcze jedno. Wydaje mi się, że cudem największym jest to, że mimo działania takich sił sprzysiężonych w tym, by Polski nie było, by nas zniszczyć i wymazać z mapy świata i pamięci ludzkości, istniejemy.

PETER RAINA, historyk, pisarz:

Nie oceniam polskiego mesjanizmu jako chorobliwy i nie określiłbym go jako znak narodowej megalomanii Polaków. Wręcz przeciwnie. Uważam, że Polacy nieraz dali przykład światu, że wiara w Ewangelię, w wartość zawartych w niej słów prowadzić może do zwycięstwa nad złem. Potwierdza to postawa Polaków wobec wydarzeń chociażby najnowszej historii Europy - wydarzeń, które miały decydujące znaczenie dla naszej cywilizacji.

Czy to przypadek, że s. Faustyna zapisała swe słowa akurat w 1938 roku? Pamiętamy tenże rok. Wszyscy mężowie stanu poddali się Hitlerowi. Chlubny wyjątek stanowili jedynie Polacy. Józef Beck był jedynym politykiem, który stanął czoła Hitlerowi i Stalinowi, symbolom najokrutniejszego zła. We wrześniu 1939 roku naród polski samotnie walczył przeciwko temu złu. W imieniu czego?! Na to pytanie trafnie odpowiedziała Maria Pawlikowska-Jasnorzewska słowami:

*"S narody, co w czasach ognia, wojny, moru
Wszystko uratowały - wszystko oprócz honoru.
Polsko biedna. Twój honor pozostał przy Tobie.
Twój honor, jasny diament w r kach głodomorów"
/ "Co Nam Zostało" /*

Właśnie w tej postawie Polski widzę jej posłuszeństwo wobec „Mojej Woli”, widzę jej potęgę duchową i jej świętość. Polacy, stawiając podczas okupacji czoło zarówno hitlerowcom jak i bolszewikom, walczyli nie tylko o biologiczny byt. Ich walka była walką o uratowanie przyrodzonych praw człowieka, o uratowanie wartości katolickich, czyli wartości uniwersalnych. Inaczej nie można zinterpretować także celów „Solidarności” w latach 80-tych. Czy „Solidarność” nie stała się iskrą przygotowującą blok sowiecki na „powtórne Moje Przyjście”? Przecież zasadniczym filarem demokracji jest poszanowanie przyrodzonych praw jednostki.

Nie podzielam pesymizmu tych, którzy mówią, że Polsce grozi choroba konsumpcyjna i że Polacy stracili już ducha mesjanizmu. W Polsce nie brak potęgi duchowej. Znam wiele osób, które nieustannie walczą i walczyć będą o zachowanie wyższych wartości. Istnieje grupa szlachetnych Polaków, która nigdy nie zgodzi się na to, by skompromitowane zostały te wartości, z którymi związana jest tożsamość Polaków. W tej szlachetności Polaków widzę ich świętość. Słowa te nie są dla mnie pojęciem abstrakcyjnym. Są one pojęciem żywym, świadomym, wyrażającym się w działaniu w życiu codziennym.

JAN POSPIESZALSKI, muzyk, basista VOO VOO-

Nie spodziewajcie się jakichś odkrywczych czy rewelacyjnych przemyśleń. Nie sądzę, aby coś takiego jak naród - czy wspólnota określana tym mianem - mógł mieć jakąś specjalną misję. W Nowym Testamencie hasło Izrael oznacza chyba cały Kościół, dlatego też nie należy interpretować narodowo innych przesłań. Przyjmując natomiast objawienia, o których mowa w pytaniu, bardziej staram się traktować je jako OSOBISTĄ katechezę skierowaną do każdego z nas.

o.JACEK SALIJ (OP), profesor teologii dogmatycznej:

1. Jedynym objawieniem Bożym, jakie Kościół naprawdę głosi, jest to, które się dopełniło w Jezusie Chrystusie. Jeśli poważnie traktujemy jakiegokolwiek inne objawienia, to jedynie w takim zakresie, w jakim pomagają nam one przyjąć głębiej Jezusa Chrystusa.

Tradycyjne stanowisko Kościoła na ten temat przypomniał Jan Paweł II w kazaniu, jakie 13 maja 1982 wygłosił w Fatimie: „*Ko ciót zawsze uczył i nie przestaje głosi, e objawienie Bo e zostało zamkni te w Jezusie Chrystusie, który jest pełni tego objawienia i nie nale y si ju spodziewa adnego nowego objawienia publicznego przed chwalebny m ukazaniem si Pana naszego Jezusa Chrystusa. Ko ciót ocenia i os dza prywatne objawienia za pomoc kryterium zgodno ci z tym jedynym objawieniem publicznym. Je li Ko ciót zaakceptował or dzie z Fatimy, stało si tak przede wszystkim dlatego, e or dzie to zawiera prawd i wezwanie samej Ewangelii: "Nawracajcie si i wiercie w Ewangeli !"* (Ewangelia Mark a 1,15) . (...) *Or dzie z Fatimy jest w swej istocie wezwaniem do nawrócenia i pokuty, tak jak Ewangelia*".

Analogicznie należy traktować objawienia Siostry Faustyny. Zresztą nie jest tak, żeby jej beatyfikacja była równoznaczna z uznaniem przez Kościół autentyczności tych objawień. Beatyfikacja i kanonizacja jest przede wszystkim aktem dziękczynienia i uwielbienia Boga za to, że kogoś z nas obdarzył tak wielką świętością. Rzecz jasna, wpisując Siostrę Faustynę na listę błogosławionych, Kościół dał pośrednio wyraz swemu przeświadczeniu, iż poważnie liczy się z tym, że otrzymane przez nią objawienia są autentyczne.

2. Różne mesjanizmy polityczne i megalomanie narodowe stanowią wypaczenie autentycznej chrześcijańskiej mądrości, że nie ma ludzi ani narodów zwyczajnych. Każda ludzka osoba, również osoba umysłowo upośledzona, jest niezwykła i stanowi niezgłębioną tajemnicę. I niezwykły jest każdy naród, zatem również naród polski. Dopiero egoizm, duchowe zagubienie się i uleganie temu, co niegodziwe, gasi w ludziach i narodach blask ich niezwykłości i niepowtarzalności, i czyni ich banalnymi i pospolitymi.

Czy każdy naród ma jakąś misję do spełnienia? Osobiście tak jakoś czuję, że im więcej o tym się mówi, tym więcej popada się w nieautentyczność i złudzenia. Nie trzeba trąbić o tym - mówi nam Pan Jezus - że się modlimy, pościmy czy pomagamy biednym, bo w ten sposób zniszczymy tylko sens tych działań. Jeśli chcę ciebie zbudować moim szlachetnym postępowaniem, z pewnością będzie w tym coś nieszlachetnego, co ty natychmiast zauważysz. Dopiero wtedy mam szansę ciebie zbudować, kiedy postępuję szlachetnie i nawet nie pomyślę o tym, że to może kogoś budować.

Chyba tak właśnie jest z misją narodu. Zapewne każdy naród ma jakąś misję do spełnienia we wspólnocie narodów. Ale dopiero wtedy tę misję spełni, kiedy przykłada się do wszystkiego, co szlachetne, i przeciwstawia się temu, co nieludzkie, a nad wypełnieniem misji się nie zastanawia. Znacznie słuszniej jest zastanawiać się nad naprawianiem swoich wad i grzechów.

3. Co do Siostry Fustyny, nie wolno przeoczyć tego, że struktura wielkich obietnic zawartych w jej objawieniach jest typowo prorocka, tzn. obietni-

com towarzyszy piętnowanie grzechów. Oto konkretny przykład: „*Pewnego dnia powiedział mi Jezus, e spu ci kar na jedno miasto, które jest najpi k-niejsze w Ojczy nie naszej. Kara ta miała by - jak Bóg ukarał Sodom i Gomor . Widziałam wielkie zagniewanie Bo e i dreszcz napelnił, przeszył mi serce*”. (Dzienniczek , nr 39)

W objawieniach Siostry Faustyny nie ma najmniejszego idealizowania Polaków, wręcz przeciwnie, toteż wiele modliła się ona o miłosierdzie Boże dla Polski: „ *Cz sto si modl za Polsk - to tylko jeden z wielu jej zapisów na ten tema t- ale widz wielkie zagniewanie Bo e na ni , i jest niewdzi czna. Kiedy widz Jego zagniewanie, rzucam si z ufno ci w przepa miłosierdzia i w nim zanurzam cał Polsk , a wtenczas nie mo e u y Swej sprawiedliwo ci. Ojczyzno moja, ile ty mnie kosztujesz. - Nie ma dnia, w którym bym si nie modliła za ciebie*” (nr 1188/ .

Jeśli Polska - i każdy inny - jest szczególnie drogi Bogu, to nie dlatego, że jesteśmy tacy wspaniali, ale dlatego, że sam Syn Boży umiłował nas aż do końca. „*Ujrzałam jasno wielk - wyznaje Siostr a Faustyn a - i w niej Boga Ojca. Przed jasno ci t a ziemi ujrzałam Jezusa przybitego do krzy a i tak, e Bóg chc c spojrze na ziemi , musiał patrze przez Rany Jezusa. I zrozumiałam, e dla Jezusa Bóg błogostawi ziemi*” (nr 60) .

ks. JAN SOCHO , poeta, historyk filozofii:

EMETH, CZYLI WIERNO OBIETNICY.

1. Pomiędzy Objawieniem a natchnieniem.

Powyżej przywołane terminy, choć związane ze sobą, różnią się zasadniczo. Objawienie bowiem - zauważy ł jeden z teologów - jest przejawem nieznaney Tajemnicy, podczas gdy natchnienie pozostaje praktycznym bodźcem do działania, wypowiedania się, pisania w poszukiwaniu tej tajemnicy, związanej z natchnieniem, ponieważ uwieńczeniem poszukiwań pobudzanych i kierowanych przez natchnienie jest poznanie Objawienia. Dlatego też wszyscy próbujemy (jak to po ludzku możliwe) odczytywać: co mówi Bóg w języku egzystencjalnych konkretów. Dokonuje się to powoli, rzekłbym cierpliwie i owo "cierpliwie" odnosi się najpierw do samego Boga, który przemawia do człowieka pogrążonego w mroku i słabości grzechu jego własnym językiem i przyjmuje powolny rytm ludzkich kroków. Dokumenty Soboru Watykańskiego II wyraźnie ukazują , że "nie nale y si ju spodziewa adnego nowego objawienia publicznego przed chwalebny m ukazaniem si Pana naszego Jezusa Chrystusa (Konstytucja dogmatyczna o Objawieniu Bożym, rozdz. I, p. 4). Tak więc pozostajemy w podwójnej niejako perspektywie: wciąż dochodzi do naszej wrażliwości Boży przekaz, a równocześnie doświadczamy "spraw niedoskonałych i przemijających", zawartych także na kartach ksiąg świętych Starego Testamentu.

Trudzymy się wypełniając biblijne wskazania, objęci wciąż trwającą "ekonomią zbawienia". W jej krajobraz wchodzi również mistyczne przekazy świętych Kościoła. Są one pozbawione filozoficznych spekulacji czy abstrakcyjnych formuł. Nie proponują też żadnych olśniewających mądrości o społecznej czy politycznej wymowie. Natomiast (odważę się powiedzieć) wszystkie dotyczące zbawienia, udzielając człowiekowi światła i sił do kroczenia drogami Ewangelii. Oczywiście, poznawanie treści religijnego orędzia jest ważne i konieczne, niemniej nie może się ograniczać do samego faktu poznawania, lecz - zgodnie z imponującą zachętą św. Jana - musi ogarniać codzienne życie, codzienne wybory. Albowiem "znać Jezusa" oznacza kochać Go, naśladować, dawać świadectwo wartościom niesionym przez Jego zbawcze dzieło.

Dopiero w tak wyznaczonej interpretacyjnej perspektywie można zastanawiać się nad mistycznymi zapisami siostry Faustyny Kowalskiej, które natychmiast pobudzają myślenie historyczne i narodowe. Warto jednakże pamiętać, iż zostały one wyrażone w prostym, naturalnym języku wewnętrznego doświadczenia. Nie przypuszczam, aby siostra Faustyna sugerowała potrzebę nawiązywania do polskiej tradycji romantycznej, aby włączała swe przeżycia w znaki wysokiej kultury. Raczej mówiła o konieczności przemiany dotychczasowego sposobu życia, zarówno w wymiarze osobistym każdego człowieka, jak i narodu polskiego. Już w tym zresztą miejscu spotykamy się z zastrzeżeniami i polemicznymi uwagami. Zdaniem na przykład teologów protestanckich wszelkie próby *"opowiadania do wiadcze religijnych"* wyrazem pychy i szaleństwa. Barth stwierdził, iż mistyka niekiedy przeradza się w jakąś formę bezbożnictwa, gdyż wyraża określone aspekty religii - jego zdaniem podobnie do ateizmu - i zawiera ona w sobie pragnienie zawładnięcia tajemnicą Bożego istnienia. Wypowiadając opinie na temat duchowych przeżyć innych ludzi należy wykazywać dostateczną ostrożność. Wiara pozostaje sprawą prywatną w tym znaczeniu, że musi wciąż być potwierdzana aktami decyzji: oto pragnę iść ścieżką Twoich czynów, Boże!

Wypowiedzi siostry Faustyny i maryjne orędzia objawieniowe mają charakter proroczego napomnienia i moralnego wskazania. Nie sugerują specjalnego "wywyższenia" Polski i Polaków, niemniej, powiem ostrożnie, zwracają "oczy świata" na naszą Ojczyznę. Czy jednak włączają się w szeroki nurt narodowego mesjanizmu, nieodłącznego od polskości, związanej popularną parafrazą: "Polacy, my lubim mesjanizm" albo "Polska - Chrystusem narodów"? Zagadnienie jest skomplikowane, trudne do objęcia jakimś pojemnym sloganowym zdaniem. Religijny charakter autentycznego mistycznego przesłania uniemożliwia podejmowanie daleko idących interpretacji. Uważam jednak, że nie zostało ono zbudowane (w przypadku siostry Faustyny) na mesjanistycznej, literackiej mitologii romantyków. Ci przecież podkreślali dobitnie, że naród polski ma do spełnienia rolę nowego mesjasza, który przemieni dotychczasowe kulturowe, polityczne i gospodarcze ubóstwo w nową jakość. Wystarczy zajrzeć do *"Historii literatury polskiej"* Stanisława Tarnowskiego, aby przekonać się, że mickiewiczowski *"Dziady"* to w istocie poemat-źródło wiary w Chrystusowe poślanictwo Polski. Zresztą wielu romantyków podnosi-

to niemal do rangi moralnego i artystycznego obowiązku myśleć o szczególnej opiece boskiej, jaką cieszy się ich naród. Dlatego poszukiwali w ojczyrstych dziejach potwierdzeń owej - wywiezionej z biblijnego ducha - wyjątkowości. I nawet, gdy aktualna sytuacja polityczna zdawała się przeczyć mesjanistycznym uniesieniom, tym bardziej oczekiwano realizacji marzeń i profetycznych zapowiedzi. Adam Mickiewicz, z drżeniem serca i rąk sylabizował bełkotliwe liściki mistrza Andrzeja Towiańskiego, za wszelką cenę chcąc być zawsze w "tonie" Chrystusowym. Wygłaszał mowy, napomnienia. Zbiegał o nowych wyznawców "świętej nauki". Gdy jednak przyjrzymy się bliżej *"Biesiadzie! Wielkiemu Peryodowi"*, okazują się one być zlepką różniczek pouczeń, przeplatanych pojęciami gnostyckimi, chrześcijańskimi, z naczelnym hasłem o organizacji duchów w Zastępy, Chmury i Kolumny. Tworzą one "Niebieską Harmonję". Duchy mniej doskonale pozostają w łączności z ciałem, by przez to się oczyszczają, a dalej - zająć miejsce na wyższym poziomie. Stąd już blisko do fascynacji ewolucjonizmem i reinkarnacją. Gdy więc Towiański ogłosił: *"Przychodz do was, abym wam pierwszym zapowiedział, e wypełniły si czasy, wybiła godzina zlitowania Bo ego"* - Mickiewicz, a nawet (choć krótko) Słowacki przyjęli powyższą mistyfikację z nadzieją.

Przeciwko takiemu myśleniu ostro będzie występował Stanisław Wyspiański. Jego zdaniem romantyczna historiozofia mesjanistyczna może przynosić tylko fatalne skutki dla przyszłości Polaków. Gdybym zatem chciał umieścić słowa siostry Faustyna w określonym kontekście historycznym, wskazałbym na tradycje nie tyle romantyczne, co raczej dające się odnaleźć w inscenizacyjnej działalności Wyspiańskiego, który - jak pisze w znakomitej i chyba niezbyt docenionej w naukowych środowiskach pracy pt.: *"Po ogniu szum wiatru cichego"* Maria Prussak - sprawdza mesjanistyczna eschatologię zbiorowości z perspektywy jednostki. Nie wyjaśnia sensu procesu historycznego; ważniejsze są pytania o odpowiedzialność człowieka w społeczności, o uwikłanie w gry, pozory, deformacje. Od romantycznej historiozofii, od pytania o narodową skuteczność, przechodzi do zawartego w niej problemu sensu cierpienia jednostki i sensu ludzkiego losu.² Stąd należy przypatrywać się naszej współczesności raczej z głębi własnych serc i sumień niż z pozycji uniwersalnych. Wskazania siostry Faustyny nabierają znaczeń i stają się zrozumiałe w horyzoncie wyznaczonym przez objawienia fatimskie. Historię przecież uznajemy za historię zbawienia, a więc odkrywamy w niej "gesty samego Boga". Nie chodzi tutaj o jakiś dramatyczny panteizm, lecz wizję życia kierowanego miłością Stwórcy, któremu, jeżeli wolno tak powiedzieć, zależy na szczęściu człowieka. Odpowiedzią na tego rodzaju "Boską troskę" może być tylko całkowita wierność ze strony wierzących. Gdy potrafimy, choćby w małej części, zawierzyć Bogu, przeciwności życia nie wydają się tak przejmująco ciężkie. Być może jakieś wyróżniające spojrzenie Opatrzności na dzisiejszą Polskę wiąże się z trudną nadzieją, że będziemy musieli przejść przez drwiące uśmiechy liberalnych społeczności, domysły miejscowych gapiów i sąsiadów. Przez drwiny i plotki nie idzie się z podniesionym czołem. Ale wspomnijmy wydarzenia ewangeliczne. Anioł Zwiastowania długo nie pozostawał z Maryją. Niemal natychmiast Ją opuścił, już brzemienną niezwykłą wieścią. Tajemnica wybra-

nia dzieje się bez przepychu i królewskich tronów. Tylko w apokryfach i bajkach błyszczą cudowności. Bliskość Boga i człowieka ma inny wymiar, wymiar miłości. O tym właśnie mówią (chcą mówić) głosy mistyków, także głos Jana Pawła II.

2. Polska: miejsce błogosławione.

Zwycięstwo siostry Faustyny polega przede wszystkim na tym, że nigdy nie uległa naciskom świata, dając swe gorliwe świadectwo widzenia i rozmowy z Chrystusem. Podporządkowała dosłownie wszystko prostej nadziei: Bóg jest Bogiem ocalań i miłosierdzia. Nie zważała na przeciwności, niesiona tym jednym *szale stwem*, że oto Bóg nie pozwoli zagubić się w świecie, że ocali ufających. Jej dzieło przynosi poczucie radości, bo w cierpieniu mieści się miłość. Sugeruje, iż nie zostaliśmy uwięzieni w jaskini relatywizmu, lecz winniśmy dać (także jako naród polski) świadectwo autentycznego przyjęcia autorytetu Chrystusa. Oto centrum doktryny katolickiej. Musimy ją teraz szczególnie chronić przed zniesławieniem. Potrzebna jest tutaj pokora i stanowczość, aby nie popaść w interpretacyjne dowolności, a zarazem otoczyć dogmat ciepłem miłującego serca. Warto także postawić pytanie: na ile odpowiadamy oczekiwaniom Kościoła i dlaczego w Kościele pozostajemy? Każdy z nas "przeżywa siebie" w osobistym języku wiary i nie powinien sugerować się postępowaniem innych ludzi. Boga "doświadczamy" w najbardziej prywatnych znakach wrażliwości, choć włączonych w porządek liturgiczny kościelnej wspólnoty. Wędrujemy sobie tylko właściwymi drogami do Zbawiciela. Muszą mieć one jednakże punkty wspólne. I o te "punkty wspólne" toczy się religijna batalia. Mam na myśli zgodę na wcześniejsze od wytycznych Ewangelii prawo naturalne, realizm myśli chrześcijańskiej, potrzebę kontemplacji i otwarcia ekumenicznego na inne religie i wreszcie mądrość filozoficzną. Jeżeli polski naród będzie się starał żyć wedle tych fundamentalnych wskazań, wówczas na pewno stanie się wyraźnym znakiem dla innych narodów.

Nie potrafię bezpośrednio odpowiedzieć na pytania zawarte w redakcyjnej ankiecie. Wykraczają one poza jednostkowe możliwości. Dotyczą czasu przyszłego i tajemnicy Bożej ingerencji w losy świata. Mogę tylko wyrazić swą najgłębszą nadzieję, że wejście Polski w obręb kultury chrześcijańskiej, wielkie tradycje religijnej tolerancji i pontyfikat Jana Pawła II czynią z naszej ziemi "miejsce błogosławione". Obyśmy y potrafili wykorzysta ć to obdarowanie.

¹ Zob . Andrzej Towiański, *Wybór pism i nauk*, Kraków 1922, s. 73.

² Por . Maria Prussak, *Po ogniu szum wiatru cichego*, Warszawa 1993, s. 11.

BIEGNIEMY W NIEWŁAŚCIWĄ STRONĘ

1. Dla uniknięcia nieporozumień, muszę na początku zadeklarować, że mam dość złożony stosunek do zjawiska objawień. Od ortodoksyjnych katolików odróżnia mnie głęboki sceptycyzm, z jakim przyjmuję twierdzenie, jakoby Bóg miał w tak jasny i bezpośredni sposób porozumiewać się ze swoimi wyznawcami. Od konsekwentnych wolnomyślicieli odróżnia mnie natomiast głęboka niewiara, by objawienia były tylko efektem halucynacji, zmysłuń czy zgoła plotki. Posługując się językiem, który jest mi dziś najbliższy, zaryzykowałbym zdanie, że objawienia są manifestacjami nieświadomości zbiorowej, która może mieć bardziej bezpośredni, niż nasze wiadome „ja”, kontakt z tym, „co Bogiem zwiemy” (jak to pięknie sformułował Sęp-Szarzyński).

2. Polski mesjanizm - jako pewna idea - nie spadł z nieba. Jest produktem epoki baroku, na nowo ożywionym w wieku XIX. Jego społeczne skutki są różnorakie, najogólniejsza ocena wypada jednak - moim zdaniem - źle. Sądzę, że odpowiada on w niemałym stopniu za niezdrowy stosunek, jaki Polacy mają do swej narodowości. Ów stosunek da się zilustrować przez analogię do indywidualnego ożycia psychicznego. Nasza zbiorowość przypomina mi mianowicie kogoś, kto nie potrafi polubić siebie takim, jakim jest, a akceptuje się tylko w tej mierze, w jakiej realizuje narzucone sobie, wzniesłe zadanie. *Honni soit qui mai y pense*: jest to przypadek bardzo wielu prawych ludzi. Niewątpliwie jednak stanowi zarazem doskonały fundament dla rozlicznych nerwic. Byłoby cudownie, gdybyśmy potrafili się polubić jako Polacy, a nie jako zbawcy Europy czy świata. Być może wówczas mielibyśmy znacznie większy udział w owym zbiorowym zbawieniu. O ile w ogóle „zbiorowe zbawienie” to nie paradoks: czyż bowiem dobro można odnaleźć inaczej, niż tylko indywidualnie?

3. Jeśli przyjąć zarysowany wyżej punkt widzenia, trudno się dziwić, że w historii narodu, którego ostatnie 200 lat wypełniały częściej niepowodzenia niż spektakularne sukcesy (choć te szczęśliwie też się zdarzały, jak w roku 1918, 1980 czy 1989), pojawiają się głosy, obiecujące owemu narodowi specjalne miejsce w dziejach. Nie twierdzą, że muszą się one mylić. A jednak to wszystko, co dobiega do nas spoza pola wiadomości, spoza obszaru oswojonego, uporządkowanego przez człowieka, zawiera w sobie pewną dwuznaczność. Wydaje mi się, że ślad podobnej intuicji można znaleźć nawet w Modlitwie Pańskiej, gdzie - jak wszyscy pamiętamy - jedno z wezwań brzmi: „I nie wódź nas na pokuszenie”. Nie wydaje mi się pasować do Tajemnicy racjonalny dyskurs uczniów św. Tomasza z Akwinu. Jeśli i już wierzyć, to wierzyć w Boga Żywego, straszliwie odległego od naszych tymczasowych przekonań, co dla nas dobre, a co złe; w Boga, który dopominającemu się o sprawiedliwość Hiobowi odpowiada enigmatycznie: „Gdzie byłeś, kiedy zakładałem ziemię? Powiedz, jeśli wiesz”.

4. Taka perspektywa pozwala dostrzec, że zacytowane w ankiecie zdania z objawień s.Fausty, jak i zdania z Lichenia, nabierają jednoznacznego charakteru dopiero na gruncie pewnej ideologii, którą nazwałbym ideologią katolicko-narodową. Tak: jeśli uznać, że polska odmiana katolicyzmu, ta odmiana, której wyrazem jest np. broszura Stanisława Krajskiego o pt. „Czy filozofia współczesna może doprowadzić do obłędu” albo enuncjacje ks. Rydyzka, to najwyższy wykwit katolickiej duchowości - wówczas wiadomo, co oznacza „iskra, która przygotowuje świat na powtórne Moje Przyjście” lub „nadzieja udręczonej ludzkości”.

Wielokrotnie deklarowałem na piśmie niechęć do tej odmiany katolicyzmu, czy mi zasłużyłem sobie nawet na (nieuzasadniony, moim zdaniem) epitet „antykościelnego publicysty”, jak określił mnie kiedyś tygodnik „Niedziela”. Poza nią istnieją jednak inne katolicyzmy: katolicyzm „Tygodnika Powszechnego” i ks. prof. Tischnera, skonfliktowany z Watykanem katolicyzm Hansa Kunga, żywiący się tradycją egzystencjalistyczną katolicyzm francuski spod znaku Gabriela Marcela itd. Sam mieszczę się, niestety, na ich obrzeżu. Ich istnienie pozwala jednak zobaczyć w zdaniach z objawień całą dwuznaczność: zadanie i pokusę. Wzniósł je zadanie samodoskonalenia i szatańską pokusę samozadowolenia. Ta druga wydaje mi się wyjątkowo destrukcyjna, zarówno dla jednostki, jak i dla zbiorowości.

5. W książce Lewisa Carrolla „O tym, co Alicja zobaczyła po drugiej stronie lustra” znajduje się pouczająca scena, w której bohaterka, chcąc dostać się do uroczego domku w ogrodzie, musi biec w przeciwną stronę: gdy bowiem kieruje się w stronę domku, ów - posłuszny paradoksalnym prawom lustra - oddala się od niej. Ten paradoks znaczy, w moim przekonaniu, drogę zachowań polskiej myśli narodowej. Im bardziej jestem otwarty na inne kultury i pozornie bezbronni (mówię o duchowości, nie o militariach), tym bardziej przyciągamy, fascynujemy i ostatecznie wzmacniamy rolę Polski w dziejach naszej części Europy. Kiedy tylko zaczynamy bronić się przed obcymi, umacniać narodowe imponderabilia, głosić nasze szczególne miejsce w historii - tracimy wpływy, ludzi, a nawet terytoria (wystarczy rzucić okiem, w jakich okolicznościach straciliśmy u progu XX wieku szansę na utrzymanie ziem na Wschodzie). Przypuszczam, że coś podobnego dzieje się z katolicyzmem. Właśnie dlatego uważam, że jego aliansz z prawią narodową jest duchową katastrofą naszego kraju. Katastrofą, która zresztą osobiście mnie dotknęła. Dlatego też nadzieje na wychodzącą z Polski ewangelizację Europy i cały dzisiejszy neomesjanizm uważam za zjawiska spóźnione. Drogę wskazywaliśmy w 1980 roku, kiedy to - w wyniku zabiegów przygotowawczych, takich jak książka Cywińskiego „Rodowody niepokornych” czy Michnika „Kościół, lewica, dialog” - doszło do uni i pomiędzy polskim katolicyzmem a umiarkowaną lewicowością ówczesnej opozycji demokratycznej. Dziś jesteśmy tylko świadkami trwonienia tego dziedzictwa.

O objawieniach dotyczących roli Polski dowiedziałem się po raz pierwszy w dzieciństwie, w domu dziadków ze strony mamy. Nie pamiętam, czyje to były objawienia, ale mówiły one, że to za sprawą Polski świat będzie wyzwolony spod komunizmu. Ola dziadków było to coś autentycznego. Wiara w prawdziwość tych objawień dawała nadzieję, że - pomimo potęgi politycznej - imperium zła kiedyś upadnie, a Polska będzie wolnym krajem. Byłem wtedy w czwartej czy piątej klasie szkoły podstawowej i miałem już - dzięki rodzinie - wyrobione zdanie o tym, czym jest PRL, i podobnie jak dziadkowie przyjmowałem te objawienia z nadzieją. Wszystko to odwoływało się raczej do mojej wrażliwości patriotycznej aniżeli religijnej. Potem interpretowałem w tym duchu wiele wydarzeń historycznych - na przykład wybór Karola Wojtyły na papieża jako nagrodę dla Polski skrzywdzonej i zapomnianej przez Zachód.

Mój późniejszy rozwój intelektualny i polityczny związany był jednak z innymi inspiracjami - w okresie studiów związałem się z opozycyjnym Ruchem Młodej Polski. RMP odwoływał się do etyki chrześcijańskiej i szacunku dla narodowej tradycji, ale przede wszystkim uczył realizmu politycznego i mówił o konsekwentnej realizacji interesów narodowych. W moich poglądach nie było miejsca na bierne oczekiwanie na cud ani na wiarę, że w działaniu politycznym wystarczą szlachetne intencje. Także prometejskie koncepcje wyzwalania przez "Solidarność" krajów znajdujących się pod radzieckim panowaniem uznawałem za nierealne i szkodliwe. Tego rodzaju mesjanizmu nie widziałem i nie widzę za sensowny w planie politycznym. Żywię za to przekonanie, że Opatrzność działa w historii poprzez ludzi i poprzez ich przyrodzoną roztropność i pracowitość. W ten sposób formułował to ponad sto lat temu Józef Szujski: *"Je eli naród jako pa stwo upadł, to z własnej winy, je li powstanie, to własn prac , własnym rozumem, własnym duchem. Jest to to samo, jak gdybym powiedział, e naród upadł z woli Bo ej, ukarany, powstanie za z tej e woli odrodzony, bo je eli Bóg narody osobowymi uczynił, to zastosował do nich prawa te same co do ludzi, te same co do ludzko ci."*

Elementy mesjańskie w nauczaniu Jana Pawła II przyjmuję jako wezwanie do nawrócenia narodu, dawania dobrego przykładu, oparcia życia społecznego na moralnych fundamentach i wreszcie jako nadanie głębszego sensu pracy narodowej - w wymiarze religijnym, moralnym, intelektualnym czy materialnym. Taka postawa może w przyszłości pozytywnie wpływać na inne narody Europy. Nie widzę natomiast w nauczaniu Ojca Świętego przepowiedni konkretnych zdarzeń historycznych.

Redakcja "Frondy" pyta, czy mamy do czynienia z chorobliwym mesjanizmem i polską megalomanią. Zdecydowanie nie. Problemem jest dziś raczej powszechna "pragmatyzacja" myślenia i upadek uczuć patriotycznych. Niestety, reakcja na te zjawiska idzie często w złym kierunku. Pojawia się fałszywy, cikliwy patriotyzm, widzący całą historię Polski w perspektywie krzywd wyrządzonych nam przez sąsiadów. Jest to pokłosie źle rozumianego mesjanizmu. Ta postawa prowadzi do bierności narodowej i uchylania pytań o błą-

dy, które popełniliśmy. A tylko rozpoznanie błędów przeszłości daje nam szansę zajęcia właściwej postawy dziś. Przykładem jest dyskusja o Powstaniu Warszawskim, która drażyła kwestię moralną, wymyśloną przy biurku przez lewicowego dziennikarza, a nie zahaczyła o realny, polityczny spór o Powstanie, spór, który z oczywistych przyczyn nie mógł się rozwinąć w latach powojennych. Czy nie było ono błędem politycznym? Stefan Kisielewski, który był uczestnikiem Powstania, ale miał bardzo krytyczną opinię o jego politycznym znaczeniu, dał nam przykład krytycznego, ale ofiarnego zaangażowania w sprawę narodowe.

Dziś potrzeba nam patriotyzmu czynnego, zobowiązującego do działania na rzecz awansu cywilizacyjnego Polski i oparcia życia społecznego na moralnych fundamentach. Pomagając sobie, damy w ten sposób dobry przykład innym narodom. Tak rozumiany mesjanizm i uznanie objawień dotyczących Polski daje im siłę pozytywnego oddziaływania na ludzkie postawy i narodową historię.

MACIEJ URBANOWSKI, redaktor dwumiesięcznika "ARCANA":

Myślę, że treść objawień przytoczonych przez „FRONDE” należy traktować bardzo poważnie i bardzo dosłownie. Przypominają one o misji nadanej Polakom przez Boga, Kościół i naszych przodków (Sarmaci, romantycy). Sens tej misji, jeżeli czytać rozmaite przekazy historyczne i duchowe, jest od stuleci niezmienny. Chodzi o ewangelizację Wschodu, o włączenie go do chrześcijańskiej Europy. Mówiąc "Wschód", mam na myśli Wschód geograficzny i duchowy. Wschód geograficzny to nasze Kresy, obszary dawnego ZSRR, ale także państwa islamskie, znów, jak przed wiekami, zagrażające chrześcijaństwu, które tym razem nie ma w sobie wewnętrznej siły oporu przed jego potęgą. Grozi nam więc także Wschód duchowy, wewnętrzny (barbarzyństwo, nowe pogaństwo, "zleniwienie" wiary i ducha, utrata łączności z chrześcijańską tradycją), którym staje się dzisiejszy Zachód geograficzny.

Taka misja wymaga od Polaków niezwykłej wiary i ogromnej siły ducha. W tym sensie jest wielkim wyzwaniem dla każdego z nas. Jeżeli jest jakąś nagrodą za wyjątkowość Polaków, to tylko Polaków dawnych, naszych wielkich przodków. A to tylko jeszcze bardziej zobowiązuje. Patrzy na nas Bóg, patrzą i oni. Stąd chyba jedna z przyczyn niechęci do dosłownego rozumienia objawień s. Faustyny Kowalskiej czy Mikołaja Sikatki. Przypominają, jak wielkie wartości i cele są stawką tej gry, jak wiele od nas wymagają. W tych groźnych słowach, gdy ich uważnie wysłuchać, nie chodzi o wywyższenie się kosztem innych, ale raczej o dorastanie do Boskich celów i wskazywanie doń drogi innym. Także o uświadomienie sobie, że obowiązuje nas dzisiaj szczególna solidarność i odpowiedzialność wobec katolików na całym świecie.

Oczywiście cytowane przez „FRONDE” objawienia są wyrazem czegoś, co nazwać można „świadomością mesjaniczną”. Dzisiaj w dużym stopniu tę świadomość zatraciliśmy, z czego wynika nasza nieumiejętność odczy-

tywania głębokiego sensu naszej historii, dziejowych znaków, które ją dopełniają. To w znacznej mierze konsekwencja minionego półwiecza, skutek duchowego wykorzenienia narodu, kruszenia jego kulturowych fundamentów. Walka ze „świadomością mesjaniczną” była znaczącym etapem forsownych prób „zreformowania” narodowej tożsamości. To, co było wielkie i oryginalne w twórczości duchowej Polski porozbiorowej, co decydowało o kształcie polskości wyrastało przecież z mesjanizmu; to, co było w niej małe i epizodyczne, powstawało z reguły poza jego orbitą. Ten proces miał szczególnie intensywny i groźny przebieg wśród elit, które swoją tożsamość budowały m.in. na walce z polskim mesjanizmem, ośmieszanym jako twór chorobliwej megalomanii narodowej, cierpiętnictwa i politycznego irracjonalizmu.

A przecież „świadomość mesjaniczną” nie jest świadomością chorobliwą, rodzajem jakiegoś pocieszenia w trudnych dla narodu chwilach, swoistą autoterapią narodowego ego. Rozumiał to doskonale „wariat” Witkacy, gdy w "Niemytych duszach" zauważał, że dobrze rozumiany mesjanizm jest przejawem głębokiego zdrowia moralnego. Nie chodzi tu tylko o to, że każdy „normalny” naród wierzy w swoją szczególną rolę w historii, i że ta wiara staje się powodem jego dumy, daje mu moc niezbędną dla istnienia. Naród, który traci poczucie swej misji, karleje duchowo i materialnie. „Świadomość mesjaniczną” ma więc swój wymiar dynamiczny. Ma też wymiar indywidualistyczny. Wymaga od każdego z nas poświęcenia dla innych ludzi - właśnie poprzez naród. Poświęcenia nie trzeba utożsamiać z „cierpiętnictwem”, zrównywać ofiary wyłącznie z cierpieniem fizycznym. Ofiara ma tu sens daleko szerszy i bardzo realny. Jest - w swych najdalszych konsekwencjach - zgodą na męczeństwo za wiarę, ale też oznacza rezygnację z „hedonistycznej” postawy egoizmu dziejowego na rzecz „ascetycznej” postawy służby i pracy. Oznacza też pokorę i posłuszeństwo wobec Boga, który wybrał dla nas taki, a nie inny naród jako teren pracy. „Nie wybiera się ojczyzna, jeśli się ufa w Boga nad sobą”, pisał Koniński. „Ślepy los urodzenia się tu, nie gdzie indziej, staje się przeznaczeniem, obowiązują mnie już wszystkie konsekwencje moralne tego przypadku. Tu, nie gdzie indziej, bez względu na wszystkie groźne możliwości, ma być użyty mój charakter. A to już jest odczuwanie wiary: to już jest poczucie solidarności, uczestnictwa w Potędze, która prze w świat dla przerozbienia go i która dotyka świata wtem tu miejscu - mną. Odejść od tego miejsca to nie zmienić punkt obojętny w przestrzeni na inny punkt obojętny, to sprzeciwić się Mocy, która mnie używa tutaj, której w tern miejscu jestem potrzebny. Powiad a się czują c tak: „ *Turni Bóg postawi! na tym posterunku*”. Jest się wtedy jak ten gwóźdź potężnym młotem wbity w twarde, granitowe skaliste góry...” Naród, Polska to w takiej perspektywie każdy z nas osobno, a to oznacza, że cały ciężar mesjanicznej misji spoczywa na każdym z nas - razem i osobno. Dlatego też każdy, nawet najdrobniejszy i najbardziej powszedni nasz gest, każde nasze słowo nabiera szczególnego ciężaru, realności, wtedy gdy uświadomimy sobie, że realizujemy pewną szczególną i wspólną dziejową misję, pracę cywilizacyjną, za którą poniesiemy odpowiedzialność przed historią i wiecznością. Dlatego też mesjanizm • powtórzmy - jest głębokim realizmem dziejowym. Bardzo dobrze rozumieeli to romantycy i nie-

którzy ich XX-wieczni kontynuatorzy (Brzozowski, Górski, Braun, Trzebiński). Dzisiaj brakuje nam ich moralnej i historiozoficznej przenikliwości, stąd być może też klęska solidarnościowej rewolucji, chorobliwy, krótki oddech naszej historii współczesnej, której znaków nie umiemy czytać i którym nie chcemy być posłuszni. Stąd wreszcie tragiczna obojętność na „mesjańskie” przesłanie pontyfikatu Jana Pawła II.

Myślę, że wypełnić te bardzo trudne wyzwanie zawarte w objawieniach przytoczonych przez „FRONDE” możemy najpierw od rozpoczęcia romanetycznej w istocie pracy u podstaw w narodzie polskim. Jej celem byłoby wypracowanie „nowego”, zorientowanego „mesjanicznie”, „ofiarniczo” modelu polskiej kultury. Chodziłoby o „nowy” styl życia, który byłby współczesnym odpowiednikiem postawy dawnych bojowników o świętość, misjonarzy, rycerzy i ascetów... Rozpoczęcie tej pracy wymagałoby zwłaszcza znaczącej ewolucji duchowej polskiej inteligencji, która winna - ponownie - bardzo mocno wesprzeć się na fundamencie wiary katolickiej, mieć odwagę jej integralnego poświadczania, tak swym dziełem jak i życiem, wreszcie być świadomą, że dziś - jak zawsze - w każdym punkcie globu sprawa katolicka jest sprawą polską. Z takiej świadomości, z takiej postawy rodziłaby się Nowa Polska, światło i wzór dla innych narodów, Wysokość nad Wysokościami, jak pisał Słowacki, z a którą podążać będą inne narody.

JERZY ZELNIK, aktor:

Zostaliśmy, zdaje się, w dużym stopniu wyleczeni z pięknych chorób narodowych: patriotyzmu, przywiązania do tradycji, godności, honoru, a już najbardziej - z poczucia misji, która wynikała z wiary w sens apostołstwa chrześcijańskiego i przywiązania do idei wolności ludów i narodów.

Kiedyś, może u progu lat 80., wiara w doniosłą rolę, jaką mamy spełnić wśród narodów, dawała zadziwiającą siłę naszym zrywom powstańczym, a także odważnym i pomysłowym jednocześnie formom protestu społecznego.

Teraz z żalem obserwujemy uwiad entuzjazmu, wiary, gotowości do poświęceń, do bezinteresownego służenia ojczyźnie - to znaczy ludziom, którzy tę ziemię zamieszkują teraz i tym, którzy po nas przyjdą.

Po latach niedosytu materialistycznego, szarżyzny, tandety, brudu i kłamstwa, rzuciliśmy się, jak zgłodniałe wilki, na każdą okazję, dającą szansę szybkiego wzbogacenia się, urzędzenia się na wszelki wypadek na całe życie, aby czerpać korzyści z dóbr jeszcze długo po utracie przywilejów wynikających z posiadania władzy, miejsca w układzie lub intratnym, ale niepewnym interesie.

Potrzeby duchowe wygasają. Mało zostaje na nie czasu, energii - i przestają być w cenie. Jedne po drugich padają autorytety. Ludzie nie chcą słów prawdy, często gorzkiej. Skutki są niemal natychmiastowe. Tracimy wzrok - coraz trudniej nam odróżnić ziarno od plew. Tracimy słuch - nie słyszymy fałszu w pięknie brzmiących deklaracjach. Przystajemy być narodem - staje-

my się obywatelami, podlegającymi przepisom, które próbujemy omijać, aby chronić nasze świeżo nabyte dobra.

Coraz częściej przestępca cieszy się wolnością, zbiera żniwo, ba, nawet uchodzi za symbol sprytu i mocy. Tak zwani "uczciwi ludzie", którzy Boga lub przynajmniej własnego sumienia się boją, uznawani są za naiwnych, głupców lub niewygodnych - bo odbijają światło, które razi "praktyczną" większość.

Smutny to obraz - w szybkim tempie dajemy się wynarodowić, własnymi rękami grzebiemy dorobek pokoleń, które życie traciły za polskość (co-raz bardziej abstrakcyjne pojęcie dla współczesnych).

Jakie jest wyjście? Obawiam się, że tylko terapia wstrząsowa jest w stanie przywrócić zdrowie społeczne za życia mojego pokolenia (średniaków). W przeciwnym razie czekają nas długie lata mozolnej, codziennej pracy dobrych ludzi, którym oby starczyło sił i cierpliwości, a oni sami oby oparli się zniechęceniu i w imię prawdy oraz miłości przywracali wzrok i słuch kalekim ludziom (najczęściej pozbawionym świadomości własnego kalectwa).

moc przygoda tajemnica

potrójna moc
wybielania !!!



usługi non-stop
w całym kraju!



pełna gwarancja -
- pełna dyskrecja!



robimy to dla
Ciebie - gratis!

100.000.000

KRZYSZTOF KOEHLER

NIE JESTEŚMY SAMI

1.

Nie jesteście sami. Wiem o tym, bo nieustannie doświadczam obecności, bo jestem potrzebny i zarazem potrzebuję pomocy.

"Kiedy przed dniem Zadusznym poszłam na cmentarz o szarej godzinie, cmentarz był zamknięty, jednak uchyliłam trochę drzwi i powiedziałam, że jeśli czegoś dacie duszyczki, chciejcie nam zado uczynić, o ile mi na to reguła pozwoli. Wtem usłyszałam te słowa „Spełnij wol Bo - my o tyle jesteście mi szczerze wierni, o ile spełniłyśmy my wol Bo .

Wieczorem przyszły te dusze i prosiły mnie o modlitwę, modliłam się wiele za nie. Wieczorem, kiedy procesja wracała z cmentarza, ujrzałam całe mnóstwo dusz, które razem szły z nami do kaplicy, były modlitwy razem z nami. Modliłam się wiele, bo miałam na to pozwolenie przełożonych.

Na drugi dzień o dwunastej, kiedy weszłam na salę, ujrzałam osobę konającą i dowiedziałam się, że agonia zaczęła się w nocy. Kiedy stwierdziłam - było to w ten czas, kiedy mnie proszono o modlitwę. Nagle usłyszałam w duszy głos: - odmów tę koronkę, której ci nauczylem. Pobiegłam po różaniec i ukląknęłam przy konającej i zaczęłam z całym gorączką ci ducha odmawiać tę koronkę. Nagle konająca otworzyła oczy i spojrzała na mnie i nie zdążyłam z mówić całej koronki, a ona już skonała z dziwnym spokojem.

Dziś wieczorem poznałam, że potrzebuje pewna dusza mojej modlitwy; gorączką się pomodliłam, ale jeszcze czułam, że to jest za mało, więc trwałam dłużej w modlitwie. Na drugi dzień dowiedziałam się, że wstała nie o tej porze zaczęła się konanie pewnej duszy i trwało do rana. Poznałam jak ci kiedyś walki przechodziła. Dziwnie Pan Jezus daje mi poznać, że dusza konająca potrzebuje modlitwy mojej. Czuję jej ducha, który mnie prosi o modlitwę, żywo i wyraźnie. Nie wiedziałam, że taka też czono jest z duszami, a czyż to mi mówi mój Anioł Stróż ... 71/

Świadekstwo błogosławionej siostry Faustyny niech będzie w tym tekście jako tarcza, jako Ostateczne uzasadnienie, jako dowód, wobec którego milczy filologia, czyli rozumiejące czytanie słów.

Jest to moje prywatne świadectwo, mój dług, który bardzo mocno domaga się spłaty. Jest to wdzięczność, nieprzeceniona, dla moich Świętej Pamięci Dziadków, ponieważ to ich obecność w moim życiu, szczególnie teraz, po ich śmierci ziemskiej, jest dla mnie najbardziej żywym i najgłębszym przekonującym dowodem na wzajemną nieskończoną pomoc, przekraczającą miarę doczesności. Wszyscy powtarzamy to święto wspólnoty, kiedy uczest-

niczemy w obrzędzie pogrzebu i potem, kiedy włączamy się w święto Wszystkich Świętych: radosne święto Porozumienia i Pomocy.

Jeżeli więc i teraz, jak nie ustajecie cały czas, jesteście ze mną, zważcie na moje prośby i słowa modłów wymawiane za Was, i bądźcie teraz ze mną, bo wierzę, że nie opuszczacie mnie w takich momentach. Bądź i Ty, siostrzo Faustyno, wspieraj mnie, który nie jestem godzien przemawiać.

2.

Rzecz bowiem w tym, że doświadczenie wspólnoty, komunikacji leżącej u podstaw bytu człowieka na ziemi, jest - zdaniem Mickiewicza - najbardziej podstawowym zaczynem polskości, polskiego katolicyzmu. Twierdzenia te wypowiedzane są przez poetę w wielu miejscach. *Expressis verbis* słowa te padają w Wykładach Paryskich/2/, stanowią też podstawową artystyczną i filozoficzną ośnowę „Dziadów” i przenikają całe dzieło poety: od „Ballad i romansów” po ostatnie wiersze.

Tajemnicą dzieła Mickiewicza jest jednak to, że owo „współdziałanie”, „komunikacja” dwóch światów dokonują się nie tylko w wymiarze indywidualnym: obejmują także tak wielkie i najbardziej podstawowe zbiorowości ludzkie jak naród. Kwestii owej „powszechności” warto się przyjrzeć, bowiem u jej kresu, inaczej - jej punktem dojścia, niejako konsekwencją tego typu myślenia - są objawienia: indywidualne, niemniej jednak odnoszące się do wspólnot. Kwestia ta jest ważna, bowiem zakłada fundamentalne pytania o to, gdzie jest „miejsce” na objawienia oraz jak należy je czytać, jak je rozumieć. Przez „miejsce” rozumiem przestrzeń wypowiedzania objawień - język. Ich treść zaś dotyczy zwykle historii, a konkretnie funkcji, celów i zadań wspólnoty narodowej.

3.

Przed Mickiewiczem (pisałem o tym we „Frondzie” 4/5) na historię spoglądano metafizycznie. Przykładem takiego metafizycznego „podglądania” dziejów wspólnotowych będą do czasów „Dziadów” utwory typu „Psalmodia polska” Wespazjana Kochowskiego. „Psalmodia” to po prostu polskie psalmy. A czymże są psalmy biblijne, hebrajskie? Poezją. Językiem artystycznie uporządkowanym, ale teleologicznie podporządkowanym nie estetyce, ale Prawdzie. Psalmi są modlitwą. Piękną modlitwą, bo wyszukanie konstruowaną, mową odświętną, ale ani odświętność, ani konstrukcja nie są ich celem. Celem jest nazwanie stosunku człowieka do Boga; do człowieka i jego wspólnoty narodowej, a zarazem określenie stosunku Boga do człowieka w jego poszczególności i w ramach jego uczestnictwa w dziejach narodu wybranego.

Światoodczucie psalmów, jak wiadomo, nie odróżnia języka prywatnego (mowy na swój użytek) od narodowego (mowy na użytek ogółu). Nie przeciwstawia dziejów indywidualnego życia dziejom narodu. A życie wspólnoty narodu wybranego ukazywane jest na dwu planach: wydarzeń historycznych i całkiem konkretnych, z owymi wydarzeniami związanych, Boskich wyroków. Bóg nie porzuca historii narodu wybranego. Bóg wierzy w swój naród i poprzez historię prowadzi go do celu. Jaki to cel?

Oczywiście jest on znany Transcendencji, ale usiłowała opisać go myśl ludzka. Odpowiedzi udziela Arystoteles, podsuwając mistyczne i racjonalne zarazem odczytanie celu: cel to istota, osiągnięcie swego przeznaczenia, formy, ostatecznego kształtu. Zatem, według tego sposobu rozumowania, naród wybrany w dziejach rozpoznaje swój postępujący cel, wiedziony światłem Boskiego kierownictwa.

Naród Izraela, według Psalmów, wybrany był nie tylko „dzięki” nadmiernej przezorności w „czytaniu” dziejów okiem podrażnionym żądzą mirakularności, doszukiwaniem się cudu czy też znaku w każdym, nawet niekoniecznie chlubnym wydarzeniu historii. Naród wybrany ma świadectwa: słowa Boga Żywego, Jego zapewnienia i dowody owych zapewnień.

4.

Problem w tym, że Polacy, też kiedyś uznali, że są narodem wybranym. Zapatrzeni we wzory Izraela? Zasluchani we własne dzieje, które zaczęli czytać metafizycznie? Rozczytani w Arystotelesie i Św. Tomasz z Akwinu, którzy uczyli o entelechii wszystkich bytów? Czy może Bóg do Polaków mówił i dawał Swe Słowo?

Z pewnością historia dawała znaki, o czym już zresztą mówiłem. Jednakowoż, odczytywanie historii, poszukiwanie w formach ustrojowych czy też wypadkach historycznych znaczeń „naddanych” i wszystkie tego typu rodzaje rozumowania są wtórne, w stosunku do założenia kompletnie pierwotnego: do metafizycznej optyki rzeczywistości, od góry upatrującej swego Założyciela i w Nim widzącej sens, nie na odwrót. Tak jak jest w Psalmie, który kiedyś podał pod moje oczy Przypadek, gdy przez kraty broniące dostępu do wnętrza kaplicy na Groniu Jana Pawła II w Beskidzie, przeczytałem:

*"Wznosz swoje oczy ku górom:
Sk d e nadzieie mi pomoc?
Pomoc mi przyjdzie od Pana,
Co stworzył niebo i ziemi ..."*

PSALM 121 (120) „*Bóg czuwa nad nami*”

Tak, na tych podstawach, rodził się mesjanizm, ten pierwszy, staropolski, który jednak nie powinien być okreśłany mesjanizmem, bo bardzo się od niego różni, przynajmniej od tego, który znamy z czasów Romantyzmu czy nieco wcześniejszego: mesjanizmu odkupiającego, dolorystycznego. Szlachta chodziła po ziemi, a swoje metafizyczne wzloty ograniczała do życia państwowego (elekcja króla) i do życia swojej parafii. Sądzę więc, że bardzo daleka była od mesjanizmu, tak jak my go dziś rozumiemy. Trudno też w takim świetle postawę szlachty określić tylko i wyłącznie mianem narodowej megalomanii.

Chodzi mi o to, że przekonanie, iż Polską opiekuje się Pan Bóg, a Matka Boska jest Polską Królową^{3/}, były nie tyle płaszczykiem dla bezna dziei i marazmu intelektualnego oraz politycznego (nie mówiąc już o ducho-

wym), co - to wydaje się mi znacznie ważniejsze - były konkretnym zadaniem do wykonania, pracą i wysiłkiem, pewnym - nie przestrzegającym niestety zbyt gorliwie - wzorem normatywnym, streszczającym się w hasło: żyj lepiej.

Zatem więc, Rzeczpospolita to kraj nieustannego wysiłku Kościoła krążącego się wokół pomocy Matki i Syna. „Wokół” znaczy tu instytucjonalne przyżywanie Matczynego Królowania nad Koroną i Wielkim Księstwem. Przede wszystkim więc stały kult obrazów świętych, figurek, miejsc objawień, cudów, płaczących obrazów itp.

Poza tym fala nieustającego kaznodziejstwa, ogromnej, nieporównywalnej z innym okresem spuścizny piśmiennictwa religijnego, które zalegało nie tylko półki wydawnicze, ale też stragany jarmarczne, miejsca pielgrzymkowe. Zatem więc ogromna praca pokoleń ludzi tworzących, wydających i czytających tę literaturę.

Po trzecie kwestia, szczególnie w wieku XVIII ważna: koronacje cudownych obrazów zapoczątkowane w 1717 roku koronacją obrazu NMP w Częstochowie, a potem lawinowo: 1723 - Kodeń nad Bugiem, 1724 - Sokal, 1727 - Podkamień i tak dalej rok po roku, aż do dzisiaj, niezmiennie, zawsze tak samo. A każda koronacja a to zjazd tysięcy pielgrzymów, to tłoczone w różnych materiałach medaliki z cudowną figurą bądź obrazem, to wydawnictwa okazjonalne związane z uroczystością (kazania, relacje wierszowane i niewierszowane, mowy, gratulatoria itd.)

Pomijając teologiczne znaczenie koronacji, z każdą z nich wiązały się śluby, posty, jałmużny, a przede wszystkim każda z nich była świętem lokalnej społeczności w pierwszej linii, brało w niej udział wojsko, huczały działa i przez wiele dni ucztowano, radując się świętem.

Albo i też pogrzeby, owe setki zakonników, dziesiątki księży, wielkie przygotowania kuchenne i duchowe, niesamowitych rozmiarów castra doloris, bramy, dekoracje, drapowanie kościołów, epitafia, kruszenie kopii, uczty, mowy, mowy, mowy, cały wielki wysiłek finansowy i życiowy...

Ale to jeszcze nie wszystko. Pomijam tu gorące istnienie modlitwy, bractwo, stowarzyszeń, pomijam też święta związane z rokiem liturgicznym Kościoła, pomijam obyczaje domowe związane z pobożnością (a były jakieś inne? poza ślubami, imieninami, chrztami, zgonami, śniadaniem postnymi i mięsopustymi?).

Jasne jest, że można we wszystkich tych działaniach doszukać się pustki i pozy, wyrzucać naszym przodkom brak religijności głębokiej, wszystko nazywając religijnością naiwną, instytucjonalną, pozorną. Można oskarżać Sarmatów o prostactwo duchowe, ale gdy tylko przestaniemy patrzeć na to, co było, z wyżyn pychy naszych żalonych czasów, przecież równie dobrze można zobaczyć (i tak samo wyraźnie) właściwie coś przeciwnego: zanurzenie całej aktywności człowieka w religii, w odniesieniach metafizycznych. Nazwijmy jeszcze tylko tę aktywność pracą wokół "wybraństwa" i obejmijmy sobie katalog specyficznych miejsc w Rzeczypospolitej:

"Sławny jest Loret w s msiedztwie Ankony

Sławne Monserrat blisko Barciniony

Aspyrkoł, Halle, sławna Polska ow

Jej Cz stochow .

*Pi kna w Sokalu, w Le ajsku cudown
Slynie dobroci w Bochniej niewymown :
Chelm, yrowice, Sk pe i Paj czne
Łaski Jej wdzi czne.*

*Jarosław, Tuchów, Troki, My lenice,
Podkemie , Klewa , Zdiesz i Piotkowice,
Co rozdzieraj uwikłanych w sidle
Czartowskim - Gidle.*

*Piasku, o Piasku, który od północy
Jest krakowskiemu miastu na pomocy,
Twe wota wdzi cznych, kto zliczy luby
Pilen rachuby.*

*Widz c cudownych miejsc w Polsce gromad
Z takieju przyczyny wprzód Studziann kład :
Tu w zaszczyt obóz toczy nam widomy,
Tam - modlitw domu. 74/*

Kochowskiemu chodzi o to, że we wsi Studzianna około roku 1660 obraz Św. Rodziny zaczął słynąć cudami. W roku 1671 prymas Prażmowski potwierdził cudowność obrazu i w ten sposób Rzeczypospolitej przybył kolejny ważny strategicznie element obrony wschodnich rubieży potężnego Królestwa:

*"W Studzianny za jest fortec warown ,
Baszt Dawida i twierdz duchown ,
Arsenał, w którym na obrony twoje
Masz Polsko zbroje.
Bram jest na wschód sło ca wystawion
I mocn wie , za której obron
Od pogan Polska niewzruszenie wiecznie,
Stoi be piecznie.
Ten antemurał Sarmacyjej dany,
Przez brzydkie nigdy nie zwalczon pogany. 75/*

Bardzo ciekawą sprawą jest tutaj kwestia Wschodu, który w tekście „Godzinek” (parafrazowanym przez Kochowskiego w pieśni o Studziannie) ma swoje biblijne uzasadnienie. Najprawdopodobniej Kochowski używa „Wschodu” w nieco innym sensie niż my dzisiaj i niż Romantycy. Wschód w okresie staropolskim implikował poniekąd intelektualno-polityczną strategię Polski na arenie międzynarodowej. I tylko tym sensie (sensie zagrożenia wschodniego grożącego Europie, które to ogólnoeuropejskie zagrożenie nadało Polsce polityczno-militarną misję obrony Europy przed Wschodem) 16/ możemy mówić o przed-romantycznym mesjanizmie Polski.

Kiedy się owemu rzekomemu mesjanizmowi bliżej przyjrzymy, okaże się. wówczas, że był on po prostu summa polityczno-militarnej strategii międzynarodowej polityki polskiej, zrećnie wykorzystywaną już wówczas przez polskich polityków dla przeprowadzenia konkretnych interesów politycznych Rzeczypospolitej. Warto choćby wspomnieć o świetnie rozreklamowanej spr-

wie zwycięstwa Jana III Sobieskiego pod Wiedniem, czy też powołać się na wieloletnią politykę królów polskich odnośnie Watykanu, gdzie często dla osiągnięcia całkiem wymiernych korzyści powoływano się na europejską funkcję Rzeczypospolitej jako państwa-bufora, państwa-przedmurza chrześcijaństwa.

Ale, czy można kwestię polskiego pre-mesjanizmu potraktować tylko w kategoriach polityki, odrzucając metafizykę? Otóż nie, bo klóciłoby się to z faktami, o których mówiłem wcześniej. I tak, jeśli politykę uznać (za najwyższymi autorytetami, a choćby i za Arystotelesem) za drogę dochodzenia do prawdy na poziomie narodów czy państw, to wtedy, w takim ujęciu, szlachecki trybun chwalcący koncepcję Polski-przedmurza nie jest ani zadufanym w sobie megalomanem narodowym, ani też zręcznym pragmatykiem politycznym wykorzystującym koncepcję przedmurza do fiskalnych ustępstw ze strony władzy papieskiej. W takim bowiem ujęciu szlachecki trybun dąży do prawdy i jest jej wyrazicielem, bo swój wywód opiera najpierw na metafizyce, odczytując „zadanie” Polski. Mówi więc o faktach i nie musi tych faktów instrumentalnie wykorzystywać.

Jeżeli więc przemawia, nazywa z samej głębi doświadczenia. Wyraża owo doświadczenie najbardziej własne, indywidualne (był bowiem w tych różnych przez Kochowskiego przywoływanych miejscach) 177 i zarazem najbardziej zbiorowe doświadczenie, zbiorowe na poziomie wspólnoty (bo wie, zna cel owej zbiorowej religijności, która wyraża - i musi wyrażać! - inne zadanie dla jednej wspólnoty a inne dla drugiej). Jego język wznosi się do języka Psalmów w „Psalmidii polskiej”, nie popadając w niezgodę ani z literą Pisma, ani z poglądami filozofów kształtujących myśl europejską. Bo każdy naród jest wybrany, tylko każdy do czego innego!

5.

Czy więc tylko Wschód decyduje o "wybraństwie" Polski, Rzeczypospolitej? Trochę tak widzi Polskę i jej rolę na arenie europejskiego ducha Mickiewicz, kiedy z mozołem kreśli w Wykładach Paryskich swoisty plutarchowy żywot równoległy dwu narodów, cywilizacji i kultur: Polski i Rosji. Dla wiele wiedzącego wieszczą romantycznego takie przeciwstawienie fundowało linię napięć w obrębie rozwoju całej Słowiańszczyzny.

Oto znamienita konstatacja poety w tej materii: „Jak w Polsce wybór króla przez masę szlachty był uważany za skutek natchnienia Bożego, tak w Rosji wierzono w pewien rodzaj przeznaczenia, konieczności fatalnej, kierującej umysły na tego kandydata, który miał być od wszystkich uznany”

Owa równoległość, by nie rzecz komparatystyczność sposobu widzenia powoduje „wschodnie” nakierowanie opcji poety. Polska a staje się przeciwieństwem Rosji. Nie miejsce teraz mówić o tym dokładniej. Warto jednak dodać tyle, że niedostrzeżenie rozwoju Rosji (i Prus) przez zbyt hipnotyczne wpartywanie się Starej Polski w zamierającą Turcję uznaje Mickiewicz za jeden z głównych błędów polskiej polityki (i jedną z przyczyn upadku Rzeczypospolitej).

Ale jednak nie tylko kwestia wschodnia decyduje o entelechii czyli istocie

i zadaniu Polski. Pozostaje bowiem jeszcze kwestia katolicyzmu "bo w Polsce cios zadany religii katolickiej wywraćał od razu Rzeczpospolitą..".

A zatem nie tylko Wschód. Także forma religii katolickiej. Tyle Polski, ile katolicyzmu. Gdy zamorduje się polski katolicyzm, zniknie i Polska. Tu nie ma nic więcej. Inną formę trudno sobie nawet wyobrazić.

6.

Dziady to obrządek pogański, który ociera się o znaną nam z lekcji Kościoła koncepcję Czyśćca. Dziady świętuje się (obchodzi się) w dzień Zaduszny. Mickiewicz czyni z nich obrządek moralny, w którym dusze cierpiące udzielają zebranym pouczeń i nauk, przy nie bardzo skutecznie działającej pomocy ze strony ludzi.

Dziady więc niejako zbliżają się do Czyśćca, chociaż omijają chrześcijaństwo, odbywając się na wiejskich cmentarzykach, z dala od kościołów i cerkwi. Ale podstawowa idea Dziadów: przekonanie o łączności różnych rzeczywistości, jest bardzo blisko koncepcji Czyśćca.

Niewiele osób widziało to miejsce. Jedną z tych, którzy zwiedzali za życia Czyściec, była siostra Faustyna od Modlitwy Ucalającej Dusze:

" Ujrzałam Anioła Stró a - pisze - który mi kazał pój za sob . W jednej chwili znalazłam si w miejscu mglistym, napełnionym ogniem, a w nim całe mnóstwo dusz cierpi cych. Te dusze modl si bardzo gor co, ale bez skutku dla siebie, my tylko mo emy im przyj z pomoc . Płomienie, które paliły je, nie dotykały si mnie. Mój Anioł Stró nie odst pował mnie ani na chwil . I zapytałam si tych dusz, jakie jest ich najwi ksze cierpienie? I odpowiedziały mi jednogło nie, e najwi ksze dla nich cierpienie to jest t sknota za Bogiem. Widziałam Matk Bo odwiedzaj c dusze w czy cu. Dusze nazywaj Maryj „Gwiazd Morza”. Ona im przynosi ochłod . Chciałam wi cej z nimi rozmawia , ale mój Anioł Stró dał mi znak do wyj cia. Wyszli my za drzwi tego wi ienia cierpi cego."

Czyściec można przekroczyć, zniweczyć, skrócić modlitwą wspólnotową. Pogańskie "Dziady" Mickiewicza, choć wynikają z tego samego przekonania, dowodzą zarazem, że pomoc się nie udaje, magia jest bezsilna wobec mocy pokornej modlitwy. Dusze, które nawiedzają wspólnotę w "Dziadach" mogą jedynie przestrzec spoza granicy, ale nikt z ziemian nie może się do nich zbliżyć. Dziady najwyżej mogą zmniejszyć chwilowo ich cierpienia, ale nie mogą nic zmienić.

W to głębokie jądło, w to przeświadczenie wnika "Dziadów" część III, czyli opowieść o Polsce.

7.

"Dziady" cz. III dzieją się wszędzie. We wszystkich wymiarach rzeczywistości: wizje, prorockie natchnienia, żarty salonowe, tańce, podchmielone piosenki więźniów: są tam namolne umizgi starzejących się skurwieli i martyrologia Polaków. Wszystko w jednym języku, w jednym tekście.

Sytuacja ta skłania do pytania o to, jaką mocą, na jakiej zasadzie może być uprawomocniona taka wielowymiarowość świata „Dziadów”, powstające: od widzeń, i prorocत्व, Aniołów Stróży (narodów i pojedynczych ludzi, chórów Anielskich i psychomachii przedstawionej zresztą w świetle grubej sarmackiej metafizyki) po nowinkarstwo polityczne, salon warszawski i dialogi sprzedawczyków z katem. Pytanie brzmi: jak to się dzieje, jak skleja, jak łączy w organiczną całość? Pytanie to ma dalsze konsekwencje i zadaje je w tym celu, aby nieśmiało zbliżyć się do pytania o to, z jakiego języka wyrastają prorocत्वa polskie, objawienia, te z Lichenia, ale i te, które usłyszała siostra Faustyna, te, które dotyczą Polski, jej dziejów i roli, jaką ma do odegrania jako wspólnota jednego języka, jednego krajobrazu?

Pozorna i prosta jest odpowiedź płynąca z romantycznego dramatu: Dziady wynikają z języka polskiego, który nie cofał się przed pełnią i sławą życia we wszystkich jego przejawach. Jest to więc język, który otwiera się na głos Psalmów i głos "Psalmidii polskiej", jednakowoż znacznie się od nich różniąc.

Wszystko można powiedzieć o Mickiewiczu, ale nie to, że był symbolistą, sztukatorem, dodawaczem. Zatem to nie symboliczne myślenie kazało mu powrzucać te wszystkie nadnaturalne rekwizyty do „Dziadów”. Mickiewicz nie używa „wielkiej pojemności” także i w tym celu, by nie wierząc w nią, sprzedać jakieś konkretne idee. Przekonuje mnie o tym artystyczna moc jego języka. Rekwizytor nie napisałby takich fragmentów jak opowieść Jana Sobolewskiego. Sądzę też, że sztukator przejechałby się na Wielkim Wymiarze: Anioły pełniłyby u niego rolę rekwizytów, kukieł wypychanych zza kulis dla spotęgowania nastroju. W „Dziadach” natomiast pełnią rolę aktorów, pierwszoplanowych Mocy, których racje ścierają się na scenie. I właśnie opowieść, taka jak historia relacjonowana przez Jana Sobolewskiego, tylko obecności Aniołów zawdzięcza swą moc.

Polega ona na tym, że potwierdza ową opowieść historia, nasze dzieje wspólne. Reakcja rodaków na słowa Sobolewskiego jest wciąż taka sama mimo upływu stulecia. Prawie wszyscy bowiem spośród nas mogliby podstawić w miejsce cierpiących bohaterów tej opowieści jakichś swoich bliskich. I to od 1830 roku, przez wszystkie wydarzenia historii aż po Katyń, ubeckie mordy na patriotach, aż po stan wojenny.

Ale nie tylko Sobolewski i jego historia otwierają dzieje Polski. Podobnie jest ze sprawą Rollisona - i to zarówno jeżeli chodzi o cierpienie Matki, jak i postępowanie Senatora Nowosilcowa oraz jego bandy zdrajców. Sprawdzeniem słowa Mickiewicza jest tu powtarzalność, nawrót, psychologiczne ale i historyczne prawdopodobieństwo, czy też mówiąc wprost: prawda.

O uzasadnieniu (i u-sensownieniu) owej powtarzalności w „Dziadach” decyduje tkanka metafizyczna, niejako podwieszenie akcji dramatu do Sferi Niewidzialnej, która wyraża się albo osobiście, albo w snach, albo też poprzez działanie postaci. Szaleństwo Konrada nie pogrąży go do końca, bo - tu dopuszczam się skrótu - nie pozwoliły na to: modlitwa (przyznaje to Anioł) i Matka Boska, ta, którą siostra Faustyna widziała w Czyśćcu, „Gwiazda Mor-ska” (za którą wcześniej ujął się Konrad, broniąc jej imienia przed profana-

cją). Matki Bożej nie ma w „Dziadach”, ale obecność jej zdradza widzenie Ewy. Ewa, podczas modlitwy za Konrada (tej modlitwy, która go ocala!), widzi mistyczną Różę:

*"Jeszcze pójd , przed Matk Naj wi tsz ukl kn ,
Pomodl si za niego; kto wie, czy w tej chwili
Ma rodziców, eby si za nim pomodlili."*

S to słowa Ewy przed jej mistycznym snem.

Nieświadomy Konrad, opętany Konrad ocala młodego Rollisona; ks. Piotr, Ewa, a przez nich Maryja ocalają Konrada. Litość i wzajemna pomoc rządzi światem, widzialna w dramacie pod postaciami Aniołów Stróży, którzy zmagają się z siłami ciemności. Nikt nie jest sam. Są ludzie przy nim, a nad nimi duchy niebieskie lub duchy potępienia. Wszyscy są ze sobą związani siecią bezpośredniej zależności. Wspólnota żywych i umarłych, wzajemność niekończącej się nigdy pomocy, czyli Dziady, sięgają wszędzie: przez grób w historię. Byłoby to więc podobne widzenie świata jak w „Psalmidii polskiej”: metafizyka połączona z historią przy czym na pierwszym miejscu byłaby tu metafizyka. Samotność i indywidualność spleciona z życiem narodu, wspólnoty.

Ważne też, by pamiętać, że siły światła i ciemności ścierają się zarówno na planie historii (rosyjscy władcy i polscy renegaci contra „nawóz historii” - szlachetna młodzież), jak i w sferze prywatności największej (anioły i diabły nad Konradem). Nie ma ucieczki od metafizyki w żadną rzeczywistość, nie ma możliwości, by uwolnić się od ciśnienia jednej sfery bytu i ją zmienić. Wszędzie trwa to samo prawo. Wszędzie istnieje takie same reguły. Rzeczywistością rządzi jedność, przed którą nigdzie się nie można schronić. Najgłębszy zakątek duszy (Improwizacja) i najzawilsze kluczenie polityczne (Doktor i jego „złe” rady) osądzone są tym samym sądem, tą samą skalą ocen. Wszędzie jest to samo światło i ta sama ciemność. Rzeczywistość zespolona jest, zharmonizowana jedną metafizyką oraz jedną skalą wartości i ocen: dobra i zła.

Jest to zasada najgłębiej chrześcijańska. Jest to zasada najgłębiej biblijna: jest to łożysko, gleba, nawóz, zaplecze, kontekst objawień.

8.

Nim jednak podejmiemy do nich, zbliżymy się na odległość wzroku i słuchu, jedna jeszcze kwestia nie daje mi spokoju. Kwestia zaufania, wiary i wiedzy. Wyraża się ona pytaniem o to, jak rozumieć Mickiewicza: dosłownie czy metafizycznie, alegorycznie, symbolicznie. Zanurzenie rzeczywistości polskiej (przecież III cz. "Dziadów" opowiada o wydarzeniach historycznych) w wymiarze anielsko-diabelskim, jakże się ono dokonuje? Jakie prawo nim rządzi? Jaka zasada?

Przecież to nienormalne, szalone, „romantyczne”: diabełki i aniołki nad pomyłonym młodym poetą i nad dziejami Polski. Te same aniołki i diabełki: tu i tu. Tłumaczyć je tylko „romantyzmem”, osadem epoki, jakoś nieszczerze i nie do brzmia: fałszywie. Tłumaczyć religijnością poety, jakoś nieprzyjemnie, bo nieefektywnie. A może tłumaczyć właśnie metafizycznością, „aksjologiczną

pojemnością" języka Mickiewicza, ostatniego i pierwszego zarazem poety narodowego: „Ja i naród to jedno”, niech będzie: nie wypowiada tego Konrad, lecz przez niego język polski.

Czym jest język, jaki musi być, by pochłonąć tak wiele wymiarów w krótkiej objętościowo pojemności, żadnego nie przykrawając do innych, ani nie niszcząc odrębności żadnego? Wymiarów jest bardzo wiele. Znamy je. Wymieniałem je przed chwilą, nie będę się więc powtarzał. Skąd Mickiewicz je wziął, jak zapisał?

Jest wielka przestroga w „Dziadach”, którą można odczytać tylko słuchając Wielkiej Improwizacji z ust wielkiego aktora. Może to być na przykład Gustaw Holoubek, który tak świetnie podąża Mickiewiczowskim tropem. Przestroga „Dziadów” wskazuje na pobłędzenie poety, pobłędzenie każdego z ludzi, którzy w jakimkolwiek celu używają słów. Przestroga jest jasna: jest to przestroga przed manipulacją językową, albo - znacznie prościej: jest to przestroga przed traktowaniem języka jako narzędzia, instrumentu do kierowania bliźnimi: rodakami. Echa tej prośby o klucz do kierowania przenikają całą Wielką Improwizację. Podobnego klucza szukam i ja teraz, albo raczej podobnie szukam, ale innego klucza. Kołatał i dobijam się. Cisza.

Mickiewiczowska Improwizacja jednak to nie tylko memento dla tych, którzy chcą używać języka. Głębia ich winy nie w pysze, którą usilnie wmawia się nam w mickiewiczowskich interpretacjach: głębia ich winy w nieuczciwości w stosunku do języka. Nieuczciwości podstawowej: oto ci, którzy nie słuchają języka: słuchają tylko swoich celów, racji, pragnień: najbardziej nawet słusznych. W końcu, jak wiemy, Konrad nic złego nie zamierza uczynić, „chce dobra”. Ale w ten sposób nie można chcieć dobra od języka.

Bardzo to mądra przestroga dla nas, którzy szukamy kluczy do pojemności języka całych „Dziadów”. Gotowa odpowiedź, udzielana nie wprost, co prawda, udzielana pokrętnie. Jest to bowiem odpowiedź ze wskazaniem.

9.

Polityczna strona "Dziadów" powiela sarmacką orientację na Wschód. Misję polską, ale i politykę polską. Jakby nasi Ojcowie-Założyciele - Sarmaci - nieświadomie śpiewając w "Godzinkach" o Wschodzie, o bramie Wschodniej, o politycznej funkcji Polski w Europie, uchylali rąbka tajemnicy przed Mickiewiczem. Wschód polityczny Rzeczypospolitej nie pokrywał się co prawda ze Wschodem politycznym czasów Mickiewicza. Tamten Wschód dotyczył Turcji i Tatarów: nie-chrześcijan. Wschód Mickiewicza dotyczy Rosji carskiej, a może raczej Rosji samej w sobie. Cały Ustęp do „Dziadów” to przecież wielki antypean, Wielka Smuta nad Rosją. Od pierwszych obrazów pustych, abstrakcyjnie osiedlających się przestrzeni, aż po „kaskady tyraństwa” czyli wprost do metafory, której wielkość i doskonałość jest najlepszym dowodem na to, do jakiego pułapu polskiego języka docierał poeta. Wraz z przemieszczaniem się kibitek na Wschód zmienia się nie tylko geografia: tyle już o tym mówiono. Zmienia się antropologia, zmienia się świat.

10.

Tak jakbym celowo uciekł od wskazania Mickiewicza, powołując się na funkcję Polski, polityczną, duchową. Tak jakbym uchylił się od pozytywnego wskazania Mickiewicza. Problem w tym, że nie potrafię tego wystawić, a moja uniwersytecka emfaza przeszkadza mi mówić, miast pomóc. Jak bowiem nazwać Mickiewiczowskie otwarcie się. Jak pojąć anti-Improvizację, jak ją nazwać, kiedy nie jest ona nazwana, aby zrozumieć „Dziady” należy patrzeć na nie jako na całość. Powiem więc wprost. Powiem to, czego się dowiedziałem z poprzednich, głównie jednak z II części „Dziadów”.

Podczas obrządku przywołuje się duchy. Pozwal a się im mówić, a raczej prosić. Można (niewiele) duszom pomóc. Można się od nich dowiedzieć, jak należy żyć, by nie powielić ich złąkanego losu. Tyle można.

W III części „Dziadów” tego nie ma. Nie ma obrządku. Jest on dopiero na końcu, kiedy losy dramatu już się zamknęły, kiedy wszystko się skończyło i przestrzeń otwiera się. Jakby było nad ranem i należało odejść do kościoła, bo tak uczył zwyczaj. Wtedy pojawia się czarny kondukt z postacią mknącą na Wschód. Cały czas jednak ktoś mówił, wcześniej jakiś duch został wywołany, opowiadał więc nam zawzięcie, mówił, mówił, mówił. Co to za duch? Czyja dusza?

Wiem, zabrzmi to śmiesznie, ale moc Mickiewicza tkwi w tym, że w Dreźnie, objawiła się mu Dusza Polski. Duch Narodu, jego entelechia, wielka moc i wielka pojemność. Wieszczył był jej akuszerem, owej duszy. Ona mówiła przez niego. Kiedy to mówię, słyszę dobrze swój głos, który ma stosowną pewność, ale brak mu dowodów, nauki filologicznej. Jednakowoż tylko III część „Dziadów” z całej polskiej literatury (no może jeszcze „Psalmodia Polska”, która jednak przy Mickiewiczu staje się plagiatem biblijnej księgi Psalmów) przekonuje mnie, że Polska istnieje jako duch, że naród to wspólna entelechia, byt, całkiem realny byt, który istnieje jako substancja duchowa.

11.

Skąd jednak o tym wiem? Poza filologią (to nie jest do udowodnienia), poza siódmym zmysłem (to nie jest do wymówienia), poza najgłębszym przeświadczeniem (to jest prywatne). Utwierdza mnie w tym historia i dzieje zachowań, zachowania same: mojej rodziny, moich przodków. Moi Dziadkowie, którzy już nie żyją. Tragedia matki Rollisona to jest tragedia matek polskich. Od razu cała, wpisana w trójkąt: ufność - zdziwienie - gniew. I zawsze będzie tak samo. Jakiś rosyjski, sowiecki czy hitlerowski sukinsyn będzie je łudził okłamując. Zawsze będzie jakiś ksiądz, który podnosił będzie złąkanego patriotę i zawsze będą reakcje tłumu odprowadzającego skazańców do kibitek i reakcje aresztowanych popadających w skrajne uczucia: od euforii wprost w objęcia wisielczego humoru. To zawsze będzie. Zawsze będą ci, którzy tłumaczyć będą polskie dzieje mesjanizmem i zawsze będą ci, którzy będą spiskować. Gdybym nie żył w Polsce... Gdyby nie stan wojenny, doświadczenie, które utwierdziło moją generację w zjawisku echa, echolalii, może nie pojąłbym „Dziadów” i nie zrozumiał tej duszy, tej wspólnoty mistycznej, tej zależności wzajemnej, nieustającej pomocy, współpracy, tego zagrożenia, które wciąż nad nami czyha, które chce zniszczyć wspólnotę, jedność, porozumienie.

Gdybym nie żył w Polsce, może szczególnie teraz, w listopadzie 1995, może nie pojąłbym wiele, żyjąc w błogiej nieświadomości przeświadczenia, że żyję gdziekolwiek, w jakimkolwiek miejscu, a to, że wyrażam się cały akurat w tym języku przyjąłbym za całkowicie nieistotną przypadłość. Ale mieszkam tutaj, i kiedy w snach przychodzą do mnie e moi Dziadkowie, z trudną przeszłością ludzi, którzy żyli w trudnych czasach, i kiedy słysząc melodię Różańca patrzę przez zamglone szyby pociągu i widzę domy w dolinach, ludzi wędrujących ku swoim celom, drzewa odarte z liści, potoki i rzeki przecinające równiny, kiedy widzę łagodne stoki wzgórz i spoglądam na dymy suwające się w ciężko zawieszony nad głowami niebo, i dachy, i wieże kościołów, kiedy to wszystko widzę, wiem, że to dotyka mnie i naznacza. I nie widzę w tym żadnego ograniczenia, albowiem pierwszym moim gestem była zgoda. Zgoda na tu i teraz. Mickiewicz dotknął owej zgody subtelnie i zarazem zatrzymał ją, powstrzymał, zawiesił. Ale w tym działaniu nie było już pychy Konrada, były natomiast pokora i wybaczenie: cichość i to, z czego wszystko, co dobre wynika: miłość. Miłość. Miłość.

12.

O zadaniach narodu jako wspólnoty mówią objawienia. Nie tylko polskie. Objawienia, czyli spotkania. Objawienia nie są zachętą do megalomanii. Objawienia mówią, że narody, jako wspólnoty, są wybrane. Każdy do innych celów.

Polskie objawienia obsuwają się w stronę eschatologii, jakby nasze zadanie tkwiło gdzieś w pobliżu spraw trudnych, groźnych. Jednym z takich niesamowitych objawień, które kreśli zadania Polski w historii, jest objawienie w Licheniu. 15 sierpnia 1850, w dzień Swego święta, Maryja Panna, Królowa Polski objawiła się Mikołajowi Sikatce.

Matka Boża przepowiedziała dokładnie wydarzenia, które będą się działy z Polską począwszy od dnia swego objawienia, aż po czasy dzisiejsze. Postuchajmy w jaki sposób Maryja opowiedziała pasterzowi o tym, co będzie się działo po I wojnie światowej:

"Szatan b dzie siat niezgod po ród braci. Nie zagoj si jeszcze wszystkie rany i nie doró nie jedno pokolenia, a ziemia, powietrze i morza oblej si krwi tak obfit, jakiej dot d nie było. Ta ziemia b dzie przesi kni ta łzami, popiołem i krwi m czenników wi tej sprawy. W sercu kraju młodzie legnie na ofiarnym stosie. Niewinne dziecipogin od miecza. Ci nowi a nieprzeliczeni m czennicy b d za wami błaga przed tronem Sprawiedliwo ci Boga, gdy b dzie bój ostateczny o dusz całego narodu, gdy b dzie s d nad wami. W ogniu długich do wiadczę oczy ci si wiara, nie zaga nie nadzieja, nie ustanie miło. B d chodziła mi dzy wami, b d was broni, b d wam pomaga, przez was pomog wiatu. Ku zdumieniu wszystkich narodów wiata z Polski wyjdzie nadzieja udr czonej ludzko ci.

Wtedy porusz si serca rado ci jakiej nie było przez tysi c lat. To b dzie najwi kszy znak dany narodowi na opami tanie i ku pokrzepieniu. On was zjednoczy (...) Je li naród polski si poprawi b dzie pocieszony, ocalony, wywyższony, za przykład dawany innym narodom. Szatan b dzie z nim walczył wszelkimi sposobami, aby nie dopu ci do jego odrodzenia, ale ostatecz-

ne zwyci stwo b dzie ze Mn . Tu, gdzie zabfysto wiatlo wiary ku zbawieniu, zabfły nie moje wiatlo ku odrodzeniu i powstaniu z grzechów. Nie dajcie si uwie piekielnemu smokowi, ale dochowajcie wierno ci Bogu. Ja was okryj Swym płaszczem i obroni od miertelnych nieszcz ."

Porzucenie pytanie: jak tego typu teksty ma czytać filolog, jakimi oczyma na nie spojrzeć? Przecież zarysowane w objawieniu dzieje Polski potwierdziły się. Więc może pytania kierowane w stronę objawień zadawać powinna historia? A może przede wszystkim - wiara?

Dla ludzi wierzących Istnienie Najwyższe jest czymś oczywistym. Doświadczają Go bowiem, śladów owego Istnienia doszukać się mogą niejednokrotnie w swoim życiu... Dla ludzi wierzących są więc objawienia potwierdzeniem tego, w co wierzą, ale potwierdzeniem, które niejako wypływa z innych, nie tylko głęboko wewnętrznych, źródeł. Objawienia deklarują bowiem sens myślenia wspólnotowego. Otwierają metafizyczne perspektywy takich pojęć jak naród, wspólnota państwowa... Dowodzą, że i na tym poziomie, nie tylko na poziomie istnienia poszczególnego, rozgrywa się wielka metafizyczna potyczka dobra i zła. Mówią, że i na poziomie narodów odbywa się kuszenie i zarazem, że na tym poziomie jesteśmy obiektami Opieki.

Z tego samego źródła wypływa myślenie o Polsce naszych przodków. Od Sarmatów po Adama Mickiewicza. I takie myślenie było dla nich najzupełniej oczywiste. Może właśnie tym sposobem myślenia różni się od nich najbardziej. Bo dla nas tego typu myślenie oczywiste już nie jest. Ba, wydaje się nam, że takie myślenie ma tylko (lub w większości) groźne konsekwencje. Czemu tak się dzieje? Być może dlatego, że przestaliśmy słuchać własnego języka, czyli siebie. Znacznie ograniczyliśmy nasz język i możliwości wypowiedzania się nim, zawężając jego pojemność lub przenosząc ją do różnych sfer, oddzielając je od siebie. Więc sfery owe przypominają szuflady w wielkiej komodzie. Z tych wielu szuflad na jednej napisano „odpustowość” i tam ląduje prawie wszystko, co „nadprzyrodzone”. Na innej szufladzie widnieje napis „sztuka” i umieszczane są w niej utwory artystyczne. Te szuflady są ogromnie od siebie oddalone i nie można ich używać jednocześnie. Por a jednak porzucić tę stolarską metaforę i powiedzieć wprost, że językiem dużej pojemności był język baroku. I język Mickiewicza.

Oczywiste jest, że za językiem idzie postrzeganie świata. Dziś nasz język nie ma pojemności i dlatego jest bezradny, zdolny tylko do gry, podobnie jak nasze postrzeganie świata, które to postrzeganie ślizga się tylko po powierzchni zjawisk. Dzieląc, nie znajdując całości.

W takim miejscu jesteśmy.

A co jest warunkiem owej pojemności? Etyka. Sankcja etyczna, zakazanie języka w prostym kodzie wartości: dobra i zła. Czy można to jakoś udowodnić?

Język objawień i - toutes proportions gardes - język Mickiewicza są „słowami spełnionego życzenia” (jak pięknie powiada Horacy). Dotykają dziejów, zamykając je lub otwierając. I tu i tu sankcją uprawdopodobniającą staje się historia. Wystarczy więc w istocie zapytać: o czym mówią te teksty?

Mówią głównie o zmaganiach się dobra i zła zarówno na „terenie” wspól-

notowym (naród) jak i na „terenie” indywidualnym (ludzka dusza). Fatimskie dzieci usłyszały w końcu od Matki Boga prawdę nie tylko o dziejach ludzkości, ale też zostały dokładnie poinformowane o swoim, całkowicie prywatnym losie.

Czemu więc służą te teksty?

Objawienia to teksty, które chcą dobra. Istnieją ze względu na pomoc, jaka może z nich wynikać. To, tak mi się wydaje, jest ich podstawowy cel.

13.

Różnie można podchodzić do objawień: kto w nie nie wierzy, widzi w nich przejaw jakiejś dlań niezrozumiałej religijności odpustowej, która - co znacznie gorsze - wywołuje z lamusa tak „groźną” ideę narodu pojmowanego jako zadanie, wspólnota celów.

Kto wierzy w objawienia, wie, że nie potrafi się ze swojego „wierzenia” wytłumaczyć, bo jako można tłumaczyć to, co nie poddaje się werbalizacji, chociaż wyraża się w słowach?

Na przykład co wynika z faktu, że wierzę w to, co powiedziała do Polaków w Licheniu Matka Boska? Poczucie dumy? Sybaryckie i samowolne własnymi dziejami? Poczucie misji? Dla mnie jednak owe objawienie, jak i wiele innych, staje się czytelnym znakiem metafizycznego porządku, który jest pierwszy, który jest przed porządkiem doczesnym. Objawienie uczy mnie też, że rację mieli nasi (moi) przodkowie (łącznie z Mickiewiczem), którzy w ten właśnie sposób budowali swoje rozumienie rzeczywistości. Jest to rozumienie całościowe, które wyznacza po prostu horyzont odpowiedzialności, wyłaniający się z poczucia wspólnoty.

Prościej rzecz ujmując: według słów Matki Boskiej z Lichenia śmierć Powstańców Warszawskich była ratunkiem w czasie zagrożenia komunistycznego. Nie można więc jej rozpatrywać tylko i wyłącznie na planie wydarzeń politycznych, gry interesów, niesprzyjającej koniunktury itp. To za mało. Dzieje podwiązane są znacznie głębiej czy też wyżej. Tak właśnie widziała to siostra Faustyna, gdy wizja podsunęła jej oczom patronów ojczyzny modlących się za Polską przed Najwyższym Majestatem.

14.

"Kiedy przyszłam na Pasterkę, zaraz z początkiem Mszy Św. cała po-grążyłam się w głębokim skupieniu, w którym widziałam szopkę betlejemską napelnioną wielką jasnością. Najśw. Panna owijała w pieluszki Jezusa, po-grążona w wielkiej miłości, jednak św. Józef jeszcze spał, dopiero kiedy Matka Boża ułożyła Jezusa w żłóbku, wtenczas jasność Boża zbudziła Józefa, który też się modlił. Jednak po chwili zostałam sam na sam z małym Jezusem, który wyciągnął do mnie rączkę a ja zrozumiałam, żeby Go wziąć na rękę swoje. Jezus przytulił Swą główkę do serca mojego, a głębokim swym spojrzeniem dał mi poznać, że dobrze Mu przy sercu moim. A w tej chwili znikł mi Jezus, a dzwonek był do Komunii Św., dusza moja omdlewała z radości. Jednak pod koniec Mszy św. czułam się tak słaba, że musiałam wyjść z kaplicy i iść do celi - nie mogłam już wziąć udziału we wspólnej herbacie. Lecz

radość moja była wielka przez święta całe, bo dusza moja była bez przerwy zjednoczona z Panem. Poznałam, że każda dusza chciałaby pociech Bożych, ale żadną miarą nie chce opuścić pociech ludzkich, a tu tymczasem te dwie rzeczy żadną miarą z sobą pogodzić się nie dadzą.

W tym czasie świętecznym odczułam, że dusze pewn e modlą się za mną. Cieszę się, że już tu na ziemi istnieje taka łączność i poznanie duchowe.

Krzysztof Koehler

Adwent 1995

1) Dzienniczek Sługi Bo e j S.M. Faustyny Kowalskiej, Kraków 1983

2) "Mo na st d wnie jaki mógł by wpływ protestantyzmu na Polsk . W Anglii dawał si on kojarzy z formami feudalnymi - we Francji, gdyby nawet katolicyzm zniszczono zupełnie, jeszczeby pozostały pod warstw zwierzchni społecze stwa kryj ce si zabytki municypalno ci rzymskiej - w Niemczech odwieczne porz dki jak przetrwały dot d, tak te mogły w braku inne spójni słu y za w zeł powszechny - ale w Polsce cios zadany religii katolickiej wywracał od razu Rzeczpospolit , bo tu wszystkie zwyczaje wojenne i cywilne opierały si na mocnej wierze w zale no ´´ bezpo redni wiata ziemskiego od wiata wy szego, w to objawienie si tego zwi zku, które nazywamy cudami, (podkre lenie moje - K.K.) Z tej wiary wypływa cała moralna i polityczna siła organiczna Polski - do niej te trzeba było odwoływa si zawsze, ilekro chodziło o wydobycie z narodu pot gi b d czynnej, b d odpornej."

Lekcja IV, wtorek 4 stycznia 1842, A. Mickiewicz, Dzieła wszystkie, tom 6: Literatura słowia ska 2, wydał i obja nił Tadeusz Pini, Nakład ksi garni H. Altenberga we Lwowie, s. 40

3) Siostra Faustyna:

W pocz tku Mszy w. widziałam Jezusa, tak jak zwykle, Który błogosławił nam i wszedł do tabernakulum. Wtem ujrzałam Matk Bo w szacie białej, w niebieskim płaszczu, z odkryt głow . Która si zbli yła od ołtarza do mnie i dotkn ła mnie swymi dło mi i okryła swym płaszczem i rzekła mi: - Ofiaruj te luby za Polsk . Módl si za ni "

W pewnej chwili, ujrzałam stolic Baranka Bo ego i przed tronem trzech wi tcyh: Stanisława Kostk , Andrzeja Bobol i Kazimierza królewicza, którzy si wstawiali za Polsk .

Wrzesie . - Pierwszy Pi tek. Wieczorem ujrzałam Matk Bo z obna on piersi i zatkní tym mieczem, rzewnymi łzami płacz c i zasłaniała nas przed straszn kar Bo . Bóg chce nas dotkn straszn kar , ale nie mo e, bo nas zasiania Matka Bo a. L k straszny przeszedł przez moj dusz , modl si nieustanie za Polsk , która jest tak mało wdzi czna Matce Bo ej. Gdyby nie Matka Bo a, na mało by si przydały nasze zabiegi.

4)

NARÓD TROCZĘ WYBRANY (o perypetiach mesjanizmu polskiego)

Zło ródłem dobra

Nie jest przypadkiem, że swą "Intelektualną historię liberalizmu" Pierre Manent rozpoczyna od prezentacji sylwetki Nicolò Machiavellego. Ów głośny florentyńczyk był pierwszym, który centrum swych rozważań o polityce postawił zagadnienie zła. Do czasów Machiavellego istniało w życiu politycznym wiele zła - wybuchały krwawe wojny, wyrzynano całe miasta, knuto podstępne intrygi - nigdy jednak nie przedstawiano zła jako zasady konstytutywnej wszelkiego porządku publicznego. Arystoteles doskonale zdawał sobie sprawę z istnienia zła w polityce (poświęcił mu nawet całą piątą księgę swej "Polityki"), uważał jednak, że uwaga polityków powinna kierować się ku czynieniu dobra. Machiavelli odwrócił ten kierunek myślenia, stwierdzając, że dobro opierać się musi na złe. Jego zdaniem dobro w życiu publicznym pochodzi z dwóch źródeł: przemocy i strachu. Porządek społeczny tłumaczy się więc sam przez siebie i nie potrzebuje odwołania do transcendentu. Taki był początek odrzucenia panującego w średniowieczu ładu chrześcijańskiego jako zasady konstytutywnej społeczeństw.

Manent pisze : *"Machiavelli nie opracował koncepcji instytucji, która zdolna by była przeciwstawić się zwyci sko ingerencjom Kościoła rzymsko-katolickiego czy w ogóle religii: to b dzie zadaniem i dokonaniem Hobbesa. On jedynie - dyskredytując ideę dobra - przekonał ludzi do tego, aby patrzyli na zło - przejawiając je si poprzez postać, siłę, przemoc, "konieczność" - jak na podstawow przyczyn powstania tego zamknij tego w sobie porz dku, który nazywamy miastem".*

System, który skonstruował Hobbes, opierał się na zasadzie, że dobra nie można zdefiniować, natomiast łatwo jest pokazać zło. Dlatego też państwo powinno dążyć nie do osiągnięcia dobra, którego nie sposób określić, lecz do uniknięcia zła, jakim jest śmierć człowieka. Hobbes upatrywał groźbę dla stworzonego przez siebie porządku w dwóch koncepcjach - w odwołującym się do Arystotelesa i Cyserona klasycznym republikanizmie oraz w chrześcijaństwie. Oba te nurty wyznawały model pozytywny, czyli dążenie do określonego dobra. Zdaniem Hobbesa, który był świadkiem wojny domowej w Anglii, te właśnie pozytywne idee stanowiły źródło największych konfliktów.

Aby stworzyć idealny porządek społeczny, Hobbes skonstruował Lewiatana. Była to władza absolutna, obdarzona prerogatywami niemal boskimi. O ile Anzelm z Canterbury definiował w XI wieku Boga jako *"takiby, od którego wi kszego nie sposób poj "*, to Hobbes w XVII stuleciu określał Lewiatana jako *"władz , od której wi kszej poj nie sposób"*. Znakomicie potwierdza to też Carl Schmitta, że *"wszystkie znacze poj cia nowoczesnej teorii pa stwa to zsekularyzowane poj cia teologiczne"*.

Nowożytność przejęła więc ze średniowiecza niektóre formy, lecz wyprała je z sakralnych treści. Wiązało się to oczywiście z sekularyzacją całości ludzkiego życia. Jak zauważa Leo Strauss, wraz z zanikiem celowego (teleologicznego) ładu wszechświata zanikła też możliwość wpisania władzy w porządek metafizyczny.

Po upadku modelu średniowiecznego i związanego z nim postulatów pozytywnego, skoncentrowano się głównie na postulatcie negatywnym czyli unikaniu zła. Oznaczało to powolny, lecz stanowczy triumf myśli liberalnej, której kolejnymi wybitnymi przedstawicielami po Hobbesie byli: Locke, Hume, Monteskiusz, Rousseau czy Constant. Podejmowano też próby ucieczki z tej drogi, z których najpoważniejsze to: nacjonalizm, socjalizm i republikanizm. Oznaczały one podniesienie do rangi samoistnej wartości: narodu (nacjonalizm), klasy społecznej (socjalizm) lub państwa (republikanizm). W globalnym wymiarze nie było natomiast prób powrotu ideałów średniowiecza, sformułowanych przez św. Augustyna w dziele "O Państwie Bożym".

Na scenę wkracza mesjanista

Według św. Augustyna historia dąży do miłości. Miłość ta obejmuje ludzi i Boga oraz wyznacza historię nie tylko każdego poszczególnego człowieka, lecz również historię państwa, którego mieszkańcy dążą do miłości. Historia ludzka to historia zbawienia, której ukoronowaniem w perspektywie wspólnoty ma być Państwo Boże. Perspektywa ta nie wyklucza dążenia człowieka do sprawiedliwości społecznej poprzez różnego rodzaju umowy, lecz podporządkowuje je procesowi sakralizacji świata. Ten cel, który wyznacza dynamikę historii, nie jest wymyślony przez człowieka, chcącego jak najwygodniej urządzić nasz ziemski padół, lecz jest mu objawiony przez Boga. Zamiast zastanawiać się, jak sobie nie przeszkadzać, ludzie powinni w oparciu o osobistą świętość budować wspólnotę, która wypełni święty sens historii.

Takie pobożne życzenia można było snuć do końca średniowiecza. Każda dziedzina życia była wtedy podporządkowana sakralności. Ideał Świętego Cesarstwa Rzymskiego oparty był właśnie na ideale Państwa Bożego. Dzieje były dramatem rozgrywającym się pomiędzy planem Bożym a odstęstwem człowieka.

Po średniowieczu ludzie nabrali dystansu do pobożnego myślenia. Na polu wspólnotowym zaowocowało to m.in. budzeniem się świadomości narodowych. Dziś idea narodu najsilniej kojarzy się z nacjonalizmem i z podporządkowaniem sobie jednych nacji przez drugie. Wielkie wojny XX wieku obudziły nieufność wielu myślicieli do kwestii narodowych i zmusiły ich do przeproszenia się z ideą uniwersalnej wspólnoty europejskiej, tyle że już nie chrześcijańskiej, a laickiej. Sformułowana została alternatywa: albo charakter narodowy albo uniwersalny. Z jednej strony pielęgnowanie cnót narodowych sprowadzono do groźby totalitaryzmu, z drugiej zaś uniwersalizm europejski do uniformizacji i zatracenia przez narody swojej tożsamości. Tymczasem istnieje ktoś, kto staje ponad tym wyborem: jest zarazem narodowy i uniwersalny. Tym kimś jest mesjanista.

Iluminacja na balu

Tak się złożyło, że mesjanistów w Polsce w ciągu ostatnich dwu stuleci nie brakowało. Można oczywiście posądzać ich o megalomanię, szowinizm czy patriotyczną paranoję, jak czyni to wielu historyków i publicystów. Nie można im jednak odmówić pewnej intuicji, podejmującej na nowo zagubione pojęcia uniwersalności i sakralności oraz próbującej dostosować je do czasów nowożytnych.

Gmach polskiego mesjanizmu wznosił się na barkach dwóch myślicieli epoki romantycznej: Józefa Marii Hoene-Wrońskiego i Andrzeja Towiańskiego. Trzeba przyznać uczciwie, że jakość ich refleksji nie zapewniła temu gmachowi zbyt solidnych podstaw. Obaj byli dość drażliwi na swoim punkcie, często bardziej eksponowali swoje osoby niż idee, które - jak twierdzili - czerpali z Bożego natchnienia. Jako pierwszy został zaszczycony przez iluminację 15 sierpnia 1803 r. Hoene-Wroński. Opatrzność wybrała dość dziwne miejsce, stało się to bowiem na balu z okazji francuskiego święta narodowego w Marsylii. Od tego momentu Wroński uznał się za ziemską inkarnację Parakleta i postanowił nieść światło pośród ciemności.

Twierdził on, że umysł ludzki może stać się niemal równy umysłowi Boga, może już nie tylko ujawniać immanentny sens świata, lecz również go ustanawiać. Człowiek przejmuje więc moc kreatywną swojego Stwórcy. To sprawia, że uświęcanie świata i zwrócenie go ku Absolutowi jest dziełem samego człowieka, który dokonuje autokreacji.

Wroński dość specyficznie rozumiał chrześcijańskie przesłanie. Jeśli człowiek w procesie stopniowego doskonalenia się w pewnym sensie sam staje się absolutem, to jemu podlega absolutna przemiana świata. Prawdy zawarte w objawieniu chrześcijańskim są dla niego tylko "problemami", które musi podjąć i rozwinąć. Od tego momentu człowiek nie jest już ograniczony przez jakąś wiarę zsyłaną z góry, lecz może wypracowywać samozbawienną wiedzę. Opatrzność pragnie - jak twierdził Wroński - aby człowiek się Jej wyrzekł, aby uzyskać świadomość swojego celu i realizował go sam. Był to więc rodzaj opartej na chrześcijaństwie gnozy.

Co w takim razie przesądziło o nadaniu mu miana mesjanisty? Otóż Wroński dbał o ukazanie duchowego wymiaru historii. Zwracał uwagę na zawartą w niej celowość i podporządkowywał ją sakralnemu problemowi powrotu do Boga. Jeżeli zaś historia ma sens, to mają sens także narody, które się w niej pojawiły : *"Musimy przypu ci celowo opatrno ciow w podziale narodów oddzielnych (...) kierunek zbawczy w przeznaczeniach ró nych narodów, które opatrno przygotowała m drze, by ułatwi (...) spełnienie przeznacze kresowych"*.

Wroński uważał, że niektóre narody w danym momencie dziejów mają szczególną rolę do spełnienia i - jak twierdził - przyszedł akurat czas na narody słowiańskie. Polska jako symbol federacyjności jest szczególnie ważna, gdyż dynamika dziejów zmierzać będzie ku koncepcjom zjednoczeniowym. Wrońskiemu marzy się "unia mesjanistyczna", której podstawą będą młode narody słowiańskie, do której dołączą też inni, głównie Francuzi ze swoim

posłannictwem "praktycznym" i Niemcy z posłannictwem "spekulatywnym". Przewodząc zaś unii ma Rosja ze względu na swą siłę i mocarstwowość (o ile wielu rodakom myśl szczególnej roli Polski przypadła do gustu, to pomysł podporządkowania się Rosji był dla nich nie do przyjęcia).

Unia, która miała powstać z tej mieszanki, miała być Państwem Bożym, ale ni w ząb nie przypominała "Państwa Bożego", o którym pisał św. Augustyn. Była podobna raczej do "Państwa" Platona. Rządzić nim miała Rada Święta złożona z mędrców i kapłanów, a na jej czele miał stać wszechwładny i oświecony Naczelnik. Wszyscy obywatele mieli dążyć do samorealizacji w oparciu o ideę absolutną.

Chrystus Narodó w

Nieco inne koncepcje snuł natomiast Andrzej Towiański, który twierdził, że dostąpił iluminacji 11 maja 1828 r. Jego zdaniem historia zmierza ku Królestwu Bożemu, zaś człowiek powołany jest do doskonałości. Doskonałość tą oraz zbawienie musi uzyskać on przez swój autonomiczny wysiłek. Od Boga oczekuje się jedynie poparcia mocą swego autorytetu tych ambitnych planów. Towiański prezentował więc, podobnie jak Hoene-Wroński, pewien rodzaj prometeizmu, gloryfikującego duchowe możliwości człowieka.

Do profetycznej misji wypełnienia świętego sensu dziejów - zdaniem Towiańskiego - wezwane są nie tylko pojedyncze osoby, lecz również całe narody. Szczególną rolę odegrały już narody żydowski i francuski, które spełniły już swe powołanie; teraz przychodzi czas narodu polskiego. Towiański twierdził, że Polska ma przemienić świat przez swoje cierpienie pod rozbiarami, stąd często pojawiający się obraz Polski jako Chrystusa Narodów.

Poza całym swoim dziwactwem Towiański zwrócił uwagę na jedną interesującą rzecz: jeżeli chrześcijanie potrafią w życiu osobistym przyjąć cierpienie nie jako przekleństwo, lecz jako pewną tajemnicę, która spotyka ich, by przewartościowali swoje życie, to dlaczego nie mieliby w ten sam sposób potraktować swoich tragedii narodowych?

Ojcowie polskiego mesjanizmu budzą nieufność głównie dlatego, że tak dużą wagą darzyli samych siebie, tak obsesyjnie przejęci byli "samorealizacją", że w końcu instrumentalnie podporządkowali jej wszystko, nawet samego Boga. Oświecenie szerzyło wiarę, że człowiek może zapanować nad światem i wydrzeć mu wszystkie tajemnice, ale ograniczało swoje zakusy właściwie tylko do empirii, nasi mesjaniści natomiast rozciągnęli ją na cały świat nadprzyrodzony. Głosili, że zrywają z Oświeceniem, ale w rzeczywistości modyfikowali je, przenosząc swoje ambicje w transcendent.

Taki był zresztą nastrój epoki. Potrzeba sakralizacji świata terazniejszego była w romantyzmie dodatkowo pogłębianą profetycznym oczekiwaniem na realizację pełni dziejów. Czekali na efuzję Ducha Świętego Francuzi i Niemcy, tacy jak de Maistre, Chateaubriand, Schelling. Czekali też polscy emigranci, wśród których powstały teorie Wrońskiego i Towiańskiego. Obydwaj snuli wizję budowy uniwersalnej cywilizacji światowej, godząc z sobą idee narodu i uniwersalizmu. Być może ich koncepcje nie były najwyższego lotu, ale wyznaczyły pewien ciekawy kierunek myślowy, który okazał się wart kontynuacji.

Mickiewicz jak Ojciec Kościoła

Powrót do mesjanizmu nastąpił w II połowie XIX wieku. Panujący wówczas pozytywizm głosząc racjonalizm odbierał człowiekowi duszę, zaś głosząc determinizm przyrodniczy i historyczny odbierał mu wolność. Budziło to zrozumiały sprzeciw tych, którzy nie mogli pogodzić się z tak płaską wizją człowieka.

Głównym prekursorem neomesjanizmu okazał się August Cieszkowski (1814-94). Zwrócił on przede wszystkim uwagę na chrześcijański wymiar idei narodu. Uważał, że skoro oparcie się o wartości chrześcijańskie czyni człowieka uniwersalnym, to również oparcie się całego narodu o te same wartości uczyni naród uniwersalnym. Nie zniszczy to jego specyfiki, lecz ukaże ją na uniwersalnym tle.

Cieszkowski nie postulował nic niesamowitego. Jako chrześcijanin chciał po prostu, aby naród, w którym żyje, był taką wspólnotą, która chrześcijańskie wartości realizuje ze szczególną mocą i przez to staje się przykładem dla innych narodów. Dystansował się od wielkich wizji historiozoficznych Wrońskiego czy Towiańskiego, którzy na oślep rzucali się w wir głębokiej metafizyki i mistyki. Cieszkowski też oczywiście wierzył, że w przyszłości - z Boską pomocą - wydarzą się na ziemi rzeczy, o których nie śniło się filozofom, ale na razie niech naród polski dąży do sakralizacji świata głównie przez swoje własne nawrócenie.

Inni neomesjanisci podzielali i rozwijali intuicje Cieszkowskiego. Stanisław Szczepanowski (1846-1900) głosił, że naród to coś więcej niż tylko suma jednostek. To taka suma jednostek, która oparta jest na świadomości wspólnej historii i tradycji, co dynamizuje ją do konkretnego przekształcania świata. *"Podstaw całego działania jest przeobrażenie jednostki. Szlachetna i bohaterska jednostka przeobraża społeczeństwo. Przeobrażone społeczeństwo staje się siłą historyczną i przeobraża stosunki narodowe i międzynarodowe"*.

Bywa, że w danym momencie historycznym są narody, które swoim przykładem mogą pociągnąć za sobą inne. Tak uważał Stefan Buszczyński (1821 -92), dla którego o *"owo szczególne powołanie (narodu polskiego) polega na odrodzeniu najszczytniejszych ideałów ludzko ci w postaci prawdy i cnót moralnych zagubionych ostatnimi czasy przez wszystkie narody"*.

Antoni Chołoniewski (1872-1924) przedstawia nawet dowody historyczne na to: Polacy przez wieki przestrzegali zasad wolności i sprawiedliwości w stosunkach społecznych, co przejawiało się w tolerancji religijnej i demokracji szlacheckiej w czasie, kiedy w całej Europie panowała nienawiść i wzajemny terror.

Szczepanowski posunął się nawet do tego, że myślicieli polskich, takich jak Mickiewicz, Słowacki czy Cieszkowski przyrównywał do Ojców Kościoła, gdyż w swoim narodowym przesłaniu mieli konkretyzować oni uniwersalne zasady ewangeliczne.

Wojciech Dzieduszycki (1849-1909) z kolei jako jeden z pierwszych mesjanistów podjął problem państwa jako miejsca, w którym realizuje się powołanie narodu. Oparcie stosunków międzyludzkich na interesie gospodarczym uważał za sprzeczne z naturą człowieka. Dlatego postulował system korporacyjny. Korporacje miały wpisywać się w strukturę państwa, a zarazem być zakładane w sposób oddolny i spontaniczny. Społeczeństwo zbudowane na tym systemie byłoby w coraz mniejszym stopniu wynikiem egoistycznej i pragmatycznej umowy, a bardziej opierałoby się na tożsamości duchowej. Gdyby takie stosunki społeczne zapanowały w skali globalnej, twierdził Dzieduszycki, oznaczałoby to wyeliminowanie wojen.

Większym katastrofistą był Marian Zdziechowski (1861-1938), który głosił, że jeśli system społeczny nie oprze się na wartościach chrześcijańskich, to nic nie będzie w stanie powstrzymać morderczych instynktów człowieka, i może dojść do takich wojen, jakich do tej pory w dziejach nie było. Przewidywania Zdziechowskiego okazały się wyjątkowo trafne.

Zakon Kowali

Żaden z prezentowanych wyżej neomesjanistów nie próbował budować wyczerpujących wszelkie zagadnienia systemów filozoficznych. Uczynił to dopiero Wincenty Lutosławski (1863-1954). Za podstawę swojego systemu wybrał myśl Platona, że pierwotne są byty idealne, a byty materialne są wobec nich wtórne. Za najważniejszą w człowieku uznawał jaźń duchową, której istnienie dostrzegał także w roślinach i zwierzętach. Każdy duch jest - jego zdaniem - samoistną i wolną monadą. Na punkcie wolności Lutosławski był szczególnie uczulony. Jego system często określany jest jako spirytualistyczny indywidualizm.

Protest wobec determinizmu pozytywistów w doprowadził Lutosławskiego do skrajnego woluntaryzmu. Wszystko w jego systemie podporządkowane zostało woli. To ona jest podstawą twórczej ekspresji ducha, w której doskonalili on siebie i przekształca świat na swój obraz i podobieństwo. Lutosławski powoływał się co prawda na chrześcijaństwo, ale wyraźnie wołał od niego platonizm. Odrzucał ortodoksyjną wizję zbawienia świata, gdyż zbyt małą rolę przypisywała człowiekowi. Nie do pogodzenia z jego wolą twórczości było to, że jaźń ma realizować jakiś cel Opatrzności, a nie swój własny. Aby wyrwać się spod wpływu Opatrzności, Lutosławski wprowadził teorię reinkarnacji. Dusza wcielając się, od początku świata do jego końca, w kolejne postaci, sama składa sobie w darze własne poprzednie osiągnięcia i ma swój pełny udział w formowaniu i realizacji celu świata. Aby uspokoić swoje chrześcijańskie sumienie, Lutosławski dodawał, że wszystko to dzieje się zgodnie z wolą Boga.

Neomesjanista Lutosławskiego to właściwie oświecony filozof z Państwa Platona. Zresztą sam Lutosławski w utworzonym przez siebie Zakonie Kowali kształtował przyszłą elitę duchową Państwa. Zbliży go to do Hoene-Wrońskiego, chociaż on sam wołał porównywać się z Towiańskim.

O wiele ciekawsze od filozoficznych wydają się przemyślenia Lutosławskiego na temat narodu. Jego zdaniem człowiek może rozwijać się zgodnie ze swoją naturą tylko we wspólnocie. Relacje osobowe, dzięki którym tworzy się wspólnota, nie tylko nie ograniczają wolności, ale ją umożliwiają. Ponadto jeśli ktoś chce aktywnie przemieniać oblicze świata, nie może robić tego sam. Efektywność wymaga solidarności, a solidarność ta nie może być przypadkowa i musi mieć głębokie podstawy duchowe. Najlepszym więc rodzajem wspólnoty jest naród, który posiada jedno dziedzictwo dla wielu jednostek, co sprawia, że ze względu na to dziedzictwo jednostki mogą odkrywać wspólne powołanie. *"Tylko w tym zgodnym chórze, który stanowi naród, jednostka może pozyskać najwłaściwszą własną satysfakcję i zarazem najwłaściwiejszą skuteczną wszelkich wysiłków. Każdego człowieka czuje potrzebę bliskości z bliskimi sobie ludźmi, a nie stwarza tak bliskiej bliskości jak wspólnota narodowa, ukazująca drogę dla wielu jednostek do wspólnego powołania narodu"*.

Jeżeli filozofia utożsamiana jest z duchową aktywnością, która ma przemienić świat, a głównym zadaniem człowieka jest budowanie wspólnoty narodowej, to jako program i wyraz społecznej twórczości musi powstać metafizyka narodowa. Opiera się ona o nabywane w ciągu historii doświadczenie narodu, często ciężko okupione, jednak wykształcające w nim charakterystyczny sposób reagowania na to, co się wokół niego dzieje. Np. Czesi są strachliwi, ale przezorni, Niemcy bezwzględni, ale rzetelni, Francuzi beztroscy, ale twórczy itd. Polacy natomiast charakteryzują się tym, że ich stosunek do świata jest kształtowany przez uczucia, wiarę i intuicję. Lutosławski twierdził, że te różnice w odbiorze świata mogą być dla siebie uzupełniające i komplementarne w jednej uniwersalnej koncepcji. Narody nie muszą już się określać przez jakieś ideologie, lecz przez uświadomienie sobie, jakich oryginalnych wartości są nośnikami. Co więcej powinny wymienić doświadczenia i wspólnie kształtować oblicze świata. Dobrze rozumiana tożsamość narodowa prowadzi więc do unii pomiędzy narodami i zniesienia konfliktów. Każdy patriota rozkochany w swojej tradycji staje się więc obywatelem świata.

Aby te szczytne cele ubrać w konkrety, Lutosławski proponował stworzenie odpowiedniej struktury państwowej. Jego wrogiem numer jeden był tutaj etatyzm, który krępuje wolność człowieka. Ponieważ wolność cenili Lutosławski ponad wszystko, sprzeciwiał się socjalizmowi, demokratyzmowi i liberalizmowi. Twierdził, że narzucają one człowiekowi określoną strukturę społeczną, nie dbając o jego rozwój duchowy. Postulował - podobnie jak Dzieduszycki - budowę systemu solidarystycznego, opartego na tworzonych oddolnie korporacjach. Pisał o nim: *"Cokolwiek tylko może być dokonywane przez swobodnie działających inicjatyw prywatnych, tym nie należy obarczać rządu państwowego"*.

Mesjanizm skazany za faszyzm

Podobnie jak Lutostawski decydującą rolę Polski w przygotowywaniu unii wszystkich narodów widział także Jerzy Braun (1901 -75). Widmo triumfującego komunizmu i faszyzmu było dla niego oznaką, że wartości, które składają się na zachodnią chrześcijańsko-klasyczną cywilizację, ulegają coraz większemu zapomnieniu lub są przedmiotem zaplanowanej likwidacji. Wobec tego zagrożenia każdy naród powinien zdawać sobie sprawę, że jego niepowtarzalna kultura, czyli tzw. prawda narodu, może się autentycznie realizować tylko przez uczestnictwo w prawdzie absolutnej. To zakotwiczenie w Absolucie będzie bowiem gwarancją, że prawda narodu nabierze wymiaru uniwersalnego. "Amoralizm polityczny i społeczny doprowadził do takiego zaostżenia klasowych i rasowych egoizmów, że ludzkość doszła w szatach cywilizacji materialnej do barbarzyństwa i okrucieństwa nieznanego wprost w dziejach. Jedyne wyjście z tej ślepej ulicy to rozszerzenie chrześcijańskiego imperatywu na całą dziedzinę instytucji publicznych i stosunków polityczno-ekonomicznych".

Polska - według Brauna - może stać się propagatorką idei uniwersalistycznych, lecz w imię tej misji musi się najpierw odnowić moralnie w duchu chrystianizmu. Ten unionistyczny program głosił Braun nawet podczas okupacji hitlerowskiej w swym konspiracyjnym piśmie "Unia". Za tą działalność po II wojnie światowej został skazany przez komunistów na siedem lat więzienia jako "faszystowski nacjonalista".

Co by zrobił św. Augustyn?

Człowiek podążający za myślą mesjanistów nie zna dnia ani godziny, kiedy jego najwyższy zachwyt będzie musiał ustąpić miejsca największemu ostupieniu. Dziwne teorie filozoficzne i szalone wizje sąsiadują z ciekawymi refleksjami i trafnymi spostrzeżeniami.

Choć idea narodu była punktem centralnym ich rozważań, to poruszała sprawy dużo ważniejsze niż tylko narodowe. Przede wszystkim zrehabilitowali pojęcie sensu i celowości w historii. Podjęli też wątek uniwersalizmu, wracając do zapomnianych koncepcji średniowiecza. Nie był to powrót ślepy i bezkrytyczny. Mesjaniści uwzględniali warunki, jakie powstały w czasach nowożytnych, a zwłaszcza wyodrębnienie się silnej świadomości narodowej, która z jednej strony mocno określała tożsamość kulturową ludzi, z drugiej jednak wywoływała liczne antagonizmy pomiędzy narodami. Ich zdaniem to przejście od świata pojmowanego uniwersalistycznie do świata zantagonizowanych narodów nie musiało być wcale oczywiste. Uważali oni, że wyodrębnienie się narodów nie musiało być sprzeczne z perspektywą jedności świata. Wręcz przeciwnie: tożsamość narodowa, zakorzeniona we wspólnym dziedzictwie ludzkości, może być podstawą tej jedności.

Aby tego dokonać, musieli odwołać się aż do Boga. Unia między narodami była ich zdaniem możliwa tylko w jednym przypadku - gdy będzie służyła sakralizacji świata. Dzisiaj może być to opacznie rozumiane jako chęć wpro-

wadzenia teokracji lub uczynienia z państwa instytucji kościelnej. Mesjanisci często sami mieli problemy z instytucjami kościelnymi, więc nie o to im chodziło. Dla nich istotne było, że chrześcijaństwo wyznacza dla wszystkich ludzi i narodów jeden cel - Królestwo Boże. Gdy wszyscy mają wspólną perspektywę, wówczas dzielące ich różnice, jeśli są autentyczne, znajdują swoje uzasadnione miejsce we wspólnym dążeniu. Tym samym stworzone zostaje prawo pozytywne. Myśl polityczna zogniskowana zostaje już nie wokół problemów unikania zła, lecz wokół dobra, dążenie do którego uznane zostaje zarówno za cel istnienia człowieka (w wymiarze osobowym), jak też narodu (w wymiarze wspólnotowym) oraz całej historii (w wymiarze eschatologicznym).

Gdyby św. Augustyn mógł spotkać się z polskimi mesjanistami, wielu z nich na pewno by ekskomunikował. Nie mógłby pogodzić się z tym, że tak szczytny cel, jakim jest budowa Królestwa Niebieskiego, powierzają swej pyśse, twórczej sile mesjanistycznego czynu. Z niektórymi jednak odnalazłby wspólny język. Byliby to ci, którzy cel ten powierzyli Opatrzności.

Rafał Tichy

Jerzy Braun był najbardziej znanym przedstawicielem polskiej myśli mesjanistycznej w XX wieku, kontynuatorem i modyfikatorem koncepcji Józefa Marii Hoene-Wrońskiego. W okresie międzywojennym redagował m.in. czasopismo "Zet", a w czasie II wojny światowej konspiracyjne pismo "Unia". Był jednym z przywódców Polski Podziemnej. Po wojnie został skazany przez komunistów na siedem lat pozbawienia wolności za "faszystowski nacjonalizm". W najtrudniejszych chwilach życia; podczas pobytu w więzieniu w 1953 roku, złożył luby maryjne, których wynikiem była m.in. wydana w Rzymie w 1975 roku książka pt. "Virgo Maria. Rola Marii w historii zbawienia (w świetle polskiej filozofii XIX wieku)". Poniżej publikujemy jeden z rozdziałów tej książki.

JERZY BRAUN

ROLA POLSKI W ERZE KRYTYCZNEJ

Maria, choć w pełni Łaski przekroczyła granice świata stworzonego i została wywyższona nad cały rodzaj ludzki, jako Niepokalana i Wniebowzięta, nie przestała być jedną z nas i przez swe nieskazitelne człowieczeństwo jest wzorem i przedstawicielką ludzkości w apoteozie. Albowiem w przedwiecznej Myśli bożej cała ludzkość została - już w planie stworzenia - wyniesiona ponad naturę stworzoną do uczestnictwa w życiu wewnętrznym Trójcy Świętej (teologia Kościoła wschodniego zwie to przywilejem bogoczwóczeństwa - teandria). Dlatego świętość Marii jest archetypem stanu przeznaczonego wszystkim narodzonemu z Ducha, którzy przeobrazili się w "nowego Chrystusa". Podobnie jej wzięcie do nieba jest figurą wniebowzięcia ziemi tj. ludzkości odnowionej w Chrystusie żyjącym i w Kościele czasów ostatecznych, który jako Nowe Jeruzalem ma się urzeczywistnić w "wieku panowania Chrystusa" ("albowiem stare niebo i stara ziemia przeminięły").

Podług filozofii absolutnej Wrońskiego (nazwanej tak, bo ugruntowanej na odkryciu esencji Absolutu) dogmaty są to nie tylko prawdy spekulatywne, przekraczające moc poznawczą rozum przyrodzonego, gdyż dotyczące rzeczywistości transcendentnych lecz i problemy praktyczne (poryzmaty) zadane wszystkim ludziom do rozwiązania i wypełnienia. Jak Chrystus jest dla nas "pierworodnym wśród braci" a Jego przemienienie, zmartwychwstanie i wniebowstąpienie jest wzorem do urzeczywistnienia dla całej ludzkości, tak i dogmaty maryjne, jak zrodzenie Boga-Człowieka, bezgrzeszność i wniebowzięcie są dla nas kluczem do zrozumienia Myśli bożej, która ma być przez ludzkość na forum historii zrealizowana. Zarys tej Myśli bożej, zrozumianej i dopełnionej niegdyś przez matkę Stworzyciela i Odkupiciela odczytać ma filozofia absolutna czyli nowa filozofia chrześcijańska (a więc również nowa eklezjologia, nowa soteriologia i nowa historiozofia chrześcijańska) ukazująca drogę zbawienia w kategoriach dostępnych dla tradycji soteriologicznej wszystkich religii i cywilizacji: judaizmu, braminizmu, buddyizmu, Islamu, taoizmu i konfucjanizmu.

"Maria jako uosobienie Myśli bożej, od Genezy mojżeszowej aż do Apokalipsy, jest figurą tej wiedzy najwyższej o transcendencji Absolutu i samourzeczywistnienia się człowieka a więc patronką filozofii chrześcijańskiej, której żrąb dała tak mało jeszcze znana polska filozofia religijna XIX wieku."

Może dlatego o naród polski, w przeczuciu tego o szczególnego postannictwa, tak bardzo ułomiła matkę Bogai nazywaną Ją w Litani i Loretańskiej Królową Korony Polskiej. I może dlatego największy z myślicieli polskich pisze w swych "Prolegomenach do Mesjanizmu", że Rozum stworzył Boga, odtworzony przez narodzenie z Ducha w człowieku to owa Dziewica, która zdepcze głowę węża i którą filozofia jego wprowadza dziś "do świątyni ludzkości". Może też dlatego - przez dziwny zbieg wydarzeń wskazujący na opatrnościową interwencję Boga w dziejach - enigmatyczne dotąd odkrycie istoty Absolutu czyli transcendentnej esencji bożej, dokonane zostało przez Józefa Marię Hoene-Wrońskiego w dniu 15 sierpnia (1803 r.), w święto Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny.

Filozofia absolutna, której fundament stanowi skonstruowane przez Wrońskiego "Prawo Stworzenia wszelkiej rzeczywistości" (Loi de Cration) ugruntowane z kolei na wspomnianym wyżej odkryciu istoty Absolutu, otwiera jakby rozwój progresywny wszechświata aż do powstania człowieka. Od tego etapu genezy - a szczególności od upadku i rehabilitacji moralnej ludzkości dzięki objawieniom religijnym - rozpoczyna się pochód powrotny jej do Boga, regulowany przez prawo najwyższe historii, które Wroński nazywa Prawem Postępu (moralnego). Olbrzymia ta doktryna, rozwinięta w kilkudziesięciu dziełach, nie może być tutaj streszczona. Wystarczy powiedzieć, że ukazuje ona związek nierozzerwalny nowej filozofii chrześcijańskiej z nową historiozofią chrześcijańską, w której cel ostateczny postępu wyznaczony jest a priori przez religię, a w szczególności przez Objawienie Starego i Nowego Testamentu. Zdaniem Wrońskiego o interpretacji dziejów, pomijając o odrodzeniu duchowego i tworzenia własnego postawionego ludzkości przez Chrystusa, nie zasługuje na miano filozofii historii.

W Prawie Postępu Wrońskiego o rozwój historyczny ludzkości uwarunkowany jest nieodwołalnie przez boski plan zbawienia i przez przyjście Jezusa Chrystusa. Jednakże atrybut wolnej woli, przysługujący człowiekowi jako istocie rozumnej, stworzonej na obraz boży, sprawia, że plan ten może być przyjęty przez ludzkość lub odrzucony. Stąd antynomia zasady boskiej (lex divina) i zasady ludzkiej (lex humana) w dziejach, dopuszczająca nawet ich konflikt, którego punkt kulminacyjny widzi Wroński w epoce współczesnej (5-tej w strukturze Prawa Postępu), nazwanej przezeń erą krytyczną lub erą wrzenia rewolucyjnego. Istnieje w niej niebezpieczeństwo ponownego upadku moralnego ludzkości (la nouvelle chute morale de l'humanité) z inspiracji szatańskiej, a nawet demonicznego samozniszczenia. Jedynym sposobem ocalenia ludzkości w tym momencie krytycznym jej dziejów jest odślonięcie całej, absolutnej prawdy, zawartej w odwiecznej Myśli bożej o stworzeniu i zbawieniu człowieka. Przynieść ją może tylko wiedza najwyższa, filozofia absolutna doskonale zgodna z Objawieniem, w której świetle upadną wszystkie fałszywe doktryny i pseudo-prawdy, negujące istnienie Bogai boskie

posłannictwo Chrystusa . Figur a te j wiedz y najwyższej , dogłębni e chrześcijańskiej, jest dziewica niepokalana i wniebowzięta, która ma zdeptać głowę Węża . Zapowied ź jej zawiera ju ż Protoewangeli a a wizja Jej jak o Niewiasty całej w słońcu, rodzącej Męża, "który ma rządzić wszystkie narody laską żelazną" znajduje się w objawieniu św.Jana . Słowacki w "Samuelu Zborowskim" porównuje ją z Polską, której największe czyny: "wstrzymanie słońca, zdeptanie księżyca" zapowiadał od wieków profetyzm Ewangelisty . W interpretacji historiozofii chrześcijańskiej może to oznaczać jedynie szczególną rolę Polski w upowszechnieniu czci Niepokalanej oraz w dopełnieniu obietnic mesjańskich i parakletycznych przez stworzenie filozofii, ukazującej absolutną prawdziwość Objawienia chrześcijańskiego, w sposób tak nieodparty, by nauka i misja nadprzyrodzona Chrystusa została uznana - w epoce demonicznego kryzysu duchowego ludzkości - za religię absolutną i uniwersalną, jednoczącą wszystkie narody, religie i cywilizacje.

Jerzy Braun



ZA WCZE NIE, EZRA, PRZYBYŁE

Za wcześniej, Ezra, przybyłeś. (Bogowie nie znają litości nawet w takich czasach, jak nasze.) Twój czas jeszcze nie nadszedł, lecz nikt z nas nie wiedział o tym i wszyscyśmy tutaj myśleli, że twoje wściekle **Cantosto** czysta aberracja. Wybacz. Jest noc i jak wszyscy samotni - nasłuchuję przestrzeni, w której niemożliwa jest cisza. Wiem, że możemy już przestać pozować na obłąkanych. (Każdy z nas robi to zresztą w innym celu...) Możemy już przestać mówić i próbować zaczynać wszystko od nowa: niektóre elementy powtórzą się na pewno. Możemy chcieć czegoś więcej, ponad to, co się może każdemu należy. Jeżeli morze naprawdę odbiera pamięć - strzeżmy się morza.

POCZ TEK

Wybudować dom; spłodzić syna; zasadzić drzewo.

Tak wygląda początek zaistnienia życia w chaosie.

(Tego dnia, kiedy zaczynam obliczać szanse, a także wszystkie za i przeciw - czuję na swoich rękach wzrok Oedala własnej ostrożności i wiem, że patrzy głęboko w oczy Ikarowi szaleństwa, kiedy ten przymierza srebrnopióre skrzydła...)

"- Na dzisiaj dosyć" - mówi ojciec kładąc

siekierę obok drzewa całego w zdartych łuskach kory,

od których widoku boli mnie; doznaję

tajemniczego smutku i mogę tylko powtórzyć: na dzisiaj dosyć.

(Tego zdania przyjdzie mi się jeszcze nauczyć; dobrze wbić w pamięć.)

"- Jesteście. Jak dobrze. A ja już myślałam..." (Pozwalamy zatopić się w rzece jednoznacznej mowy.) Chleb dzielony znakiem krzyża, pachnie rękami matki i siostry. Kruszą się w dłoniach kromki.

Zrozumiałem:

to dopiero początek.

1974

Było to w roku moich narodzin. Yannis Ritsos pisał *"Dwana cie wierszydła Kawafisa"*; długo o tym myślałem. Stary poeta wspominał zmarłego już poetę, tak jak w tej chwili ja obu ich wspominam. W swoim cyklu Ritsos aż trzy wiersze poświęcił lampie Konstandinosa - przedkładającego jej światło nad inne rodzaje objawień.

Była to niewątpliwie epoka elektryczności, postępu, i masakr na gigantyczną skalę; czas wydrążony jak echo, w którym nawoływania niewiele doprawdy znaczą poza bolesną drwiną poświadczającą nieprzejednanie wymierającej rasy. W ludziach wzrastała potrzeba obrazów.

Byliśmy znowu przy... *utpicturapoesisr*. nową koniecznością okazywała się być jedynie stara forma. Do wynalezienia pozostało tylko milion odcieni słowa szczęście i drugi milion dla słowa rozpacz - tak, by poemat odwrócony o sto osiemdziesiąt stopni nie był dłonią zaciśniętą wokół noża.

PISA

*"Pisa bez wytchnienia (...) to strzec słowo
przed zalewem nowego słowa po to, by
odnale nietkni t , cho tajnie ugodzon ,
biał stronic , stronic wieczno ci, nieprawda ."*

EdmondJabes

Pisać naszą historię na kartce pościeli, rozciętej na dwie części nożem pojedynczości twojej i mojej osoby; pisać bólem pragnień echem i szaleństwem głodem ułożonym między stronicami." Przypomni j sobie ostatni wiersz o tym; tak pięknie to widzisz, mówisz mi i takłagodnie . Dlaczego o to nigd y ta k nie jest ?" Ostatnie słowa połyka świst powietrza w metrze ("Uwaga. Drzwi się..."). Wsiadasz - bez słowa pożegnania. I pewnie nawe nie wierzysz, że można się już nie spotkać.

Zwaliste, granatowe cielska chmur przez moment przesłaniają ptaka (jest bardzo wysoko); patrzę na ziemię; to ta sama ulica, którą spacerował ojciec i ojciec ojca (jak ona się wtedy nazywała?...)... i dalej, dokąd tylko sięgasz pamięcią, opukującą jak dzięcioł drzewo, każde spēkanie muru, okna cudzych mieszkań. Popatrz tam: wróble siedzą rzędem na drucie wysokiego napięcia... Długo trwał zanim odnalazłeś to miejsce.

... i skąd ta biel śniegu uparcie narzucająca się oczom. Nigdy, ty i ona, nie będziecie wiedzieć, czy dobrze odczytaliście ślady.
Na powrót jest już za późno.

9 LIPCA 1995

*"Usiłuj zobaczyć , jak to, co czytam lub prze ywam,
zachowuje si w innym kontek cie i potem znów, jak si
zachowuje w codziennym yciu."*

JohnCage

Sny mojej matki we mnie i sny mojej matki o mnie,
jakim mnie chciała widzieć (inżynier, lekarz, lub prawnik)
- niespełnione w tym życiu, z mojej winy (mamo...).
Za to chyba to nagle obsunięcie ziemi, do góry uniesione ostrze pożegnania,
jakby mało było bólu dla żyjących. W dniu, kiedy umarła
nie mogłem nawet zapytać: radio, czemu nadajesz tak smutną muzykę?
Po głowie snują mi się wszystkie rzeźnickie wiersze;
oczy mam pełne piasku; wśród spopielonych wizj odnajduję najbliższą:
Zatoka San Francisco, stalowe the Golden Gate.
dwudziestokilkuletni chłopcy skaczą z 73 metrów:
przez chwilę- wysoko - ptaki. Potem cisza
uderzająca falą jak ciężki wiatr od morza. Głosy syren
- karetok pogotowia.

Jakub Winiarski

GŁOWA HOLOFERNESA

1.

Na jednym z obrazów Paola Veronese z wiedeńskiego Muzeum Historii Sztuki rzuca się w oczy postać młodej kobiety. Na płótnie podziwiać możemy wyniosły spokój jej nieporuszonej twarzy, pewnej swego piękna i dostojności. Nieco zaróżowione policzki kontrastują ze śnieżną bielą czoła i związanymi do tyłu, ściśle upiętymi blond włosami; naszyjnik z pereł wokół szyi podkreśla czerwień wąskich ust. Potrzeba trochę czasu, aby nasz wzrok mógł oderwać się od miękkości ramion, subtelnej linii rąk, sutych kolorów sukni i pulchnych dłoni - tego pociągającego ciepła kobiecego ciała - i skierować się na dalszy plan, ku gęstej zieleni kotary, gdzie podążają też oczy naszej bohaterki, a gdzie widać, z profilu jedynie, szczupłą i ciemną sylwetkę innej damy. Jeśli nasze oczy nie zatrzymają się na niej, to w samym rogu dostrzeżemy oblicze mężczyzny o rysach stężyłych i nieobecnych, odbite od mrocznego tła, oddzielone od niego nierówną, postrzępioną, krwawą kreską. Oto Judyta z głową Holofernesa.

Veronese uchwycił moment tuż po zamordowaniu przywódcy Asyryjczyków. Wszystko dzieje się jeszcze w ich obozie, w namiocie zabitego, przed ucieczką wyzwolicielki Izraela. Ciało wroga jest ciepłe, krew ścieka, a jego głowa nie znalazła się jeszcze w worku, który swej pani podaje służebnica. Torba podróżna - to godne opakowanie dla tak cennego skarbu.

Próżno sililibyśmy się, by dostrzec na twarzy Judyty namiętność. Nie ma w niej ani strachu, ani gniewu, ani zawiści, ani litości, ani grymasu obrzydzenia, ani poczucia satysfakcji. Nic nie zdradza, że przed chwilą te łagodne małe ręce, które teraz pewnie ujmują zmierzwiłone włosy wodza Nabuchodonozora, dzierżyły miecz.

Jak to możliwe, że zabójstwo w ogóle jej nie wzruszyło? Dlaczego Veronese powściąga rysy Judyty? Dlaczego nie daje wybuchnąć euforii - przecież zabiła wroga, obrzydzeniu - przecież jej ręce umazane są we krwi, strachowi - przecież przed nią głucha noc i tysiące nieprzyjacielskich namiotów? Twarz kobiety na obrazie nie pasuje do sytuacji, przychodzi jakby z innej historii, mieści się w innym wydarzeniu. Ta beznamiętność ogłusza. Obezwładnia. Co z nią zrobić? Jak wytłumaczyć? Czy to brak w sztuce? Nieumiejętność wyrażenia emocji? A może pochwała zbrodni? Apoteoza podstępny? Te pytania każą iść dalej. Nie zatrzymywać się przy wartości estetycznej obrazu, zostawić na boku grę kolorów, napięcie tła i światła. Dotrzeć do pytania "dlaczego?". Do podstawy, która pozwoliła przedstawić Judytę bez namiętności. Co za duch się tam ukrył, który tak suwerennie, z tak krystalicznym dystansem znosi okrucieństwo?

2.

Veronese zdaje się być wiernym uczniem Pisma. Ale to właśnie, co z taką aprobatą opisuje Księga, nas musi oburzać. Judyta do zamachu przygotowywała się przez kilka dni. W tym czasie jej postępowanie było dyskretną

grą wybiegów i hipokryzji. Z jednej strony nie dopuszczała się jawnego kłamstwa, z drugiej umiejętnie zwodziła Holofernesa. Dwuznaczne słowa Izraelitki pozwalały mu widzieć w niej zdrażczynię, która wyda miasto w jego ręce. Ona zważała, by nie powiedzieć za dużo. Nawet tam, w obozie wroga, pilnowała się, by nie przekroczyć przykazań Pana. Co za chytryś! Jej słowa są trochę niejasne, ale nie przeszkadza to Holofernesowi. Interpretuje je na swą korzyść, a wszelkie wątpliwości rozwiewa uroda domniemanej zdrażczyni. Judyta mówi jednak tylko to, co w jej sumieniu nie stanowi wykroczenia. Zaiste spełnia się jej prośba:

"Daj mi mowę podstępna,
by zadała im ranę i siniec."

Ile spokoju musiała wykażać! Ile siły woli! Przez trzy dni w jaskini lwa, otoczona przez Asy ryjczyków, ograniczona czasem danym jej przez współziomków i cierpliwością wysłannika Nabuchodonozora, musiała wiernie odgrywać swą rolę.

Skąd wiedziała, że tak właśnie skończy się uczta? Gwar i śpiew pijanych. Judyta umiejętnie wystrzega się wina, musi być przecież trzeźwa. Na pewno odczuła radość, gdy dostrzegła, że Holofernes nie zachował miary, że zaczął się chwiać na nogach, a jego język z coraz większym trudem przekazywał myśli. Ale tej radości towarzyszyła chyba obawa: oby dotrwał do końca, oby nadmiar trunków nie zdusił w nim żądy! Wówczas katastrofa! Kazałoby się odejść, wyrok nie zostałby wykonany, sprawiedliwości nie stało by się zadość. Może więc od czasu do czasu rzucała ku niemu zalotne spojrzenie, które on interpretował jako zaproszenie do wspólnej rozkoszy, ona zaś - jako zło konieczne. Z ulgą - jaką trudno było ukryć - musiała dostrzec, że biesiada ma się ku końcowi. Odeszli dostojnicy, ze stołów zniknęły puchary i półmiski, wycofała się nawet służba. Judyta została z prześladowcą Izraela sam na sam. Holofernes leżał upity. Spał. Może nawet cicho pochrapywał. W namiocie nie było nikogo poza nimi. Judyta widzi zawieszony nad ciałem śpiącego miecz. Zdejmuje go, prosi Boga, który, jak wierzy, jest z nią, o siłę - jest przecież słabą kobietą - i uderza. Raz nie wystarcza. Głowa trzyma się jeszcze korpusu, potrzebny jest drugi cios. Udało się wreszcie! Woła służącą, ta podaje torbę podróżną (moment, w którym widzi je Veronese) i obydwie odchodzą ze zdobyczą chronione ciemnościami nocy.

Ciekawe, że uwagę malarzy przyciągała chwila tuż po zabójstwie i rezygnowali zazwyczaj z pokazania wydarzenia znacznie bardziej uroczystego: kiedy Judyta przedarła się do oblężonej Betulii i wobec tłumu upadłych na duchu obrońców miasta wyciągnęła z worka zakrwawiony łup.

3.

Dwuznaczność uczynku Judyty? O czymś takim ani w obrazie mistrza, ani w tekście Księgi nie ma mowy. A przecież to właśnie dwuznaczność jej czynu zdaje nam się dzisiaj najbardziej narzucać. Zdrowy rozsądek wcale nie opowiada się p o stronie bohaterki. Widzi w niej raczej ryzykantkę, która dla niebezpiecznej idei gotowa jest narazić na śmierć współziomków. To ich postawa jest zrozumiała. Początkowo, kiedy niebezpieczeństwo było jeszcze

daleko, mieszkańcy Betulii sądzili, że obronią swe miasto bez kłopotów. Przybywają do nich wprawdzie kolejni posłańcy, ale nie znajdują posłuchu. Słowa ostrzeżenia, że wojska Holofernesa są coraz bliżej, trafiają w próżnię. Mieszkańcy miasta wierzą w moc swych ofiar. Dlaczego Bóg miałby dopuścić do klęski? Czy nie wiąże Go umowa? Otrzymuje należne Mu dary - pamięć o wypędzeniu jest wśród Izraelitów zbyt żywa, by o nich zapominać. Wieści o wojnie przyjmowane są zatem z nieufnością. To niemożliwe, aby im, którzy zachowują przykazania, mogło przydarzyć się cokolwiek złego. Niebezpieczeństwo wydaje się niewiarygodne. Dlatego nie boją się Holofernesa i jego żołnierzy. Może sam zrezygnuje z dalszego marszu? A może uderzy go grom z jasnego nieba? Może powstrzymają go wody nagłe wezbranych potoków albo jad cichego skorpiona? Coś musi się stać, coś niezwykłego, coś, co przeszkodzi mu tu dotrzeć. Tymczasem złych wieści jest coraz więcej. Holofernes zbliża się naprawdę. To już nie czcze pogłoski, ale realne niebezpieczeństwo.

Kiedy wóz Nabuchodonozora dociera do miasta, a jego nieprzeliczone wojska zajmują pozycje przy źródłach wód, w oczy mieszkańców Betulii zagłada zagłada. Izraelitów ogarnia wówczas gniew: gniew na siebie, na swego Boga i na swych przywódców. Dlaczego się od razu nie poddali? Po co walczyć z tym, co przemożne? Jak głupia była ich chętność, jak niedorzeczne ich zaufanie - wystarczyło tylko w porę ulec przemocy, złożyć hołd, wpuścić pokojowo nieprzyjaciela do miasta i nie byłoby kłopotów. Zamiast świątyni Jahwe mieliby świątynię Nabuchodonozora, zamiast składać ofiary Bogu Abrahama, Izzaka i Jakuba czciliby króla królów i pana panów, monarchę asyryjskiego. W końcu to niewielka różnica: okoliczne ludy poddały się i przeżyły, oni dochowują wierności i mają zginąć! Jak bardzo uzasadniony jest ten gniew! Bo dla Boga, którego ani nie widać ani nie słyhać, a który dopuścił, aby przed murami miasta rozłożył się obóz Asyryjczyków, zaryzykowali tym, co człowiek posiada najcenniejszego - własnym życiem. Nic dziwnego, że zdrowy rozsądek bierze w nich górę nad fanatycznym pragnieniem oporu. Jeśli w ciągu pięciu dni nic się nie zmieni i Jahwe nie wyrwie ich z ręki nieprzyjaciela, poddadzą się, gdyż w ten sposób ocala przynajmniej swoje żony i dzieci, a może nawet własne życie. Być może ubłagają Holofernesa, by nie był zbyt surowy? Może okupią swą winę wyjątkowym poddaniem i okazaniem czci Nabuchodonozorowi? A jeśli się to nie uda, jeśli opuszczą tę ziemię, to i tak zachowają przy życiu żony i dzieci. A to znaczy już przyszość.

Niech nikt nie próbuje im mówić o zdradzie Boga - On sam zdradził siebie, skoro nie przyszedł miastu we właściwym czasie na pomoc! Jeśli chce być czczony, to niech coś zrobi. Inaczej nie może się dziwić, że ustępują wobec przemocy. Tam, gdzie naprzeciw siebie stają silniejszy i słabszy, słabszy musi ulec. Walka jest z góry przegrana, pomoc znikąd przybyć nie może, zatem zdrowy rozsądek i szacunek dla życia nakazują kapitulację. Tylko głupiec wierzy w to, co niemożliwe (jakimiż głupcami się okazali!), tylko szaleniec nie liczy się z realną siłą. Izraelici decydują się poddać i to postanowienie jest głosem rozsądku. Dają Bogu pięć dni: niech działa. Jeśli nic nie potrafi uczynić, poddadzą się, ale uratują przyszłość.

4.

Wówczas pojawia się ona. Jest przezorna, dlatego nie staje wobec tłumy; wzywa do swego domu tylko starszych i przywódców. Nie wiemy, jak wyglądała. Pismo mówi jedynie, iż "była piękna i nawejrzene bardzo miła", ale możemy chyba pójść za Veronesem i zobaczyć ją zarumienioną, z błyszczącymi oczami, niespokojnie falującymi piersiami, nie wahającą się wzburzonym głosem zarzucić współziomkom zdrady. Co za wspaniała scena! Młoda powabna kobieta oskarża starców, słaba wdowa zarzuca silnym mężczyznom tchórzostwo.

Judyta występuje w obronie Boga przed roszczeniami człowieka. Mówi: "Kim wy właściwie jesteście, żebyście wystawiali na próbę w dniu dzisiejszym Boga i postawili siebie ponad Boga między synami ludzkimi?" Ona wie, że Pana nie wolno drażnić, grozić Mu, że w jego oczach wierność jest ważniejsza od wszystkiego innego: "On wysłucha naszego głosu, jeżeli Mu się spodoba." Nie wskazuje na siłę i sposób wybawienia - broni jedynie praw Najwyższego. Nie ma jednak nic do zaferowania. Nie została powołana jak Mojżesz czy nawet jak Gedeon. Nie może powołać się na żaden znak, na żaden nadnaturalny dowód posłannictwa. Najwyższy nie przyszedł do niej we śnie, nie posłał swego Anioła, nie zesłał rosy, nie pojawił się w krzaku ognistym. Nie dostrzegą Go ani w obłoku, ani w wietrze. Nie dysponuje żadnym świadectwem wybrania, które mogłaby okazać starszym i przekonać ich, że Bóg jej sprzyja.

Nic dziwnego więc, że przywódcy ludu zachowują wstrzemięźliwość. Doskonale można zrozumieć Ozjasza: przyznaje rację tej kobiecie, ale równocześnie nie wycofuje się z przysięgi. Cóż szkodzi poczekać, skoro i tak nie ma wyjścia? Przyjrzyjmy się dokładnie scenie rozmowy Judyty ze starszą: jak pełna jest uników i niedopowiedzeń. Judyta oskarża starszych, ale czyni to skrycie. Wie dobrze, że jej słowa nie trafią do przekonania zwykłemu ludowi. Przywódcy natomiast czekają. Widzą jej gorliwość, słyszeli, że jest kobietą pobożną, ale zdają też sobie sprawę, jakie jest ich zadanie - czuwać na d. dobrem ogółu. Już raz popełnili błąd. Nie mogą dla słów jednej kobiety narażać i tak niepewnej już szansy na przetrwanie. Ozjasz przystaje więc na czyn Judyty, choć nie wie, na czym on będzie polegać. Pozwala jej działać, ale nic to nie zmienia w jego postanowieniu. Może gdyby na jego oczach potrafiła zmienić laskę w węża albo z kawałka drewna uczynić miecz, Ozjasz zrezygnowałby z przysięgi? Judyta przemawia jednak tylko w imieniu wiary, za którą przywódcy ludu nie dostrzegają siły. A tylko siła - o czym tak boleśnie się przekonali - daje wybawienie z zagrożenia. Starsi i Judyta oddalają się od siebie.

5.

Veronese przechodzi nad racją przestraszonych mieszkańców miasta do porządku dziennego. Jego Judyta jest absolutną zwyciężczynią, kobietą bohaterską, uosobieniem męstwa i odwagi. Nie widzi, ale nie chce widzieć, tych wszystkich półcieni, w których skrywa się jej postać. Bo przecież domaga się niemożliwego. W mieście zaczyna brakować wody, co noc z murów

dostrzec można tysiące ognisk nieprzyjaciela, znikąd nie widać pomocy. Tymczasem ona dalej żąda wierności! Zakazuje się poddawać! Jakim prawem? Jaką mocą? Samego zaufania! Judyta nie powołuje się na żadne szczególne objawienie: jej sprzeciw wobec decyzji ludu i całe przedsięwzięcie, na które się porywa, opierają się tylko na zaufaniu do Najwyższego. To właśnie budzi w nas oburzenie: jak śmiała dla swego przekonania narażać na śmierć pozostałych?

To, co Pismo podkreśla z taką lubością, że od trzech lat była wdową, że po śmierci męża nie poznała innego mężczyzny, że cały czas spędzała na postach, a jej główną cnotą było to, iż "bardzo bała się Boga", w końcu że umarła w późnym wieku zostawiając majątek krewnym - to wszystko świadczy o jej oddaleniu od życia. Nie miała więc o kogo się troszczyć, nie miała ani dzieci ani męża. Nie musiała się liczyć ze stratą synów ani córek. Czy nasza sympatia, nasz zdrowy rozsądek nie nakazuje w trakcie rozmowy Judyty ze starszymi ludu być po stronie tych ostatnich? Ta chora kobieta, opętana przez przywiązanie do swego Boga, ryzykuje bowiem losem wszystkich pozostałych. Dla a wierności jakimś tam zasadom domaga się rezygnacji z przysięgi, która stanowi ostatnią szansę przeżycia - Bóg zachowa siebie. To nie Jego dotkną asyryjskie miecze, to nie jego będą włóczyć po piachu konie jeźdźców, to nie jego ciało przebiją strzały łuczników. On może przyglądać się wszystkiemu spokojnie, może czynić, co mu się podoba, ale niech nam pozwoli chociaż przeżyć - mówią Izraelici. W końcu jakie znaczenie ma wierność, skoro nieżywy i tak nie może jej dochować?

Wszystkie racje są po stronie ludzi gotowych do poddania miasta, a jednak to Judyta zostaje uznana za bohaterkę. Ta, która zaryzykowała, która bardziej broniła praw Boga niż człowieka, która w imię wierności Najwyższemu, w imię wierności "tak Mu się podoba", chce odrzucić ostatnią szansę ratunku.

6.

Niewrażliwość starych mistrzów na śmierć, ich obojętność na okrucieństwo - chyba tylko w ten sposób możemy sobie tłumaczyć postawę Veronesa. Odcięta głowa to jeden z ulubionych motywów malarskich. Głowa Goliata, Jana Chrzyciela, Holofernesa. U Andreasa Mantegny David trzyma nogę na trupie pokonanego przeciwnika: w jednym ręku miecz, w drugim głowę Goliata. Obraz przypomina płaskorzeźbę, jego stonowane kolory, szary i rdzawy, dodatkowo uwydatniają posągowość bohatera. Zwycięstwo Dawida jest dla Mantegny jednym z dowodów wierności Boga, a głowa Goliata tylko widomyim tego znakiem. Nawet jeśli Dawid się porusza, kiedy jego twarz nabiera życia - jak u Caravaggia - to nie dostrzeżemy w nim zawahania. Wyciągnięty miecz dosięgnie wroga, ręka nie puści włosów przeciwnika, by cios mógł pewnie spaść na szyję. Albo Judyta pędzła Cranacha Starszego - jest mniej kobieca niż u Veronesa, ale nie mniej obojętna. Tę samą twarz moglibyśmy zobaczyć na portrecie albo przy stole biesiadnym. Gdybyśmy odebrali im czerep, obie Judyty mogłyby stać się madonnami. Zbrodnia ich nie dotyka, krew nie obryzuje, śmierć ginie w sprawiedliwości.

7.

Gdyby nie ta doza bezwzględności, czyn Judyty straciłby na wielkości. Z drugiej jednak strony, czy tym, co w całej tej historii jest dla nas najmniej odległe, nie jest owa doza okrucieństwa? Religijność jako łzawość, jako tęskna miłość wszystkich do wszystkich; Bóg jako miłość, która wszystko znosi, na nic się nie oburza, której nic nie dotyka i nic nie hańbi - oto co utrudnia nam zrozumieć Judytę. Oto co wprawia nas w zakłopotanie i czyni bohaterstwo Judyty kontrowersyjnym: jak śmiała w imię posłuszeństwa Bogu dokonać zabójstwa? Jak można wychwalać jej czyn? Można byłoby co najwyżej przyrzknąć na to oko, mówić ogólnie o potrzebie ufności i miłości - ale cała reszta? Podstęp, miecz i śmierć? To zbyt brutalne, zbyt barbarzyńskie.

Nic dziwnego, że usłużny komentator Księgi Judyty nie zapomniał nam przypomnieć, że "w świecie wojennych obyczajów Hebrajczyków jej czyn nie był niemoralny". Czyż takie uwagi nie zdradzają złego sumienia? Bo jakże może być inaczej, kiedy za przykład podaje się nam kobietę podstępną, na domiar złego - ryzykantkę, która nawet nie może powołać się na obietnicę Najwyższego! Pojawić się więc musi komentarz, by czyn ten złagodzić, by czasem nie dopuścić możliwości, że mamy do czynienia z czym innym, niż tylko z "wojennymi zwyczajami Hebrajczyków". Ten zabieg się jednak nie uda! Albo czyn Judyty był sprawiedliwy - wraz z niedomówieniami i pewną dozą okrucieństwa, albo był wynikiem barbarzyństwa i zaślepienia. Oczywiście dla komentatora byłoby najlepiej, gdyby Izraelitów wybawił sam Bóg, nasyłając na Asyryjczyków plagę szerszeni, co zmusiłoby ich do odwrotu. Skoro tak się jednak nie stało, to trzeba "przyjąć" Judytę, ale przedtem dostosować ją do współczesnego smaku. Ale Veronese, idąc za Pismem, nie dlatego pokazuje zwycięską Judytę, że postąpiła ona wprawdzie niesłusznie, ale "zgodnie z barbarzyńskimi obyczajami wojennymi Hebrajczyków", tylko dlatego, że w jej czynie pokazało się męstwo i odwaga. Poszła zabić wroga, bo nie było innego wyjścia. Jej ręka nie zawahała się w namiocie Holoferesa, choć ten leżał pijany i bezbronny, podobny do barana bardziej, niż do dumnego wojownika. W Judycie nie było współczucia, ani litości, na jej twarzy nie znajdziemy łez.

8.

Okrucieństwo jest jakby cieniem sprawiedliwości. Tylko jako takie może zostać przyjęte. Ani jako pasja zabijania ani jako nienawiść ani jako żądza zemsty. Judyta tylko raz w swym życiu pojawia się na publicznej scenie, tylko raz czyni to, co do niej należy, ze spokojem jakiego nie powstydziliby się nienajeden wojownik. Okrucieństwo Judyty pozostaje w granicach sprawiedliwości, dlatego może zostać dopuszczone. Jest zaprzeczeniem niesprawiedliwego okrucieństwa, z jakim mamy do czynienia w przypadku Salome.

W tym samym wiedeńskim muzeum sąsiadują ze sobą obrazy dwóch malarzy ze szkoły Michała Anioła: Bernardino Luiniego i Cesarego da Sesto. U obydwu na twarzy Salome pojawia się uśmiech. Jej drobna twarz, o szczupłych rysach, przypominająca łepkę łasiczki, jest ucieszona. Jest w niej coś mściwego: zadowolenie z nieszczęścia i niesprawiedliwości. Ta twarz syci

się, jest nieczysta. Wykrzywienie warg oraz oczy zdradzają namiętność zbyt widoczną, aby trzymana na talerzu głowa nie należała do sprawiedliwego. Tam, gdzie pojawia się namiętność i uczucie, kara może przekształcić się w zbrodnię, a zdecydowanie - w okrucieństwo.

Z okrucieństwem mamy do czynienia nie wtedy, gdy ktoś kogoś po prostu zabija, albo gdy jeden zadaje cierpienie drugiemu, lecz wtedy, gdy jest to zabójstwo niepotrzebne i niesprawiedliwe. Kiedy cierpienie drugiego jest celem samym w sobie, źródłem zadowolenia, a czyn wynika z nienawiści, chęci zemsty czy nasylenia żądy.

Oto co odróżnia sprawiedliwego od złoczyńcy: sprawiedliwy wie, że gdyby znalazł się na miejscu okrutnika, też należałaby mu się kara. Judyta jest nieporuszona, gdyż jest sługą porządku. Występuje przeciw wrogowi, który napadł na jej kraj, przeciw wysłannikowi tego, który śmiał powiedzieć, że jest panem całej ziemi. To Nabuchodonozor rozkazał "wytracić wszystkich bogów ziemi, tak aby jedynie jemu służyły wszystkie narody."

Śmierć tego, kto naruszył porządek, nie jest okrutna, ale słuszna. Okrucieństwo jest zbędne. Sprawiedliwość, by mogła się pojawić, potrzebuje wykonawcy.

O ile Judyta jest wykonawczynią, to Salome jest charakterem. Można wyobrazić sobie następującą sytuację: urażona matka, doprowadzona do wściekłości, bo ośmiela jej się zwracać uwagę nie kto inny jak cuchnący wielbłądzimi skórami prorok. Ponieważ sama nie może dokonać zemsty, namawia córkę. Śmierć Jana Chrzciciela to skutek zmywy, przypadku, nieuwagi Heroda, jego zbyt pospiesznej obietnicy i słabości. To efekt zbiegu okoliczności i prywatnej żądy jednej kobiety. O ile to, co zrobiła Judyta, powinien uczynić każdy, to zabójstwo Jana Chrzciciela mogło być dziełem jednej kobiety, jednej pasji, jednego wieczoru.

9.

Judyta nie wyrusza do obozu wroga, by zbawić swój lud. To nie jest dla niej najważniejsze. Ona idzie bronić honoru Najwyższego. To nie groźba śmierci i niewoli, nie obawa o los współziomków, nie pragnienie ratowania ich życia, ale niesprawiedliwość jakiej się dopuszczają. Judyta nie jest zwykłą bohaterką. Znaczenie jej czynu nie polega na tym, że bardziej szuka śmierci niż życia, ani na tym, że wyzwala uciśnionych mieszkańców czy też zdobywa się na odwagę w beznadziejnej sytuacji - to wszystko prawda, ale nie oddaje sensu jej działania. Judyta milczy, kiedy wrogowie otaczają miasto i odcinają je od wody. Zagrożenie jest jak najbardziej rzeczywiste, trwoga ogarnia wszystkich, a ona pozostaje w domu. Tłumy gromadzą się na ulicach, słysząc odgłosy z obozu Asyryjczyków, a jej wciąż nie ma. Można powiedzieć, że gdyby Izraelici nie postawili Bogu warunku, gdyby zdecydowali się walczyć do końca i raczej zginąć niż wydać miasto Holofernesowi, raczej umrzeć niż pokłonić się Nabuchodonozorowi, to Judyta nigdy by się nie pojawiła. Dopiero ich roszczenie, ich żądanie, ich przekroczenie wyznaczonych człowiekowi granic, a więc domaganie się od Boga działania tak, jakby był człowiekiem, jakby można na Nim było wymóc posłuszeństwo, zmusza ją do reakcji. Judy-

ta w pierwszej mierze staje w obronie naruszonego honoru Najwyższego. Jest bojowniczką o czystość Jego imienia, a nie wyzwolicielką obłąkanego miasta. Idzie do obozu wroga działać, gdyż broni prawa Najwyższego do nie-działania.

Jak jednak śmiertelny może naruszyć honor Boga? Dlaczego Judyta jest naiwna? Dlaczego wierzy, że warunek postawiony przez obrońców miasta ma znaczenie? Co ją obchodzi to pętanie Pana? W końcu On i tak uczyni, co zechce. Dlaczego o nie śmieje się z Ozjasza? Dlaczego o nie pozostaje w domu i nie znosi dalej modłów, czekając, aż zjawi się ktoś bardziej godny albo nie zjawi się nikt? Skoro Bóg może działać albo nie działać, to dlaczego ona nie daje Mu tej swobody? Nie pozwala spuścić na obóz Holofernesa deszczu ognistej siarki, nie daje utopić go falami potopu ani zniszczyć wiatrom. Dlaczego sama idzie działać? Co ją prowadzi?

Prowadzi ją naruszona sprawiedliwość, przekonanie, że Bóg nie tylko czyni co chce, ale, że człowiek ma obowiązek działania, kiedy porządek zostaje naruszony. To naiwne przekonanie, że Bóg czyni co chce, a zarazem że człowiek musi występować w Jego obronie, kiedy Jego nieśmiertelna chwała doznaje uszczerbku od synów ludzkich. To popycha ją do bohaterstwa. To największa zagadka całej opowieści: te dwie wykluczające się prawdy, te dwa przekonania, które powinny się znosić - w jej osobie uzupełniają się, warunkują, doprowadzają do rzeczywistego działania. Jak to możliwe, że ona broni tego, co wieczne? Przecież nic, co ludzkie, w Boga wtargnąć nie może, ani Go nie może naruszyć - Judyta wie o tym doskonale. Dlatego czyni Izraelitom wyrzuty. Chociaż wie, że ludzie nie mogą wyrządzić Bogu żadną miarą niesprawiedliwości, ani nie mogą Go dotknąć, wyrusza w drogę, aby tej nienaruszalnej Sprawiedliwości, tego niesplamionego Imienia, tego nieskończonego Bronić. Przecież to szaleństwo - powiemy. A jednak ona postępuje w ten sposób. Staje w obronie Tego, który żadnej obrony nie potrzebuje, unosi się gniewem przeciw tym, którzy Mu nic zrobić nie mogą. Gorliwość o prawo Najwyższego pożera ją, chociaż Najwyższy jej nie potrzebuje.

"A teraz, bracia, pokażmy naszym braciom, że od nas zależy ich życie i wszystko co święte, świątynia i ołtarz opierają się na nas. Za to wszystko będziemy dziękować Panu Bogu naszemu, który doświadcza nas, tak jak i naszych przodków". Aby Judyta zdecydowała się na działanie, musi wierzyć nie tylko w suwerennego Boga, który co chce, to robi, ale też w znaczenie własnej osoby. Musi wierzyć, że zły los nie jest obojętny, lecz stanowi próbę, doświadczenie. Jej Bóg jest Bogiem Abrahama, Izaaka i Jakuba, Kimś, kto przychodzi w historii, kto obiecuje i dotrzymuje słowa, kto wymaga i sprawdza, kto nakazuje i osądza. Jak wytłumaczyć ten paradoks?

10.

Opis historii zawiera jedną z największych tajemnic Biblii: przekonanie o Boskiej wszechmocy nie rozbraja człowieka, nie nakazuje bezczynności, ale wzywa do działania. Judyta wyrusza do obozu wroga, chociaż gdyby nie wyruszyła, Pa n ic by nie utracił. Wyrusza jednak, bo dla niej pętanie Pana stanowi obrazę. Uznaje siebie za godną działania i przywraca porzą-

dek, który i tak nie mógł być naruszony, idzie bronić honoru swego jedynego władcy, chociaż nikt tego honoru odebrać Mu nie może. Na tym polega próba, której poddani zostają mieszkańcy miasta: czy w sytuacji skrajnego zagrożenia poddadzą się czy dochowają wierności? Tak, jakby dochowanie wierności miało znaczenie z absolutnego punktu widzenia! Ale czelownik Biblii nigdy nie zajmuje absolutnego punktu widzenia, on zna swoje ograniczenie. Wie, że żyje w jednym miejscu i w jednym czasie, że jest zmienny i chwiejny, a jednak przyjmuje ten czas jako bezwzględną próbę. W ten sposób potwierdza, że jego Bóg, ten, o którym świadczyły pokolenia, jest inny od wszystkich bożków i boginek, potężniejszy od wojsk Holofernesa i królestwa Nabuchodonozora.

Judyta nie idzie na śmierć, nie szuka męstwa, nie poddaje się konieczności - ona dochowuje wierności. Idzie działać z nadzieją. Jej czyn nie jest wynikiem rozpaczki, ale skutkiem zaufania, że w tym jednym zdarzeniu może przejawić się absolutna potęga Pana.

Judyta nie jest bohaterką tragiczną. Ona działa, rzeczywiście wierząc, że za każdym losem skrywa się wola Najwyższego, który jedynie poddaje próbie. Że modlitwa i ufność wystarczą, aby zmienić to, co niemożliwe. Ze ten, którego wola się nie zmienia, wysłuchuje tego, który błaga w pokorze. Jej sprawiedliwość polega na dochowaniu wierności: Temu, który na to, aby Mu dochować wierności, pozwala.

11.

Antygoną również dochowuje wierności. Ona też odrzuca ludzkie nakazy, by nie wzgardzić "tym, co dla bogów święte". Ismena się wycofuje, daje zwyciężyć obawom: "poddane jesteście silniejszym, aby słuchać, choć to sprawia ból". Ismena rozumie jak mieszkańcy oblężonego przez Holofernesa miasta: nie wolno chcieć niemożliwego. Skoro Kreon nakazał posłuszeństwo, nie wolno mu się przeciwstawić. Tylko głupiec będzie występował przeciw temu, co przemożne. Ismena nie podważa racji Antygony, która wbrew rozkazowi króla chce pochować swego brata, Polinejka, Uważa tylko ten czyn za nierozsądny: dla umarłego nie można tracić żywego.

To stanowi dla Antygony powód do oburzenia, do wzdrygnięcia dla słabszej siostry. Stawia Ismenę przed próbą: "Wkrótce okaże się, czy jesteś słabochetną, czy wyrodziłaś się z rodu." Domaga się od niej współdziałania, a przez to - heroizmu i przezwyciężenia strachu. Kiedy Ismena nie jest w stanie sprostać wezwaniu, Antygoną odrzuca ją i sama decyduje na czyn. W tej tragedii, podobnie jak w Księdze Judyty, chodzi o jakość życia. Nie o to, aby przeżyć, tylko w jak przeżyć swoje życie? Tu pojawia się jednak podstawowa różnica: Antygoną nie wierzy w powodzenie swojego przedsięwzięcia. Wybiera śmierć. Kiedy rozstaje się z siostrą, mówi: "Pozwól tylko mi i memu szleństwu znieść to, co straszne! Nie doznam nic straszniejszego, jeśli umrę dzielnie".

Antygoną staje w obronie odwiecznych praw, które nakazują siostrze miłość do brata. "Twój zakaz nie może mieć takiej siły, jako pochodzący od śmiertelnego, aby przezwyciężyć niepisane, nie mogące ulec zmianie prawo bogów" - mówi do Kreona. Ten ostatni jest winny, bowiem jego rozkaz przekracza granice tego, co zależy od człowieka i dotyka Boskiego rozporządzenia. Kreon chce decydować o tym, o czym śmiertelny nic powiedzieć nie może: w jaki sposób Hades otworzy się przed zabitymi?

W tej obronie boskiego przed ludzkim, w decyzji, która nakazuje przedkładać wierność ponad życie, Antyгона jest bliska Judycie. Tylko, że tej pierwszej brak ufności biblijnej bohaterki. Od początku szuka śmierci. Życie stało się dla niej nieznośne. Antyгона nie tyle pojawia się z zewnątrz, by przywrócić naruszony ład, ile już przez samo swe urodzenie skazana jest na wybór. Nie tyle zjawia się spoza sceny, jak to robi Judyta, ile od początku jest na niej obecna.

Antyгона również dokonuje bohaterskiego czynu, ale tym, czego broni, jest własna godność. Jej sytuacja jest tragiczna, bo nie ma z niej wyjścia: albo ucieknie i ulegnie, a wówczas stanie się podła, albo zniesie to, co straszne i okaże dzielność. Nikt nie może jej w tym wyręczyć, owo "albo-albo" stało się częścią jej losu. Z tragedii nie ma pozytywnego wyjścia, a jedyne oczyszczenie, jakie można zyskać, polega na tym, by przyjąć to, co straszne. Z punktu widzenia człowieka bogowie są nieistotni. Bohater tragiczny działa sam, sam jest środkiem ciężkości. "Pozostaw prośby, to co śmiertelne, nie wypłacz się z przeznaczenia przez żadne modlitwy". Wszelka myśl o wybawieniu zakłóca doskonałość sytuacji tragicznej, zamazuje nieusuwalny konflikt, starcie równoważnych wartości. Aby stać się dzielną, Antyгона musi umrzeć: śmierć jest pieczęcią spełnionego losu.

Dzielność bohatera tragicznego pozostaje w nim samym - nie może przechodzić od bogów, którzy - podobnie jak śmiertelni - są częścią porządku, strzeżonego przez konieczność.

I Judyta i Antyгона występują przeciw pysze. Pierwsza walczy z potęgą Holofernesa i słabością mieszkańców Betulii, druga - z rozporządzeniem Kreona, które wykracza poza miarę człowieka. Dzielność i wielkość Judyty oparte są jednak na ufności, są dane jej przez Boga, podczas gdy Antyгона jest wyłączną właścicielką swego czynu. Kiedy człowiek biblijny walczy z niesprawiedliwością, to jego siłą jest zaufanie komuś od niego potężniejszemu. Dzielność, jaką okazuje, stanowi tylko potwierdzenie ufności. Człowiek tragiczny nie otrzymuje od bogów pomocy, zdany jest tylko na siebie. Spełnia, co musi i ginie, jeśli taka jest potrzeba. Jego cnota pozostaje w nim. Cnota człowieka wiary dana jest przez Najwyższego.

Człowiek tragiczny pozostaje w tym świecie, człowiek biblijny poza ten świat wykracza. Pierwszy spotyka to co boskie, drugi zaś - żywego Boga, zdolnego składać i spełniać obietnice. Jeśli pierwszy z nich wyraża doskonałość, którą człowiek może zyskać, kiedy sam przezwycięży strach przed śmiercią, to drugi wykracza swą nadzieją poza tę doskonałość ku Najwyższemu. Prawa Hadesu nie ulegną zmianie, jeśli Antyгона nie pochowa Polinejka, natomiast sama Antyгона utraci wówczas dzielność. Honor Boga będzie naruszony, jeśli Judyta się za Nim nie ujmie. Człowiek biblijny idzie tylko krok dalej niż bohater tragiczny; wszystko, co godne i sprawiedliwe, dostrzega jako dane przez Pana, "któremu tak się spodobało".

12.

Najbardziej zatem zasakakującą cechą człowieka Biblii jest jego śmiałość. Śmiałość granicząca niekiedy wręcz z zuchwalstwem: jest gotów działać w świecie, tak jakby przez niego objawiało się to, co nieskończone, co

niewypowiedziane. Decyduje się na czyn - uwarunkowany, dwuznaczny, ograniczony, jak każdy czyn człowieka - i wierzy, że dociera do wiecznego. Nie tylko staje wobec wiecznych praw Boskich, ale ich broni i wierzy, że od tej obrony zależy ich istnienie. To nierozwiązywalny paradoks: być skończonym i wierzyć, że moje czyny mają nieskończone znaczenie; służyć Bogu, którego nic nie może dotknąć, a zarazem bronić Go przed poniżeniem, napaściami i bałwochwalstwem. Czy może być większa śmiałość niż ta, którą wykazała Judyta, kiedy posłała sama przeciw całemu wojsku Asy ryjczykó w, uzbrojona w wiarę i ufność do Wiekuistego?

Ta śmiałość nie ma w sobie nic z bierności, z oczekiwania, a jeśli tak, to staje się czymś godnym potępienia i odrzucenia, jak postępowanie mieszkańców otoczonego przez Holofernesa miasta. Ta śmiałość każe w czasie widzieć zasłonę, za którą skrywa się Bóg, w pozornie nieistotnych zdarzeniach dostrzec odbłask wiecznej próby; we własnym losie, po którym w ludzkiej pamięci nie zostanie nawet śladu, każe zobaczyć dobroczynną rękę Opatrzności. Ta śmiałość pozwala Judycie zachować spokój w obozie Holofernesa, krok po kroku doprowadzić swój czyn do końca, zwyciężyć wroga i wrócić do Betulii, a co więcej - wycofać się w spokoju i już nigdy nie być potrzebną. Raz na zawsze być tylko sługą i wykonawcą. Ta śmiałość, która sprawia, że Najwyższy staje naprzeciw człowieka w tym czasie, w tej skończoności, w tym ograniczeniu, pozwala człowiekowi pozostawać obojętnym wobec wszystkich gózb świata. Ta śmiałość domaga się pełnej pokory wobec Jedynego, w zamian za co zdobywamy wybawienie od losu.

13.

Ograniczenia nakładane na Boga stanowią pozorne zabezpieczenie. Tym kierowali się mieszkańcy Betulii i dlatego ponieśliby klęskę, gdyby nie pojawiła się wśród nich kobieta, która uznała w Bogu władcę absolutnego. Wiara w Tego, który czyni "co Mu się podoba", dała jej siłę, by wyzwolić tych, którym owej wiary zabrakło.

Paweł Lisicki

UWAGA. KONKURSI!

**Redakcja kwartalnika "Fronda" ogłasza:
Konkurs poetycki im. x. Józefa Baki
oraz
Konkurs prozatorski**

Nie publikowane dotychczas utwory w 4 egz. (objętość dowolna) prosimy nadsyłać do 31 lipca 1996 na adres:

FRONDA, ul. Reymonta 30/61, 01-842 Warszawa.

Ogłoszenie wyników wraz z wręczeniem nagród (2 tys. \$ w dziedzinie prozy oraz 2 tys. \$ w dziedzinie poezji) odbędzie się 1 października 1996.

**Prace poetyckie oceniać będzie jury w składzie:
Krzysztof Koehler, Krzysztof Mrowcewicz, Jarosław Marek Rymkiewicz (przewodniczący jury).**

JESTEM PSEM PAPIEŻA

(rozmowa z Dariuszem Brzózka -Brzoskiewiczem)

DARIUSZ BRZÓZKA BRZOSKIEWICZ (ur. 1965) poeta, aforysta. Uczestnik działka „Tot-Artu”, członek grupy poetyckiej „Złali Mi Si Do rodka”. Wydał dwie ksi ki poetyckie: „Haiku” (1992) i „Złote my li psa” (1994). Publikował m.in. w „Metafizyce Społecznej”, „bruLionie”, „Tygodniku Literackim”. Twórca autorskiego programu telewizyjnego „Brzóska Show”. Poeta ceniony wysoce przez Marcina wie-tlickiego, który powiedział o jego utworach: „s to pierwsze wiersze od wielu lat, nad którymi si śmiałem”.

- Jak do tego doszło, e zajmujesz si poezj i działaniami artystycznymi? Byłe w zawodówce, mieszkasz w dzielnicy meneli i równie dobrze mógłby teraz siedzieć w ród jakich młotów i stacza si .

- To, że siedzę w knajpie mając 30 lat, piję kawę i piwo oraz palę papierosa, patrząc na mury wielkiego średniowiecznego młyna, nie jest przypadkiem. Ciężko na to pracowałem, ale oczywiście wszystko mogło być inaczej. W szkole byłem dobry z trzech przedmiotów: z polskiego, geografii i historii. Zawsze miałem te trzy piątki, które ciągnęły całą resztę. Normą było zagrożenie z matematyki. Szybko jednak zacząłem chodzić w tzw. „paczkach”. Dzia-łało to na zasadzie Tolka Banana, ja pełniłem rolę Cegiełki. Wtej paczce były trzy najładniejsze dziewczyny z klasy i wtedy po raz pierwszy się zakochałem. Była to jakaś alternatywa w stosunku do życia szkolnego. Zacząłem też palić papierosy. Uważałem, że prawdziwy mężczyzna powinien palić papierosy, zresztą zostałem tak wychowany, moja babcia zawsze mówiła: „Co to za chłop, co nie pali papierosów”.

- To si działo tu w Gda sku na Stogach?

- Nie, wtedy jeszcze mieszkałem w Toruniu. W każdym bądź razie obrałem taką opcję, że będę się dobrze uczył, jednocześnie zadając się z chuliganami. I oceniając to od strony szkoły związałem się z najgorszym środowiskiem. Chodziłem z nimi ścinać drzewa, palić opony i takie tam...

- / co, tolerowali ci ?

- To mi imponowało, że chociaż się dobrze uczę, to nie traktują mnie jak palanta. Po podstawówce poszedłem do najlepszego liceum w Toruniu, do klasy o profilu humanistycznym. Angielski, łacina, historia, wszystko posze-

rzone. Ale w tym samym roku został zamordowany mój ojciec, taka dziwna historia, nie chcę o tym opowiadać. Wtedy nastąpiło u mnie tąpnięcie świadomości, czyli gwałtowne usunięcie się spod nóg wszelkich wartości stałych, które decydowały o dotychczasowym życiu czternastoletniego chłopaka. I to bardzo szybko mnie utwardziło, ale utwardziło na dwa sposoby: negatywny i pozytywny. W pozytywny tak, że moje przeżywanie przemijania czasu się bardzo zmieniło - stało się wręcz starcze, każda śmierć była dla mnie oczywista. Nawet śmierć mojego ojca nie była już zaskoczeniem. Rano obudził mnie dzwonek do drzwi i już wiedziałem, że mój ojciec nie żyje, zanim się dowiedzieliśmy, o co chodzi. Ten facet powiedział: „Pani tu podpisze” i jeszcze mama nie wiedziała co podpisuje - dopiero po chwili się okazało, że chodzi o potwierdzenie zgonu. Wtedy matka jeszcze na dodatek była bardzo chora i wyjechała do sanatorium na dwa miesiące. I ja w tym trudnym okresie wchodzenia w nowe życie szkoły średniej, zaczynam wagarować, ale totalnie. Zaczynam pić alkohol z chłopakami z dzielnicy.

- Jaki to był czas ?

- Rok 1979, schyłek złotego Gierka, wiesz: Boney M, Afric Simone, imprezy, te sprawy. Ja słuchałem od 1976 roku prawie codziennie Wolnej Europy, moja świadomość była bardzo pogłębiona, wiesz, przychodząc do liceum miałem świadomość, że Narodowe Siły Zbrojne, że Armia Krajowa. Stary, ja do podstawówki przychodziłem na lekcje historii z przedwojennymi podręcznikami, które kupiłem w antykwariacie i w tym momencie pani nie ma argumentów. Traktuje mnie pobłażliwie, acz ze zrozumieniem, tylko mówi, żebyz z tym nie za głośno. I to liceum kończy się tak, że w okresie od września do stycznia ja sam wyjmuję papiery ze szkoły i staczam się mentalnie, codziennie piję bełty do tego stopnia, że miałem do połowy fioletowy język. Chlałem codziennie po piwnicach, zakochałem się w takiej jednej, interesowałem się motorami, w ogóle-inne życie.

- Zaskakuj ce przyspieszenie jak na ten wiek.

- Ja ci powiem tak: „życie jest jak rwąca rzeka, wchodzi się tam, gdzie najszybciej płynie nurt”. Dla mnie wtedy nurt najszybciej płynął w podziemiu, w tych piwnicach. Z nauką szło mi ciężko dlatego, że bardzo dużo ode mnie wymagali, ja byłem bardziej przyzwyczajony do takiej wiedzy ślizgawicowej. Miałem jeszcze tą deprechę po ojcu, no i w ogóle ogarnęło mnie jakieś takie szaleństwo, pierwsze rock'n'rollowe szaleństwo w moim życiu. No i co się dzieje? Tu na osiedlu wszyscy kumple to elektrycy, to pomyślałem, że i ja zostanę elektrykiem. A matka zaczęła jęczeć, że muszę skończyć jakąś

szkołę, bo pierwszy plan był taki, że nie chciałem w ogóle iść do żadnej szkoły. Ale to myślenie komunistyczne było tak wytworzone, że każdy musiał coś robić, i ja czułem takie kleszcze, że muszę coś zrobić. No i trafiłem do tej dwuletniej, przyzakładowej. Stary byłem po prostu oszołomiony: dwa dni szkoły, sześć lekcji na krzyż i stałem się młotem, wiesz moja wiedza techniczna była minimalna - na 3 z minusem, 2 z plusem. No i ta szkoła to był taki chrzest bojowy, otworzyły mi się oczy na życie, to po pierwsze, po drugie nabrałem szacunku dla pracy ludzkiej, po trzecie stwierdziłem, że nauka jest jakąś wartością. I warto się uczyć, choćby po to, żeby tak nie zapierdalać na tej taśmie, bo już nawet nie po to, co ja będę w życiu robił. Marzeniem było, że będę w biurze pracował, jako ewident w magazynie i to już była dla mnie lepsza praca. Nie planowałem życia na dłużej niż pół roku, wiedziałem, co muszę zrobić i co skończyć. Wiedziałem, że jak nie skończę tej szkoły, to zamkną mnie w tym zakładzie albo skończę jeszcze gorzej. Apator, tak się nazywała moja szkoła, to cała księga, zamknięta sama w sobie.

- *Czy dalej jechał rock'n'rollowo?*

- Cały ten czas spędzony w „obozie apatorskim” wykorzystałem dosyć płodnie, gdyż poznałem całe towarzystwo rock'n'rollowo-punkowe z lat 79-82. Zaangażowałem się w sposób emocjonalny, napisałem kilka piosenek do zespołu „Rejestracja Przedpoborowa”, z których jedna przeszła, uczestniczyłem we wszystkich spotkaniach, koncertach punkowych, nowofalowych - wszystko to, co mnie interesowało. Znałem ludzi z Torunia, Gdańska, Warszawy. Miałem kontakt ze studentami, z różnymi takimi zwariowanymi ludźmi z liceów. I oni wszyscy mnie bardzo żalowali, że ja tak siedzę w tej zawodowce i się marnuję, a ja tak nie uważałem, ja uważałem, że to ja jestem do przodu i że to ja mam, kurwa, haj. Wiesz, ja przychodzę do liceum w pomarańczowej marynarce, bez skarpetek, z kolczykami i oni mi mogą skoczyć. Wiesz, tu liceum, wszyscy speniiani, a i tak mnie szanują, bo byłem dla nich tym, czym oni nie mogli być, tylko nie mieli odwagi, a ja zostałem zmuszony do tej odwagi.

- *To wtedy zacz ła pisa ?*

Tak. W 82 roku napisałem parę tekstów dla „Rejestracji”. Dla mnie tym kreatywnym, uderzeniowym trzonem muzyki podziemnej były kapele do 82 roku, później to wszystko było już wtórne. Bardzo niewiele osób wtedy wiedziało o co chodzi, dlatego też istnieliśmy jak takie zamknięte wyspy. Była to muzyka niosąca ze sobą bunt. W tym środowisku ja mogłem rozmawiać i z kloszardem i ze studentem, to dało całkiem inne spojrzenie na życie, jesteśmy tacy sami, bo słuchamy tej samej muzyki. Każdy z nas wiedział też, że musi być

przeciw komunizmowi, oczywiście na plan pierwszy wysuwała się wolność jednostki. Aby to wszystko było jeszcze bardziej odrealnione, to ja w tej alienacji od społeczeństwa jeszcze się alienowałem od własnego środowiska, bo chodziłem do kościoła. Następne tąpnięcie świadomościowe nastąpiło w momencie, gdy po tej przewalce apatorskiej, w wieku 17 lat dostałem się do liceum wieczorowego.

- *A co ciebie ciągnęło do kościoła ?*

- Ciągnęła mnie beznadziejna wiara, ja po prostu chciałem wierzyć. Działiałem na zasadzie syna marnotrawnego.

- *Ale jak do tego doszło, że się doprowadziłeś do takiego stanu ?*

- Wtedy w wieku 17 lat żyłem muzyką, ludźmi, światem codziennym, jakimś hałasem, światłem. Ale nie wierzyłem, że świat się na tym kończy, że jednak jest coś oprócz materii. Oprócz tego miałem jakieś poczucie grzeszności.

- *Co ci doprowadziło do poczucia tej grzeszności? Kiedy mówiłeś mi co o toksykomanii.*

- Ten cały proces był super gwałtowny, wiesz, po prostu w pigułce podana dorosłość, ze wszystkimi konsekwencjami. Mogłem upaść, mogłem wyskoczyć przez okno. Będąc w stanie halucynacji butaprenowej byłem w stanie odczuwać obecność dobra i zła. Tak niemal osobowo. Wiedziałem, że robię źle, jednak chciałem się znaleźć w stanie odurzenia. Wiesz, miałem tego typu akcje, że młotek zmieniał mi się w żmiję, a warsztat w krokodyla. Dla tych prostych ludzi w przykładowej to był jakiś absurd. Wiesz, stan wojenny, a ja kolorowy świat, problemy amerykańskiego dzieciaka: czy jeszcze pociągnąć na kwasie, czy już ma być zejście. Domy na ulicy wyglądały dla mnie jak potiomkinowska atrapa. Ten świat był nieważny, ja miałem swój wewnętrzny, który chciałem rozbudowywać. Toksykomania, taka ostra, trwała pół roku, wahałem butapren dzień w dzień przez 200 dni, dochodziło do tego, że miałem ślinotok i zanik mowy. Miałem też trwałe rozjazdy świadomości, wiesz, zmieniały mi się przedmioty. W okresie przejściowym, kiedy przestałem wahać butapren, jadłem różne tabletki psychotropowe. To był taki mocno halucynogenny okres w moim życiu, który doprowadził do wielkich zmian w mojej psychice, ale na szczęście nie w stronę ruiny i degeneracji. Ale za każdym razem się modliłem, mówiłem sobie: "Chociaż grzeszysz, to się módl. Panie Boże, żeby ta podróż się udała." Wiesz co mnie trzymało? Szacunek do Boga mnie trzymał, ja podskórnie miałem zakodowane takie poczucie winy, ale to jest tak, jak z alkoholizmem czy z narkomanią, że ciało czyni to, czego dusza

nie pragnie.

- *Powiedz co wi cej o tym okresie.*

- Te podróże toksyczne, skopały mi sposób pojmowania rzeczywistości, skopały w taki sam sposób jak śmierć mojego ojca. W ogóle doprowadzałem się do takich stanów, że możesz z mi nie uwierzyć. Dwa wydarzenia, dwa fakty. To był rok 87. Wtedy robiłem tzw. sesje, zdarzało się to kilka razy w roku, takie trzydniowe sesje, podczas których wpadałem w trans. Poprosiłem mojego kolegę, z którym wspólnie mieszkalem w jednym pokoju, żeby był przy tym. Wącham butapren i w pewnym momencie mówię: „wchodzę, wchodzę”, znikam w tamtej świadomości i mam taką halucynację, że komuś głową wybijam zęby, podaję mu worek z butaprenem, a worek jest oszroniony, lodowaty, a w środku perełki zębów. A przecież powinien być ciepły, bo w nim oddychałem, koleś wymiękł. W tamtym świecie złe moce strasznie czuwają, raz przechodziły koło mnie wielkie metalowe szpikulce. Albo duszki, które były rozbijane tuż przed moimi oczami jak bańki mydlane.

- *Czułe obecno jaki bytów?*

- Tak, stary, czułem dobro i zło.

- *Co to znaczy?*

- Kuszenie mojej duszy. Bardzo często byłem kuszony i Zły przede wszystkim kusił mnie na kobiety, na seksualizm, to była podstawa, erotyczne kształty itd. Ale finał toksykomanii był miazdzący. O ile do pewnego momentu nie orientowałem się właściwie, po co to robię i może miałem jakąś ochronę, taką jaką może mieć normalny grzesznik, to w pewnym momencie zaczęła się ordynarna ciekawość. A to jest już coś innego. Robię pewnego razu seans, nikogo nie ma, towarzysz y mi uczucie, że znowu się dowiem czegoś niezwykłego, że znowu przeżyję niezwykle stany, będę wiedział więcej niż inni. Wdarłem się w przestrzeń halucynacji, zacząłem na kartce pisać jakieś bohomyzy, halucynacje były naprawdę bardzo mocne, wszystko było zdeformowane i wyobraź sobie, że nagle w stanie największego natężenia w tym seansie napisałem na kartce wyraźne zdanie: „Wszystko ma być, tak jak ma być”.

- *Opowiedz o tym konkretnym seansie.*

- Miałem fantastyczne halucynacje, seans zaczął się o 22, a skończył o 5 nad ranem. Przeżywałem ekstazy szczęśliwości, szczęście pojmowane pod wpływem narkotyku, to trzeba przyznać. W ogóle butapren jest 30 razy mocniejszy od kwasu, bo przetwarza świadomość całkowicie. Wiesz, miałem takie

haje, że np. otwieram okno i mówię: „Acha, lecimy, tak” i wyglądam, a tam nie ma żadnych bloków, tylko takie niekończące się niebo granatowo-fioletowe, tu jakaś złota planeta przelatuje, po prostu haj. Później odczułem to, że ktoś mi towarzyszy cały czas w tych seansach.

- *O kim my lisz?*

- O demonach, przez dwa lata mnie zwodziły, udawały, że są moimi przyjaciółmi.

- *Czułe , e nawi зуjesz kontakt z czym ywym ?*

- Tak, miałem takie głosy, że one mnie znają, gratulowały mi tekstów, znały moją twórczość. I to ci powiem, że ja to traktowałem na zasadzie takiej równowagi dobra i zła, i nagle się okazało, że przez długi okres byłem najprawdopodobniej zwodzony przez szatana. A wiesz dlaczego? Ja ci powiem, jak się zakończyło...

- *Ta historia w nocy ?*

- Nie, to już robiłem w dzień, szybko, raz na wysypisku śmieci, czasami w takich miejscach to robiłem, że później siłą tego było nie to, że ja to robię, ale gdzie to robię. W parkach, w godzinach szczytu, ja się odcinam, odlatuję na godzinkę. Miałem obcykane, ile trzeba wziąć i tylko sniff, sniff. I powrót, i już jest codzienność. Pan jest wielki, Pan nade mną czuwa; no więc chciałem poznać tych „przyjaciół”, co mnie tak lubią, czuję, że to takie zabawowe towarzystwo jest, uśmiechają się i w ogóle. Pewnego razu nawiązuję z nimi kontakt i tu nade mną, nad sufitem, niewidzialnym sufitem, słyszę, że jakaś zadyma się dzieje, krzyki, płacz, rozbijanie itd. I nagle jeden z nich mówi: „pomóż nam”, no ale jak ja mam wam pomóc, przecież siedzę tu, w tym ciele. A ta osoba mówi, że na dowód tego, że oni żyją, ona da mi znak. Wyszedłem na balkon, otworzyłem worek, a oni nalali mi w niego granatowej krwi, która mi potem zakrzepła, wyschła i zniknęła. Potem, z powietrza, wysunął się taki wąski pasmyk foliowego worka, ja go chciałem wyszarpnąć, ale on zniknął. A na sam koniec pojawiła się twarz takiego niby hinduskiego demona. Ostro spanikowałem, serce ledwo mi waliło po tej halucynacji i wziąłem „Świętą Księgę”, otwieram, tak jak na modlitwę - i wiesz co tam było napisane? „Nie zadawaj się z demonami.” I od tego czasu, powiedziałem sobie, basta! No i wiesz, nie wiem jak ja za to oberwę. Oberwę, bo wiesz, to jest ciekawość ludzka, ja się modłę o miłosierdzie, żeby Pan mi wybaczył... I powiem ci, że w lutym 95 minie dwa lata, jak przestałem w to się bawić tak naprawdę. Ale to

jest 12 lat poszukiwań, sprawdzania różnych systemów. Stary, jak ja się cieszę, że ściana to jest ściana, a meble to są meble, i że ty mi się nie przetwarzasz w jakiegoś demona z zębami. Po prostu odczułem to, czym jest siła ducha, a nie mięsa. Przed tym ostatnim, miałem jeszcze dwa takie spotkania, że mnie normalnie... Wychodzę na przystanek, taka ciemna noc, wiesz, sniff, sniff, żeby szybko załapać fazę i od razu u już ten duch przylatuje do mnie. Czyli zniknęła ta osłona dobra, która wokół mnie była. Bo ja to tak rozumiem, że na początku Pan był dla mnie dobry i objawił mi pewne prawdy, ale ja dalej ćpałem, to się na mnie wkurzył. Bo robiłem to dla ciekawości.

- *A czujesz, czego od ciebie chciał ten duch zła ?*

- Chciał zagarnąć mnie, pokonać, zniszczyć.

- *Ale o co mu chodziło, czy chciał ci straszyć ... ?*

- Nie, jak ja przekraczałem tę granicę, to czułem, że to nie jest już moje królestwo, nie jestem na ziemi. Po drugie tam jest walka o mnie, otaczają mnie siły dobra i zła. A po trzecie czułem taką bezwzględną, brutalną chęć zniszczenia mnie, po prostu coś takiego, że jeśli nie masz tej osłony dobra, to ta siła zła ma coś takiego wkodowane, że ma cię zapierdolić.

- *Czyli to nie jest tak jak z lud mi, e jest zło i dobro, tylko czyste zło ?*

- Tak i jeżeli nie masz tej ochrony dobra, to cię zapierdala na maksa, bierze cię w pazury, trzęsiesz się ze strachu i nie możesz nic powiedzieć, bo nie masz ucieczki.

- */ ty jeste słabszy od niego... ?*

- Ty jesteś niczym, to może wywołać we mnie taki strach, że ja zawału serca dostanę. Potem, jak wróciłem do normalności po tym demonie, tak się ucieszyłem, i jak przeczytałem to w Księdze, to zrozumiałem, że przekroczyłem pewną granicę. Wiesz, wyspowiadałem się z tego wszystkiego, powiedziałem, że byłem narkomanem przez 12 lat, nie mówiłem księdzu o halucynacjach, bo to nie o to chodzi, wyspowiadałem się z poczucia grzechu. Ksiądz powiedział, że to cud Pański, że ja się uratowałem i że mam rodzinę.

- *A powiedz mi, jak ty budowałeś swój to samo na poziomie rzeczywistym?*

- Po roku 82 do 85 to jest taki okres przejściowy, to jest okres liceum wieczorowego, i tam jakby krzepnie moja świadomość. Jest to tzw. okres post-wojenny, po stanie wojennym, jest to okres emigracji wielu moich znajomych. Po drugie, jest to także okres powolnego upadku tego ruchu muzycznego, po prostu, moje pokolenie się starzeje. Rok 82 jest dla mnie rokiem przełomowym, gdyż jeden z trzech moich tekstów zostaje przyjęty i kupiony przez „Rejestrację”, zostaje do niego nagrana muzyka i jest grany na koncertach punkrockowych w całej Polsce. I mówię sobie tak: jeżeli „Rejestracja” przyjęła ode mnie tekst, to jest to miernik tego, że ja potrafię słowem przekazywać uczucia do ludzi. Druga ważna sprawa w tym okresie to moja praca w muzeum okręgowym w ratuszu, jako rzemieślnik wieszania obrazów, co 3 miesiące jedna partia, później cisza, zająbista praca wśród XIV/XV wiecznych obrazów i murów za psie pieniądze. Druga sprawa, liceum wieczorowe — pierwszy rok trzy dni w tygodniu, reszta wolne. Z rańca przychodzili do mnie zawsze chłopaki, moja babcia mówiła na nich granatowe diabły, no i imprezy do drugiej.

- *A kiedy zacz te pisa ?*

- Pisać zacząłem w 82 roku do 85; mam taki zeszyt: „wiersze 82-85”. Uczyłem się po prostu życia, nabierałem dojrzałości świadomościowej. I w 85 zdałem maturę, dostałem się na studia, na jakiś czas przeniostem się do Lublina. Tam studiowałem na UMCS-ie historię. W lipcu 84 poznałem moją obecną żonę, w sierpniu na ostatnim nowofalowym festiwalu żeśmy się zaprzyjaźnili, i zaczęliśmy z sobą chodzić. Od tego czasu przez rok, co tydzień jeździłem do Gdańska, nakręciłem tak parę tysięcy kilometrów. Potem z Lublina kręciłem parę tysięcy kilometrów, w ciągu miesiąca koło 4000. Cały pierwszy rok studiów przekręciłem w pociągu, robiłem łaćinę w pociągu, w ogóle większość egzaminów też, takie były czasy, rock'n'roll się rozwijał cały czas. Jak tylko zakończyła się fala muzyki punkrockowej i nowofalowej w Toruniu w 84, dla mnie już się zaczęła w 85. Gdańska Scena Alternatywna i pociągnąłem na tej scenie około 4 lata, do 89-90. Już w 1986 roku występowałem w Tot-Arcie, jako niezależnym nurcie artystycznym, obok nurtu muzycznego, takiego - sensu stricto - rock'n'rollowego.

- *A jak ty w ogóle się z tym zetknąłeś?*

- Przyszedłem pierwszy dzień na uczelnię, tam siedzi jakiś koleś i mruga do mnie okiem, od razu zapoznając go, okazuje się, że to jest Tymon, później

jakiś koleś siedzi ze mną na ławce, zagaduję z nim i okazuje się, że to jest Konik. I w ogóle pierwszego dnia poznałem wszystkich ludzi, z którymi pracuję do dziś dnia.

- *Jak to, za jednym zamachem ?*

- Tak, po prostu pierwszego dnia wchodzę na uczelnię, miałem dobrą fazę, byłem zadowolony z życia, uśmiechnięty, wiesz cieszę się, że wchodzę w nowe środowisko. Byłem w takim, bardzo różowym prochowcu, specjalnie farbowanym, miałem włoskie zielone, zamshowe buciki, zielone spodenki, zieloną koszulkę, no i właściwie moim zadaniem było rzucać się w oczy. Bo ja właściwie dzięki muzyce i temu wszystkiemu nabrałem dużej manieri do ubierania się. I wchodzę do klasy, a tu taki koleś siedzi i się patrzy, to jakoś tak instynktownie przy nim przysiadłem, a on mówi: „Ty jesteś z Torunia”, a ja: „Skąd wiesz?”, a on (a to był Tymański): „Bo cię po oczach poznałem”. A od razu potem przychodzi kumpel tamtego, i to jest Konik, a na końcu całej tej zabawy do Konika przyszedł Sajnóg. I to wszystko pierwszego dnia.

- *Czy oni si je znali wczę niej?*

- Nie wiem, czy Tymański, ale Sajnóg z Konikiem to już na pewno, bo Tot-Art ma 23 kwietnia urodziny obchodzone co roku, a ja przyszedłem w październiku w roku jego powstania czyli 1986.

- *Co oni robili wczę niej?*

- To ja ci tylko ze słyszenia mogę powiedzieć. Oni wtedy już ostro lecieli, wiem, że już Fama w Świnoujściu została zaliczona, jakieś ostre prowokacje, akcje happeningowe w Rzeszowie, jakieś malowanie kałem, rozpieprzanie... Byłem lekko zaszokowany, jak się o tym dowiedziałem. Powiedziałem im, że piszę wiersze i tego... A oni na to: „słuchaj, robimy 2 grudnia imprezę na Polankach, jak chcesz to przyjdź”. Przeszedłem, patrzę a tu pełno ludzi, Konik jakimis sztandarami macha, filmy, mówię: „co to jest w ogóle, to ma być ten występ, kurwa, przecież to jakiś burdel na kółkach”. Wypchnęli mnie jednak na scenę, pierwszy raz byłem przed publicznością, no i przeczytałem mój manifest do młodzieży „Gdańsk 2000”, ktoś mi poklaskał, poklepali mnie po plecach, ale to było strasznie banalne.

- *A o co chodziło w tym manife cie?*

• Chodziło o to, że jak ja się przeniosłem do Gdańska, to byłem zaszokowany hasłami komunistów, oni już wymyślali hasła na 20 lat naprzód i stąd takie hasło: „Gdańsk 2000 naszą przyszłością”. To było tak nachalne, że ja codziennie rano widziałem "Gdańsk 2000" - dla mnie to było abstrakcją, a raczej horrorem, gdy sobie pomyślałem, że oni już tak daleko pojechali. No inna sprawa, że i tak w 2000 rok wejdzimy z pewnym kwasem. Ale wtedy to ja

chciałem w ogóle wyjechać z Polski. Mogłem wyemigrować do Australii, ale zacząłem sobie mówić: ale co z mamą, co ze studiami i zostałem, i w 86 roku to był dla mnie taki okres depresyjny, wydawało mi się, że popełniłem błąd, bo wszyscy uciekają. W październiku 88 roku, na rok przed upadkiem komuny, to pamiętam jak dziś, w tydzień wyjechało 50 moich znajomych - bliskich, takich co z nimi na koncerty chodziłem i tego... To już się nie odwóci, ja w tym momencie mam znajomych w całej Europie. Bo dla mnie patriotyzmem to było uciec stąd, to była odwaga, zdecydować się na emigrację. Konik myślał inaczej, mówił mi: „Brzózka, kim ty tam będziesz, komu ty te swoje wiersze będziesz czytał, Niemcom?” No bo wiesz, Konik jest mocnego pochodzenia niemieckiego, jego matka cały czas siedzi w Niemczech, on już raz wyjechał i wrócił, wrócił z emigracji. Był tam na dobrych warunkach, ale wrócił i mówił, że t o pieprzy, że on woli tu Tot-Art robić, niż tam siedzieć, bo tam jest złota klatka. Podskórnie czułem, że on ma rację, wiedziałem, że ja bym wyjechał tylko dlatego, żeby przed komuną uciec, no ale językowo to byłoby przechłapanie, bo jak tu Polacy mnie nie rozumieją, to u Niemców co ja bym zrobił? Tłukł kamienie i miał stresy, to na tym by się skończyło.

- Ale je eli oni ju tak mocno lecieli, to musieli mie jakie podstawy ideologiczne, program, to Sajnog wszystko powymy laf?

- Tak, Zbyszek Sajnog i Kudłaty. Ja ci powiem, z Tot-Artem przez pierwsze lata ja byłem najmniej związany w sensie emocjonalno-ideologicznym, bo ja zawsze byłem zapraszany, ale od tej strony ideologicznej ja się z nimi nigdy nie utożsamiałem od początku. Ja chciałem tylko występować, a nie tworzyć ideologie, od tego był Sajnog. Bardziej byłem związany z grupą poetycką „Zlali Mi Się Do Środka”, chociaż i tak ja pisałem haiku, coś zupełnie innego niż na przykład Tymański i Kudłaty, którzy piszą Zlew Polski. Zlew Polski to jest cały dział poezji, który charakteryzuje się tym, że twórczość jest zlewna, nie ma jakiegoś konkretnego założenia tworzenia, jest totalna improwizacja, zlew, wylew twórczy.

- Jakie wtedy było znaczenie ideologiczne tych podstaw, w ogóle jak ty to wtedy widziały, a jak teraz ?

- Ja pamiętam takie hasło w 86 roku: „Miasto, masa, masarnia” i to hasło mi się podobało. Zbigniew był takim głównym ideologiem, on był ode mnie jakieś dziesięć lat starszy, 57 rocznik, a my - 65,66,68 - Paulus, Tymański - 68. On się połączył z ludźmi o 10 lat młodszymi, nareszcie znalazł wykonawców swoich pomysłów. Zbyszek był takim człowiekiem, który miał już coś w głowie wymyślone. Ja się cieszyłem, że chodzę z takim człowiekiem, który jakieś manifesty pisze, przygotowuje jakieś teoretyczne opracowania itd. Oni z Konikiem w dwójkę wszystko napędzali, to był taki motor.

- *Spróbuj jako t ideologi scharakteryzowa .*

- Po pierwsze Tot-Art w swoim założeniu chciał stworzyć tzw. tranzystorium, czyli ruch osób, które działają twórczo, ale nie jest to grupa zamknięta. Po drugie nie jest to grupa, która ma coś narzucone i może robić wszystko, robi sztukę totalną. Z drugiej strony w rok później Zbyszek utworzył pojęcie ariergardy tej sztuki, potem powstała metafizyka społeczna, to była kwintesencja tot-artowska, takie ogromne pisma z elaboratami, opracowaniami teoretycznymi o sztuce jako takiej. W 87 roku Zbyszek powiedział mi: „My, Brzózka, robimy takie rzeczy, dzięki którym przechodzimy do historii”. Ja się z tego śmiałem, no bo pomyśl sobie - mam 22 lata i już do historii. Zbigniew twierdził, że sztuka jest ciągłym, totalnym wylewem twórczym, emanacją zjawisk i każdy może w niej uczestniczyć, nikt nie jest upośledzony, jedynie od ciebie zależy, czy jesteś na tyle silny, że chcesz to zrobić, to po pierwsze, a po drugie w moim przypadku dał mi wiarę w siebie, ja się przestałem wstydzić tego, co robię. Wcześniej wstydziłem się komuś powiedzieć, że coś robię, że wiersz napisałem. Chociaż moja żona mi stale mówiła: „Jaka to jest żenada, co wy robicie”. Jednak ludzie przychodzili na nasze imprezy i jakoś to się wypalało poprzez pracę i z czasem te imprezy zaczęły nabierać jakości i stawały się coraz bardziej niepowtarzalne, bo nikt takich rzeczy w Polsce nie robił.

- *Ty mówisz, e Tot-Art był otwarty na wiele spraw artystycznych, ale jednak charakter grupy zbudowała skłonno niszczenia kolejnych tabu.*

- Było coś takiego, ale nie można nas było nazwać jakoś jednoznacznie, że na przykład byliśmy antyklerykalni, chociaż atakowany był Kościół. Tot-Artowcom chodziło po prostu o uderzenie w jakiegokolwiek świętości, mity, autorytety. Wiesz, szydzenie ze świętości jako takiej, z matki własnej, z ojca. I oni się wszyscy przy tym świetnie bawili, moi koledzy, bardzo to było fajne. Ja tam siedziałem, nic nie mówiłem, oni się zeszli w tłumie i rzucali takie gadki: „no co, wyruchałeś swoją matkę?” Na tej zasadzie. I to była norma, ale ja to traktowałem, że oni niewiedzą, co mówią. Natomiast muszę powiedzieć, że nie ma w manifestach tot-artowskich żadnych sygnałów, żeby on był antyklerykalny czy antyreligijny sam w sobie. Z tego, co ja słyszałem, to sam początek był najbardziej antykościelny. Ja byłem zaszokowany, tu Solidarność, zamykają ludzi, komuna szaleje, a oni wrzeszczą - precz z papieżem! Wiesz, tu pielgrzymka przed nimi, a oni - pieprz pielgrzymkę! Albo to samo o Matce Boskiej.

- *Ale czy to były tylko entuzjastyczne okrzyki, czy mo e oni robili ju jakie bardziej zorganizowane akcje?*

- Nie, nigdy nie było imprez antyreligijnych, to była zwykła dekadencjo-nihilistyczna ideologia antyreligijna połączona z działaniem twórczym. Ale ci ludzie, cały Tot-Art nigdy nie był ruchem politycznym w jakiegokolwiek sposób. To

po prostu była taka maniera, moda, taki haj. Wiesz Zbigniewa walnęło najmocniej. On teraz siedzi w sekcie Niebo. Konik był ministrantem, jeździł na pielgrzymki, to był człowiek bardzo wierzący, chodził na oazy, zaangażowany w walkę...

- *A ciebie co poci gało wtedy?*

- To była dla mnie taka wyspa totalnej wolności twórczej. Oprócz tego wszyscy z nas byli antykomunistycznie nastawieni, nie oszukujemy się, każdy z nas tę pieprzoną komunę nienawidził, to był wspólny łącznik. Po drugie, widziałem, że to się nie kończy, że nowych ludzi jest coraz więcej, że to się rozrasta. Szczęściem było to, że znalazła się grupa ludzi zdolna do tego, żeby zrobić taki odjazd, że mogłeś przy świrować co ci się żywnie podoba i oni byli zdolni to zorganizować. I Tot-Art był zdolny zorganizować imprezy, gdzie robiłeś co chciałeś, taki Hyde Park, że mogłeś wyjść na scenę i powiedzieć cokolwiek, taka wolność wypowiedzi. Pamiętam jak w 87 roku w klubie Park w Warszawie był zorganizowany happening przeciwko wycinaniu drzew, to ja tam czytałem dwa wiersze na przykład, potem oplataliśmy drzewa papierem toaletowym, takie działania, tysiące różnych działań, które dopiero w konsekwencji jakoś się krystalizowały.

- *Jak powstawały pomysły na happeningi i inne akcje ?*

- Tego nikt nie kombinował, one się cały czas działy. Zwyczajna podróż pociągami z Tot-Artowcami to już był happening. Z konduktorem był happening, z jakąś kobietą z siatką - happening, w kasie - happening. Nie tam występ na scenie, normalnie na okrągło. I to jest fajne, to jest jedną z form wolności człowieka, że stać mnie na to, żeby sobie zażartować, pośmiać się, porozmawiać, wiesz w każdej formie ten happening można robić. Jak z Paulusem jedziemy, to już jest konduktorka, już Paulus coś tam do niej nawija, jak jeszcze Tymański jedzie, to już jest dowalenie na maksa, rozumiesz... To była taka energia! Jak nas jechało cztery-pięć osób, to wiedziałem, że mam gwarantowaną zabawę od początku do końca. Występ, na który zostaliśmy zaproszeni jest nieważny, bo i tak będziemy się świetnie bawili. Byliśmy raz w Białymstoku no i kurczę godzina za piętnaście szósta, a tu są tylko trzy osoby, a Paulus mówi: "Nie ma sprawy, przynajmniej nie będzie hałasu, a dla trzech osób lepiej się występuje!" Ja mówię, no jasne, że lepiej, bo przynajmniej będą słuchały. Przyszło tam jeszcze kilka osób, ale o to chodzi, że to nieważne, czy występujesz przed jedną osobą czy... Ja na przykład występowałem - to była największa ilość osób, przed jaką występowałem - przed 20 tysiącami ludzi. To było na rockowej imprezie, a ja im haiku czytałem. Nie wyobrażam sobie, żeby czytać na koncercie rockowym sonet Mickiewicza czy Słowackiego i żeby młodzież zalewała się śmiechem; inaczej wzięliby woreczki z jakimś syfem i po dwóch minutach do widzenia.

- *Tot-Artowi udało si zwi za wiele elementów artystycznych naraz.*

- Ja uważałem, że to była jednak wyjątkowa formacja i my jednak coś szczególnego zaproponowaliśmy. Wyobraź sobie grupę, w której można połączyć sztukę - i poezję i malarstwo i muzykę i sztukę aktorską - a to wszystko jednocześnie było naszym życiem, nie występował w tym żaden rozryw na życie i sztukę, to było jednym. Wydawało mi się to jakimś niesamowitym wydarzeniem. Znasz teorię małych krążowników? Sajnóg mówi, że flota japońska miała dużo super pancerników itd., ale wiesz kto został, małe krążowniki i wiesz co to znaczy? Większość, albo wyjedzie, albo się wykruszy, albo to, albo tamto i tylko najwytrwalsi zostaną, najwytrwalsi a nie najzdolniejsi. Sajnóg miał także teorię, że wytrwałość jest także zdolnością i to wielką - trwa- nia, a my zakładaliśmy, że komuna będzie trwać wiecznie, nikt z nas nie wierzył, że to tak runie z dnia na dzień. Widzieliśmy syf, jak SB zarekwirowało pismo Tot-Artu, gdzie takie głupoty były, a oni to czytali i analizowali i wycinali teksty, to przecież było absurdem.

- Ale w Tot-Arcie były ró ne rzeczy. Tak e takie, które nie byty ju prowokacj , byty złem, złem, za które trzeba zapłaci . Czy miałe jakie poczucie, e cza- sem jest co nie tak jak nale y?

- Miałem takie wrażenie, ale to jest złe słowo, że trzeba zapłaci cenę. Po pierwsze, jak człowiek ma dwadzieścia lat, dwadzieścia dwa-trzy, to się nie zastanawia nad płaceniem jeszcze ceny, jakiejkolwiek; jest na to za młody. Natomiast w pewnych sprawach absolutnie się z nimi nie zgadzałem, ale nie miałem innego wyjścia, ja działałem w grupie. Ja byłem jednostką, która się znalazła w grupie. W grupie, dla której liczyła się przede wszystkim wolność.

- No wła nie, i to byłjedyny absolut. Wolno do ko ca...

-... bez granic. Ja ci powiem, ja długi czas między rokiem 81 a 87, kiedy była ta wolność bez granic, ja byłem takim bardzo liberalnym katolikiem. Niby chodziłem do kościoła, ale chodziłem jakby wbrew sobie. Jeszcze nie powiedziałem o pewnym bardzo ważnym aspekcie w moim życiu, że ja prowadziłem właściwie rock'n'rollowy tryb życia w Tot-Arcie, ale usłyszałem kiedyś, że Bóg kocha i rock'n'rollowców i nie jest tak, że te grupy społeczne są potępione, to jest nieprawda. Ja tak sobie powiedziałem, jeżeli Pan jest wielki, to kocha wszystkich, nawet takiego gnoja jak ja, i zna doskonale mnie i wszystkie moje słabości i uważałem to za akt odwagi, że idę do kościoła, bo ja się po prostu bałem wcześniej wejść do kościoła, że szlag mnie trafi jak wyjdę albo, że coś mi się stanie. Nie dość, że nie modlisz się, zdajesz sobie sprawę, że robisz złe rzeczy i będziesz je dalej robił - i mimo tego chodzisz do kościoła. Wydawało mi się, że to skrajna bezczelność wymagająca gromu z nieba.

- Miałe takie poczucie nieuchronno ci grzeszenia, a jednocze nie ci gn ło ci do ko ciola?

- Tak, po prostu dwie skrajności. Poszedłem do jednego z księży jezuitów - nie trafiło mi się na dobrego - który powiedział tak:: "musisz zerwać ze środowiskiem, zmienić całkowicie swoje życie, odciąć się do tego co robisz, bo to jest wszystko złe". Ja się z nim zgodziłem, ale co mogłem poradzić? Zamknę się w pokoju i będę siedział w domu, jak ja nie mam innego środowiska, jak to jest moje środowisko? Ja żyłem w subkulturze tak wąskiej, tak malutkiej, w której mogłem prowadzić wymianę myśli, wprowadzać pojęcia śmiechu abstrakcyjnego itd. Ja wiedziałem co robię, bo przecież każdy ma jakąś wrażliwość, ale jeśli ci ktoś mówi "zerwij ze środowiskiem"...

... trzeba istnieć w swoim środowisku i w swoim środowisku ludzi zmienia ...

- Dokładnie, bo to jest najłatwiej powiedzieć "zerwij ze środowiskiem", a ja po prostu czułem się skazany na to środowisko, wciśnięty tam i wiele lat miałem depresję z tego powodu, że ja jestem w tym środowisku.

- Co jednak chyba złego zaczęło się dziać z tym środowiskiem, skoro jego szef - Sajnog wylądował w sekcie. Eby tam w zwykłej sekcie, ale w jednej z najbardziej mrocznych sekt w tym kraju.

- To było w Żarnowcu, koncert rockowy, ja w smokingu recytuję swoje wiersze, relacja idzie do I programu TVP. Tam pojawił się Sajnog i mówi mi, że ma dla mnie świetną propozycję: "Masz szansę zostać u nas w grupie". Już wtedy był w sekcie Niebo. Zdrętwiałem: "Ale ja mam swoje niebo już tutaj na ziemi, mam żonę, dziecko i mam robotę"; a on na to: "Brzózka, to jest marność, sprzedajesz się"; ja ciągnę dalej: "Zbychu, każdy ma swoją drogę, ty jesteś szczęśliwy po tej stronie, a ja po tej". I wtedy włączył się Kacmajor, szef Zbyszka w sekcie: "Widzisz, widzisz, diabeł, o tutaj w środku, widzisz? szatan przez niego mówi". No to ja im wtedy wygarnąłem: "Jest takie przykazanie Boże: Nie Sądź, A Nie Będziesz Sądzony, kim ty jesteś? A po drugie mówił Pan: pierwsze przykazanie daję wam, byście się Wzajemnie Miłowali, i czy wy mnie miłujecie? A ja od was nic nie chcę, ale i wy dajcie mi spokój." Dla nich Kościół katolicki to był syf i Babilon - później się dowiedziałem, że rzucali w procesję kamieniami krzycząc: Babilon! Byłem przerażony ich myśleniem. Zrozumiałem, że mnie obroniło to wcześniejsze czytanie Pisma Świętego, miałem takie kotwice, "jeśli będziesz wierzył, zostajesz zbawiony". Pewne pojęcia chrześcijańskie uratowały mnie przed tym, żebym się nie bał, przed jakimiś czarami, cholera wie, oni mieli takie umiejętności.

- Wierzysz, e oni mają takie mo liwo ci? Kto mi powiedział, e Sajnogą prawdopodobnie ci gn li wła nie takimi metodami.

- Tak, mogą być takie możliwości. Nie znam demonologii, ale rozmawiałem z księdzem, który mówił, że są demony, że nad każdym grzechem jest duszek-demon, który nad tym czuwa. On ma różne formy usługi, eksploatacji i moż-

liwe, że oni mogą mieć pewne zdolności, ale oni nie mogą mnie zbawić, oni nie mogą mnie nauczyć miłości, oni mnie straszą tym, że jeżeli ja do nich nie przystąpię, to oni mnie porażą jakąś chorobą. I rzeczywiście, chodzisz i zaczyna cię ogarniać paranoja, bo myślisz: "Zaraz coś mi się stanie". Było takich parę przypadków, to fakt, nawet eks-dziewczyna Zbyszka też się bała, ale ja postanowiłem sobie tak: "więcej z nimi nie chcę się spotykać". Nie to, że ja jestem ich wrogiem, nie chcę ich osądzać, Pan ich osądzi - powiedziałem sobie, ale dlaczego ja mam się denerwować i się tłumaczyć przed jakimś gościem, który mi mówi, co ja mam robić, a czego nie mam robić, jak ja mam rodzinę założoną, jak ja mam ją utrzymywać, to ja się nie mam nad czym zastanawiać.

- To jest oczywiste, ale jednocześnie nie znamienne, a oni się pofatygowali akurat do ciebie.

- Tak, bo Zbigniew jest "apostołem" czy jednym z guru. Wiedzą, że gdyby zyskali mnie, jeszcze parę osób, to by mieli lepszy wykop, większą parę. Paulus był przez dwa dni pod działaniem sekty, mówił: "Choć posłuchać Zbyszka, zobacz, jak Duch Święty mówi", ale to był oczywiście chwilowy odjazd Paulusa. Zbyszek chciał zresztą dotrzeć do wszystkich osób Tot-Artu, tak mi się wydaje, że oni z Kacmajorem chcieli całą grupę przerzucić do Nieba.

- Jakie poszukiwanie duchowo ci było w i c obecne.

- Była potrzeba duchowości, ale ona została źle ukierunkowana. Oni mieli taki zlepek różnych pojęć duchowych, tu jakieś niekonwencjonalne formy leczenia, tam coś orientalnego, jakaś psychotronika, znowu coś innego. Nie było odrzucenia duchowości, ale chrześcijaństwo traktowali - to pamiętam - jako zamknięcie rozwoju duchowości, twierdzili, że chrześcijaństwo "sklaustrifobizowało" rozwój ducha. Dlaczego muszę być katolem, chodzić do kościoła, gdzie ksiądz jeździ mercedesem, a ludzie nie mają grosza w kieszeni i jeszcze się ich opierała, gdy chcą sobie szukać przyjemności seksualnych? Takie myślenie. Jeśli ktoś chce znaleźć dziurę w całym, to zawsze ją znajdzie - tak sobie mówiłem. Czy ja ich mogłem przebić? Oni mi dawali argumenty faktycznych naruszeń, rzeczywistych faktów z życia duchowieństwa. Jak ja im zaczynałem mówić, że słuchajcie, co wy tu mówicie, to dawali mi przykłady i ja nie mogłem zaprzeczyć. I na tym do dziś dnia cała trudność polega, że argumentacja tego typu jest praktycznie nie do obrony.

- Kto musi wewn trznie poczu Łask . Je li tego nie poczuje, to na poziomie argumentów zawsze znajdzie si rzeczy, które pozwol mu si oddali . Tu chodzi o potrzeb bycia zbawionym, to nas tak naprawd ci ga do Ko cioła, musimy poczu , e jeste my grzesznymi i e potrzebujemy pomocy w instytucji, która te potrzebuje pomocy, ale w jest rodku jest'Kto , kto jest bezgrzeszny i t osob jest Chrystus.

- Powiem więcej - były publikacje o papieżach - kobietach papieży, biskupach etc. Oni się interesowali historią Kościoła i na przykład przychodził koleś i mówił: "Wiesz co było w XVI wieku w Rzymie? Trzech papieży, dwie kochanki papieży." To są fakty, ja nie mogę przeczyć. Ja mu na to mówię: "ale stary, to się zmieniło. Kościół rozwija się duchowo, a nie cieleśnie, Kościół to jest zbiorowisko ludzi, tak jak w klubach politycznych - też są dobrzy i źli. Nie możesz oceniać jednostkowo całej instytucji". Ale oni przez jednego człowieka patrzyli na całość.

- *Byłe całkowicie osamotniony w swojej postawie?*

- Ciekawa sprawa jest z Paulusem. Prowadził raz audycję radiową, w której pytał się słuchaczy o najważniejszego człowieka na świecie. Jedna dziewczyna mu na to: "Michael Jackson", a on „Ja k to?! Przecież papież”. Był raz ze mną w kościele i już to uważam za duży sukces; przecież ten facet rysował pindole, święte rzeczy szargał bez umiaru, razem z Konikiem malowali różne ohydy, niesamowite rzeczy robili, każdy z nich był nihilistą i antykościelny. Z tej całej grupy najbardziej w stronę chrześcijaństwa, praktycznie tego najbardziej ortodoksyjnego, to jest Paulus. To jest jedyny, który bez przerwy przewraca się, podnosi, ale pójdzie do kościoła, nie krępuje się powiedzieć, że się pomodli do Matki Boskiej, żeby mu pomogła, i płaci za to cenę, bo z niego się śmieją. Założyliśmy właściwie w Tot-Arcie kółko różańcowe, więc potraktowali nas jak debili. Tot-Art miał siłę przebicia, docierał do różnych ludzi, sprzedawał jakąś ideologię, jakąś mentalność, jakąś moralność, jakieś myślenie. Tot-Art był pro-wolnościowy, religijnie był nihilistyczny, może nie negował dosłownie religii, ale na pewno był antypapieski i antykatolicki. Kościół katolicki i papież to była największa zaraza, a ja przychodziłem i mówiłem: "Jestem psem papieża i będę szczekał".

- *A od kiedy u ciebie wystąpiło takie zmierzanie ku ortodoksji w sensie duchowym czywi cię, bo wcześnie mówiłeś, że byłeś liberalnym katolikiem?*

- Po pobycie w klasztorze w 90 roku i jak ostro wszedłem w telewizję.

- *Na przekór?*

- Nie, nie na przekór. Zacząłem czuć w sobie siłę mówienia tego, co myślę, tego, co czuję, że chodzę do kościoła, że modłę się. Przestałem wstydzić się tego, kim jestem. Powiedziałem im raz: "Tak, jestem psem papieża". Panuje o mnie teraz taka opinia, że Brzózka to jest ortodoks, inkwizytor. Mam kumpla, który jest taoistą i który mi cały czas coś tam mówi, panteizm etc. Ja mu mówię: "Stary, ty powinienes się trochę pomodlić", a on mi na to: "Brzózka, ty

jesteś niebezpieczny ortodoks". Z początku mnie atakowali, a później to już się stało moją siłą. Już mnie nikt nie zaczepiał, a wreszcie i ja zaczęłam wychodzić ze swoich pozycji, zaczęłam im tłumaczyć: "Jak to możliwe, żebyście ślubu kościelnego nie mieli? A ślub kościelny masz? Jak nie, to weź! Co ty na kontrakcie jeszcze żyjesz, wstydzisz się wziąć kościelny ślub?"

- Bo tu jest wymaganie pewnej cało ciowej postawy od człowieka. Katolicyzm tego wymaga. I z czego oni czyni nam zarzuty? Z tego, e - o czym doskonale wiedz - katolicyzm jest czym , co ma absolutne podej cie do ycia i je li nie ma przestrzegania tego, oni mog nas oskar a o brak konsekwencji i pogardza wtedy katolikami i maj racj , bo katolicyzm jest albo pełny do ko ca albo w ogóle go nie ma.

- Dokładnie, jak rozmawiałem z protestantem, to mówię mu: "co ty myślisz, że buddystów-sukinsynów nie ma? Ja znam czterech sukinsynów-buddystów. Katolicyzm jest największą religią na świecie i co: wśród miliarda nie znajdzie się czarnej owcy?" Jeśli któryś jest niewinny, to niech rzuci kamieniem - napisano. Ja wychodzę z tego założenia - trzeba się pogodzić z tym, że jesteś grzeszny, a nie uważać, że jest się bezgrzesznym. Ty możesz tylko dążyć do doskonałości, bo doskonały jest tylko Chrystus, a nie ty. Ty masz dążyć, jeżeli przestaniesz dążyć, to jest grzech, nawet większy niż to, że grzeszysz. Tak ja pojmuję, bo nie mogę pomyśleć, że będę bezgrzeszny, bo za chwilę mogę coś głupiego pomyśleć, albo coś mi odpierdoli, albo nie wiem co zrobię. Ja już się z tym pogodziłem. Ja już za dużo spowiedzi miałem takich, że się wstydziłem. Ale wiesz, ostatnio jeden ksiądz mi powiedział: "Słuchaj, ty jesteś zwykłym grzesznikiem. Ty się nie biczuj, są gorsze rzeczy, nie zabiłeś człowieka. Nawet jak popełniłeś grzech przeciwko sobie, to nie podniosłeś ręki przeciwko drugiemu, nie zabiłeś." Każdy z nas jest grzeszny.

- Grzech, spowied , te słowa wywołuj dzisiaj rozbawienie. Ludzie nie chc widzie si grzesznymi, co najwy ej maj problemy psychologiczne.

- Mi się wydaje, że to wygląda tak: mimo komunizmu laicka kultura zachodnia emanowała na Blok Wschodni, bezwiednie, chociaż tego nie było widać, społeczeństwo polskie skonsumpcjonizowało się i chciało żyć tak jak na Zachodzie. Ta młodzież, która często była antykomunistyczna, była jednocześnie prozachodnio-laicka i antykościelna, dla nich ta antykościelność była nowoczesnością. Argumentacją było to: "Zobacz, co na Zachodzie jest, na Zachodzie już jest to i tamto, jest postulat, żeby księża mogli brać żony". Taki mit, że Zachód jest bardziej rozwinięty, że tylko to, co Zachód zrobi jest dobre, że te wszystkie ruchy, które rozbijają Kościół katolicki, są dobre, dlatego że są one reformatorskie, a wszystkie ruchy, które chcą utrzymać Kościół w

całości, są złe, bo są konserwatywne.

- *Czyli to, co konserwatywne, to złe, bo to co było jest złe, a dobre jest tylko to, co teraz no i potem.*

- To dążenie do zmian, do liberalizacji prawa i norm. Oni by chcieli, żeby papież czy Kościół mówił to, czego chce większość społeczeństwa. Jak większość chce aborcji, to Kościół popiera aborcję etc.

- *Wiesz, e to jest potoczne teraz mylenie. Jak ty dostrzegłeś, e to jest absurdatne? Jak zachowałeś te pozycje zachowawcze w rodowisku, które ze swej natury zmierza do nieustannej innowacji, do modernizacji?*

- Dlatego, że traktuję Biblię jako Pismo Święte, a nie jako książkę do czytania, w której wszystko można zinterpretować po swojemu. Teraz przychodzi do mnie koleś i mówi: "Ja przeczytałem w jakiejś książce, że trzy tysiące lat temu było sześć rodzajów Biblii". Ja mówię: "Stary, słuchaj, to jest Pismo Święte. Ty dyskutujesz na temat Pisma Świętego?"

- *Ale ty musiałeś poczuć si istotowo pewnym, e to nie jest zwykła ksi ka, e to jest Pismo wi te, e to nie jest legenda, ale moc, która nas do wiadczca. Bo to trzeba w pewnym momencie poczuć, to nie wystarczy powiedzieć "OK, b d tak mówił". Mi si wydaje, e wiar zyskuje si za wysok cen .*

• Dla mnie bardzo ważnym elementem było to, że kiedy mieszkałem sam podczas studiów i miałem dużo czasu, to pomimo mojego szaleństwa, czytałem sobie Biblię, ja sobie studiowałem Biblię.

- *Ale dlaczego?*

- Bo stwierdziłem, że skoro jestem wierzący, to muszę wiedzieć, w co wierzę.

- *Czy jest mo liwe wskaza ten punkt, kiedy zrozumiałe, e jeste wierzcy?*

- Zacząłem się modlić przed maturą, już na sto procent. I miałem taką prośbę do Pana Boga - pierwszą, to żeby znalazł mi dobrą żonę, taką, żebym się czuł z nią dobrze, druga sprawa - żebym nie poszedł do wojska, bo tam mnie zabiją, ja po prostu nie dam rady wytrzymać tego fizycznie i psychicznie, trzecia sprawa - żeby skończyć studia, znaleźć dobrą pracę i założyć rodzinę. I mi się trzy z tych pięciu rzeczy spełniły, a uważałem, że jest je bardzo trudno spełnić. Wcześniej - ja tego nie rozumiem - modliłem się, nawet nie wierząc, że Pan istnieje, modliłem się wbrew sobie, modliłem się, bo chciałem uwie-

rzyć, bo mi potrzebna była wiara. Matka mówiła: "Idź się pomodlić", a ja na to: "Trudno" i szedłem. Chodziłem co tydzień do jezuitów na msze akademickie, tam uzyskiwałem taką siłę duchową. Przestałem w ogóle o tym myśleć, czy dobrze robię, czy źle robię, po prostu zacząłem się modlić. I pewne rzeczy się spełniły, po prostu zacząłem pewne sprawy widzieć, zyskałem jakiś wzrok duchowy i teraz już to czuję non stop. Kupiłem sobie Biblię Tysiąclecia, do dziś dnia nie skończyłem studiowania - jestem na Księdze Estery czy gdzieś, bo ja chcę dokładnie poznać także Stary Testament. Wszystko, co zwróciło moją uwagę, słowa, które Pan powiedział, a które dają jakąś nadzieję, słowa, które są naganą, wskazówką, wszystko wynotowywałem. Mówiłem sobie, że coś musi mi w głowie zostać.

- *Chciałbym, by my porozmawiali teraz o tym, o czym mi opowiadałeś wczoraj, to znaczy, e cieszysz si , e w ogóle yjesz. Czy ty wiesz, co ty w ogóle mówisz, przecie nie przeszedłeś adnej wojny?*

- W środowisku, w którym się obracam, śmiertelność jest po prostu relatywnie wysoka. Jest niewielu twórców, którzy są ascetami moralnymi, mentalnymi, duchowymi i życiowymi, każdy ma jakieś słabości, ale w środowisku, w którym ja się obracałem, to już szczególnie. Samych samobójców, których znałem, to jest około trzech-czterech osób, 20-latków. Żyłem, żyję i będę żył wśród ludzi-straceńców, desperatów w różnych formach...

-... u miechni tych jednak...



- No wiesz, na pełnym haju giną z uśmiechem na twarzy, nawet nie wiedzą, że zginą za chwilę. I tu śmierć kosi nierówno, bo ja jeszcze się śmieję, a oni już nie żyją, równie dobrze ja mógłbym nie żyć. Ale sprawa polega na tym, że nasza twórczość sama w sobie jest ucieczką od rzeczywistości, każdy jedzie, jak może, żeby tylko bardziej zdziwakować - im bardziej kopnięty, tym lepiej. Wszelkie środki, które służą do tego, żeby odjechać jak najdalej, ale nie zabić samego siebie, to są niby dobre. Pierwociny tego systemu polegały na tym, że w latach 70. czy pod koniec 60. "szlachta polska podziemna" waliła heroinę; "my, szlachta" - takie było powiedzenie. I szlachta wymierała masowo, w ciągu 5-6 lat cała szlachta potrafiła wymrzeć na jednym osiedlu i nie było szlachty. Heroina bardzo długo się trzymała, do 83-84 roku była podstawowym narkotykiem w Polsce.

- *Ale to twoi koledzy, czy to s rozwa ania historyczne?*

- Jakie historyczne, to moi koledzy! Ja sam mało co bym nie przypakował heroinę, ale czym się szczycę, to właśnie tym, że ani razu w życiu nie brałem heroiny. Natomiast mam kolegów, którzy brali heroinę i którzy już nie żyją. Kolega mojego kolegi, który był muzykiem, młody chłopak, w moim wieku, ale brał heroinę, skończył w piachu, basista z zespołu "Rejestracja", niejaki Sawana. Wielu kolegów weszło w 82 roku - bo heroina była wyższym stopniem wtajemniczenia, wachali butapren, nie było jeszcze takiego okresu, że jest LSD i te wszystkie obecne narkotyki zachodnie; był butapren, heroina, makowina, jakaś makiwara, tri było już uważane za prymityw.

- *A alkohol?*

- Widzisz, heroina po prostu inaczej działa, potrafi zabić w ciągu kilku lat, natomiast alkohol dopiero po kilkunastu latach daje o sobie znać. Alkohol zwykle się uważało w Polsce jako coś normalnego, przyjętego, ale konsekwencje tej używki przecież widać najwyraźniej. Niedawno zginęło mi dwóch kumpli, którzy na gazie jadąc zbyt szybko samochodem wbili się w drzewo i zginęli na miejscu. Bo o ile alkohol stanowił jeszcze środek do tworzenia czegoś, to było jeszcze OK, ale jeśli ktoś przestawał tworzyć, a już ograniczał się do samego picia, to nie dość, że degenerował się przez cały czas, to jeszcze przestawał tworzyć i alkohol brał nad nim całkowitą władzę, odbierał mu jego duszę, doprowadzał go do depresji, do zaniku sensu życia.

- *Wielu ludzi przyznaje si do tego, e marihuana miała du e znaczenie w pisaniu, tworzeniu pewnych skojarze . I nie ma problemu. A jak jest ze spo-*

rtowcami? Jak złapi biegacza Bena Johnsona, e co zapodał, to go dyskwalifikuj , a w poezji nie ma jakiej dyskwalifikacji, jest nawet odwrotnie.

- To dlaczego Artur Rimbaud nie został zlikwidowany, na przykład? A gdzie koleś się wykończył? W Grecji opium zarzucał, tak?

- Ale wtedy ju nic nie tworzył.

- A wcześniej myślisz, że co? Luz? Luzicho? A co było w średniowieczu, a wcześniej? To samo było, tylko, że inaczej podane.

- Jest wystarczaj ca liczba osób, które tworzą bez tego i wydaje si ...

- Są to pytania, które mnie męczą i na które sam sobie nie mogę odpowiedzieć. Nie można wprowadzać gradacji w rzeczach, które są złe od samego początku, nie ma dobrych rzeczy w używkach, używki są same w sobie złe. Nie po to Bozia głowę dała, żeby się podkręcać. Zupełnie inną sprawą jest to, o co pytasz, jakie znaczenie ma to dla mnie. Cieszę się, że nie jestem alkoholiczkiem, który w imię własnego ego nie patrzy na rodzinę, tylko zatracą się - to jest dla mnie sukces. Ale miałem swoje upadki, ja, jako człowiek. To jest na tyle intymna sprawa, że ciężko mi jest o tym rozmawiać z tobą, bo nie jesteś księdzem.

- Porzu my ten temat, zacz łe co mówi o spowiedzi.

- Dopiero od dwóch-trzech lat zacząłem mówić na spowiedzi prawdę. Każda spowiedź jest dla mnie super potworną męką. Powiem więcej - nie męką, ja już śnię o tym, że ja muszę iść do spowiedzi i co ja muszę powiedzieć, co złego zrobiłem. Znowu z tego samego muszę się spowiadać - przeżywa m katusze! Ja księdzu to i tamto, on mi: "Zrób to i tamto" i później znowu to samo, to jest męczarnia. Ale jednak spowiedź jest czymś niesamowitym, po niej naprawdę czuję się oczyszczonym, totalnie oczyszczonym. Rozmawiałem ze swoją matką - super wierzącą kobietą - na ten temat; problem polega na tym, że wszystko jest w moich rękach, wszystkie moje grzechy, które popełniam, są tylko moimi grzechami. W Piśmie jest napisane, że Pan widzi wszystko - jak śpisz, co śniesz. Moja świadomość grzechu jest na tyle posunięta, że ja często tracę wolę walki z grzechem, bo wydaje mi się "Co z tego, że Pan widzi wszystko, skoro ja nie mam siły?"

- To co ci wła ciwie przy tym trzyma? Trzyma w dodatku w koncepcji ortodoksyjnej.

- Ja mam zakodowane dywagowanie. Gdy zgrzeszę, zaczyna się dywagowanie na ten temat: to nie jest dobre, ale jest obojętne, jakoś to zostanie rozliczone, rozejdzie się po kościach, tu zrobię dobrze, takie ciągle kombinowanie na rzecz dobra i zła. Tu zrobię trochę dobrze, tu zrobię lepiej itd. itd. Wyrówna się... Niestety, tak nie ma. Jak wychodzę z tego ciągu, dochodzę do czystego pojmwania rzeczywistości, to znowu padam na mordę, a jak padam na mordę, to jest załamka totalna, uświadomienie sobie własnej marności. Wraca wtedy pełny kult, pełna wiara, pełna prośba: "Panie, pomóż mi! Panie, zmiłuj się nade mną! Zwracam się do ciebie z tym, co zrobiłem". Ja k już jest dobrze, to ja znowu zaczynam grzeszyć; im jestem lepszy, tym jestem gorszy. Jak jestem dobry, to tak jestem tego świadomy, że mnie to przeraża - ja nigdy nie byłem taki dobry - przeprowadzę kogoś przez ulicę, jak kwiatek się złamał, to zwiążę kwiatkowi nóżkę itd.

- *Speszony jeste t sytuacj ?*

- Nie, nie jestem speszony, po prostu ta sytuacja mnie przerasta.

- *Jak mo e ci przerasta , skoro to jeste ty?*

- Coś mi wtedy z tyłu mówi: "Co ty, kurwa, taki dobry jesteś?" Jak pęknie fala dobra, to zaczyna się u mnie fala zła i ona leci, aż w końcu uświadomię sobie, że robię źle i znowu przychodzi fala dobra.

- *A czy wyobraasz sobie, e mógłby teraz porzuci potrzeb bycia zbawionym i pomocy od Boga, której - mi dzy innymi - mo na dost pi w spowiedzi? To co kosztuje - jakie tam upokorzenie, to nie jest nic przyjemnego. Czy ty sobie wyobraasz, e mo na byłoby w twoim yciu wyrzuci ten wymiar - spowiedzi, modlitw, tych paciorków, tego wszystkiego i spróbowaa bez tego? Po co sobie ycie komplikowa ?*

- Uważam, że spowiedź i komunia mają głębszy sens, niż mi się wydaje, dlatego, że gdyby tego nie było, to ja byłbym nałogowym alkoholikiem, który leży na ulicy, nie ma rodziny i bym zdychał z głodu. Mnie tylko Chrystus trzyma przy życiu, ale niestety na tym niskim poziomie - takiego gościa, który utrzymuje rodzinę, ale ma tyle wad, że jest w piekle. Jestem takim samym gościem jak ci wszyscy nędzarze. Jak idę ulicą, to mnie różni od nich tylko to, że ja jestem lepiej ubrany, ale moje myślenie, moja mentalność... Jak ja zobaczyłem ciemną kobietę, tu koło kościoła, dałem jej wszystkie drobne, po-

tern pomyślałem sobie: "Co mnie tknęło?" i odpowiedziałem: "Chrystus cię tknął" i jeszcze: "Ty nie myśl, co cię tknęło, tylko daj tej kobiecie pieniądze i sprzedaj stąd. Tylko popatrz, jak ona żyje!". Mówię mojej żonie: "Co ty myślisz, że nie skończysz w kartonie? Taka pewna jesteś? Ty sobie poszukaj dobrego kartonu."

- *Masz strach przed tym, że ci może co takiego spotka?*

- To jest przez cały czas. Cała sprawa sprowadza się do pytania: jak oceniasz swoje szanse na Sądzie Ostatecznym?

- *A tak?*

- Właśnie. A mnie zapyta się Chrystus: "Darek, kiedy ty tak naprawdę byłeś trzeźwy?" Jeśli sobie pomyślę, że Pan Bóg jest formalistą, to mam przechlapanie. Jak czytam Stary Testament, to w nim jest, że Pan Bóg jest tylko sprawiedliwy i mówi, że nietrzeźwi do Królestwa Niebieskiego nie wejdą. Ja sobie mogę robić tysiące dobrych rzeczy, a Pan Bóg mi powie: "A czy ty byłeś trzeźwy chociaż raz wtedy?"

- *Na szczycie Bóg jest miło ci.*

- Bóg jest sprawiedliwością. Ale jedynie, co mnie trzyma przy życiu, to wiara, że Pan mi pomoże wyrwać się chociaż z tych podstawowych grzechów, które mnie dręczą i że zrobię jeszcze coś dobrego na tym świecie. Bo to, że mam talent do pisania wierszy, to nie jest żadna łacha, to jest mój zasrany obowiązek. Jeżeli Pan dał mi talent, to jeżeli go zmarnuję... Pan mi tyle dał, a ja mu właściwie nic nie dałem.

- *Czujesz, że znalazłeś swoje powołanie?*

- Tak, ja mam powołanie, ja się czuję powołany. U mnie dramat na tym polega, że u mnie nie ma wątpliwości, czy to robić czy nie. Ja powinienem to robić, a tego nie robię.

- *Jak to nie robisz? Pisziesz przeciw wiersze...*

- A tam, pisanie wierszy... Dla człowieka takiego jak ja pisanie wierszy to jest nic, ja powinienem zbudować tamę czy coś w tym stylu. Dla mnie pisanie wierszy nie jest czymś wielkim. Wielkość nie polega na tym, że się coś napisze, powie i wystąpi. Chciałbym coś zrobić nie dla siebie, ale dla ludzi. Im

więcej masz darów, tym więcej masz obowiązków, a ja mam bardzo dużo darów i nie wywiązałem się ze swoich zobowiązań. Boję się, że za te dary, które dostałem... ja mam strach przed karą. Rozmawiałem z takim francuszką z Ameryki, ale z Medjugorie, który powiedział: "Statek zbudowałeś i masz świetny okręt, ale nie masz steru; nie ma kto cię kierować, zawierz Matce Boskiej, módl się."

- Człowiek musi mieć czas, eby się modlił, kontemplował. Je-li współczesny wiatr odchodzi od tego, je-li odrzuca te czynności, które były czynnościami zbliżającymi do religii, to nic dziwnego, a ludzie odchodzą od Boga i religii. Jak kto jest rano pijany, to się nie pomodli, jak się nie pomodli, to nie będzie w sobie poszerzał tej sfery nabożeństwa, nie pójdzie w niedzielę do kościoła, nie przekaże dzieciom, one też nie przekażą i tak leci. Dlatego kościoły mogą stać się dla nas takimi piramidami - tylko symbolami, które mówią o tym, co było. Wydaje mi się, a współczesne społeczeństwa mogą zapomnieć o obietnicy zmartwychwstania, którą przyniósł Chrystus.

- Ja osobiście bronię się przed ateizmem, ja nie jestem żadnym piewą religijności, walczę o najprostsze rzeczy, o to, żeby iść do Kościoła w niedzielę... to jest niedziela, a nie piątek. Walczę, aby nie zatracić tego liturgicznego czasu...

- Wraz z zatraceniem kalendarza, tracimy czas w ogóle...

- Odmierzanie czasu od niedzieli do niedzieli jest naturalnym rytmem życia danym nam przez Pana. Chociaż przebywam w środowisku libertynów, to nie mogę się tłumaczyć, dlaczego czegoś nie zrobiłem. Prawa są ustanowione, z tych praw będziesz sądzony i koniec.

rozmawia! Rafał Smoczyński

(Gdańsk-Stogi)

HENRY MILLER NIEZNANY

Postać Henry Millera zwykle się kojarzy z niegroźnym erotomanem, a twórczość jego podawać jako przykład oczywistej prowokacji obyczajowej. Czy słusznie? Choć paryski Amerykanin umiejętnie współtworzył swój mit *en fant terrible*, opinia o nim jest wysoce krzywdząca. Jeśli stać nas na odrobinę spokoju i dystansu wobec wybujałego erotyzmu w jego utworach, można w nich zauważyć zaskakująco trafne i wnikliwe opisy zjawisk społecznych. Być może wówczas mniejszym zaskoczeniem dla nas będzie wydźwięk jego licznych reportaży i esejów oraz fakt, że literackim idolem Millera był Celinę. Trudno się też dziwić, że gdy Miller żegnał swego przyjaciela, George'a Orwella, jadącego na wojnę domową do Hiszpanii, z politowaniem wyrażał się o jego politycznej naiwności.

Jednym z czynników, które wpłynęły na ukształtowanie się poglądów Millera - stosunek do antysemityzmu, programowy antypatriotyzm i antyintelektualizm, fascynacja kulturą Dalekiego Wschodu oraz krytyczny stosunek do współczesnej historii - była jego wieloletnia korespondencja z angielskim pisarzem Lawrence'em Durreilem obejmująca lata 1935-1980. Listy te ukazują nie tylko programowy antyintelektualizm obu pisarzy, ale też umiejętność trzeźwej oceny zjawisk pożaliterackich. Choć dzieliło ich bardzo wiele: narodowość, wiek, rodzaj wrażliwości twórczej, rzeczywistość, w której żyli, to łączyły ich przekonania i gusty literackie.

Spośród setek listów szczególnie cenne dla demistyfikacji obrazu świata kreowanego przez ówczesnych intelektualistów lewicowych wydają się te pisane na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Durrell pełnił wówczas funkcję rzecznika prasowego ambasady brytyjskiej w Belgradzie i donosił Millerowi, przebywającemu w malowniczej miejscowości Big Sur nad Pacyfikiem, o realnych przejawach socjalizmu. W odróżnieniu od wielu innych pisarzy zachodnich, którzy mieli okazję przebywać w krajach komunistycznych, Miller i Durrell nie mistyfikują dostrzeganej rzeczywistości, lecz szczerze piszą to, co widzą. Czy to dlatego Durrella traktuje się dziś jako pisarza marginesowego, a z twórczości Millera akceptuje się tylko wątki erotyczne? Tym, którzy uznają te pytania za bezzasadne, dedykuję kilka fragmentów z pokazanej korespondencji Miller-Durrell.

Zofia Stanisławska

PRZEDŚMIERTNE KONWULSJE MAMY PRZED SOBĄ

(KORESPONDENCJA: HENRY MILLER • LAWRENCE DURRELL)

Paryż, marzec 1939

Drogi Larry,

(...) Nikt nie chce, by prawdziwi ludzie sprawowali władzę nad światem. Póki w złobie pełno, świń wokół mnóstwo. Hitler nie jest ani lepszy, ani gorszy od całej tej bandy. Jak większość Niemców, popełnia tylko jeden błąd - nie ma za grosz taktu • to wszystko. Ale jak dotąd, nie wyrządził więcej zła od innych zdobywców, może nawet mniej. Jest szczery, chociaż żyje w świecie iluzji. Natomiast Anglicy, Francuzi i Amerykanie są po prostu głupi, małostkowi, uparci i samolubni. Dlaczego ci ciągle zwlekają? Garstka Francuzów, par u Anglików i zaśnieździła Ameryka mająca dostęp do wszystkich bogactw naturalnych. Zabójcza sterylizacja w pełnym rozkwicie, gangsterzy czyhający za każdym rogim, nadęty wypaczony idealizm - i co Ty na to? A Francja? Gówna Francja! Zasklepiona, zaściankowa, samolubna, obojętna i do tego okrutna. Ma dosyć ziemi, by się żywić, ale brak jej umiejętności rządzenia, rozmachu i wyobraźni. Zrozumiałem to dopiero po przeczytaniu Balzaca. To co pisał o roku 1819 o wiele bardziej pasuje do trzydziestego dziewiątego.(...)
[bez podpisu]

Hollywood, 21 listopad a 1942

Drogi Larry,

(...) Wkrótce wojska amerykańskie wylądują w Atenach. Wygląda na to, że sprawy mają się ku lepszemu. Zaczęła się inwazja. (...) Ciekawy to zbieg okoliczności, że właśnie teraz Churchill ogłasza, iż będzie bronił swego imperium (sic). Jego oświadczenie zostało tu przyjęte bez entuzjazmu. Czy ten stary pacan nie rozumie, że my właśnie chcemy, żeby Anglicy oddali nam swoje cholerne królestwo? (...)

Skończyłem „Śmierć na kredyt” Céline'a. Dziwne, że zajęło mi to aż dwa lata. Przez ostatnie dwieście stron kipiałem z wrażenia. Wspaniałe. Dzikie. Nadal uważam, że to najlepszy pisarz współczesny. Obawiam się, że kiedy uporają się z państwami osi, wezmą się za Céline'a. Jest o wiele groźniejszy od Hitlera. Wypełnia go niewyczerpana nienawiść do całego rodzaju ludzkiego. Ale za to jaka zabawna. Po d koniec c książki serwuje nam zakrwawionego trupa, który rozbawia skuteczniej niż cała banda komedianów. Humor mrozący krew w żyłach. Czasem nawet zbiera się na wymioty. Koniecznie to przeczytaj. (...)

28 lutego 1946

Drogi Henry,

To nieprawdopodobne! Własne biuro i sekretarka! Co dalej? Żartuję. Wiesz, że cieszę się razem z Tobą. Masz teraz więcej przestrzeni życiowej. My wciąż w tym samym miejscu. Właśnie wróciłem z e wrzeszczącego i smutnego zarazem tygodniowego pobytu w Atenach. Wiem, że moje listy brzmią pesymistycznie, ale nie ludź się, że wojna coś zmieniła. Jest gorzej niż było. Jeśli to prawda, że wojnę wywołał o narastające w ludziach niepokoskromione pragnienie władzy, należało się spodziewać, że po tym nastąpi zmęczenie i zużycie materiału. A tu nic. Świątoszki z prawa i lewa tylko patrzą, kogo by tu sprzątnąć. Tera z jedna knie myśl i się w kategoriach narodowościowych - Francuzi, Niemcy itd. - ale o własnych rodakach. Dziś trzeba zlikwidować pana X, który mieszka po drugiej stronie ulicy, jutro pana Y, który jest rojalistą i pana B, który jest liberałem. W powietrzu pachnie krwią i prawdziwym głodem, który tylko ułatwia zabijanie. Przedśmiertnie konwulsje mamy jednak wciąż z prze d sobą. A wszyscy są tacy zmęczeni, każdy z kawałkiem życia wyciętym przez wojnę jak pajdą chleba. Wczoraj skończyłem trzydzieści cztery lata i nie mam żadnej nadziei na spokojne życie. Żadnego oparcia. Bliski Wschód, który przez całą wojnę pozostawał neutralny, obżerając się i onanizując, lada dzień stanie w płomieniach. W Anglii nie mógłbym już mieszkać, a Francja spisana jest na straty. Tymczasem żądni władzy komuniści ostrzą sobie zęby. Na Boga, nie zdajesz sobie sprawy, jakie mamy szczęście, że wychowaliśmy się w kulturze anglosaskiej. Gdybyś widział, co zostało z Europy! Nie, jeśli kiedykolwiek pojedę do Stanów, to tylko po to, by zostać amerykańskim obywatelem. O, ziemio ludzi wolnych! Wiem, wiem, powiesz, że to wszystko bzdury. Jednak na horyzoncie nie pojawił się dotąd nawet zarys świata, o który m marzyliśmy. Słyszysz, co o się dzieje w Paryżu - egzystencjaliści! Tfu! Znów to samo egocentryczne bredzenie, którego logika kończy się tam, gdzie zaczyna działanie, zupełnie jak w przypadku surrealizmu, którego teoria upada, gdy galerie Lafayette zapełnia się obrazami Dalego i okładkami z Vogue. Wierz mi, jedynie Ameryka ma coś do powiedzenia. To ona kupuje artystów, kastruje i wypycha na scenę. Jest w tym jakaś sprawiedliwość. Najgorsi odpadają w pierwszym rzucie!

Larry

Big Sur, 9 lutego 1947

Drogi Larry,

(...) Célinę pewnie nadal siedzi w więzieniu w Kopenhadze, chudszy o jakieś trzydzieści kilo. Francuzi chcą go osądzić i rozstrzelać, ale Duńczycy zwlekają. Mam wrażenie, że słyszę jego słowa: „Jak możecie mnie oskarżać

o faszyzm i kolaborację? Gardzę wami, obojętnie, po której stronie jesteście." Nie są to dokładnie jego słowa, ale sądzę, że powiedział coś w tym stylu. I ja mu wierzę.(...)

Zgodnie z tym co mówi Man Ray, egzystencjaliści i surrealiści mają wspólnie stanąć do walki. Wydaje mi się, że są *ausgespielt*. Dwa trupy w wojnie na niby, ot co! Dochodzę do wniosku, że tak naprawdę ludzie potrzebują kawy, cukru, masła i ciepłego przyodziewku. Ideologiczne wojny należą do przeszłości. Rosjanie i Amerykanie dzielą pomiędzy siebie świat. Co do Anglii, nie rozgryzłem jeszcze jej zamiarów. Prawdopodobnie poprze silniejszego. Gdyby jednak znów doszło do wojny, nie jestem wcale pewien naszego zwycięstwa. Wygląda to na sytuację bez wyjścia - Orzeł kontra Niedźwiedź. (...)

Henry

Ambasada Wielkiej Brytanii, Belgrad, czerwiec 1949

Drogi Henry,

Piszę, by dać Ci znać, że jesteśmy na miejscu i że warunki są dalekie od idealnych, choć o niebo lepsze od Ameryki i Łacińskiej. Środowisko dyplomatyczne jest całkowicie odcięte od rzeczywistości, a to dzięki tutejszym mieszkańcom, którzy boją się, by broń Boże nie przyłapano ich na rozmowie z nami. Dlatego nasze życie ogranicza się do wąskiego grona osób. Komunizm jest o wiele gorszy od tego, co sobie wyobrażasz: to systematyczne, moralne i duchowe wyniszczanie narodu wszelkimi dostępnymi środkami. Niby jest to „tworzenie praw na potrzeby chwili”, lecz kiedy jesteś na miejscu, włosy stają dęba. A do tego jeszcze zmowa i poparcie pławiących się w samozadowoleniu intelektualistów! Płaci im się, by milczeli, więc siedzą jak mysz pod miotłą. To wszechogarniające odrętwienie jest przerażające, a zarazem niesamowite. Owa intelektualna zaraza jest naprawdę groźna, ale jak z nią walczyć, to już zupełnie inna sprawa. W każdym razie Anglia i Ameryka są oazami spokoju w porównaniu z tym miejscem, a do tego jedyną nadzieją na przyszłość, jeśli takowa w ogóle istnieje. Może to śmieszne, ale prawdziwe. (...)

Ściskam,
Twój Larry

Ambasada Wielkiej Brytanii, Belgrad, 27 października 1949

Drogi Henry,

Piszę parę słów przed naszym wyjazdem do Salonik, gdzie będziemy przez następny tydzień. Chociaż jest to podróż służbowa, z przyjemnością wyjadę z tego brudnego, hałaśliwego miasta pełnego pijanych Serbów i

wypuszczę się w góry Macedonii. Sytuacja jest coraz gorsza, pętla wciąż się zaciska. Nikt nie wie, co z tego wyniknie, a najśmieszniejsze, że ludzie tak nienawidzą Tito, iż zupełnie przestali myśleć o przyszłości. Wielu chętnie powitałoby tu Rosjan, choćby po to, by patrzeć, jak wali się obecny reżim zbudowany na pustych hasłach. Oczywiście, wszyscy doskonale wiedzą, że Sowietci są jeszcze gorsi. Jednak panująca tu policyjna atmosfera doprowadza ludzi do szału. Biorąc pod uwagę obecną sytuację, jestem coraz bardziej przekonany, że amerykański e polowani e n a czarownic e jes to wiel e sensowniejsze niż mogło się wydawać. Tymczasem my wciąż gnijemy od mętnych idei postępu i socjalizmu zmieszanych z kapitalistycznym poczuciem winy, a z każdą kolejną deklaracją pakujemy się prosto w łapy tych parszywych świi. Jako pisarze nie mamy żadnych podstaw, by popierać marksizm-leninizm, gdyż system ten niszczy wszystkie wartości, których bronimy. Wiem, że nasza cywilizacja była do niczego, ale w porównaniu z tym to kwitnąca dekadencja, bo przynajmniej nie pozbawia ludzi nadziei. Natomiast komunizm to po prostu śmierć.(...) Ucałowania dla całej rodziny
Wasz Larry Durrell

Belgrad, 13 stycznia 1950 (serbski Nowy Rok)

(...) Najbardziej tajemnicza paczka, którą otrzymaliśmy, zawiera trzy pary wspaniałych zimowych butów, ale nie ma żadnego adresu zwrotnego. Dzwoniłem już do wszystkich znajomych, pytając, czy nie oczekują przesyłki z butami. Nikt się nie przyznał, więc zaczynam się zastanawiać, czy to aby nie prezent od Ciebie. Jeśli tak, to nie mogę pojąć, jak dotarłeś na Bond Street i znalazłeś buty, które pasują jak ulał! (...) Wspaniale na tutejsze warunki, bo zima w Belgradzie jest tak ciężka jak w Rosji. Mamy ostry mróz, mnóstwo śniegu, a dookoła wszystko skute lodem. Nie będę Ci po raz kolejny opowiadał, jak ludzie tutaj cierpią, gdyż poza komunistyczną nomenklaturą nikt nie ma dostępu do węgla, drewna i paliwa, nie mówiąc o przyzwoitym ubraniu. A rząd nadal wali po kieszeniach i sprowadza nowe maszyny, które od razu idą na złom, bo nikt nie potrafi ich obsługiwać. Komunizm to prawdziwy dom wariatów. Nie wyobrażasz sobie, jak wdzięczny jestem Amerykanom, że traktują go poważnie. Przynajmniej w nich Europa to owczarnia pełna beczących i kudłatyh socjałów, którzy zdają się nie zauważać, że torują drogę fanatykom. Szkoda, że nie możesz przyjechać i zobaczyć tego na własne oczy. Nie muszę chyba dodawać, że ta cuchnąca atmosfera nie sprzyja myśleniu ani pisaniu, a obecny układ polityczny sprawia, że mam ręce pełne roboty. Trudno cokolwiek przewidzieć, tym bardziej, że ostra zima sparaliżowała normalne życie.(...) Cóż to za nieszczęśliwy kraj! Dzięki Bogu, nie odebrano nam Grecji. Choć przychodzi mi to z trudem, przyznaję, że Churchill miał rację. Szkoda tylko, że dopiero, gdy na własnej skórze doświadczyłem życia w komunistycznym kraju, zrozumiałem jak bardzo jesteśmy zaślepieni. Miejmy nadzieję, że stary wyga powróci do władzy, chociaż zwykle prosi się go o pomoc, gdy bałagan

jest już tak wielki, że nic nie da się zrobić. Cóż to za świat! (...)
Ucałowania od uwieczonych w zaspach śniegu
Larry'ego i Ewy

Poselstwo Brytyjskie, Belgrad, marzec 1950

Drogi Henry,

Piszę ten list przed kolejnym wyjazdem. U nas wszystko w porządku, choć dookoła jest coraz gorzej. Dlatego obawiam się, że moje epistoły wydają Ci się równie monotonne, co listy pisane z więzienia; ale taki właśnie jest ten kraj - na skalę niewyobrażalną dla kogoś, kto go nie zna. Pech chciał, że klimat w tej zakurzonej i wietrznej stolicy jest okropny, za to reszta kraju przepiękna. Ludzie przypominają mole, są śmiertelnie wystraszeni, obtudni i sztywni. Tymczasem do tego przybytku barbarzyństwa, porównywalnego jedynie z najmroczniejszymi okresami historii, przyjeżdżają amerykańscy i angielscy lewicowcy, by odpowiadać komunistom jak zepsuta i bliska upadku jest nasza cywilizacja. Hitler to przy nich niewiniątko. Choć w kapitalizmie trudno doszukiwać się uroku, zawiera on w sobie nieskończenie więcej piękna, szlachetności i wolności niż to COŚ. Ale basta... Jeśli nie zobaczysz kraju, który dostał się w ręce komunistów, będziesz powtarzał, że przesadzam. (...)

Larry

Belgrad, lipiec 1950

Drogi Henry,

(...)Mimo par u jasnych punktów na horyzoncie sytuacja wciąż się pogarsza. Ciekawe, kiedy tutejszym magikom wyczerpie się zasób sztuczek. Muszę uważać, by nie wpaść w ręce Rosjan i nie spędzić reszty życia w kopalni soli. Materiału o ludziach i życiu zebrałem już tyle, że starczyłoby na tuzin powieści.(...)

(...) A co do jugosłowiańskich kapti, o które mnie prosisz... Mój drogi Henry, Ty chyba zwariowałeś! Nie zdajesz sobie zupełnie sprawy, co to znaczy komunistyczny kraj. Tego nie da się wytłumaczyć. Pamiętam, że sam nie mogłem pojąć o co chodzi, dopóki nie odczułem tego na własnej skórze... Dlatego tak trudno to wytłumaczyć. Twoje stare kaptie dałoby się tu sprzedać za dwanaście dolarów. Nie można kupić nowych butów. Jedna igła warta jest dolara. Grzebień kieszonkowy, który u was kosztuje dziesięć centów, tu da się opylić za cztery dolary... Ale Ty i tak nie masz o tym pojęcia. Dopiero GDYBYŚ PRZYJECHAŁ TU NA TYDZIEŃ, rozumiałbyś, że każdą wojnę dałoby się usprawiedliwić, gdyby miała zapobiec TAKIEMU systemowi i pozwoliła uwolnić miliony ludzi od straszliwej tyrani oraz moralnej niewoli. Dlatego serce mi rośnie, gdy widzę jak Amerykanie rozprawiają się z komunistami i wypychają do Korei. Hurrria! Podczas gdy nasze kryptolewicowe wymoczki puszą się jak pawie, a europejscy artyści poniżają się, popierając ludzi przynajmniej sto

razy gorszych od Kaliguli, ci przekłęci Jankesi znów jako pierwsi ocknęli się i zrozumieli o co tu naprawdę chodzi... Ale Ty pewnie znowu mnie skrytykujesz. Cóż, powinieneś zobaczyć to miejsce.

Ucałowania dla Was i dzieci
Larry

Belgrad, październik 1952

Drogi Henryku,

(...) W grudniu rezygnuję z posady. Prawdopodobnie pojedziemy na Cypr. Pieniądzy i perspektywy brak. Mamy za to namiot i mały samochód. Czuję się, jakbym był o dwadzieścia lat młodszy. Nie mam pojęcia, jak sobie damy radę, ale jestem tak podniecony, że nie mogę doczekać się chwili, kiedy wreszcie zaczniemy głodować.

Założę się, że wkrótce nastąpi rosyjska inwazja, kto wie - może chińska? No cóż, najpierw uporajmy się z tą pierwszą. Chryste! Mam nadzieję, że w porę uda nam się stąd zwiać. Do granicy są tylko dwie godziny drogi.

Ucałowania
Larry.

Tłumaczyła: Zofia Stanisławska



„Unabomber” jest nieuchwytnym amerykańskim terrorystą wysyłającym listy-pułapki od 1978 roku. Specjalizuje się w przeladowaniu naukowców. Jak do tej pory spowodował śmierć trzech osób i ciężkie obrażenia u dwudziestu dwu innych. Swoją kryptonimem zawdzięcza FBI, która nazwała go tak, ponieważ swoją karierę rozpoczął od wysłania bomb na uniwersytety i do biur linii lotniczych.

„Unabomber” ma zwyczaj załączania do listów-pułapek manifesty. Potępia w nich cywilizację technologiczną, inżynierię genetyczną, uzależnienie społeczeństwa od technologii komputerowych. Dał się także poznać jako przeciwnik lewactwa i naukowców z okolicznych gałęzi przemysłowych.

W sierpniu zeszłego roku „Unabomber” wysłał największym dziennikom amerykańskim - „Washington Post” i „New York Times” koperty z liczącymi 62 strony maszynopisem zatytułowanym „Nauka industrialna i jej przyszłość”. Obiecał, że po wydrukowaniu manifestu zaprzestanie wysyłania bomb. Jeśli redakcje odmówiłyby publikacji - wzmacni działalność wybuchową. Dzienniki pod naciskiem FBI wydrukowały specjalne wkładki dla eseju „Unabombera”. „New York Times” kosztowało to 40 tysięcy dolarów.

Pierwsze zdanie manifestu terrorysty brzmi: „Rewolucja przemysłowa i jej konsekwencje spowodowały nieszczęście na gatunek człowieczy”. „Unabomber” wymienia wiele współczesnych plag - przeludnienie miast, izolację człowieka od natury, załamanie się systemu wartości rodzinnych - i głosi potrzebę obalenia cywilizacji przemysłowej.

Styl jego pisania jest mieszaniną aberracji umysłowej, determinacji i znajomości problemów technicznych współczesnego postindustrialnego świata.

„Unabomber” jest na wolności i nadal wysadza naukowców.

UNABOMBER

MANIFEST TERRORYSTY (fragmenty)

1. Rewolucja przemysłowa i jej konsekwencje są katastrofą dla rasy ludzkiej. Rewolucja ta znacznie zwiększyła oczekiwania życiowe tych, którzy mieszkają w krajach „rozwinętych”, lecz jednocześnie zdestabilizowała społeczeństwa, uniemożliwiła samospełnienie, spowodowała istnienie ludzkich istot do upokarzającej formy, a jeszcze bardziej zniszczy ona świat przyrody, spowoduje coraz większe zachwiania społeczne i psychiczne, a w krajach „rozwinętych” może doprowadzić nawet do fizycznego cierpienia.

2. System przemysłowo-technologiczny może przetrwać lub się załamać. Jeżeli przetrwa, MOŻE osiągnąć względnie niski poziom prowokowania cierpienia fizycznego i psychicznego, ale tylko po przejściu przez bardzo długi i bolesny okres przystosowania oraz tylko za cenę nieustannego redukcjonowania

istot ludzkich oraz innych żyjących organizmów do sterowanych produktów i zwykłych kół zębatach w maszynie społecznej. Co więcej, jeżeli system przetrwa, konsekwencje będą nieuchronne. Nie ma sposobu na zreformowanie lub zmodyfikowanie systemu tak, aby uchronić ludzi przed pozbawianiem ich godności i autonomii.

3. Jeżeli system się załamie, konsekwencje będą naprawdę bolesne. Ale im bardziej system rośnie w siłę, tym bardziej katastrofalne będą rezultaty jego załamania się, więc jeżeli miałby się załamać, najlepiej, żeby nastąpiło to szybciej niż później.

4. Dlatego głosimy rewolucję przeciw systemowi przemysłowemu. Rewolucja może użyć przemocy lub nie; może być gwałtowna lub narastać wraz z upływem czasu, rozciągając się na dziesięciolecia. Nie jesteśmy w stanie przewidzieć, jaką drogą potoczą się jej losy, ale w bardzo ogólny sposób możemy zarysować potrzebę przygotowania drogi dla rewolucji przez tych, którzy nie nawiądują przemysłowi i chcieliby przeciwstawić się przemysłowej formie społecznej. To nie będzie rewolucja POLITYCZNA. Jej celem będzie obalenie nie rządów, lecz ekonomicznych i technologicznych podstaw obecnego społeczeństwa.

PSYCHOLOGIA WSPÓŁCZESNEJ LEWICOWO CI

6. Niemal każdy zgodzi się, że żyjemy w świecie gnębnym przez wiele problemów. Jednym z najbardziej rozpowszechnionych szaleństw naszego świata jest lewackość, więc dyskusja nad psychologią lewicowości może służyć jako wprowadzenie do dyskusji nad problemami współczesnego społeczeństwa w ogóle.

7. Czym jest więc lewackość? W pierwszej połowie XX wieku lewicowość mogła być praktycznie identyfikowana z socjalizmem. Dziś ruch ten jest rozczłonkowany i nie jest jasne, kogo właściwie należałoby nazywać lewicowcem. Kiedy mówimy o tu lewicowości, mamy na myśli głównie socjalistów, kolektywistów, typy "politycznie poprawne", feministki, gejów, działaczy niepełnosprawnych, działaczy na rzecz praw zwierząt i tym podobnych. Ale nie każdy, kto jest związany z którymś z tych ruchów, jest od razu lewakiem. To, o co nam chodzi w tej dyskusji, to nie ruch czy ideologia, lecz raczej profil umysłowy lub kolekcja związanych z nim typów.

8. Nasza koncepcja lewicowości mimo wszystko pozostanie mniej jasna niż byśmy tego chcieli, ale chyba nie ma na to rady. Próbuje jedynie zaznaczyć wyraźnie dwie tendencje psychologiczne, które naszym zdaniem są siłami napędowymi współczesnej lewicy. W żadnym razie nie przypisujemy sobie wiedzy o CAŁEJ prawdzie na temat psychologii lewicy. Nasza dyskusja odnosi się wyłącznie do nowoczesnej lewicy. Pozostawiamy otwartą kwestię, do jakiego stopnia nasza dyskusja może być przykładana do lewicy XIX-wiecznej i tej z wczesnego okresu XX wieku.

9. Dwie psychologiczne tendencje, które naszym zdaniem stanowią podstawę nowoczesnej lewicy, to "poczucie niższości" oraz "ponadspołeczniczenie". Poczucie niższości jest charakterystyczne dla całej współczesnej lewicy, natomiast ponadspołeczniczenie jest właściwe jedynie dla pewnej części tej formacji, jakkolwiek jest to część niezwykle wpływowa.

POCZUCIE NI SZO CI

10. Przez "poczucie niższości" rozumiem nie tylko uczucie samo w sobie upokarzające, ale całe spektrum związanych z nim cech: niski szacunek do własnej osoby, uczucie bezsilności, tendencje depresyjne, autonienawiść, defetyzm, poczucie winy, itd. Naszym zdaniem, współcześni lewicowcy mają tendencję do posiadania tego typu odczuć (mniej lub bardziej depresyjnych), a uczucia te są decydujące w wyznaczaniu kierunków współczesnej lewicowości.

12. Ci, którzy są najbardziej wrażliwi na brak "politycznej poprawności" w języku, nie są ani czarnymi mieszkańcami amerykańskich gett, ani azjatyckimi imigrantami, ani niepełnosprawnymi, ani prześladowanymi kobietami, a po prostu mniejszościowymi aktywistami, z których większość nie należy do żadnej z "poszkodowanych" grup, wręcz przeciwnie, pochodzi z najbardziej uprzywilejowanych sfer społeczeństwa. Polityczna poprawność ma silne poparcie wśród profesorów uniwersyteckich, którzy mają bezpieczne posady i wysokie pensje, a z których większość to heteroseksualni biali mężczyźni pochodzący z klasy średniej.

13. Wielu lewicowców w silnie utożsamia się z grupami, które stereotypowo uważane są za słabe (kobiety), pokonane (Indianie północnoamerykańscy), odpychające (homoseksualiści), lub też po prostu podrzędne. Sami lewicowcy uważają je za gorsze. Nigdy oczywiście nie przyznaliby się do tego rodzaju odczuć, ale dokładnie tak to odczuwają, ponieważ identyfikują się z nimi opierając się na założeniu, że grupy te są w jakimś stopniu poszkodowane. (Nie sugerujemy, że kobiety, Indianie itd. są gorszymi grupami, jedynie wskazujemy na ten aspekt psychologii lewicowej.) (...)

45. Wszystkie z tych symptomów pojawić się mogą w każdym społeczeństwie, ale we współczesnym społeczeństwie przemysłowym są one obecne na skalę masową. Nie będziemy pierwszymi, którzy stwierdzają, że dzisiejszy świat całkiem oszalał. Tego typu rzeczy nie są normalne dla ludzkich społeczeństw. Są solidne podstawy, by móc twierdzić, że człowieka prymitywnego męczyły mniejsze stesy i frustracje, a był on dużo bardziej zadowolony ze swojego sposobu życia niż człowiek współczesny. Oczywiście to nieprawda, że wszystko dawniej było takie słodkie i piękne w społeczeństwach prymitywnych.

(tłum. na podst. "New York Times" Bogna wi tkowska)

GRZEGORZ WRÓBLEWSKI

OPOWIE WILLIAMA S. BURROUGHSA

Godzina 22.00. Pojawiam się znowu
na świecie! Wita mnie niezastąpiony
William S. Burroughs i jego DEAD
CITY RADIO: Podziękujmy za wiernego
szeryfa i nasze świąteczne ptactwo!
Karnawał na Christianshavns Torv...
Ten zgrzybiały staruszek miał rację!
(3 logiczne, szybkie butelki Chianti
Classico!) Policjan t rozpina
mój sztywny kołnierzyk i pyta,
kto mi tak zdemolował sobotę...

EFEKT TRZECIEGO POKOLENIA

(rozmowa z Bogna Pawlisz, redaktor naczelna kwartalnika młodzieży ydowskiej i jej przyjaciół "Jidete")

- *Wła ciwie to sk d wy si wzi li cie?*

- Jesteśmy na tym świecie od kilku tysięcy lat, a dokładnie od 5.756, w Polsce też mamy długą tradycję. A tak bliżej, to pod koniec lat 80., na początku 90., można było zaobserwować wśród różnych narodowości, mniejszości etnicznych pewnego rodzaju powrót do korzeni, ja to nazywam "efektem trzeciego pokolenia", tzn. że jeszcze może nasi dziadkowie wyraźnie zdawali sobie sprawę ze swej żydowskiej tożsamości, pamiętali o jakimś kontakcie kulturowym, nasi rodzice na ogół nie mieli z żydostwem już żadnego związku i wydawać by się mogło, że nasze pokolenie zakończy proces asymilacji. Tymczasem dzieje się odwrotnie. Następuje powrót do tradycji, kultury, wiary przodków.

- *Dlaczego?*

- Słuchaj, człowiek potrzebuje jakiegoś systemu, żeby w nim wzrastać. Systemu nie tylko kulturowego, ale i boskiego. Dla wielu z nas tym systemem jest judaizm. Wybór mocnej tożsamości, także tej najgłębszej - religijnej, pokazuje, że my chcemy zakorzenienia, że czas szukania bezpieczeństwa jako anonimowy wykorzeniony obywatel w anonimowym wykorzenionym społeczeństwie już się skończył. Chcemy po prostu być Żydami i realizować się jako Żydzi.

- *Czy twoja generacja swój to samo buduje tylko w oparciu o judaizm?*

- Ja myślę, że wśród nas jest wielu Żydów, którzy uważają, że religia ich nie dotyczy; dotyczy ich obrządek, ale w niewielkim stopniu. Mają z nami związek tylko w sensie kulturowym; nic poza tym.

- *Ale sk d potrzeba takiej deklaracji narodowej?*

- W odróżnieniu od naszych rodziców i dziadków jesteśmy pozbawieni wielu lęków. Nasi dziadkowie w byciu Żydami widzieli tyle zagrożeń, że bycie Żydami ograniczało ich jako ludzi. Przerzucili to na swoje dzieci, a te dzieci miały okazję doświadczyć jeszcze, że bycie Żydem ograniczało ich nie tylko jako ludzi, lecz także jako obywateli. Rok 68 był bardzo dramatycznym doświadczeniem. My w większości urodziliśmy się po 68 roku. To doświadczenie jest nam przekazane w troszkę inny sposób, wyciągamy z tego inne wnioski. Ten

lęk naszych dziadków nas nie dopadł, dlatego że kiedy oni usiłowali przekazać go swoim dzieciom jako misję życiową, nas nie było jeszcze na świecie, a kiedy już byliśmy, to żydostwo przestało być już dla nich zagrożeniem, bo właściwie przestało istnieć. I to, co nam przekazali, to pewien rodzaj muśnięcia jakby tej filozofii życiowej, tej postawy duchowej.

- *Jaki jest wobec tego sens wydawania „Jidele”?*

- Tworząc "Jidele" zorientowałam się, że na temat Żydów panuje niewiedza, pustka, ignorancja. Dlatego tworząc środowisko, budując swoją tożsamość, chcemy to robić przy otwartych drzwiach, nawet jeśli niektórzy tego nie lubią. Właśnie pismo jest takim otwartym oknem. Żeby można było nas zobaczyć, zobaczyć, kim jesteśmy, zobaczyć, że nie stwarzamy zagrożenia dla nikogo. Jeżeli zamkniemy to okno, to niezależnie od tego, czy będą istnieć f ilosemici czy antysemita, to my sami stworzymy atmosferę niebezpieczeństwa i tajemniczości. "Jidele" to przewietrza.

- *Czy jest was wielu?*

- Trudno powiedzieć. Z roku na rok coraz więcej. Nie mogę powiedzieć, że ten proces jest zamknięty i już ileś tam osób odpadło. Nie odpadło, bo oni wracają cały czas. To jest niewiarygodny proces, to się obserwuje z miesiąca na miesiąc, na każde święto żydowskie jest coraz więcej ludzi, zwłaszcza młodych.

- *Co was ró ni od dwóch poprzednich pokole ?*

- Od każdego z tych pokoleń różnią nas zupełnie różne rzeczy. W przeciwieństwie do rodziców chcemy mieć świadomość, że jesteśmy Żydami; jest to dla nas informacja istotna i pewnego rodzaju zobowiązanie. Nasi rodzice takiego zobowiązania w ogóle nie czuli. My czujemy. W stosunku do naszych dziadków mamy taki pomysł, że jak najbardziej można być w tym społeczeństwie na równych prawach, będąc jednocześnie Żydami. Oni takiego pomysłu nie mogli mieć, oni nie mieli takiej szansy historycznej.

- *Oni s dzili, e tylko komunizm...*

- Nie tylko... Mieliśmy różnych dziadków. Ale ci, którzy przeżyli wojnę i wrócili do Polski - to my jesteśmy rzeczywiście potomkami komunistów. Wśród Żydów komuniści stanowili mniejszość, ale tak się złożyło, że tylko oni mieli szansę przeżyć. Nasi dziadkowie uważali, że aby być na równych prawach z

resztą społeczeństwa, muszą przestać być Żydami. Chcieli rozmytych z tożsamości społeczeństw, bali się wyrazistości narodowej, akceptowali wyrazistość ideową i tylko komunistyczną. Przykład dziadków ostrzega nas, że ucieczka od judaizmu, od własnych tradycji jest szkodliwa dla człowieka. To jest zgubne ze względu na rozwój duchowy, to jest wbrew sobie.

- *Co w ich życiu znalazła takiego, co - w twoim przekonaniu - wiadczy o tym, że im to się przysłużyło, a ty nie chciałaby tych błędów powtarzać?*

- Mam wrażenie, że mimo swojego racjonalizowania, intelektualizowania różnych potrzeb społecznych lub też własnych, ulegli takiej ludzkiej potrzebie - potrzebie wiary. Ta potrzeba wiary, to, że nadal wierzyli, nadal byli wyznawcami, sprawiła, że stali się jakby wyznawcami pewnej doktryny i...

-... *i sakralizowali co, co nie było sakralne.*

• W tym momencie tylko czyste sacrum nie jest niebezpieczne. Sakralizowanie czegoś, co jest stworzone i ograniczone, jest niebezpieczne. Jest szalenie ważne, aby pozwolić sobie na wiarę, jeśli jest taka potrzeba. Ale można sobie pozwolić na wiarę tylko w coś, co jest już sprawdzone przez pięć tysięcy lat.

- *A czy widzisz coś takiego: ydź się narodem wybranym, z czym ka dy porz dny katolik się zgadza, a to wybranie jest zarazem jakim rodzajem pi tna. S oni jakby skazani na to, eby w co wierzy i nawet je li uciekaj od swojej to samo ci, która jest to samo ci sojuszu z Bogiem, to tak czy inaczej b d tworzyli jak kopi religii, tylko w innym wydaniu, bardziej na włas r k .*

- Słuchaj, ja nie do końca rozumiem przesłanie o tym, że my jesteśmy narodem wybranym. Myślę, że iluś tam moich rówieśników ma taką świadomość, być może to ma głębokie konsekwencje w ich postawie życiowej, natomiast we mnie jest wiele konfliktów związanych z takim hasłem jak naród wybrany. Te konflikty rodzą się nie przy samym pojęciu i przy próbie rozumienia tego pojęcia, tylko przy efektach, które dane mi było oglądać.

- *O jakich efektach mówisz?*

- Chodzi mi o to, że poczucie lepszości jest poczuciem krzywdzącym.

- *Ale tu nie chodzi o lepsz , tu chodzi o obowi zek.*

- Ja nie mam tej świadomości, nie jest dla mnie oczywiste, jakiego rodzaju jest to obowiązek. Ja dopiero chcę to poznać. I tak naprawdę cienką dla mnie

konstrukcją jest coś takiego jak naród wybrany. Nie mogę się pod tym podpisać, ponieważ nie rozumiem tego. Nie mogę też tego skreślić. Staram się to zrozumieć, ponieważ to zostało powiedziane. Ale nie rozumiem tego przesłania i wszystkie sposoby tego przesłania do mnie nie przemawiają. Są dla mnie za płytkie, niezrozumiałe, zbyt ludzkie...

- *Co w tym ludzkiego, gdy si mówi o tym, e Bóg wciela si w histori , w ludzi poprzez pewne wydarzenie historyczne? To nie jest za bardzo ludzkie.*

- Ja myślę, że trochę mylisz pojęcia. Ja bym nie powiedziała, że Bóg się wciela. To jest bardzo chrześcijański punkt widzenia: Bóg się wciela w człowieka. To nie jest tak, że Bóg się wciela.

- *Wciela si w histori poprzez wybieranie kogokolwiek, nie mówi tu nawet o problemie konkretnego wcielania, konkretnej inkarnacji, mówi o wyborze i zawieraniu sojuszków.*

- Dla mnie jest bardziej Kreatorem, Stwórcą.

- *Ale jest te w tobie obecny. ydzi dopuszczaj t mo liwo , e Bóg jest wsz dzie, tkwi immanentnie w rzeczywisto ci, poza tym, e jest transcendentny.*

- Ja bym jednak unikała takich słów, jak wciela się, jest wcielony, bo one są niejasne, za bardzo poetyckie. Nie chciałabym określać Jego istnienia moim językiem, raczej chcę słuchać Go, jak On określa. I nie wciskaj mi, że jestem narodem wybranym, bo coś takiego jak naród wybrany rzeczywiście istnieje, ale ja nie wiem, co to znaczy. Jeśli uznajesz, że jesteś kimś wyjątkowym, to szukasz jakichś innych, specjalnych praw dla siebie. Albo specjalnego posłannictwa. Judaizm nie jest misyjny i to jest to, co ja w judaizmie bardzo cenię i to jest to, co mi bardzo przeszkadzało w chrześcijaństwie i przeszkadza: to, że chrześcijaństwo jest misyjne. Bardzo cenię i szanuję judaizm za to, że nie jest misyjny.

- *Wy zostali cie do czego innego wybrani, nie potrzebujecie nie misji.*

- Ja nie bardzo wiem do czego jesteśmy wybrani...

- *No, tego to si dowiemy na ko cu czasów, oczywi cie.*

- Nie! Myślę, że już wcześniej się dowiemy, bo Mesjasz nie przyjdzie, jeśli się nie dowiemy.

- *My rozumiemy to inaczej: e przyjdzie Mesjasz paruzyjny to znaczy nast pi ponowne przyj cie Chrystusa i wtedy ydzi si nawróc .*

- Ciekawe! Mów sobie co chcesz, ale Mesjasz nie przyjdzie wtedy, kiedy my się "nawrócimy" na chrześcijaństwo.

- *Ale to wszystko si wła ciwie zgadza. Przychodzi Mesjasz, w chrze cija - stwie Chrystus paruzyjny w chwale, ydzi si nawracaj , czyli dopełniaj swoje wybra stwo. Zgadza si przepowiednia biblijna, e ostatni b d pierwszymi, a pierwsi ostatnimi. Wszystko gra. Jak w kabale!*

- E tam...To ja się może ciebie teraz spytam, jak ty możesz żyć nie czekając na Mesjasza?

- *Me mam tego dylematu, jestem ju po tej stronie historii, gdzie karty zostały rozdane. Mesjasz pojawił si dwa tysi ce lat temu, zostawił dyspozycje, cz swojej tajemnicy odsłonił. Czyli przyszedł jako Baranek Paschalny, zrobił co miał robić , a teraz czekamy na Niego, kiedy przyjdzie jako Lew Judy, jako Chrystus Tryumfuj cy. ałuj , e gdzie tam w historii si rozmin li my.*

- No proszę, to ty też czekasz na Mesjasza. Moje życie polega na czekaniu i przestrzeganiu praw danych nam od Boga. To jakoś osłabia efekt grzechu pierworodnego. Przetwarzając prawa, oczyszczamy się. Jesteśmy wtedy mniej podatni na pokusy i mamy szansę mniej się ranić.

- *A powiedz mi tak prosto, co mówi tradycja o przyj ciu Mesjasza?*

- Nie wiem, co się stanie po jego przyjściu. To jest tajemnica, ja nawet nie za bardzo orientuję się, czy jest życie pozagrobowe. Judaizm jest bardzo ostrożny w formułowaniu jakichś prawd dotyczących eschatologii. Ale mogę ci powiedzieć: my pracujemy na przyjście Mesjasza. On nie przychodzi za darmo. Przynajmniej musi być tych 36 sprawiedliwych na ziemi.

- *Bez nich Bóg traci sens podtrzymywania w istnieniu ziemi. A jak ty pracujesz na to przyj cie?*

- Staram się czynić możliwie najmniej zła. Trzymając się pewnego sytemu zaleceń, które nie są tożsame z wartościami chrześcijańskimi. Nasze podstawowe prawa różnią się od waszych.

- Nie stwarzaj wi cej podziałów ni ich jest w rzeczywisto ci. Jestem daleki od opinii niektórych ekumenistów chc cych widzie jedno wszelkich religii, nie widz tak e potrzeby szukania analogii mesja skich w obu religiach, ale co do podstawowych praw, to one i tu i tu wyrastaj ze Starego Testamentu. Chrystus nie znosił prawa.

- Ja ci wykażę, jak bardzo duża jest różnica między nami. Bo podstawowa rzecz to jest to, co ty robisz z tymi wartościami, jak ty je traktujesz. Ty je uważasz za konieczność dla całego świata, za coś obiektywnego, a ja uważam to za prywatny, do mnie skierowany dar, z którym ja nic więcej nie robię.

- To, o czym mówisz, to jest zastosowanie tych warto ci, ale czym innym jest ich status ontologiczny.

- Moim zdaniem właśnie status ontologiczny tych wartości jest inny, bo ja nie jestem pewna, czy one są obiektywne. One są obiektywne w kontekście mnie i Boga i nigdzie indziej. One istnieją w kontekście jak gdyby przesłania od Boga dla mnie i mojego obowiązku wobec Boga, a z tych obowiązków wynikają też obowiązki wobec ludzi. To nie są obiektywne społeczne wartości z mojego punktu widzenia. Ja się nie wypowiadam tutaj na temat judaizmu, po prostu nie mam świadomości, że to są obiektywne społeczne wartości i nie jestem za wcielaniem ich w życie społeczne.

- Jak wobec tego społeczne stwo ma istnie , skoro kwestionujesz obiektywno praw Dekalogu?

- W oparciu o doświadczenie. I w tym momencie można powiedzieć, że jestem za społeczeństwem laickim. Dla mnie, powiem szczerze, zagrożeniem jest pomysł, że należy budować życie społeczne według wartości chrześcijańskich. Jest to dla mnie zagrożeniem, ponieważ nie jest dla mnie jasne, co to są wartości chrześcijańskie. Ja tego nie rozumiem.

- To si zradykalizowafa od czasu, kiedy si ostatni raz widzieli my.

- Oczywiście, zdecydowanie potrzebujemy tej swobody, żeby móc oddychać i istnieć. Katolicyzm, który przybrałby w życiu społecznym formy systemu prawnego, odczuwam jako zagrożenie.

- Ja my I , e to strachy na lachy, e kto chce budowa tutaj pa stwo wyznaniowe. Ty lepiej przypomnij sobie, kto w tym kraju wygrał wybory prezydenckie i parlamentarne, jakie pisma maj najwi ksze nakłady. I jaki jest stosunek tych ludzi do Ko cioła katolickiego. Kto w tym kraju ustanawia prawo, kto nim manipuluje do woli? Przecie nie jest to kardynał Glemp, a jakie potwory w rodzaju Jaskiem!, Dziewulskiego, Sierakowskiej.

- Ja jednak czuję się zagrożona i nie mam zaufania do Kościoła katolickiego.

- *Przecież tutaj tworzy się bajki o rzeczywistości ci. „Fronde” na przykład nazwano groźnym „klerofaszytowskim” pismem.*

- Twoje pismo nie jest dla mnie żadnym zagrożeniem, ponieważ ma swój zamknięty obszar i dopuszcza dowolność: mogę je przeczytać albo nie. Uważam, że nie wolno teraz w Polsce, kiedy uczymy się ze sobą rozmawiać, kneblować kogoś takim hasłem, że jest bolszewikiem albo faszystą. Nie zgadzam się z mówieniem o was "faszyści".

- *Czyli jesteście rodowiskiem raczej radykalnym w walce o postulaty swobody życia społeczno-cywilizacyjnej w Polsce?*

- Pewnie. Nie jestem przekonana czy nadmiar symboliki chrześcijańskiej w różnych miejscach publicznych jest dobrym pomysłem. Ale to nie jest tak, że uważam, że wszystko powinno być takie amerykańskie "political correctness", że nie można w witrynach sklepowych pokazywać, że są święta. Bez przesady.

- *Obawiam się, że masz w swoim piśmie kolegów, którzy by i z tym polemizowali.*

- Bez wątplenia.

Rozmawiał: Rafał Smoczyński



CICHA BURZA

PJ Harvey ma 25 lat, mieszka na wsi w Anglii i jest kultow rockmank . Cho jej muzyk trudno nazwa popularn . Piosenki Polly s ostre, klaustrofobiczne, zrealizowane surow post-punkow technik . Niektórzy mówi , e PJ Harvey to biała rhythm 'n'bluesmenka. Kult cz sto bierze si z dostrze enia u twórcy jakiej ' szczególnej siły ekspresji, jakiej ' autentycznej energii. Utwory Polly s wła nie takie - wymiataj yw ekspresj i wówczas nie jest a tak wa ne, czy to, o czym piewa, jest dobr poezj .

P J HARVE Y

TO BRING YOU MY LOVE (PRZYNI E Ś CI SWOJ Ą MI Ł O Ś Ć)

Urodziłam się na pustyni
Byłam tam przez całe lata
Jezu, podejdź bliżej
Sądzę, że mój czas jest blisko
Szłam po śladach na wyschniętej ziemi
I przez wodę
by przynieść ci swoją miłość

Wspinałam się po górach
Podróżowałam morzem
Kłęczałam na kolanach
Leżałam z diabłem
Przeklinałam Boga
Porzuciłam niebo
by przynieść ci swoją miłość

DOWN BY THE WATER

(POD WODĄ)

W pobliżu wody
Straciłam serce
Ta mała dziewczynka
Znaczy dla mnie tak wiele
I teraz jęczę
I teraz krzyczę
Ona nigdy się nie dowie
Co znalazłam
Ta niebieskooka dziewczynka
Stała się niebieskooką dziwką

Pod lustrem wody
Wzięłam ją za rękę
Widzę ją znów
Tak jak swoją córkę

Pomóż mi Jezu
Przejdź przez burzę
Musiałam ją zgubić
By wyrządzić jej krzywdę

Słyszałam jak krzyczy
Słyszałam jak jęczy

Moja kochana córka
Zabrałam ją do domu

Mała rybo, duża rybo
Pływająca w wodzie
Przypłyn tu i oddaj
Moją córkę

P J Harvey

**Ajuda à UNITA
e ao dr Savimbi
a limpar Angola
activamente do**

COMUNISMO!



**Pomóż UNICIE i doktorowi Savimbiemu
w aktywnym oczyszczaniu Angoli z**

KOMUNIZMU!

Ogłoszenie płatne. Redakcja "Frondy" nie odpowiada za treść zamieszczanych materiałów reklamowych

TERROR SZYDERCÓW

(ROZMOWA Z JAROSŁAWEM MARKIEM RYMKIEWICZEM)

FRONDK: *Dlaczego jest tak, że w poezji polskiej triumfy wiec blagierzy, np. taki Gałczyński i Tuwim, poeci przeciw drugorzędni, a nie Le mian czy Miciński, eby posłużyć si nazwiskami z tego samego mniej więcej okresu?*

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ: Jest rzeczą niewątpliwą, że w literaturze polskiej w ogóle w Polsce nie ma obecnie czegoś lub jest bardzo mało czegoś, co można by uznać za myślenie poważne. Także artykulacje artystyczne, które chcą być poważne, są traktowane teraz jako coś raczej podrzędnego. Nie zawsze tak było, więc warto by się zastanowić, jakie są tego przyczyny, skąd biorą się te nieprzyjemne i nieprzystojne śmiechy i chichoty, które zewsząd słyszymy.

Nie generalizuje Pan trochę? Przecież scheda po romantyzmie, rozumiana w sposób najbardziej potoczny i dosłowny bliżej jest czytelnikowi, niż igraszki Witkacego i Gombrowicza.

Może, ale uznaniem wybitnych znawców naszej literatury cieszą się od lat pisarze w rodzaju Gombrowicza i Mrożka, a także spadkobiercy Gombrowicza i Witkacego. Ten kto szydzi, ten kto ironizuje, ten kto się wygłupia, kto mówi dwuznacznie, kto nie mówi serio, jest ceniony wyżej, nawet znacznie wyżej od takiego, który stara się przemawiać poważnie. A taki, który przemówi poważnie, może zostać oskarżony o niestosowny patos. To bardzo ciekawy problem: dlaczego w takiej literaturze jak nasza, w literaturze, której największe dzieła (niemal wszystkie) napisane są w tonie wysokim (Treny, wiersze Sępa-Szarzyńskiego, trzecia część "Dziadów", "Anhelli"), ton wysoki stał się oto czymś niestosownym. Nie znaczy to, żebym ja nie cenił rzeczy mówionych tonem dwuznacznym, czy mówionych ironicznie. Ale warto się zastanowić, dlaczego w Polsce od wielu lat pisarze są nagradzani za chichotanie. A czym głępszy ten chichot, tym wyższa nagroda. Jak Pan nie będzie chichotał, jak będzie Pan mówił serio, to znawcy literatury zrobią z Pana idiotę. Ja sam mam w sobie zresztą taki cichy chichocik, często lubię chichotać, także w moich wierszach, jak Pan wie, jest ów pozagrobowy chichot, chichot dobiegający z rozkładającej się trumny, chichot gnijących zwłok, chichot trupa czy nawet chichot nicości (jeśli w nicości coś chichocze). Ale życie nie składa się tylko z rzeczy śmiesznych, składa się także z rzeczy poważnych. Warto się zastanowić, dlaczego w Polsce miał sukces filozof tak nudny i banalny jak Stanisław Ignacy Witkiewicz, filozof-amator, ktoś bez przyzwoitego wykształcenia filozoficznego, a przy tym robiący takie miny, jakby przysługiwało mu tutaj miejsce Husserla czy Heideggera, natomiast Karol Ludwik Koniński jest teraz czytany przez kilku czy kilkunastu wielbicieli. Przesadzam, gdyby czytelników Konińskiego było kilkunastu, to już byłoby bardzo dobrze.

A to jest przecież pisarz, filozof, którego miejsce jest - w porządku myśli naszego wieku - gdzieś obok Simone Weil. Tyle że nie kusił go gnoza (był dobrym chrześcijaninem, choć trapiły go wątpliwości), nie miał takich gnostyckich, zgodnych z duchem wieku pomysłów, jak ona, więc nie stał się modny. I nie cieszy się u nas ani uznaniem, ani sławą. Czy dlatego, że mówił poważnie, miał jakąś poważną sprawę z istnieniem i poważną sprawę z Bogiem? Być może przydałby się tutaj komuś, i właśnie teraz, u schyłku wieku, ale wprzód trzeba by poinformować jego ewentualnych czytelników, że w ogóle ktoś taki jak Karol Ludwik Koniński istniał i pisał. Skąd się to bierze w Polsce, to lekceważenie tych, którzy chcą myśleć poważnie, ja nie wiem. Może to jest efekt tych wszystkich horrorów historycznych, które nam się ostatnio, w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat przydarzyły. Mieliśmy do czynienia z takimi horrorami, że łzy, lamentsy traciły znaczenie i można było tylko chichotać. Jak rozstrzelują setkami, gazują tysiącami, to opłakiwanie staje się jakieś nie stosowne, traci sens i ten, co na to patrzy, w końcu zaczyna się śmiać. Ale nie, cofam to wytłumaczenie. Wreszcie eksterminacja, totalna eksterminacja, to jest coś, z czym istnienie (wszelkie) zawsze miało do czynienia, coś, wobec czego zawsze jakoś musiało się opowiedzieć. A przecież, i wiedząc, że trwa odwieczna eksterminacja, zawsze, i z całą powagą, opłakiwano odchodzących, opłakiwano też ścinane drzewa i konające zwierzęta.

To nie jest jednak generalnie obowiązuje ca zasada. Ton poważy był równie w cenie, gest Ró ewicza chociaż by: Niepokój i jego literatura milczenia.

No tak, zaczęło się poważnie, ale skończyło jakoś tak dwuznacznie. Ja się na tym dobrze nie znam, ale teatr Różewicza jest chyba bardzo blisko teatru Witkiewicza i Mrożka. Kto wie, to mogą być, to nawet na pewno są bardzo ważne rzeczy w literaturze i literatura pozbawiona tonu ironicznego, a nawet literatura pozbawiona jakichś tam wygłupów byłaby literaturą ubogą, niepełną. Ale w Polsce, wracam do naszego tematu, nie ceni się, nie docenia tego, co poważne. Może polska inteligencja przegryzła się już na drugą stronę istnienia. Sądząc po jej zachowaniach w ostatnim dziesięcioleciu, wstydzi się ona, ta polska inteligencja, że jest inteligencją, wcale nie chce już być inteligentna. Ale to są żarciki. Więc może nasze tutejsze życie było już tak skomplikowane, tak trudne, tak niezrozumiałe, że proste, poważne opowieści o życiu wydawały się niedorzeczne, a zatem i niegodne opowiadania. Nie wiem, nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie: skąd biorą się te chichoty, wstrętne, peerelowskie, poniżające i tych, którzy chichoczą, i tych, którzy tego pokornie, z rozdziawionymi ustami słuchają. Ale odkąd prowadzę świadome życie pisarskie, jestem świadkiem nieustających triumfów szyderców, ironistów oraz błaznów. A jak już ktoś zaczyna mówić o kapłanie, to robi to po to, żeby kapłana porównać z błaznem i powiedzieć, że kapłan z błaznem w jednym stoją domu, a błazen jest miłszy i pożyteczniejszy, bo to jest wesoły liberał, wolnomyśliciel. Vide Leszek Kołakowski i wpływ jego destrukcyjnej myśli na nasze życie umysłowe. Z punktu widzenia tutejszych wielbicieli i uczniów Kołakowskiego wszelki ton wysoki jest, a nawet musi być nieznośny, bo kto

przemawia tonem wysokim, ten zakłada tym samym, że istnieje coś, o czym tylko takim tonem da się mówić, czyli coś, z czego nie da się, a nawet nie wolno się śmiać. Pewien uczeń Kołakowskiego, w latach ubiegłych bardzo tu u nas wychwalany za dzielność oraz szlachetność (także zresztą przeze mnie, hélas!), powiedział niegdyś w telewizorze, że to właśnie od profesora Kołakowskiego dowiedział się, iż prawdy nie ma. Biedny Kołakowski, ale jednak istnieje coś takiego, jak odpowiedzialność nauczyciela za uczniów, nawet tych najgłupszych. No a jeśli ton poważny jest nieznośny, to nieznośne są także cztery Ewangelie i Listy świętego Pawła i Odyseja, czyli fundament naszej kultury jest nieznośny, bowiem to jest fundament poważny, nasza kultura jest ufundowana na czymś poważnym: na Śmierci, na Krwi, na Krzyżu, na Podróży. Przepraszam Pana za ten ton patetyczny, poważny. A jeśli przepraszam, to znaczy, że i ja też dałem się trochę sterroryzować. Ale i święty Paweł, i Homer są poważni, Bach i Beethoven też są poważni, a tutaj od wielu dziesięcioleci panuje wręcz terror szyderców i nie powinniśmy się na to godzić. Wyśmiewanie się z życia i śmierci jest czymś bardzo łatwym i średnio pożytecznym, bo kto się śmieje, ten się broni, ten się zasłania i nie chce wiedzieć. A śmiech nie wchodzi, nie może wejść głęboko w tajemnice istnienia, raczej zatrzymuje się na jego powierzchni. Żeby przeniknąć w głąb życia, w jego tajemnice, trzeba myśleć poważnie. Wszelka poważna filozofia jest filozofią poważną, trudno sobie doprawdy wyobrazić filozofię, która traktowałaby istnienie czy byt czy idee w sposób szyderczy i miała przy tym coś istotnego do powiedzenia. Trudno sobie wyobrazić Husserla, który mówi o redukcji eidetycznej, któremu objawiają się uniwersalia, i który przy tym chichocze, bo zarazem uważa, że uniwersalne idee może są, a może ich nie ma, czyli coś do śmiechu, śmiejmy się z naszej niewiedzy, z naszego pomieszenia. Z literaturą jest chyba podobnie. A królują szydercy i jeszcze wmawia się publiczności, że jest to właśnie to najlepsze, co polscy pisarze mają jej do zaoferowania, takie cyniczne, głupie chichoty. Trzeba też wyraźnie powiedzieć, że to jest demoralizujące i skutki tego są już, niestety, widoczne. Także w młodej literaturze, przez krytyków przynajmniej, znacznie wyżej ceniony jest brak powagi, cyniczny chichocik, wygłup. Czytam teksty krytyczne, zachwalające młodych poetów (nie chcę wymieniać nazwisk), oglądam występy tych młodych poetów w telewizorze i bardzo mnie martwi to, co widzę: ta ich bezmyślna ochota, z jaką się wygłupiają. Oczywiście bardzo trudną rzeczą jest poważne ustawienie głosu, szczególnie w poezji, ale to jest możliwe i każdy może znaleźć na to swój sposób. Jak Pan widzi, staram się wiedzieć, co porabiają młodzi pisarze, co się dzieje w tak zwanej młodej literaturze, staram się być zorientowany, coś tam na ten temat wiem, czytam, nawet dużo czytam. Patrzę na to zresztą trochę egoistycznie, z egoistycznego punktu widzenia: jeśli młodzi poeci okażą się niepotrzebni, jeśli się skompromitują, to czytelnicy (czytelnicy poezji też są młodzi, zawsze młodzi) mogą uznać, że poezja w ogóle jest im niepotrzebna, że poetów, bo się skompromitowali, w ogóle może nie być, a wtedy co będzie ze mną? Więc czytam młodych poetów i z wielkim niepokojem widzę, że ma miejsce coś, co dałoby się określić jako ubliżanie literaturze, poniżanie jej, nawet sprowadzanie jej do poziomu beatowego czy rockowego śpiewania.

Klipy telewizyjne oraz kicanie na estradzie mają swoje miejsce w kulturze, ale to nie jest to samo miejsce, które zajmuje literatura. I to ubliża literaturze: że wchodzi w jakieś podejrzone związki z kulturą niską, z tą amerykańską kulturą motłochu. Ja nie mam nic przeciwko rockowi czy klipom, przeciwnie, w telewizji zdarzają się niekiedy ładne klipy. I choć sam tych wrzasków nie lubię słuchać, rozumiem, że mogą być amatorzy czegoś takiego i na stadionach widać, że jest ich nawet bardzo wielu. Ale poeci nie powinni się tym zajmować, nie powinni się do tego mieszać. Jeśli naprawdę są poetami. To nie jest zajęcie dla nich. I trzeba jeszcze powiedzieć, że to poniżanie literatury, to sprowadzanie jej do wygłupu, to uprawianie jej na poziomie telewizyjnym, to wszystko może się bardzo źle skończyć i nie pozostanie, jeśli wreszcie się nie opamiętamy, bezkarne. Może przyjdź taka chwila, kiedy wszystko zatonie w tej obrzydliwej mazi, w tym telewizyjnym szambie i nikt już nie będzie pamiętał, po co zostały napisane "Sonety do Orfeusza". Widzę tę chwilę: Rilke, umierający na leukemię, ale nadal nienaganny Rilke w swoich szarych ge-trach odwraca się od nas i odchodzi, żeby porozmawiać ze swoim Bogiem, ale nikt na to nie zwraca uwagi, bo wszyscy słuchają rockowego brzdąkania na gitarze. Wiersz to jest rzecz bardzo poważna, ponieważ przy pomocy gitary i histerycznych wrzasków raczej nie można się skontaktować, a wiersz pozwala na kontakt z własnym istnieniem, także z innymi sposobami i formami istnienia. Może nawet pozwala skontaktować się z Bogiem, może nawet z umarłymi można się w wierszu, poprzez wiersz, skontaktować. Wiersz to jest rzecz poważna. I jeżeli nie będziemy tak właśnie myśleć - że jest to rzecz poważna, najpoważniejsza - to, co piszemy, nie będzie nikomu potrzebne i będzie godne pogardy. Jeśli uznamy, że wiersz jest równie ważny jak klip telewizyjny. To by było naprawdę bardzo przykre, gdyby literatura polska spała do poziomu programów polskiej telewizji.

Ale młodzi poeci traktuj chyba te swoje medialne wcielenia do instrumentalnie, na zasadzie: wykorzysta i odrzuci .

Ja rozumiem pragnienie sukcesu komercyjnego, ale akurat poezji takie rzeczy chyba szkodzą, nawet bardzo szkodzą. Trudno powiedzieć, żeby Pan Tadeusz, kiedy został wydany, miał sukces u czytelników, bo z trudem się sprzedawał, a potem okazało się, że to jest najważniejsza w dziejach polskich książka, fundament naszego życia narodowego. Poeta nie musi mieć wielu czytelników, jeśli będzie miał kilku, kilkunastu, kilkudziesięciu dobrych czytelników, to wystarczy: będzie i tak, jeśli jest prawdziwym poetą, działać w sposób piorunujący. Szukam jakiegoś dobrego przykładu, weźmy taki. Jest rzeczą nie bardzo ważną, całkiem nawet nieważną, ilu czytelników ma Rilke. Na pewno czytają go teraz, nawet w tej oto chwili, setki czy tysiące osób, ale to w ogóle nie jest dla mnie ważne, ponieważ z mojego punktu widzenia, a także z jego, rilkeńskiego punktu widzenia, ja jestem jego, Rainera Marii Rilkego, jedynym czytelnikiem: dzięki tym wierszom sens mojego tutejszego istnienia trochę się do mnie zbliżył, jest trochę bliżej mnie, lepiej przeze mnie rozpoznawalny; także Bóg, z którym kontaktuję się poprzez te wiersze, jest trochę

bliżej, też jest trochę lepiej rozpoznawalny. I czy to jest ważne, żeby jeszcze tysiąc i tysiąc osób przeczytało wiersze Rilkego? Byłoby pewnie lepiej dla tego tysiąca i tysiąca osób, żeby przeczytały Rilkego, ale dla Rilkego, dla tych wierszy, dla mnie nic by się przez to nie zmieniło. I w tych wierszach też by się nic nie zmieniło. Mówiąc inaczej, los Rilkego, los jego wierszy nie zależy od czytelników, od ilości czytelników, którzy zechcą te wiersze przeczytać. "Sonety do Orfeusza" świetnie obędą się bez czytelników, może ktoś je czytać, a może nikt ich nie czytać. Wystarczy, że Bóg będzie je sobie czytał, głośno albo po cichu. A los telewizyjnego klipu zależy oczywiście od tego, czy jest czy nie jest nadawany i słuchany. Jak nie jest nadawany i słuchany, to w ogóle nie istnieje. To jest różnica ontologiczna: między dziełami sztuki i literatury a przedmiotami przeznaczonymi do krótkotrwałego użytku.

Porozmawiajmy o Pańskich księzkach mickiewiczowskich. Cykl mickiewiczowski miał liczyć siedem części. Czy Pan po "mucie" i "Bakecie" nie odczuwa już zmęczenia materiału?

Trochę wstyd się przyznać, ale mnie to nadal bawi, mimo że napisałem już trzy, nie, cztery książki o Mickiewiczu i jego przyjaciółtach oraz znajomych. Co mnie bawi w tej robocie? Bawi mnie wymyślanie i stawianie pytań tamtej epoki, czyli ludziom, przedmiotom, sprzętom, wreszcie wszystkim istnieniom tamtej epoki. A potem szukanie odpowiedzi na te pytania, które postawiłem. Ilość takich pytań, które można postawić istnieniu oraz wszystkim istnieniom, co były obecne w istnieniu - jakie one były, jak się zachowywały, jak wyglądały, w jaki sposób zaistniały i w jaki sposób przestały istnieć - jest oczywiście nieskończona. I nie da się, po prostu nie sposób postawić wszystkich pytań, jakie postawić należałoby, nie da się wypytać wszystkiego i o wszystko. Więc ta moja mickiewiczowska fabuła to jest i z pewnością nadal będzie taka nigdy nie kończąca się i nie dokończona opowieść, opowieść ciągnąca się długo, zawile, niejasno i zawsze mająca jeszcze jakiś dalszy ciąg, jakieś dalsze ciągi. Można to porównać, ja to teraz tak porównuję, ten mój sposób opowiadania fabuły mickiewiczowskiej, baśni mickiewiczowskiej, do sposobu, w jaki Ewa Pobłocka gra nokturny Chopina. Dostałem niedawno to nagranie, pochodzące z roku 1991, od mojego sąsiada z Podkowy Leśnej, Bohdana Pocięja, i właśnie on zauważył to i opisał: to wspaniałe granie nokturnów przez panią Pobłocką w taki sposób, jakby były one nie kończąca się opowieścią, fabułą, która nie ma i nigdy nie będzie miała końca. Nokturny są, jak pisze Pocięja, narracyjne, sugerują, że toczy się jakaś fabuła, że coś jest opowiedziane. Ile jest nokturnów Chopina? Chyba dwadzieścia jeden. Ale to jest, w tej interpretacji Ewy Pobłockiej, ledna opowieść, a w niej wiele pytań: każdy nokturn jest istnieniowym pytaniem i z każdego nokturnu, z każdego istnieniowego pytania wynikają, wyłaniają się następne pytania i to się nie kończy i nigdy nie skończy. W jakiejś recenzji, chyba to była recenzja z "Kilku szczegółów", pojawił się zarzut, że to jest wciąż ta sama książka, "Żmut", "Baket", "Kilka szczegółów", że ja wciąż piszę to samo i dlatego trochę nudzę. No może i nudzę, ale ja nie mogę zaprzestać stawiania tych moich pytań, bo tak na-

prawdę tylko to mnie w życiu obchodzi: jak trafić pytaniem tam, gdzie jest choćby minimalna szansa uzyskania odpowiedzi, choćby tylko cień nadziei na to, że odpowiedź zostanie udzielona. Nasze życie składa się z pytań, jest pytaniem postawionym istnieniu, pytaniem o sens naszego tutejszego pobytu. Trzeba pytać o wszystko, a może coś z tego wyniknie: właśnie w sprawie sensu tutejszego naszego przebywania. Kiedy przyjeżdża do nas mój szwagier, brat Ewy, który jest profesorem stomatologii, to ja godzinami mogę rozmawiać z nim na temat zębów, godzinami mogę go wypytywać o sposoby leczenia zębów, zadaję mu nieskończoną ilość pytań, choć oczywiście do niczego nie jest mi to potrzebne. Ale pytam, bo może coś z tego wyniknie.

W "mucie" z bys bardzo wa ne.

Zęby są bardzo ważne, ale brat mojej żony równie dobrze mógłby być specjalistą od czegoś innego, na przykład mógłby być konstruktorem maszyn latających i też byłby przeze mnie wypytywany, bo ja jestem człowiekiem pytającym, a gdybym nie stawiał pytań, to niczego w życiu nie napisałbym, w ogóle nie potrafiłbym żyć bez stawiania tych moich pytań wszystkiemu, co żyje, co istnieje. Niedawno, właściwie dopiero co, poniosłem przykrą porażkę, może się z niej jeszcze podniosę, ale na razie trzeba to uznać za porażkę: zacząłem pisać opowieść o życiu Feli Micewiczówny, później Willamowiczowej, kochanki Tomasza Zana, tej z "Pieśni filaretów": "To oko zamknie Feli". Świetny temat, przejmująca powinna wyjść z tego opowieść, bo w życiu Feli działy się różne niebywałe, niezwykle rzeczy. Temat na wielki romans. Zebrałem cały materiał, bardzo bogaty, właściwie mógłbym napisać o Feli książkę albo przynajmniej pół książki, no i nic mi z tego nie wyszło. Dlaczego? Bo wszystko w tej historii było od razu wiadome, nie miałem żadnych pytań czy też nie umiałem postawić Feli żadnych pytań. Z Mickiewiczem jest oczywiście trochę inaczej niż z Felicją Micewiczówną, bo w życie Feli trzeba utrafić jakimś pytaniem, a Mickiewicz sam stawia nam pytania, wciąż o coś nas pyta. W Mickiewiczu - w jego dziele i w jego życiu - jest ogromna ilość tajemnic i można nawet powiedzieć, że tych tajemnic jest coraz to więcej, bo wciąż jeszcze powracają jakieś stare tajemnice, których dotąd, mimo wysiłku kilku pokoleń badaczy, nie udało się rozjaśnić, a zarazem pojawiają się nowe tajemnice, nowe pytania, których istnienia kilkadziesiąt czy nawet kilkanaście lat temu w ogóle nie podejrzewano. Myślę o pytaniach biograficznych, ale także i dotyczących twórczości. Mnóstwo znaków zapytania. Skąd ten akces do towianizmu? Dlaczego nie poszedł do Powstania Listopadowego? W jaki sposób wydostał się spod władzy carów, jak mu to się udało? Warto zwrócić uwagę na to, że to jakoś sprzyja Mickiewiczowi, sprzyja recepcji jego dzieła: że on jest taki tajemniczy, zagadkowy. Jak o kimś wszystko wiemy, to ten ktoś raczej nas przestaje interesować. O Mickiewiczu nigdy wszystkiego wiedzieć nie będziemy i dlatego nasza opowieść o nim nigdy się nie skończy.

Chcieliby my porozmawia o "Moim dziele po mierzonym". Najwcześniejsze wiersze z tego tomu pochodzą z 1975 roku, ostatnie z 1992.

Ja przez dość długi czas, i z dość złożonych powodów, których nie warto tłumaczyć, wstrzymywałem się z wydaniem tomu wierszy. W "Moim dziele pośmiertnym" są więc i takie wiersze, jest nawet wiele takich wierszy, które zostały napisane w czasie wydawania, a nawet przed wydaniem tomu poprzedniego, czyli "Thema region", i te wiersze powinny znaleźć się raczej w tym wcześniejszym tomie, a nie w "Moim dziele pośmiertnym". Ale to wreszcie nie ma wielkiego znaczenia, bo między tymi tomami nie ma chyba istotnej różnicy. Nie ma też, ja to tak przynajmniej widzę, wielkiej różnicy między tomem ostatnim a moimi książkami z lat siedemdziesiątych, czyli tomami "Anatomia" i "Co to jest drożdż". Te książki są do siebie jakoś podobne i miały być, z mojego zamysłu, podobne, bo już od tego czasu, kiedy powstawały wiersze, które są w "Anatomii", czyli gdzieś od końca lat sześćdziesiątych, może od początku lat siedemdziesiątych chodziło mi o to samo, o co i dziś mi chodzi: żeby wiersz był takim miejscem (otwierającym się w języku), poprzez które można uzyskać wgląd w inne sposoby istnienia, więcej, takim miejscem, poprzez które można skontaktować się czy dostąpić tego, czego w żaden inny sposób dostąpić się tutaj nie da. No może jeszcze przy pomocy sonat na flet solo da się uzyskać wgląd, dostąpić. Nie chce mi się samego siebie komentować, nawet nie wypada tego robić, ale mam takie poczucie, że trzymam się tego zamysłu (którego zresztą przed kilku laty nie umiałbym jeszcze, tak jak tutaj to zrobiłem, sformułować) dość konsekwentnie. Trochę inaczej pisałem w latach osiemdziesiątych, w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych, bo uznałem wtedy, że mam pewne obowiązki, z których nic, jeśli się nadają, nie może mnie zwolnić. Teraz, od pewnego czasu, modne jest wydziwianie nad tym, co w latach osiemdziesiątych zostało u nas napisane: że niby pisarze znów wówczas poszli na służbę i że to znów się dla nich i dla literatury polskiej źle skończyło. Ale w służeniu sprawie narodowej nie ma doprawdy nic gorszego ani upokarzającego, każdy ma służyć, jak potrafi. Literatura także powinna służyć, jeśli tylko może. Tu się muszę trochę rozśmiać, bo co to za służba, te moje wiersze wieszczące śmierć i zagładę

W "Moim dziele po mierzonym" powtarza się obsesyjnie motyw mierci, opis rozkładu.

Czy to jest obsesyjne? No może. Ale przecież śmierć, rozkład to są nasze codzienne tutejsze widoki, tyle że trochę zasłonięte, i rozumnie zasłonięte, przez naszą rozumną cywilizację. Ja bezrozumnie - poeci zawsze byli trochę bezrozumni, trochę szaleni i nie zważając na protesty ludzi rozsądnych, niszczyli wspaniałą budowlę cywilizacji - więc ja tylko odslaniam to, co zasłonięte. I kto chce, może się temu przyjrzeć. Poeci zawsze się tym zajmowali: odslanianiem. Ktoś musi się tym zajmować.

Ta mier , która Pana przejmuję, to jest w równym stopniu mier szpaka, mier korzenia marchwi, mier mrówki czy paj ka. Chciałem zapyta , je eli mo na, jakie znaczenie Pan nadaje mierci szpaka czy mierci mrówki, wobec mierci człowieka ?

Nie ma dla mnie, nie ma w ogóle wielkiej różnicy między śmiercią szpaka a śmiercią osoby ludzkiej, bo każdy szpak (tak się domyślam) też jest osobą, ma własne, szczególne i niepowtarzalne istnienie. A jeśli tak właśnie jest, to każdy szpak, każda mrówka, każde drzewo ma też (również i tego możemy się tylko domyślać) swoje istnieniowe cierpienia i istnieniowe przyjemności. Jeśli tak na to spojrzemy, to trzeba by też przyjąć, że każde istnienie jest - z istnieniowego punktu widzenia - równie ważne i każda śmierć jest równie ważna, równie straszna. Ale to trudno przyjąć, bo przeszkadza nam w tym nasza kultura i nasza cywilizacja.

Jerzy Nowosielski twierdzi, e w zwierz tach cierpi anioły.

Ja nie wiem, jak to jest z aniołami oraz z innymi demonami: czy one cierpią, czy nie, a jeśli cierpią, to na czym te ich demoniczne cierpienia polegają, jak one się mają do naszych cierpień, czy są do nich podobne, czy nie. W tutejsze istnienie oraz pojawianie się demonów i aniołów można wierzyć lub nie (rozsądniej jest oczywiście wierzyć niż nie wierzyć), ale trzeba uczciwie przyznać, że nasza wiedza na ich temat jest dość nikła. Raczej coś przeczuwamy, coś chcielibyśmy wiedzieć, niż wiemy. Bardziej przejmująca, a także, co ważniejsze, bliższa moim doświadczeniom, a nawet naszym wspólnym doświadczeniom, czyli w pewnym stopniu sprawdzalna i poświadczona, wydaje mi się myśl, że w szpaku cierpi konkretny szpak, w sośnie cierpi konkretna sosna, w wiewiórce cierpi konkretna wiewiórka, a we mnie cierpię ja. Cierpienie to jest coś konkretnego: zwierzę krzyczy z bólu i to ono cierpi, właśnie ono, nie coś w nim. Natomiast różne demony, jeśli się tu w pobliżu pojawiają, przyglądają się chyba naszemu cierpieniu dość obojętnie. Nic w każdym razie nie wskazuje na to (nasze doświadczenie nic nam o tym nie mówi), żeby nasze cierpienia czy cierpienia szpaków wywoływały współczucie demonów. Zdaje się, że to jest jakaś heretycka gadanina, to co ja tu mówię.

Na czym polegałaby tu herezja?

Kościół nie przyjmuje do wiadomości tego, że szpak jest osobą i że szpak ma duszę. Los zwierząt i roślin, za sprawą tego, co napisano w Genezis (że to wszystko zostało stworzone dla nas) jest chrześcijanom, przynajmniej rzymskim katolikom, raczej obojętny. Zwierząt i roślin tam z nami nie będzie, bo ich pośmiertnego losu (szczególnego losu każdego z nich) w ogóle nie ma. A ja myślę inaczej. Jeżeli ja mam, będę miał swój los pośmiertny, to i szpak, każdy, będzie miał swój los pośmiertny.

Chrześcijaństwo nie przemyślało jeszcze swojego stosunku do zwierząt w obliczu tych potworności, które spotkały człowieka w wieku XX, kiedy się okazało, że zwierzę umiera jak człowiek, albo jeszcze inaczej, że zwierzę umiera jak człowiek. To nie jest dobre dla chrześcijaństwa, a nie zwraca na to należytą uwagę.

W chrześcijaństwie teologia zwierząt jest niemożliwa, bo święty Paweł powiedział wyraźnie, że zwierzę nie ma duszy, a wobec tego nie ma zbawienia dla zwierząt. Ja nie wiem, dlaczego święty Paweł tak myślał i skąd to wiedział. Może wczesne chrześcijaństwo czuło się zagrożone przez jakieś demoniczne odczucie natury i trzeba było wtedy wyraźnie odgradzić, oddzielić człowieka od natury, włożyć jakiś wysiłek ogromny w to, żeby dociec, gdzie przebiega granica między światem ludzkim a całą resztą istnienia. Nie wiem. Ale ja nie respektuję tej granicy. Każde tutejsze istnienie jest równie cenne, równie wspaniałe.

Napisał Pan kiedyś: Bóg jest, je eli patrzy. Je eli nie patrzy, nie jest potrzebny nawet ni szym duchom. Czyli w pewnym sensie postawił Pan istnienie szpaka wyżej niż istnienie Boga.

Teraz trochę inaczej na to patrzę niż wtedy, kiedy pisałem ten wiersz, który jakoś się łączy z moim myśleniem o Karolu Ludwiku Konińskim, jego pismach i jego losie. Teraz powiedziałbym tak: jeżeli Bóg nie patrzy, bo nie jest nami zainteresowany, to nie znaczy, że nie jest nam potrzebny. To jest dopuszczalna myśl, że Bóg w ogóle nie jest zainteresowany naszym tutejszym losem. Nie oznaczałoby to jeszcze, że Go w ogóle nie ma. Ja myślę, że patrzy. Ale kiedy odwołuję się do własnych doświadczeń (bo trzeba, mówiąc o tym, odwoływać się do własnych doświadczeń i przeżyć, a nie do jakichś teologicznych lektur), muszę to sformułować tak: jeżeli patrzy, to z bardzo wielkiej (duchowej) odległości. Nie ma jednak doprawdy żadnego powodu, aby sądzić, że duchowa odległość między Bogiem a szpakiem czy Bogiem a mirabelką jest większa, w ogóle jakaś inna niż duchowa odległość między Bogiem a mną. Takiego powodu (dla którego mielibyśmy być bliżsi Bogu niż inne istnienia) w ogóle nie da się sensownie sformułować. Jeśli Bóg patrzy, to widzi nas z tej samej odległości, mnie i tego tu szpaka, który żyje w moim ogrodzie, tuż obok mnie i nie jest ode mnie ani lepszy, ani gorszy, tylko trochę inny.

Rozmawiali: Dariusz Suska oraz Tomasz Majeran

POSZUKIWACZ UTRACONEGO ŁADU

Schyłkowe spojrzenie na cywilizację europejską ma - począwszy przynajmniej od Kierkegaarda i Nietzschego - długą i chlubną tradycję. Wszystkich niemal znaczących myślicieli okresu międzywojennego uznać można w większym lub mniejszym stopniu za „pisarzy schyłku”. Poszukując wspólnego mianownika dla tak różnych postaci, jak Eliot, Pound, Chesterton, Bierdiajew, Spengler, Moeller van der Bruck, Maurras czy Guenon zauważamy niezmiennie, że ich rozważania koncentrowały się wokół problemu utraty przez kulturę Europy poczucia świętości. Różne były ich reakcje i recepty na rzeczywistość nowego, umasowionego świata - od „Konserwatywnej Rewolucji” Niemców po „Nowe Średniowiecze” Rosjan - jednakże istota dociekań pozostawała ta sama. Powojenna „stabilizacja”, czyli boom gospodarczy i amerykanizacja Europy, sprawiły, że ów nurt schyłkowy usunął się w cień, ustępując pola intelektualnym szermierzom „liberalnej demokracji” walczącym z szeroko pojętym „faszyzmem”. Jednakowoż nigdy nie zanikł on całkowicie, pulsując gdzieś na marginesie życia intelektualnego, oddalony od królującego niepodzielnie postępowo-humanitarnego konsensusu Nowej Lewicy i miękkich konserwatystów. Jednym z jego kontynuatorów jest urodzony w 1921 roku w Budapeszcie, w Polsce niemal nieznaną, węgierski filozof i historyk idei, Tomasz Molnar, jeden z najznakomitszych umysłów prawicy w obecnym stuleciu. W swych książkach (a napisał ich ponad 20) porusza się swobodnie po tak różnych dziedzinach, jak historia religii, literaturoznawstwo, teologia, historia władzy czy geopolityka. Jego dzieła to m.in.: *„Bernanos. Jego myli proroctwo”*, *„Dwie twarze amerykańskiej polityki zagranicznej”*, *„Utopia - odwieczna herezja”*, *„Sartre - ideolog naszych czasów”*, *„Ekumenizm czynowa Reformacja?”*, *„Kontrewolucja”*, *„Lewica widziana en face”*, *„Bóg i wiedza o rzeczywistości”*, *„Zwierzęta polityczne”*, *„Autorytet i jego wrogowie”*, *„Bliżniacze siły: polityka i sacrum”*, *„Amerykanologia. Triumf modelu planetarnego?”*, *„Europa mi dzy nawiasami”*. Jest Molnar jednym z ostatnich prawicowych myślicieli-dinozaurów odrzucających wąską specjalizację, reakcjonistą widzącym swoje powołanie właśnie w reakcji na paraliżującą banalność współczesności, zajadłym wrogiem amerykańizmu mieszkającym „w oku cyklonu” - Nowym Jorku, chrześcijańskim mędrcom w postchrześcijańskim świecie.

Między pisarstwem Molnara a twórczością przedwojennych koryfeuszów istnieje jednak, oprócz wyraźnego pokrewieństwa, również jedna poważna różnica. Molnar, podobnie jak jego poprzednicy ma dla nowoczesności jedynie niesmak i „metafizyczną pogardę”, lecz w odróżnieniu od nich nie tyle „stoi w obliczu końca” *IM*, co zajmuje się rzeczywistością, która nas otacza, a

ta bez wątplenia jest rzeczywistością „po końcu”. Dawna europejska kultura już bowiem nie istnieje, zmieciona przez nawałnice dwudziestowiecznych rewolucji i dwóch „wojen domowych” demokracji. Jej miejsce, jak pisze Molnar, zajmuje dopasowana do mentalności obywatela-konsumenta wychowanego w atmosferze przemysłowej demokracji „kultura atlantycka”⁷². Charakteryzuje się ona przewagą ilości nad jakością i jest nie tyle sposobem i przejawem życia, co nieskończonym potokiem technologicznych produktów serwowanych „konsumentom kultury” przez pozbawionych elementarnej odpowiedzialności moralnej speców w od techniki, którzy tworzą nieustannie nowe figury, kształty, dźwięki, kolory i fabuły przy pomocy maszyn. W kulturze tej ważne jest tylko „*jak?*”, nigd y zaś „*dlaczego?*”. Ojczyzn ą „kultury atlantyckiej” - kultury czasów produkcji masowej - są Stany Zjednoczone, jednakże dziś jest ona wszechobecna, podbijając powoli cały świat. „Kultura atlantycka” przynosi ze sobą „łagodną” uniformizację i sterylizację wszystkiego: budownictwa, języka, ubioru, codziennych zwyczajów. Jak pisze Molnar „*tam, gdzie dociera kultura atlantycka, powstaj ą szare i zuniformizowane Megalopolis, hała live weekendy „mas pracuj cych”, identyczny styl dla szkół, kościołów, muzeów, domów i parków*”. Kulturze tej obce są wszelkie tradycyjne cele kulturowe, religijne, estetyczne czy symboliczne, jest ona pozbawiona jakiegokolwiek więzi z absolutem i nastawiona jedynie na dostarczanie permanentnej rozrywki konsumentom. Jej bogami są: Technika, „*której nadano aureol wi to ci*” i amorficzne Społeczeństwo Obywatelskie. W ślad za Ameryką również Europa zmienia się z wolna w gigantyczny supermarket, konglomerat miast, które niczym się od siebie nie różnią (oprócz, jak zauważa Juenger, tego co zostało w nich z dawnych epok). Głęboka noc atlantyckiej, planetarnej uniformizacji zapadła nad światem. Taki stan rzeczy jest niewątpliwie wynikiem usunięcia sacrum z tkanki europejskiej kultury. Sama jednak konstatacja tego faktu jest banalna i niewiele wyjaśnia. Istotne jest bowiem pytanie, co spowodowało skalenie chrześcijaństwa i renesans pogańskiego sposobu widzenia świata. Skąd wzięło się to kalectwo nowoczesności, jakim jest niemożność odczuwania świętości i brak dążenia ku niej? Pytanie to przewija się przez całą niemal twórczość węgierskiego filozofa i zostało najmocniej postawione w jednej z jego ostatnich książek, wydanej w 1987 roku „Pogańskiej pokusie”. Proponowana przez Molnara odpowiedź wydaje się na tyle ciekawa i nietypowa, że warto poświęcić jej więcej uwagi.

Molnar zakłada, że potrzeby biologiczne i religijne człowieka są równie naturalne. O ile jednak potrzeby biologiczne zaspokajane są w sposób indywidualny, o tyle potrzeby religijne znajdują zaspokojenie na drodze wspólnotowej - w ustalonych rytuałach, zbiorowych obrzędach i powszechnych zwyczajach unaoczniających społecznościom ludzkim obecność innej rzeczywistości. Twierdzenie to jest prawdziwe zarówno w odniesieniu do społeczeństwa

czeństw pogańskich, jak i chrześcijańskich. Między chrześcijaństwem a pogaństwem wieje jednocześnie olbrzymia przepaść w kwestiach postrzegania świata, w poglądach na to czym jest Bóg, czym są niebo i ziemia, materia i duch, czas i historia. Podstawą wszystkich form pogaństwa jest przeświadczenie o istnieniu pewnego abstrakcyjnego bytu (Nieskończonego Ducha, Pierwszej Zasady, Jedności itd.), w którego istocie uczestniczą byty duchowe niższego rzędu, z ludzką duszą włącznie. Paganie (i współcześni nam neopaganie) traktują ludzkie życie jako swego rodzaju interludium, krótką przerwę pomiędzy pierwotnym związkiem z Nieskończonym Duchem (Pierwszą Zasadą itd.) a ostatecznym powrotem, połączeniem się z Bóstwem. Z tego typu poglądu wynika nieokreślony charakter zarówno Wyższej Istoty (jest ona niepełna, ponieważ „dusze” nieustannie porzucają ją, by prowadzić indywidualną egzystencję), jak też indywidualnej duszy, której byt jest niepełny, cząstkowy, pełen tęsknoty za utraconą jednością z Bóstwem. Świat, w jakim żyje poganin, jest też z konieczności „sakralny” a nawet „przesakralizowany”. Dobre i złe demony są duszą takiego świata, wszechobecne w otaczającej człowieka przyrodzie, kierujące ludzkimi pragnieniami i popędami, prowadzące go od kołyski do grobu.

Pojawienie się chrześcijaństwa zdestabilizowało tą pogańską kosmologię. Chrześcijańskie pojęcie Boga Żywego, bluźniercze dla pogan wcielenie Boga w człowieka, niezwykle wysokie wymagania moralne, jednakowa nauka dla „mędrców” i „prostaczków”, wreszcie eliminacja wszelkiego rodzaju demonów z obszaru świata materialnego - wszystko to przyniosła ze sobą rodząca się w głębi antycznego świata chrześcijańska cywilizacja. Jednakże triumf młodego chrześcijaństwa nad poganizmem nigdy nie był pełny, co więcej, twierdzi Molnar, właśnie w Średniowieczu - owej najbardziej chrześcijańskiej z epok - należy szukać korzeni współczesnego krachu metafizycznego. Chrześcijaństwo rozwijając się spowodowało bowiem chrześcijańską desakralizację całej rzeczywistości, w obawie przed poganizmem poszukując racjonalnego wytłumaczenia dla mitów i symboli, bez których żadna religia nie jest w stanie ofiarować swoim wyznawcom spójnego światopoglądu. Cywilizacja chrześcijańska wyzwoliła olbrzymie siły tkwiące w ludzkim duchu i umyśle, sprzyjała rozkwitowi gospodarki, sztuk i naukowemu poznaniu świata, jednocześnie w sposób niezwykle powolny, niezauważalny przez kilka stuleci rodząc prądy powodujące erozję chrześcijaństwa i stopniowe odradzanie się pogańskiego paradygmatu. Jak pisze Molnar *„w odró nieniu od religii pogańskich, w których element filozoficzny i teologiczny jest niezależny od sfery kultu lub w ogóle nieobecny, chrześcijaństwo od początku zawierało w sobie nasiona, które dojrzawszy, skierowały się przeciwko otoczeniu religijnemu, która je wydała. Nasiona te to tendencje do racjonalizacji i desakralizacji.”* Powrót pogańskiego światopoglądu do umysłów europejskich elit rozpoczął się, zda-

niem Molnara, nie w okresie Renesansu, lecz znacznie wcześniej, na przełomie XIII i XIV wieku^{3/}. Ziarno suchej racjonalizacji, rzucone w glebę zachodniego chrześcijaństwa przez scholastyków, zaowocowało osłabieniem bezpośredniego przeżycia wiary. Na uniwersytecie w Padwie pojawiła się wtedy grupa uczonych zafascynowanych naukami Awerroesa^{4/} i głoszących poglądy bliższe ezoterycznemu pogaństwu niż nauczaniu Kościoła. Łacińscy awerrości z Padwy (która przetrwała jako prominentny ośrodek intelektualny aż do czasów Renesansu), podobnie jak Ockham i zaciekli nominaliści, jak o pierwsi ulegli pogańskiej pokusie, zaś poprzez swój wpływ intelektualny wywarli niezatarte piętno na umysłowości całej średniowiecznej Europy. Nie odrzucali oni w zasadzie chrześcijaństwa, wierzyli jednak, że jest ono jednym z wielu „rodzajów mądrości” oraz że inne jest chrześcijaństwo dla ludu, inne zaś dla wybranej grupy „mędrców”. Renesansowa rewolta przeciw Bogu i obiektywnemu prawu natury nie powstała więc ex nihilo, lecz miała swe źródło w atmosferze intelektualnej schyłku Wieków Średnich. Na kartach swojej książki przedstawia Molnar długi ciąg postaci „chrześcijańskich pogan”: Marsyliusza z Padwy, Mikołaja z Kuzy, Jana Bodinusa, Giordana Bruna, Johannesa Reuchlina, Marsyliusza Ficino, Gianbattistę Vico (który „uczynił historii i to, co Spinoza filozofii, a Kartezjusz nauce - radykalnie ją zsekularyzował”). Racjonalny ingredient, nieodłączny od chrześcijaństwa, twierdzi węgierski autor, doprowadzić może do powstania cywilizacji „dyktatury racjonalizmu”, zabójczej dla wszystkiego co objawione, ponadczasowe i tajemnicze. Pogański światopogląd, nigdy ostatecznie nie przewyciężony, ujawnia się w takich właśnie momentach, kiedy zanika odczuwanie chrześcijańskiej prawdy jako ujętego w symbole mitu. Jest jednak paradoksem, że idee wyznawane przez „chrześcijańskich pogan”, zastosowane w praktyce przynoszą skutek odmienny od zamierzonego - zamiast przywracać utraconą świętość i tajemnicę życia, niszczą jedynie sacrum chrześcijańskiej kultury, przyspieszając jej sekularyzację.

Spowodowana inwazją scholastyki i myślenia sekularnego do sfery wiary i mitu chrześcijańska desakralizacja miała, jak chce Molnar, swoją logiczną kontynuację w postaci desakralizacji chrześcijaństwa. Zapoczątkowana przez Reformację, okrzepła ona wraz ze zwycięstwem protestantyzmu^{5/} w północnej Europie, aby nabrać ponownego impetu w dobie Oświecenia (wystarczy wczytać się w pamiętniki Talleyranda, aby ujrzeć plejadę księży bardziej zajętych dysputami politycznymi czy żywotami mężów antycznych niż swoim powołaniem). Dno zostało osiągnięte w naszej zuniformizowanej epoce pełnej wszelkiego rodzaju ideologicznych herezji, którym w jednakowym stopniu obce jest wszelkie sacrum (marksizm, liberalizm, technologizm, demokracja masowa). „Wygląd współczesnego zachodniego miasta, a nawet wsi przekonuje nas, że religia została w metodyczny sposób wyrugowana

z życia ludzi", pisze Molnar. „Stare kościoły przypominają muzea, nowe - fabryki. Księża wyglądają niczym zapracowani biurokraci, tym bardziej, że nie-raz niewiele różnią się strojem od innych ludzi. Kazania naśladują stylem i treścią gazetowe wstępniaki i poświęcane są kwestiom społecznym, gospo-darczym i ideologicznym. Całe zaś życie publiczne składane jest na ołtarzu ideologii."

„Pogańska pokusa" nie jest oczywiście dziełem sentymentalnie skie-rowanym ku uporządkowanemu światu starej Europy, ani tym bardziej oskar-żeniem chrześcijaństwa (choć jego zasadnicza teza jest do pewnego stopnia zgodna z poglądami myślicieli Nowej Prawicy). Byłoby to zresztą dziwne w wypadku głęboko wierzącego katolika i niegdysiejszego wydawcy „Triumphu" - pisma, które wyjątkowo ostro przeciwstawiało się reformom II Soboru Waty-kańskiego. Molnar pokazuje jedynie, że zanik świętości, poświęcenia, miło-ści i autorytetu, powszechny hedonizm i totalna uniformizacja, wreszcie repo-ganizacja myślenia elit nie są skutkami kreciej roboty „Sił Rewolucji w Ko-ściele" czy „braci w fartuszkach", lecz wynikają z pewnej immanentnej cechy chrześcijaństwa, jego pięty achillesowej, jaką jest bezwarunkowe poddanie wiary dyktatowi rozumu. Pogańska pokusa, ostrzega Molnar, jest zawsze z nami i to najczęściej z naszej winy. Nie należy jednak popadać w pesymizm. Wszak obecna siła neopoganizmu jest jedynie funkcją obecnego kryzysu chře-ścijaństwa, nie pierwszego w dziejach, choć z pewnością najgłębszego, zaś jedyne co neopoganizm może ostatecznie zaproponować to „orientalny mi-stycyzm - ostatnie słowo postmodernistycznego humanizmu". Konieczna jest dziś postawa bohaterskiego heroizmu, całkowita duchowa negacja „warto-ści", na których opiera się nowoczesność. Działalność samego Molnara, re-akcyjnego filozofa, bojowego publicyście o makiawelistycznym zacięciu i za-ciekłego wroga „amerykańskiego mitu"/6/, jest tego dobrym przykładem. Pa-miętać też musimy, że - jak pisze Molnar w zakończeniu swojej książki „Bli-źniacze siły: polityka i sacrum" - chrześcijanie posiadają nadprzyrodzoną broń, której nie mają inni - Nadzieję.

Andrzej Fiderkiewicz

Przypisy:

[1] Jedną z najbardziej typowych pozycji „nurtu schyłkowego", wydana w 1938 roku książka prof. Mariana Zdziechowskiego nosiła właśnie tytuł „W obliczu końca".

[2] Obszerną charakterystykę owej „kultury" można znaleźć w eseju Molnara „Kultura atlantycka. Czy można przed nią uciec?", zamieszczonym w 121

(wrzesień-październik 1990) numerze monachijskiego pisma „Criticon”.

[3] W tym względzie diagnoza Molnara jest zgodna z opinią jednego z najciekawszych przedstawicieli ezoterycznej prawicy europejskiej, Rene Guenona, który uważał, że jedynym prawdziwie chrześcijańskim okresem w historii Europy była epoka od czasów Karola Wielkiego do początków XIV w.

[4] Awerroesa można uznać za pierwszego teoretyka współczesnej propagandy masowej. Twierdził on, że masom podsuwać należy zwulgaryzowane, literalnie pojmowane nauki Koranu, zaś prawdziwą, niezależną od Koranu naukę duchową trzeba pozostawić „myślicielom”.

[5] Wielkim krytykiem protestanckiego racjonalizmu był Jung, zaś Bierdiajew stwierdził nawet, że protestanczy teolodzy mniej wiedzą o świecie niż pogańscy mędracy.

[6] Jako przykład postawy odważnie wykraczającej poza granice konserwatywnego getta można podać fakt, że Molnar - ortodoksyjny katolik - współpracuje w dziedzinie amerykanologii z neopogańską grupą GRECE.

ARTUR GRABOWSKI

CO MNIE DOPADŁO W STYCZNIU NA KAZIMIERZU

Zanim roztrwoni śnieg opłatki na ślepe, sine kamienice,
zanim przykryje sztyd : *PRYWATNY ZAKŁAD: WIECE, ZNICZE,
WIE CE, WI ZANKI, DO WYNAJ CIA LIMUZYNA*, zanim pozmieni a
w obce wszystkie nasze miejsca (bo na rzecz istnienia
wyrzekną się trwania, odejdą by pomóc nam zostać
tu.gdzie się kończy wydeptana decyzjami ścieżka - najprostsza,
najkrótsza, że chyba jedyna...), zanim więc się stanie
ten niebyt, mam ochotę się zakraść, minąć strażę swetra,
na twe piersi rozgrzane. Cóż, zachcianka śmieszna.

TROSKA

Jakże ta cienka skóra na opuszkach palców
udźwignie ciężką troskę mojego dotyku?

Czy nie pięknie wytrwałość w pewności, że jutro
znów podniosą się ręce i rozsypią włosy?

I czy będzie dość prosta mowa warg na skórze
by, wijąc się wśród znaczeń, dotrzeć do zrozumień?

Albo czy nie za mało mamy w sobie istnienia
żeby go oddać trosce o to, czego nie ma?

BRZEGIEM

When you have nothing more to say, just drive...

S.H.

Nic nie można powiedzieć. Nie wolno? A morze
podsuwa puste metrum. Więc milczeć? Rozmowę
miękkiej substancji z twardą formą
stara
się wtłoczyć w rytm dociekań
fala. Może

jeszcze zaczekaj. Nie-
cierpliwość jakoś zniesiesz, ciężar
pustego wersu gdzieś doniesiesz. Pierwsza

kropla nasyci pierwsze ziarno
piasku wilgocią, sens
rozsypaną plażę zmieni w błoto,
znowu zbudujesz zamek, ślad
się wypełni wodą jak

nieistotny kształt - bezkształtną istotą.

W ZENICIE

Anioł stróż ju mnie odbiegł anioł mierni mnie przeklnie.

Aleksander Wat

Anioł stróż już mnie odbiegł anioł śmierci nie
nadszedł - może przybierze postać
patrona zbuntowanych;
w którą z nocy samotnych - go poznam,
w którym z mych cieni chłodnych - zostanę
pochowany? Rydwan nagle przystanie
wżenicie, nad szczytami wzgórz:

pod nim samotny,
przemieniony
w anioła - stróż.

Artur Grabowski



OD BANALIZMU DO ONANIZMU

rozmowa z Andrzejem Stefanem Rodysem

A.S. Rodys (ur. 1967), poeta, prozaik, wspólnie z Pawłem Dunin-Wsiewiczem współzałożyciel i współredaktor jednego z najgłośniejszych polskich artzinów "Lampa i Iskra Bo a". Autor dwóch tomików wierszy oraz kilku opowiadań. Uznawany za jednego z prekursorów nowego kierunku literackiego - banalizmu. Tłumaczony na język niemiecki. Jak informuje "Parnas bis. Słownik literatury polskiej urodzonej po 1960 roku": "Poeta sentymentalny, tworzący w estetyce wiadomego kiczu. Ulubione motywy: walka człowieka z owadami, bezimienna Małgorzata oraz życie tygrysów".

FRONDA; Powiedziały kiedy publicznie, że w sprawach onanizmu jesteście bardziej nieliberalni. Co to oznacza?

A.S.R.: Skrajni oszołom uważają, że ma być tak jak zostało napisane i ani kroku odstępstwa. Ktoś liberalny jest pośrodku, dopuszcza różne śmieszne rzeczy po drodze, natomiast ja...

Stary, to jaka abstrakcja, ja pytam o konkretną rzeczywistość masturbacji.

Podobnie jak Artur Cezar Krasicki uważam, że jest to rzecz godna propagowania nie jako cel sam w sobie, ale jako środek do osiągnięcia pewnego celu.

Co to znaczy?

Bez oderwania od szerszego kontekstu erotycznego trudno o tym mówić. Jestem zdania, że masturbacja jest jednym z wielu sposobów seksualnego spełnienia się, zwłaszcza w sferze psychoseksualnej. Powtórzę to, co powiedziałem w programie telewizyjnym: sądzę, że każdy człowiek ma wiele fantazji i wizji seksualnych, których nigdy nie zrealizowałby w rzeczywistości, gdyż są one zbyt ostre, natomiast masturbując się może dać im upust, nie ryzykując, że zostanie wsadzony do więzienia.

Czy myślisz, że masturbacja może przynieść satysfakcję nierealny seks?

Powiedziałem tylko, że jest jednym ze środków do pełnego zaspokojenia.

Co to znaczy pełne zaspokojenie?

To jest wszystko do kupy razem wzięte. Kontakt między dwoma osobnikami to jest jedno, realizacja fantazji wynikających z potrzeb psychoseksualnych to jest druga rzecz, przeżywanie tych fantazji podczas masturbacji to jest trzecia rzecz.

Ale przecie na raz do kupy tego nie zbierzesz.

No, nie.

Czyli niemo liwe jest pełne zaspokojenie?

A jakie widzisz wyjście?

Wiem, e ludzie, którzy my i tak jak ty, sprowadzaj rzeczywisto do swoich marze . Tak robi si w japo skich domach publicznych, gdzie wedle yczenia klienta charakteryzuje si prostytutk .

Rzeczywiście, masz rację, przecież akt płciowy zaspokaja tylko jedną stronę zapotrzebowania psychoseksualnego. Natomiast dodanie do tego pewnych elementów związanych z fantazjami sprawi, że spełnienie stanie się pełniejsze... Chociaż zastanawiam się, czy pełne spełnienie jest w ogóle do osiągnięcia. To chyba tylko ideał.

Powiedziało wcz e masturbacja mo e uchroni przed kryminałem. Mógłby rozwin t my !?

To nie jest moja teoria. Spotkałem się z nią podczas lektury, z której wynikało, że przestępczość seksualna jest niska tam, gdzie są wysokie nakłady pism pornograficznych. Wynika więc z tego, że ludzie, którzy mogliby dokonywać takich przestępstw, wyładowują się podczas masturbacji. Co by nie mówić, są pewne orientacje, które mogą być szkodliwe społeczne, na przykład pedofilia. Dla takich ludzi onanizm stanowi pewien wentyl bezpieczeństwa. Lepsze jest dla nich oglądanie świerszczyków i masturbacja niż polowanie na osiedlu na małe dziewczynki.

Prawd mówi c, ja spotkałem si z danymi zupełnie odwrotnymi. Chciałbym jednak zapyta o co innego. Czy nie s dzisz, e jest to rozwi zanie pozorne ? Takie wierszczyki wyjąławiaj wyobra ni i potem szuka si tylko mocniejszych bod ców. Pisemko przestaje wystarcza i człowiek idzie do lasu. Skoro nie mo e sprowadzi marze do rzeczywisto ci, to sprowadza rzeczywisto do marze . Wtedy realizuje swoje wizje ju nie w my lach, ale na jawie.

To jest druga strona medalu. Chociaż prawdę mówiąc, nie dysponuję takimi danymi.

A u ciebie nie ma czego takiego? Jeste przecie praktykiem takich rzeczy...

Tak, jestem praktykiem...

Czy nie masz wra enia, e ju ci te wierszczyki m cz , e zamiast papierowych postaci lepiej mie ywe?

Nie, wprost przeciwnie. Myślę, że dzięki masturbacji zdałem sobie sprawę z pewnych rzeczy, o których do tej pory nie wiedziałem. Poza tym jest to nie tyle może sport, co świetny sposób na rozładowanie się. Człowiek udoskonala przy tym różne techniki, które są coraz bardziej wyszukane, wysublimowane. Poza tym mogę obserwować swój rozwój. Jakaś niewinna, mało wyrafinowana fantazja z okresu młodości z czasem staje się coraz bardziej rozbudowana. Myślę więc, że masturbacja wzbogaca moją wyobraźnię. Przenosząc to potem na życie seksualne partnerskie, może to podnieść jego jakość. Przekonałem się o tym na własnym przykładzie.

W jakim kierunku idzie ta wyobraźnia? Czy podniesiony zostaje poziom perwersji?

Co rozumiesz jako perwersję?

Powiedzmy, niekonwencjonalne stosunki.

Ale zależy co to znaczy konwencjonalny stosunek. Dla niektórych jest to stosunek małżeński, który trwa trzy minuty. Nigdy nie zdecydują się oni na seks oralny, który w światowych standardach uważany jest za pieszczotę soft.

No dobra, masz pewnie swoje kryteria perwersyjno ci. Czy czujesz, że twoja wyobraźnia ma potrzebę wkraczania w te rejony?

Myślę, że tak. Skoro wkraczam, to potrzebuję.

Jakie masz kryteria perwersji?

Myślę, że słowa tego można używać głównie w sensie żartobliwo-ironicznym. Jeśli chce się być konsekwentnym liberałem, to należało słowo odrzucić. Wiadomo, że każdy człowiek jest inny i nosi w sobie potrzeby psychoseksualne wykraczające poza schemat narzucony nam przez cywilizację. Słowem, nic nie powinno być perwersją.

A gdybyś się jednak upierał, że są jakieś normy, i że wobec tego perwersji istnieje, to jakby ona wyglądała w twoim przypadku?

Powiedzmy, że sytuuję się w górnej strefie stanów średnich, choć są pewnie tacy, którzy umieściliby mnie na Mount Evereście.

Co to znaczy? Jeśli ci oczywiście nie wstydzisz się mówić przy mnie.

Nie, nie wstydzę się. Jako fetyszysta i melancholik zwracam wielką uwagę na detale ubioru, różne skóry, koronki, buty na wysokim obcasie. Nie uprawiam seksu z odzieżą, ale lubię, by moja partnerka była ubrana w określony sposób. Moja żona może coś o tym powiedzieć (ona u miecha si). Ostatnio

coraz bardziej lubię plenery niż wnętrza. Przyznaję też, że podnieca mnie sytuacja niebezpieczeństwa, możliwość przyłapania mnie przez kogoś postronnego. To chyba zdradza pewien rys ekshibicjonizmu. Myślę też, że sado-masochizm może być czymś przyjemnym, tylko że partnerzy muszą być bardzo dobrze zgrani i rozumiejący się, aby nie przekroczyć pewnego punktu. Nie chcę mówić o wszystkim, ponieważ mam jeszcze pewne opory, ale może wkrótce już będę mówił o tym swobodnie.

A co ci sprawia najwi ksz satysfakcj ?

Nie ma takiej rzeczy, która dawałaby mi najwyższą satysfakcję.

Czy do masturbacji wystarcza ci wyobra nia, czy potrzebujesz pism pornograficznych ?

Niestety, polskie pornosy to wielka tandeta. Wiele zdjęć jest branych z hollenderskich agencji i drukowanych u nas, ale wkładane są odwrotnie negatywy. Ta sama modelka ma więc na jednym zdjęciu tatuaż na lewym pośladku, a na następnym już na prawym. Albo inna modelka w atrakcyjnej pozycji ma dziurawą pończochę. Oczko jej puściło od uda aż do kostki. Jak na to patrzę, to od razu mały mi się zwija w trąbkę. Prawdę mówiąc, mało pism pornograficznych wniosło coś nowego do mojej wyobraźni. Myślę, że polskiemu rynkowi pism erotycznych przydałoby się trochę świeżej krwi. Mogę ci zdradzić, że w tym roku pojawi się nowy atrakcyjny tytuł, z którym będę współpracował.

Sk d w ogóle u ciebie tak afirmatywny, apologetyczny stosunek do onanizmu?

Myślę, że onanizm może być wielką sztuką. Można grać na gitarze tak jak Eric Clapton, można tak jak Paweł Dunin-Wąsowicz. Można robić to, oczywiście, kilkoma suwami nad pisuarem w kiblu na dworcu centralnym, wśród dwudziestu zapijaczonych kolesi, aleja czegoś takiego nie uznaję. ONANIZM JEST GDZIE INDZIEJ. Słyszałeś pewnie o technice E. Polega to na tym, że męczyzna doprowadza się do orgazmu tylko za pomocą samej wyobraźni - bez udziału rąk ani partnerki. Istotą jest to, co się dzieje w jego psychice, a nie to, co on robi. Aby osiągnąć taki stan psychiczny, muszę mieć pewne minimum komfortu, nie mogę się rozpraszać. Muszę też przyznać - nie tylko dlatego, że siedzi tu moja żona - że w swoich onanistycznych fantazjach jestem jej wierny. Mam fantazje albo bezosobowe, to znaczy pojawia się w nich kobieta zupełnie nieokreślona, albo pojawia się ta partnerka, z którą akurat byłem lub jestem - w tym przypadku moja żona.

By mo e to głupie pytanie, ale skoro masz on , to po co ci onanizm?

Stanowczo odgraniczam te dwie rzeczy: seks z partnerką to jedno, onanizm

to drugie. Myślę, że masturbacja może być znakomitą dopełnieniem stosunków płciowych z żoną.

Me uwaasz tego za niemoralne?

Nie uważam. Czy można mieć mi za złe, że przeżywam coś w swojej wyobraźni?

A zdrada albo gwałt dokonany w myślach? Mylisz, e nie ma tu adnej kwalifikacji moralnej?

Dopóki dzieje się to w myślach, nie ma w tym nic złego. Poza tym przekonałem się już o tym, że moralność jest pojęciem nieistniejącym. Moralności nie ma. Ludzie bardzo dużo mówią o moralności, a postępują zupełnie inaczej. To najlepszy dowód na to, że moralność nie istnieje. Nie wierzę, żeby najwięksi krzykacze prawicowo-klerykalni, którzy są nosicielami wsteczności w sprawach seksu, robili to, co sami publicznie mówią. Wszyscy oni mają podobne fantazje seksualne, ale to ukrywają. Przecież każdy facet się onanizuje.

A nie dopuszczasz do swojej myśli, e s jednak ludzie, którzy tego nie robi i którzy potrafi zapanowa nad swoimi pop dami? Znam wiele osób, które doskonale sw osobowo poprzez wiadome praktyki ascetyczne i wstrzemi liwo płciow .

Czyli uważasz, że osoby, które nie zachowują wstrzemięźliwości seksualnej, nie mogą się doskonalić?

Tego nie powiedziałem. Zapytałem ci tytko, czy w tpisz, e na przykład ksi a mog y w celibacie?

Myślę, że modlitwa może być środkiem doskonalenia własnej osobowości i jako taka jest techniką, która nie ma nic wspólnego z Bogiem, wiarą czy religią. Myślę, że bez modlitwy człowiek nie może żyć.

A ty si modlisz?

W klasyczny sposób nie. Nie modlę się ani nie medytuję. Dla mnie jakimś misterium jest słuchanie muzyki. To wzbudza u mnie jakiś dreszczyk biegnący po plecach.

Czy nie boisz si z czasem mo esz uzale ni si od onanizmu, popa w naóg?

Myślę, że jest to taki sam nałóg jak jedzenie batoników czekoladowych. Lubię to robić i już. Jest to być może pewien nałóg psychiczny, ale nie uważam, aby był on szkodliwy. Oczywiście, jeśli ktoś robi to dziesięć razy dziennie, grozi to mu zakwasami w mięśniach. Jestem jednak zwolennikiem jakości, a nie ilości.

Współczesna kultura hołduje jednak ilo ci, a nie jako ci. W dodatku jej wytwory s dzi cz sto podszyte seksualizmem.

Myślę, że jest odwrotnie. Dzisiejsza kultura sprawia, że zatracamy świadomość tego, że jesteśmy istotami seksualnymi, a przecież jest to punkt, od którego powinny zaczynać się wszelkie rozważania o człowieku. Myślę, że są trzy ważne rzeczy w życiu człowieka: wiara, seks i miłość. Nie mówię tu o wierze w Boga, lecz o wierze na przykład w samego siebie. Dzięki tym trzem rzeczom człowiek może zrobić praktycznie wszystko, może przekroczyć wszelkie bariery. Myślę, że osiągnięcie satysfakcji polega na przekraczaniu kolejnych barier, na łamaniu kolejnych tabu. Onanizm jest właśnie takim tabu, które przekroczyłem. Sądzę, że trochę tabu jeszcze przede mną pozostało.

Skoro tak, to czy mo esz wyobrazi siebie na przykład w roli pedofila?

Nie mam w tej chwili takich skłonności, ale współczuję pedofilom. Mogę wyobrazić sobie sytuację, że są małe dzieci, które mają fantazje, aby uprawiać seks z dorosłymi. Nie powinno się więc im zabraniać kojarzenia z dorosłymi. Nie mam absolutnie nic przeciwko zoofilom czy nekrofilom; jeśli ktoś ma ochotę uprawiać seks z nieboszczykiem lub z psem, to proszę bardzo. Nie wolno ich absolutnie potępiać, są to mniejszości społecznie napiętnowane. Trzeba się raczej zastanowić, jak ich sytuację rozwiązać.

Nigdy nie miałe wyrzutów sumienia?

Miałem jako dziecko, kiedy jeszcze wychowywany byłem w rodzinie katolickiej, ale na szczęście się tego pozbyłem. Dlaczego mam uważać za zło coś, co zostało tak nazwane przez kogoś ileś tysięcy lat temu, a co ja uważam za przyjemne? Dlaczego o mam się podporządkowywać jakimś autorytetom? Uważam, że autorytety nie powinny istnieć, a przynajmniej powinny funkcjonować na innych zasadach. Autorytetem może być tylko praktyk, dlatego sądzą, że księża nie mają żadnego prawa wypowiadać się w sprawach seksu.

Czy zainteresowanie seksem miało wpływna twój twórczo literack ? Jeste uwa any za jednego z twórców banalizmu.

Nie myślę, aby istniała tu jakaś prosta zależność pomiędzy onanizmem i banalizmem. Ja po prostu odkryłem kiedyś, że życie jest potwornie nudne, przeraźliwie nudne. 95 procent ludzi na tej planecie prowadzi życie schematyczne, z którego nawet nie próbuje się wyrwać. Ja przez pewien czas też żyłem w takim schemacie, ale na szczęście się z niego wyrwałem. Później zaczęło być dla mnie fascynujące obserwowanie z dystansu tego życia, gdzie małe, banalne sprawy urastają do rangi problemów nie do rozwiązania. Na przykład pytanie mamy: co dzisiaj zrobić na obiad? Zacząłem to opisywać, tą nudę, powtarzalność i tak powstał banalizm, chociaż wtedy nie wiedziałem, że jest to banalizm.

A czy nie uwaasz, że to wła nie dzi ki onanizmowi wydaje ci sie, że wyrwałeś si z banalistycznego schematu ycia?

Nie wiem. Być może masz rację.

Rozmawiał: Michał Kietlicz



"NOWOFALOWA SUBKULTURA MĘSKA"

(przełom d prasy pedalskiej)

Mniej lub bardziej oficjalnie prasa gejowska istnieje w Polsce od kilku lat. Obecnie najczęściej w kioskach kupić można cztery tytuły: "Filo, Gay News", "Magazyn Kochających Inaczej", „Men” i od lipca 1995 r "Nowy Men" (powstały w wyniku rozłamu w starym "Menie").

JESTE MY DZIE MI DEMOKRACJI

Homoseksualiści podkreślają, że przełomowy był dla nich rok 1989 r. Wówczas to - jak mówił już rok później przewodniczący stowarzyszenia "Lambda" Grzegorz Okrent - *"lodyżel ały"*. W PRL ich środowisko było inwigilowane przez SB. Z inicjatywy ministra spraw wewnętrznych, Czesława Kiszczaka Służba Bezpieczeństwa zakładała wszystkim homoseksualistom kartoteki (akcja "Hiacynt"). Jak zauważa Okrent *"Wprawdzie bł dne jest mnie-manie, e "Solidarno " w bezpo redni sposób pomagała nam, to jednak doceniam rot "S" jako siły, która doprowadziła do do otwarcia, do wolno ci; na tym zyskało przecie i nasze rodowisko"*.

W 1990 r. powstało pierwsze w Polsce pismo homoseksualistów "Inaczej". Cztery lata później jego redakcja pisała do czytelników: *"Nie mo emy zapomnie , e prasa gejowska powstała lub wyszła z podziemia wraz z upadkiem epoki totalitaryzmu - mo emy wi c o sobie powiedzie , e jeste my dziekiem odrodzonej polskiej demokracji"*.

"Inaczej" przyczyniło się do budowy środowiska homoseksualistów w Polsce. Kiedy w 1990 r. została zarejestrowana "Lambda", na łamach pisma prezentowano jej program, cele i potrzeby. Stowarzyszenie podkreślało, że swoich sympatyków ma więcej niż się na ogół przypuszcza: *"gejt to nie tylko fryzjer, tancerz i kelner, ale równie cz sto sportowiec, duchowny i zawodowy olnierz. Mniej lub bardziej widoczni geje i lesbijki s wsz dzie"*.

Od samego początku "Lambda" (na łamach "Inaczej") zastrzegala się: *"nie popieramy pornografii, przeciwstawiamy si uwodzeniu nieletnich, nie akceptujemy prostytucji, a nasza działalno o wiatowa i u wiadamiał ca daleka jest od seksualnego wyuzdania"*.

W tym samym numerze "Inaczej" znajdujemy opowiadanie anonimowego homoseksualisty: *"(...) dorastałem i czułem, e jest mi coraz gorzej, nie rozumiałem samego siebie. Wtedy pojawił si On. Był dyrektorem naszej szkoły, w mojej klasie miał zaj cia z fizyki. Włodek (bo tak kazał do siebie mówi , kiedy byli my sami) zaproponował mi korepetycje. Po pierwszej wizycie bywałem u niego niemal codziennie. Włodek miał 40 lat - był dla mnie wspaniałym partnerem do 60 ka. Wy ywałem si seksualnie. Trwało to dwa lata"*.

Na łamach "Filo" jeden z bardziej zaangażowanych publicystów homoseksualnych Sławomir Ślubowski wprowadza zasadnicze jego zdaniem rozróżnienie pomiędzy prezentowaną przez siebie orientacją a heteroseksualistami, których uważa za skrzywionych. Pisze on: *"Jeszcze ludno skrzywiona heteroseksualnie jako sobie radzi - eni si lub wychodz za m za miodu i potrafi zjednym chłopcem wytrzyma do grobowej deski. W naszym przypadku jest to absolutnie niemo liwe. Gej potrzebuje młodo ci jak wody na pustyni. Konkretnie - młodego ciała, najch tniej jeszcze nie do wiadczonego w ró nych "Rudawkach" czy "Fiolkach". Wzi cie maj ci, co kwilili w roku 1975, ale i rocznik 1973 nie jest bez szans. (...) Niestety, zwi zki z pocz tku j cymi w gejowskim fachu nie maj wi kszych szans przetrwania, a przyczyn tego jest kilkadziesi t co najmniej".*

Ślubowski wymienia przykłady tych ostatnich: *"mo e si zdarzy , e pu ci nas (poderwane chłopci) w tr b z dziewcz ciem (...). Gdy oka e si , e z dziewcz ciem przyjemniej, musimy szuka nowego kochanka".* Rozgoryczony Ślubowski tłumaczy to faktem, że *"w tym wieku ka dy chłopiec ma gejowsky skłonno ci, które, niestety, po jakim czasie zanikają (...). Z młodzikiem kochankiem nie mamy te za bardzo co liczy na wspólne wakacje. Jak co roku bowiem zostanie wysłany na obóz harcerski i nie daj Bo e, by poznał tam, do czego słu druhny".*

PODRY NA HOT DOGA, CZYLI DUCHA NIE GA CIE

Ślubowski nie traci jednak ducha. Na łamach "Filo" w instruktażowym artykule "Jak poderwać" z nadtytułem "Wiosna idzie, czas na łowy" sprzedaje nam kilka sposobów. Oto jeden z nich o swojskiej nazwie: "Na hot-doga": *"Bywa, e do takich punktów przychodz małolaty, którym dopiero przy płaceniu przypomina si , e maj za mało pieni dzy. Je li przed okienkiem nie kł bi si tłumek ludzi, zapraszamy małolata do budki, szybko pytamy sk d jest, co robi i prosimy, e jak ma ochot na zatrucie si naszym produktem, a nie ma kasy, to niech przyjdzie pod wieczór, gdy nie b dzie ruchu. Je eli przyjdzie - mamy kienta w gar ci".*

Ślubowski jednak ostrzega: *"Uwaga: ryzykowne! Stosunki z osobnikami poni ej 15 roku ycia zagro one s sankcjami karnymi!"*.

Inne sposoby, jakie podaje, to m.in.: na autostopowicza, na plażowicza, na przewodnika czy na wędkę.

Jak pisze Ślubowski, gej potrzebuje młodości jak wody na pustyni. Co się jednak dzieje, gdy młodość się kończy? Czy gej umiera z pragnienia? Być może i dlatego Leszek Bolewski w tekście "Geje trzeciego wieku" wzywa pod-

starzałych homoseksualistów: "No, głowa do goryl Ducha nie ga cie! Udowodnijcie, e nie nadajecie si jeszcze na mietnik historii!". Swój artykuł konstruuje jako zbiór krótkich komentarzy do opinii, jakie często słyszy wśród starszych wiekiem homoseksualistów. Żalą się oni np. że młodzi chłopcy idą z nimi do łóżka nie dla uczucia, lecz dla pieniędzy. Bolewski replikuje: "A kto im te pieni dze daje? Takich macie młodych, panowie, jakich sobie wychowali cie. Przyznaj si sam przed sob , ile to razy, gdy było ju "po wszystkim" my lałe : "Jak by tu zrobi , eby zapomniał mojego adresu? Jest taki głupi i naiwny" (...) Ka dy z nas był głupi, naiwny i niedo wiadczony yciowo - to dopiero wychowanie czyni z młokosa sensownego człowieka."

Inny star y homoseksualista żali się: "Jestem samotny nikt mnie ju nie odwiedza, sam siedz w domu". Bolewski odpowiada: "Dlaczego nie wyjdiesz do ludzi? Dlaczego dałe za wygran ?" Homoseksualista: "W tych gejowskich lokalach jest taka gło na muzyka i jako nieswojo si tam czuj ." Bolewski: "Dlaczego z kumplami nie zało ycie swojej własnej cichej knajpki "w stylu", w którym b dziecie si dobrze czuli? Zapewniam, e niejeden miody ch tnie was w niej odwiedzi." Homoseksualista: "W gazetach gejowskich nie ma dla nas, starszych, adnych artykułów traktuj cych o naszych problemach".

Tutaj Bolewski przechodzi do kontrataku - przedstawia redaktorów prasy gejowskiej jako ludzi młodych, na dorobku, bez własnych mieszkań, nie mogących się ujawnić, a później krytykuje starego homoseksualistę, który jest już życiowo ustawiony, że zamiast stawiać wymagania powinien więcej z siebie dawać na rzecz budowy gejowskiej społeczności.

26/182/88 ZDOMINUJE NIEWOLNIKA

W prasie gejowskiej niezwykle obecny jest kult ciała. Świadczą o tym liczne ogłoszenia , np: "Studentpozna dobrze zbudowanych przyjaciół", "szatyn pozna dobrze zbudowanego przyjaciela", "zapoznamy kumpli dobrze zbudowanych do .35 lat".

Paweł Grochowski w tekście "Zbuduj się sam" wymienia zalety siłowni: budowanie ciała, wyrabianie silnej woli i cierpliwości oraz rozwój życia towarzyskiego.

Ilustruje to choćby na łamach "Inaczej" opowiadanie z cyklu "Niedyskretne namiętności" zatytułowane "W siłowni". Młody chłopak Robert, który odkrył u siebie skłonności homoseksualne, poszedł na siłownię Klubu Sportowego "Gwardia". Od razu poznał Jacka. Po ciężkim treningu poszli do sauny. Tam, w gorącyc h oparach , "Jacek zamkn ł oczy i automatycznie rozsun ł uda; mi kki za ci gni tym napletkiem penis opadał mu na j dra. Robert (...) widział wyra nie jak czerwona oł d zacz ła wysuwa si z napletka, jak członek Jacka stawał si coraz wi kszy...

- No na co czekasz? We go do buzi, ssij - Jacek wyrosi nagle przed Robertem i wsadził mu do ust ogromnego kutasa. Chłopak wsun ł go do gardła, czuj c z zadowoleniem, e teraz ka dy mi sie Jacka jest twardy jak granit. Ogarn ł ich fala nami tno ci. Jacek chwycił Roberta swymi silnymi ramionami i niczym piórko przewrócił z powrotem na brzuch. Przyssał si wargami do jego odbytu, penetrował go najpierw zykiem, a pó niej palcami. Kiedy poczuł, e chłopiec jest całkowicie otwarty, wtargn ł do jego rodka kutasem. Robert poczuł go nap czniałego do ostatnich granic, wsuwaj cego si a po same j dra, dra ni cego drobnymi włoskami. Ka de pchni cie wydawało mu si podró z ziemi do nieba. Po chwili dreszcz rozkoszy wstrz - sn ł jego ciałem... Wydawało si , e jest ju po wszystkim, lecz ciało Roberta wci drgało.



- Halo! Zastąble mały? - to Jacek stał obok i potrz sał go za rami . - Chyba przesadziłe jak na pierwsz wizyt w siłowni. Nic ci nie jest?

- To nic wielkiego - Jacek stał wci obok i u miechał si z pobła a-niem. - Mnie te to si zdarzało, na pocz tku. Ale to minie, uwierz mi. Je li b dziesz tu przychodził, wszystko ci poka , chcesz?

- Jasne, e chc - odpowiedział Robert. - B d tu ju jutro. I poczuł si wcale nie gorzej ni we nie".

Tak oto siłownia może wciągnąć człowieka. Tego typu opowiadań, z dokładnym opisem szczegółów anatomicznych, jest zresztą pełno w każdym niemal numerze pism gejowskich.

Innym sposobem nawiązywania kontaktów homoseksualnych są łamy samej prasy gejowskiej. Pełno tu zbliżonych do siebie anonów: partnerów poszukują geje, lesbijki, biseksualiści, zwolennicy seksu zbiorowego, sado, maso i d z nadzieją na stały, uczuciowy, romantyczny związek.

W każdym numerze wszystkich tych czasopism możemy przeczytać setki ogłoszeń towarzyskich w różnych wariantach: "23-letni student, przy-

stojny, obdarzony pozna chłopaka lub les, do lat 28. Ja sam mam zainteresowania humanistyczne, poczucie humoru". Albo : "Młody Niemiec ze swoim seksownym polskim przyjacielem organizuj w swoim domu Jack-Off-Party i seks grupowy". Albo : "Atrakcyjny 30-latek zaopiekuje si wra liwym nastolatkiem, podaruje mu zmyłow przyja ". Albo : "Władczy, m ski blondyn, 26/182/88, zdominuje hojnego, perwersyjnego niewolnika lub stu cego. Tylko pona ne oferty".

Mężczyźni dominują nie tylko w ofertach towarzyskich. W ogóle pisma gejowskie o wiele więcej uwagi poświęcają pederastom niż lesbijkom, których problemy traktowane są marginalnie.

KO CIÓŁ HOMOSEKSUALISTÓW

W pismach homoseksualnych znaleźć można też ogłoszenia towarzyskie, pod którymi podpisany jest kleryk lub ksiądz. Analizę tych anonsów przedstawia Sergiusz Wróblewski w tekście "Oblicza Kościoła" na łamach "Inaczej". Pisze on m.in. o negatywnym stanowisku Jana Pawła II wobec homoseksualizmu, pytają c "czy papieski "List do Rodzin" nie jest przypadkiem tylko powtarzaniem pewnych dogmatów, o których nikt, a szczególnie sami katolicy, nie pami ta. (...)A mo e wła ciwsze byłoby- pisze dalej Wróblewski - pochylene si indywidualne nad ka dym yciem, z tak trosk , z jak to czynił Chrystus ? Z tego co pami tam z Biblii, znacznie cz ciej rozmawiał On z grzesznikami i jawno grzesznicami, łotrami, celnikami ni z ydowsk starszyzn . Mo e pora na zrozumienie i miłosierdzie? (...) Dla "chrze cijan", a szczególnie tych paraj cych si polityk , sprawa jest jasna. Złem s : prawa dla mniejszo ci seksualnych jako pochwała i propaganda dewiacji oraz gwałcenie praw natury (senator Alicja Grze kowiak), wychowanie seksualne ucz ce rozpasania (abp. K. Majda ski), antykoncepcja, która gwałci godno osoby ludzkiej i sens aktu seksualnego. Ci sami pieniacze zapominaj o drugiej stronie medalu, o której mówi si niewiele albo wcale. Przemilcza si np. fakt, e papie wielokrotnie i bardzo ostro podkre lał niesłuszno nieusprawiedliwienie dyskryminacji homoseksualistów".

Pomimo, że Wróblewski pisze, iż oblicza Kościoła są różne, to w Polsce trudno dostrzec oblicze pozytywne: "Trudno nie zauwa y niech ci, jak darzy homoseksualistów prymas Polski, kard. Józef Glemp", który w sprawie obyczajów prezentuje bardzo jasn (cho uproszczon) postaw . AIDS jest według kardynała kar za grzechy, a homoseksualizm sam w sobie jest grzechem i przest pstwem.(...) Głos ksi dza prymasa nie jest (na szcz cie) głosem Ko cioła, podobnie jak głos Radia Maryja, krytykowanego nawet przez ksi y. Wierz , e gdzie jest nasze miejsce w drodze do prawdy, wolno ci i miło ci. Wierz , e gdzie w Ko cielem jest miejsce dla gejów i lesbijek".

HOMOSEKSUALIZM DROG DO WI TO CI

Podobną nadzieję wyraża Paweł Patrykowski w tekście pt. "Czy przeznaczeniem geja jest świętość?" na łamach "Filo": "Piotr jest człowiekiem, jest m czynn , jest chrze cjaninem, jest homoseksualist . Wierzy gł boko, e wła nie takim powołał go do ycia Bóg (...) i takim b d c wielbi chce m dro i dobro niesko czon Stwórcy. W Ksi dze Rodzaju zapisano: "Bóg widział, e wszystko, co uczynił, było bardzo dobre" Czy Piotr te ?(...) Iprzyszedłdzie -kontynuuje Patrykowski , - w którym poznał swego M czynn . Ujrzeli w sobie pi kno i otwarli nawzajem nie znane im dot d przestrzenie człowiecze stwa. I całe stworzenie było odt d w nich, a oni w nim. Wierz , i wielk jedno ci zł czył ich Pan, ródło Miło ci, stale obecny mi dzy nimi.(...) Stali si jednym duchem i jednym ciałem. W radosnym zespoleniu Piotr do-wiadcział zrozumienia sensu istnienia i sensu kochania. Odnalazł w nim sw godno i odwag powiedzenia całemu wiatu o swym szcz ciu. Jak e du o trzeba tej odwagi, jak e du o!"

Może byśmy nawet uwierzyli, że Pan jest sprawcą miłości homoseksualnej, gdyby nie kolejny akapit i pojawiający się w nim pierwiastek racjonalizmu: "To rozum ka e Piotrowi trwa w zwi zku z m czynn , zwi zku, który pozwala mu si rozwija , obdarowywa sob drugiego człowieka i zapewnia jego godno . Rozum rozumem, a papieska Kongregacja Nauki i Wiary ogłasza, i "osoba, która zachowuje si w sposób homoseksualny, post puje niemoralnie." Dlaczego ? Otó i uzasadnienie: "aktywno homoseksualna nie wyra a wzajemnego zwi zku zdolnego przekaza ycie. Jedynie heteroseksualne mał e stwo realizuje "bo y zamysł oblubie czego i yciodajnego zwi zku m czynny i kobiety". Sk d maj owi teologowie ow pełn pychy pewno , i poznali cele i zamysły samego Boga. Czy pod poj ciem ycia rozumiej oni jedynie efekt biologicznego poł czenia plemnika i jaja?(...) Dlaczego odmawia Kongregacja zdolno ci do miłowania jednego m czynny przez drugiego; znajduj c tu jedynie hedonizm?(...) Czy jedynie perspektywa biologicznego potomstwa uzasadnia miała podejmowanie stosunków seksualnych?"

Patrykowski odpowiada wykorzystując autorytet Karola Wojtyły: "Mał e stwo jest instytuc miło ci, a nie tylko płodno ci", po czym zarzuca papieżowi niekonsekwencję: "zwi zkowi dwóch m czynn zabrania si by "instytuc miło ci". A wszystko o "z powodu idiotycznej opowie ci o Sodomie i jej jedynym sprawiedliwym".

CELIBAT A OBOWIĄZEK KOPULACJI

O Kościele prasa homoseksualna pisze też często w kontekście celibatu, powątpiewając w jego prawdziwość: *"Naprawdę niewielu ludzi lubujących seksualną abstynencję czy błądzących w wolnym życiu ma na podejrzewać o to, że naprawdę wystrzegają się kontaktów intymnych. Jakkolwiek by patrzeć, są przeciwko ludzkości"*.

"Homoseksualizm i celibat raczej nie idą ze sobą w parze. W świecie homoseksualnym abstynencja równa się przegranej - przegranej w rodowisku, a co za tym idzie, jest kolejnym cierniem na drodze ku samoakceptacji. W świecie homoseksualnym nie ma wcale ciwów, nie ma pozostania "niewinnym". Jeśli już zdecydujesz się wkroczyć na scenę, nie masz wyboru. Obowiązek pieprzenia jest jak powietrze na szyi: jeśli tego nie robisz, wypadasz z gry, tracisz stosunki i lepiej żeby nie przyznawał się znajomym, nie masz z tym problemy, albo rozmyślnie decydujesz się na ascez (...). W tej przedziwnej mieszance romantyzmu i materializmu, jakiej upatruje się w proseksualnym gejowskim stylu życia, seks stoi na najwyższym podium jako dobro absolutne, powszechne i nie do odrzucenia (...). Moralnie przegrała z estetyką, nie ma już czystości, jest dżin, a gejowski seks przypomina koło fortuny: nigdy nie wiadomo kto, gdzie i kiedy".



Po takim wstępie na łamach "Inaczej" Grzegorz Popek namawia do seksualnej abstynencji. Wtórzy mu przewodniczący Zarządu "Lambdy" Ryszard M. Madetko: *"Wokół nas wiele krzywdy i biedy. Nie zapominajmy o solidarności lesbijko-gejowskiej. Niech druga kobieta-lesbijka, drugi mężczyzna-gej będą podmiotem, a nie przedmiotem w naszych wzajemnych kontaktach"*.

NIE B DZIE PRZEBACZ

Nie wiadomo, czy w trosce o podmiotowość czy też przedmiotowość homoseksualistów w pierwszych numerach "Inaczej" przedstawia topografię miejsc, w których spotkać można gejów i lesbijki. Publikuje m.in. przewodnik po Berlinie Zachodnim, z którego można się dowiedzieć o homoseksualnych klubach, barach, pubach, kawiarniach itd.

„Mieli my pewne opory, czy drukowa list takich miejsc w kraju - pi - sze o swoich wątpliwościach redakcja. - Czy mo emy porównywa si z Zachodem, gdzie rozwini ta sie kawiarenek i klubów pozwala na kulturalne poznawanie si ? Co mo emy Wam zaofero wa ? Przecie nie b dziemy Was wysyła do toalety na dworc u głównym”.

Redakcja decyduje się jednak udostępnić miejsca „branżowe” w Polsce. Pozycja nr 10 na liście krakowskiej brzmi: *”Planty wokół Starego Miasta, szczególnie w okolicach Placu Szczepa skiiego oraz przy parkingu na samym Placu Szczepa skim, miejsce licznie odwiedzane przez gejów w godzinach popołudniowych i wieczornych, ostrzegamy jednak, bowiem zdarzaj si tutaj napady rabunkowe i pobicia gejów”.*

Pobicia i napady na homoseksualistów to stały motyw prasy gejo wskiej. Są one jednak tylko przejawem głębokiej nietolerancji i zaściankowości polskiego społeczeństwa: *”Bycie gejem w kraju, w którym ju niedługo zdobycie posady ciecia, starszego szale towego, czy zamiatacza ulic wymaga b - dzie ko cieln ych referencji, to naprawd rednia frajda. Wprawdzie Główny Elektryk nie wydał dekretów zabraniaj cych kochania si jak dusza dyktuje, dziennikarze o mielaj cy si pisa o gejach nie stracili jeszcze roboty i nie zostali wywiezieni gdzie na bezludzie, ale wszystko wskazuje na to, e takie czasy przyjd . I nie b dzie przebac z” - oznajmi a kasandryczni e Sławomi r Ślubowski.*

CIOTGRÓD LEPSZY OD CIEMNOGRÓDU

Zdarza się, że czasami napisze list do redakcji ktoś nietolerancyjny, jak np. kioskarcz przegłądający przychodzącą do niego prasę. W liście do "Mena" zauważ a on : *”Piszecie o tolerancji i otwarto ci, a ja odczuwam, e chcecie by apodyktyczni i le odnosicie si do heteryków. Chcieliby cie, eby wszyscy byli gejami. Zbyt agresywnie, krzykiem, chcecie dla siebie akceptacji w całym społecze stwie i praw dla siebie. Przytaczacie w swoim pi mie "gwiazdy" jak Lew Starowicz, Zofia Kuratowska, Kozakiewicz, Passent, to s ludzie amoralni, dewianci, zbrocze cy i oni was popieraj . Ale w społecze stwie nie macie poklasku. Normalni ludzie pedałstwo uwa aj za zbroczenie i nawet w szalecie m skim gdy pedał spojry w stron innego m czynny, to ten od razu klnie i gotów mu nawali ”.*

Homoseksualiści dobrze wiedzą, kto jest ich najgroźniejszym wrogiem. "Przez cały czas, jaki upłynął od powstania "Inaczej", zdążyliśmy się narazić prawie całej polskiej prawicy". Z pewnością dlatego na łamach pism homoseksualnych (szczególnie „Inaczej”) goszczą często politycy lewicowi. Takie są

też deklaracje redakcji : *"Jawnie propagujemy warto ci lewicowe i liberalne, gdy jeste my zdania, e tylko w społecze stwie w którym one przewa aj , geje mog wie spokojne i godne ycie"*.

W wywiadzie z Krystyną Łybacką, posłanką SLD, Sergiusz Wróblewski pyta : " - *Je li nauczycielka zacz łaby mówi , e trzeba sznowa gejów i lesbijki, e to niezłego, to...*

- *...to zostałaaby wykl ta z danej społeczno ci"-ko czy jeg o myśl Łybacka , dając do zrozumienia, że jej partia jest nietolerancji przeciwna.*

Nic więc dziwnego, że w wyborach prezydenckich "Lambda" poparła Aleksandra Kwaśniewskiego, do którego wcześniej jako przewodniczącego Komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego wysyłała prośbę o zapis w przyszłej konstytucji przepisu zakazującego dyskryminacji z powodu inności seksualnej. W tym celu drukowano np. w "Menie" zaadresowane już kartki pocztowe ze stosowną prośbą.

W numerze wrześniowym "Inaczej" z 1995 r. czytamy: "Wyberzmy przyszłość. Tolerancja i poszanowanie wolności człowieka stały się niemal mottem ogłoszonej niedawno deklaracji programowej kandydata SLD na prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego"

Obok znaleźć można artykuł pt. "Walec nietolerancji w gronie prawicy" poświęcony Hannie Gronkiewicz-Waltz, którą na fotel prezydenta wysunął ZChN. Partia ta - według magazynu "Nowy Men" - to *"nasze ulubione, a do bulu w stolcowej kiszce ugrupowanie"*. Pismo o t o wzywa , ab y w zbliżających się wyborach *"oła sikiem falistym zetchaenowców i ich sympatyków, bo chyba lepszy Ciotogród od Ciemnogradu"*.

TRZY ZASADY BEZPIECZNEGO SEKSU

Dużo miejsca prasa gejowska poświęca AIDS, dlatego propaguje "bezpieczny" seks.

"Co to jest wła ciwie bezpieczny seks?" - Na t o pytani e odpowied a artykuł przedrukowany za francuskim "AIDS/Santé Et Plaisir Gai": *"Toprzede wszystkim odpowiednie stosowanie prezerwatywy podczas penetracji partnera lub gdy samemu jest si penetrowanym"*

W ramach bezpiecznego seksu podaje się także różne i urozmaicone praktyki erotyczne dla gejów *"bez własnej wyobra ni"*:

" - liza si wzajemnie po całym cieie, z pomini ciem odbytu i oł dzi..

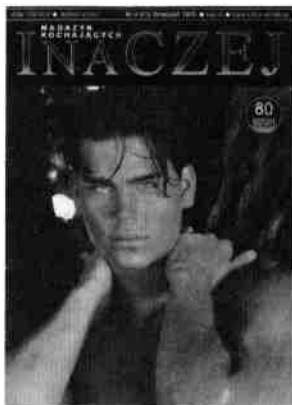
- pie ci ustami lub palcami koniuszki sutków (ci, którzy maj tendencje do tworzenia si wrzodów na sutkach, nie powinni pozwala na ich ssanie);

- wkłada komu lub pozwala na włoenie sobie palca do odbytu, ewentualnie pokrytego zabezpieczeniem - gumow nakładk na palec, gumow r kawic lub prezerwatyw ;

- onanizowa si w dwójk lub w kilku (nie u ywa liny lub spermy jako rodka po lizgowego (...))."

Trzy zasady "Seksu bezpiecznego" poznajemy też z artykułu pt. "AIDS = najpierw się poznajmy". Jego autor polemizuje z tezą, która głosi: *"Najpierw si poznajmy a potem id my do łó ka"*. Pisz e on , że *"bior c pod uwag realia*

ycia (z cai zło ono ci seksu i eksperymentami w tej sferze)", ni e jes t w praktyce możliwe wśród homoseksualistów wzajemne poznanie się przed wspólnym pójściem do łóżka. Dlatego też proponuje on stosowanie zasad safer sexu czyli seksu bezpiecznego. "Oznaczało: 1. stosunek analiz przerwytyw (plus el K-Y), 2. stosunek oralny bez wytrysku w ustach, 3. pie-szczoty, pocałunki, wzajemna masturbacja - do woli. Proste? - pyt a auto ri sam odpowiada :- Proste. A ponadto odpowiedzialne i przyjemne!"



NOWOFALOWA SUBKULTURA M SKA

Po pięciu latach działalności redakcja "Inaczej" doszła do wniosku: "Zdali my sobie spraw , e je li nie chcemy popa w pornografi , musimy pisa o wielu innych - nie tylko czysto seksualnych - aspektach kultury gejowskiej. Iedzili my zatem wydarzenia na gejowskiej scenie wiatowej, przypominali my sylwetki sławnych pisarzy, artystów, pragn c cho w cz ci wypełni luk , nader rzadko dostrzegani przez heteroseksualn krytyk i mass media". Dalej redakcja pisze o goszczących na łamach pisma politykach, że "dzi ki ich wspaniałej postawie - obywatelskiej i ludzkiej - mo emy nieustannie przełamywa stereotyp wi cy homoseksualizm li tylko z praktykami seksualnymi, a zupełnie pomijaj cy aspekt duchowy, kulturowy i socjologiczny zjawiska".

Dwadzieścia stron dalej czytamy opowiadanie pt. „Gorączka barakowozu”: "Jak cztery dzikie bestie wwiercali my si wzrokiem w młodego face-ta, który stał przed nami w swoim brudnym, przepononym kombinezonie murarskim. W ułamku sekundy obalili my go na szeroki materac, zajmuj cy prawie cał podłog naszego barakowozu. Po dliwymi łapami zdzierali my z niego poplamiony, mierz cy T-shirt i wy wiechtane stare d insy. Z pocz tku wyrывał si i krzyczał, jakby zaskoczony, e czterej obcy, onaci jak on

m czy ni, w spodniach nad tych wzwodami, rzucaj si na jego ciało jak wygłodzone s py na padlin . Wiedział jednak, e nienasycony, niemal przesadny pop d seksualny jest jednym z warunków przyst pienia do naszego tajemniczego klubu, a przyj cie nowego członka polega na zbiorowym zgwałceniu go w najbardziej wyrafinowany sposób. Byli my jedn z tych modnych obecnie na Zachodzie nowofalowych m skich grup, które skupiaj onatych m czynn spragnionych fizycznej wi zi z innymi onatymi m czynnami; tych, którym nie wystarczy dziecinnie łagodny i denerwuj co odpowiedzialny seks z on i tak na prawd mog si wyładowa tylko w nieograniczonym m skim pierdoleniu z facetami d cymi dokładnie do tego samego, gdy nie blokuje ich obawa, e mog si okaza zbyt wulgarni czy brutalni, gdy mog sobie pozwoli na to wszystko, o czym marz po nijakim, powierzchownym stosunku z kobiet , a co nigdy nie mogłoby si zdarzy w przyzwoitej mał e skiej sypialni, ba - czego nie dałaby im nawet najbardziej wyzwolona i wyuzdana prostytutka - te jednak kobieta, w istocie swej krucha i delikatna."

Dalej, zgodnie z obietnicą, następuje opis zbiorowego gwałtu, tak brutalnego, że oszczędzę P.T. Czytelnikom szczegółowych opisów tego, w jaki sposób można wejść dziś do modnej grupy nowofalowej.

CZŁOWIEK, KTÓRY WYPRZEDZIŁ EPOK

W ramach deklarowanego przez redakcję „Inaczej” " ledzenia wydarze na gejowskiej scenie wiatowej i przypomnienia sylwetek sławnych pisarzy, artystów" możemy poznać sylwetkę Jeana Daniela a Cadinota - "promieniuj cego energi , elektryzuj cego swoje otoczenie nie tylko filmow osobowo ci re ysera, na którego d wi k nazwiska prze piesz niejedno gejowskie serce". Cadinot jest bowiem twórcą oddzielnej szkoły w gatunku gay video, "bezkonkurencyjnym mistrzem pornofabuly, która stara si skutecznie walczy z banałem, nieuchronnie towarzyszy cym tego typu produkcjom oraz czaj cym si w nich wewn trznym tabu".

Celem pracy Cadinota jest - jak sam mówi - przełamywanie kolejnych tabu, walka z obyczajową pruderią judeochrześcijańskiego społeczeństwa. Cadinot zdaje sobie sprawę nie tylko z wszechobejmującego tabu zewnętrznego, które otacza ciasnym pierścieniem mikrokosmos gay video, ale również tabu wewnątrz branży, tabu drążącego fabularną rzeczywistość od środka.

Dlatego po nakręceniu filmów rzadko spotykanych nawet w podziemnym obiegu amatorów krwi i kauczuku przymierza się do większych produkcji z myślą o wielbicielach zwierząt i ekskrementów.

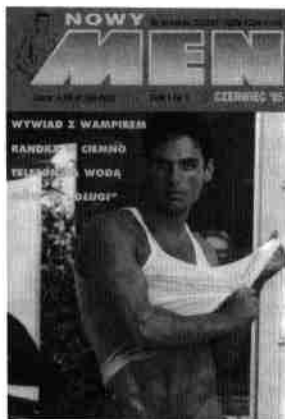
Jak pisz e "Inaczej", "eksperymentalne wycieczki w krain rzadkich perwersji s - czego Cadinot nie ukrywa - wynikiem braku ciekawych tematów. Na pocz tku filmował własne do wiadczenia seksualne, jednak te cho przebogate, w ko cu wyczerpały si i ust piły niczym nie skr powanej wyobra ni, osi gajcej coraz to wy sze stopnie wyrafinowania. Obecnie re yser obserwuje u siebie kryzys wyobra ni, spowodowany by mo e przeeksplowaniem. A jednak nawet zagro ony posuch inwencji, je li chodzi o konfi-

guracje m sko-m skie, o wiadczą z moc , e cho by miał si sko czy jako artysta, to kobiety przed kamer nie wpu ci. "Po prostu nie chc odwała lipy" - wyja nia, daj c do zrozumienia, e kobiet nie czuje w ogóle.

Cadinot nie cierpi nazywania jego twórczości "pornografią" gdyż jest przekonany o jej wysokiej randze artystycznej.

Niedawno rozmawiał we Francji z producentami filmów pornograficznych, by do każdej sprzedanej kasyty z jego filmem dołączyć sztuczny penis, który jest odlewem narządu któregoś z gwiazd porno. Pokazał nawet producentom opracowany prototyp, ci jednak odmówili. Jak komentuje "Inaczej": "Znów Cadinot miał okazję poczu , jak to jest, gdy si wyprzedza epok ".

Z "Mena" dowiadujemy się z kolei o tym, że polscy homoseksualiści



grają w filmach porno za granicą. Z jednym z nich, 21-letnim Jackiem K., odtwórcą jednej z ról w filmie "Chłopcy ze wszystkich stron świata" pismo zamieściło obszerny wywiad:

"- Na czym polega twoja praca w filmie; jeste aktywny czy pasywny? Co robisz najcz ciej?

- Najcz ciej jestem... maltretowany, bo zazwyczaj mnie bij . Pi , spo ród o miu filmów, w których brałem udział było z gatunku tzw. sado-masochistycznych, to znaczy takich, gdzie krew i sperma lej si jednocze nie.

- Z t krwi to chyba przesada... ?

- Naturalnie, krew imituje farba. Jednak s to bardzo m cz ce filmy, bo wiele sekwencji trzeba powtarza i to nieraz dziesi ciokrotnie! Najtrudniejsze s momenty, gdy trzeba sfingowa uszkodzenia ciała, krwotoki i inne tego typu rzeczy".

Pytany, czy nie krępuje się, Jacek odpowiedział, że brał już wcześniej udział w "ró owych balecikach".

PAMI TAJMY O DUPIE !

W 1991 r., znany działacz homoseksualny Sławek Starosta pisał w „Inaczej” o prasie gejowskiej: *"Przesta my, szanowni redaktorzy, udawa , e jeste my lepsi ni jeste my naprawd . Przesta my oczekiwa , i nasi czytelnicy s bardziej pruderyjni ni otaczaj ca nas heteroseksualna wi kszo . Niech nasze piśma b d pismami dla homoseksualistów, a nie homo-aseksualistów. Przecie tzw. społecze stwo nie akceptuje wła nie naszego seksualizmu, wi c mo e pora nim si zaj . Je li rzeczywi cie nasz pedalski wiat kr ci si wokół dupy, to mo e zamiast udawa , e wcale tak nie jest warto wreszcie zacz o tym pisa ? Ko cz c, nie chciałbym zosta odebrany jako bałwochwalczy wyznawca pornografii i seksu, ale stanowi on (szczególnie dla nas) cholernie wa n cz naszego ycia i jeste my zdecydowanie przeciwni zapominaniu o tym. Dlatego nie zapominaj c o reszcie, pami tajmy O dupie..."*

Starosta pamięta. W "Menie", którego był twórcą i do niedawna naczelnym, a obecnie w "Nowym Menie", którego założył i któremu szefuje, znaleźć można masę tekstów potwierdzających to wezwanie. Na przykład dialog w opowiadaniu z cyklu „Historia prawdziwa”:

"- Ale nie b dziesz mi wkładać do dupy?

- Najpierw zobaczmy, jak masz dup .

- Bo ja tego nie lubi .

- Miałem wra enie, e nigdy tego nie robię , wi c sk d wiesz, czy to lubisz, czy nie?

- Nie chc za młodu sobie dupy rozepcha .

- Nie mów hop, póki nie przeskoczysz, nie czy naszego spotkania trudniejszym.

- Ale ja mam brzydk dup .

- Zobaczmy. Jak b dziemy si grzmoci , to zachowamy daleko id c pow ci gliwo ... Podporz dkuj mi si , kurwa, powiedziałem. Nie bój si , nieci si nie stanie. Gdybym ci nie lubił, to nigdy bym si nie zbli ał do ciebie".

W „Menie” aż roi się od podobnych opowiadań:

"- Co ty sobie kurwa my lisz, e z dziwk masz do czynienia? - rykn łem. - Pierdol ciebie i prac . Moja indywidualno jest wa niejsza, (mówi pracownik, którego szef „złapał za jaja na zapleczu” - przyp. red.)

- Przeprasz a to ty mo esz własn mamusi? - chuju jeden! - powiedziałem rozpinaj c rozporek i wyjmuj c z d insów stoj cego ju chuja. Złapałem go za krawat (...) i przyci gn łem w stron krocza.

- Otwieraj jap ! Bierz go do swej spragnionej g by!"

Potem nastąpiła zmiana: *"Jego pała poruszała si w mej dupie szybko i bez czuło ci, które poszły na bok i wwierała mi si pojelita prawie. Ruchał mnie jak kurw z Pigalaka, r n ł mnie jak Jeff Stryker swoich dupodajków - beznami tnie i po m sku".*

I znowu zmiana: *"Złapałem go za krta i cisn łem tak mocno, e a mu oczy z orbit wyszły. (...) - B d grzeczny, chłopczyku, bo ci zajebi , a po co własny pogrzeb w tak młodym wieku?"*

Nie wszystkim czytelnikom tak "ostra jazda" się jednak podoba. Pisze Łukasz z Gdańska: *"musz przyzna , e czytanie Waszego, a mo e raczej "naszego" pisma mo e zbulwersowa nie tylko heteroseksualnych, ale tak e i gejów(...)* Szanujmy siebie, bo je li my sami nie b dziemy siebie szanowa ,

to któ to uczyni?"

"Men" jednak broni stanowczo swej linii programowej: *"chcemy swojej pedałstwo - pokaza je takim, jakim ono jest - bez upi kszania i owijania w bawełn - pisz e redakto r naczelny Sławomir Starosta . - I tu jeste my chyba bardziej konsekwentni ni inne pisma, które najpierw odseksualizowuj gejostwo w artykułach programowych, by zaraz potem czarowa nas ostrymi scenkami seksualnymi w opowiadaniach erotycznych. U nas pedał to homo eroticus. A je li jest inaczej to dlaczego nasi "powa ni" konkurenci zamieszczaj zdj cia gołych facetów?"*

ATLAS MEDYCINY S DOWEJ

Nie można pisać o prasie homoseksualnej, nie wspominając o zdjęciach, które zajmują w niej sporo miejsca. W "Inaczej" i "Filo" dominuje publicystyka i nie ma obrazków pokazujących stosunki homoseksualne. Co najwyżej modele obejmują się, dotykają i całują. Najczęściej jednak zamieszczane są akty. Nierzadko można zobaczyć na nich penisa w stanie erekcji.

O wiele większe zainteresowanie obrazem niż słowem prezentują "Men" i "Nowy Men". Zobaczysz tu można kolorowe fotografie homoseksualnych stosunków oralnych i analnych z drobiazgowymi zbliżeniami anatomicznych detali. Czasami serie zdjęć układają się w foto-story: od spotkania dwóch (czasem więcej) kolegów aż do wytrysku. Niektóre z fotografii bardziej przypominają atlasy medycyny sądowej niż pisma pornograficzne.

W "Menie" znajdują się nie tylko zdjęcia pochodzące z profesjonalnych agencji fotograficznych, gdzie modele dobierane są starannie, ale również obrazki facetów sprawiających wrażenie, jakby przed chwilą ściągnięci zostali z Dworca Centralnego. Pryszczaci, wymoczkowaci, widać, że stremowani przed obiektywem.

Zwraca to uwagę spostrzegawczych czytelników: *"Sznuj c wszelkie gusty, nale ałoby zwraca wi ksz uwag na form i artyzm tych obrazków. Zdaj c sobie spraw z tego, e do zdj pozuj chyba w wi kszo ci amatorzy, którzy nie maj poj cia, gdzie tkwi ich pi kno, nie dziwi si , e zdj cia te s nieciekawe, czasami wr cz wulgarne".*

JAK NA ZACHODZIE

Podsumowując pięć lat wolności, pismo "Inaczej" w 1994 r. stwierdziło z zadowoleniem:

"Geje na Zachodzie o swe prawa musieli walczy przez kilkana cie (je li nie kilkadziesi t) lat - my przez cztery osi gn li my wzgl dnia tyle samo... Dlatego nie powinni my zbytnio narzeka , e na Zachodzie to jest tak pi knie, a u nas tak le".

Wojciech Sammonowicz

RS. Podzi kowania dla Mirka za udost pnienie materiałów do napisania powy szego tekstu.



GRA CIAŁA

Zaczął się to wieczorem, przywiązałem się do ściany utworzonej z ustawionych na sobie skrzyń na węgiel. Miałem wtedy 17 lat. Pościłem przez dwa dni — sprowadziłem siebie do wyniszczonego mechanizmu, godzinami tańcząc z owiniętym wokół nóg, ramion i torsu 95-funtowym łańcuchem, służącym do mocowania ściętych drzew przy ich przewozie. Poszukiwałem doznania, wydarzenia, którego - wiedziałem - nie doświadczyła żadna istota ludzka. Nawet, jeśli by miało oznaczać to śmierć.

Była druga w nocy. Stałem oparty plecami o zimną, drewnianą ścianę, z linami przewleczonymi przez ankry, znajdujące się w trzycalowych odstępach. Przeciągnąłem je od kostek, w górę do zdrętwiałego, ściśniętego pasa. Zawiązałem je bardzo mocno. Czułem się bezradny, przyklejony do ściany.
Spodobało mi się to !

Gdy moje piersi, ramiona i głowa także stały się bezsilne, po prostu czekałem w ciemności, nie wiedząc czego się spodziewać. Byłem zdecydowany pozostać w tym stanie do momentu, aż coś się wydarzy. Moje ciało żądało wytchnienia, snu - ale nie potrafiło się wymknąć z powodu uciskających, niewygodnych sznurów.

Wkrótce jednak przyjemny, ciepły rodzaj odrętwienia zaczął wspinać się w górę moich nóg i ramion, które rozpląnęły się w nicości. Jednak gdy odrętwienie zaczęło przemieniać mój kręgosłup w ośrodek oddechu, wpadłem w panikę. Walczyłem o oddech. To było tak, jakbym się topił. Fale przeżycia przeszły przez wciąż „żywe” części mego ciała. Potężny wysiłek, by uwolnić ramiona i zakończyć ten koszmar, zaowocował tylko cichym skrzypnięciem krępujących mnie sznurów.

Byłem w pułapce, niezdolny wyswobodzić się — skazany przez samego siebie na cokolwiek, co miało przyjść potem. Coś głęboko wewnątrz mnie sprawiło, że nagle stałem się obojętny. Przestałem walczyć. Teraz byłem już tylko widzem, nieświadomym oddychania oraz innych funkcji życiowych. Jedyną rzeczą zdającą się wciąż istnieć była moja głowa.

Nastąpiła wibracja, obracanie się, które zaczęło przybierać na sile. Stawało się coraz mocniejsze i gwałtowniejsze. Z początku nie było to nawet nieprzyjemne, ale już wkrótce odniosłem wrażenie, jakby moje mechaniczne ciało przyczepione było do końca długiego przewodu, zwisającego głęboko w

przepaść. Olbrzym, nad którym nie miałem żadnej kontroli, huśtał przewodem od ściany do ściany, roztrzaskując mnie na kawałki! „Roztrzaskiwanie” stawało się coraz szybsze i silniejsze za każdym bujnięciem.

W szczytowym momencie tego szalonego, niekontrolowanego „roztrzaskiwania”, coś cichutko „pyknęło” wewnątrz mojej głowy. Potem - całkowity bezruch, z cichym pomrukiem w tle. Unosiłem się beztrudno w basenie wypełnionym ciepłym, lepkiem klejem.

Nie wiedziałem, gdzie się znajduję. Ale żyłem, wyzuty z ciała, pozbawiony strachu, bólu i dyskomfortu. Byłem super-pobudzony, czułem się dobrze, jak w momencie po szczytowaniu.

Uświadomiłem sobie, że mogę widzieć. Mętnie i w jakiś inny sposób niż przedtem. Wysiłem ten zamglony wzrok. **Patrzyłem na samego siebie!** Czy raczej, na moje przymocowane do ściany ciało.

Ta część mnie, która myślała, czuła, widziała, słyszała, i reagowała na moje imię, znajdowała się 10 stóp od ściany. Na co ja patrzyłem? Czy na samego siebie? A może na mnie jako widza? Ten paradoks uderzył mnie z potężną siłą. Wtedy, w tym stanie, nic nie brałem na poważnie. Odbierałem to wszystko jako totalną farsę.

Przez jakiś czas badałem moją nową rzeczywistość. Co zadziwiające, w tym stanie miało się poczucie nieistnienia czasu! Wiedziałem, że mogę przemieszczać się do przodu i do tyłu w czasie, z łatwością, z jaką normalnie przechodzę z jednego pokoju do drugiego. Potem zająłem się studiowaniem pozbawionego życia kształtu na ścianie. W pewien sposób był on piękny i darzyłem go wielką miłością. Był on zawsze tak powolny mój życzeniom. Poruszał się wówczas, kiedy tego chciałem, i tam, gdzie chciałem... nie ustawał nawet wtedy, gdy było to męczące lub sprawiało ból.

Później moja uwaga została odwrócona od tego ciała. Pozostawałem w teraźniejszości, gdzie rzeczy do eksploracji wydawały się być nieskończone. Zorientowałem się, że wciąż pozostaję w rodzaju mglistego ciała, ale z pewnością nie było ono fizyczne. Zacząłem iść, potem wleciałem lekko do góry i zacząłem się unosić. Odkryłem, że mogę przejść przez betonową ścianę piwnicy prosto w ziemię tuż poza nią.

Mogę też pomyśleć „światło” i zacząć się unosić w górę, poprzez belki, podłogi i dach, by krążyć wśród drzew. To działa się naprawdę! To było wspa-

nia! Patrzyłem na kota przebiegającego przez pusty plac obok domu. Widziałem ludzi wchodzących do budynków znajdujących się o kilka przecznic dalej.

Pierwsze promienie poranka przeszły piwniczne okno. Powoli dryfowałem z powrotem do ściany ze skrzyń. Nie pamiętając wiele, jakoś odnalazłem powrotną drogę do mojej powłoki, ciągle tam przytwierdzonej. W końcu uwolniła się.

To przepiękne doświadczenie nappełniło kolorami całą moją egzystencję. Od tego dnia chciałem tego rodzaju wolności dla każdego. Czułem się wolny do wyrażania życia poprzez ciało. To było teraz moje własne medium, moje własne, osobiste „żywe płótno”, „żywa glina”. Ono jest do mego użytku. I to jest właśnie to, czego dokonałem przez ostatnie 30 lat. Nauczyłem się posługiwać ciałem. Ono jest moje, i twoje, **by si nim bawi** /Po tym przeżyciu napisałem wiersz:

*Wetknij swój palec w Czerwie ,
Poczuj czucie przez.
I gdy czucia ju nie ma,
Poczuj nie-czucie te I*

Wywiad z Fakire m Musafare m
Kristine Ambrosia i Joseph Lanz

Chciałbym zacząć od tego, jak to się wszystko zaczęło, jak długo twoja forma ewoluowała, czego ostatecznie poszukujesz i jak daleko już zaszedłeś ?

Sądzę, że pierwsze przesłanki dotyczące tego, że różniłem się od innych i że miałem coś takiego wewnątrz siebie, co potrzebowałem wyrazić, pojawiły się około czwartego czy piątego roku mojego życia. Zawsze byłem dziwnym dzieckiem. Skupiałem na sobie wiele uwagi, ale zawsze czułem się jak obcy. Nie pasowałem. To manifestowało się różnymi zdolnościami. Zapadałem w stany transowe. Dorośli zmuszali dzieci do siedzenia bez ruchu; więc wytworzyłem w sobie zwyczaj gapienia się na ludzi. Gdy gapiałem się na dorosłych, ich głowy zaczynały się zmniejszać, a oni zanikali w odległości. Ich głosy były rzeczywiście bardzo niewyraźne. Potem powoli powracali, rozmawiając w zupełnie innym języku, byli innej rasy, czasami innej płci, kompletnie inne osoby. Widziałem te same istoty, ale w inny sposób niż wtedy, gdy znajdowały się w fizycznej rzeczywistości pokoju. Bardzo często, szczególnie pod pre-

sją sytuacji towarzyskich, automatycznie zapadałem w stan kataleptyczny. Bardzo się tego bałem. Kiedy wyczuwałem, że to nadchodzi, uciekałem do jakiegoś spokojnego miejsca. Posiadałem naturalną zdolność trzymania się z dala od nudy towarzyskich wydarzeń.

Z początku wyrażałem to jako zachcianki. Bawiłem się z małymi dziećmi, a w sąsiedztwie w którym żyłem, mieszkali głównie małe dziewczynki. Wszystkie te dziewczynki zwykły wałęsać się po podwórzu; byłem skończonym, parszywym dyktatorem, mówiłem im dokładnie co mają robić i one to robiły.

Czy miało to podtekst seksualny ?

Nie, nie w tym wypadku. To było przed okresem dojrzewania. Byłem małym panem i władcą. Zwykłem urządzać gry. Mieliśmy mały garaż z tyłu mojego domu. Te gry były dziwne, erotyczne i pełne sadomasochizmu. Miałem także inne zachcianki. Jednymi z najlepszych momentów dzieciństwa były soboty, kiedy byłem zmuszony uczęszczać do luteranńskiej szkoły kształcenia religijnego (Lutheran religious instruction school). Musiałem znosić cierpliwie tę nudę... Przy okazji zostałem wychowany w rezerwacie dla Indian. W drodze powrotnej z tej szkoły przeżywałem te wszystkie szalone przygody w różnych zakątkach świata. Po drodze mijałem sklep blacharski, gdzie zwykłem podnosić kawałki złomu, sztylety, miecze i wbijałem je w innych ludzi oraz czułem przymus wbicia sztyletu w siebie. Ostre obiekty zawsze były główną cechą moich fanatazji. Zawsze inscenizowałem w moich grach małe rytuały inicjacyjne.

To ja przewodziłem inicjacji moich małych krewnych, zmuszałem ich do chodzenia gołymi stopami po bardzo ostrym żwirze. Musieli w rękach trzymać bardzo ciężki drewniany kołek, a ja waliłem w niego jeszcze większą pałką, do momentu aż się złamał... wtedy miałem 8 czy 9 lat... Potem lubiłem podduśzać ludzi. Używałem do tego bomb kurzowych, szczególnie w moim zakurczonym garażu, gdzie znajdował się najlepszy kurz na świecie. Bomby te, przytwierdzone cienkimi sznurkami do sufitu, czasami nieoczekiwanie spadały na ludzi.

Kiedy zaczął sobie zdawać sprawę z własnego bólu?

Z początku czułem obsesję i przymus robienia pewnych rzeczy, które po prostu nie zostały zrobione. Nie miałem żadnego doświadczenia, żadnego kontaktu z książkami, które mogłyby mi powiedzieć, jak to robić. Na samym początku był to kraj Indian, doszedłem do dużej wprawy w utożsamianiu się z ich miejscami. Wychodziłem na dwór i znajdowałem indiański kopiec, dotykałem go lub siadałem na nim i mogłem tak trwać godzinami i niemal żyć

życiem tych, którzy byli tam pochowani, czuć to wszystko, co czuli oni. Czuję także potrzebę wykonywania tańca słońca, przymocowania sznura do ozdoby wkutej w ciało i ciągnięcia go aż do przerwania skóry. Kiedy miałem około 14 lat, zrobiłem to po raz pierwszy i zdawało mi się, że dokładnie wiem co robię.

Odwiedzałem indiańskie miejsce zwane James River... rysowałem magiczny symbol na topoli, był to magiczny krąg. Odkryłem, że jestem uodporniony na nakłuwanie. Na początku rzuciłem wyzwanie szpilce, wbiłem ją sobie w skórę, wniknęła w głęź, nie było to takie złe... Było to po prostu sprawą samokontroli. Na tym etapie nie miało to żadnego seksualnego kontekstu... po prostu coś, co musiałem robić. Potem zacząłem pracować nad sposobem wykorzystania doznań seksualnych. Jeślibyś potrafił to zrobić, w końcu wykroczyłbyś poza sam seks. Sadomasochizm skupia najbardziej doświadczonych i najbardziej zacofanych ludzi. Możesz znaleźć się w odmiennym stanie uprawiając seks. Gdy zaowocuje orgazmem, to nigdy nie odkryjesz, że jest większa ekstaza, wychodząca poza tą, którą właśnie przeżyłeś. Bez udziału seksu nigdy byś tam nie dotarł, ale musisz to przekroczyć, cofnąć się do nieświadomości, do czującego ciała, do ciała płynnego, do kinochy... erotyzm jest najlepszą możliwą drogą, by osiągnąć Boga, by przedostać się do następnego świata. Bez seksualnego podniecenia niemożliwe byłoby dla nas oderwanie się od ludzkiej kondycji. Gdybyśmy jednak tam utknęli, to okazałoby się to ograniczeniem. Jeśli przeciągasz to do maksimum, zaprzeczasz fizycznemu orgazmowi, robisz konstruktywny użytek z seksualnej energii.

W Indiach istnieje technika suchego orgazmu, która wykorzystuje piak zwany Suka. Podniecasz gościa tak, że mu mocno stoi i stan ten utrzymywany jest codziennie przez miesiąc lub dwa. Fiut wygląda na spuchniętego i jest obrzydliwy. Może mieć 2 cale szerokości i 12 długości; gdy cała opuchlizna zniknie, fiut jest dwa razy większy niż na początku. Używa się do tego wąskiego kawałka drewna, który nakłada się na przyrodzenie i masuje, lecz nie można osiągnąć orgazmu, ponieważ uciska zbyt wąsko. A jeżeli osiągasz orgazm, to jest on suchy. Istnieje wiele takich technik. Wśród Indian Ameryki Środkowej i Południowej są pewni mężczyźni, a w Indiach pewni sadhus, którzy się tym zajmują. Wybiera się młodych chłopców i obciąża się im penisy, utrzymuje się je w tym stanie nawet przez miesiące; organ się wydłuża i staje się zdrętwiały, nerwy są za bardzo rozciągnięte i członek traci zdolność erekcji. Bezpośrednim rezultatem tego jest to, że chłopcy ci wznoszą się na wyższy poziom erotyzmu bez fizycznego orgazmu. Są oni w stanie osiągać znacznie wyższy pułap ekstazy, z możliwością jej przedłużania. Wszystko, co składa się na życie, to odczucia lub ich brak; tak długo, jak pozostajesz w ciele, możesz doświadczać tylko tych dwóch stanów. Tendencją kultury zachodniej jest trzymanie ludzi w ich skorupach, gdzie nie są wystawieni na nic, co może dostarczyć doznań. A jeżeli już będzie im dane coś przeżyć, to będzie coś

marginalnego i w pełni kontrolowanego. Cały nacisk cywilizacji zachodniej położony jest na zmniejszanie odczuć. Kiedy mają do czynienia z małą dozą doznań, myślą, że jest ona bardzo duża. Lecz inne kultury rozwinęły sposoby świadomego poddawania się uczuciom i przedłużania doznań.

Czy uwaasz termin „masochista” za negatywny? I czy jest on słuszny?

Dla mnie jest to określenie pozytywne, ale przez naszą kulturę jest postrzegane jako coś negatywnego. Czasami jest to mylące. Są dwa aspekty tej sprawy. W tej kulturze występuje coś takiego jak negatywny masochizm. Można łatwo wskazać kto jest określany tym mianem, przeważnie dzięki terminom, jakich używają oni względem siebie. Rozróżnia się trzy różne określenia, są nimi: S&M, B&D, oraz D&S. W S&M ludzie skupiają się na czymś fizycznym, zaangażowanie się wyrażone jest jako coś fizycznego. Po prostu wiąże się kogoś, używa łańcuchów, batów itd. B&D z kolei jest dziedziną należącą prawie w całości do heteroseksualistów. Jest ona bardzo nieokreślona, niektórzy z nich sprowadzają to tylko do fizyczności, ale nie wszyscy. Wiąże się z tym dużo psychicznego cierpienia, lżenia drugiego. Wreszcie dochodzimy do D&S - do dominacji i posłuszeństwa (dominance and submission). Ludzie ci zajmują się prawie wyłącznie sferą emocjonalną, jak postępowanie się mową czy poniżanie. Jeżeli chodzi o dowiadczonych praktyków sadomasochizmu, to oni także włączają w swoje praktyki elementy poniżania. Ale może to mieć tylko charakter fizyczny.

To, czym ja się zajmuję, nie ma nic wspólnego z trzema wymienionymi wyżej technikami, ale dla sadomasochistów może to wyglądać identycznie, jak to co robią sami. Moja praktyka jest czynnością religijną, należącą do innych kultur. Tak się stało, że zacząłem ją stosować w kulturze, która nie ma pojęcia o istnieniu czegoś takiego, i nie posiada żadnej definicji, która by to opisywała. Lecz wielu ludzi pozwala na określanie swoich fantazji mianem sztuki. To, co robię, nazywam „grą ciała”, ponieważ używam ciała do wejścia winny stan.

Jaka jest różnica między sadyzmem a masochizmem? Niektórzy mówią, że różnica między nimi jest bardzo niewyraźna. Czy istnieje jakaś konkretna różnica?

Nie istnieje żadna różnica. Generalnie chodzi o te same odczucia. Są tacy, którym została przypisana pewna rola. Na przykład w mojej powieści „Ksiądz bólu” nie jest sadystą do momentu, kiedy zostaje dopuszczone intensywne i długoterminowe uprawianie masochizmu. Ci, którzy odgrywają znaczącą rolę wśród profesjonalistów w tej dziedzinie, mieli w swoim życiu okres, w którym byli niewolnikami czy masochistami. Nie sądzę, aby było dane czło-

wiekowi być dobrym panem lub sadystą, dopóki nie jest się masochistą. Ale to wykracza poza S&M. Gdy osoby dominujące zaczynają robić rzeczy wychodzące poza potrzeby i przyjemności osób uległych, nie są już sadystami. To jest brutalność, okrucieństwo. S&M opiera się na porozumieniu, zgodzie biorących w tym udział. To, co ja robię, jest całkowicie zaakceptowane. Ten, który wydaje się być sadystą, będąc na górze, mistrz ceremonii, wcale nie jest jej mistrzem, tak naprawdę gra małą rolę. Gwiazdą przedstawienia jest ten, kto przechodzi przez to wszystko.

*Czy czytała Wenus w futrze Sachera-Masocha? Opowiada on tam o zwi-
kach kontraktowych. Prowadzi show, w którym masochista dyktuje scenar-
riusz.*

To prawda. Sam zagrałbym sceny z "Ksi cia bólu". Jo byłoby cholernie ciężkie. Po 24 godzinach z moim tzw. niewolnikiem byłbym totalną ofiarą jego fanaberii. Przeżyłem ciężkie chwile odkręcając to wszystko. Musiałem być bardzo twardy. W tym rodzaju treningu, jaki prowadzę, lubię, gdy wszystko jest dobrowolne. Pracuję z ludźmi, którzy używają swego fizycznego ciała do wykraczania poza życie fizyczne. Żyjemy w najniższym stanie świadomości, w jakim można w ogóle żyć, szczególnie w kulturze zachodniej. To pokolenie „ja”, żyjące w najniższym stadium, gdzie wszystko jest skoncentrowane na zewnątrzności, gdzie nie odczuwa się żadnych doznań w tym ciele poza samym ciałem. Jest to pokolenie totalnie stracone. Sądzę, że jesteśmy w przededniu rewolucji. Cichej i osobistej rewolucji.

Jeżdżę do Gauntlet Enterprises, o którym nigdy nie myślałem, że do czegoś takiego dojdzie. Jak może sześciu ludzi zarabiać na życie, robiąc kolczyki do sutków? Ale - o dziwo - wygląda na to, że gdybyśmy mieli koncesję w większych miastach, to moglibyśmy zarabiać miliony dolarów rocznie. Tam jest popyt. Jest wiele rzeczy, których ludzie dziś potrzebują. Potrzeby nie są zaspokajane. Lakier cywilizacji pokrył to, co mogłoby być środkami zaspokajania ludzkich potrzeb i zachcianek; gwałtownych, podstawowych uczuć, które w nich drzemią. Ale ten lakier pęknie. Już jest w procesie pęknięcia. Fakt, że zajmujemy się przekłuwaniem ludzkich ciał i umieszczaniem w nich ciężkich krążków, i że ludzie czerpią z tego przyjemność, i ja nie wiem o co tu chodzi, jest wskazówką. Około 8 czy 9 lat temu ekscentryczny milioner używający pseudonimu Doug Molloy zgromadził około 7 czy 8 ludzi ze Stanów Zjednoczonych oraz kilku ludzi spoza kraju, którzy podniecali się seksualnie kolczykowaniem ciała. My wszyscy byliśmy zakolczykowani przez siebie, mieliśmy kolczyki na genitaliach, sutkach... ja miałem najbardziej odjechane. Nie mieliśmy pojęcia, że poza nami na świecie istnieją tacy ludzie. Ale ten facet organizował wiele razy takie spotkania w Los Angeles i odkryliśmy, że ten typ

odjazdu nie jest prywatny, ale uniwersalny. Każdy zdawał się żywić jakieś uczucia w stosunku do tego. My wszyscy odkryliśmy nowe sposoby najlepszego kolczykowania... Jim Ward okazał się wówczas niezłym rzemieślnikiem - jubilerem, więc został wyznaczony do wyrobu tych rzeczy. Zastanawialiśmy się: co czyni kolczyki dobrymi? Co byś wkł w język, a co w policzek? Tak powstał Gauntlet. Parę lat później założyliśmy czasopismo o tej tematyce i otrzymaliśmy spory odzew. Wielu ludzi było zainteresowanych. W końcu mały, miły sklepik w Los Angeles. Wszystko wydostało się spod kontroli. Ludzie wchodzący i wychodzący, kupujący biżuterię, kolczykujący się. Nigdy nie sądziłem, że do tego dojdzie. Pęknięcie na lakierze.

Czy nie s dzisiaj, e to mo e by tylko chwilowa moda? Czasami nie mo na odró ni zwykłego wirusa z Marin County od...

Nie, to już trwa długi czas i stale się powiększa. Ludzie z całego świata wiedzą o nas. Francja, Niemcy... Przyjeżdżają z San Francisco, Vancouver. Gdzie indziej dziewczyna mogłaby sobie zakolczykować łechtaczkę ?

Co z religijnym i społecznym znaczeniem masochizmu? Ludzie mog si zastanawia , czy „nie jest to niszczeniem indywidualizmu ?” Czy nie jest to odbieraniem nam osobowo ci i robieniem z nas cz cjakiej masy?

Bzdura. To jest dokładnie coś odwrotnego. Jest to wyrażanie indywidualnych potrzeb. Niejeden się kolczykuje, tatuuje, czy zmienia swoje ciało w jakiś inny podobny sposób. To są ci najodważniejsi, na samym czele tej nowej fali. To są ludzie, którzy nas poprowadzą w następny wiek. Jak ja to widzę, w końcu zaczęło się pojednanie. Wychodzenie ze średniowiecza i kultury europejskiej oraz fuzja nauki i magii. To się dzieje tu i teraz. Ten cały pęd sprowadza się do pytania: „co to jest ciało?” W kulturze zachodniej jest taka świadomość ciała, że ludzie nie wiedzą, że oni żyją tylko w nim. Jedynym momentem, w którym to sobie możesz uświadomić, jest zaczęcie kolczykowania się, tatuowania, bawienia się z nim, zmieniania go. To jest jedyna możliwość na zaczęcie dowiadywania się kim jesteś. Krótka chwila, w której igła przechodzi przez twoje ciało, daje ci możliwość pojęcia tego kim jesteś. Igła przechodzi przez moje ciało, ale nie przechodzi przeze mnie - dlatego nie sprawia bólu.

My okryli my nasze ciała tajemnic ...

Znajdujemy się w najniższym stadium świadomości, jakie tylko istnieje. Nawet zwierzęta mają wyższy stan świadomości niż większość tych ludzi, którzy biegają wokoło ubrani w trójrzędowe garnitury .

Czy sednem sprawy jest przypomnienie sobie o moralno ci?

Chodzi o to, że pojęcie moralności i niemoralności jest rozpieprzone i bardzo nierzeczywiste. Wszystko się zaczęło wraz ze św. Pawłem i wypaczeniem nauk Chrystusa. Jezus, tak jak wszyscy inni oświeceni, pokazał ludziom jak żyć, aby wyjść poza to w czym byli. Podobnie Budda, Lao Tsy. Gromadzili oni wokół siebie tłumy ludzi, a było tylko kilku najbliższych, którzy wiedzieli co ich mistrzowie robią. Wkrótce ludzie dorabiali swoje interpretacje i zaczęli czcić osobowości. Oni wypadli już z toru i nigdy niczego nie odkrywają. Są to tzw. prymitywni ludzie, którzy są bardzo zaawansowani technicznie. Ponieważ posiadają wiele różnych technologii różniących się od naszych, nie oznacza to, że nie przodują na różne sposoby. Indianie...ja jestem Indianinem, wstąpiłem w to ciało, to jest drugi raz, kiedy świadomie wszedłem do ciała. Byłem na ziemi przez długi okres czasu. Nie ulegałem reinkarnacji. Nie odchodziłem do otchłani, ani nie powracałem do tabula rasa. Powracałem wraz ze wszystkimi wspomnieniami i doświadczeniami, jakie miałem wcześniej. To dlatego byłem dziwnym dzieckiem. Byłem obcokrajowcem w obcej kulturze, moje morale należało do innej kultury i musiałem nauczyć się przystosować, bez wylądowania w wariatkowie. Myślę, że udało mi się to całkiem nieźle.

Czytałem o Stellarcu. I naprawd nie wiem, jak du o w was jest pokrewnego.

Chciałbym się z nim spotkać, ale on nie spotka się ze mną. On nie chce się spotykać z nikim, kto się tym zajmuje. Sądzę, że on myśli, że to jest ubieganie go. Sądzę, że on jest jak tych dwoje ludzi, których zebraliśmy jako pierwszych z kolczykami, którzy myśleli, że każdy z nich jest jedyny w swoim rodzaju i nikt się do niego nie przyłączy. To jest sztuka, a on robi coś innego.

On podkre la fakt, e jest to artystycznym do wiadczeniem, i jak tylko to przeczytałem, to pomy lałem: „jakie to jest bur uazyjne”. On robi ten klasowy podział na ludzi, którzy wychodz ze swoich buduarów, patrz i rozmawiaj o...

Ja myślę, że on sam siebie oszukuje. Napisałem recenzję z jego książki dla magazynu Piercing Fans International. Podziwiam to, co robi. Jest to człowiek z niesamowitą ikrą, ale sądzą że jego cywilizacyjny lakier nie został wyskrobany do końca. On czuje się winny z powodu tego, co robi i próbuje to racjonalizować. O ile wiem, robi to raczej w sposób skryty, nie ogłasza tego. Ma trochę obserwatorów o równym stopniu mistycyzmu. Jest w stanie znieść te rzeczy dłużej niż to czyni na codzień. Pomysł wiszenia na haku do mięsa zaczerpnął z książek czy magazynów pokazujących te techniki na Cejlonie. Ci ludzie robili to z mistycznych i religijnych powodów, on temu zaprzecza.

Gdy jesteś powieszony na tyłu hakach na ilu jest on, spokojnie możesz wisieć przez cały dzień, a on robi to tylko przez półtorej minuty, pół godziny... bardzo krótkie okresy czasu. Jeżeli by wisiał przez dłuższy czas, to mógłby mieć mistyczne przeżycia. Nie mogę przestać o tym myśleć, że mógł mieć jedno takie przeżycie lub być na jego granicy i tak go to wystraszyło, że skrócił czas wiszenia i nazywa to sztuką.

Stellarc twierdzi, że ciało jest przestarzałe. Struktura naszej kory mózgowej nie jest w stanie sprostać technice, którą wytworzyli my. Tak naprawdę nie możemy tego wszystkiego zaabsorbować. Jego wyjście z sytuacji to modyfikacja naszego ciała za pomocą technologicznych środków, sztucznie...

To jest ta jego racjonalizacja. To bzdura.

To mnie martwi, ponieważ on wkłada duży ciężar w zachodnią technologię, w to, co ludzie robili przez tysiące lat...

Dlaczego nie mieć wiary w zachodnią technologię? Z drugiej strony on odkrył coś innego. To, co go interesuje, to technologia magiczna. Sztuka wiszenia na haku cejlońskich Hindusów to jedno, starożytni Drawidianowie są znowu czymś innym. Albo taniec słońca Indian północnoamerykańskich czy ceremonia O-Kee-Pah. Miejsce, w którym Stellarc zatracił istotę rzeczy, jest miejscem, gdzie się z nim łączę. My nie musimy się martwić tym, że staniemy się niespełna rozumy. My łączymy naukę z technologią. Gdy słucha się paplaniny najlepszych dzisiejszych fizyków, to można zauważyć, że dochodzą do punktu, w którym brzmią jak alchemicy. Osiągnęliśmy moment, w którym możemy syntetyzować magię, technologię i naukę.

Technologia naukowa jest oparta na identyfikacji ciała, więc wszystko, co robisz, musi być dokonane przez powierzchowność. Jeżeli chcesz przemieścić górę, to najpierw musisz wynaleźć silnik parowy, potem koparkę i musisz je wytworzyć w fabryce. Indiańskim sposobem na przenoszenie góry, dzięki magicznej technologii, było usiąść tam i osiągnąć bardzo mocny trans, robił to guru albo szaman... patrzysz się na górę i widzisz ją gdzie indziej, a pewnego dnia ona rzeczywiście się tam znajduje. Oba te sposoby przenoszą górę. W nowej erze, z tą fuzją, odkryjemy, że pewne technologie nadają się lepiej do wykonania jednych prac, a inne do drugich. Nauka może wymyślić klimatyzację, ale może nie zapewnić zmiany ludzkiego ciała dla nagłych potrzeb.

na podst. "Apocalypse Culture" (New York 1987) tłumaczył Piotr Terlecki



MOJA PEDERASTIA

(rozmowa z Dariuszem K.)

D.K.- Miałem trzynaście lat. Wyszedłem wieczorem z domu i zacząłem szla-jać się po parku. Miałem nadzieję, że zaczepi mnie ktoś starszy, nie w moim wieku, ale właśnie starszy, nie kobieta, ale starszy obcy mężczyzna. Nie wiedziałem, gdzie tacy faceci się spotykają, ale słyszałem, że łażą po parkach. Chciałem spróbować, czy jestem zdolny to zrobić, chciałem sprawdzić, czy to jest to, czego szukam.

FRONDA: - *To było jak miało trzynaście lat. A co było wczyniej?*

- Kiedy byłem bardzo mały, znalazłem w domu pisma pornograficzne. Wtedy nie wiedziałem jeszcze co to jest. Rodzice przede mną tego jakoś nie ukrywali, ciągle to gdzieś odnajdywałem. Po pewnym czasie podczas oglądania świer-szczyków zaczęły mi przychodzić jakieś fantazje seksualne. Potem zacząłem onanizować się. Miałem wtedy jakieś sześć-siedem lat. Przez długi czas my-ślałem, że jestem jedynym człowiekiem na świecie, który to robi. Marzyłem o tym, żeby ukazała mi się choć jedna osoba na świecie, która robi to samo. Strasznie się jednak bałem, że jeśli ktoś się o tym dowie, to stanie się coś strasznego, że zostanę ukarany, czułem, że jest to coś wstydliviego, upoka-rzającego. Dopiero w czwartej klasie na zajęciach ZPT usłyszałem przypadkowo rozmowę kolegów, którzy opowiadali sobie o "waleniu konia". Nie wie-działem, co to znaczy; wytłumaczyli mi. Podniosło mnie to na duchu, ale z drugiej strony byłem przerażony, że mówią o tym tak swobodnie i tak wulgarnie. To mnie jeszcze bardziej odepchnęło od chłopców w klasie.

- Jeszcze bardziej?

- Ja w ogóle nie bardzo lubiłem się bawić z chłopakami, nie lubiłem grać w piłkę, chodzić po drzewach, rzucać kamieniami. Wolałem przebywać z dziew-czynami, skakać w gumę albo grać w klasy. Chłopaki w klasie przezywali mnie, że jestem "babiaryz" i "maminsynek". Być może wynika to z tego, że mojego ojca całymi dniami nie było w domu, bez przerwy pracował. Mną zajmowała się mama i babcia, kobiecości miałem w domu potąd (*pokazuje palcem powyżej głowy*). Ciągle tylko kobiety, kobiety, kobiety. Ojciec, jak przy-chodził do domu, to zamykał się w pokoju i odpoczywał. Mnie zresztą za bardzo nie lubił, uważał za mięczaka i mazgaja. Wolał mojego brata, który był bardziej chłopakowaty. Nie miałem z nimi dobrego kontaktu.

- Czy miało z powodu onanizmu wyrzuty sumienia, e popełniasz grzech?

- Na początku nie wiedziałem, że to grzech. Dopiero kiedy przygotowawali-śmy się do Pierwszej Komunii, to każdy na religii dostał modlitewnik i przed pierwszą spowiedzią trzeba było zrobić rachunek sumienia. Przy szóstym przy-kazaniu było pytanie: czy popełniałeś grzeszne czyny samotnicze? Wtedy

zrozumiałem, że jest to grzech. W tym czasie onanizowałem się coraz częściej. Na początku było to przypadkowo, od czasu do czasu, na przykład podczas kąpeli, potem coraz częściej, nawet po kilka razy dziennie. Pamiętam, że jak oglądałem zdjęcia pornograficzne, to zawsze bardziej zwracałem uwagę na mężczyzn niż na kobiety. W jakimś podręczniku o dojrzewaniu czytałem coś na temat homoseksualizmu. Były tam jakieś przestrogi przed starszymi panami, którzy mogą zaczepiać chłopców na ulicy. Pamiętam, że zamiast odstraszać, raczej mnie to pociągało. Wydawało mi się, że to nic strasznego i że mógłbym to robić.

- Spowiadałeś si czy zatajałeś grzechy?

- Spowiadałem się, ale tylko do trzynastego roku życia. W szóstej klasie przestałem chodzić na religię. Powód był prozaiczny. Siostra poprosiła nas, żebyśmy zrobili na religię jakieś robótki techniczne. Ja nie chciałem i powiedziałem sobie, że nie zrobię i nie przyjdę. Przestałem przychodzić też do kościoła. Skończyła się modlitwa, spowiedź, msze. Moi rodzice nie przejmowali się tym. Ja czytałem książki o dojrzewaniu, gdzie było napisane, że onanizm jest naturalną czynnością, która pozwala rozładować popęd seksualny, a jego tłumienie tylko pogarsza sytuację. No więc rozładowywałem.

- W tym samym mniej wi cej czasie poszedłeś do parku.

- Obszedłem ten park i nie spotkałem nikogo. Byłem bardzo zawiedziony: miałem wizję kolejnego wieczoru sam na sam ze sobą. Wracałem smętny do domu, gdy nagle zaczepił mnie jakiś facet. Zapytał, czy nie chciałbym zarobić trochę forsy. - Pięćset złotych - zaproponował. To już było na moim osiedlu, pod ciemnym wiaduktem, żadnych lamp, sceneria jak z kryminału. Nie widziałem jego twarzy, czułem tylko, że był trochę podпиты. Od razu wiedziałem o co mu chodzi.

- Zgodziłeś si ?

- Tak... Poszliśmy w krzaki za wiaduktem. Było tam kompletnie pusto i ciemno. Gdyby chciał mnie zamordować, nikt by mu w tym nie przeszkodził. Doszło do czegoś w rodzaju... początków aktu seksualnego. Potem zaproponował mi pełny stosunek - i wtedy przeraziłem się. Pomyślałem sobie, że jeśli to zrobię, to mnie określi na całe życie, że będę już taki na zawsze. Poza tym przestraszyłem się, że ten facet może mnie zapamiętać i potem szantażować, żebym to z nim robił. Pomyślałem też, że może jest chory i mnie zarazi. Wszystkie te myśli pojawiły się nagle naraz i nie wiedziałem co robić. On zauważył, że się waham, zaczął mnie namawiać jeszcze bardziej. Wtedy zachowałem się jak prostytutka i kazałem mu podnieść stawkę do tysiąca. Zgodził się, ale ja ciągle się wahałem. I wtedy nagle... przejechał nad nami pociąg. Zacząłem uciekać zapinając spodnie. On biegł za mną i coś krzyczał. Zasuwałem ostro, że mało nog nie pogubiłem. Jak tylko przybiegłem do domu,

natychmiast odczułem potrzebę obmycia się. Zacząłem od zębów. Szorowałem je bardzo długo, domyślasz się dlaczego. Przez dłuższy czas bałem się, że będzie po mnie widać, że to robiłem. Wydawało mi się, że jakoś zmieniło mnie to z wyglądu. Na długo miałem dosyć tego typu przygód, tak było to upokarzające i przerażające.

- *Wi c nie sprawiło ci to przyjemno ci?*

- Sprawilo, i to nawet sporo, mimo ze facet byl duzo starszy i troche podpity. Bolalo mnie jednak, ze nie byl to jakis piekny kochanek, z ktorym mozna sie gdzieś razem pokazac, ktorego mozna pokochać, ale jakis obleśny typ. Poza tym, wiesz, jak wyobrazasz sobie swój pierwszy raz, to marzysz o pięknych wnętrzach, nie mówię o luksusach, ale żeby było przytulnie i swojsko, a to odbyło się w jakichś potwornie prymitywnych warunkach.

- */ to bylo takie upokarzaj ce i przera aj ce, jak mówisz, e zupełnie zagłuszyło przyjemno ?*

- Nie... Najgorsze było, że robiłem to, co ten facet chciał ode mnie. Wynająłem się; byłem jak prostytutka. On mnie nie zapytał: - Czy chcesz poznać miłość między mężczyznami? On zapytał: - Czy chcesz zarobić?. I ja się zgodziłem, spełniałem jego zachcianki, mówił: zrób to, zrób tamto - i ja to robiłem. To była niesamowita przyjemność, ale przyjemność przerażająca, bo czysto fizyczna, podczas gdy psychicznie czułem się fatalnie. Byłem jak kawał mięsa służący do zaspokajania przyjemności. Pragnąłem tego, ale się brzydziłem. Klębiło się we mnie jak cholera.

- *Powiedziało , e na długo miało potem do .*

- Ograniczałem się do onanizmu, ale coraz bardziej intensywnego - po kilka razy dziennie. Zakolegowałem się też z jednym chłopakiem w klasie, który również się onanizował. Spotykaliśmy się razem, naszym rodzicom mówiliśmy, że odrabiamy lekcje, a sami wspólnie oglądaliśmy świerszczyki i onanizowaliśmy się. To trwało dwa lata, przez całą siódmą i ósmą klasę. Próbowałem rozglądać się za dziewczynami, ale raczej, żeby się zamaskować. Nie czułem potrzeby związania się z dziewczyną. Przerażało mnie wiele rzeczy, na przykład, że jak jakiś facet będzie zaczepiał moją dziewczynę, to ja będę musiał się z nim bić. Nie mogłem wziąć na siebie takiej odpowiedzialności, że on pobije i mnie, i ją. Nie wiedziałem poza tym, co robić, gdy jest się sam na sam z dziewczyną jako jej chłopak. Myśl o takiej sytuacji paraliżowała mnie. Co innego z tym kolegą - onanizowaliśmy się i wszystko było jasne. Próbowałem rozeznąć, czy on nie jest taki jak ja; raz namówiłem go nawet, żebyśmy zrobili to sobie nawzajem, ale kiedy robiłem delikatne sugestie, że może by tak coś więcej, nigdy tego nie podchwytował.

- *Potem sko czyłe podstawówk ...*

-... i poszedłem do szkoły średniej. To była dla mnie szansa, żeby zerwać z opinią mazgaja i maminsynka. Od samego początku zacząłem trzymać z dwoma największymi chojrakami w klasie i sam grałem niezłego zucha. Jest to, jak wiadomo, okres chodzenia z dziewczynami. Ja też trochę próbowałem, ale nigdy mi nie wychodziło. Jakieś niewinne pocałunki, nic więcej. Z jedną dziewczyną chciałem być na dłużej, ale ona mnie nie chciała. Zastanawiałem się, kim ja właściwie jestem: hetero- czy homoseksualistą i cała ta sytuacja coraz bardziej utwierdzała mnie w przekonaniu, że dziewczyny to nie dla mnie. Pamiętam, że wielkie wrażenie wywarła wówczas na mnie książka Manuela Puiga "Pocałunek kobiety-pająka". Było w niej napisane, że orientacja biseksualna jest optymalna, gdyż jest najpełniejsza, najbardziej wolna, a wszelkie zakazy to bzdury i przeżytki. To bardzo do mnie przemówiło. Sfera seksualna była wtedy dla mnie najważniejsza, to było jakieś apogeum człowieczeństwa.

- / *nigdy nie miała adnej dziewczyny?*

- W wieku dziewiętnastu lat zaprzyjaźniłem się z jedną bardzo dojrzałą dziewczyną i po maturach pojechaliśmy nawet wspólnie na wakacje. Była to jakby próba, czy możemy być razem. Bardzo dużo dawały mi rozmowy z nią, lubiłem przebywać w jej towarzystwie. Pamiętam, że był taki moment, że czułem, że powinienem zachować się w stosunku do niej jak mężczyzna. Ja jednak się wystraszyłem. Następnego dnia przeżyłem swój homoseksualny przełom.

- *Jak do tego doszło?*

- Poszedłem z nią do znajomych i tam poznałem pewnego chłopaka... Dziwne o tym mówić, ale.. zakochałem się od pierwszego wejrzenia. Moja przyjaciółka powiedziała, że kiedy on wszedł do pokoju, to zrobiłem taką minę, jakbym miał dostać zaraz zawału... Był strasznie delikatny, taki dziewczęcy, bardzo uduchowiony. Poszedłem z nim na spacer, łąziliśmy i gadaliśmy długo. On nie był homoseksualistą i nigdy więcej się nie spotkaliśmy. Wtedy jednak ostatecznie przekonałem się, że moim przeznaczeniem nie są dziewczyny.

- *Mówiła , e byłe wtedy po maturze.*

- Nie dostałem się, niestety, na studia, ale udało mi się wymigać od wojska. Miałem wtedy dużo czasu, chodziłem po mieście i kiedyś w kiosku zauważyłem pismo "Men". Kupiłem, żeby zobaczyć jak to będzie na mnie działało. Na okładce było napisane: magazyn erotyczno-satyryczny czy coś takiego, ale w środku była ostra pornografia. Homoseksualna, oczywiście. Trafiło to bardzo w moje zainteresowania. Dowiedziałem się też, że to niebagatelna sprawa

wa: listy, adresy, kontakty, ogłoszenia towarzyskie. Poczulem, że nie jestem sam. Chciałem nawet napisać list do osób, które, jak sądziłem z ogłoszeń, by mi odpowiadały, ale się przestraszyłem, że mogę być później szantażowany. Wiedziałem, że taki kontakt muszę nawiązać osobiście.

-I co, udało ci si ?

- To było rok później. Dostałem się już wtedy na studia. Pamiętam, że kiedyś odwołano jakieś zajęcia i zaczęła się dyskusja o homoseksualizmie. Powiedzialem wtedy coś takiego, że w Polsce nie ma tolerancji, że ważna jest nie płeć, ale uczucie, że miłość znosi wszystkie bariery, i że homoseksualiści powinni mieć prawo do małżeństw i do adoptowania dzieci. Wtedy odezwał się jeden chłopak, który powiedział, że jestem po prostu głupi i to wszystko, co ma mi do powiedzenia. Był to jedyny tak kategoryczny głos w tej dyskusji. Zaintrygowało mnie, skąd u niego taka pewność. Po zajęciach podszedłem do niego i zaproponowałem rozmowę w cztery oczy. Powiedział mi, że osobiście nie ma nic przeciwko homoseksualistom, a nawet, jak stwierdził, związek między dwoma mężczyznami może być równie ciekawy co mężczyzny z kobietą, ale w żadnym wypadku nie mogą oni legalnie zawierać małżeństw, ani adoptować dzieci... Ty nie wiesz jak to jest, ale jak człowiek jest homoseksualistą, nie ma partnera i liczy na to, że spotka kogoś takiego, to jest wyczulony na wszelkie tego typu sygnały. Kiedy on oświadczył, że nie ma nic przeciwko homoseksualistom, a nawet, że ich związek może być interesujący, to mnie od razu jakby zelektryzowało. Zacząłem kierować rozmowę na takie tory, by przekonać się, czy on też jest homoseksualistą.

-i był?

- Był, ale nie przyznał mi się do tego od razu. Od tego dnia zaczęliśmy się kolegować i coraz częściej przebywać ze sobą. Kiedyś byliśmy razem na imprezie w akademiku i wracaliśmy nad ranem pijani do domu. W tę noc zawiązała się między nami przyjaźń. Udało mi się wyciągnąć z niego, że jest taki jak ja. Pragnąłem od niego czegoś więcej niż uczucia męskiej przyjaźni i pewnego razu oświadczyłem mu, że potrzebuję go także fizycznie. Gwałtownie wtedy zaprotestował, powiedział, że to może zniszczyć naszą przyjaźń. - Co ty opowiadasz?! - oburzyłem się. - Jakie zniszczenie? Pełnia! Miłość prawie małżeńska! On jednak powtarzał, że nie może robić tego z przyjacielem. - A z kimś obcym to można? - zapytałem. - Zastanów się - mówiłem - przecież to, co mówisz, jest jeszcze głupsze. On był jednak człowiekiem bardzo wierzącym i usiłował mnie przystopować. Mówił, że więź emocjonalna i fizyczna to jeszcze nie miłość, a ja mu odpowiadałem, że nic nie rozumie. Widziałem jednak, że zaczyna się wahać. Miałem w głowie tylko jedno: - Pójść z nim do łóżka.

- *Mówiłeś, że był bardzo wierzący.*

- To było jak przeciąganie liny: ja go męczyłem łóżkiem, a on mnie męczył Panem Bogiem. Pytał o sprawy duchowe, czy wierzę w nadprzyrodzoność. Ja mu, że oczywiście, że są jakieś siły kosmiczne, niewidzialne promienie, które na nas wpływają. Był w ciężkim szoku, że można być w tych sprawach takim prymitywem. Zaczął od uświadamiania mi, że sfera psychiczna i duchowa to nie to samo, że są one od siebie oddzielone. Była to dla mnie zupełna nowość. Dotychczas nie zdawałem sobie sprawy, że istnieje różnica między psychiką a duszą. Zapytał mnie również czy wiem, kim był Chrystus. Powiedziałem, że to był facet, który jak miał dwanaście lat, to pojechał do Indii, żeby się tam nauczyć jogi, wyćwiczył się w różnych sztuczkach i tak na dobrą sprawę to każdy, jak się uprze, może się wyuczyć tego samego. Zmarłychwstanie było mistyfikacją, bo nie umarł na krzyżu, tylko zaśląbł...

- *Skąd miałaś taką wiedzę?*

- Czytałem o tym w "Fikcjach i Faktach". On jednak był przerażony tym, co opowiadam. Mówił mi dużo o Bogu i czułem, że jest to pełniejsze od tego, czym ja żyłem. Z czasem powoli zacząłem przyjmować to, co do mnie mówił - z wyjątkiem jednego. Gotów byłem przyjąć wszystko, tylko nie to, że homoseksualizm jest grzechem. Kiedy mój przyjaciel odmawiał stosunku ze mną, tylko dlatego że jest to grzech, to myślałem, że po prostu nie akceptuje on swojej złożonej natury, tego, że Bóg obdarzył go tak pięknym darem. Gdy widziałem fragmenty z Pisma Świętego, potępiające homoseksualizm, mówiłem sobie: Jezus teraz postąpiłby inaczej, zrozumiałby, że są to inne czasy, miałyby zrozumienie dla odmienności. Nasze spotkania miały to do siebie, że nie tylko ja reagowałem na jego przekaz, ale także on reagował na mój. Parę razy zdarzyło mi się zostać u niego na noc. Spaliśmy na jednym łóżku. Dochodziło nawet do wstępnych pieszczoł, ale za każdym razem on zrywał się nagle, chodził w kółko i powtarzał, że to jest chore, nienormalne, a mnie aż skręcało i dostawałem cholery. Przekonywałem go, że powstrzymywanie się nie ma sensu, że dla nas obu źle się to skończy: on zwariuje, a ja zachoruję. W końcu przekonałem go.

- *Jak było?*

- Na początku zachłyśnięcie się: super, odlot, kosmos. Odkryłem to, co chciałem: pełnia samorealizacji, prawdziwy cud. Euforia trwała trzy tygodnie, aż tu nagle on przychodzi i mówi, że to koniec - żałuje tego, co zrobił, był u spowiedzi i teraz idzie znowu na mszę do kościoła. Rozstaliśmy się pokłóceni, ale postanowiłem pójść za nim. Nie mogłem zrozumieć, co tego faceta bardziej pociąga w kościele niż we mnie. Byłem ciekawy, jak to możliwe, że facet tak myślący, odczytany, rozwinięty nad wyraz, może poddawać się takiej manipulacji jak jakieś sakramenty... Poszedłem za nim do kościoła i zostałem na mszy. Było coś tak przejmującego w panującej tam atmosferze, że kiedy lu-

dzie podchodzili do komunii, to nagle poczułem zazdrość, że oni coś mogą, a ja nie. Że są bogatsi o jakieś przeżycie, które przede mną jest zamknięte. Opowiedziałem o tym potem mojemu przyjacielowi. Ucieszył się i poradził mi pójść do spowiedzi.

- *Poszedłeś ?*

- Na samą myśl o tym, że mam się przyznać do stosunków homoseksualnych, aż mnie ciarki przechodziły, ale z drugiej strony strasznie mnie ciągnęło do komunii, więc się przemogłem i poszedłem. Myślałem, że jak się przyznam, to ksiądz się na mnie wydrze, nie da rozgrzeszenia albo wyrzuci z konfesjonatu, a on tu nagle zaczyna hymny na moją cześć i gada ze mną jak kumpel. Kiedy powiedziałem, że zrobiłem to sześć razy w ciągu ostatnich trzech tygodni, uspokoił mnie, że to tylko epizod, że to za mało, bym mógł się uważać za homoseksualistę: - Sama skłonność nie jest grzechem, tylko realizacja. Mimo to Pan Bóg cię kocha, nawet jeśli to robisz, i tylko On może cię z tego wyzwolić; wierzę, że może to uczynić... - Co za debilizm - pomyślałem sobie. - Wyczytał te bzdury w jakichś książkach, żeby mnie pocieszyć, pewnie myśli sobie, że przyszedłem tu nieszczęśliwy, sfrustrowany, nierozumiany przez świat; nic nie rozumie, mówi, bo musi tak mówić, jest przecież w końcu księdzem...

- *atowała za grzechy?*

- Raczej bałem się kary, piekła czy czegoś takiego. Powoli nasiąkałem tym, co opowiadał mi o religii mój przyjaciel, ale z drugiej strony nie do końca mogłem w to uwierzyć, a już na pewno nie chciałem się zmieniać. To była jakaś forma schizofrenii. Spowiadałem się, choć wiedziałem, że będę grzeszył.

- *Taki Katolicki Zakład Ubezpiecze ?*

- Dokładnie... Na spowiedzi ksiądz radził mi unikać sytuacji, które mogą prowokować, ale ja dalej spotykałem się z moim przyjacielem. On po każdym stosunku miał depresję, mimo to chodził ze mną łóżka. Zastanawiałem się, jak to z nim jest, z tym jego mechanizmem samopotępienia się. Czy on oszukuje samego siebie? Mi było z tym całkiem dobrze, w pewnym momencie dostałem nawet olśnienia, że przecież to nie jest grzech, że skoro Bóg mnie kocha, nawet jeśli to robię, to wcale mu to nie przeszkadza. I wtedy stało się, że po wspólnej nocy z przyjacielem poszedłem do Komunii. Kiedy on to zobaczył, był w ciężkim szoku. Natychmiast kazał mi iść do spowiedzi, był bardzo kategoryczny.

- *Poszedłeś ?*

- Tak, i kompletnie zbaraniałem, kiedy spowiednik zapytał mnie: - No dobrze, a twoje postanowienie poprawy?... Nie wiedziałem co mu odpowiedzieć, a on mówił, że spowiedź nie ma sensu, jeśli nie ma postanowienia poprawy. -

Jeśli całe życie zamierzasz przeżyć w nieczystości, to po co przychodzisz do spowiedzi?... Zrozumiałem wtedy, że traktowałem spowiedź jak klozet. Wyrzucałem z siebie brud, wypróżniałem się i odchodziłem czysty. Zaczęliśmy rozmawiać dłużej, wiele rzeczy mi wtedy wyjaśnił. Wtedy po raz pierwszy w życiu postanowiłem wziąć za siebie odpowiedzialność. Do tej pory wydawało mi się, że jestem całkowicie od tego uzależniony, ubezwłasnowolniony, że nic nie mogę zrobić, taki biologiczny determinizm. Postanowiłem być wolnym człowiekiem i powiedziałem księdzu, że będę unikał kontaktów z moim przyjacielem.

- *Jak to sobie wyobra ałe ?*

- Zaczynały się wakacje i mieliśmy nie widzieć się kilka miesięcy. Kiedy to mówiłem, wierzyłem w to święcie. Potem jednak pojechałem do mojego przyjaciela, do jego rodziców. Mieszkaliśmy razem i co noc byliśmy ze sobą. Nikt niczego nie podejrzewał. Traktowałem to bardzo idealistycznie. Mówiłem sobie: to prawdziwa miłość. Nie wyobrażałem sobie sytuacji, że mogę to robić z kimś innym. Pewnego razu wieczorem przyszedł do nas kolega mojego przyjaciela. Wiedziałem, że on to on kiedyś pozbawił mojego przyjaciela dziewictwa (śmiejch), ale teraz nie mają ze sobą nic wspólnego. Cały czas dawałem gościowi do zrozumienia, że my tutaj bardzo się kochamy, a ty frajerze spadaj, bo nam przeszkadzasz. W pewnym momencie mój przyjaciel wyszedł zrobić kawę, a ja mówię już bez ogródek: bo my się bardzo kochamy i coś w tym stylu, a on na to: tak? bo my też się kochamy. Mnie aż zamurowało: jak to? kiedy? On padał datę, a mnie aż ścięło, bo było to już wtedy jak byliśmy ze sobą. Przychodził przyjaciel z herbatą, a ja wyskakuję, że jest palantem, to ja mu tu całe życie oddaję, a on mnie zdradza. Czekałem na przeprosiny, że okaże jakąś skruchę, a on tu wali gadkę, z której wynika, że jest człowiekiem zepsutym do szpiku kości i tylko taki dureń jak ja mógł tego nie zauważyć: - Nie braliśmy ślubu, naiwniaku! i coś w tym stylu. Aż zaczął syczeć z tego wszystkiego, a potem nagle wymiękł i rzucił się na tamtego: - Głupi jesteś! Wszystko zepsułeś!... Nagle zrobiło mi się wszystko jedno, wszystko było mi obojętne. Wszystko, co sobie wymarzyłem, stały związek, nasza przyszłość, zostało rozpiędzielone tylko dlatego, że przyszedł jakiś koleś i powiedział, że się pieprzył z moim przyjacielem w samochodzie. Żeby jeszcze w łóżku, ale w samochodzie! Miałem poczucie jakiegoś absurdu: tyle nawijał mi o Bogu, a pieprzył się w samochodzie. Nie wiem jak to się stało, ale nagle coś jakby w nas wstąpiło. Zamiast się kłócić, postanowiliśmy, że zrobimy to razem. Zgodziłem się natychmiast, czułem do przyjaciela głęboką nienawiść i chciałem go przez to jakoś upokorzyć. Myślałem tylko o zemście i nagle zapchałem odczuwać dziwną sympatię do tego trzeciego. Tamten był już tak spedalony, że zupełnie nie rozumiał co się między nami działo. Poszedłem m na chwilę do kibla. Spojrzałem w lustro i zobaczyłem swoją twarz. Wykrzywioną, pełną nienawiści, złości i jakiegoś złego żalu. Aż przeraziłem się samego siebie. I wtedy usłyszałem w sobie głos: - Jeszcze się nie zaczęło, jeszcze możesz

tego nie robić... I pamiętam, że odpowiedziałem temu głosowi na głos: - Nie! A właśnie, że to zrobię... Cały czas coś powtarzało we mnie: - Muszę się zemścić, muszę się zemścić...

- Zem cię si ?

- Tak. Pojechaliśmy samochodem na odludzie i odstawiliśmy w środku niezłą orgię. Udało mi się upokorzyć mojego przyjaciela... Następnego dnia, jak tylko się obudziłem, zacząłem pytać samego siebie, czy to się naprawdę wydarzyło. Nie mogłem uwierzyć, że to zrobiłem. Czułem się nieczysty, ale nie w sensie religijnym, że nieczystość to grzech, tylko w sensie fizycznym, to znaczy nieczysty jak worek, do środka którego ktoś narzygał. Było to uczucie głębokiego poniżenia. Po raz pierwszy w życiu poczułem, że ja nie chcę tego robić, ani w orgii, ani w stałym związku. Powiedziałem sobie że to był ostatni raz.

- Ale przecie , jak sam mówite , tylko o tym mogte wówczas my le , to bylo dla ciebie apogeum człowiecze stwa.

- To jest upajające jak narkotyk, na początku wciąga, myślisz, że to prawie mistyczne przeżycie, nie wiadomo co się z tobą dzieje, ale później człowiek musi się rznąć na okrągło, chociaż by tego nie wiem jak nie chciał, jest już zniewolony... Znów poszedłem do spowiedzi, tym razem trwała cztery godziny. Zdałem sobie wtedy sprawę z wielu zranień, które w sobie nosiłem. To było wspaniałe uczucie otrzymać przebaczenie. Czułem się jak nowo narodzony. Wkrótce też trafiłem na nocne czuwanie do klasztoru ojców paulinów na Długą. Ojciec, który je prowadził, powiedział, że ma takie poznanie, że Pan chce teraz uzdrawiać osoby, które mają grzeszne skłonności, że ich wewnętrzne zranienia mogą być im zabrane. Odebrałem to jakby te słowa były skierowane do mnie osobiście i zacząłem się modlić. Wróciłem do domu i przez dwa miesiące nic się nie wydarzyło. Byłem wyzwolony. Wiedziałem, że to nie pochodzi ode mnie, ponieważ sam nigdy nie wytrzymałbym tyle czasu bez zaspokajania się samemu lub we dwójkę.

- Słuchaj, kto to przeczyta, zobaczy słowa - zawierzy Jezusowi - i pomyli sobie: no tak, karty zostały rozdane, mówi to samo co ksi a. Chciałbym wiedzie , gdzie jest ten moment wiskni cia, t pni cia, powstania ró nicy pomi dzy tob , który słucha spowiednika z wy szo ci i politowaniem, a tob , który wierzy w słowa spowiednika. Jakie podstawy ma kto , eby uwierzy w słowa - "Chrystus ci kocha" - a nie potraktowa ich jako jeszcze jednego hasła propagandowego?

- My chyba nie do końca wiemy co to znaczy: zawierzenie. Zawierzenie całym sobą, totalne otworzenie się na rzeczywistość, która nas przerasta. Ja się tak zawierzyć nie mogłem, bo nie umiałem, nie byłem w stanie, ale bardzo tego pragnąłem, pragnąłem się oddać Bogu bez końca. To było takie moje pełnie-

cie w Jego stronę, a On widząc moje rozpaczliwe próby w pewnym momencie wyciągnął do mnie dłoń. Przyszedł do mnie, gdy nie miałem mu do zaofiarowania nic prócz swojej nędzy i grzechu. Najpiękniejsze w tym wszystkim, że On mnie nie zniewala, nie dokonuje na mnie gwałtu, nie zubaża. On mi wcale nie zabrał tej skłonności, ja dalej ją mam, mam dalej pokusy, zdarza się jeszcze, że spodoba mi się jakiś chłopak na ulicy, ta słabość jest we mnie, ale mogę już ją zwalczyć, mogę nie ulec i wiem, że nie jest to moja zasługa, że ta siła nie pochodzi ode mnie.

- Czy spotkałe jeszcze kogo z podobnymi problemami, który doszedłby do tego samego punktu co ty?

- Po dwóch miesiącach życia w czystości zdecydowałem się dać publicznie świadectwo. Szczegółów oszczędziłem, mówiłem ogólnie "nieczystość". Tak się złożyło, że słyszał je również mój przyjaciel. Był w ciężkim szoku. Uwierzył w moc Boga, poszedł do ojców paulinów i poprosił ich o modlitwę nad sobą. Od tamtego czasu minęło półtora roku. Ani on, ani ja nie mamy już problemów.

Rozmawiał: Grzegorz Górny



CZY HOMOSEKSUALIZM JEST DZIEDZICZNY?

Stosunek współczesnego społeczeństwa do homoseksualizmu.

Obecnie zewsząd słyhać głosy, że uczucia homoseksualne są normalne, że wynikają jedynie ze specyficznych preferencji i smaku. Toruje to drogę społecznemu przyzwoleniu. Homoseksualne zachowania i więzi traktuje się na równi z heteroseksualnymi. Konsekwencją tego jest m.in. dążenie do prawnego uznania więzi i homoseksualnych jako odpowiedników małżeństwa oraz do utwierdzenia ludzi w poczuciu normalności. Naucza się nas, że jedynym problemem wynikającym z istnienia homoseksualizmu jest publiczna akceptacja tego faktu i odtworzenie naturalnych praw uciskanej homoseksualnej mniejszości. Niektórzy idą dalej i dowodzą, że każdy dorosły jest ze swej natury częściowo homoseksualny; wychowanie dzieci winno być więc zmodyfikowane w sposób bardziej homo-przyjazny, np. przez identyczne wychowywanie dziewcząt i chłopców.

W tym wypadku ruch tzw. homoseksualnego wyzwolenia podaje sobie rękę z ruchem feministycznym. Są one zgodne co do potrzeby całkowitej zmiany ról mężczyźni i kobiet oraz damsko-męskich związków. Hasłem jest tu potrzeba pozbycia się "przypisanych" ról. "Przypisanie" oznacza, że zostaliśmy wciśnięci w tradycyjne formy kobiecości i męskości na siłę przez naszą kulturę. Zaakceptowaliśmy arbitralne, narzucone sposoby ustosunkowania się do płci przeciwnej oraz uznaliśmy małżeństwo jako jedyny wyobrażalny rodzaj więzi seksualnej. A przecież, argumentują homofile, natura seksualna jest o wiele bogatsza w wielu "wariantach", a współczesna nauka wykazała istnienie zupełnie innych, choć równie naturalnych, rodzajów seksualności i więzi seksualnych. Staje się dla nich jasne, że należy się wyłamać z archaicznych przesądów. Każdy, kto nie może zaakceptować homoseksualizmu jako czegoś normalnego, jest oskarżany o dyskryminację ludzi inaczej ukształtowanych, ludzi, którzy są "dziedzicznie" inni. Być może - sugerują oni - dyskryminacja jest wynikiem tego, że człowiek sam uciska homoseksualną część swego życia emocjonalnego albo co gorzej, że cierpi na homofobię, patologiczny lęk przed homoseksualizmem.

Koncepcje te, nieustannie promowane w prasie, radiu i telewizji, propagowane zarówno przez organizacje na rzecz reformy seksualnej jak i przez uznane instytucje, nie pozostawiły wiele miejsca dla opinii odmiennych. Zwyczajem stało się nauczanie uczniów i studentów, że homoseksualizm jest normą; nauczyciel, który wyrazi odmienną opinię, wywoła publiczne oburzenie. Autorzy książek i artykułów prasowych medycznych i psychologicznych regularnie piszą zgodnie z tym właśnie kanonem. Jeżeli odmiennie opinie o homoseksualizmie uzyskają rozgłos, są one traktowane z pobłażliwością i

ironią. Nic więc dziwnego, że w naszych naukowych instytucjach nie ma odpowiedniego klimatu dla dalszych obiektywnych badań nad przyczynami tego stanu, badań, które pozwoliłyby na jego odpowiednie potraktowanie. Większość wydawców broni się przed publikacjami, które nie współgrają ze zwykłą śpiewką, bojąc się ataków krytyki.

Jednym z niewielu tych, którzy ucierpieli z powodu tej specyficznej atmosfery, jest A.D. De Groot, holenderski profesor, psycholog osobowości. W ramach dyskusji nad tezą, że homoseksualiści są bardziej neurotyczni od heteroseksualistów, napisał on: *"Najsilniejszym Ko ciołem naszych czasów, w ród inteligentów i pół-inteligentów, jest wspólnota wyznawców tryumfu - cego progresywizmu. Oskarżaj oni każdego, kto o nich się przedstawi - tory - ró nic mi dzy grupami ludzi, o grzech "dyskryminacji".*

Źródłem pro-homoseksualnej propagandy są kręgi wojowniczych homoseksualistów. Mają oni przywilej wypowiedania się w mediach, jeśli tylko pojawi się coś, co ma jakikolwiek związek z homoseksualizmem, albo jeśli powstanie artykuł, książka czy film poruszający ten temat. Jak widać, są oni uznawani za najlepszych znawców swojego własnego stanu emocjonalnego. Jednak bliższe spojrzenie na sprawę pozwala nam przypuścić, że ludzie ci *"nie mog by s dziami we własnej sprawie"*.

Napięcie seksualne może być bardzo silne i prowadzić młodą osobę z homoseksualnymi uczuciami do uznania, że zaangażowanie w homoseksualny związek będzie rozwiązaniem wszystkich problemów, włącznie z samotnością. Jednak wcześniej czy później dojdzie ona do wniosku, że jej życie stało się pozbawione ładu, neurotyczne. Jej stan wewnętrzny będzie w wielu aspektach przypominał uzależnienie.

Homoseksualny styl życia jest przedstawiony przez media w skrzywiony, podbarwiony na różowo sposób. Być może zostanie to odebrane jako propaganda, ale gdy spojrzymy na życie praktykujących homoseksualistów na przestrzeni wielu lat, stanie się jasne, że nie znajdziemy w nim szczęścia. Nienasycenie, samotność, zazdrość, depresja i proporcjonalnie dużo samobójstw (nie mówiąc o chorobach wenerycznych) - to druga, nie pokazywana w mediach, strona medalu. Przykładem może tu być przypadek znanego niemieckiego seksuologa, publicznego piewcy trwałości i wierności związków homoseksualnych, który popełnił samobójstwo po załamaniu się nieudanego związku. Jego tragiczna śmierć przeszła niezauważona przez media - mogłoby to obudzić u kogoś niepożądane wątpliwości.

Były homoseksualista, W. Aaron, podsumował swoje obserwacje homoseksualnych zachowań: mimo zewnętrznych pozorów kończą się one rozpaczą. Amerykański dziennikarz Doris Hanson, który rozmawiał z homoseksualistami, opisuje jedno ze zwierzeń: *" To ci kie ycie i nie yczyłbym go najgorszemu wrogowi" mówi m czynna, który był jak uzale niony. "Przez lata yłem z wieloma partnerami, niektórym wyznałem miło . Oni przysi gali, e mnie kochaj . Ale wi zy homoseksualne zaczynaj si i ko cz na seksie. Poza tym niewiele pozostaje. Po pierwszych nami tno ciach seks staje si coraz rzadszy. Partnerzy staj si nerwowi. Chc nowych podnieć, dozna .*

Zaczynaj si nawzajem oszukiwa - najpierw potajemnie, potem otwarcie... Nast puj walki i furie zazdro ci. Wreszcie rozł czacie si i zaczynasz szuka nowego kochanka."

Matka młodej czującej się lesbijką kobiety, która popełniła samobójstwo, powiedział a o swojej córce: *"Helena całe swoje ycie szukała miło ci. Potem [ze swoj ostatni partnerk] my łała, e j osi gn ła, ale miło była budowana na kłamstwach. Nie mogła si rozwin ."* Doris Hanso n twierdzi , że owa matka zrekapitulowała to, co on sam odkrył w czasie swych rozmów: *"Jest to z pewno ci wiat, w którym uczucia budowane s na kłamstwach. eby uzyska chwilowe zaspokojenie, homoseksuali ci mówi "kocham ci " tak cz sto, jak cz sto mówi "dzie dobry". Kiedy doznania zanikaj , mog jedynie powiedzie "do widzenia". Wy cig zaczyna si od nowa".*

Chcę zaznaczyć, że nie są to ponure, moralizujące wynurzenia. Osoba o homoseksualnym popędie skazana jest na neurotyczną, pełną konfliktów egzystencję. Uparcie, wbrew wszystkim radom, mimo goryczy, jaką pozostawiają rodzicom, młodzi ludzie z tym problemem, uczeniają się swego "wyboru"; to, co ich nawiedza, mylą ze "szczęściem". Nie chcą niczego innego. Może to brutalne, ale wielu z nich się degeneruje, traci świeżość i radość, stają się słabi jak ludzie uzależnieni. Na szczęście, są homoseksualni mężczyźni i kobiety, którzy idą całkiem inną drogą i szukają ratunku.(...)

Czy homoseksualizm jest dziedziczny?

Uporczywa jest wiara w to, że homoseksualizm jest dziedziczny. Większość ludzi uważających go - na przekór seksualnym edukatorom - za coś nienormalnego, wierzy, że "oni po prostu tacy się rodzą". Z tego co wiem, nie prowadzono sondaży na ten temat wśród lekarzy, ale podejrzewam, że wielu z nich dopuszcza istnienie genetycznych lub fizycznych przyczyn tego zjawiska. Z drugiej strony, amerykańscy psychiatrzy widzą homoseksualizm jako zaburzenie lub blokadę indywidualnego rozwoju psycho-seksualnego i odrzucają przyczyny wrodzone. Jednak oddziaływanie ich poglądów jest bardzo słabe. W1973 r. Amerykańskie Stowarzyszenie Psychiatryczne zmieniło definicję homoseksualizmu, zastępując określenie "zaburzenie" neutralnym słowem "stan". Był to wynik lobbyngu prowadzonego przez wojownicze grupy homofilów.

Zrozumiałe jest, że ludzie zorientowani homoseksualnie często odczuwają swoje skłonności jako coś zakorzenionego biologicznie, tym bardziej, że są one dla nich wyrazem silnego instynktu. Co więcej, świadomość odmienności jest u nich obecna od najmłodszych lat, choć wtedy nie obejmowała ona jeszcze sfery seksualności. Zazwyczaj zachowywali się inaczej niż ich rówieśnicy, mieli inne upodobania. Często byli outsiderami, dopóki sami nie odczuli swoich seksualnych inklinacji. Przywiodło ich to do przekonania, że mają odmienną naturę, że należą do jakiejś "trzeciej płci". Zbiegło się to z tendencją gloryfikowania postawy "bycia innym niż wszyscy" i niektórzy doszli do wniosku, że ich seksualność jest znakiem wyjątkowego daru: zobaczyli siebie jako ludzi bardziej wrażliwych od zwykłych szarych jednostek. Poczuli

cie niższości ustąpiło miejsca złudzeniu wyższości, a wszystko na podstawie wiary we wrodzone predyspozycje. Bliższa analiza artystycznych zainteresowań homoseksualnych mężczyzn wskaże nam rolę czynników środowiskowych i wychowawczych. Poszukiwanie "miękkich" zajęć wiąże się zazwyczaj z awersją do "twardych", męskich czynności. Uczucie wrażliwości jest też cechą typową dla wielu neurotyków, co ma związek z łatwym zranieniem ego.

Zarówno wiara w przyczyny dziedziczne, jak i w przyczyny fizyczne występujące już po urodzeniu, prowadzą do pesymistycznego spojrzenia na ewentualne zmiany. Homoseksualiści, którzy nie chcą się zmienić, kładą wielki nacisk na domniemane "podstawy biologiczne". Na przykład członkowie amerykańskiego "kościółka gayowskiego" twierdzą, że homoseksualizm jest "stworzoną przez Boga formą miłości". A czy wypełnianie Bożych zasad jest zabronione?

Żywot teorii dziedzicznych jest przedłużany - jak to tylko możliwe - w kręgach wojujących homofilów i ich liberalnych kompanów, mimo narastającej fali dowodów, że tak nie jest. Wszystko, co ma świadczyć za tezą o normalności, jest natychmiast rozpowszechniane. Dlatego na badania nad homoseksualizmem musimy patrzeć z dużym krytycyzmem, tym bardziej, jeżeli pochodzą one z centrów prohomoseksualnych. Dobrym przykładem jest raport Bella i jego współpracowników. Ich książka sugeruje, że biologiczne podłoże homoseksualizmu jest wielce prawdopodobne, a wśród konkluzji zawarto radę dla rodziców, że dziecko powinno wzrastać "zgodnie z naturą". Znaczy to, że dzieci zorientowane homoseksualnie potrzebują wyjątkowego (homo-przyjaznego) traktowania, tak jakby ich domniemana preferencja była jasna i widoczna dla rodziców od samego początku. Raport Bella to manipulacja opinią publiczną. Statystyki zebrane przez badaczy nie dotyczą biologii, lecz dzieciństwa oraz zachowań społecznych homoseksualistów. Z materiału wynika, że ludzie ci czuli się odizolowani od rówieśników, co samo w sobie jest ciekawym tropem, ale nie wskazuje wcale na biologię. (...)

Hormony

Terminy "normalny", "biologicznie uwarunkowany", "dziedziczny", "wrodzony" i "powstały fizycznie" są często używane zamiennie, choć nie są logicznie równoważne. To, że z logicznego i biologicznego punktu widzenia homoseksualizm nie może być czymś normalnym, omówię później. Teraz zajmiemy się odpowiedzią na pytanie o ewentualne jego przyczyny dziedziczne lub spowodowane fizycznie.

Czy jest to wina hormonów? Już w 1968 r. taki ekspert jak Perloff pisał: *"Jest to fenomen czysto psychiczny... i nie ma na go zmiany hormonalnej."* To stwierdzenie pozostaje nie podważone. Prawdą jest, że czasem we krwi homoseksualistów występuje zmniejszona ilość testosteronu i zachwianie równowagi tłuszczów oraz metabolicznych produktów hormonów nadnercza. Przedwczesne byłoby jednak wyprowadzanie z tego wniosków, że homoseksualizm jest warunkowany hormonalnie. Dlaczego? Ponieważ nie potwierdziły tego żadne badania. Co najmniej sześć badań przeprowadzonych w

latach 1972-76 nie wykazało nienormalnej ilości hormonów w grupach homoseksualnych. Występujące czasem różnice są prawdopodobnie związane ze specyfiką badanej grupy i nie mają charakteru ogólnego. Aby je wytłumaczyć, nie trzeba sięgać głęboko, wystarczy porównać różne nawyki żywieniowe, warunki pracy i mieszkania, aktywność zawodową i inne czynniki, takie jak różnice wieku czy zażywane leki.

W grupie homoseksualnych mężczyzn Evans odkrył zaburzenia w ilości produktów metabolizmu hormonów nadnercza, tłuszczów oraz produktów metabolizmu związanych z rozwojem układu mięśniowego. Co więcej, zaburzenia obejmowały też wagę ciała i siłę mięśni, ale nie miały związku z hormonami płciowymi. Evans bawi się tezą, że czynnik, który nazwał "zmniejszonym rozwojem mięśni" sprzyja rozwojowi skłonności homoseksualnych. Jego badania są jedynymi z kilku, które otarły się o coś, co można by nazwać czynnikiem fizycznym cechującym jedynie homoseksualistów. Dlatego przyjrzy się im bliżej.

Jak każde badanie naukowe, analizy Evansa nie będą miarodajne, dopóki nie obejmą różnych grup. Seria testów i uzyskanie porównywalnych wyników umożliwi ustalenie relacji między homoseksualizmem a określonym czynnikiem. Przypuśćmy, że seria podobnych wyników będzie w przyszłości znowu dla nas dostępna. Nawet wówczas jednak nie będzie to wystarczający argument za *przyczynami* fizycznymi. Przypuszczalny związek między homoseksualizmem a "słabością mięśni" może oznaczać, że chłopcy ze słabym rozwojem mięśni są bardziej narażeni na zaburzenia seksualności z powodu kompleksów na tym tle. Byłyby to przypadek zjawiska "organicznej niższości" opisanej przez znanego psychiatrę Alfreda Adlera. U dziecka może się rozwinąć poczucie niższości związane z fizycznym niedorozwojem lub kalectwem i, jak zobaczymy, jest to typowo młodzieńcze poczucie niższości dotyczące wyglądu i budowy ciała, które może się rozwinąć w orientację homoseksualną. Być może nasze teoretyczne rozważania są dla niektórych zbyt daleko posunięte. Być może zjawisko to oznacza tylko, że homoseksualiści są gorzej rozwinięci ruchowo, uprawiają mniej sportów, jeżdżą więcej i tłustiej od innych mężczyzn. Wytłumaczenie takie nie byłoby dla nikogo niespodzianką, gdyż pokrywałoby się ze sposobami życia, które możemy zaobserwować wśród homoseksualistów.

Przyczyn homoseksualizmu nie znajdziemy w zaburzeniach hormonów płciowych. Stanie się to jasne, kiedy weźmiemy pod uwagę fakt, że u ludzi z zaburzeniami hormonalnymi spowodowanymi złym funkcjonowaniem gonad, nie muszą się rozwinąć seksualne dewiacje. Na przykład hermafrodyty (ludzie z fizycznymi cechami obu płci, spowodowanymi uszkodzeniem genów), którzy są biologicznie i genetycznie kobietami, choć mają dostęp do męskiego hormonu płciowego, testosteronu (już od stadium embrionalnego), to nie są zdeterminowani do bycia lesbijkami.

Wszystko wskazuje na to, że nie możemy obwiniać hormonów płciowych. Skoro ich produkcję determinuje układ chromosomów, zatem chromosomy homoseksualistów nie mogą się różnić od zwykłych chromosomów płciowych.

Dziedziczenie

Chromosomy płciowe, bardzo złożone struktury cząsteczkowe zawierające przekazywane dziedzicznie informacje, można zbadać bezpośrednio w laboratorium. Zorientowani homoseksualnie mężczyźni i kobiety mają normalne męskie lub żeńskie chromosomy. Teoria *wrodzonych dewiacji seksualnych* nie może być zatem utrzymana.

Jeżeli ktoś mimo wszystko preferuje trzymanie się domniemanego czynnika dziedzicznego, byłby to tylko czynnik preoyspoczynny i ułatwiający rozwój homoseksualizmu. Tego rodzaju czynniki miały na myśli Kallman w roku 1958, gdy wyjaśniał niezwykle interesujące wyniki swoich badań nad jedno- i dwujajowymi bliźniakami. Odkrył on, że jeżeli któryś z jednojajowych bliźniaków przejawiał skłonności homoseksualne, zawsze występowały one też u drugiego, choć nie zawsze w tym samym stopniu. Natomiast wśród bliźniaków dwujajowych tylko 12 procent nie wykazywało zainteresowań homoseksualnych. Stuprocentowe podobieństwo w inklinacji homoseksualnej u ludzi z identycznym układem genów (bliźniaki jednojajowe) nie oznacza wcale ogólnej tendencji i może być konsekwencją specyfiki próbki Kallmana. Po nim przeprowadzono jeszcze całą serię intensywnych prób na jednojajowych bliźniakach, z których jeden był zorientowany homoseksualnie, a drugi okazał się heteroseksualny. Narasta też przekonanie, że badania tego typu, jakkolwiek fascynujące, nie mogą wykazać, czy cechy osobowości są determinowane dziedzicznie. Wyniki Kallmanna można tłumaczyć wspomnianymi wyżej czynnikami wychowawczymi i środowiskowymi lub czynnikami psychicznymi, np. wysokim stopniem wzajemnej identyfikacji, tak uderzającej w przypadku bliźniaków. Nasze wyjaśnienie pójdzie w tym kierunku, tym bardziej, że dość wysoka zgodność homoseksualna (12 procent) występowała u Kallmannowskich bliźniąt dwujajowych. Jest to o wiele wyższa zgodność niż u homoseksualistów i ich braci nie-bliźniaków. A różnice układu genów normalnego rodzeństwa i rodzeństwa bliźniaków dwujajowych są takie same. Innymi słowy, skłonności homoseksualne bliźniaków dwujajowych mają podłoże inne niż genetyczne. Względnie wysoki stopień wzajemnej identyfikacji, poczucie bycia *alterego* brata oraz inne czynniki mogą wyjaśnić ten fenomen. (...)

Nie ma zatem czynnika genetycznego - seksualnego czy innego - który wyróżniałby ludzi o skłonnościach homoseksualnych od pozostałych. Niemniej niektórzy badacze pozostawiają tę kwestię otwartą, przyjmując teoretyczną możliwość istnienia nie odkrytych jeszcze czynników hormonalnych lub genetycznych, które obejmowałyby przynajmniej jakąś podgrupę wśród homoseksualistów. Przypuszczam, że chodzi i o tych homoseksualnych mężczyzn, którzy wykazują silne cechy kobiece oraz o te lesbijki, których męskie zachowanie samo rzuca się w oczy. Ale nawet oni nie przykładają tak wielkiego znaczenia do czynników teoretycznych, podkreślając, że główne przyczyny nie kryją się w genach czy hormonach. Masters i Johnson stoją właśnie na tym stanowisku. Jako naukowcy ze szkoły Kinseya manifestują

swoją akceptację dla zachowań homoseksualnych i uważają je za normalne, tym niemniej piszą: *"Jest niezwykle ważne, aby wszyscy zawodowo związani z dziedziną zdrowia psychicznego pamiętali o tym, że homoseksualni mężczyźni i kobiety są zorientowani przez wyuczone preferencje."*

Historia teorii o wrodzonej naturze homoseksualnej jest długa. Jej upadek był powolny, ale obecnie już nic z niej nie zostało. W książce "Zmiany męskiego homoseksualizmu" psychiatra L.J. Hatterer mówi wprost: *"Psychiatrzy doszli wreszcie do konkluzji, że genetyczne, wrodzone, konstytuujące czy hormonalne czynniki nie mają znaczenia w powstawaniu skłonności do homoseksualnych."*

Tak więc homoseksualizm nie jest przekazywany dziedzicznie, nie powodują go zaburzenia hormonalne przed lub po narodzeniu, nie powodują go też zaburzenia budowy ciała, organów, mózgu, systemu nerwowego czy gruczołów dokrewnych - nie ma sensu wymieniać wszystkich wyników badań; wystarczy jeśli ograniczymy się do ostatecznej konkluzji. Dopóki ktoś nie przedstawi przekonujących argumentów za tym, że homoseksualiści posiadają fizyczną cechę, dziedziczną bądź nie, która nie jest wynikiem ich stanu, możemy bezpiecznie założyć, że są oni biologicznie absolutnie normalni. W miarę upływu czasu prawdopodobieństwo takiego odkrycia jest coraz mniejsze.

"Mój dziadek był homoseksualistą." "Synowie mojej ciotki też tacy są" - czasem słyszymy takie wyjaśnienia od osób z tym problemem emocjonalnym. To wcale nie znaczy, że w ich rodzinie występowały przyczyny genetyczne, tak samo jak nie obarczamy genów odpowiedzialnością za to, że czyjś dziadek lub kuzyn był katolikiem czy socjalistą. Jeżeli homoseksualizm przeżywa w czyjejś rodzinie, często będziemy mieli do czynienia z zachwianiem ról płciowych. Dzieci wychowywane z niedorozwiniętą płciowością powtarzają ten sam model wychowawczy w swoich rodzinach. Kobiety w takich rodzinach mogą zachowywać się w mało kobiecy sposób i wychowują swoje córki w ten sam sposób, ułatwiając rozwój kompleksu niższości o charakterze homoseksualnym. Mogą one mieć problemy z zaakceptowaniem ról płci, wykazywać niezdolność do wychowania chłopca jak chłopca, a dziewczynki jak dziewczynki. To samo dotyczy ojców. W innych wypadkach związek między rodziną a homoseksualizmem jest nikły.

Normalno

Muszę zaznaczyć jeszcze jedną rzecz. Przypuśćmy, że przyczyny genetyczne albo fizyczne homoseksualizmu zostaną udowodnione, np. odkryta zostanie jakaś hormonalna osobliwość. Również ten fakt nie pozwoli nam uznać homoseksualizmu za coś normalnego. Taki czysto hipotetyczny czynnik musiałby być rozpoznany jako czynnik chorobotwórczy. Byłaby to dewiacja chromosomów lub hormonów, zaburzenie normalnego fizjologicznego rozwoju. Dobrze jest zdawać sobie z tego sprawę, gdyż ktoś mógłby pomyśleć, że "urodzenie się takim" jest równoznaczne z "naturalną" tendencją.

Czy jeste my biseksualni?

Teza o "dziedziczeniu homoseksualizmu" jest nie do utrzymania. Ale czy prawdziwa jest popularna wśród psychologów i psychiatrów teza, że człowiek dziedziczy dyspozycję biseksualną? W takim wypadku każdy mężczyzna i każda kobieta miałby równe szanse rozwijania zarówno homo- jak i heteroseksualizmu. Preferencje jednostki zależałyby od metod wychowawczych lub - szerzej - o d oddziaływania środowiska społecznego, w jakim ktoś wzrasta. Zwolennikami tej opinii są Masters i Johnson, a była to opinia samego wielkiego Zygmunta Freuda. Niemniej idea uniwersalnego biseksualizmu budzi sprzeciw. Co się tyczy Freuda, jego tezy są podparte starym materiałem psychologicznym. Co więcej, jego pomysły nie są zupełnie jasne, ale nie będziemy się w to zagadnienie zagłębiać.

Jeżeli nawyki wychowawcze lub zwyczaje kulturowe determinowałyby, czy młoda osoba będzie homoseksualna lub heteroseksualna, albo jeżeli miałyby szanse 50:50, to Bóg (lub natura, jeśli wolicie) zawiesiłby przetrwanie gatunku ludzkiego na włosku. Wystarczyłoby, żeby któreś z dawnych społeczeństw preferowało homoseksualizm i wychowywało dzieci w ten sposób, a rodzaj ludzki znalazłby się na krawędzi wymarcia. Czy taki trend jest w ogóle możliwy? W przyrodzie nigdzie nie znajdziemy przykładu, żeby rozmnażanie było obarczone takim ryzykiem, by przetrwanie gatunku regulowane było w sposób tak beztroski.

W świecie zwierząt prawdziwy homoseksualizm (tak i jaki opisałem powyżej) nie istnieje. Zwierzęta wykazują zachowania homoseksualne, ale tylko wtedy, gdy brak im heteroseksualnego partnera lub w wyniku czegoś, co nazywamy błędnym rozpoznaniem i osądem. Znaczy to, że zwierzęta mogą reagować seksualnie na pewne określone cechy zwierząt ich własnego gatunku: na formy, kolory, ruchy. Zasadniczo cechy te są atrybutami płci przeciwnej, ale mogą sprowokować reakcję, jeżeli zwierzę rozpozna je w osobniku tej samej płci, szczególnie pod nieobecność partnera heteroseksualnego. Nie jest to jednak homoseksualizm sensu stricto. Prawdziwy homoseksualizm łączy się z brakiem zainteresowania płcią przeciwną. Powtarzam: czy natura - lub jej Stwórca - tak beztrosko obeszlaby się z człowiekiem, swoim najświetniejszym produktem, że oddałaby jego przetrwanie na łaskę przypadku? Czy natura zapomniała zrobić z człowiekiem, co zrobiła ze zwierzętami: ustalić trwałą i stabilną heteroseksualną popęd?

Pytanie to zawiera odpowiedź samo w sobie.

Biseksualnej teorii przeczą też fakty. A. Karlen, historyk seksualności, w swoim przeglądzie homoseksualizmu na przestrzeni dziejów stwierdza, że jedyne, co można powiedzieć to to, że był on traktowany z różną dozą tolerancji w różnych kulturach, ale nigdzie nie był traktowany jako cel godny osiągnięcia. Ludzie nigdy nie odczuwali potrzeby wychowywania dzieci w orientacji homoseksualnej, przytłaczająca większość kultur jest heteroseksualna. Człowieka z natury pociąga płeć przeciwna.

A starożytni Grecy? Nasze wyobrażenia o nich wymagają pewnych poprawek. Historycy wskazują, że kultura grecka była w swej istocie heteroseksualna. Pederastia czy też miłość do nieletnich były modne w pewnym okresie, w pewnych kręgach, ale na pewno nie była to opcja preferowana i

pożądana przez większość. Co więcej, nie można generalizować tego problemu w oparciu o greckich poetów, tak jak nie zdołalibyśmy zbudować prawdziwego obrazu współczesnej seksualności w oparciu o współczesną literaturę. Dewiacje i ekscentryzm mają większy udział w literaturze i sztuce niż w życiu społecznym.

Teoria, że człowiek staje się heteroseksualny w wyniku wychowania, po sflakszeniu równie silnego pędu homoseksualnego, razi swą sztucznością szczególnie wtedy, gdy zdamy sobie sprawę, jak pojawiają się preferencje heteroseksualne. Trafne jest stwierdzenie, że rozwój heteroseksualny postępuje automatycznie i instynktownie. W określonym czasie pociąg do płci przeciwnej staje się nieodparty, nawet wtedy, gdy młoda osoba jest chowana w środowisku seksualnie restryktywnym lub w ogóle nie odebrała edukacji seksualnej. Innym wskazaniem na wrodzone podstawy heteroseksualizmu, jest to, że młodzi zdrowi ludzie o zrównoważonej psychice, pozbawieni frustracji i kompleksów, nigdy nie przejawiają wewnętrznego popędu homoseksualnego. Nie-neurotyczni młodzi ludzie są bez wyjątku heteroseksualni.

Nieuchronna jest konkluzja, że heteroseksualizm jest determinowany genetycznie. Mózgi mężczyzn i kobiety różnicują się w wyniku procesów hormonalnych i jest prawdopodobne, że niektóre struktury mózgu konstytuują biologiczne podłoże głębokich psychologicznych różnic płciowych. Interesujących argumentów na rzecz istnienia wrodzonej heteroseksualności dostarczają badania nad seksualnym rozwojem hermafrodytów, pacjentów z zaburzeniem chromosomu płci.

Biseksualizm jako stan przejściowy

Można dopuścić jednak pewien wariant teorii biseksualnej. Implikowałaby ona, że nastolatek w czasie swego rozwoju do biologicznej i psychologicznej dojrzałości przechodzi przez fazę, w której wykazuje tymczasowe zainteresowanie osobami swojej płci. W tej fazie rozwój seksualny znajduje się w połowie drogi, nie dojrzał jeszcze do pełnego odkrycia swego celu: płci przeciwnej. W tym stanie narastająca różnorodność obiektów i sytuacji może być łączona w wyobraźni z przebudzeniem odczuć erotycznych, które ciągle są rozproszone. Seksualność nastolatka w tej fazie rozwoju może być nazwana biseksualną, choć są powody, dla których powinniśmy nazwać ją "multiseksualną". U homoseksualistów rozwój seksualny, wraz ze sporą częścią rozwoju emocjonalnego, zatrzymany jest na tej fazie.

Nie znaczy to, że każdy nastolatek w sposób jasny i odczuwalny doświadcza różnych rodzajów odczuć erotycznych w tej fazie wiekowej. Być może nie więcej niż 30 procent nieletnich miało w tym okresie odczucia, które uznalibyśmy za homoerotyczne. Erotyczne zainteresowania w tej fazie zależą od osobowości nieletniego, jego relacji z innymi, pozycji społecznej i wizerunku własnego. Jeżeli homoerotyczne fantazje, zainteresowania lub praktyki rozwijają się, są one zazwyczaj powierzchowne i zanikają tak szybko, jak zostanie zauważona fizyczna atrakcyjność płci przeciwnej.

Homoerotyczne impulsy idą czasem w parze z początkiem zainteresowań heteroseksualnych. W innych przypadkach przebudzenie heteroseksualnych zainteresowań może zostać zablokowane przez odczucia charakterystyczne dla homofiliów - szczególnie wówczas, gdy nieletni czuje się sfrustrowany swym pierwszym heteroseksualnym romansem. W momencie pełnego odkrycia potencjału płci przeciwnej rozwój jest już nieodwracalny. Poprzednie "obiekty" przestają być interesujące i dzieje się to bez udziału wychowania, kultury czy nauki z zewnątrz. Napędzane jest to jedynie zorientowanym celowo i poszukującym celu instynktem płciowym.

Gerard van den Aardweg

(ttum. Nikodem Bo cza-Tomaszewski)

Artykuł jest fragmentem ksi ki "Homosexuality and Hope - a psychologist talks about treatment and change." (Homoseksualizm i nadzieja - psycholog mówi o leczeniu i zmianie) Servant Books, Ann Arbor, Michigan.



DLACZEGO JUDAIZM ODRZUCIŁ HOMOSEKSUALIZM?

REWOLUCJA SEKSUALNA A JUDAIZM

Żądanie judaizmu, aby cała aktywność seksualna była skanalizowana w małżeństwie, zmieniło świat. Tora zabraniając seksu pozamałżeńskiego umożliwiła wytworzenie cywilizacji zachodniej. Społeczeństwa, które nie narodziły żadnych granic na swoją seksualność, w swym rozwoju znalazły się w trudnej sytuacji. Postępująca dominacja świata zachodniego może być w dużym stopniu przypisana rewolucji seksualnej, która była zainicjowana przez judaizm i następnie kontynuowana przez chrześcijaństwo.

Rewolucja ta polegała na **wepchnięciu „dżina” seksualizmu w małżeńską butelkę** (na wtłoczeniu mocy seksu w ramy małżeństwa). Sprawiała ona, że seks już nie dominował w społeczeństwie, wywyższyła miłość i seksualność między kobietą a mężczyzną (tym samym stworzyła możliwość miłości i erotyzmu w obrębie małżeństwa) oraz rozpoczęła **złudne zadanie podwyższenia pozycji kobiety**.

Dla nas, którzy żyjemy tysiące lat po tym, kiedy judaizm rozpoczął ten proces, jest prawdopodobnie niemożliwe uświadomić sobie, do jakiego stopnia nieokiełznany seks może zdominować życie człowieka i życie społeczeństwa. Od starożytności aż do niedawnej przeszłości w wielu częściach świata seksualność przenikała praktycznie całe życie społeczne.

Seksualność ludzka, a przede wszystkim seksualność męska, jest polimorficzna (wielopostaciowa) oraz zupełnie nieokiełznana (o wiele bardziej niż seksualność zwierzęca). Mężczyźni uprawiali seks z kobietami i mężczyznami, z małymi dziewczynkami i z młodymi chłopcami, z jednym partnerem i w dużych grupach, z osobami zupełnie obcymi i bliskimi członkami rodziny, a także z różnymi zwierzętami domowymi. Osiągali oni orgazm przy użyciu różnych nieożywionych przedmiotów, takich jak skóra, buty i inne części ubrania, poprzez oddawanie moczu i kału na siebie. (Zainteresowani czytelnicy mogą zobaczyć fotografię tej ostatnio wymienionej czynności w muzeum sztuki wybranych ukazujących pracę fotografa Roberta Mapplethorpe'a); także przez ubieranie się w stroje kobiece, przez oglądanie innych osób poddawanych torturom, poprzez pieszczczenie dzieci obydwu płci, także poprzez słuchanie głosu odizolowanego od ciała (tzw. seks telefoniczny) i oczywiście przez oglądanie obrazów ciał lub też części ciał. Niewiele istnieje rzeczy ożywionych lub nieożywionych, które by nie podniecały niektórych mężczyzn i nie prowokowały do osiągnięcia orgazmu. Oczywiście nie wszyst-

kie z tych praktyk były aprobowane przez społeczeństwa—np. kazirodztwo pomiędzy rodzicem a dzieckiem czy uwodzenie żony innego mężczyzny rzadko były aprobowane—ale wiele z tych praktyk było akceptowanych. Wszystkie to ilustruje, do czego może prowadzić nieskanalizowany - lub używając terminologii Freuda „niesublimowany” - popęd seksualny.

DESEKSUALIZACJA BOGA I RELIGII

Wśród konsekwencji nieskanalizowanego popędu płciowego znajduje się seksualizacja wszystkiego—włączając w to religię. Jeśli popęd płciowy nie byłby odpowiednio zaprzężony - opanowany (nie chodzi o stłumienie, bo to prowadzi do destrukcyjnych konsekwencji), rozwój religii wyższej nie mógłby się dokonać. Tak więc pierwszą rzeczą dokonaną przez judaizm była deseksualizacja Boga: „*Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię*” **przez** swoją wolę, nie poprzez jakiegokolwiek zachowanie seksualne. To było całkowicie radykalne zerwanie ze wszystkimi innymi religiami i już samo to zmieniło historię ludzką. Bogowie praktycznie wszystkich cywilizacji angażowali się w związki seksualne. Na Bliskim Wschodzie babiloński Bóg Ishtar uwiódł człowieka, Gilgamesza, bohatera babilońskiego. W religii egipskiej bóg Ozyrys miał relacje seksualne ze swoją siostrą boginią Izis i ta poczęła boga Horusa. W Kanaan El, główny bóg współżył seksualnie z Aszerą. W wierzeniach hinduskich bóg Kriszna był aktywny seksualnie posiadając wiele żon i goniąc za Radha. Bóg Samba, Syn Kriszny, uwiódł wielu śmiertelnych mężczyzn i kobiet. W wierzeniach greckich Zeus ożenił się z Herą, uganiał się za kobietami, porwał pięknego młodzieńca Ganimeda, a kiedy indziej masturbował się. Posejdon ożenił się z Amfitrydą, a uganiał się za Demeter i zgwałcił Tantalą. W Rzymie bogowie prześladowali seksualnie zarówno mężczyzn jak i kobiety.

Biorąc pod uwagę aktywność seksualną bogów, nie jest zaskakujące, że religie same w sobie były przesycone wszelkimi formami aktywności seksualnej. Na starożytnym Bliskim Wschodzie, a także gdzie indziej, dziewice były deflorowane przez kapłanów przed rozpoczęciem współżycia seksualnego ze swoimi mężami, a sakralna lub rytualna prostytutka była prawie powszechna. Norman Sussman, psychiatra i historyk seksualizmu, opisuje tę sytuację w ten sposób: „*Mskie i e skie prostytutki, słuc czasowo lub stale i dokonuj c heteroseksualnych i homoseksualnych, oralno — genitalnych, sodomicznych i innych form aktywno ci seksualnej oddaj swoje wdzi ki na rzecz wi tyń*”. Na starożytnym Bliskim Wschodzie od bardzo wczesnych czasów stosunek analny tworzył część kultu bogini. W starożytnym Egipcie, Mezopotamii i Kanaanie miały miejsce doroczne, obrzędowe stosunki pomiędzy królem i kapłankami. Żeńskie prostytutki miały stosunki z męskimi wyznawcami w świątyniach i sanktuariach starożytnej Mezopotamii, Fenicji,

Cypru, Koryntu, Kartaginy, Sycylii, Egiptu, Libii, Afryki Zachodniej oraz starożytnych i nowożytnych Indii. W starożytnym Izraelu powtarzały się usiłowania powtórnego wprowadzenia prostytucji związanej ze Świątynią, co powodowało powtarzające się żydowskie wojny przeciwko seksowi kultowemu. Biblia wspomina, że król Jude i Asa „*usun ł qde im, (m skie prostytutki wi tynne) ze swojego kraju;(…) e jego nast pca Jehozofat usun ł z kraju reszt qde im, którzy pozostali od dni jego ojca Asy*”, i że później król Jozjasz w swojej reformie religijnej „zburzył domy *qde im*”. W Indiach, aż do XX stulecia pewne hinduskie kultury wymagały stosunku pomiędzy mnichami i mniszkami, a żony odbywały stosunki z kapłanami reprezentującymi boga. Do zdelegalizowania w 1948 roku, kiedy to Indie uzyskały niepodległość, hinduskie świątynie w wielu częściach Indii posiadały zarówno żeńskie jak i chłopięce prostytutki. W XIV stuleciu Chińczycy odkryli homoseksualne tybetańskie obrzędy religijne, praktykowane na dworze cesarza mongolskiego. W obecnym stuleciu na Sri Lance, w kulcie buddyjskiej bogini Pattini brali udział kapłani ubrani jak kobiety, a małżonek bogini był symbolicznie kastrowany.

Judaizm nałożył kontrolę na aktywność seksualną. Nie mogła ona dłużej dominować życia religijnego i społecznego. Miała być uświęcona—co w hebrajskim znaczy „oddzielona”—od świata i umieszczona w domu, w łóżu męża i żony. Dokonane w judaizmie ograniczenie zachowania seksualnego było jednym z najbardziej zasadniczych elementów umożliwiających społeczeństwu postęp. Wraz z etycznym monoteizmem rewolucja rozpoczęta przez Torę, która wydała wojnę praktykom seksualnym świata, spowodowała nadal idące zmiany w historii.

WYNALEZIENIE HOMOSEKSUALIZMU

Rewolucyjna natura judaistycznego zakazu wszelkich form seksu pozamałżeńskiego nigdzie nie była bardziej radykalna, bardziej wyzywająca dla dominujących przekonań ludzkości, niż wobec homoseksualizmu. W rzeczywistości można powiedzieć, że judaizm wynalazł pojęcie homoseksualizmu, jako że w starożytnym świecie seksualność nie była podzielona na heteroseksualizm i homoseksualizm. Ten podział był dziełem Biblii. Przed Biblią świat dzielił seksualność na czynnik penetrujący (partner aktywny) i penetrowany (partner bierny).

Marta Nusbaum, profesor filozofii na Brown University, napisała niedawno, że starożytni zwracali nie większą uwagę na preferencje seksualne innych ludzi, niż z dzisiaj na preferencje kulinarne: „*Staro ytne kategorie do-wiadczce seksualnych ró nity si do znacznie od naszych własnych. (..) Centralnym rozró nieniem w moralno ci seksualnej było rozró nienie pomi - dzy rol aktywn i biern . Pte obiektu (..) sama w sobie nie była moralnie*

problematiczna. Chłopcy i kobiety bardzo często traktowani są wymiennie jako obiekty [męskiego] pożądania. Społecznie ważnym było, aby raczej penetrować niż być penetrowanym. Seks zasadniczo był rozumiany nie jako interakcja, ale jako robienie czegoś komuś.' Judaizm zmienił tę sytuację. Uczynił płęć „obiektem” bardzo „problematiczną moralnie”; zadeklarował, że nikt nie jest „wymienny” seksualnie. W rezultacie zapewnił, że seks w istocie rzeczy będzie „zasadniczo interakcją” a nie po prostu „robieniem czegoś komuś”.

Aby docenić rozmiary rewolucji dokonanej w judaizmie, przez zabronienie homoseksualizmu i żądanie, aby cała seksualna interakcja odbywała się między kobietą i mężczyzną, w pierwszym rządzie należy zdać sobie sprawę z tego, jak homoseksualizm był powszechnie akceptowany, ceniony i praktykowany na całym świecie.

Jedynym wyjątkiem była cywilizacja żydowska, a tysiąc lat później - cywilizacja chrześcijańska. Poza Żydami „żadna z cywilizacji archaicznych nigdy nie zabroniła homoseksualizmu jako takiego” — zauważa dr David E. Greenberg. Tylko judaizm, około trzech tysięcy lat temu, ogłosił homoseksualizm rzeczą złą. Wyraził to w najmocniejszym i jednoznacznym sformułowaniu w jakim tylko mógł: „Nie będziesz pokładać się z mężczyznami tak jak z kobietami, to jest obrzydliwością” oraz: „Jeżeli mężczyzna pokładał się z mężczyznami, tak jak z kobietami, obydwaj popełniali obrzydliwość”. (...)

Greenberg, którego „The Construction of Homosexuality” jest najstarszym studium historycznym homoseksualizmu, jakie kiedykolwiek napisano, dokonuje podsumowania wszechobecnej natury homoseksualizmu w słowach: „Jedynie z nielicznymi wyjątkami, homoseksualizm męski nie był potępiony ani represjonowany tak długo, dopóki stosował się do norm dotyczących płci, wzajemnego wieku i statusu partnerów. Wydaje się, że główne wyjątki od tej akceptacji powstały w dwóch okolicznościach”. Obydwie z tych okoliczności były żydowskie.

PRAWDA BIBLIJNA

Biblia hebrajska, a zwłaszcza Tora (Pięcioksiąg Mojżesza) uczyniła więcej dla ucywilizowania świata niż jakakolwiek inna książka lub idea w historii. To Biblia hebrajska dała ludzkości takie idee jak: uniwersalny, moralny, kochający Bóg; etyczne zobowiązania wobec tego Boga; potrzeba historii - aby rozwijać się w kierunku moralnego i duchowego odkupienia; wiara, że historia ma sens oraz mniemanie, że ludzka wolność i sprawiedliwość społeczna są stanami upragnionymi przez Boga dla wszystkich ludzi. Biblia dała światu Dziesięć Przykazań^etyczny monoteizm i koncepcję świętości (cel dźwigających się istot ludzkich od podobnych zwierzętom do podobnych Bogu).

Dlatego, kiedy Biblia daje mocne, moralne proklamacje, słucham ich z dużym respektem. Męski homoseksualizm nie jest w niej w ogóle wspomniany — Biblia przemawia takim jasnym i bezpośrednim językiem, że nie trzeba być religijnym fundamentalistą, aby być pod wpływem zawartych w niej poglądów. Wszystko, co jest konieczne, to na serio uważać siebie za Żyda lub chrześcijanina.

Żydzi lub chrześcijanie, którzy poważnie biorą biblijne poglądy co do homoseksualizmu, nie są zobowiązani do dowodzenia, że nie są ani fundamentalistami, ani ludźmi rozumiejącymi Biblię literalnie, ani też bigotami (choć oczywiście, ludzie wykorzystywali Biblię do obrony swego fanatyzmu). Raczej ci, którzy twierdzą, że homoseksualizm jest do pogodzenia z judaizmem lub chrześcijaństwem, są obowiązani wykazać, że taki pogląd można pogodzić z Biblią. Jednakowoż zważywszy na jednoznaczność biblijnego podejścia do homoseksualizmu, takie pogodzenie jest niemożliwe. Wszystko co jest możliwe, to deklaracja: „Zdaję sobie sprawę, że Biblia potępia homoseksualizm i uważam, że Biblia nie ma racji”. Byłoby to intelektualnie uczciwe podejście, ale rodzi inny problem. Jeżeli ktoś wybiera, które z moralnych założeń brać na serio (a Biblia traktuje swój zakaz homoseksualizmu nie tylko jako prawo, ale także jako wartość—„to jest obrzydliwość”), to jaki jest pożytek moralny z Biblii?

Obróńcy religijnej akceptacji homoseksualizmu odpowiadają, że jakkolwiek Biblia jest moralnie postępową w pewnych dziedzinach, to w innych jest moralnie wsteczna. Potępienie przez nią homoseksualizmu jest jednym z przykładów, a przyzwolecie Tory na niewolnictwo - kolejnym. Biblii daleko jest jednak od niemoralności—zakaz homoseksualizmu przez Torę był główną częścią po pierwsze wyzwolenia istoty ludzkiej z więzów niepojętej seksualności oraz po drugie - wyzwolenia kobiet od bycia marginalnym zjawiskiem w życiu mężczyzn. Co się zaś tyczy niewolnictwa, to o ile Biblia uznaje homoseksualizm za zły, o tyle nigdy nie uznaje niewolnictwa za dobre.

Ci, którzy bronią religijnej akceptacji homoseksualizmu, argumentują też, że Biblia zaleca stosowanie kary śmierci za wielorakie grzechy, włączając tak wydawałoby się nieistotne czyny jak zbieranie drewna w szabas. Tak więc fakt, że Tora uznaje homoseksualizm za poważne przestępstwo może znaczyć, że homoseksualizm nie jest cięższym przestępstwem niż niektóre pogwałcenia szabasu. A ponieważ nie potępiamy już ludzi, którzy gwałcą szabas, dlaczego mamy w dalszym ciągu potępiać ludzi, którzy angażują się w akty homoseksualne?

Odpowiedź na to jest następująca: nie wywodzimy swojego podejścia do homoseksualizmu z faktu, że Tora uczyniła go ciężkim przestępstwem, ale uznajemy to przez fakt dokonywanego przez Biblię moralnego oświadczenia odnośnie homoseksualizmu. Nie czyni ona żadnych oświadczeń odnośnie

zbierania w szabas drewna. Dla opisanego homoseksualizmu Tora używa najmocniejszych wyrazów potępienia—„obrzydliwość”. To jest moralna ocena biblijna homoseksualizmu, która odróżnia homoseksualizm od innych przestępstw, ciężkich i innych. Profesor Greenberg, nie zdradzający żadnych skłonności do wiary, pisze: "Kiedy słowo *toevah* („obrzydliwość”) pojawia się w hebrajskiej Biblii, niekiedy użyte jest wobec bałwochwalstwa, prostytucji kultowej, magii, wróżbiarstwa, a czasami w bardziej ogólny sposób. Zawsze przekazuje ogromną odrazę. Co więcej, Biblia wymienia homoseksualizm razem ze składaniem ofiar z dzieci, pomiędzy obrzydliwościami i na ziemiach, które mają być podbite przez Żydów. Obie wymienione rzeczy oczywiście nie są moralnie równoważne, ale obie charakteryzowały moralnie prymitywny świat, który judaizm postanowił zniszczyć. Obie charakteryzowały sposób życia, który był przeciwieństwem tego, czego Bóg domagał się od Żydów (nawet od nie-Żydów, ponieważ homoseksualizm znajduje się pomiędzy przestępstwami seksualnymi, których stanowią jedno z „siedmiu praw dzieci Noego”, które według Judaizmu wszyscy ludzie muszą przestrzegać). Wreszcie Biblia dodaje szczególną groźbę dla Żydów, jeżeli zaczną oni uprawiać homoseksualizm i inne przestępstwa Kanaanajczyków: „Będziecie zwiątowani z tej ziemi”, tak jak nie-Żydzi, którzy praktykowali te czynności byli zwiątowani (wyrzuceni) z tej ziemi. Jak ponownie zauważa Greenberg, ta groźba „sugeruje, że te przestępstwa były rzeczywiście uważane za poważne”.

WYBIERZ ŻYCIE

Judaizm nie mógł pogodzić się z homoseksualizmem, ponieważ zaprzecza on wielu podstawowym zasadom tej religii. Zaprzecza życiu i wyrażonemu przez Boga pragnieniu, żeby mężczyźni i kobiety współżyli oraz neguje podstawową strukturę, którą judaizm propaguje dla całej ludzkości, tj. rodzinę.

Jeśli można mówić o istocie judaizmu, to jest ona zawarta w stwierdzeniu Tory: „Położyłem przed tobą życie i śmierć, błogostawieństwo i przekleństwo, a ty wybierz życie”. Judaizm afirmuje wszystko, cokolwiek umacnia życie, a co przeciwstawia się bądź oddziela wszystko, cokolwiek reprezentuje śmierć. Zatem żydowski kapłan (*cohen*) ma zajmować się jedynie życiem. Być może dlatego judaizm, jako jedyna spośród religii świata, zabronił swoim kapłanom wchodzić w kontakt z umarłymi. Aby zacytować niektóre inne przykłady:

- mięso (śmierć) oddzielone jest od mleka (życie);
- menstruacja (śmierć) oddzielona jest od stosunku płciowego (życie);
- zwierzęta mięsożerne (śmierć) oddzielone są od zwierząt roślinożernych, koszernych (życie).

Prawdopodobnie dlatego Tora umieszcza obok siebie ofiarę z dziecka i męski homoseksualizm.

Chociaż nie są one moralnie analogiczne, obydwie przedstawiają śmierć. Pierwsza pozbawia dzieci życia, druga uniemożliwia powstanie (uzyskanie przez dzieci) życia. Ta równoległość jest równoległa w Talmudzie: „Ten, kto nie angażuje się w rozmnażanie rasy, podobny jest do tego, który przelał krew”.

Pierwsze stwierdzenie Boga o człowieku (o człowieku w ogóle i o mężczyźnie w szczególności) brzmi: „Nie jest dobrze, żeby mężczyzna był sam”. Można założyć, że aby rozwiązać problem samotności człowieka, Bóg mógł stworzyć innego mężczyznę lub wspólnotę mężczyzn. Ale zamiast tego, Bóg rozwiązał problem samotności mężczyzny tworząc inną osobę, kobietę - nie mężczyznę, nie kilka kobiet, nie wspólnotę kobiet i mężczyzn. Samotność mężczyzny nie była związana z jego nie byciem z innymi ludźmi, ale z jego byciem bez kobiety. Oczywiście judaizm uważa również, że kobiety także potrzebują mężczyzn. Ale zarówno stanowisko Tory, jak i prawo żydowskie były bardziej nieugięte co do ożenku mężczyzn, niż co do zamążpójścia kobiet. Judaizm troszczy się o to, co się stanie z mężczyznami i ze społeczeństwem, kiedy mężczyźni nie ukierunkują swoich namiętności na małżeństwo. W tym względzie Tora i judaizm wykazały się dużą zdolnością przewidywania: miazdząca większość okrutnych zbrodni jest popełniana przez bezżennych mężczyzn. Tak więc męski celibat, uświęcony stan w wielu religiach, jest w judaizmie grzechem. Aby dojść do pełni człowieczeństwa, mężczyzna i kobieta muszą się złączyć. Według słów w księgę i Rodzaju. • „*Bóg stworzył wi c człowieka... m czyn i kobiet , stworzył ich*”. Jednoś ć mężczyzn y i kobiet y nie jest jedynie jakimś pięknym ideałem, jest istotą żydowskiego spojrzenia na proces stawania się człowiekiem. Zaprzeczając temu jest jednoznaczne z negowaniem podstawowego celu życia.

Niewielu Żydów potrzebuje być poinformowanych o centralnym miejscu rodziny w życiu żydowskim. W ciągu całej historii jedną z najbardziej wyróżniających cech Żydów było ich oddanie się życiu rodzinnemu. Dla judaizmu rodzina - nie naród i nie pojedynczy osobnik - jest podstawową komórką, podstawowym składnikiem społeczeństwa. Tak więc kiedy Bóg błogosławi Abrahama , *mówi*: „*Przez ciebie wszystkie rodziny ziemi b d błogosławione*”.

WRÓG KOBIEĆ

Jeszcze jednym powodem sprzeciwu judaizmu wobec homoseksualizmu jest ujemny wpływ homoseksualizmu na kobiety.

Jednym z najbardziej uderzających aspektów akceptacji homoseksualizmu przez współczesne społeczeństwo jest brak głośnego protestu ze strony kobiet i w imieniu kobiet. Mówię „głośny protest”, ponieważ wiele kobiet po

cichu na pewno martwi fakt - można to usłyszeć w częstym narzekaniu samotnych kobiet - że tak wielu mężczyzn jest gayami. Ale główną przyczyną jest prosta korelacja pomiędzy powszechnością męskiego homoseksualizmu i zepchnięciem kobiet do niskiej pozycji społecznej. Poprawa statusu społecznego kobiet nastąpiła jedynie w cywilizacji zachodniej - najmniej tolerancyjnej w stosunku do homoseksualizmu.

W społeczeństwach, gdzie mężczyźni poszukiwali kontaktu z innymi mężczyznami dla miłości i seksu, kobiety były zepchnięte na margines społeczności. Tak więc np. starożytna Grecja, która wyniosła homoseksualizm do rangi ideału, cechowała się według słów Normana Sussman'a „wrogim stosunkiem do kobiet”. Homoseksualizm w starożytnej Grecji, jak pisze: „*był blisko związany z wyidealizowaną koncepcją mężczyzny jako o rodka intelektualnych i fizycznych aktywności (...). Kobieta miała pełnić dwie role: jako ona prowadziła dom, jako kurtyzana zaspokajała jego pragnienia seksualne*”. Znawcy kultury antycznej, Eva Keuls opisuje Ateny w ich szczytowym punkcie rozwoju filozoficznego i artystycznego jako „społeczność zdominowaną przez mężczyzn, którzy trzymali w odosobnieniu swoje syny, córki, umniejszając rolę kobiet, je li idzie o reprodukcję oraz stawiając pomniki genitaliom mężczyznom, jak równie wspólnie z synami swoich współtowarzyszy...”.

W społeczeństwie arabskim, w którym homoseksualizm męski był i jest szeroko rozpowszechniony, kobiety pozostają w szczególnie niskiej randze na tle współczesnego świata. Może to być zbieg okoliczności, ale zdrowy rozsądek sugeruje związek między tymi faktami. Także w tradycyjnej kulturze chińskiej niska ranga kobiety była związana z rozpowszechnionym homoseksualizmem. I tak francuski lekarz donosił z Chin w XIX w.: „*kobiety chińskie były tak potulnymi kurami domowymi, że mężczyźni, tak jak ci ze starożytnej Grecji, uganiali się za kurtyzanami i chłopcami*”.

Chociaż tradycyjny judaizm nie jest tak egalitarny, jak wielu Żydów końca XX wieku by pragnęło, to właśnie ta religia - w dużym stopniu poprzez swój upór w kwestii małżeństwa i rodziny oraz poprzez odrzucenie niewierności i homoseksualizmu - zainicjowała proces podnoszenia statusu kobiety. Podczas gdy inne kultury zajęte były pisaniem poezji homoerotycznej, Żydzi stworzyli „*Pieśń nad Pieśniami*” - jeden z najpiękniejszych poematów w obrazujących miłość zmysłową pomiędzy kobietą a mężczyzną, jaki kiedykolwiek został napisany.

Ostateczna przyczyna sprzeciwu wobec homoseksualizmu leży w homoseksualnym stylu życia. Chociaż jest możliwe, aby mężczyźni homoseksualiści prowadzili życie oparte na wierności, porównywalne z tym, które prowadzą mężczyźni heteroseksualni — zazwyczaj jednak to się nie zdarza. O ile typowa lesbijka ma mniej niż 10 kochanek w ciągu życia, typowy homoseksualista w Ameryce ma ponad 500 partnerów. Zazwyczaj ani homoseksualiści,

ani heteroseksualiści nie zdają sobie sprawy z faktu, że to właśnie homoseksualny styl życia, bardziej niż sam akt homoseksualny, tak bardzo bulwersuje większość ludzi. Prawdopodobnie dlatego mniej uwagi zwraca się na homoseksualizm kobiet. Gdy seksualność męska nie jest kontrolowana, konsekwencje są znacznie bardziej zgubne niż w przypadku seksualności żeńskiej. Mężczyźni dokonują gwałtów, kobiety nie. To mężczyźni, a nie kobiety, angażują się w fetyszyzm. Mężczyźni są daleko głębiej pochłonięci przez swój popęd seksualny i wędrują od jednego partnera seksualnego do następnego. Mężczyźni, nie kobiety, bywają sadystami. Taki nieskrępowany seks, który charakteryzuje większość męskiego homoseksualnego stylu życia, jest antytezą celu stawianego przez judaizm, jakim jest podniesienie życia ludzkiego od podobnego zwierzętom do podobnego Bogu.

YDOWSKI IDEAŁ SEKSUALNY

Judaizm ma ideał seksualny - jest nim seks małżeński. Wszystkie inne formy zachowania seksualnego, aczkolwiek nie jednakowo złe, są odchyleniami od tego ideału. Im bardziej ulegają one odchyleniu, tym silniejsza jest niechęć judaizmu do takiego zachowania. Po pierwsze, homoseksualizm stoi w sprzeczności z ideałem żydowskim. Po drugie, nie może być uważany za równie ważny. Po trzecie, ci, którzy mu się publicznie oddają, nie mogą pełnić ważnych ról w społeczności, nie mogą być wzorami społecznymi. Lecz po czwarte, homoseksualiści mogą być włączeni w życie wspólnoty żydowskiej i kochani jako współbracia i jako Żydzi. Niemniej nie możemy otworzyć tradycji żydowskiej dla pozamałżeńskiego seksu, ponieważ jeśli ktoś dowodzi, że jakaś forma pozamałżeńskich seksualnych zachowań jest moralnie równorzędna seksowi małżeńskiemu, to otwiera drzwi wszystkim innym formom ekspresji seksualnej. Jeżeli aktywność homoseksualna za zgodą obu stron jest dozwolona, to dlaczego nie kazirodztwo między dorosłymi za ich przyzwoleniem?

Dlaczego mamy mieć więcej obiekcji wobec seksu pomiędzy dorosłym bratem i siostrą niż wobec seksu pomiędzy dwoma dorosłymi mężczyznami? Jeżeli para się zgadza, dlaczego nie pozwolić na zdradę z przyzwoleniem? Jeżeli choć raz pozamałżeński seks jest uprawomocniony, gdzie możemy przeprowadzić linię graniczną? Dlaczego w ślad za akceptacją homoseksualizmu nie może nastąpić akceptacja kazirodztwa?

Zaakceptowanie homoseksualizmu jako socjalnego, moralnego albo religijnego równoważnika heteroseksualizmu stanowiłoby pierwszy współczesny atak na trwającą przez tysiąclecia i z takim trudem wygraną walkę o oparte na rodzinie, seksualnie monogamiczne społeczeństwo. Chociaż jest

to określane jako „postęp”, akceptacja homoseksualizmu nie byłaby wcale żadną nowością.

Ponadto ideały seksualne judaizmu, zwłaszcza jego opozycja wobec homoseksualizmu, uczyniła Żydów odmiennymi od innych nacji już w najdawniejszych czasach. Już od II wieku przed Chrystusem pisarze żydowski zauważyli ogromne różnice pomiędzy życiem seksualnym i rodzinnym Żydów a ich nieżydowskimi sąsiadami. W „*Wyroczniach Sybilir*” napisanych prawdopodobnie między 163 i 45 r. przed Chrystusem, autor - Żyd z Egiptu - przeprowadził porównanie Żydów z innymi narodami: „*[y]dzi]zwracaj wielk uwagę na wi te mał e stwo i nie wchodz w bezbo ne stosunki z chłopcami, jak czyni to Fenicjanie, Egipcjanie i Rzymianie, Grecy i wiele innych narodów, jak Persowie, Gallowie i cała Azja*”. Według współczesnego badacza seksu Alfreda Kinseya, „*homoseksualizm był niebywale rzadki w ród ortodoksyjnych ydów*”.

PYTANIA MORALNE I PSYCHOLOGICZNE

Na wszystkie te argumenty przeciwko homoseksualizmowi słyszy się najczęściej odpowiedź: „*ale homoseksuali ci nie maj wyboru*”. Dla wielu ludzi to stwierdzenie jest tak emocjonalnie silne, że dalsza refleksja wydaje się niepotrzebna. W jaki sposób możemy stawić opór działaniom, na które ludzie nie mają wpływu? Pytanie jest o wiele bardziej pouczające, kiedy postawimy je w bardziej specyficzny sposób: czy homoseksualizm jest biologicznie zaprogramowany od urodzenia, czy też jest spowodowany czynnikami społecznymi i psychologicznymi? Oczywiście nie ma jednoznacznej odpowiedzi, która by pasowała do wszystkich przypadków homoseksualizmu. Co może być powiedziane? Tylko to, że niektórzy homoseksualiści rozpoczęli praktyki homoseksualne we wczesnym dzieciństwie i że większość z nich mając doświadczenia seksualne z obydwoima płciami wybrała homoseksualizm obok heteroseksualizmu lub w preferencji do niego.

Możemy powiedzieć „wybrała”, ponieważ ogromna większość gayów miała stosunek z kobietą. Czteroletnie badania 128 gayów, prowadzone przez profesora psychologii na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles, wykazały, że: „*wi cej ni 92 procent gayów umawiało si z kobietami od czasu do czasu, a 2/3 miało stosunek płciowy z kobiet*”. W chwili obecnej jedyną teorią, którą możemy odrzucić jest ta, że homoseksualiści są biologicznie „zaprogramowani”. Pomimo zrozumiałego, wielkiego pragnienia wielu osób, żeby tego dowiedzieć (i mojej własnej skłonności, żeby w to wierzyć), po prostu nie ma dowodów, że homoseksualizm jest biologicznie uwarunkowany. Oczywiście ktoś mógłby dowodzić, że homoseksualizm jest biologicznie zdeterminowany, ale że społeczeństwo (jeżeli represjonuje to wystarczająco) powoduje, iż wielu gayów tłumi swój popęd. Ale jeżeli ten argument jest prawdziwy, jeżeli społeczeństwo może zahamować homoseksualne skłonności, to fakt ten może

wieść do jednej z dwóch konkluzji: że społeczeństwo powinno to zrobić dla swojego własnego dobra, albo że społeczeństwo nie powinno tego robić dla dobra jednostki. Raz jeszcze wracamy do pytania o wartości. Ktoś mógłby dowodzić, że ludzie są z natury (tj. biologicznie) biseksualni (zważywszy na dane, które widziałem, dotyczące ludzkiej seksualności, może to być prawdą). Jednakże, o ironio!, jeśli jest to prawdą, wówczas argument, że homoseksualizm jest sprawą wyboru, jest wzmocniony, a nie osłabiony. Ponieważ wszyscy mamy biseksualne tendencje i większość z nas z powodzeniem po hamowuje nasze homoseksualne popędy, w takim razie w oczywisty sposób homoseksualizm może być często zwyciężony, jak i wybrany. I raz jeszcze jesteśmy przy naszym pierwotnym pytaniu: jaki ideał seksualny społeczeństwo powinno pielęgnować - małżeństwo heteroseksualne czy też homoseksualny seks?

Konkluzja moja jest następująca:

1. Homoseksualizm może być spowodowany biologicznie (choć nie ma na to żadnego dowodu), ale z pewnością jest psychologicznie wbudowany (być może w sposób nieusuwalny) w bardzo wczesnym wieku, w niektórych przypadkach. Najprawdopodobniej można założyć, że takie jednostki zawsze miały pragnienia seksualne skierowane tylko względem swojej własnej płci. Mówiąc historycznie, tacy ludzie wydają się stanowić mniejszość pomiędzy ludźmi zorientowanymi homoseksualnie.

2. W wielu przypadkach homoseksualizm nie wydaje się być wbudowany w sposób niemożliwy do usunięcia. Takie jednostki albo przesuwają się w stronę homoseksualizmu z heteroseksualnych doświadczeń, albo zawsze były biseksualne, albo też żyły w społeczeństwie, które zachęcało do homoseksualizmu. Greenberg, który sympatyzuje z wolnościowymi ruchami gayów, pisze: *„biologowie, którzy patrz na wi kszo cech jako na cechy odziedziczone oraz psychologowie, którzy s dz , e preferencje seksualne s w du ym stopniu zdeterminowane we wczesnym dzieci stwie, zwracaj niewiele uwagi na fakt, e wielu gayów miało bardzo rozległe heteroseksualne doświadczenia”*.

3. Dowody w sposób przemożny prowadzą do konkluzji, że w dużym stopniu to społeczeństwo, a nie jednostka dokonuje wyboru, czy homoseksualizm będzie szeroko praktykowany. To wartości społeczne, o wiele bardziej niż jednostkowe tendencje, determinują rozległość homoseksualizmu w społeczeństwie. Tak więc możemy mieć dużą sympatię w stosunku do wyłącznie homoseksualnych jednostek, pozostając zarazem w mocnej opozycji co do społecznej akceptacji homoseksualizmu. W ten sposób zachowujemy zarówno nasze serca jak i nasze wartości.

CZY HOMOSEKSUALIZM JEST CHOROBA?

Spółeczeństwo, mówiąc krótko, może uważać homoseksualizm za dobry lub zły, niezależnie od tego czy się chce czy nie. Spółeczeństwo może

także uważać homoseksualizm za normalny albo chorobliwy. Chociaż ojciec psychoanalizy Zygmunta Freuda nie sądził, aby homoseksualizm sam w sobie oznaczał, że osoba jest chora, to jednak według własnych standardów rozwoju psychoseksualnego, uważał on seksualizm za zatrzymany rozwój. Jednak aż do roku 1973 psychiatria uważała homoseksualizm za chorobę. Aby zacytować jeden z niezliczonych przykładów, psychoanalityk dr Leo Rangell napisał, że nigdy nie spotkał homoseksualisty, u którego nie wytworzyłaby się fobia pochwy.

W 1973 roku Amerykańskie Stowarzyszenie Psychiatrów usunęło homoseksualizm z oficjalnej listy chorób umysłowych w swoim Diagnostycznym i Statystycznym Podręczniku Zaburzeń Psychiatrycznych (Diagnostic and Statistical Manual Psychiatry Disorders). Aktywiści gayowscy użyli tego jako głównej broni w swojej walce o społeczną akceptację homoseksualizmu. Jednak z wielu względów decyzja APA nie rozwiązała kwestii, czy homoseksualizm jest chorobą, a sama kwestia może być nierozwiązywalna.

Zważywszy na pomieszane moralne i osądzające zapisy psychiatrii, zwłaszcza od lat 60., jedyne, co można wywnioskować z decyzji APA, to fakt, że chociaż mogło to być zasadne, zorganizowana psychiatria dała nam niewiele powodów, by pokładać ufność w jej orzeczeniach w kwestiach naładowanych politycznie. Ze względu na subiektywny charakter terminu „choroba umysłowa”, na potęgę gayowskich aktywistów oraz na polityczne poglądy kierownictwa APA (w przeciwieństwie do większości swoich członków), ten głos stowarzyszenia dla wielu obserwatorów nic nie oznacza.

Jeżeli presja społeczna zmusiła psychiatrów w przeszłości, żeby nazywać homoseksualizm chorobą, jak możemy być pewni, że presja społeczna w naszych czasach nie zmusiła ich do określenia homoseksualizmu jako zachowania normalnego? Czy współcześni psychiatrzy znajdują się pod mniejszym presją społeczną niż byli ich poprzednicy? Wątpię. Odkładając więc na bok ambiwalencję wobec homoseksualizmu, postawmy pytanie w ten sposób: zakładając, że istnieje coś takiego jak normalność, czy jest normalna dla mężczyzny niezdolność do fizycznej miłości z kobietą (i vice versa)?

Przypuszczalnie są tylko trzy możliwe odpowiedzi:

1. Większość homoseksualistów może fizycznie kochać kobiety, ale odczuwają oni taki akt jako odrażający albo po prostu wolą fizyczną miłość z mężczyznami.
2. Tak, to jest normalne.
3. Nie, to nie jest normalne.

Jeżeli dawana jest pierwsza odpowiedź, wtedy musimy przyznać, że homoseksualista wybrał swój homoseksualizm. Możemy wtedy pytać czy ktoś, kto wybiera miłość do tej samej płci, podjął tę decyzję na psychologicznie zdrowej podstawie. Jeżeli udzielana jest druga odpowiedź, to każdy z nas jest wolny w ocenie tej odpowiedzi przed samym sobą. Jeżeli o mnie idzie, nie uważam, aby niemożność mężczyzny do fizycznej miłości z kobietą mogła być określona jako normalna. Chociaż taki mężczyzna może być zdrową i wspaniałą ludzką istotą we wszystkich innych sferach życia - całkiem możli-

we, że bardziej uprzejmym, pracowitym i etycznym niż wielu heteroseksualistów - to w tej jednej sferze nie może być nazwanym normalnym. I przyczyną dla której homoseksualizm może być uważany za rzecz nienormalną nie jest stan mniejszości. Nawet gdyby większość mężczyzn stała się niezdolna do fizycznej miłości z kobietami, to wciąż nie mogłoby to być normalne. Mężczyźni są przeznaczeni, aby kochać fizycznie kobiety i na odwrót. Oko przynosi nam właściwą analogię: gdyby większość populacji oślepa, ślepotą ciągle byłaby nienormalna. Oko jest przeznaczone do widzenia. Oto dlaczego oświadczenie wybieram trzecią odpowiedź. Jednakże robię to rozumiejąc, że w dziedzinie psychologicznej „choroba” może być raczej opisem czyichś wartości niż obiektywną nauką (która może po prostu nie istnieć w tej sferze).

M CZYŃN I KOBIEŃ UCZYŃIŁ ICH

Światu, który podzielił ludzką seksualność na penetrującego i penetrowanego, judaizm rzekł: „jesteś w błędzie - seksualność ma być podzielona na męską i żeńską”. Światu, który widział kobiety jako wytwórczynię dzieci, niewarte romantycznej i seksualnej uwagi, judaizm rzekł: „jesteś w błędzie - kobiety muszą być jedynym ogniskiem erotycznej miłości męskiej”. Światu, który powiedział, że zmysłowe odczucia i fizyczna piękność były najwyższymi dobrami życia, judaizm powiedział: „jesteś w błędzie - etyka i świętość są najwyższymi wartościami”. Tysiąc lat wcześniej, nim rzymscy cesarze utrzymywali obnażonych chłopców, żydowskim królom nakazywano spisywanie i przechowywanie *sefertorah*- księg i Tory.

W całym moim dociekaniu dotyczącym tego zagadnienia nic bardziej mnie nie poruszyło, niż Talmudyczne prawo, które zabraniało Żydom sprzedawać niewolników albo owce nie-Żydom, aby ci ostatni nie angażowali się w homoseksualizm i zoofilię. To był świat, w którym rabini napisali Talmud i w którym wcześniej była napisana Biblia. Zapytany, co jest tym największym odkryciem, którego dokonałem w moich badaniach, zawsze odpowiadałem: „to, e musiało by Boskie objawienie, aby powstała Tora”. Tor a był a p o pro - stu zbyt odmienna od reszty świata, zbyt przeciwna naturze ludzkiej, żeby była jedynie ludzkim wytworem.

Stworzenie cywilizacji zachodniej było niezwykle trudne i było rzeczą wyjątkową. Wymagało bezustannego oddalania gratyfikacji i zmiany ukierunkowania naturalnych instynktów; to dyscyplinowanie nie zawsze było dobrze przyjmowane. Były liczne usiłowania zniszczenia żydowsko-chrześcijańskiej cywilizacji, nierzadko przez Żydów (radykałnych polityków) oraz chrześcijan (antysemityzm).

Podstawą tej cywilizacji i żydowskiego życia była centralna pozycja i czystość życia rodzinnego. Ale rodzina nie jest naturalną jednostką w tym samym stopniu co wartością, która musi być kultywowana i chroniona. Grecy dokonali napaści na rodzinę w imię piękna i Erosa. Marksieści zaatakowali rodzinę w imię postępu. I dzisiaj ruchy wyzwolenia gayów atakują ją w imię współczucia i równości. Rozumiem, dlaczego geje to robią. Życie wielu z nich

było żałosne. Nie mogłem zrozumieć, jak Żydzi lub chrześcijanie przyłączają się do tej napaści. Teraz to rozumiem. Nie wiedzą, jaka jest stawka. Stawką jest nasza cywilizacja.

Jest bardzo łatwo zapomnieć, czego judaizm dokonał i co chrześcijanie stworzyli na Zachodzie. Ale ci, którzy nienawidzą tej cywilizacji, nigdy nie zapominają. Radykalni profesorowie Uniwersytetu Stanforda i studenci, którzy niedawno śpiewali „*We x hey, ho, ho, Western civ has got to go*” (czyli: cywilizacja zachodnia musi ustąpić), odnosili te słowa do czegoś więcej niż do programu kształcenia na uniwersytecie. I nikt nie nuci tej przyśpiewki z większą siłą niż ci, którzy wierzą i propagują idee, według których zachowanie seksualne nie odgrywa większej roli w budowaniu lub niszczeniu cywilizacji. Akceptacja homoseksualizmu jako równego heteroseksualnej, małżeńskiej miłości oznacza upadek zachodniej cywilizacji z taką samą pewnością jak odrzucenie homoseksualizmu i innych postaci pozamałżeńskiego seksu uczyniło możliwym stworzenie tej cywilizacji.

Dennis Prager



EA 8

FB.

NAZYWAĆ RZECZY PO IMIENIU

(rozmowa z księdzem biskupem profesorem Józefem Yci skim, ordynariuszem tarnowskim)

- Czy określenie „cywilizacja mierni” użyte przez Jana Pawła II w encyklice „*Evangelium Vitae*” nie jest wyrażeniem zbyt mocnym?

- Niektórzy czują się dotknięci, gdyż uważają, że nasza cywilizacja ma wiele pozytywnych oznak. Równocześnie jednak w cywilizacji tej występują oznaki przerażające. Na przykład Europa oswojona z ludobójstwem... Mieliśmy pretensje w czasie wojny, że Anglicy sączyli herbatkę, podczas gdy u nas trwało powstanie warszawskie. Wydaje mi się jednak, pod względem znieczulenia w środkach przekazu przeszliśmy już daleko tamte wzorce. Przykładowo, wczesnym rankiem słucham wiadomości z RMF, serwis robiony znakomicie, ze wstrząsającymi danymi o tym, jak krew się leje na Bałkanach. W chwilę po zakończonym serwisie sześciotrydziestolatków i bez troski komentarz typu: „w jakiej piżamie dzisiaj spałeś?”... To jest właśnie ta znieczulica wobec cierpienia: tutaj dramat konających mieszkańców Bośni, a tu bez troski pseudo-problemy. Tego typu oswojenie ze śmiercią jest jakimś bolesnym zjawiskiem naszej cywilizacji. Proszę zwrócić uwagę, że prawa legalizującego eutanazję przez długi czas nie wprowadzono. Może pamiętano o dramatycznych wydarzeniach II wojny światowej, o praktykach hitlerowskich. Ale to, że właśnie obecnie pojawia się próba usprawiedliwienia eutanazji na wielką skalę, świadczy, że osuwamy się z cywilizacją, gdzie technika, pieniądz, biznes są wartościami wyższymi niż osoba ludzka. To zabijanie podstawowych wartości, wyciszenie sumienia na ich obiektywną wartość, jest niepokojącą oznaką cywilizacji śmierci, stąd też mocne określenie Ojca Świętego.

- Niektórzy twierdzą, że alarmuje sformułowanie Jana Pawła II o „spisku przeciwko życiu” pachnie spiskową teorią dziejów.

- Śmiem twierdzić, że jest inaczej. Tu nie chodzi tylko o zorganizowany spisek typu działań mafijnych, ale o pewien realizowany plan, gdzie życie ludzkie i osoba ludzka są wartościami marginesowymi. Uważam, że istnieją wielkie ośrodki biznesu, dla których pieniądz, szybkie bogacenie się, jest wartością znacznie wyższą niż człowiek. Stąd dla mnie na przykład czymś horrendalnym jest tak szybkie oswojenie opinii publicznej z faktem, że można resztki zamordowanych dzieci, resztki z zabitych płodów ludzkich, używać do produkcji kosmetyków. Przecież kiedy w spisie lektur mieliśmy „Medaliony” Nałkowskiej, to wiadomość o tym, że hitlerowcy używali skóry ludzkiej do oprawiania książek, była czymś wstrząsającym. Teraz już oswoiliśmy się z tym, że

zabite dziecko może dostarczać masy przerobowej do produkcji kosmetyków. To jest właśnie owa teoria spisku - nie w ramach ukrytych sił, które starają się realizować jakiś nieludzki program, ale spisku w imię takiej hierarchii wartości, gdzie pieniądz więcej waży niż człowiek.

- *Papie twierdzi, że kryzys cywilizacyjny ma swoje źródło w kryzysie kultury.*

- Sądzę, że nie jest to tylko jego prywatna opinia. Uczestniczyłem przed rokiem w posiedzeniu Papieskiej Rady Kultury, gdzie przedstawiciele różnych ośrodków, od Afryki po Kanadę, zgodzili się z tym, że przemiany kulturowe, jakich doświadcza nasza generacja, są czymś wyjątkowym i cechą charakterystyczną tych przemian jest załamanie się wcześniejszych, optymistycznych programów. To nie tylko wiara w marksizm i wiara w idealne społeczeństwo upadła, ale także wiara w technikę niosącą szczęście, wiara w naukę, która przyniesie od razu rozwiązanie wszystkich problemów ludzkości. W tej sytuacji pojawia się zjawisko fatalizmu. W kulturach, gdzie dominuje religia muzułmańska, zjawisko to ma inną postać niż na przykład wśród sfrustrowanych postmarksistów. Ci ostatni, co ciekawe, bardzo często nawracają się na postmodernizm i próbują propagować ideologię, w której załamanie się wielkich systemów jest traktowane jako konieczność, której nie sposób uniknąć i do której można się odnosić z ironią. I to właśnie są jedne z najbardziej widocznych oznak głębokiego kryzysu kultury, którego oczywiście nie wolno zamykać tylko w pesymistycznych konkluzjach. Chrześcijanin jest optymistą: pewne oznaki kryzysu występowały we wszystkich czasach, ale równocześnie była wiara w możliwość ich przełamania. Natomiast tak gwałtowne załamanie się optymistycznych programów i podniesienie absurdu, niewiary oraz beznadziei do rangi wartości naczelnych w wielu środowiskach jest czymś głęboko niepokojącym, czego na progu trzeciego tysiąclecia chrześcijaństwa nie możemy nie zauważać i chować głowę w piasek.

- *Główny cech postmodernizmu jest głoszenie, że prawda nie istnieje.*

- Dążenie do prawdy zostało szczególnie mocno zaakcentowane przez papieża w jego wcześniejszej encyklice, gdzie "Veritatis Splendor" jest niejako warunkiem koniecznym, aby "Ewangelia Życia" mogła zostać przyjęta. Tymczasem w wielu środowiskach kwestionuje się dzisiaj możliwość oraz potrzebę istnienia prawdy. W kręgach polskich pracowników naukowych odnalazć można powtarzaną często opinię Fayarabenda: *"Je li dla pracownika naukowego najwikszą wartością nie jest prawda, to tak wartością jest dla niego markazachodnioniemiecka"*. Foucault powiedział kiedyś, że prawda krępi jego wolność jako badacza. Jeden z polskich filozofów, ongiś członek KC, mówił swoim studentom: *"Proszę mi nie zatykać ust kębłem prawdy"*. Chrze-

ścijaństwo jednak podkreśla mocno, że to prawda nas wyzwala, że nie jesteśmy istotami nieinteligentnymi, które nie mogą robić użytku z szarych komórek, ale że prawda i wolność muszą iść ze sobą w parze. Jeśli ktoś neguje to i twierdzi, że wolność jest ważniejsza od prawdy, to sam sobie zaprzecza, bo już uznaje prawdę, że wolność jest ważniejsza od prawdy. Tak więc przed sformułowaniem swojego programu akceptuje już pewną prawdę wyjściową. Uważam, że bez szacunku dla prawdy nauka staje się jedynie namiastką nauki, w której można produkować stopnie naukowe, ale w której podstawowe wartości tracą sens.

- *Winnej z encyklik, "Centessimus annus", Jan Paweł II napisał, że demokracja pozbawiona odniesienia do wartości, do prawa naturalnego, do godności osoby ludzkiej, może przekształcić się w system totalitarny, jawny lub zakamuflowany. Czy zgadza się ksiądz biskup z tą opinią?*

- Sądzę, że obecne doświadczenia z prawem do eutanazji wskazują na to wyraźnie. W Kalifornii był już głosowany wniosek nad wprowadzeniem eutanazji i jej przeciwnicy zdobyli tylko 3-4 procent przewagi, więc projekt nie został aprobowany. W Holandii pogodzono się z praktyką eutanazji, co dla chrześcijan jest szokiem. Tak więc cywilizacja, gdzie większością głosów można przeprowadzić wszystko, może stać się cywilizacją nieludzką. Leszek Kołakowski powiedział kiedyś, że nie chciałby żyć w społeczeństwie demokratycznym, gdzie 51 procent członków społeczeństwa może przeprowadzić większościowy wniosek, by wyrzucić pozostałe 49 procent. Dla nas może to być przerażające tym bardziej, że znamy pewne groteskowe formy polskiego parlamentaryzmu, gdzie - choćby w stanie wojennym - można było zdobyć większość głosujących na najbardziej absurdalny temat. Zostawmy jednak na boku stan wojenny i spróbujmy się zastanowić, czy można większością głosów określić wielkość stałej grawitacji. Uważam, że pewne wartości, na przykład prawa fizyki, są niezależne od łaskawej akceptacji gremiów. To samo dotyczy obiektywnego prawa naturalnego.

- *Czy papieskie rozróżnienie między porządkiem moralnym a porządkiem prawnym danego kraju nie prowadzi do obywatelskiego nieposłuszeństwa? Niektórzy krytycy twierdzą wręcz, że prowadzi do anarchii, gdy na przykład papież pisze, aby pracownicy służby zdrowia odmawiali udziału w dokonywaniu aborcji, mimo że prawnictwo danego państwa na to zezwala.*

- Uważam, że Ojciec Święty nie wzywa do anarchii. To różni nas, chrześcijan, od tych trockistów, którzy głosząc teorię permanentnej rewolucji, podkładają bomby w sklepach czy innych uczęszczanych miejscach dużych metropolii, gdyż twierdzą, że społeczeństwo jest burżuazyjne, a oni nie akceptują ładu

burżuazyjnego. Chrześcijanin nie jest trockistą. Natomiast obywatelskie nieposłuszeństwo jest normalną formą refleksyjnej, krytycznej postawy wobec życia społecznego. W tym życiu społecznym ciągle doskonalimy pewne formy i mamy obowiązek oraz prawo wyrażać naszą dezaprobatę wobec pewnych struktur społecznych, które powinny ulec udoskonaleniu. Powstaje tutaj problem: w jaki sposób chrześcijanin może bronić ładu moralnego, występując przeciw określonym formom narzuconym przez prawodawstwo? Nie akceptowałbym takich form protestu, które prowadzą lub przejawiają się w postawach fanatycznych. Nie mogę więc zaakceptować takich działań, które odwołują się do przemocy, jak na przykład w Ameryce, gdzie zdarzyło się nawet, że jeden z obrońców życia zastrzelił lekarza pracującego w klinice aborcyjnej. Dla chrześcijanina każde życie ma wartość i nie wolno nam niszczyć po to, aby budować. Przyznam jednak, że podobała mi się postawa jednego z profesorów fizyki, którego spotkałem niedawno podczas swoich wykładów w Baltimore. Razem ze swoimi synami, studentami, siadał przy wejściu do klinik i spokojnie, z wielkim opanowaniem oraz kulturą starał się wypowiadać bolesną prawdę o mordowaniu w tym miejscu niewinnych ludzi. Nie odwoływali się oni do żadnych form protestu poza przypominaniem tej prawdy, która była dla nich oczywista. Wydaje mi się, że takie uświadamianie, uwrażliwianie sumień jest jakąś formą walki ze znieczulicą. Jeśli ludzie przyzwyczajają się i oswajają swoje sumienie z tym, że można zabić dziecko poczęte, to potem już łatwiej przyzwyczaić się im do tego, że w Rwandzie praktykowane jest ludobójstwo, a na Bałkanach leje się krew.

- *Co robisz, aby nie ulec cywilizacji mierni?*

- Sądzę, że nie sporządzimy jakiegoś katalogu form budowania kultury życia, kultury miłości. Jest to bardzo rozległa dziedzina. Bałbym się, by dominowała tutaj metafizyka walki, bo wtedy mimo woli ocieramy się o kompleks obłożonej twierdzy. Odpowiem inaczej: jest taka książka Waltera Millera "Kantyczka Leibowitza", gdzie przedstawiona jest wizja cywilizacji po użyciu w trzeciej wojnie światowej broni nuklearnej. Ludzkość prawie w całości uległa wyniszczeniu, a pojawiające się coraz częściej i żyjące w lasach mutanty w sporadycznych przypadkach atakują pozostałych przedstawicieli gatunku homo sapiens i praktykują kanibalizm. I wtedy papież Leon XXI wydaje encyklikę, że nie wolno zabijać tych mutantów, bo oni zrodzeni z ludzkiego ojca i z ludzkiej matki są naszymi braćmi w człowieczeństwie, którzy przeszli przez dramat skażenia po użyciu bomby atomowej. Ta solidarność, pokazywana mocno przez Millera w sferze science-fiction, jest ważną ekspresją humanizmu chrześcijańskiego, który tak pełny wyraz znajduje w encyklice "Evangelium Vitae". Nie sporządzajmy więc katalogów, bo tego się nie da, nie odwołujemy się do retoryki walki, bo tego typu zachęty mogą trafić łatwo do osób kocha-

jących przemoc. Brońmy człowieka, podkreślajmy jego godność. Chrystus dla nas i dla naszego zbawienia zstąpił z nieba, osoba ludzka ma wartość nieskończoną. Tu znajduje się fundament "Ewangelii Życia" i humanizmu chrześcijańskiego.

- *Czy nie odnosi ksiądz biskup wrażeń, że cywilizacja mierci może rozwijać się nie tylko na skutek rozpowszechnionej banalizacji zła, lecz również przez coraz powszechniejsze dążenie do eliminacji z ludzkiego życia bólu i cierpienia?*

• Jesteśmy dziś na tyle technologizowani, że przyzwyczailiśmy się i szukamy rozwiązań typu *instant* - żeby można było nacisnąć guziczek i wyeliminować problem. Stąd ucieczka w narkotyki, w różne środki wyłączonej refleksji. Sukcesy, jakie człowiek odnosi w wielu dziedzinach, sprawiają, że usiłuje on w ten sam sposób technologizować samego siebie. Wcześniejsze refleksje, które tak ważne miejsce zajmowały w cywilizacji śródziemnomorskiej - refleksje na temat miłości, wierności, przyjaźni, sztuki, znoszenia cierpienia - zostały zepchnięte gdzieś na margines, a zamiast tego promuje się model współczesnego narcyza, zakochanego w sobie pierwszą i ostatnią miłością życia. Czegokolwiek się dotknie, odnosi sukcesy, a jeśli nie ma sukcesów, chce zmienić system i mieć natychmiastowy sukces. Nic więc dziwnego, że któryś ze studentów powiedział Miłoszowi: *"Mnie Sokrates nie interesuje, bo on nie odniósł życiowego sukcesu"*. Rzeczywiście, cykuta to nie bruderszaft. Snobom zawsze bardziej odpowiadało picie bruderszaftu ze znajomymi osobistościami niż sokratejska postawa wobec życia. Chrześcijaństwo z Chrystusem zbawiającym świat przez cierpienie bliskie jest tamtemu sokratejskiemu ideałom, które zrodziły się z zafascynowania, z refleksji, umiejętności godnego dawania świadectwa wartościom, które się akceptuje, także z umiejętności przyjęcia cierpienia. My dzisiaj tłumaczymy sobie, że nie rozumiemy już cierpienia i wiele osób rzeczywiście go nie rozumie. Dochodzi do tego pragmatyka - bardzo często w domu traktują chorą mamę czy chorego kuzyna jako niepotrzebny sprzęt, który utrudnia przeżycie wakacji, codzienne wyjście na spacer, spędzenie czasu w taki sposób, jak by się chciało. Skutkiem tego bliźni staje się zagrożeniem mojej wolności i mojej przyjemności; najprostsza metoda, to zastosować eutanazję, a następnie semantycznie zinterpretować, że jest to forma miłosierdzia wobec chorego.

- *Czy cywilizacja mierci nie oznacza mierci cywilizacji?*

- Może śmierć to za mocne słowo, ale na pewno jest to poważna choroba cywilizacji. W każdej epoce występują pewne choroby. Czy nasza epoka ma coś specyficznego? Uważam, że ma wiele cech, które różnią ją od epok wcze-

śniejszych, choćby w kategoriach przepływu informacji. Staliśmy się już Mac-Luhanowską globalną wioską. Jeszcze niedawno istniały dość mocne przedziały i różnice kulturowe czy środowiskowe, a dziś ten sam program emitowany w Nowym Jorku odbierany jest dzięki telewizji satelitarnej w Tokio, Paryżu i małych wioskach diecezji tarnowskiej. Ta sama "Dynastia" ze swoimi wzorcami życia dociera do milionowych, jeśli nie miliardowych, kręgów odbiorców. O ile dawna propaganda komunistyczna wywoływała rozbawienie lub od razu ustawiała odbiorcę w pozycji krytyka, o tyle dzisiejsza perswazja w formie bardzo inteligentnej, na poziomie pewnych metaopracowań, bo nie zawsze treści - jest bardzo sugestywna i przekonująca. Niesłyszana jest też szybkość przepływu informacji. Żeby się dowiedzieć prawdy o Katyniu, czekaliśmy na oficjalne potwierdzenie prawie pół wieku. Żeby na Zachód dotarły wiadomości o obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu, trzeba było długich sprawdzeń, bo wydawało się to niewiarygodne. Dziś prawie na oczach całego świata można na bieżąco oglądać za pomocą telewizji dramat krawawiającej Czeczenii czy Rwandy. To naturalne, że nasza psychika nie jest dostosowana do tak olbrzymiej dawki zła. Albo więc nastąpi banalizacja zła i zostaniemy cynikami, albo też nadwrażliwa reakcja na ogrom tego zła, które jest w świecie, i stąd tyle frustracji, depresji, tyle osób nie widzących swego miejsca w świecie, który postrzegają jako misterium zła. Pod tym względem nasze doświadczenie pewnych zjawisk kulturowych jest więc wyjątkowe i ta wyjątkowość różni nas jakościowo od tych zmian, które pojawiły się w epokach wcześniejszych.

- Nie wierzy wi c ksi dz biskup w upadek naszej cywilizacji, przed czym przestrzegaj radykalni krytycy?

- Jako chrześcijanin jestem optymistą. Wierzę, że Bóg w każdej epoce posyła swoich ludzi, którzy niosą prawdę i dostarczają środków umożliwiających efektywne dążenie do tej prawdy i budowanie na niej życia. Wydaje mi się, że w wielu krajach widać już otrząśnięcie się z niedobrych fascynacji. Weźmy na przykład społeczeństwo amerykańskie. Przeciętny Amerykanin znajduje czas na modlitwę, podkreśla wagę rodziny, strzeże pewnej hierarchii wartości. To społeczeństwo otrząsnęło się już z pewnych złudzeń. Natomiast u nas, po upadku marksizmu, nastąpiła jakaś prymitywna namiastka kapitalizmu, gdzie jako warunek konieczny dla rozwoju naszego człowieczeństwa, dla naszego wejścia do Europy, przedstawia się najgorsze rzeczy sprowadzane z Zachodu: jeśli napoje, to przedawnione, ale z krzykliwym kolorowym napisem; jeśli erotyka, to w formie najbardziej prymitywnej pornografii; jeśli rock, to najbardziej agresywny. Na szczęście wśród młodych ludzi widzę już reakcję przeciwko podobnym postawom. Na pierwszy rok do seminarium tarnowskiego zgłosiło się w tym roku 67 kandydatów, więcej niż ostatnimi laty. Kiedy roz-

mawiam z nimi, to w ich motywacji widzę chęć służenia wyższym wartościom i sprzeciw wobec tego, co łatwe, płytkie i prymitywne. Wierzę, że tego typu protest będzie ekspresją naszych refleksyjnych postaw wobec życia oraz doprowadzi on do zdecydowanego działania w obronie wartości.

- Co najbardziej może utrudniać budowanie takich postaw?

- Myślę, że wprowadzanie złudnych wzorców, gdzie ośmiesza się styl bycia osobą zintegrowaną, posiadającą określoną hierarchię wartości, a jako wzorzec zachowań przedstawia się styl sezonowych idolów, którzy wykazują dużą niespójność, czują się zagubieni i celebrować to swoje wewnętrzne rozdarcie. Zalecałbym oczywiście pewną ostrożność, bo jakieś pęknięcie i wewnętrzna niespójność jest cechą charakterystyczną natury ludzkiej od momentu grzechu pierworodnego. My wszyscy nosimy w sobie jakieś rozdarcie. Pisał o tym i Owidiusz, i św. Paweł, i wielu intelektualistów współczesnych. Jest taka ciekawa korespondencja Einsteina z żoną Nielsa Bohra, gdzie Einstein zastanawia się, czym może być grzech pierworodny. I pisze, czy przypadkiem nasze nieuporządkowane dążenia seksualne, gdzie człowiek potrafi być irracjonalny i wbrew wcześniejszym zachowaniom wybierać odmienny styl, czy nie są one przejawem grzechu pierworodnego. Jest więc problem rozdarcia w człowieku, którego nie można zbanalizować. Ale banalizuje się to rozdarcie, kiedy przedstawia się styl osoby niedookreślonej, pozbawionej poglądów, czy elementarnej wolnej woli jako coś pożądanego. Barańczak wykipił ten styl, pisząc kiedyś, że jeśli się ma czterdziestkę i nie miało się za sobą żadnego rozvodu, nie podcinało się sobie żył, a w nocy można spać spokojnie, to wstyd się pokazać w dobrym towarzystwie, bo tam trzeba demonstrować swoje frustracje, napięcia, niekonsekwencje, skandale. Boję się więc takiego pozowania na rozdarcie. Natomiast krystalizując naszą hierarchię wartości po to, by cywilizacja życia była czytelna, musimy pamiętać, że obok będą ludzie, dla których pewne pojęcia będą mniej krystaliczne, i nie możemy stracić z nimi kontaktu. Musimy wspólnie w ramach ludzkiej solidarności dążyć do pewnych ideałów, by nie tworzyć getta dla cnotliwych.

*- Wielu krytyków niezbyt pochlebnie wyraża się o mediach, nazywając je obro-
cami, a nawet nosicielami cywilizacji mierni.*

- Z opinią taką zetknąłem się w Afryce, gdzie młodzi mieszkańcy Konga pytali mnie, czy Polsce nie grozi brak powołań kapłańskich, jeżeli telewizyjny styl bycia zdominuje myślenie młodzieży. Oni widzieli ostrą opozycję pomiędzy poświęceniem, ofiarą, wyrzeczeniem, a tym modelem życia, który pokazuje telewizja. Na ekranie łatwo o szybkie samochody i wspaniałych supermanów, a za oknem szumi busz i nie można wyjść z domu, bo droga błotnista. Gdyby

traktować media jako drogę ucieczki w iluzję, to byłyby one zagrożeniem dla cywilizacji życia. Obawiam się, że niekiedy polskie media kreują, niestety, tego typu iluzję. Nie sądzę jednak, by należało demonizować media i tworzyć ich sojusze ze złem. Trzeba tylko po imieniu nazywać pewne bolesne zjawiska, na przykład pogoń za sensacją czy kreowanie iluzji z powodów finansowych dla przyciągnięcia czytelnika, który nie chce przemęczać swych szarych komórek.

- Za nazywanie pewnych rzeczy po imieniu mo na dzi by dzi okrzykni tym na przykład faszyst .

- Oczywiście, nazywając pewne rzeczy po imieniu, narażamy się. Miłosz wspomina, że podczas wykładów w Berkeley wystarczyło użyć słowa "wartość", by zyskać sobie opinię faszysty. Jeśli ktoś bronił tezy, że da się odróżnić dobro od zła, od razu był włączany do grona faszystów. Z kolei operowanie retoryką wolności od razu przemieniało kogoś, kto znał jedynie sztukę retoryki, w postępowca, człowieka lewicy i wyzwoliciela. Niewątpliwie ma więc rację Herbert, kiedy mówi, że zapaść etyczna idzie w parze z zapaścią semantyczną. Dzieje się tak, kiedy zanika nasza wrażliwość na pewne słowa, kiedy zagłaskujemy prawdę, a w zamian za to wprowadzamy delikatne namiastki nowomowy, która może mieć inny słownik na każdy etap. Na przykład kiedyś strajkujących robotników nazywano warchołami i elementami burzycielskimi. Ta semantyka ma dziś swoją kontynuację, bo interesy, które przyświecały twórczeniu "najświetlejszego ustroju", nadal występują, tylko że w nowych warunkach wiążą się ze sferą biznesu, nowymi możliwościami kariery i awansu. Następuje więc zagłaskiwanie słownika i oto widzimy dziś, jak zwykłych handlarzy bronią przedstawia się jako bohaterów narodowych, a tych, którzy mieli odwagę przeciwstawiać się systemowi totalitarnemu, ukazują się jako zdrajców ojczyzny. Ta rozchwiana semantyka jest jednym z boleśniejszych zjawisk chwili obecnej i obawiam się, że tutaj tkwi nasza wielka odpowiedzialność, by ze spokojem, bez fanatyzmu, przywrócić słowu jego normalną wartość.

- Konfucjusz powiedział: aby zmieni wiat, trzeba zmieni j zyk. Czy współczesna znieczulica na zło nie jest wynika te z tego, e zła nie nazywa si po imieniu, lecz jakimi eufemizdami?

- Jest to chyba jedna z charakterystycznych cech współczesnej kultury, że zbrodnie, grzechy, zło chce się zagłaskać przy pomocy retoryki gładkich terminów. Dla przykładu, problematyka grzechu: ludzie grzeszyli w każdej epoce, ale mieli świadomość dramatu swojego grzechu, podczas gdy dziś zagłusza się w nas sumienie. Mówi się: - To drobiazg, wszyscy tak postępują, nie ma problemu. Chociażby żenująca kwestia prostytucji. Istniała w różnych

epokach: św. Augustyn zastanawiał się, jak ocenić ją moralnie, ale w tamtych epokach to było coś dramatycznego. Nasza epoka wpadła na pomysł, żeby nazywać to agencją towarzyską. Mamy nową semantykę, nowych towarzyszy zrzeszających się w agencjach, i próbę elementarnego zagłaskiwania sumienia.

- *Niektórzy z krytyków papie a twierdz , e niepotrzebnie ingeruje on w prywatne, osobiste sprawy, gdy ostatecznym kryterium warto ciowania jest ludzkie sumienie, które samo powinno rozstrzyga na przykład delikatne kwestie etyki seksualnej.*

- Chrześcijaństwo uznaje tę rolę ludzkiego sumienia, tylko że sumienie jest instrumentem bardzo wrażliwym, skutkiem tego wymaga formacji, i nauczanie Ojca Świętego umożliwia tę formację, bo można zagłuszyć w sobie głos sumienia. Niejednokrotnie rozmawiając z dziewczętami, które chciały przerwać ciążę i proponując im przyjęcie mieszkania w domu samotnej matki, słyszałem odpowiedź: jak ja tu zamieszkam i urodzę dziecko, to odezwie się u mnie instynkt macierzyński i ja już tego dziecka nie oddam komuś na wychowanie, do adopcji, więc muszę teraz zabić tą ciążę, żeby spokojnie kontynuować studia czy pracować dalej. Ten głos sumienia może być więc zabijany z całą wrażliwością. Jest tu analogia taka jak ze skrzypcami Stradivariusza: z tego, że ma się w domu takie skrzypce, nie wynika, że jest się Stradivariuszem. One mogą być zakurzone, muszą wymagać nastrojenia, no i ktoś musi umieć grać. Z zasady rodzimy się z wrażliwym sumieniem, ale zarówno cywilizacja, jak i nasze osobiste przeżycia wnoszą kurz i bardzo często utrudniają odczytywanie tego głosu sumienia. Stąd też istnieje potrzeba ciągłej formacji naszych sumień i nauczani e Ojca Świętego to wielki apel do wrażliwości sumień.

- *Czy Ko ciół nie jest w tej roli osamotniony?*

- Niektórzy chcieliby traktować Kościół, albo swoją najbliższą wspólnotę, jak samotnego szeryfa walczącego przeciwko reszcie świata. Jest to nieporozumienie. Sytuacja nie jest tak pesymistyczna. W amerykańskim ruchu Pro Life, kiedy demonstracja idzie pod Capitol, można spotkać przedstawicieli różnych wyznań, a także agnostyków, którzy mówią: "nie rozstrzygnąłem jeszcze kwestii istnienia Boga, ale poczęte dziecko jest dla mnie człowiekiem, więc chcę go bronić". Podczas ostatniego kongresu neurologów w Atenach, w dyskusji panelowej, kiedy wypowiedaliśmy się na temat wartości życia, miałem poglądy prawie identyczne z moim kolegą z Izraela, drem Abrahamem Steinbergiem, który występując przeciwko eutanazji odwoływał się za-

równy do Starego Testamentu jak i pewnej wizji antropologicznej. Jest wiele środowisk, które są nam bliskie, tylko może codzienna praktyka oraz zdominowanie mass-mediów przez pewien krytyczny typ sprawia, że niejednokrotnie czujemy się samotni i zagubieni.

- Czy u podstaw tych niepokojących przemian kulturowych, o których ksiądz biskup tyle opowiada, nie leży głęboka koncepcja człowieka?

- Jeszcze niedawno ujmowano człowieka w kategoriach kolektywu, dziś z kolei bardzo często ujmuje się go indywidualistycznie. Pokusą zawsze więc pozostaje pewien redukcjonizm, na przykład gdy w przeszłości usiłowano traktować człowieka wyłącznie jako zespół pomp albo tylko jako zwierzę i sądzono, że szympan, jeśli poddany zostanie kompletnej edukacji, to szybko osiągnie poziom rozwoju człowieka. Znamienne były też sukcesy socjobiologii, gdy sądzono, że kultura ludzka trzymana jest na smyczy przez geny. Obecnie w Kościele anglikańskim usiłuje się w ten sposób interpretować niektóre z bardzo bolesnych w naszej cywilizacji przejawów grzechu. Pojedynczy interpretatorzy przyjmują to tak: "no cóż, taki mam genotyp, nic na to nie poradzę, muszę grzeszyć i nie nazywam tego grzechem, bo jest to uwarunkowanie biologiczne". Mamy więc tutaj smutne przejawy dorabiania pewnej ideologii, już nie tylko semantyki. Dlatego czymś bardzo ważnym pozostaje refleksja antropologiczna, która idzie w głąb. Proponuje nam się dziś dowartościowanie tej sfery ducha, ale w takich substytutach jak gnoza, przeżycia ezoteryczne, ideologia New Age, gdzie w sposób mieszający różnorodne tradycje, ale satysfakcjonujący osoby o niewyszukanych gustach, dostarcza się znów natychmiastowych odpowiedzi na bardzo skomplikowane pytania. Sądzę, że tego typu szybkich rozwiązań nie znajdziemy, ale dlatego ciągle musimy podejmować pytanie o hierarchię wartości, o sens życia, o wartości duchowe, i musimy troszczyć się o głębię naszego świata wewnętrznego. By móc więc budować kulturę miłości i życia, musimy dbać o estetykę wnętrza, tę estetykę, w której zharmonizowane zostaną wartości etyczne i religijne, a krytyczna refleksja oprze się łatwym i prostym sloganom.

- Była niedawno w "Znaku" taka dyskusja po tekście Sergiusza Awierencewa na temat przyszłości chrześcijaństwa w Europie. Odniosłem wówczas wrażenie, że jest pewien typ malkontentów, którzy zawsze będą mówili o kryzysie. Czy my przypadkiem nie absolutyzujemy zbyt naszego momentu historycznego i nie zauważamy, że kryzys jest właściwie zawsze?

• Właśnie, czy my nie przesadzamy z tymi kryzysami? Sądzę, że można by się tu odwołać do analogii z narzekaniem w różnych państwach czy też w różnych kulturach. Kiedy wyjeżdżam z Warszawy, gdzie moi znajomi toną we frustracjach w związku z wystąpieniami niektórych polityków, i kiedy idę do

Stanów, to widzę, że Amerykanie też są sfrustrowani swoimi politykami, tyle że podłoże tych frustracji jest jakościowo odmienne. Podobnie, jak mi się wydaje, jest z opiniami o kryzysie. Cokolwiek by się zdarzyło, to w każdej cywilizacji znajdą się krytycy, którzy wskażą na pewne formy kryzysu. Tylko że kryzys kryzysowi nierówny - i ja obiektywnie uważam, że jedna z cech charakterystycznych naszej epoki wyraża się choćby w tym, że zagłada atomowa może skończyć istnienie gatunku homo sapiens. Stworzone obecnie możliwości zastąpienia bombek stosowanych dawniej przez terrorystów przez bombę atomową produkowaną chałupniczo niosą nieobliczalne konsekwencje na poziomie egzystencji biologicznej. Natomiast formy manipulowania informacją w tej globalnej wiosce, której nie było jeszcze 50 lat temu, niosą zagrożenie tak wielkiego wpływu na kulturę i na psychikę człowieka, że ze skutków podobnego oddziaływania może być bardzo trudno wyleczyć się nam w przeszłości.

- Ale chyba jaki kryzys metafizyki, poczucia sakralno ci obserwujemy. Cywilizacja za miła Boga, jak pisał Buber. Absurdalno ycia wynikaj ca z nieobecno ci Boga, która na przykład dla Camusa była przedmiotem tragedii egzystencjalnej, dzi wydaje si nie tylko normalk , ale nawet mod dla mas. Czy w zwi zku z tym ten kryzys wiary, jaki mamy dzisiaj, nie jest jako ciowo inny, w jaki sposób najgł bszy z dotychczasowych?

- Co do kwestii zaćmienia Boga, to miałbym pewne wątpliwości. Zanim Camus cierpiał z tego powodu, że nie może zaakceptować Boga, to André Gide cynicznie mówił do swoich bliskich: "Nie zawracajcie mi głowy religią; wam bardziej zależy na zbawieniu mojej duszy niż mnie samemu". Tak więc generacja sceptyków, cyników i nihilistów miała swoich przedstawicieli także we wcześniejszych epokach. Dziś może zjawisko laicyzacji jawi się jako problem w wielu krajach, które w przeszłości były chrześcijańskie. Ale znów statystycznie rzecz biorąc, kiedy odwiedzam młode kraje afrykańskie, kiedy spotykam się z ludźmi z tych środowisk, które w Europie bywają mało nagłaśniane, widzę tam jakieś uwrażliwienie na wartości duchowe. Dlatego też nie wykluczam możliwości, którą zasygnalizowała mi kiedyś uczestniczka mojego wykładu w Rennes we Francji - kto wie, czy za sto lat misjonarze z Afryki nie popłyną w stronę Francji, tak jak sto lat temu płynęli misjonarze z Francji do Afryki. Być może zajdą tu głębokie przeobrażenia kulturowe, które nie muszą prowadzić do jednoznacznego pesymizmu. Jako chrześcijanin jestem przeciwny fatalizmowi i widzeniu świata w ciemnych barwach, to różni chrześcijan na przykład od tych postmodernistów, którzy twierdzą, że i historia i refleksja wyczerpały już swoją moc.

- Czy ten zanik gł bszej refleksji nie wynika z dzisiejszej dominacji liberalizmu z jego ideałem człowieka sukcesu, sukcesu tu i teraz?

- Może tylko bałbym się utożsamić liberałów z ludźmi sukcesu, bo spotkałem bardzo wielu liberałów i jest wśród nich tak wiele odmian, że nie chciałbym ich klasyfikować. Natomiast niewątpliwie zastąpienie tradycyjnej aksjologii

nową hierarchią wartości, gdzie sukces jest wartością naczelną, prowadzi do tego, że osoba ludzka, godność, wierność ulegają automatycznie zdeprecjonowaniu, jeśli nie prowadzą do sukcesu. No i wtedy mamy jakąś antropologię dla ubogich: będziesz wartościowym człowiekiem wtedy, gdy odniesiesz sukces. Tymczasem Chrystus Pan w swojej ziemskiej misji raczej sukcesu nie odniósł. Niedziela Palmowa nie była szczytowym dniem jego misji, tylko Wielki Piątek prowadzący do dyskretnego, nie nagłośnionego zwycięstwa w Wielkanocny poranek. I tutaj pozostaje dla nas zawsze zadanie: wybierać tę hierarchię wartości, w której osoba ludzka, odkupiona przez Chrystusa, jawi się jako naczelną wartość. Odrzucać należy zaś deklaracje bożyszczy kolejnego sezonu, które ongiś głosiły, że przewodnią siłą czy społeczeństwo bezklasowe jest najważniejsze, zaś obecnie twierdzą, że tylko zanurzenie w medytacji w tej wersji, którą proponuje nam jakiś kolejny guru, może uratować ludzkość. W domu naszego Ojca jest mieszkań wiele, musimy być tolerancyjni, ale jest pewna forma też pólinteligienckich, absurdalnych, z którymi zgodzić się w żaden sposób nie można.

- Powróć do tego, co ksiądz biskup mówił o Afryce. Wiem, że z dawnego Konga belgijskiego jeżdżą ci czarni misjonarze do Belgii. Mówi się o kryzysie chrześcijaństwa w Europie, ale ja mniej w Ameryce, która jest dla mnie bardziej konserwatywna, wręcz purytańska. Trzeci wiat jest też bardzo religijny. Czy w sumie wiód ten kryzys nie dotyczy tylko Europy, głównie jej zachodniej części?

- Sądzę, że te zmiany, które obserwowaliśmy w Europie w latach powojennych są tak szokujące, że niektórzy chcą Europę albo spisać na straty, albo widzieć w niej tylko źródło zła. Sądzę, że sprawa jest znacznie głębsza. W tej naszej cywilizacji śródziemnomorskiej chrześcijaństwo inspirowało wiele dyskusji i debat, prowadziło do wznoszenia katedr i uniwersytetów, to jest nasza rodzina, której nie wolno nam wyrzucać na śmietnik i widzieć tylko to, co złe. Europa jest chora, przeżywa swoje dramaty, nie wolno ich zagłaskiwać, trzeba je nazywać po imieniu, ale równocześnie trzeba ufać, że istnieje lekarstwo na tę chorobę...

- Sam ródłóstów, greckie słowo krisis oznaczało przecięcie - rozwiązanie, odsiew, wyjdzie cię.

- Czasem mówi się o kryzysach twórczych, o kryzysie dojrzewania, który mija. Zobaczymy, jakie będą owoce obecnego kryzysu.

- Kiedy pytao papie a, czym jest chrześcijaństwo, odpowiedział, że to cię gle upadanie i podnoszenie się. Upadanie, czyli kryzys i podnoszenie się, czyli wyjdzie cię z tego kryzysu, ale wyjdzie cię już wzmocnionym. Czy ksiądz biskup dostrzega jakie pozytywne przejawy, znaki czasu wiadczone o tym, i obecny kryzys zostanie przewyciony?

- Weźmy na przykład solidarność w cierpieniu, pomoc humanitarną. Oto bardzo biedni często ludzie przekazują swoje dary innym, a zostało to stworzone właśnie przez cywilizację obrazka i szybkiej informacji, to dzięki niej mogą oni czuć się dziś solidarni i współcierpieć z tymi, którzy rzeczywiście znajdują się w ciężkiej sytuacji. Druga cecha to eliminowanie tych dysproporcji, które niegdyś były czymś chorobliwym, ale częściej spotykamy. Na przykład uwrażliwienie na sprawy rodziny. Me jest jeszcze rodzin w Polsce, gdzie kobieta jest traktowana znacznie gorzej od mężczyzny? Mężczyzna, absolutny pan i władca, po przyjeździe z pracy idzie z kolegami na piwo, wraca do domu, włącza telewizor, nic go nie obchodzą problemy żony. Myślę, że dziś nastąpiło jakieś uwrażliwienie na te zjawiska, które przedtem traktowano normalnie. Ten wzrost wrażliwości w niektórych dziedzinach jest niewątpliwie czymś pozytywnym. Tylko kiedy zaczniesz się na tym uprawiać ideologię, kiedy pojawi się jakaś radykalna postać feminizmu albo różnego rodzaju nacjonalizmu, które usiłują wprowadzać dystynkcje między narodami lepszymi i gorszymi, wówczas otrzymujemy karykaturalne zniekształcenie tego, co było pozytywne.

- Wydaje ci się, że kryzys ten minął już w nauce. Dziś fizycy czy stele elementarnych czy kosmologowie wracają do wiary w Boga i nie widzą żadnej sprzeczności między nauką a chrześcijaństwem.

- W końcu XIX wieku dla praktykującego przyrodnika wiara religijna była czymś nieco żenującym, bo dominowało przekonanie, że wiedza przyrodnicza, nauka prowadzi do ateizmu. Dziś wyzwoliliśmy się z tego przesądu, dziś nikt tak nie sądzi. Mieliśmy wówczas całą ideologię tzw. czystych faktów, bo - jak sądzono - interpretacja opiera się na faktach, podczas gdy wiara religijna unosi nas w sferę domysłów. Dziś wiemy, że czyste fakty nie istnieją, istnieją tzw. interpretofakty i, żeby coś stwierdzić jako fakt, najpierw trzeba założyć określoną teorię. To wyzwoliło nas z tych form fanatycznych uproszczeń, które prowadziły do ideologicznych odchyłań XIX wieku.

- Czy nie wydaje ci się jednak księdze biskupowi, że te najnowsze osiągnięcia naukowe jako z trudem przebijają się do kultury masowej, gdzie wciąż królują pozytywistyczne mity o niemożności pogodzenia wiary z nauką?

- Bezwzględnie tak jest. To, co pan mówi, znalazło wyraz w takim popularnym dictum - że ontogeneza rozwoju indywidualnego naukowca jest powtórzeniem filogenezy rozwoju myśli ludzkiej, to znaczy - te kierunki, które przerebaliśmy w rozwoju intelektualnym ludzkości, są powtarzane w indywidualnych poszukiwaniach samotniczych kogoś, kto też przechodzi przez fascynację empiryzmem, pozytywizmem itd. Uważam jednak, że w obecnej sytuacji naukowiec ma znacznie większe szanse dojścia do najnowszych wyników badań niż było to w przeszłości. Jeśli ma dojście do dobrych publikacji, jeśli dostatecznie dużo czyta i myśli, to pewne tezy muszą dotrzeć do jego świadomości, chyba że uprawia refleksję gdzieś w odciętej od świata ośrodku, gdzie dominuje lokalny guru, i gdzie nie dopuszcza się przeciwnych opinii.

- *A czy nie jest przypadkiem tak, e w tej chwili to nauka, która kiedy chciała wydrze wiatu wszystkie tajemnice, dzi sama pozwala budowa szacunek do tajemnicy, we my na przykład nieoznaczono Heisenbergowsk ...*

- Może nie łączyłbym tego koniecznie z zasadą nieoznaczoności Heisenberga, jakkolwiek wiele osób indywidualnie swoje fascynacje tajemnicą zaczynało od tego. Znałem siostrę zakonną, która pisząc o swoim powołaniu, napisała mi, że kiedy studiowała fizykę i zaczęli dyskusję nad zasadą nieoznaczoności Heisenberga, pojawiły się u niej pierwsze refleksje o powołaniu i o życiu zakonnym. Dla mnie wielkim wydarzeniem było samo powstanie mechaniki kwantowej, ten świat, który był zupełnie inny od wyobrażeń XIX-wiecznych mechanicyistów, a potem odkrycie w metalogice rodzimych twierdzeń nazywanych twierdzeniami limitacyjnymi, tu najbardziej szokujące było odkrycie młodego Goedla dotyczące niezupełności i niesprzeczności. Bridgeman, który w tamtym czasie praktykował fizykę w takim jeszcze XIX-wiecznym stylu, gdzie było dużo odwołań do empirii i do sprawdzania, jak przeczytał sobie twierdzenia Goedla, to go tak ścięło, że stracił wiarę w istnienie świata. To było czymś, co szokowało umysły lat 20. i 30. i my dziś zagłębieni w tamtym dziedzictwie mamy szansę znacznie bardziej krytycznego odniesienia się do rzeczywistości niekomunikowalnej, niewyraźnej w słowach czy niepojętej dla naszego umysłu. Na przykład Michael Polanyi i jego koncepcja wiedzy nieskoceptualizowanej. Weźmy proste pytanie: kto z was wyjaśniłby mi w kilku słowach, czym się różni zapach fiołka od zapachu pokrzywy?

-9

- Albo kto opowiedziałby niewidomemu jak wygląda tęcza? My tę wiedzę mamy, możecie odróżnić tęczę od mapy czy od szafy, ale jak niewidomemu wyrazić istotę tęczy, unikając sformułowań mierzących długość fal, odpowiadających poszczególnym kolorom? Jak wyrazić zapach róży, inny przecież od zapachu fiołków? Tę wiedzę mamy, ale nie potrafimy jej skonceptualizować. Dziś, po Polanym, to są prawdy dość banalne, tyle że w indywidualnych poszukiwaniach bardzo często niedostrzeżone. Można więc ukończyć studia z fizyki czy z chemii i nie wiedzieć nic o twierdzeniach Goedla i opowiadać, że jest zapowiadana jakaś "teoria wszystkiego", która dostarczy odpowiedzi na wszystkie pytania i już w ogóle nie będzie tajemnicy.

- *Czy nie jest jednak czym pocieszaj cym fakt, e w tej chwili my liciele tacy jak chocia by Paul Ricoeur czy René Girard akcentuj powrót grzechu pierworodnego jako przedmiotu refleksji. Czy nie dostrzega ksi dz biskup nawrotu do traktowania człowieka jako homo religiosus - e wszystko jest wła ciwie funkcj religii, e w ko cu wszystko sprowadza si do Boga.*

- Właśnie, czy wszystko? Oczywiście, istnieje pewien nurt, który jest bardzo bliski myśleniu religijnemu, ale dla równowagi, słynny biolog Jacques Monod - zapytany, czy gdyby kiedyś odkryto gen, w którym zakodowana jest informacja o życiu wiecznym i o istnieniu Boga, to czy wówczas by się nawrócił - odpowiedział, że to natura wyprodukowała złośliwy gen, generujący w nas

falszywe przekonania. Można uznawać doświadczaną empirycznie prawdę o grzechu pierworodnym (dla mnie to chyba najbardziej empiryczna teza nauczania chrześcijańskiego), a mimo to pozostawać w rzeczywistości grzechu, nie korzystając z Łaski. Dopóki nie zacznie się traktować Boga jako osoby, wobec której właściwą relacją jest zawierzenie, dopóki nie pojawi się dialog w formie modlitwy, to sama akceptacja teoretycznej prawdy, niestety, nie zmieni wiele w naszym życiu. Tym różni się teologia od fizyki. Fizyk może wierzyć w istnienie określonego mezonu i nie musi mówić: kochajcie mezony. Natomiast teolog, który przyjmuje teoretyczną prawdę i ma do niej stosunek neutralny osobowościowo, to groteskowe zniekształcenie teologa.

- Interesuje nas, w czym ksiądz biskup upatruje nadzieję dla współczesnej filozofii. Czy b dzie to neotomizm Maritaina lub Gilsone, czy filozofia dialogu Bubera lub Rosenzweiga, a mo e co innego? Czy jest dzi mo liwa taka filozofia, która otwierałaby si na teologi ?

- Nie tylko, że jest ona możliwa, ale sędzę, że jest też praktykowana i to w wielu nurtach. Dla przykładu wydana ostatnio przez „Znak” książka Alvina Plantingi. Myśliciel ten, który wzrastał z dala od klasycznego nurtu filozofii, wrócił jednak do pewnych pytań, które były bardzo istotne dla scholastyki. Otoczony kręgiem kolegów, którzy interesowali się logiką modalną, nie unikał równocześnie podstawowych pytań metafizycznych. Tak więc, najogólniej bym odpowiedział, że „w domu naszego Ojca jest mieszkań wiele”, także dla wielu nurtów filozofii, a chrześcijanin powinien cieszyć się z aktywności szarych komórek, która prowadzi do stawiania pewnych pytań i do szukania racjonalnych odpowiedzi na te pytania, a skutkiem tego należy wykluczyć to, co się nie mieści w domu naszego Ojca, tzn. namiastkę działań intelektualnych. Takie namiastki, jakie mamy w radykalnym postmodernizmie, gdzie wszystko chce się traktować jako pewną grę znaków, czy taką namiastkę, jakiej dostarcza New Age w swoim standardowym wariacie, gdzie wprowadzanie łatwych odpowiedzi na skomplikowane pytania zaspokoić może tylko umysły niewybredne. Natomiast poza tymi namiastkami widziałbym wiele interesujących nurtów, których nie należy narzucać innym, gdyż dużo zależy od mentalności danej osoby. Znam fenomenologów, którzy będą dyskutować godzinami o Husserlu i Ingardenie oraz ich sporze o istnienie świata, i znam fizyków, którzy ziewają przy fenomenologii. Znam też sympatyków filozofii dialogu, którym bardzo obcy jest typ refleksji, jaki uprawiamy z ks. Michałem Hellerem, ale nie znaczy to, że mam się na nich obrażać albo mówić, że tylko moja filozofia jest tą dopuszczalną i tą właściwą. Bardzo ważny wydaje mi się entuzjazm w poszukiwaniu prawdy. Słowo entuzjazm pochodzi od greckiego en theo - to znaczy: w Bogu. Kiedy się nie traktuje takich wartości jak prawda czy dobro w sposób instrumentalny czy sceptyczny, to ich poszukiwanie przybliża nas do Boga.

- Dzi kujemy za rozmow .

Rozmawiali: Grzegorz Górny, Rafał Smoczyński, Rafał Tichy

JANUSZ KOTA SKI

wiarę katolicką
malują
jako chudą panienkę
z uschniętym kwieciami cnót
a jest to
anielica
cieleśnie ponętna
o której pocałunku
niebezpiecznie śnić

Wyznania karteżjanina

Przyszłość całego świata leży w Bogu. Ja jestem karteżjaninem, myślę logicznie. Jeśli wierzy się w Boga, należy zakładać, że jest on wszędzie, że nic nie może się dzieć bez niego. Bóg jest w życiu codziennym, w polityce, w szkole, w sztuce, w literaturze, w ekonomii. Tak jest wszędzie. W państwach zachodnich nie jesteście racjonalni. Mówicie, że wierzycie w Boga, ale wy go zamknęliście, uwięziliście w waszych kościołach w tabernakulum. I słuchacie go tylko na niedzielnej mszy przez półtorej godziny. Przez resztę czasu Bóg nie istnieje, uważacie się za dość silnych, by obejść się bez niego, by go nie słuchać! Jesteście głupi. Oddzielenie Boga od państwa, z czego jesteście tak dumni, to kompletne szaleństwo. To diaboliczny absurd. Albo może w ogóle nie wierzycie w Boga, ale nie macie odwagi się do tego przyznać. Kiedy wierzy się w Boga - szanuje się go, słucha i żyje zgodnie z jego słowem przez wszystkie dni i noce swojego życia, stara się organizować wszystko zgodnie z jego przesłaniem: życie publiczne, edukację, życie rodzinne, wszystko.

(...) Znam dobrze kraje chrześcijańskie, Francję, Hiszpanię, Włochy. Wy przestaliście wierzyć w Boga. Korupcja chrześcijańskich kół politycznych sama przez się dowodzi, że w Boga się już nie wierzy.

Hasan Turabi, przywódca islamskich fundamentalistów w Sudanie, w rozmowie z Thierry Desjardinem dla "Le Figaro", "Rozdział Boga i państwa to pomysł diabła", "Rzeczpospolita" 28.06.1995.

Kolebka islamu

Postrzegamy w Islamie system megapolityczny zdolny ochronić suwerenność i zagwarantować przetrwanie Europy, w harmonii z resztą świata, pokornej i pokojowej Ameryki nie wyłączając. Zgodnie z islamską zasadą jedności władzy, narodowe przywództwo powinno należeć także do reprezentantów sił zbrojnych. Udział Armii w konstrukcji przywództwa przyszłego Imperium Islamsko-Europejskiego jest związany z odrodzeniem wojowniczych tradycji Europy.

Islamska Rada dla Obrony Europy, "Centurio" 1/93-94

Wspólny wróg Le Pena i masonów

Jeden z czołowych apostołów praw człowieka - Ernest Cheniere, dyrektor college'u Gabriela-Haveza w Creil, mason, mistrz anty-apartheidu, gdy wysłuchał po rozmowie z przedstawicielami Federation Musulmane de France (Francuskiej Federacji Muzułmańskiej) prawdziwej islamskiej katechezy, przeraził się nie na żarty. Po ich oświadczeniu, że "nie ma kompromisów, gdy chodzi o islam. Nawet jeśli ojcowie ustąpili, islam nie ustąpi", postanowił działać i od tej pory wrogiem nr 1 dlań przestał być Kościół Katolicki, a miejsce jego zajął islam. On i wielu innych lewicowych działaczy zupełnie niechcący przyznali rację Jean-Marii Le Penowi, który o zagrożeniu islamskim mówił od dawna.

Piotr Tryjanowski "Krzyk muezzina", "Ład" 31/1995

Biblia to anachronizm

Richard Holloway, biskup Edynburga, odrzucił wezwanie do powrotu do moralności biblijnej, twierdząc, że normy zawarte w Biblii są przestarzałe, szowinistyczne i nie mogą odpowiadać na pytania moralne współczesnych pokoleń - poinformował londyński "The Times". Holloway, który jest głową Kościoła anglikańskiego w Szkocji, stwierdził, iż "Biblia jest użytecznym przewodnikiem, ale trzeba w niej widzieć dzieło określonych czasów. Szczególnie odnosi się to do propagowanych w niej wartości moralnych. Moralność Biblii jest uwarunkowana czasem, zorientowana na mężczyzn i patriarchalna".

P.L. "Głowa Kościoła anglikańskiego w Szkocji: Biblia jest przestarzała", "Rzeczpospolita" 17.11.1995.

Bieg na orientację

Pięciu mężczyzn zaatakowało kijami baseballowymi harcerzy uczestniczących w biegu na orientację. Dzieci wypoczywały na biwaku w Międzybórowie pod Żyrardowem. Niektóre z nich mają powybijane zęby, połamane nosy i inne obrażenia.

- *Czułem si jakbym uczestniczył w horrorze* - opowiada 13-letni Marcin. - *Biegli za mn faceci z kijami baseballowymi. Jeden okładał mnie pałką po głowie, a inni wyli. Był rodek nocy i dookoła las.*

W biwaku uczestniczyło 150 harcerzy ze Skierniewic, Żyrardowa, Wyszkowa i innych miejscowości. W nocnym biegu na orientację wzięło udział 70.

Około godziny 1.00 dziecięć patroli harcerskich wyruszyło w teren. Przeważali uczniowie szkół podstawowych. Obok jedengo z punktów kontrolnych, przy sklepie nocnym, harcerze zauważyli kilku młodych mężczyzn sto-

jących przy dużym fiacie. Wkrótce samochód ten pojawił się przy punkcie zbornym uczestników biegu, przy dworcu PKP. Z samochodu wyskoczyło 5 mężczyzn z kijami baseballowymi, którymi zaatakowali zaskoczonych harcerzy.

Dzieci usiłowały uciec do pobliskiego lasu. Bandyci biegli za nimi nie przestając bić. Dwóch opiekunów goniono samochodem po ulicach Międzyborowa. Wyraźnie usiłowano ich przejechać. W ostatniej chwili znaleźli schronienie w domu, którego gospodarzy wyrwali ze snu. Wezwano policję. Radiowóz przyjechał dopiero po 20 minutach. W tym czasie bandyci ulotnili się.

(jasz.) "Polowanie na harcerzy", "Express Wieczorny" 14.12.1995

Wszelki absolut jest morderczy

- *Ostatnio ostro skrytykował Pan z pozycji liberalnych Papie a - za najnowszy encyklik "Evangelium Vitae". Jak rozumie Pan relację chrześcijaństwa i polityki?*

- Ta encyklika jest atakiem na zasady liberalnej demokracji, przede wszystkim na autorytet parlamentu i większości. Neguje to, co Jefferson nazwał "ideą republiki", to znaczy "lex maioris partis": musimy uważać wolę większości, choćby była to większość zaledwie jednego głosu, za równie świętą co wola wszystkich (...)

W dodatku terminologia encykliki jest autorytarna: zwolennicy aborcji, antykoncepcji i eutanazji (a więc i Parlament Europejski, który w 1991 roku wypowiedział się o eutanazji pozytywnie) oskarżani są o "spisek przeciwko życiu" i nazywani przedstawicielami "cywilizacji śmierci".

W swej polemice przypominałem stary problem: czy wiara w absolut da się pogodzić z demokracją? "Wszelki absolut - pisał Ferdinand Peroutka - czy to transcendentny, czy immanentny, doprowadza zawsze do przemocy i jest morderczy. Tylko mistycy wymknęli się z tego zaczarowanego kręgu, ale iluż jest prawdziwych mistyków?" Kościoła katolickiego z pewnością nie da się nazwać mistycznym, jest to zorganizowany hierarchicznie aparat biurokratyczny, który uporczywie walczy o duchową hegemonię przede wszystkim w środkowej i południowej Europie i Trzecim Świecie.

Obecny papież interpretuje koniec komunizmu jako wielką szansę dla Kościoła katolickiego, który miałby wypełnić próżnię w sferze wartości pozbawionej przez wielkie, przewyżnione obecnie ideologie poprzedniego stulecia. Za największe niebezpieczeństwo w naszych czasach uważa przymierze demokracji z relatywizmem etycznym - o tym mówi przeciw encyklika "Veritatis Splendor". Ja zaś, odwrotnie, widzę w przymierzu demokracji z relatywizmem etycznym "zdrowy rdzeń" doby postmodernistycznej.

- *Co s dzi Pan o poglądzie, że je li demokracja nie ma określonych granic w postaci pewnych prawd, granic, których przekroczyć nie wolno (niezależnie od zdania wikszości), to nie może przetrwać ?*

- A zna pan takie granice lub prawdy? Z pewnością nie jest czymś takim chrześcijańskie "nie zabijaj", bo w imię tego przykazania w historii zachodniej cywilizacji zabijało się najwięcej. Lubię "Dekalog" Kieślowskiego, pokazuje on, że każde przykazanie zawiera w sobie powód, dla którego należy je przekroczyć. Są przecież takie wypadki, kiedy kłamstwo jest rzeczą bardziej moralną niż mówienie prawdy (...)

Człowiek, którego wersja świata jest zamknięta na relatywizację, jest niebezpieczny; jest to człowiek zdolny do wszystkiego, człowiek bez skrupułów. Hannah Arendt określiła Eichmanna mianem bohatera "czasów obiektywizmu" (...).

Vaclav Bielohradsky, czeski filozof, czołowy ideolog partii rz dz cej - ODS, wywiadziez Bohumilem Peczink dla miesi cznika "Proglas", "Prawda jest banalna", "Gazeta Wyborcza", 23-24.09.1995.

Mitterand - mistykiem

Francois Mitterand, którego znałem już wcześniej, złożył mi wizytę nieco ponad miesiąc temu. Powiedział mi: "Pan jest znawcą czasu i wieczności, a śmierć to przejście od czasu do wieczności. Dlatego przyszedłem do pana." Dało to początek długiej i dosyć ożywionej dyskusji. Prezydent, jak powszechnie wiadomo, jest poważnie chory i wie, że wkrótce umrze. Jest zupełnie naturalne, że nieustannie myśli o śmierci. Nie boi się śmierci, ale sądu Bożego. To znaczy momentu, w którym stanie samotnie przed Bogiem, jak wszyscy ludzie. Bardzo się cieszę, że prezydent jest dziś człowiekiem mocno i głęboko wierzącym w Boga, bo kiedy poruszaliśmy ten problem przy innych okazjach - a znamy się od 50 lat - był nastawiony raczej sceptycznie. Ma naturę mistyczną i teraz modli się dość intensywnie (...) Tak, wierzymy w Boga i w niebo pełne tajemnicy. I razem kontemplowaliśmy tajemnicę Boga.

Filozof i teolog katolicki Jean Guilton w wywiadzie dla włoskiego tygodnika "Italia Settimanale", 25.01.1995.

Milczenie Soboru Watykańskiego II

Absolutne milczenie Soboru, posuwające się do tego, że w żadnym z dokumentów soborowych nie pojawia się słowo: komunizm, ani żadne inne określenia ten system polityczny, wydaje się nienaturalne i skłania do szukania szczególnych przyczyn (...)

Całą tę sprawę wyostrza w niemiły sposób wydarzenie, jakie miało miejsce w Rzymie w ciągu ostatniej soborowej jesieni. Zagadnienie stosunku Kościoła do komunizmu budziło spore zainteresowanie u wielu Ojców Soborowych. Wcześniej poddawane pod ich głosowanie dokumenty pomijały ten problem, spodziewano się jednak, że sprawa wypłynie przy dyskusji nad opra-

cowywaną na końcu obrad Konstytucją duszpasterską o Kościele w świecie współczesnym. Gdy w poddanym pod dyskusję projekcie dokumentu nie było o komunizmie ani słowa, w okresie debat na ten temat, trwających od 21 IX do 8 X 1965, do sekretarza generalnego Soboru wpłynęła pod datą 29 IX prośba o wprowadzenie w tekście projektowanej Konstytucji odpowiedniej poprawki. Prośb podobnych w tym samym okresie złożono wiele, było ich 163 ustne i wiele pisemnych, dotyczyły one najróżniejszych kwestii merytorycznych. Ta, o której mówimy, różniła się od pozostałych może tym, że widniały pod nią aż 322 podpisy Ojców Soborowych (...)

Los (...) pisma okazał się co najmniej dziwny. Normalną rzeczy kolejną z Sekretariatu Soboru powinno ono zostać w odpowiednim terminie przesłane do komisji redagującej "schemat XIII", czyli późniejszą Konstytucję o Kościele w świecie współczesnym. Komisja powinna z kolei zredagować proponowaną wersję tekstu i przedstawić ją pod kolejne głosowanie Ojców Soborowych na sesji przewidzianej 15 listopada 1965 roku. Procedura taka została zastosowana do wszystkich pozostałych propozycji poprawek. Ta jedna nie została przedstawiona do głosowania - i w efekcie nie została wzięta pod uwagę w ostatecznej redakcji Konstytucji"

Bohdan Cywiński "Wielko i milczenie Soboru", "Wi" 4/1995

Orgazm i egzekucja

Intelektualiści wskazują na dwa fakty, które w ich mniemaniu potwierdzają tezę o nazistowskim zagrożeniu. Pierwszy to seria "listowych" zamachów bombowych, którymi od końca 1993 r. nękana jest Austria, drugi to wzrost popularności FPÖ - Partii Wolności pod przywództwem Joerga Haidera (...)

Jako pierwszy chyba ze współczesnych polityków Haider zdobył też sobie na stałe miejsce w teatrze. W dość niewybrednym wprawdzie towarzystwie. Współczesny polityk austriacki został bowiem jedynym żyjącym bohaterem sztuki "Ojciec - krwawa zbrodnia", najgłośniejszego przedstawienia tegorocznych "Wiener Festwochen". Sztuka oparta jest na wspomnieniach Nicolasa Franka, syna słynnego zbrodniarza hitlerowskiego, generalnego gubernatora w Polsce. W sztuce Haider pojawia się wśród największych zbrodniarzy hitlerowskich, Kaltenbrunnera i Franka, którego pociesza przed śmiercią słowami: "W Trzeciej Rzeszy mieliśmy dobrą politykę zatrudnienia".

"To w żadnym razie nie jest przesada. Myśl nazistowska nie została pogrzebana wraz z powieszonymi mordercami wojennymi, ale padła na urodzajną glebę. Może Haider jest odrobinę młodszy i piękniejszy, ale jest tak samo niebezpieczny jak te bestie" - stwierdził reżyser przedstawienia Paulus Manker. Sam Frank-syn, który z okazji przedstawienia pojawił się w Wiedniu, 57-letni obecnie reportażysta "Sterna", też nie widział nic dziwnego w zestawieniu Haidera ze zbrodniarzami z czasów wojny: "Najlepiej postawić Haidera przed zwykłym sądem i skazać go na więzienie o zaostrożnym rygorze" (...)

"Mam nadzieję, że jest w piekle" - te słowa wyrażają stosunek Franka-syna do ojca. "To, że mogę jeszcze raz dokonać na nim egzekucji wraz z Joszą Sobolem, który jest Żydem, niezwykle mnie cieszy".

"Naruszyłem dwa tabu - opowiada w jednym z wywiadów Frank o recepcji swojej książki w Niemczech. - Zaatakowałem własnych rodziców i przedstawiłem własną seksualność. Szczególnie oburzała początkowa scena, gdzie opisuję, jak onanizuję się jako chłopiec, kiedy wyobrażam sobie egzekucję ojca. Później ktoś mi powiedział, że mój orgazm był dla mnie najpiękniejszym znakiem życia przeciw śmierci ojca. To wytłumaczenie bardzo mi się spodobało".

Paweł Lisicki z Wiednia "Małe apokalipsy, wielkie słowa", "Rzeczpospolita" 25.07.1995.

Romeo i Julian

"Proszę państwa, co to za hałas? To sam Willy Szekspir przewraca się w grobie słysząc, co się wyprawia z jego sztukami w Edynburgu". W ten sposób jeden ze studenckich teatrów reklamował na Fringe'u swoją wersję tragedii Stratfordczyka, w której scenę śmierci Romea i Julii zamieniono na reklamę napoju chłodzącego Tango (kochankowie wypijali go zamiast trucizny).

(...) W tym roku Szekspir, zwany tu Bardem, jest najczęściej granym na Fringe'u autorem i, zgodnie z prawem statystyki, niestety najczęściej psutym (...)

Pierwsza sprawa, za którą biorą się młodzi odkrywcy Szekspira, to płęć. W jednej z trzech granych na Fringe'u wersji "Romea i Julii" Romeo jest gejem, w związku z czym w sztuce zamiast Julii występuje Julian. W jednej z pięciu wersji "Burzy" rolę Prospera objęła kobieta o obfitych kształtach, które pasowałyby jak ulał do Piastunki, lecz w opowieści o przebiegłym mędrцу nieco zawadzały, mimo równouprawnienia (...)

Inna trupa, nazywająca się Torsion Theatre, postanowiła zagrać "Makbeta", "Hamleta" oraz "Romea i Julię" w półtorej godziny (...). Żadna z angielskich kompanii nie pobiła jednak rekordu grania Szekspira czas, który należy bezprzecznie do amerykańskiego zespołu The Reduced Shakespeare Company (...). RSC ma już od roku w repertuarze przedstawienie "The Complete Works of William Shakespeare", w którym można zobaczyć wszystkie 37 sztuk w 97 minut. Wychodzi niecałe trzy minuty na sztukę.

Roman Pawłowski "Romeo był gejem", "Gazeta Wyborcza" 4.09.1995.

Ideał rodziny

Para lesbijek, połączona oficjalnym węzłem małżeńskim, wychowująca dzieci pochodzące ze sztucznego zapłodnienia lub adopcji - tak wygląda model rodziny lansowany aktualnie przez szwedzkie organizacje homoseksualistów. Oczywiście jest to pogląd ekstremalny, ale torujący sobie drogę. Pary osób jednej płci mogą legalizować swoje związki już w trzech krajach (Dania, Norwegia, Szwecja). Teraz walczą o prawo do sztucznego zapłodnienia (na koszt państwa, rzecz jasna) oraz do adoptowania dzieci. Na razie napotykają na opór polityków i ustawodawców, ale można przypuszczać, że prędzej czy później dobiją się swego.

Taki model rodziny, sprowadzający mężczyznę do roli trutnia-reproduktora, jest zupełnie logiczną pochodną dominującej w Szwecji filozofii społecznej - wręcz afirmującej instytucję samotnej matki. W powszechnym mniemaniu nie tylko zasługuje ona na szczególną opiekę państwa, lecz także na różnego rodzaju ekstra przywileje np. podatkowe. W efekcie Szwecja jest na drugim miejscu na świecie, po Islandii, jeśli chodzi o liczbę urodzeń przypadających na matki niezamężne - jest ich dokładnie 50 proc. (w Wielkiej Brytanii - 30 proc, w Niemczech - 15, w Szwajcarii - 5). Nawet jeśli wziąć pod uwagę rozpowszechnioną tu praktykę wolnych związków, to i tak okazuje się, że co piąte dziecko wychowuje się bez ojca.

Socjologowie, psychologowie i lekarze biją na alarm: dzieci wychowywane w niepełnych rodzinach gorzej się uczą, mają więcej problemów emocjonalnych, łatwiej popadają w konflikt z prawem. A później to właśnie one wychowują własne dzieci w pojedynkę.

Piotr Cegielski "Dramat wyzwolonej Szwedki", "Gazeta Wyborcza" 8.11.1995.

Kraj hipokryzji

Cała Polska wstrzymała oddech. Taki tytuł ma dodatek do "The Independent" poświęcony sprawie, która brytyjskiemu dziennikowi wydaje się znacznie ważniejsza niż rozpoczynająca się kampania prezydencka w Polsce: procesowi ginekologa z Chorzowa i jego żony oskarżonych o dokonanie nielegalnej aborcji. Sprawa ta skupia w sobie toczącą się w Polsce walkę o kształt państwa - laickiego czy wyznaniowego - pisze "The Independent" i przypomina kilkuletnie zmagania wokół ustawy antyaborcyjnej, opisuje podziemie aborcyjne, zwraca uwagę na ostrożność rządzącej obecnie koalicji, która w przededniu wyborów nie chce sobie zrażać Kościoła

"Kościół boi się i polskie społeczeństwo - twierdzi "Independent" - które jest w większości wierzące, lecz przeciwne ustawie". Polska to kraj hipokryzji. Rozziew między prawem a życiem jest tu olbrzymi - cytuje gazeta w zakończeniu przedstawicielkę jednej z polskich organizacji feministycznych.

"Kiosk z gazetami", "Gazeta Wyborcza" 8.06.1995.

li Polacy, dobrzy Rosjanie

Z komentarzy prasowych [w USA] wynika, że Polacy są nie tylko źle nastawieni do Żydów, ale że Polska jest krajem "kwitnącego antysemityzmu". Takie doniesienia sugerują tutejszym czytelnikom, że przeciętny Polak jest znacznie "większym" antysemitą od przeciętnego Niemca, Francuza czy Rosjanina. Mimo licznych protestów Polonii i polskich władz wpływała gazeta "New York Times" co roku donosi o "polskich obozach koncentracyjnych".

W odróżnieniu od Polaków, Rosjanie są przedstawiani na łamach prasy jako naród tolerancyjny, który - mimo poparcia dla interwencji militarnej w Czeczenii - dąży do demokracji i domaga się polepszenia warunków bytu. Z artykułów i reportaży wynika, że Rosjanie są dobrymi, prostymi ludźmi, którzy - w odróżnieniu od grupy Żyrynowskiego - nade wszystko cenią sobie pokój.

Skąd się bierze taka różnica między "złą" prasą dla Polski i "dobrą" dla Rosji? Rosjanie zabiegają o propagandę, wykorzystując amerykańskie reguły gry, czego nie robią Polacy. Federacja Rosyjska zatrudniła np. do reprezentowania swoich interesów największą w USA międzynarodową firmę adwokacką Baker and McKanzie, która oferuje swoim klientom nie tylko prestiż, ale także zabiega o poparcie dla swoich klientów. Kiedy Polonia w San Francisco oskarżyła Rosję o mord katyński, na sali sądowej pojawili się najlepsi adwokaci z waszyngtońskiego oddziału Baker and McKanzie.

Jan Palarezyk z San Francisco "Rosjanie lepsi", "Rzeczpospolita" 29.06.1995.

Prawda, pojednanie, pycha, hipokryzja

Jak wiadomo, spośród ludzi zawierających zakład, jeden jest oszustem, a drugi głupcem. Takie uproszczenie byłoby w stosunku do autorów artykułu "O prawdę i pojednanie" ("Gazeta Wyborcza" z 9-10 września) niesprawiedliwe. Motywy Michnika i Cimoszewicza są bardziej skomplikowane, choć niewiele szlachetniejsze - pycha i hipokryzja. Dlatego o cały ten tekst jest fałszywy od początku do końca i fałsz przebija w nim z każdego zdania. Gdybym się nie wstydził patosu, powiedziałbym, że z każdego znaku przystankowego.

Sam pomysł powołania jakiejś mieszanej komisji, na zasadzie parytetu, bo tak by się zapewne skończyło w praktyce, dla wypracowania kompromisowej oceny najnowszej historii Polski jest absurdalny. Oceny historyczne nie powstają na zasadzie konsensusu ugrupowań politycznych, ubiegających się o władzę. Takie ugrupowania uprawiają propagandę, szczególnie w Polsce i szczególnie w odniesieniu do własnej roli w przeszłości, i na tym koniec. Próbkę, jak mógłby wyglądać taki "kompromis historyczny", dali obaj autorzy na łamach "GW" i wystarczy w ich katalogu dokonać logicznych skrótów, aby uzyskać następujące stwierdzenia: zasługą PRL był dostęp do tanich książek, kłamliwych i ocenzurowanych. Albo: krwawe stłumienie buntu robotni-

czego na Wybrzeżu przyniosło nadzieję na większe swobody i rozwój materialny. Lub: władza była tolerancyjna, bo przedstawiciele krytycznych środowisk akademickich nie zamykano w szpitalach psychiatrycznych.

(...) Innym osiągnięciem PRL miał być awans społeczny, zmiana elit. Moim skromnym zdaniem, miał on kulturalnie i cywilizacyjnie niszczące, odczuwalne do dziś skutki. Dominujące w życiu - zarówno publicznym, jak i prywatnym - chamstwo i cwaniactwo są tylko jednym z rezultatów tej politycznie obliczonej, a nie motywowanej dobroczynnie manipulacji. Sztandarową postacią awansu społecznego jest Mieczysław F. Rakowski, który zawsze podkreśla, że gdyby nie Polska Ludowa, pasałby krowy. Otóż należałoby rozważyć, w jakim stopniu dla interesu narodowego korzystniejsze jest wygłaszanie przemówień na Plenum KC niż pasanie krów. W tym konkretnym przypadku zaś - czy nie lepiej by było, gdyby Rakowski pozostał z fujarką na łące.

Maciej Rybiński "Rozmowy na cmentarzu", "Plus Minus. Rzeczpospolita", 23-24.09.1995.

"Bawcie się sami"

Za dziennikarskie nadużycie uznał Henryk Wujec wytknięcie senator Kuratowskiej niekonsekwencji - podróżowała do RPA, odmówiła wyjazdu do Chin. Można to zbyć stwierdzeniem, że do Pekinu udała się nawet Winnie Mandela. Ale można też zacytować fragment listu pośta: "Felietonista ma swoje prawa, ale nie może to być prawo do zupełnego dyletanctwa". Po czym zaleca lekturę podręcznika historii, by "dowiedzieć się, że w 1989 r. rozpoczął się w RPA proces likwidacji apartheidu", wyjaśnia kim jest Nelson Mandela itp.

Niżej podpisany od 12 lat zajmuje się publicystyką międzynarodową i prawdopodobnie słyszał, że w RPA coś się zmieniło. Ale mniejsza o to. Uderzający jest ton listu, to przeświadczenie, że jedynie my posiadliśmy wiedzę. My mamy monopol na racje moralne, my jesteśmy intelektualistami, a cała reszta to ciemnogród, impertynenci lub zupełni dyletanci. My - czyli liderzy Unii Wolności.

(...) Intelektualiście nie wypada, ale felietonista może powiedzieć tak: był czas, gdy prawie każdy - postkomunista, ludowiec, chadek i zwykły niezrzeszony człowiek marzył o dotknięciu ludzi z pierwszego szeregu dawnej "Solidarności", o wejściu na unijne salony. Ale salon był zamknięty dla profanów. Dziś zmienił się czas, zmieniły marzenia i coraz częściej słychać: "Bawcie się sami".

Kazimierz Pytko "Intelektualiści i felietoniści", "Niedziela. Życie Warszawy", 23-24.09.1995.

Semitoskop - to nowoczesne urządzenie umożliwiające identyfikację osób pochodzenia semickiego. Ten niewielki aparat - rewelacja Międzynarodowych Targów INFO WORLD 95 z miejsca spotkał się z ogromnym zainteresowaniem na całym świecie; jeszcze w tym roku ilość sprzedanych w Europie Zachodniej egzemplarzy przekroczy 200 tys. sztuk. Spora partia trafi na polski rynek, dlatego już dziś warto zapoznać się z tym interesującym urządzeniem.



ZASADA DZIAŁANIA

Oferowany aparat jest trzecią z kolei - obok hindu- i negroskopa - zminiaturyzowaną wersją tego samego urządzenia - tzw. M-systemowego wykrywacza ras (ang. Morphoscope). W pracach nad jego skonstruowaniem wykorzystano efekty najnowszych badań prowadzone przez Instytut Badań Genetycznych w Massachusetts (USA), przede wszystkim zjawisko dziedzicznej mono-transkrypcji genów - tzw. "syndrom mutacji DNA", występujący u przedstawicieli rasy semickiej wskutek wielopokoleniowej separacji biologicznej. Stanowiący podstawę urządzenia bioelektroniczny procesor wysokich częstotliwości wysyła impuls, ten zaś odbity i odpowiednio zmodyfikowany powraca do urządzenia, gdzie zostaje poddany analizie. Wynik trwającej ułamek sekundy operacji zostaje przekazany na obudowę urządzenia w postaci sygnału akustycznego (do zestawu dołączono słuchawki), bądź wizualnego (dioda świecąca).

ZALETY URZĄDZENIA

Dzięki zastosowaniu nowoczesnych rozwiązań, semitoskop jest urządzeniem niewielkim, lekkim i łatwym w użyciu. Zewnętrznym wyglądem przypomina do złudzenia tradycyjny przenośny magnetofon typu "walkman", co sprawia, że nadaje się do eksploatacji w każdych warunkach (winda, kawiarnia, sala konferencyjna, redakcja, zgromadzenia w miejscu publicznym), nie wzbudzając przy tym niepotrzebnego zainteresowania osób postronnych. Działający na zasadzie radaru - wysyłanie i wylądowanie fal elektromagnetycznych - aparat umożliwia skuteczną identyfikację z odległości ok. 30 cm, przy czym powszechnie używane rekstryfy nie stanowią najmniejszej przeszkody. Zaletą takiego urządzenia jest oczywiście - dyskrecja...

oprac. na podst. INFOVIEW

PSL parti słuchaczy disco-polo

- *PSL jest parti raczej słuchaczy disco-polo ni rocka?*

- Na pewno nie wstydziłbym się takiego określenia. Ludzie wysublimowanej kultury patrzą z dystansem na te przemiany. A przecież ludzie lubią słuchać, bo słyszą nie tylko muzykę, ale i słowa. Czasami proste, czasami zabawne, a czasami parę słów, które okazują się ważne. Pamiętajmy, że w muzyce Chopina słychać wrażenia z paryskich salonów i nuty ludowej muzyki z Mazowsza. To ciekawa synteza. A okazuje się, że muzyka Chopina, choć doskonalsza technicznie, wykorzystywała zaledwie jedną trzecią melodycznego bogactwa muzyki ludowej. Powinniśmy się pozbyć kompleksów. W wielu dziedzinach możemy być numerem jeden na świecie.

Waldemar Pawlak w rozmowie z Piotrem Śmilowiczem i Piotrem Zaremb "PSL parti słuchaczy disco-polo". "Życie Warszawy" 27.08.1995.

Miecz Goliata

Jest w Starym Testamencie taki fragment, kiedy król Dawid szedł na wojnę z Filistynami i nie miał miecza. Kiedy poprosił kapłana o miecz, ten powiedział: "Jest tylko miecz Goliata, którego zabiłeś". A wtedy Dawid wziął miecz i powiedział: "Jest to najlepszy miecz". Zobaczyłem, że muzyka rockowa jest takim mieczem Goliata, który Bóg dał w moje ręce. Dzięki muzyce rockowej możemy teraz ewangelizować młodych ludzi i wyrwać ich ze szponów ciemności, bo muzyka rockowa ma wielki wpływ na ludzi. Do tej pory była ona właściwie w rękach diabła. Wierzę w to, że wielu młodych ludzi nawróci się dzięki muzyce rockowej. Ja oddałem cały swój zespół, całe moje życie temu celowi. Alleluja! Jezus żyje, jest Zbawicielem!

Darek Malejonek, lider zespołu rockowego HOUK, "Mamusi, my lałem, e Ciebie nie ma", "List" (numer specjalny) sierpie 1995

Satanistyczne w formie, chrześcijańskie w treści

Chrystus powiedział, że w Jego Imię będziemy prześladowani. Cały czas mam tego świadomość i może się kiedyś tak zdarzyć, że nastąpi moment, kiedy będę bardzo odrzucany, w Imię Jezusa opluty, krytykowany. Muszę być na to przygotowany. Cieszę się, że w moim środowisku pozwalają mi wierzyć, że w naszym kraju można chodzić do kościoła (...)

Jesteśmy coraz bliżej poznania prawdy, a im bliżej, tym jesteśmy mocniejsi w Chrystusie. Nawet jeśli ktoś chce powiedzieć coś złego w odpowiedzi na to, co przekazujemy, coś mu przeszkadza. Duch Święty czuwa nad

tym, aby nie wydostały się na zewnątrz pewne słowa czy bluźnierstwa. Trzy lata temu grałem z zespołem, który się nazywał "Creation of Death" i chciałem przemycić w skrajnie mocnej, silnie kojarzonej z satanizmem muzyce teksty strictly chrześcijańskie. Śpiewałem psalm 69, utwory jawnie opowiadające się za Chrystusem, o wdzięczności dla Jezusa, że wylał za nas Swą Świętą Krew. Byłem wtedy jeszcze tak słabej wiary, może nie rozumiałem wielu rzeczy, a już chciałem o tym śpiewać, chciałem to głosić. Przez długi czas zadawałem sobie pytanie, dlaczego wtedy nie zostałem wysłuchany przez ludzi, którym miałem tak ważną rzecz do powiedzenia? Dopiero niedawno uświadomiono mi, że byłem jeszcze wtedy za słaby, żeby to robić. Wielki koncert z zachodnimi gwiazdami, Death Metal Festival w Jastrzębiu - publiczność nie pozwoliła nam zagrać nawet dwóch piosenek, na scenę rzucano butelki, różne ciężkie przedmioty, pluli na nas, wulgarnie wyzywali. Nie obroniliśmy się wtedy.

Robert Litza Friedrich, lider heavy metalowego zespołu Acid Drinkers, w rozmowie z Beat Mencil, "BeZet" 7/1995

Radykalniejszy ni manifest anarchistyczny

Po latach obawiam się, że nie ma takiej drogi, która popchnęłaby ruch punkowy do przodu. Znam osobiście wielu wspaniałych ludzi związanych z tym ruchem: walczących z nazizmem, zajmujących się i propagujących wegetarianizm i ekologię, bardzo idealistycznie pragnących zmienić samobójczy i destrukcyjny wizerunek tego ruchu. Miała to być alternatywa dla świata dookoła, ale nie może nią być bez duchowej podstawy. Idea anarchii jest dla młodych ludzi bardzo atrakcyjna, bo jest romantyczna, w niczym jednak nie zastąpi pragnienia ludzkiego serca do chociażby odrobiny sacrum. Zresztą anarchizm nawet tę odrobinę pragnie wykorzenić marksistowskimi metodami myślenia. Nie wierzę w żadną ewolucję społeczeństwa i nie wyobrażam sobie w anarchistycznej przyszłości indywidualistów, z których każdy robi co chce i jak mu się podoba. Gdzie znajduje się wtedy prawda? Co wtedy jest prawdą? Pytam się was anarchiści, marksiści i lewacy. Czym chcecie zapełnić ogromną tęsknotę duszy ludzkiej? Co proponujecie w zamian? Ewangelia Jezusa Chrystusa jest radykalniejsza i piękniejsza niż wszystkie manifesty anarchistyczne razem wzięte. Ale to jest nauka o królestwie nie z tego świata, poświęcona ofiarą, jaką jest życie. Czegoś takiego ten świat znieść nie może.

Tomek Budzy ski, lider zespołu ARMIA w rozmowie z Arturem Podgórskim, "Wiara to j dro mojego ycia", "BRÓM" 6-7/1994

W pieczy siedmiu aniołów

Powiem szczerze, bycie "gwiazdą" jest dla mnie niczym w obliczu tego, że będę mamą (...). W ogóle nabrałam do życia dystansu. Czuję się silniejsza. Jestem przekonana, że wszystko co mi się przydarza, trafia we właściwy

moment. Teraz przyszedł ten najbardziej metafizyczny, bo jeśli kiedykolwiek odczuwamy magię w naszym życiu, to wtedy kiedy jesteśmy przy nadziei. Może stało się też tak dlatego, że znacznie bliżej zaprzyjaźniłam się z Bogiem. Ofiarowałam mu wszystko, prosząc tylko, abym była szczęśliwa. Bez względu na konsekwencje powierzyłam mu swój los. Nic nie mogę. I tak jak kiedyś zaśpiewałam: "Anioł stróż opuścił mnie", tak teraz mam ich za sobą 7!

Wokalistka zespołu rockowego HEY Kasia Nosowska w tekście Anity Bartosik "Zakłóte rewiry dyskretnej troski", "BRÓM" 12/1995.

Faszysta z Hollywood

- Prasa brytyjska jest ohydna. Uwielbia brudy. W Stanach szmatławce mają osobną półkę w supermarkecie. W Anglii wszystkie gazety są takie. Nie masz pojęcia, co się dzieje w kraju, ale wiesz, kto się z kim pieprzy. Czy to prawda, czy nie, to już inna sprawa. U nas najbardziej kłamliwe są wiadomości o jedenastej wieczorem. Tak samo proces O.J. Simpsona - nie mogę tego oglądać. Obrzydliwość. Jest rok 1995: "Połączmy się w nienawiści. Oto złoczyńca". I wyładowują na nim cały swój gniew.

- *Wró my do ciebie.*

- Nie lubię mówić o sobie i o tym, w co wierzę. Zawsze jest to dla mnie bolesne. Czuję się tak, jakbym robił z siebie tarczę strzelniczą. (...)

- *My łała kiedy, eby napisa ksi k i opowiedzie o sobie tak, jak sam chcesz?*

- Nie, piszą je za mnie inni. I wszystko zmyślają. Jeden z nich, Jezu Chryste! Mam nadzieję, że go nigdy nie spotkam, bo rozwaliłbym mu ten pieprzony łeb! Facet zasłużył na śmierć. Zanegował całe moje "ja". Zaatakował moją żonę, mojego ojca, całą moją rodzinę. Ma szczęście, że jeszcze żyje. Dobiera się do ciebie w najbardziej podstępny i paskudny sposób, podważa wszystko, co masz, wszystko, kim jesteś, nazywa cię zasranym zerem. I mówi, że ludzie, którzy dali ci życie, są łajdakami, że podeptałeś i wypieprzyłeś każdego, kogo spotkałeś na swojej drodze, że jesteś zboczony i szurnięty jak jakiś pieprzony Hitler. Ja jestem Hitlerem, a mój ojciec to Mussolini! (...)

- *Co twój ojciec ma wspólnego z Sojuszem Tradycji Katolickiej, który pewne pismo nazwało "reakcjonistyczn frakcj katolicyzmu"?*

- Założył go. Niektórzy ludzie uważają, że Sojusz jest reakcyjny, ale on tylko sięga do tego, czym Kościół był kiedyś. Wszystko, w co ojciec wierzył, zostało mu odebrane w latach sześćdziesiątych przez ten odnowicielski Sobór Watykański. Cała instytucja Kościoła stała się dla niego obca, więc o tym pisze.

- *Czy to prawda, e zabrał rodzin do Australii, bo nie chciał, eby twoi starsi bracia zostali wysłani do Wietnamu?*

- Nie wiem, ale słyszałem, jak powiedział: "Nie dostaną żadnego z moich dzieci". (...)

- *Wierzysz w ycie pozagrobowe i w to, e jeszcze spotkasz si z matk ?*

- Zdecydowanie. Inaczej nie byłoby żadnego wyjaśnienia. Ani wyrównania

rachunków. Życie pozagrobowe musi istnieć, bo i Hitler, i ja chodziliśmy po ziemi, a przecież nie mogę trafić tam, gdzie Hitler. Albo Pol Pot.

- *Czy istnieje piekło?*

- Zdecydowanie. (...)

- *Wierzysz w teorię Darwina czy raczej w to, że Bóg stworzył człowieka na swój obraz i podobieństwo?*

- W to drugie.

- *Więc nie zgadzasz się z tym, że pochodzimy od małp?*

- Nie. To bzdura. A jeśli to prawda, to dlaczego małpy nadal istnieją? Dlaczego nie stały się jeszcze ludźmi? To ciekawa teoria, ale jakoś nie mogę jej przełknąć. (...)

- *Rozumiem, że nie jesteś zbyt liberalny, jeśli chodzi o sporne kwestie jak celibat księży, aborcja i kontrola urodzin?*

- To nie są żadne kwestie sporne. To rzeczy w ogóle nie podlegające dyskusji.

- *Czy kobiety mogłyby kapłankami?*

- Nie.

- *Dlaczego?*

- Obrywam za mówienie takich rzeczy, ale mężczyźni i kobiety po prostu różnią się od siebie. Nie są równi. Tak samo jak ty i ja nie jesteśmy równi.

- *To prawda. Ty masz więcej pieniędzy.*

• A ty możesz być bardziej inteligentny albo mieć większego kutasa. Cokolwiek to jest, ludzie nie są równi. Mężczyźni i kobiety też nie. Mam ogromny szacunek dla kobiet. Kocham je. Są w mojej rodzinie pępkiem świata. Wszystkie dobre rzeczy pochodzą od nich. Mężczyźni potrafią tylko psuć. (...)

- *Z czym ci się kojarzy słowo "miłość"?*

- Z poświęceniem.

- (...) *nazywano cię miłośnikiem innymi homofobem, mizoginistą ...*

- Rasistą, bigotem i tak dalej.

- *Jesteś którymś z nich?*

- Nie. Naprawdę nie jestem. Ale wystarczy powiedzieć, że uważasz pewne zachowania za nienaturalne, i ludzie przylepiają ci takie etykiety. Demonstrują przeciwko tobie z transparentami i próbują cię opluć.

- *Zdarzyło ci się coś takiego?*

- Tak. Kiedy parę lat temu w Hollywood odciskałem dłoń w cemencie. Wtedy właśnie dowiedziałem się, że jestem mizoginistą, bigotem, rasistą, neofaszystą i homofobem. Mieli transparenty i pianę na ustach, wrzeszczeli. Czytała nienawiść i czysty obłęd. A wszystko po to, żeby zwrócić na siebie uwagę.

- *To był protest gejów?*

- Tak.

- *Wiesz o co byli na ciebie tacy li?*

- O coś, co powiedziałem pięć lat temu dla Hiszpanów, i co zostało niewłaściwie zrozumiane. Nie chcę w to wchodzić, żeby nie zaognić sprawy. Niech ci wystarczy, że ścigały mnie na autostradzie samochody i było groźnie. Jestem nawet trochę niespokojny, że to wydrukujecie, bo pewne organizacje mają na mnie oko.

- *A co powiedziały, że tak się wkurzyły?*

- Cokolwiek to było, wydało im się obraźliwe. Następnego dnia udzielałem wywiadu w telewizji i zapytano mnie: "Masz zamiar przeprosić? Obrazicieś pewną społeczność." Odparłem: "Nie będę nikogo przeproszał. Pręcej piekło zamarnie, niż przeproszę. Niech się odpieprzą". Wtedy zaczęła się wojna.

Aktor Mel Gibson w rozmowie z Lawrence Grobelem, "Playboy" 8/1995

Nie do , e faszysta, to katolik

Znany holywoodzki aktor, Mel Gibson przed wyrażeniem zgody na wzięcie udziału w filmie przedstawia konspekt danego filmu swojemu spowiednikowi. Dopiero kiedy wspólnie dojdą do wniosku, że udział w nim nie narusza moralności, Mel Gibson podpisuje kontrakt.

styczeniowa informacja agencji RMF-FM

Chrze cijanin to nie przylizany dupek

U mnie największa rewolucja nastąpiła wtedy, gdy do mojego życia wszedł Jezus Chrystus. Wtedy naprawdę zrozumiałem i doświadczyłem na sobie, co znaczy prawdziwa wolność i miłość. Bałem się, że gdy zawierzę Jemu swoje życie, coś stracę. Ale gdy zdobyłem się na ten akt odwagi, zrozumiałem, że nie tylko nie straciłem, ale wszystko zyskałem. Wielu ludzi boi się tego, że straci swoją osobowość, swój ukochany i pielęgnowany przez lata "image", swoją niezależność i to, że przestaną być "załogantami". To nieprawda - nikt nie zmienia ci osobowości, możesz wyglądać, jak tylko zechcesz. Mało kto o tym wie, ale pierwszym "hard core'owcem" był Samson (patrz Biblia - Stary Testament), miał dready do kolan, bo nigdy ich nie strzygł i pewnym sensie był straight edgeowcem i w tym wszystkim tkwiła jego siła. Obraz chrześcijanina jako przylizanego dupka w białej koszuli pod krawatem jest fałszywy. Nie przestaniesz byćzałogantem -przecież Jezus jest radykałem, jest największym rewolucjonistą. On, Syn Boży, dla nas, by wyrwać nas z ciemności i niewoli, dał się poniżyć, wyśmiać, okaleczyć i wreszcie zabić bardzo religijnym ludziom, notabene z paragrafu o bluźnierstwo

Darek Malejonek, lider zespołu HOUK. "Prawo miło ci", "To tylko rock" 3/1995

Chrystus cerkiewnym komunist

Po 70 latach bolszewickiego panowania, kiedy to systematycznie były burzone kościoły, a kapłani zsyłani do obozów i mordowani, niełatwo było przedstawić nowe, wiarygodne stanowisko (komunistów wobec Kościoła - red.). Gennadij Ziuganow, lider tej partii, znalazł jednak wyjście, głosząc: "Chrystus był pierwszym Komunist Cerkwi", która zdążyła już odebrać większość swej

przedrewolucyjnej własności i szybko odbudowuje swe polityczne i finansowe wpływy, prawdopodobnie nie będzie wybrzydzała z podjęciem współpracy z każdym, zwyczajnym ugrupowaniem. Władimira Żyrinowskiego, lidera ultranacjonalistów, bulwersuje romans polityków z Kościołem: "*Jestem tu jedynym, który mo e uczciwie mówi o współpracy z przedstawicielami Kościoła. Nigdy nie byłem członkiem partii komunistycznej*".

"Zgnity Ja i Chrystus-komunista", "Express Wieczorny", 14.12.1995

Papie z jointem w imi tolerancji w suwerennej republice narkotykowej

W witrynie magazynu koszulka trykotowa z wizerunkiem Jana Pawła II z papieroskiem w ustach. I rymujący się podpis: The pope smokes dope (Papież pali skręta/marychę). Parę ulic dalej plakat z Chirakiem - kompletnie łysem i całym w okropnych krostach. To a propos wznowionych prób jądrowych na Mururoa. Że obrażono autorytety? Powagę urzędów i godności? Że niby nihilizm, indyferentyzm? Nie. Po prostu wolny rynek idei, gorszych i lepszych pomysłów, droższych i tańszych gustów. Kwestia smaku.

Bardziej liberalne niż w innych krajach ustawodawstwo w sprawie narkotyków jest w ogóle interesującym przypadkiem. Zakup w licencjonowanych coffe shopach, posiadanie i konsumpcja niewielkich ilości specyfiku (28 uncji), nawet heroiny, są dozwolone. Wyjęty spod prawa jest tylko handel na większą skalę i oczywiście produkcja.

Z jednej strony to przejaw naprawdę głęboko zakorzenionego poczucia tolerancji. (...) Ale z drugiej strony, całkiem serio, to także dowód na polityczną suwerenność państwa. To liberalne podejście do narkotyków od lat przyprawia o bóle głowy policję Niemiec i Francji. W Brukseli politycy krajów ościennych toczą w tej sprawie z Holendrami zażarte boje. Ale oni nie ulegają presjom. Bronią umiarkowanych więźniów nałogu jak niepodległości.

Bez ksenofobii więc, z szacunkiem dla narodowych swoistości - własnych i cudzych. To jest naprawdę możliwe.

Włodzimierz Anioł "Pomara czowy sied", "Polityka" 30.12.1995

Olo is the best

- On jest po prostu lepszy od Wałęsy - mówiła. - Jest pragmatyczny, nie bierze pod uwagę irracjonalnych ideologicznych względów; przy nim nie grozi nam cenzura religijna, z którą mamy do czynienia teraz, ani cenzura polityczna, którą mieliśmy kiedyś.

wypowied Barbary Labudy (w:) "Współpracownicy Kwa niewskiego", "Rzeczpospolita" 04.01.1996

"TERAZ JEST DONKISZOTERIA "

(rozmowa z Jarosławem Kaczyńskim, prezesem Porozumienia Centrum)

FRONDA: *Rozmawiamy jeszcze przed wyborami prezydenckimi, ale już widać, że liczy się tylko dwóch kandydatów: Aleksander Kwaśniewski i Lech Wałęsa.*

JAROSŁAW KACZYŃSKI: Myślę, że jeżeli wygra Kwaśniewski, to będzie bardzo unikał konfrontacji, będzie starał się udowodnić, że jest Europejczykiem - w dzisiejszym, polskim znaczeniu tego słowa. Natomiast pozostaje cały czas pytanie, jaka będzie relacja między nim a jego zapleczem, tzn. czy Kwaśniewski będzie gotów to zaplecze odsunąć, mówiąc inaczej - kopnąć. Osobiście nie sądzę, by się zdobył na ten krok.

- *Czy zwycięstwo postkomunisty oznacza b dzie rekunizacj Polski?*

- Przepraszam, ale „rekunizacja” jest określeniem nieprecyzyjnym. W Polsce nigdy przez ostatnie sześć lat nie podważono struktury społecznej stworzonej przez PRL. Piramida społeczna określana przez faktyczną pozycję ekonomiczną stworzona została w PRL-u. Równocześnie co prawda nastąpiło dokoptowanie na wyższe szczeble także ludzi, którzy nie zdobyli pozycji dzięki PRL-owi. Po części ten nabór miał charakter polityczny i dotyczył ludzi, którzy się wybili dzięki „Solidarności”, ale zasadnicza struktura społeczna pozostała nie zmieniona.

- *Czyli zwycięstwo Kwaśniewskiego wla ciwie nic nie zmieni?*

- Jego zwycięstwo strukturę odziedziczoną po PRL-u jeszcze bardziej umocni, skonsoliduje, nada jej pewności siebie. A przede wszystkim jego sukces będzie miał poważny wymiar symboliczny. Będzie wielką, historyczną klęską „Solidarności”.

- *A czy zwycięstwo Wałęsy byłoby zwycięstwem „Solidarności”?*

- Zwycięstwo Wałęsy byłoby zwycięstwem Wałęsy. Ale taki wynik na pewno byłby przegraną obozu Kwaśniewskiego.

- *A kto w takim razie skorzystałby na zwycięstwie Wałęsy?*

- Część aparatu komunistycznego, która na Wałęsę postawiła. Przecież Wałęsa już cztery lata temu podjął decyzję całkowicie jednoznaczną: oparł się na części starego komunistycznego aparatu. Proszę zwrócić uwagę na to, co się dzieje w Rosji, na Ukrainie czy tym bardziej na Białorusi - tam poza podzia-

łem starego aparatu władzy, podziałem nomenklatury nie ma życia politycznego "na poważnie". W Polsce również ten podział się dokonał, co prawda nie na takiej zasadzie, na jaką Wałęsa stawiał jeszcze w roku 1989, kiedy promował Fiszbacha i jego Polską Unię Socjaldemokratyczną. Wałęsa postanowił nie opierać się na żadnej postsolidarnościowej sile politycznej. Ale to oznaczało, że musiał szukać poparcia gdzie indziej... w komunistycznych służbach specjalnych, w wojsku.

- Czyli rywalizacja Wał sy z Kwa niewskim byłaby w istocie rywalizacji dwóch odnóg aparatu partyjnego?

- Symbolicznie nie, ale faktycznie tak. Wałęsa zdobywa w tej rywalizacji pewne dodatkowe atuty. Poparcie partii politycznych czy „Solidarności” bez wątpienia jest takim atutem.

- No tak, ale czy te wybory nie odbywaj si głównie w sferze symbolicznej? Przecie byli UB-ecy b d głosowa na Kwa niewskiego, a ludzie „S” na Wał s . Czyli - w warstwie społecznej, najszerzej - nie jest to konflikt aparatu partyjnego z bezpieczniackim, ale starcie PRL-u z Polsk sierpnio w , solidarno cio w .

- Przecież to nie ma żadnego znaczenia, kto dziś głosuje na Wałęsę. Znaczenie ma to, że Wałęsa realnie rządził w oparciu o postkomunistyczne służby specjalne, a nie w oparciu o większość w parlamencie. Mógł rządzić w ten sposób, ale możliwość taką po prostu odrzucił.

- Ale gdyby Kwa niewski wygrał wybory, to jego władza opierałaby si o parlament, czyli ten układ w pewnym sensie byłby zdrowszy.

- Trudno temu przeczyć, przynajmniej w sensie formalnym, ale to nie jest takie proste. Istotą postkomunistycznego układu nie są miejsca w parlamencie, ale ogromna sieć nieformalnych powiązań.

- Panie prezesie, Wał sa i postkomuni ci to byli pana główni przeciwnicy. Przed wyborami wyra nie widzimy, e poniósł pan kl sk na obu frontach. Dlaczego pan przegrał?

- Ze względu na dysproporcję sił. Na obu tych frontach, które były komplementarne, walkę prowadziła jedna, średniej wielkości partia, która jeszcze w międzyczasie uległa dwóm, potężnym rozłacom. Trudno więc było liczyć na sukces. Zwracam uwagę, że dzisiaj poważni kandydaci tacy, jak Kuroń czy Gronkiewicz-Waltz powtarzają wiele naszych tez. Przedtem decydowała dla nich taktyka polityczna, doraźne korzyści, a nie jakieś bardziej perspektywiczne myślenie. O to proszę mieć pretensje do nich, a nie do nas. PC samo tej walki wygrać nie mogło, ono nie mogło jej wygrać nawet na jednym froncie, bo było na to za słabe w sposób najzupełniej oczywisty. Mogło tutaj dojść

co najwyżej do jakiegoś sojuszu, ale sojuszu tego zabrakło.

- *Czy t szans nie mogło by wej cie PC do rz du Hanny Suchockiej?*

- Proszę pana, taką szansą był rząd Olszewskiego, ale tu zabrakło woli samego premiera, także ZChN nie chciał rozszerzenia tego rządu o Unię Demokratyczną. Bo gdybyśmy razem nacisnęli, to Olszewski musiałby się zgodzić. Natomiast jeśli chodzi o rząd pani Suchockiej, to ja mogę panu powiedzieć tak: ostatnio rozmawiałem z Janem Marią Rokitą; wróciliśmy do historii i Rokita nie kwestionował tego, że decyzja o niewpuszczeniu nas do rządu była jednak ich decyzją i szukali tylko pretekstu, by nas z tej koalicji wypchnąć. Oni nas po prostu w rządzie nie chcieli i to ze względu do pewnego stopnia racjonalnego, właśnie w ramach tej racjonalności taktycznej. Wiedzieli, że taki rząd będzie przedmiotem bardzo ostrego ataku Wałęsy i że prawdopodobnie się nie utrzyma. Mylili się o tyle, że za upadkiem Suchockiej krył się w istocie właśnie Wałęsa. To on inspirował akcje wymierzone w tę koalicję, mamił różnych ludzi stanowiskiem premiera, które mieli odziedziczyć po Suchockiej...

- *Wychodz c jednak z politycznego podwórka: dlaczego idee dekomunizacji przegrały w społecze stwie?*

- Z bardzo prostego powodu, otóż siły postkomunistyczne znalazły niezwykle szybko potężnego sojusznika w obozie solidarnościowym.

- *Na czym polegał ten sojusz?*

- Jego praktycznym wyrazem był realny sojusz przeciw siłom konsekwentnie antykomunistycznym. Niszczenie tych sił poprzez kampanie propagandowe prowadzone nie tylko z udziałem, ale pod przewodnictwem lewicy solidarnościowej (włączała się i prawica - szczególnie fatalną rolę odegrał tu ZChN) było podstawową przyczyną klęski. Wypowiedź pani Suchockiej o SLD jako konstruktywnej opozycji i PC jako ugrupowaniu antypaństwowym znakomicie oddaje ten sposób myślenia. Wypada zapytać o przyczyny. Sądzę, że można wymienić dwie. Jedną była obawa przed zwycięstwem - ujmując rzecz najkrócej - "czarnej Polski", klerykalnej, nacjonalistycznej, spychającej siły wyrosłe z PRL-owskiej dysydencji na głęboki margines, ledwie tolerowany albo w ogóle nie tolerowany. Komuniści mieli i być w takiej czy innej wersji gwarancją, że tak się nie stanie. Przyczyną drugą, zwykle pomijaną, jest zwykła głupota. Ogromna część elit reprezentowanych przez Unię jest po prostu bardzo głupia.

- *No tak, ale pan tu mówi tylko o pewnej cz ci obozu solidarno ciowego, o Unii, a jednak obóz solidarno ciowy był czym znacznie szerszym. Nie wszyscy popełnili ten grzech poniechania.*

- Nie zaniechania, lecz czynnego przeciwstawienia się. Proszę zwrócić uwagę, że Unia, jeżeli mówić konkretnie, przeciwstawiała się dekomunizacji. Zresztą po dziś dzień przeciwstawia się lustracji w sposób czynny. To nie był

grzech zaniechania, tylko powiedzenie „nie"! To było tworzenie sojuszu typu 4 czerwca 1992 roku. A jeszcze do tego pewne dodatkowe okoliczności, które właśnie miała znieść lustracja, powodowały, że ten sojusz można było rozszerzyć. KPN w tym sojuszu to wynik niczego innego jak tych okoliczności.

- Ale w ten sposób dochodzimy do wniosku, e wła ciwie 3/4 opozycji antykomunistycznej to były partie zarz dzane przez agentów, bo do tego dochodzi jeszcze ZChN, je li na serio wzi list Macierewicza.

- To jest znacznie bardziej skomplikowana sprawa. Trzeba by się cofnąć do roku 1956. W Polsce po tym roku system przekształcał się w kierunku, który można było nazwać dziurawieniem totalitaryzmu. Dziurawy totalitaryzm, który - wbrew naturze tego typu władzy, jeśli wziąć pod uwagę ideologiczną logikę systemu stalinowskiego - "ma prześwity". Takim prześwitem było prywatne rolnictwo czy kontakty z Zachodem. Takim prześwitem były też niewielkie okruchy późniejszej działalności, takiej jak KIK-i przy Kościele, a już nie prześwitem, lecz całą wielką szparą był sam Kościół. Do tego dochodziła pewna autonomia wyższych uczelni, związek literatów czy pewna wolność w dziedzinie kultury. To wszystko powodowało, że system komunistyczny zaczął się sypać. Ale jednocześnie powstawała taka strefa pośrednia, grupa ludzi, która działała z jednej strony jak wszyscy, wewnątrz tego systemu, a z drugiej strony go kontestowała. Przy czym w polskich warunkach bardzo często byli to ludzie, którzy wcześniej z tym systemem kooperowali bardzo ściśle. Ta grupa ludzi z natury rzeczy była poddana szczególnej penetracji policyjnej, no bo jednak była to - kulawa i dziurawa - ale dyktatura. I w rezultacie powstał taki układ stosunków, który jest w historii znany - i to nawet z upadku systemów znacznie słabszych niż komunizm, np. carska Rosja z ostatnich dziesięcioleci. Tam rewolucjonista i agent, czy agent i rewolucjonista w jednej osobie, to się wszystko przeplatało. I my w Polsce mieliśmy swoje „Biesy".

- Czy Polska doby pó nej PRL przypominała carsk Rosj ?

- Ta analogia, która skądinąd została mi podsunęta przez Kuronia, dotyczy rzecz jasna tylko wybranych aspektów rzeczywistości.

- Ale czy wtedy były takie prowokacje w stylu rosyjskim, e stu ba bezpieczne stwa sama generowała pewne ruchy...

- No wie pan, nie należy za bardzo czytywać Mackiewiczza, bo to on napisał „Europa in flagranti". To była taka książka z lat 60. i ja ją czytałem jako młodzienc...

- Ale Azefto niew tpliwie posta historyczna...

- Ale Azef był niewątpliwie prowokatorem od początku, a Mackiewicz twierdzi, że już wszyscy byli i że wszystkie partie były do odpowiednich oddziałów

zandarmeri przypisane.

- *Zostawmy analogie historyczne i zastanówmy si , dlaczego program i postulat dekomunizacji nie zyskał poparcia społecznego. Przecie wydawało si , e w 1990 roku, kiedy wygrywał Wał sa, przyzwolenie na radykalne rozliczenie si z komunizmem było. To było nawet wi cej ni przyzwolenie - był entuzjazm dla tej koncepcji.*

- Przede wszystkim entuzjazm mniejszościowy, przypomnijmy sobie wynik pierwszej rundy. Po drugie: układ postkomunistyczny ruszyć było bardzo trudno. Przecież nomenklatura, ludzie tamtego systemu, stworzyli sobie w Polsce bardzo mocne przyczółki w nowym systemie. Bo przecie ten nowy powstawał w ramach starego. To nie było tak jak w Czechach - tam kapitalizmu nie było nawet śladu do aksamitnej rewolucji. W Polsce od Gierka linia była już stosunkowo konsekwentna, tzn. nomenklatura wchodziła w sferę prywatnej własności, bo to się wbrew pozorom nie zaczęło po rok u 1980, to się zaczęło znacznie wcześniej, przy czym prapoczątki to są lata 60. Jeszcze Gomułka z tym walczył, ale Gierek już nie. Ta grupa podlegała przy tej okazji jakby moralnemu rozkładowi - moralnem u nie tyle z punktu widzenia moralności, co morale aparatu partyjnego (twardzi marksści, np. ci z Wrocławia, opisywali to zjawisko po wielokroć, całe książki w latach 80. na ten temat były). Ta grupa doskonale się znalazła w nowych warunkach i mogła bardzo łatwo stworzyć dwa mechanizmy, ogromnie utrudniające uzyskanie poparcia społecznego. Po pierwsze: mechanizm koptacyjny: pewne jednostki spoza układu partyjnego były dokoptowywane po 1989 roku, a nawet wcześniej. Społeczna świadomość była z jednej strony korumpowana tym procesem przekazywania silnych jednostek na drugą stronę. Po wtóre natomiast: środki masowego przekazu w ogromnym stopniu pozostały w ręku tamtych. Gdyby dajmy na to w roku 1989 rozgoniono dawne mass media i komunistycznych dziennikarzy zastąpiliby ci nieszczęśnicy, którzy dzisiaj kierują telewizją, których nie lubimy, którzy są skrajnie nieobiektywni i niedorośli do systemu demokratycznego, ale którzy są antykomunistyczni, to myślicie, że świadomość społeczna wyglądałaby tak samo?

- *Ale bitwa o wiadomo została przegrana.*

- Bitwa o świadomość została przegrana. Do dziś dnia pamiętam, jaki był wynik głosowania w Senacie nad ustawą o likwidacji RSW, gdzie był spór o tzw. spółdzielnie dziennikarskie, których wprowadzenie do ustawy oznaczało po prostu, że stary układ dziennikarski, ten zweryfikowany w 1982 roku, pozostanie nienaruszony. Pamiętam, że przegraliśmy 42 do 24. Pamiętam ten wynik, bo miałem pełną świadomość, że jest to jedno z najważniejszych głosowań. Bardzo rzadko zabierałem głos w Senacie, ale wtedy byłem i przemawiałem. Obecnie najważniejsze jest jednak pytanie: na ile przegraliśmy dlatego, że ci którzy byli wśród tych 42 głosów głosowali w imię własnego dobrze uświadomionego interesu, a na ile z głupoty? Po części tak i po części tak. Na tych 42 senatorów 10-12 dobrze wiedziało, o co chodzi.

- *Polityka jest przede wszystkim sztuką walki o wiadomo społeczną i pan jednak tę wielką bitwę przegrał. Jakże to pan popełnił osobiście? Bo skoro pan walczył, to musiał pan widzieć jakie szanse na zwycięstwo.*

- Czy w ogóle można było wygrać? Ja mogę panu uczciwie powiedzieć, że za późno zaczęliśmy tę walkę i daliśmy się sterroryzować zasadą jedności i nie-naruszalności OKP. Przestraszyliśmy się jadu sączonego po cichu: uważajcie, bo się społeczeństwo przeciwko nam zbuntuje. Bo przecież muszą być zmiany cen itd. Obowiązywała wtedy zasada: równo, jednym szeregiem. I myśmy się dali sterroryzować. Bo trzeba było uderzyć - wtedy jak tylko zawalił się mur berliński. A my się spóźniliśmy. Wtedy dopiero sformułowaliśmy koncepcję przyspieszenia i - ponieważ Mazowiecki był na mnie obrażony za "Tygodnik Solidarność" i nie rozmawiał ze mną - to ja poszedłem do Halla i prosiłem: niech Mazowiecki ruszy chociaż wojewodów. Przecież wtedy nawet jednego wojewody nie zmieniono, komendanta policji, nic. Wszystko było po staremu. I oczywiście nic nie zrobili.

- */ było już za późno, żeby wygrać tę bitwę?*

- Sądzę, że gdybyśmy poszli ostro, tak jak w 1993, to może tutaj by się coś zmieniło. Nie jestem tego pewien, ale dzisiaj żałuję, że nie spróbowałem. Wtedy byliśmy zbyt nieodporni na ten nacisk. I to uważam za błąd, bo wtedy były jednak grupy młodzieży, które chciały zajmować komitety wojewódzkie itd., był w tym pewien sens. Nie zawsze jest tak, że młodzi zupełnie nie mają racji.

- *A czy to nie było tak, że wy pogrzebaliście się w politycznych podjazdach, gierkach i intrygach, a zaniedbaliście coś, co mogło być nazwą budowy formacji, nawet nie tyle w sensie politycznym, co kulturowym? Dlaczego nie powstał prawicowy salon? Mieliście w pewnym momencie pieniądze, mo liwość. Dlaczego np. poległ "Tygodnik Literacki"?*

- Myśmy mieli skąpe możliwości w ramach "Tygodnika Solidarność". To w ogóle był sukces, że Waldemar Gąsper mógł "Tygodnik Literacki" wydawać. Przesadzacie panowie z tą naszą potęgą finansową. "Tygodnik Solidarność" właściwie już od reformy balcerowiczowskiej okazał się narzędziem bardzo ułomnym. Musiałem poświęcać dużo czasu na to, żeby zdobywać pieniądze na podtrzymywanie go przed upadkiem.

- *Proszę zwrócić uwagę, że ci faceci z lewicy i liberalnego centrum mają na karku zawołanie różnych pisarzy redniej i nie tylko redniej kategorii...*

- Po pierwsze nie porównujemy się z nimi, bo to jest stary potężny układ, dysponujący połową, albo i więcej, wszystkiego, co jest w tym kraju. A reszta jest rozproszona, i tu w ogóle porównywanie się jest śmieszne - to jest mrówka

przy słońcu.

Poza tym nie doceniacie stopnia ataku, który na nas przypuszczono. Być może popełniliśmy błąd polegający na tym, że walczyliśmy na trzech frontach naraz: z komunistami, z Unią i z Wałęsą. Nie ukrywam, że ja sobie gratuluje dzisiaj jednego wśród tych wszystkich niepowodzeń, tzn., że my to wszystko zdołaliśmy przetrwać.

- Stawia pan wybór Wał sy niemal na równi z wyborem Kwa niewskiego, krytykuje pan ekipę Walendziaka, ale dzisiaj je li w ogóle ktokolwiek mo e jeszcze toczy bój o ludzk pami , o społeczn wiadomo , to wła nie telewizja Walendziaka i to pod ochronnym parasolem Wał sy.

- Telewizja sama w sobie może dużo zrobić, ale sądzę, że na Woronicza przydałaby się mocniejsza ekipa. Jest trochę zjawisk pocieszających - mówię o tej propagandzie historyczno-antykomunistycznej. Ale to wszystko jest mało systematyczne i dociera tylko do pewnych grup. Poza tym obawiam się, że taka działalność może wywoływać skutki repulsyjne, bo jest odbierana jako nachalna. Moim zdaniem chorą świadomość społeczną, w tym historyczną, tworzyły w głównej mierze seriale telewizyjne, te niezwykle oglądane seriale lat 70. i 80., które zawierają w sobie kondensację historycznego kłamstwa, ale były zręcznie realizowane.

- Na przykład jakie?

- „Polskie drogi”, „Dom”, jeszcze dalej w latach 60. oczywiście „Czterej pancerni i pies”, z tym, że ten ostatni to był w konwencji bajki zupełnie. Otóż ten patent można było wykorzystać.

- Nakr ci kontr-seriale?

- Może nawet lepsze, trzeba po prostu to umieć zrobić. Ja wiem, że to jest trudne, ale sądzę, że możliwe. Autentycznych wydarzeń, postaci historycznych można by znaleźć mnóstwo.

- Były przecie dramatyczne filmy, które jednak nie wstrz sn ty... „Przesłuchanie”, „Matka Królów”... A raczej wstrz sn ty, ale ograniczonym kr giem publiczno ci.

- Bo to nie może być film, tylko serial. To musi być podane o odpowiedniej godzinie, odpowiednio rozreklamowane. Tam muszą być twarze czołowych polskich aktorów, tam muszą być osoby, z którymi ludzie się utożsamiają, jak z Kaczorem w „Polskich drogach”. Mówię intuicyjnie, bo ja na seriale nigdy w życiu nie patrzyłem, oglądałem tylko jeden z zainteresowaniem, a mianowicie „Karię Nikodema Dyzmy”. Taki serial - nie jeden oczywiście - trzeba by bardzo zręcznie sprzedawać, nie na zasadzie: uwaga! my tutaj prostujemy historię. Tylko niewinnie, jakby nigdy nic, że niby wracamy do tradycji polskich

seriali, które ogląda cała Polska.

- *Czyli serial, który zdobyłby popularno ...*

- Tak. I o tym, jakie on ma zadania, wiedzieliby tylko ci, którzy go wymyślili. Taką metodą można te znaki wartości klarować, bo w Polsce mamy właśnie do czynienia z taką nieklarownością sytuacji w świadomości społecznej: „no te byli złe, ale czy tak do końca złe?”

- *Czyli wprz ganie sztuki na usługi polityki? Taki antysocrealizm?*

- Po 50 latach indoktrynacji (w tym 30 przy pomocy tak potężnego medium jak telewizja) to po prostu niezbędne. Panowie, ja kiedyś sobie stałem w Roku Pańskim 1984 w dobrym humorze, bo wiedziałem, że się zbliża amnestia, na balkonie. Właśnie kończył się proces tzw. zabójców Przemyska. Koło mojego ogrodu jest drugi ogród, który należy do kilku rodzin i te rodziny tam stały i rozmawiały. To są tacy dość prości ludzie, ale zacni i oni dyskutowali właśnie o zabójstwie Przemyska. Komuniści zmontowali wtedy ordynarne, grubymi nićmi szyte kłamstwo, a ci moi sąsiedzi kupowali ich „prawdę” jak świeże bułeczki. Po prostu oglądali w telewizji i potem pomstowali na tych nieszczęśliwych pielęgniarzy. Mówili, że brutalny milicjant to jeszcze się zdarza, ale żeby pielęgniarz bił i katował... Taka jest siła tego przekazu, tylko trzeba to umieć wykorzystać, a tego nie tylko nie zrobiono, ale zostawiono telewizję starym komuchom.

- *Ale przez ostanie dwa lata telewizja traktowała postkomunistów i Kwa niewskiego bez taryfy ulgowej. W kampanii nie zostawiono na nim suchej nitki i co? Ma najwi ksze szanse na zwyci stwo w wyborach.*

- Bo ludzie na głuchej prowincji właściwie nie wiedzą, kto rządzi. Dzisiaj przy Wałęsie ta władza komunistyczna też jest dość enigmatyczna. Z punktu widzenia tych najniższych, najmniej wykształconych grup społecznych, to tak do końca to nie wiadomo, kto rządzi.

- *1 pan jak gdzie pojedzie, odbierany jest jako władza?*

- Oczywiście, ja nawet listy dostaję, teraz dużo mniej niż kiedyś, ale jeszcze do niedawna mnóstwo, z prośbą o interwencje. I z punktu widzenia tych ludzi - rządzą. A wie pan dlaczego? To mi uzmysłowili w Częstochowie jacyś prości ludzie, którzy przyszli do mnie z pretensjami, choć bez agresji: "no jak wy rządzicie" itd. Ja się dziwiłem, mówię: "Przecież my nie rządzimy, jesteście opozycją." - "No jak to, nie rządzicie?" - "No nie rządzimy, przykro mi." To w końcu jedna z tych pań mówi tak: - "Panie, dla nas, jak ktoś jest w telewizji to rządzi i koniec."

- *A pan ma pretensje, że za mało PC jest w telewizji.*

- Ja mam pretensje, że jest za mało PC w relacji z innymi, co oznacza, że jeżeli np. pewna partia, którą bardzo lubię, cenię i szanuję po raz 37 podejmuje decyzję, że nie podjęła decyzji - to jest na ten temat minutowa migawka, a jak my np. podjęliśmy decyzję, no to się tego nie pokazuje.

- *Czy bitwa o wiadomo jest przegrana ostatecznie?*

- Sądzę, że nie należy popełniać błędu polegającego na tym, że się te 5 czy 6 lat traktuje jako jakąś epokę. 5 czy 6 lat w historii to bardzo niewiele, to nawet nie jest tak dużo w życiu jednego człowieka, natomiast, jeśli wziąć pod uwagę ten obecny stan polityczny, układ sił politycznych, panowie, to mowa o dekomunizacji czy zmienianiu świadomości społecznej wygląda mi na donkiszoterię, na ruszanie z motyką na słońce. Czerwony ma potężną, jak na polskie warunki, strukturę organizacyjną i potężną - nie tylko jak na Polskę - sferę wpływów gospodarczych. Zielono-czerwony podobnie ma opanowaną wieś. Po drugiej stronie jest zdominowany przez agresywnych półinteligentów i ćwierćinteligentów związek zawodowy, no i przeżywający kryzys, a mający przecież zgoła odmienną naturę Kościół. Są te przyczółki, jak choćby telewizja, ale też uwikłane w różne kompromisy. Przecież Walendziak by się nie utrzymał, gdyby nie szedł na różnego rodzaju układy, nie tylko z „Gazetą Wyborczą”, ale także z Wałęsą. Generalnie rzecz biorąc, w tej chwili sytuacja jest bardzo niedobra. Obawiam się, że polskie społeczeństwo będzie takie postPRLowskie, w szczególności klasa średnia i wyższa, jeszcze przez całe pokolenia. Na to nakłada się ekspansja mafii, ekspansja tych mechanizmów, które wytorwały się na Wschodzie...

- *Postkomuni ci s silni, ale opisywanie polskiego społecze stwa tylko poprze pryzmat „czerwonej paj czyny” to chyba uproszczenie.*

- Są też negatywne dziedzictwa „Solidarności”. Jednym z poważnych elementów solidarnościowego myślenia było zatarcie społecznej hierarchii. To miało wiele zalet, bo tamta hierarchia była oparta na chorych przesłankach i zresztą przejawiała się w sposób bardzo trudny do zaakceptowania. No bo pozycja tego człowieka, nie z żadnych dołów, tylko z niższej części tej hierarchii wobec tych z wyższej była rzeczywiście fatalna. Chamstwo w traktowaniu ludzi, to był jeden z powodów wybuchu z 1980 roku. Pamiętajmy jednak, że zatarcie hierarchii społecznej i niezastąpienie jednej drugą ma skutki fatalne. Bo nie ma nigdzie na świecie systemu, gdzie nie ma hierarchii. Tam, gdzie taka hierarchia się zaciera, rodzi się inna, ta najbardziej podstawowa, prymitywna, czyli po prostu hierarchia pięści. Otóż hierarchia na tym elementarnym poziomie, to może być hierarchia pięści w najbardziej bezpośrednim

tego słowa znaczeniu, tak jak u małych chłopców, jak w ganagach. Otóż taka gangsterska hierarchia jest alternatywą dla normalnej hierarchii społecznej i to jest bardzo poważne zagrożenie. Proszę jeszcze zwrócić uwagę, że taka hierarchia siły istnieje na Wschodzie i może bardzo łatwo zostać tutaj importowana.

- *Czy pomysły dekomunizacji trzeba odstawić na miotnik historii?*

- Jestem szefem partii, którą do niedawna jeszcze, na zasadzie całkowicie kontrafaktycznej oskarżano o karierowiczostwo i walkę o stołki. Ale jakiś rok temu jeżdżąc po Polsce i mając to, tu to tam konferencje prasowe - coraz mniej zresztą liczne - z prasą lokalną, nagle usłyszałem zarzut zupełnie inny, jakby zupełnie odwrotny: że jesteśmy Don Kichotami.

- *Sw d tego potu w pogoni za władz ju si ulotnił, teraz jest donkiszoteria.*

- Teraz jest donkiszoteria, z tym, że to niestychanie długo trwało.

- *Banalne pytanie: i co teraz?*

- Sądzę, że tutaj trzeba będzie popracować nad tworzeniem nowej formy intelektualnej, która odwoływałaby się do podstawowych wartości związanych z porządkiem społecznym, państwem, z porządkiem państwowym. Natomiast na ile to będzie skuteczne, nie potrafię powiedzieć.

- *To Czesław Bielecki próbuje co takiego robi, abstrahuj c od aspektu moralnego, ideowego. Mo liwa jest prawica laicka?*

- W prawicę laicką nie wierzę, ale z drugiej strony fundamentalistycznych postaw nie akceptuję. Nie miałbym nic przeciwko prawicy laickiej, gdyby ona mogła powstać, ale po prostu nie widzę do tego podstaw w historii Polski i w ogóle w obecnym kształcie naszej kultury. Mówiąc szczerze, to ja bym katolicyzm i Kościół od polityki trzymał jak najdalej, bo polityka jest grzeszną dziedziną życia z natury. Więc po co te dwa różne porządki mieszać? Ale ta oddzielność absolutnie nie zakłada braku oddziaływania.

- *Dzi kujemy za rozmow.*

Rozmawiali: Michał Kietlicz i Igor Zalewski

OGŁOSZENIE

Всероссийская Служба Безопасности информирует о выгодном предложении работы в Польше

Обещаем интересные занятия для настоящих мужчин
Предлагаем охоту, теннис и соседские беседы
Работа предполагает обеспечение электроаппаратурой,
телекоммуникационной связью, а тоже языковые курсы

Гарантируем 100 процентов безопасности и молниеносную
карьеру:
проработав 12 лет должность маршала Сейма
проработав 14 лет пост премьерминистра
Для желающих предусмотрены и другие выгодные парламентские,
правительственные и партийные должности

Rosyjska Służba Bezpieczeństwa informuje o atrakcyjnej ofercie pracy w Polsce. Obiecujemy interesujące zajęcia dla prawdziwych mężczyzn. Proponujemy polowania, tenis i biesiady sąsiedzkie. Oferta pracy przewiduje obsługę sprzętu elektronicznego, telekomunikacyjnego oraz kursy językowe. Gwarantujemy 100 procent bezpieczeństwa oraz błyskotliwą karierę: po przepracowaniu 12 lat - stanowisko marszałka Sejmu, po 14 latach - urząd premiera. Dla chętnych przewidziane inne atrakcyjne stanowiska parlamentarne, rządowe lub partyjne.

OSZOŁOMY MIAŁ Y RACJĘ

Przed laty przeczytałem tekst, który wrył mi się w pamięć, choć ze wstydem przyznaję, że nie pamiętam ani tytułu ani nazwiska autora. Był nim na pewno pewien polski intelektualista (chyba poeta), a napisał coś takiego: *„Okazało się, że to nasze stare ciotki miały rację. Mówiły one: Bolesław Bierut był rosyjskim agentem. A my się krzywili my uważaliśmy takie wypowiedzi za grubą przesadę. I to one miały rację, a nie my”*.

Czuję się dziś trochę jak zawstydzony siostrzeniec takiej mało subtelnej ciotki. Kilka miesięcy temu, na łamach ostatniej „Frondy” pisałem, że pomysł dekomunizacji „dosłownej” był chybiony. Że w warunkach polskich administracyjne odsunięcie poza nawias życia publicznego dawnych aparatczyków przyniosłoby więcej szkód niż korzyści. Że wywołałoby odruch solidarności z dawnymi działaczami wszystkich tych, którzy choć otarli się o PZPR. Że wdawanie się w swary, gdzie przeciw racjom dziejowym wymachiwano by sztandarem „praw człowieka”, przysporzyłby solidarnościowym politykom dodatkowych trudności...

Dziś nie jestem już pewien swoich racji. Barwne dzieje premiera Oleksego, które prześwietlają z tajnych prac komisji sejmowej, pokazały swoją dosłowność tego, co my próbowaliśmy rozumieć niedosłownie. Badaliśmy do tej pory ich oficjalne wypowiedzi szukając w nich, czasem na siłę prorosyjskich akcentów. Rozdmuchiwaaliśmy rozmaite geopolityczne pragmatyczności Longina Pastusiaka czy Tadeusza Iwińskiego. A prawda mogła się okazać dużo prostsza, wręcz najprostsza. Nie koncepcja polityczna, nie pomysł na nowy układ międzynarodowy. Nawet nie taka czy inna umowa, korzystna dla Rosji, a ryzykowna dla Polski... Coś dużo bardziej prozaicznego - biesiady czołowego polityka SLD, dziś premiera naszego kraju z rezydentem rosyjskiego wywiadu.

Z tej okazji przypomniano wypowiedź generała KGB Pawłowa o lokalnych funkcjonariuszach PZPR pchających się drzwiami i oknami do ludzi radzieckich. Z pochlebstwami i z informacjami. Jak w takiej sytuacji oddzielić ziarno od plew? Jeśli przyjąć, że tak zwane zaszczości mogły każdego Polaka przemienić w agenta, to o kacykach z dawnej PZPR można to powiedzieć w dwój-, trój- a może czwórnasób. O okolicznościach powstania SdRP już nie wspomnę. Wszyscy niby o nich coś wiedzieli, a przecież gdy Jacek Kuroń trzymał się figlarnie w łóżku rządowej z Leszkiem Millerem prawiąc mu komplementy, to nawet niektórzy ludzie bardzo Kuroniowi dalecy tylko kiwali głowami: ot takie sobie dziwactwo. Jacek przegina.

To prawda, owo przebijanie się okruczeństw ukrytej rzeczywistości odbywa się w atmosferze kuriozalnej dwuznaczności, którą zręcznie wykorzystują postkomuniści. Oto byli SB-cy, Jasik i Fonfara stają się nieomal bohaterami naszej walki o narodową suwerenność. Jeszcze chwila i uznamy ich za Walenrodów. Pismo „Wprost”, jeszcze niedawno wysmiewające tzw. „aferoma-

nię" okładką przedstawiającą ukrzyżowanego (tak tak!) biznesmana z aktówką, jest dziś w czołówce demaskatorskiej kampanii i przestrzega przed „Partią Moskwy”. Ale przecież rzeczywistość rzadko bywa czarno-biała, a już w Polsce jest szara aż do bólu.

Nie popadają c w uwielbienie dla generała Fonfary czy dla pisma „Wprost”, warto jednak unikać śmieszności. Takiej choćby jaka stała się udziałem Jacka Kuronia. Po latach współkształtowania stanowiska Unii Demokratycznej wobec Milczanowskiego (a polegało ono z grubsza rzecz biorąc na pochwalaniu podstawowych zasad, jaką kierował się szef MSW - górą fachowcy rodem z PRL!), polityk ów nagle odkrył, że Fonfara, szef Zarządu Śledczego UOP od 1990 roku, to dawny SB-ek zdolny do fałszowania dowodów. Jaka szkoda, że wcześniej nie podzielił się z nikim swoimi obawami. Zachował je na moment, gdy trzeba było stanąć w obronie premiera i „wielkiej formacji jaką jest SdRP”?

W śmiertelnym zwarciu między generałem Fonfarą i Jackiem Kuro-niem najlepiej zacytować Jarosława Kaczyńskiego, którego nie odważyłbym się porównać do ciotki, opisanej na początku tekstu, choć w tym porównaniu jest przecież coś z prawdy. Mianowicie Kaczyński powiedział niedawno: „oszołomy okazały się prorokami”. Można by tylko dodać zgryźliwie. No i cóż dały ich prorocstwa? I całkiem już tradycyjnie - czyja to wina? Na to ostatnie pytanie odpowiem samokrytycznie: trochę i moja.

Piotr Zaremba
(styczeń 1996)

PODNECAJĄCE ZESTAWY -
POZORNE ASOCJACJE

alicja

zanadto nieokreślone kształty nie oznaczały
nic. proust spalał się jak najtańsza świeczka
kiedy pośpiesznie emigrowała z ramion
wynałazku henry'ego forda prosto w objęcia
kuzynki, wąsaty szofer trząsał kruchymi
drzwiami i wypuszczał ciepłą kierownicę z rąk.
różowa wańka-wstańka podniecała, karmel
sączył się z rozgrzanych łyżek, rok? może
napiętnowany przez śmierć premiera albo
migrenę królowej, w każdym razie lipiec
i mocny alkohol, napęczniały od słońca asfalt,
ażurowe bluzki panien roztropnych
i nierozsądnych, znów śniła mi się twoja matka
alicjo - mówił anemiczny wuj emil oblizując
koślawe palce, nic nie nabierało znaczenia;
biedronki zdychały pośród rozrzuconych
w trawie złotych i srebrnych monet, potem
zaborczy enola gay, louis de funes umierał
na zawał serca, a może nie było jej wtedy
albo była zbyt prawdziwa żeby uwierzyć
w tę iluzję hazardu i odpryskującej z paznokci
farby, proroctwo o mięsie białym i delikatnym,
nic nie nabierało znaczenia tylko kiedy biegła
przez ten smarkaty świat, tę noc o metalicznym
smaku szyn kolejowych, ścisnęła mocno pięści,
bo wszystkie cienie, nagle wyrwane z ciemności,
wytykały ją palcami, niewyraźnie

vaterland

ze starannie wypreparowanymi jelitami
podają nas na blaszanym talerzu, odprowadzają
nas zgwałcone gryzетки, bezzębne dziąsła
wilhelma II, a my objamy się o siebie
jak liście

zewsąd wyrastają otwarte wnętrza

list do jana lechonia

wieczór zmięty jak skórzane okładki starych
książek, sierpień, na cmentarzu za oknem stara kobieta
wskrzesza białaczkę córki, w takich chwilach miedź
bywa gorzka, aż trudno uwierzyć, że tak gorzka, kiedy
czuję tylko ciepłe owale monet; na ścieżkach
zardzewiałe rowery, słodka, tępa rdza w płucach (jakie
to szczęście, że nie jestem wdową w tej sukni
ani w tym małym kościele), a ty? powiedz, co z tobą,
w new yorku, chicago, w spazmach światła toronto,
co czujesz potrącany przez kobiety o wyświechtanych
tyłkach, w metrze, w burdelu, na autostradach
zapewne prosto do nieba, co czujesz obłączony przez
pochłapane kawą tapety, rano, w niedzielę, kiedy wszyscy
jadą do lasu i spośród kęp wilgotnych paproci
wyłuskują czerwone krople poziomek i są jak zwykle
odporni na światło, wieczór, brzęk monet, gorzko
umierać w ciemności, błogosławione; żarliwy greff
valentin, płaskie dna butelek, eutanazja dla chorych
na grypę, przestrzeń i czas. dzień blisko i światło,
światło

Roman Honet

ZAKONNICA



WIM CIESZYŃSKI / KULTURPOLSKI PARIŻ

Zanim film trafił na ekrany spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem prasy. Po projekcjach przedpremierowych w dziennikach i tygodnikach Warszawy i Krakowa ukazały się liczne recenzje:

"Ostatni cios zadany zdychującej hipokryzji katolickiej etyki seksualnej" - napisał katolicki publicysta laickiego dziennika;

"Po tym filmie nie można myśleć o Kościele tak, jak dotychczas; obraz ten sygnalizuje palącą potrzebę dostosowania nauki Kościoła do ducha naszych czasów" - stwierdził popularny teolog katolicki w innym dzienniku laickim.

"Film ten to namiętny krzyk o potrzebę wprowadzenia kapłaństwa kobiet. Chrystus nie był ani mężczyzną, ani kobietą. Nie wiadomo, czy był Bogiem, ale na pewno był człowiekiem" - oznajmiła znana pisarka feministyczna w dużym tygodniku katolickim.

Klub gejów "Bądź sobą - kochaj inaczej" zorganizował po seansie zbiórkę podpisów pod projektem ogólnokościelnego referendum w sprawie wolnej ekspresji seksualnej i teologicznej księży.

prawą przejął N.N.

UWOLNIĆ KSIĘDZA

Podzielam opinię Rafała Ziemkiewicza, który miał pretensję do Radia „Maryja” i kółek różańcowych o bezpłatną promocję filmu „Ksiądz” Antoniny Bird. Choć z drugiej strony i bez tej reklamy spragnione chłostania „czarnych” (lub może raczej zagładania im pod sutanny) zastępy czytelników „Nie” do kin by chyba pospieszyły. Skądinąd bez pełnej gwarancji wrażeń wyłącznie pozytywnych - w warszawskim kinie „Kultura” odwiedzanym przez kulturalną młodzież. Część bywalców (ci zwłaszcza, którzy przyszli z dziewczynami i kobietami), była wyraźnie speszona rozwlekłym i *seriousnym* celebrowaniem scen homoseksualnych. Ale na pewno z gwarancją jednego - przeświadczenia, że zapoznali się z ważkim manifestem na rzecz wolności, a przeciw przesądom.

Niemniej i ja jestem zadowolony przynajmniej z pewnych fragmentów tego dziełka. Pozwoliły mi one - może trochę przypadkiem - chwycić za rogi i nazwać pewne zjawiska we współczesnej kulturze dość ważne. Zazwyczaj najłatwiej je wyłuskać z dzieł średnich i płaskich, by nie mówić już o tzw. „agitkach”.

W „Księdzu” pewne wrażenie wywarła na mnie scena z punktu widzenia fabuły nie najważniejsza. Nie mija jeszcze pół godziny filmu, nie wszystko jeszcze jest jasne, role nie całkiem zostały rozdane, widz nie do końca wie, kto kim jest (przeklęty wymóg sztuki, tej nawet przez małe „s”). Młody i jeszcze konserwatywny ksiądz Greg dowiedział się właśnie, że jego proboszcz jest nie tylko lewackim społecznikiem, ale też, że żyje ze swą atrakcyjną gospodynią. Ze strony młodego idealisty następuje - dodajmy podczas kolacji - stosunkowo miękka próba okazania dezaprobaty zjawisku. Pointa scenki jest idealnym manifestem epoki. Oskarżyciel staje się oskarżonym - wystarczy siła spojrzeń potępianego, miny jego kobiety. Sprawca zająścia zmuszony jest - na wpół skruszony, na wpół oszołomiony - wysłuchać tyrady gospodyni, pełnej pretensji nie tylko do niego, ale i do świata całego (choć nie wiadomo za bardzo, czym świat naprawdę zawinił). Wynika z niej proste przesłanie: dla proboszcza szczęściem jest ta kobieta. Ale dla proboszcza (z różnych, skomplikowanych i częściowo tylko wyjaśnionych powodów) szczęściem jest również prowadzenie tej parafii, występowanie na muzycznych wieczorkach, akcje charytatywne, upolitycznione kazania. Żądanie, aby z czegoś zrezygnował, to nazbyt wiele.

Na dokładkę okazuje się, że młody ksiądz jest nadgorliwcem, zwykłym pętakiem wtykającym nos w nie swoje sprawy, a takich nie lubią współcześni twórcy i współcześni widzowie. Jeśli nawet Greg „jest w porządku”, to ma dużą szansę stania się owym pętakiem jeśli tylko nie przyswoi sobie nie zawsze wyartykułowanych, a przecież rozstrzygających argumentów proboszcza i jego kobiety. Koniec, kropka: nadgorliwość przykrócona. Życie może się toczyć własnym torem. Nie ma miejsca na zbędne pytania.

Jakie? Na przykład: czy istotnie proboszcz musi postępować w ten sposób? Przecież nie mamy do czynienia z człowiekiem, którego jakaś straszna siła (rodzina, państwo) zmusiła do przywdziania sutanny, złożenia ślubów etc. Prawda, że biskup pokazany przez panią Bird jest obmierzły i niesympatyczny. Ale kontrakt z nim, nawet jeśli tylko do tego sprowadzić służbę Kościołowi, wiąże e chutliwego proboszcza w następstwie jego własnej dobrowolnej decyzji. Podobnie jak statut stowarzyszenia hodowców kanarków jest wiążący dla tych, którzy chcą w nim działać.

Oczywiście później autorka filmu pomaga sobie łokciami. Ksiądz Greg okaże się słabym człowiekiem. Gorszym nawet od tego, którego próbował pouczać, bo jednak przejażdżki do homoseksualnych barów to coś bardziej podejrzanego niż stabilny, heteroseksualny związek z pracownią gospodynią. Morał jest prosty: nie wymagaj od innych, bo zostaniesz nakryty na własnym, skrajniejszym jeszcze zaniedbaniu, które zresztą - dzięki wyżej wymienionej uniwersalizacji - zaniedbaniem być właściwie przestaje.

Dla mnie jednak - powtarzam - najciekawszy był moment, gdy ksiądz Greg nie został jeszcze zeszmącony (a może wywyższony?). Gdy ugiął się pod ciężarem cudzych spojrzeń, niejako dla nich samych. Gdy z obrażonego w swych uczuciach, przekonaniach przeistoczył się w mgnięciu oka w obrażającego. Z budziela sumień - w kogoś, kto sam winien się wstydić. Kiedy sama „logika współczesności” (pojęcie wymyślone przeze mnie) wymusiła na nim konkluzję, że już nawet w tak shierarchizowanej i zdyscyplinowanej zbiorowości jak Kościół katolicki lepiej nie występować z jakimikolwiek ocenami.

Ta scena znalazła zresztą swą logiczną kontynuację pod koniec filmu. Oto ksiądz Greg już zgrzeszył, a grzech jego stał się powszechnie znany. Dla postępowego proboszcza to wielka gratka: może wypróbować ideę braterstwa nie tylko na swych mało rozgarniętych parafianach i na swej gospodyni. Zapada ważka decyzja: odprawimy razem demonstracyjną mszę świętą. Ciężko doświadczony (lub może, przyjąwszy odwrotną optykę, wybrany) ma wątpliwości - świadczą one zresztą o jakichś pierwocinach talentu pani Bird. Zarazem gdzieś z boku posyła obu kapłanom surowe, nieaprobujące spojrzenie starszawy kościelny. To spojrzenie jest ważne, bo może wątpliwości Grega umocnić, nawet jeśli pochodzą one z samej otchłani ciemnoty i bigoterii. Od czegoż jednak wiara proboszcza, co góry może przenosić? Wiara nie tyle w Boga (o tej wiemy niewiele), ale na pewno wiara w szczęście i w przyjemność. - Stało się coś?!! - wrzeszczy groźnie na kościelnego i pacyfikuje jeszcze jeden bunt w zarodku. To duch współczesności tak wrzeszczy, a nie swobodny księżuło. Zabrania się zabraniać! Nie ma wolności dla wrogów wolności!

Jeżeli pani Bird objawiała jakieś pozory obiektywizmu, bez wątpienia porzuca je w scenie ostatniej. Tym razem kilku parafian, inaczej niż niegdyś sam Greg i inaczej niż kościelny, nie chcą od razu skapitulować, opierają się tryumfalnemu (choć wśród melodramatycznych łez) powrotowi księdza-jaw-nogrzeszniaka. Zostają więc wygnani z kościoła pośród radosnych okrzyków innych parafian i hurra-rewolucyjnych mów proboszcza. Można by rzec: wygnano ze świątyni przekupniów, choć to w istocie scena całkiem na opak. Z samego centrum ortodoksji, czyli sprzed ołtarza wygnano bowiem za aproba-

tą stróżów ortodoksji - kapłanów - ostatnich tej ortodoksji obrońców.

Oczywiście i w tym przypadku Bird pomaga sobie łokciami. Pośród konserwatystów rozpoznajemy antypatycznego parafianina, który wcześniej wciąż patrzył na zegarek, a tak w ogóle to troszczy się tylko o forszę. Wiadomo, jedno musi iść w parze z drugim (w rzeczywistości współcześnie bywa raczej na odwrót, ale od czegoż prawa sztuki?). Z kolei ze zbuntowanymi księżmi zostają przede wszystkim ci, których zdążyliśmy już zidentyfikować jako sympatycznych. Choć skądinąd pani reżyser wykazuje klasę. Mogła przecież do grona obrońców tradycji wprowadzić ojca, który wykorzystywał seksualnie własną córkę i został pokonany przez księdza Grega w równoległym wątku filmu. Brak tej śmiałej decyzji pani Bird pozwala widzom do końca uwierzyć, że obejrzeli dzieło nieuproszczone, a więc wybitne. I wyjść z kina w nastroju podniosłym.

Można by rzec, że ta atmosfera przymusu wobec obrońców zasad, jakby trochę sprzeczna z wolnościowym duchem epoki, jest ważnym (pytanie, na ile mimowolne?) odkryciem i przesłaniem filmu „Ksiądz”. I można by też przyjąć następującą konkluzję: może i ludz i tych poddano swoistej opresji, ale nie łączyło się to z niczyją konkretną krzywdą. Zasady mają bowiem to do siebie, że są abstrakcyjne, a czasem wręcz uciążliwe dla jednostek lub całych grup. Więc... Ejże, czy rzeczywiście? W filmie pani Bird może tak i jest, bo tak go sobie skonstruowała pani reżyser. Ale gdzie indziej? Spróbujmy się posłużyć innym, filmowym przykładem.

„W kręgu przyjaciół” przemknął ostatnio przez polskie ekrany i został ciepło przyjęty przez publiczność, zwłaszcza młodą. Można by go potraktować jako swoisty kontrpunkt wobec „Księdza”, gdy chodzi o realia. Tu współczesna Anglia z zagubionym kościołem w kompletnie zlaicyzowanym społeczeństwie. Tam - Irlandia lat 50., ale z Kościołem potężnym, dyktującym zachowania tradycyjnym, bogobojnym obywatelom. Jest to pogodna historyjka o uczuciowych perypetiach trzech dziewcząt zmagających się z dylematami, które za świeckich bohaterów „Księdza” rozwiązały już chyba ich dziadkowie. Nie dość, że główne bohaterki nie idą od razu do łóżka ze swymi chłopcami (nie sprzyja temu nie tylko atmosfera nakazująca wracać do rodzinnego domu wraz ze zmrokiem, ale i wewnętrzne „blokady”, czyli moc katolickiego wychowania), to w świecie tym rodzice próbują decydować o innych rzeczach, np. o wyborze drogi życiowej, zawodu itp. Nawet młodzi Polacy, choć według postanki Labudy wciąż jesteśmy zaściankiem, patrzą na te perypetie jak na bajkę o żelaznym wilku.

Film opowiada o tym wszystkim dowcipnie i w zasadzie bez ideologicznych „przebiegów”. Choć i tu można znaleźć swoiste pomaganie sobie łokciami. Oto prowincjonalny ekspedient, narzucany jednej z bohaterek na męża, nie dość, że od początku jest antypatycznym brzydalem, musi się jeszcze okazać lubieżnikiem i złodziejem. Ale całość jest przede wszystkim zgrabnie zbudowaną, romansową, miejscami wręcz romantyczną historyjką. Gdzie więc dowód, który zapowiedziałem? Otóż w następstwie skomplikowanej intrygi jedna z dziewcząt (ta napastowana wcześniej przez ekspedienta-brzydala) traci ukochanego chłopca-przystojniaka. Odbija go jej oszukańczymi meto-

darni przyjaciółka. Nowi narzeczeni przychodzą na prywatkę do skrzywdzonej. Ta cierpi w milczeniu, ale nie ma odwagi reagować. W akcję włącza się trzecia z przyjaciółek. W pełnej emocji przemowie wyrzuca krzywdzicielce zdradę. Ba, grozi jej nawet nożem.

Czy karmiona wyłącznie filmami typu „Książd”, ta irlandzka dziewczyna uznałaby za stosowne „wetknąć nos w nie swoje sprawy” i ingerować w coś, co uznała za niesprawiedliwość? Czy wyedukowana na paru prostych maksymach lat 90.: „nie oceniamy bliźnich”, „to ich prywatne sprawy”, „nie ma dobra i zła”, okazałaby choćby skrzywieniem ust swą powściągliwą deza-probatę? A czy mogłaby sobie na to pozwolić ta, którą oszukano? Ależ i ona byłaby zmuszona odgrywać do końca rolę wzorowej gospodyni. Może jedynym jej pocieszeniem byłaby konkluzja: „jakie to wszystko nowoczesne!”. Czy byłoby jej od tego lżej? Trochę w to wątpię.

„Zaściankowym” zasadam, którym poddano bohaterki irlandzkiego filmu, poświęcono tysiące dzieł większego i mniejszego lotu. Bywały te zasady powodem różnorodnych opresji i zgryzot. Zarazem dla wiecznie buntujących się, młodych ludzi stanowiły czasem nie najgorszą szkołę wrażliwości. Dzi-siejsi hałaśliwi apostołowie wolności typu pani Bird przybywają do nas i do Irlandii jako wybaczy. Ciekawe, czy ktoś kiedyś poświęci choć jeden rozdzierający melodramat jakiejś milczącej ofierze paradoksów sytego, rozpychającego się łokciami permissywizmu. Tematów jest w bród. Czy artystom starczy odwagi, aby choć czasem wziąć się za bary również z wolnością?

Piotr Zaremba

„Ksi dz”, ret Antonia Bird, Wlk.Brytania 1995

ABSURDALNA WOJNA. ABSURDALNY POKÓJ?

1.

Wojna wzbudza w obywatelach Pierwszego Świata prawdziwy lęk. Choć wiele jest rzeczy, którymi się martwią i których się boją na codzień - utraty pracy, debetu w banku, zdrady kochanki - nigdy nie są one powodem prawdziwego niepokoju. Prawdziwy niepokój wzbudza to, co wytrąca z dotychczasowej równowagi, wyrывa z otoczenia, burzy fundament kultury. A wojna i jej perspektywa narusza fundament, a raczej anty-fundament społeczeństwa skomplikowanego, które wielbi chaos, nieokreśloność, które utrzymuje się w stanie permanentnego oszołomienia i czyni wszystko, aby być jak najdalej od rzeczywistości. Wojna burzy ten anty-fundament, niszczy wyspecjalizowane techniki oszołomienia, zmusza do wyboru. Ostre tak-nie, dobro-zło to są wybory, wobec których wojna stawia w sposób niezwykle dynamiczny, w maksymalnym napięciu. Uniemożliwia ucieczkę przed wyborem, zręczne uniki, odepchnięcie rzeczywistości. Choć na płaszczyźnie zachowań masowych wojna umożliwia ucieczkę od wyboru, to dla jednostki jest zawsze wyborem, nie zawsze prawdziwym, ale zawsze wolnym.

Rzeczywistość i związane z jej akceptacją zachowania są przez naszą kulturę nie do przyjęcia. To dlatego wojna wzbudza prawdziwy lęk, którego przyczyną nie jest wcale śmierć, zabijanie, wyzwolenie demonów itd. Przeciwnie twórczość Ouentina Tarantino, "ukazuje", że zabijanie może być przyjemne, bez troskie i co najważniejsze - estetyczne. Prawdziwym powodem niechęci do wojny jest strach przed rzeczywistością i jej wyborami.

Entuzjastyczne przyjęcie filmu "Underground" przez europejską krytykę nie może zatem dziwić. Po pierwsze - dlatego, że europejska publika odczuwa poczucie winy z powodu swej niemocy i obojętności wobec wojny w byłej Jugosławii. Nagrodzenie filmu Złotą Palmą w Cannes to jakby powiedzenie: "rozumiemy was, nie pozostajemy obojętni". Jednak ważniejszym powodem zachwytów nad tym obrazem jest swoista apologia współczesnego widzenia wojny, którą Emir Kusturica zawarł w swoim filmie.

2.

Kultura wykształciła specyficzne mechanizmy, które narzucają zachowaniom wojennym określony kanon, nadają pierwotnemu instynktowi ekspansji pewne ramy. Stosunek kultury do wojny jest bardzo specyficzny z powodu ambiwalencji wojny, która jest zarazem pierwotnym elementem zwierzęcym, jak też czysto ludzkim wynikiem grzechu i zła przyrodzonego człowiekowi. Jest zarazem czymś nie chcianym i nieuniknionym, czymś z czym nie chcemy, ale musimy mieć do czynienia.

Zanim zatem przyjrzymy się wizji wojny w społeczeństwie ponowoczesnym, której kunsztowną egzemplifikacją jest "Underground", spójrzmy jak ustosunkowywano się do wojny w przeszłości. Najlepiej uczynić to, charakteryzując typy wojennych bohaterów.

Pierwszego z nich napotykamy w "Iliadzie". Ten pierwszy spisany europejski epos jest eposem rycerskim. Wojownik Homera łączy w sobie pierwotny instynkt z etosem będącym wytworem zaawansowanej kultury. W świadomości wojownika ma miejsce nieustająca walka brutalności, dzikości i siły z honorem, litością, posłuszeństwem i samokontrolą. Wojownik walczy w wojnie, która nie jest wojną dobrych i złych. Jest starciem spowodowanym przez nie do końca zrozumiałe siły przeznaczenia, jest igraszką bogów, rodzajem loterii. Irracjonalne moce od początku kierują wojną i one decydują o życiu i śmierci. W tak rozumianej wojnie sens walki znajdujemy jedynie na poziomie jednostki, która musi sama odnaleźć sens swojego postępowania i konsekwentnie go realizować. Społeczeństwo nie dostarcza tu gotowych wzorów. Stawi jedynie jednostki, które odnalazły ten sens i dokonały wyboru, nawet jeśli motywacje ich postępowania są tak różne jak Achillesa i Hektora.

Wolny i świadomy wybór był jednym z najistotniejszych elementów greckiej kultury wojennej. Szal i furia w walce bez hamulców i reguł były surowo potępiane. Kiedy w bitwie pod Platejami, Lacedemończyk Aristodemus wpada w szal, odznacza się niezwyklej wyczynami i traci w czasie bitwy życie, Spartanie nie przyznają mu jednak honorowego pierwszeństwa, gdyż uległ instynktom.

Drugim bohaterem wojny jest rycerz. Etos dzikiego indoeuropejskiego wojownika, nie ograniczonego przez nic z wyjątkiem swej siły, startł się z chrześcijańskim ideałem monastycznym, który odnalazł sens życia w zupełnie nowej sferze włączając jednostkę w ład kosmiczny. Mnisi ostro potępiają wojnę, jednakże okiełznanie wojów z nordyckich sag nie jest wynikiem radykalnego pacyfizmu. Ruch "Pokoju Bożego" zainicjowany na przełomie IX i X wieku łagodzi pierwotne popędy, ale nie przynosi ostatecznych rozwiązań. Dopiero włączenie wojownika w plan metafizycznej walki dobra ze złem tworzy rycerza. Rycerz jest wojownikiem Boga, obrońcą dobra, walczącym z mocami szatana. Sens jego walce nadaje aktywne przeciwstawienie się złu, nie musi już sam szukać sensu, jednak jego indywidualne zmagania nie stają się przez to łatwiejsze: napięcie jest tu jeszcze większe, świadomość niszczycielskiej siły wojny jeszcze większa.

Trzecim bohaterem wojny jest nowożytny żołnierz. Podczas walki nie jest on jednostką jak wojownik, ani nie znajduje oparcia w rzeczywistości jak rycerz - jest masą i walczy za idee, czyli jest abstrakcją i walczy za abstrakcje. Nowoczesna wojna staje się polem dla starcia aludzkich ideologii, które podporządkowały sobie bezwzględnie i bez reszty człowieka. Kulturowy protest przeciw takiej wojnie pojawił po I wojnie światowej. Wtedy to wraz z prozą Celine'a i Haška zrodziło się współczesne rozumienie wojny.

3.

W filmie Emira Kusturicy jugosłowiańskich bohaterów wojny - Czarnego i Marko - poznajemy w serii demaskacji. Poznajemy bandytów i gangsterów. Wojna zastaje Marko w burdelu i jest okazją dla uzyskania nowych podniet, nawet jeżeli otoczenie odmawia współpracy. Czarnego pobudzić nieco trudniej, bombardowanie nie przeszkadza mu w posiłku i dopiero szok elektryczny odpowiednio podkręca go do działania. "Idę bronić ojczyzny", mówi, na co żona mu odpowiada: "do aktorki idziesz, do tej kurwy aktorki." Wojna nie przeszkadza im w interesach, dalej bezkarnie grabią rodaków.

Prawdziwą przemianę w żołnierzy przynosi naszym bohaterom utrata przez Czarnego kochanki, która spotyka się z niemieckim oficerem Franzem. Teraz Czarny i Marko obok rabunkowych napadów w dokonują brawurowych akcji przeciw Niemcom i "odbijają" Natalię. Walka komunistycznej partyzantki (Czarny i Marko) oraz armii faszystowskiej (Franz) jest w rzeczywistości walką o samice. Nie ma mowy nawet o bojownikach idei. Jest tylko szaleńcza, irracjonalna aktywność w rytm obłąkańczej melodii orkiestry dętej. Nie ma niczego, co stanowiłoby jakieś spoiwo ich walki, nawet przyjaźń "kumów" rozpada się, gdyż tak jak Czarny walczy o kochankę, tak Marko dąży do odebrania mu jej za wszelką cenę.

Tym samym idea nowożytnego żołnierza, bojownika idei zostaje (i słusznie) zabsurdalizowana. Jednakże Kusturica błędnie rozciąga nowoczesny model wojny na wojnę w ogóle. Bajkowy początek i zakończenie nadają jego wizji charakter uniwersalny, choć tak naprawdę dotyczy ona określonego, specyficznego typu wojny jako walki idei, nie przystających do rzeczywistości abstrakcji.

Tytułowy "Underground" podziemna kraina wojny permenetnej, to właśnie teatr wojny nie-ludzkiej abstrakcji. Ludzie tacy jak Marko zamykają tam swoich braci dla własnych irracjonalnych korzyści. Wojna podtrzymywana jest jedynie w ludzkiej świadomości oglupionych mieszkańców podziemia, którzy nie chcą i nie mogą się stamtąd wydostać. Ich zderzenie z prawdziwym światem kończy się eskalacją absurdu i przemocy.

5.

Kusturica nie pozostawia żołnierzom nawet odrobiny ludzkiej godności. Ich zachowanie na wojnie nie może być racjonalne, pozbawione chaosu, kontrolujące instynkty. Cokolwiek robisz na wojnie, to i tak jest bezsensowne, zdaje się mówić twórca "Undergroundu". Przyznaje tym samym wojnie absolutną moc niszczącą. Dlatego bezradna bieżączka żołnierzy ONZ oraz ich idiotyczne wypowiedzi nie są oskarżeniem Zachodu, gdyż każde bez wyjątku działanie na wojnie jest przeciw idiotyzmem.

Tak zwany cywilom "Underground" też nie pozostawia cienia nadziei. Są oni masą, nie rozumiejącą wojny, której łatwo narzucić wojenną psychozę. Są zarazem podporą wojny - produkują broń, śpiewają pieśni wojenne, pielęgnują wojenną psychozę. Podobnie jak żołnierze nie mogą podjąć wyboru, są skazani na błazenadę i całkowicie nieświadomi swojego położenia.

Aktorka Natalia, bezmyślna kokietka, współwinna zbrodni, bezwolny obiekt rywalizacji, podobnie jak wszyscy ulega sile. Co ciekawe, jest to bodajże jedyna postać o uniwersalnych rysach: posiada wiele cech Bryzejdy, branki będącej częścią łupu.

Jedyny cywil, który ociera się o zrozumienie wojny, to głupkowaty brat Marka, dozorca zoo. Jest znamienne, że współczesne kino przyznaje idiotcie szczególną władzę rozumienia świata: skoro dla nas świat jest absurdalny, to może tylko idiota jest w stanie odnaleźć wzór rzeczywistości - zdają się mówić postmoderniści. Ów dozorca widzi okropieństwo wojny, ale nie przez pryzmat ludzki. Opłakuje on śmierć zwierząt z zoo, a wyrazem jego walki ze złem jest opieka nad szympansem. Nie pogodzony z wojną tuła się po podziemiach, w których zamknął go własny brat. Wydaje się, że jako jedyny z bohaterów "Undergroundu" oparł się wojnie. Ale wojna nie pozwala mu się wymknąć. Nie pozwala na samobójstwo, przynosi wyrafinowaną pułapkę zrozumienia wojennego absurdu: są lata 90., Niemcy przegrali, a świętują. Jugosławia, za którą walczył, nie istnieje. Zrozumienie nie prowadzi do oczyszczenia, wręcz przeciwnie: wciąga w wir wojny. Dozorca zabija swojego brata, a sam wiesz się.

6.

Wydaje mi się, że pełen obraz wojny powinien zawierać następujące elementy: uniwersalne dla każdej kultury ukazanie zła wojny, wytłumaczenie (lub próba wytłumaczenia) obecności tego zła, co możliwe jest tylko przez odwołanie się do podstaw danej kultury, gdyż kulturowy fundament rozumienia świata jest zarazem fundamentem rozumienia wojny, oraz na końcu określenie postawy człowieka wobec wojny.

"Underground" wszystkie te elementy zawiera. "Okropności wojny", choć lekko musinięte estetyką a la "Pulp fiction", nie odbiegają od uniwersalnego wzorca, ale ich tłumaczenie jest już odmienne. Jak wspomniałem na początku, tłumaczenie to wychodzi od chaotycznego relatywizmu, który w istocie stawia znak równości między różnymi wartościami, poszukując rozwiązań najbardziej funkcjonalnych. Wojna stanowi jednak istotne zakłócenie tego schematu. Zmusza bowiem do konfrontacji z rzeczywistością oraz do wyboru, który nie jest funkcjonalny.

Kusturica usiłuje dowieść, że taka konfrontacja nie ma miejsca i ukoić zaniepokojonych postmodernistów. Wojna jest według niego jeszcze bardziej chaotyczna niż świat: na wojnie może zdarzyć się wszystko, byleby tylko było bezsensowne, o żadnym wyborze nie ma mowy. Wojna jest absurdalna i zło jest absurdalne, ale jeżeli nie ma możliwości wyboru, to złu przyznaje się nieograniczoną moc, bo żadne przeciwstawienie mu się nie jest możliwe: można się tylko powiesić lub utopić. Dlatego bohaterowie "Undergroundu" uzyskują, niezależnie od postawy, rozgrzeszenie, a po śmierci przepustkę do dziwnego raju. Jedynym warunkiem jej otrzymania jest zrozumienie absurdu wojny. Nie ma u Kusturicy miejsca na konfrontację dobra ze złem, na przeciwstawienie się, na zwycięstwo nad wojną. W "Undergroundzie" nie ma miejsca dla samotów broniących Częstochowy, dla powstańców warszawskich ani nawet dla o. Kolbe czy Korczaka.

7.

Jest to konsekwentne rozwinięcie nowożytnego modelu wojny, ale nie można go przyjmować jako modelu uniwersalnego. Oznaczałoby to bezradną akceptację zła. Byłaby to zarazem rezygnacja z kultury, której jedną z najistotniejszych funkcji jest zmaganie ze złem. Dlatego możemy z kulturowego punktu widzenia ująć historię wojen jako dzieje zmagania kultury z pierwotnym instynktem wojny, próbę nadania mu odpowiedniego kształtu, skanalizowania i przetworzenia strumienia dzikości.

Utopijny pacyfizm współczesnego społeczeństwa, który korzeniami tkwi w mieszczańskim ideale pokoju za wszelką cenę oraz w kontrkulturowej fantasmagorii, stanowi w istocie rezygnację z walki ze złem wojny i czyni nas zupełnie bezradnymi wobec wojny. Ta bezradność znalazła swój wyraz, kiedy Francuzi w 1939 roku nie chcieli umierać za Gdańsk czy też kiedy szwedzkie oddziały ONZ dokonywały rzezi w Zairze.

Nikodem Bo cza-Tomaszewski

"Undergound", rei. Emir Kusturica, Francja-Serbia 1995

KAWAŁKI MÓZGU NA TAPICERCE, CZYLI KINO CYNIZMU

1. Sztuka a zawsze od wieków przedstawiała zarówno piękne i dobre, jak też okrutne i szkaradne oblicze rzeczywistości. Obok miłości pojawiało się cierpienie, czern obok bieli. Obok posągów Ateny czy Afrodyty możemy dziś oglądać wizerunki Harpii; a z frontonów gotyckich katedr, obok dwunastu panien roztropanych, spogląda ku nam dwanaście panien głupich.

U podstaw udręk, czy to duchowych czy cielesnych, legły dwie zasadnicze przyczyny: po pierwsze - chęć całościowego ukazania rzeczywistości (bez bólu i cierpienia, ale też i bez ekstazy nie ma ani człowieka ani świata - mówili poeci barokowi wyśmiewając renesansową ułudę harmonii), po drugie zaś - pragnienie wzmocnienia pochwały cnoty (dwanaście wspomnianych wyżej gotyckich głuptasek podnosiło niewątpliwie prestiż pozostałych, cnotliwych niewiast). Kanon "dwóch celów" w literaturze złamały dopiero "Pieśni Maidorora" Lautreamonta, znacznie wzbogacające dzieło markiza de Sade, a ukazujące zło dla samej przyjemności obcowania z nim, tudzież jedynie *pour pater*.

2. Powyższe zasady obowiązują oczywiście również kino. W tym przypadku jednak znacznie krócej musieliśmy czekać na ów pierwszy krok w kierunku odrażliwienia, a był nim bez wątpienia "Pies andaluzyjski" Buuela, szczególnie zaś scena przecinania skalpelem gałki ocznej czy też słynny atak mrówek. Element okrucieństwa był w tym filmie wyjątkowo widoczny, chociaż był on obecny w całej twórczości Buuela. Zarówno bowiem w "Piękności dnia", jak i "Viridianie" element "niemoralności poza dwoma celami" został zachowany, choć był - trzeba to przyznać - znacznie bardziej zakamufLOWANY dzięki zachowaniu fabuły i linearności opowieści. Przez określoną symbolikę (w przypadku pierwszego filmu) czy skomplikowane sytuacje psychologiczne (w przypadku drugiego) ich odbiór był zbyt ograniczony do wąskiego grona odbiorców, aby stać się szkodliwym.

Obecnie wchodzimy w fazę umasowania kina okrucieństwa i - nie czujemy się - kina nienawiści. To nowe zjawisko zaprzecza tezie ideologów postmodernizmu, że "wszystko już było". Otóż nie, nie wszystko, jeszcze kilka rzeczy można zrobić, a co najważniejsze - sprzedać!

3. W ostatnim numerze "Frondy" Michał Kietlicz pisał o "Urodzonych mordercach" Ollivera Stone'a. W tekście tym zabrakło niestety myśli nad sprawą, zdaje się, najważniejszą, a mianowicie - dlaczego w ogóle "Urodzeni mordercy" powstał? Czy "ku przestrodze" przed okrutnymi jednostkami lub zdegenerowanymi społeczeństwami, w których takie jednostki się pojawiają? Czy jest to ostrzeżenie przed generującą okrucieństwo kulturą audiowizualną? A może to nie ostrzeżenie, lecz promocja tejże kultury, którą możemy nazwać śmiało kulturą śmierci?

Jedno jest pewne: Stone próbuje filmem tym coś przemycić do naszej wyobraźni, bez naszej wiedzy i przyzwolenia (super szybki, videoclipowy montaż!). Stone bawi się (z) widzem i (z) krytyką, mówiąc: "Patrzcie, przecież nie chwalebę okrucieństwa, ja je tylko pokazuję!" Sposób w jaki to robi oraz skala całego przesiewięzienia powodują, że, Stone *volens volens* swoim filmem firmuje i uprawomocnia pewne zachowania i mody.

4. Bardzo podobny jest "Pulp fiction" Quentin Tarantino. Ten ostatni nawet nie sili się, tak jak Stone, na umoralnianie swojej opowieści. Po prostu pokazuje. We "Wściekłych psach", swoim ekranowym debiucie, scenie obcinania ucha towarzyszył jeszcze dreszcz emocji na widowni i skowyt ofiary. W "Pulp fiction" roztrzaskiwaniu kolejnych facetów - już tylko śmiech, zarówno głównych bohaterów, jak i widowni. (Jam nie bez winy - śmiałem się również, ale cóż miałem czynić, skoro scenki tak ucieszenie skonstruowane?) Prawdziwa kulminacja następuje w momencie, gdy dwóch kumpli strzela trzeciemu - przez przypadek - w sam środek czaszki. Nic się nie stało oczywiście, tylko, o kurcze!, cała tapicerka we krwi, a do tego te części mózgu na tylnym siedzeniu - jakie to nieestetyczne i kto to będzie zbierać?

Ta moda na ośmieszenie cierpienia ma wymiar szerszy i obejmuje również inne dziedziny współczesnej kultury. Maciej Urbanowski w "Arcana" nieprzypadkowo porównał młodych polskich prozaików do starożytnych cyników, którzy: "(...) *sens swego życia widzieli w umyślnym obrażeniu opinii publicznej, w nieustannym drwieniu z jej ideałów i przesądów. Skrajni materialicy, cynicy cenili życie wedle praw natury. Potępiali wszelkie tradycyjne instytucje uważając je za sztuczne, nienaturalne, kłamliwe. W kulturze, społecznie akceptowanych wartościach dostrzegali zwykły szwindel. Cynicy kpili z tych mieszczańskich złudzeń, widzieli w nich maskę, gwałt. Oni byli mdrzejsi, wiedzieli już, że człowiek nie w gruncie rzeczy zwierzę, a ideały to pożyteczne kłamstwa, które pomagają naszymi okładkami. Kto tego nie wie, mówili cynicy, jest mieszcznym, zasługującym na pogardliwym głupcem.*" Bohaterowie Tarantino to również zwierzęta, co prawda dzikie, ale jednocześnie - śmieszne. Jak w cyrku, tyle tylko, że tam tygrys na trampolinie nie staje się niczym wzorcem.

5. Kinem o cynizmie to nie tylko okrucieństwo, ale również ostateczna nieobyczajność. W "Kicie" Pedro Almodovara każdy śpi z każdym, co nie wywołuje u żadnego z bohaterów większych stresów czy wyrzutów sumienia. To przecież takie *słodkie*, a poza tym ten hiszpański temperament... A więc tytułowa Kika kocha swojego... no właśnie? męża? kochanka? przyjaciela?, powiedzmy: Narzeczonego, co nie przeszkadza jej spać z jego ojczymem. Narzeczony tymczasem nie dosyć, że sypia z najbliższą przyjaciółką Kiki (specjalność: duże dekolty), to jeszcze notorycznie ją podgląda, np. podczas gwałtu (i znowu śmieszna scena: Kika opowiada: "Kiedy się obudziłam, był już w środku.". Narzeczony: "W kuchni?". Kika: "Nie, we mnie!"). Czy trzeba dodawać, że również ojczym ma, oprócz Kiki i jej przyjaciółki, wiele przygód na boku. "Przygody" te zresztą namiętnie morduje. Dlaczego? Za bardzo nie wiadomo. Być może jest powodowany bakcyłem śmierci, który kierował bo-

haterami wcześniejszego filmu Almodovara pt. "Matador". Dla Almodovara, jak na Hiszpana przystało, każdy kontakt z drugim człowiekiem, w tym głównie kontakt cielesny, jest równy spotkaniu byka. Musisz niszczyć, zabijać i mordować, aby samemu nie zostać pokonanym; musisz ranić czyjeś uczucia (chociażby przez zdradę), aby uprzedzić atak partnera. Zawsze to lepiej zadawać cierpienie niż samemu go doznawać.

Tak też chyba - podświadomie - uważa Kika, dlatego gdy po serii perturbacji, kiedy jej Narzeczony ledwo uchodzi z życiem, a ona przylega do niego całym ciałem, a my czekamy na happy end - natychmiast pojawia się "ten trzeci" i... cały kabaret kręci się od nowa. W "Kice", podobnie jak w innych filmach Almodovara, wszechobecny jest jakiś *horror vacui*, strach przed pustką, za którą uważa się normalność. Dlatego preferencje mają dewiacje, zachowania dziwne, szalone, postaci zagmatwane etc. To wzbogaca rzeczywistość, chce nam chyba powiedzieć reżyser, nie wspominając nic o konsekwencjach takich udziwień w realnym życiu. Nagromadzenie takich person powoduje, że dewiacja i norma zamieniają się miejscami.

6. To , co różni powyższe filmy od obrazów Bruela, to ich powszechność, łatwość percepcji, a jednocześnie dalekie usytuowanie od jakiegokolwiek kiczu, niesłychana sprawność warsztatowa, perfekcyjnie opracowane scenariusze i dialogi, znakomite aktorstwo (np. Johna Travolta u Tarantino czy Victorii Abril u Almodovara), niepodważalne walory artystyczne (zdjęcia w "Matadorze"). Filmy te są po prostu atrakcyjne, a przez to niesłychanie niebezpieczne. Walka między "Pulp fiction" a "Czerwonym" Kieślowskiego o statuetkę Oscara wydaje się być najlepszym znakiem czasu. Kino humanizmu przeciw kinu antyhumanizmu. Głosy oburzenia krytyków filmowych (głównie polskich zresztą) na nic się tutaj nie zdadzą - kino humanistyczne, jeśli chce wygrać, musi być atrakcyjniejsze. Zwycięstwo Tarantino stwarza jednak niebezpieczny precedens. Gdy nagradzano Bunuela, Felliniego czy Bergmana, popierała ich część krytyki, reszta była oburzona, że nagradza się tak "niemoralne" filmy (dzisiaj one oczywiście już nikogo nie szokują i chyba słusznie). Po Oskarze dla "Pulp fiction" pianie z zachwytem dobiega z wsząd i nie słychać żadnego głosu, który mówiłby: "To dobra komercja, ale gdy będzie takich filmów więcej - staną się dla obecnych 14-latków kanonem, a wtedy kanonem stanie się też przedstawiana przez nie rzeczywistość". A jest to rzeczywistość - jak zdaje się mówić Tarantino - jeszcze okrutniejsza niż widzimy to na zewnątrz. W pewnym momencie wysłał on swoich bohaterów do przypadkowego lombardu. W jego podziemiach, w oparach sadomasochistycznych wyuzdań w odpowiednim instrumentarium dla zboczeńców, dowiadują się, że ich świat - świat mafii, opłacanych meczów bokserskich, narkotyków i broni - nie jest wcale taki najgorszy.

7. Wszystkie te filmy łączy to, iż poruszają się na skraju lub mówią o rzeczywistości medialnej. To właśnie telewizja tworzy legendę Mike'a i Mallo-ry, pojawienie się ich listów gończych na pierwszym miejscu w wiadomościach TV zamiast wywołać w nich lęk - zachęca ich do "wydajniejszego"

działania. Prawie wszystkie wydarzenia przedstawione w "Kice" • łącznie ze sceną gwałtu - są bezpośrednio relacjonowane w specjalnym programie TV poświęconym okrucieństwu. Prowadząca go "Kobieta z blizną", podobnie jak dziennikarz z "Urodzonych morderców", zrobi wszystko, by mieć jak najlepszy materiał. Gdy na przykład jeden z bohaterów, zresztą jej przyjaciel, jest w stanie agonii, ona - z mikrofonem w rękę i specjalną kamerą na głowie - błaga go, żeby szybko coś jej przed śmiercią jeszcze opowiedział. "Kobieta z blizną" zresztą nie tylko wiernie oddaje wydarzenia, ale tak je kreuje, aby pasowały do jej programu i ramówki. W "Pulp fiction", dzięki wielowątkowości opowiadania i porzuceniu chronologii, często spotykamy bohaterów, których autor wcześniej na naszych oczach uśmiercił. Zabieg ten trywializuje proces umierania, a same media stawia w randze świętości, która ma moc niemal cudotwórczą.

"Jesteśmy tacy, jakimi widzą nas w telewizji", mówi Lydia, młoda bohaterka filmu "Za wszelką cenę" Gusa Van Santa. "Powinniśmy robić dobre rzeczy tylko wtedy, gdy jest to filmowane, inaczej nie ma to sensu" - powtarza to, co jej wpoila ambitna dziennikarka, Suzanne. Dlaczego miałyby jej nie wierzyć? Przecież człowiek, bez względu na to, co robi, jest dobry, a dzięki masowości o naszym pięknie i dobroci dowiedzą się też inni. Być może nasz wysiłek, dostrzeżony przez jedną osobę, lub w ogóle nie zauważony, jest mniej wart, niż ten, o którym wie na przykład milion ludzi? Uczynek traci swą wartość moralną, a zyskuje wartość rynkową. Nie liczy się już CO?, ale KIEDY? GDZIE? i DLA JAKIEJ PUBLICZNOŚCI? Suzanne przypomina tu pewną hrabinę z "Lalki", która podczas zbiórki charytatywnej ostentacyjnie rzuca na tacę kilka rubli, taszcząc jednocześnie na piersiach kulię za kilkadziesiąt tysięcy. Różnica między XIX wiekiem a naszym polega na tym, że Prus wyśmiał hrabinę, podczas gdy opinie Suzanne są natomiast przyjmowane jako oczywistości.

Być może z tego samego założenia co Lydia wychodzą Stone, Tarantino i Almodovar - epatują złem, gdy mają tylko ku temu środki i publiczność, na co dzień zaś są niewinnymi owieczkami, łaknącymi spokoju i wierności. Tylko dlaczego nie kręcą o tym filmów?

Marcin Pieszczyk

"Urodzeni mordercy", re . OImer Stone, USA 1994

"Pulp fiction", re . Ouentin Tarantino, USA 1994

"Kika", re . Pedro Almodovar, Hiszpania 1995

"To die for", re . Gus van Sant, USA 1995

BOHATER NIE NASZYCH CZASÓW

Rzecz dzieje się w XIII wieku. Szkocja okupowana jest przez okrutnych Anglików, a miejscowi górale stają się coraz bardziej nerwowi. Piękne krajobrazy, sentymentalna muzyka i miłość między mężczyzną a kobietą. Wszystko zostaje brutalnie przerwane gwałtownym uśmierceniem tej ostatniej. Wyrok - przez poderżnięcie gardła - wykonuje sam dowódca angielskiego garnizonu. Zrozpaczony góral, wspomagany przez miejscową ludność, wybija garnizon w pień, a dowódcę bierze do niewoli. Ku osłupieniu widzów, nie pojedykuje się z nim jednak, nie ośmiesza go, nie przywiązuje do konia i nie puszcza wolno, aby ten czuł się upokorzony. Tak postąpiłaby większość bohaterów filmów traktujących o średniowieczu, a na pewno Robin Hood. Nasz bohater stawia dowódcę pod palem, o który opierała się umierając jego ledwie poślubiona oblubienica, i podrzyna mu gardło.

Największą zaletą filmu „Braveheart” jest wielka dbałość o autentyzm. Reżyser podjął się rzeczy bardzo trudnej. Przedstawił bowiem ludzi epoki średniowiecza w ich wielkości i małości, z ich okrucieństwem i z ich szlachetnością. Cechy te najpełniej ogniskują się w głównej postaci filmu, którą jest bohater szkockich legend, William Wallace. Jest wzniosły, ale i zdolny do wielkiej miłości i przyjaźni, w wielu wypadkach jest wyrozumiały i miłosierny, lecz kiedy walczy, staje się bezwzględny. I nie jest to spowodowane rozdwojeniem jaźni, ale stosowne zachowanie wymusza po prostu konkretna sytuacja. Jak ma się zachować człowiek podczas bitwy, jeżeli już zdecydował się wziąć w niej udział, jak ma się zachować wśród ludzi twardych, gotowych na wszystko, gardzących śmiercią i bólem? „Filmy z lat 50. i 60. nie pokazywały bitew od strony ich uczestników, niejako od środka. Widz oglądał je jak mecz squasha czy tenisa. Mnie zależało na tym, by przedstawić to, co się naprawdę rozgrywa między walczącymi. Chciałem umieścić widza w środku walki, aby mógł się stać świadkiem brutalności i dzikości jaka się wywala w ludziach w trakcie takiej bitwy” - tłumaczył krwawy realizm batalistycznych scen Mel Gibson, reżyser i odtwórca głównej roli.

Co ciekawe, sami Anglicy nie uważali Williama Wallace'a za okrutnika. Jeżeli któryś z rycerzy spotkał się z potępieniem ze strony swoich towarzyszy czy wrogów, to on a pewno przyczyną tego nie był a bezwzględność lub determinacja, lecz raczej zdrada, tchórzostwo czy podłość. Takie były czasy. Wallace to bohater tamtych własnych czasów, walczący o wolność i sprawiedliwość, o wartości swojej kultury. Walczący w sposób bezwzględny i z pełnym poświęceniem. Wrażliwy kochanek, a zarazem okrutny wojownik.

W wielu filmach sensacyjnych równie żwawo występują wojownicy i kochankowie, ale często są to postaci zupełnie nieautentyczne: ich miłość wzbudza śmiech, a bezsensowne okrucieństwo odrazę. „Zależało mi, żeby Wallace miał... wymiar szekspirowski, ale nie dlatego, że jest to postać ze starych kronik, lecz z powodu dylematów, jakie są jego udziałem. Nie jestem

jednak pewny, czy udało mi się dostatecznie wydobyc szekspirowską głębię tej postaci" - mówi Gibson. Rzeczywiście, bohater filmu mało przypomina Hamleta. Natomiast na pewno jest w nim to, co zastawia i fascynuje współczesnego człowieka - charakterystyczny dla wieków średnich kontrast pomiędzy chrześcijańską szlachetnością a barbarzyństwem. Można się na to obrażać, ale tym właśnie było średniowiecze - zaszczerpieniem wartości chrześcijańskich na grunt barbarzyńskich ludów. Dzięki hordy, których religią była wojownicza witalność i pseudomistyczne okrucieństwo, przyjęły religię głoszącą miłość do nieprzyjaciół. Chrześcijaństwo ciężko znosiło tę symbiozę. Barbarzyństwo jednak oprócz zniszczenia niosło też ze sobą świeżą dynamikę i ekspresję, jakąś pierwotną duchowość, otwartą i zdolną do asymilacji. Symbioza wielkich wartości chrześcijańskich i dzikiego szaleństwa jest czymś zdegenerowanym, gdy usprawiedliwia okrucieństwo i rozlew krwi, zarazem ma jednak w sobie coś głęboko prawdziwego, gdy jej wyrazem jest pierwotna i prosta bezkompromisowość, uzdalniająca człowieka do świętego heroizmu.

Wallace walcząc o wolność zabija. Na ile taka postawa może być zintegrowana z chrześcijaństwem? Gibson nie miał zamiaru odpowiadać na to pytanie. Przekazał tylko o średniowieczną legendę o kimś, kto będąc bezwzględny barbarzyńcą umierał jak święty.

Michał Gromki

"Braveheart", reż. Mel Gibson, USA 1995

ks. JAN SOCHO

TY

Szukam Cię, choć nie chowasz się
za pagórkiem ani za plecami.

Szukam Cię, choć utworzyłeś
z moich rąk miejsce przemiany
i zwycięstwa.

Każdego dnia przechadzasz się
w ogniu mojej pychy,
niedowiarstwa mego.

Zginasz mój kark -
na wietrze szerniały garnek,
a ptaki ścielą skrzydła,
bym nie poranił stóp

wżyciu.

POWIEKA

Zobacz, zobacz radość na twarzy
świata. Zobacz miasta, rzeki,
jeziora pełne krajobrazów.

Zobacz radość stworzeń,
które nie marnują miłości.

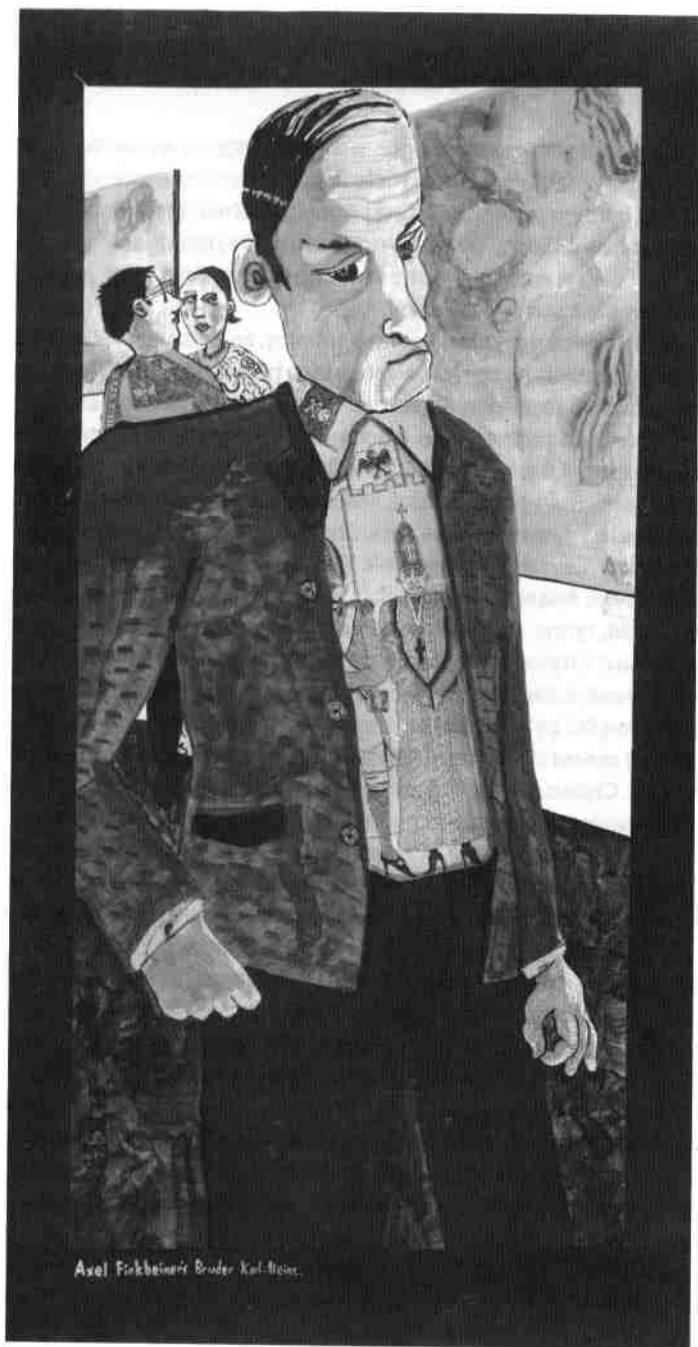
Zobacz,
serdeczna powieko!

WIELKI POST

Ukląkłem: na chwilę
zatrzymało się życie -
we mnie
obłok,
ogień:

żydowski całun
pustyni.

ks. Jan Socho



MONTY BEZ GRZECHU

Monty Cantsin na swój występ wybrał wewnątrz wygasłego krateru w Transylwanii. Wpadła mu w oko mała średniowieczna kapliczka, położona niemal nad samym jeziorem Świętej Anny wypełniającym dno krateru. Całość porastał las jodłowy, o d czasu do czasu pokrzykiwały sójki, których mieszkali tutaj całe watahy, powietrze mocno pachniało siarką, jej gazy stałe wydobywały się z otworów w ziemi.

- Inspirujące miejsce. Jestem spokojny, że teraz wszystko się powiedzie - poinformował znajomych. Następnego dnia miał performance ; nikt nie wiedział co Monty zaproponuje, wszystko zwykle wymyślał w ostatniej chwili.

Widowisko zaczęło się o jedenastej rano; grupa Rumunów, Węgrów oraz kilkunastu gości z Europy Zachodniej i Kanady utworzyła na polance przed kapliczką krąg publiczności. Wreszcie z lasu wyłonił się Monty. Był po rockmeńsku rozebrany do pasa, na krótko przystrzyżoną czaszkę nałożył sobie plastikowy wieszak do marynarek. Wcześniej ktoś rozrzucił na trawie kupę najróżniejszego żelastwa: zardzewiały szkielet sprężystego łózka, jakieś metalowe beczki, rynny, śruby, sierpy. Performer zaczął wykonywać na zardzewiałym łózku ruchy kopulacyjne. Skrzywienie sprężyn narastało, Monty coraz silniej pracował pośladkami, typiąc wokół szklanym wzrokiem. Ściekał po nim pot, ruchy mięśni były regularne, transowe. Trwało to może 10-15 minut, po czym Monty zerwał się, schwycił dwie koszule - czarną i czerwoną - i podbiegł do kapliczki. Ciężko dysząc rozpoczął okładanie koszulami ścian kaplicy. Była to tylko gra wstępna, wyraźnie podniecony zawiązał sobie garderobą oczy i przystąpił do kopulacji z murmi kościoła. W absolutnej ciszy krateru rozlegały się metaliczne odgłosy guzików rozporka uderzającego o średniowieczny kamień. Monty wyczuł ducha tego performance, różne luźne elementy występu zaczęły układać się same, jakby coś nim prowadziło. Był w transie, przebrał kopulację i podbiegł na środek polanki do blaszanej beczki. Oblane benzyną żelastwo stanęło w płomieniach. Po ogniu przyszło kolejne wzmocnienie - krew. Pielęgniarka podłączyła do obu rąk Monty'ego igły z probówkami. Szybko wypełniły się ciemną, spienioną krwią. Już chciała odejść, gdy Monty poprosił o pobranie kolejnej dawki krwi. Znow wbiła mu w ręce dwie strzykawkę. Zdenerwowanie kobiety sprawiło, że igła uszkodziła żyłę i nie można było zatamować krwotoku. Monty trzymał w jednej dłoni cztery próbki pełne czerwonej cieczy, druga ręka swobodnie ociekała krwią. Oddalił pielęgnarkę i wzrokiem pociągnął po zebranych. Oddychał ciężko, czuło się, że performance osiągnął największe natężenie. Powoli, kropla za kroplą, zaczął wylewać krew do ognia. Rozgrzana blacha zasyczała, unióś się dym. Palił krew długo, bez

pośpiechu, publiczność patrzyła się na tą scenę milcząc, jak zaczarowana. Nagle ożywił się, oderwał od swego misterium i podskoczył do kapliczki. Ostatnią próbkę rozbił o mur kościoła, krew utworzyła czerwoną plamę w tym samym miejscu, gdzie niedawno kopolował w transie. Był już zmęczony i zniecierpliwiony, oddychał szeroko otwartymi ustami, wrócił do płonącej beczki, rozbił ją młotem, rozrzucając wszystkie płonące sprzęty po polanie.

Znowu przewiązał sobie oczy czerwienią i czernią, po omacku, niemal na klęczkach wyczołgał się do lasu. Ludzie jeszcze przez parę minut stali w milczeniu bez ruchu, potem ruszyli nad jezioro wykąpać się.

Monty Cantsin jest Kanadyjczykiem, w rzeczywistości nazywa się Istvan Kantor i jest współzałożycielem jednego z najważniejszych ruchów awangardowych ostatniego półwiecza - neoizmu. Słowo „neoizm” zapożyczono z tekstów głośnego maga Alistera Crowleya. Zmnożona postać Monty Cantsina, w którego wcielało się wielu neoistów, była nawiązaniem do średniowiecznej herezji Bractwa Wolnego Ducha, a wymyślone imię mówiło dokładnie to, co znaczy - Monty Cantsin - Monty Bez Grzechu. Historycznie herezja ta gromadziła zwolenników poglądu o wszechobecności Bożej, w wyniku której każdy jest Bogiem i każdy jest w Bogu, a ponieważ Bóg nie może grzeszyć, więc grzech nie istnieje. Piekło to nic innego, jak powstrzymywanie się od realizacji naszych pragnień, natomiast bluźnierstwo, pijaństwo i cudzołóstwo są aktami świętymi.

Jeden z neoistów, Stewart Home w książce „Gwałt na kulturze” pisze: „Średniowieczne ruchy utopijne, które postrzegano jako przede wszystkim religijne, w naszym stuleciu nabierają charakteru artystycznego. Tradycja utopijna zmierzała zawsze do integracji wszystkich ludzkich działań. Średniowieczni heretycy poszukiwali sposobu uchylenia roli Kościoła i zrealizowania nieba na ziemi, ich XX-wieczni następcy poszukują sposobów zlikwidowania podziałów społecznych przez konfrontację polityki i kultury”. I dalej: „Łatwo jest dostrzec ciąg tradycji, która zaczyna się z Wolnymi Duchami i biegnie przez pisma Winstanleya, Coppe’a, Fouriera, Lautreamonta, Williama Morrisa, Alfreda Jarry, aż po futurizm i dadaizm, a stamtąd przez surrealizm przenika do letryzmu, różnych odłamów sytuacjonizmu, Fluxusu, mail artu, punk rocka, neoizmu i współczesnych odmian anarchizmu”.

Nawiązywanie do herezji średniowiecznych nie jest specyfiką tylko neoizmu. Najprężniejsza formacja awangardowa lat powojennych Europy Zachodniej - sytuacjoniści - najbardziej zafascynowana była (poza marksizmem-leninizmem) okultyistycznymi, mistycznymi i tajemnymi stowarzyszeniami. James Webb pisał o sytuacjonistach w „Occult Establishment”: „W trakcie transformacji prowadzących od surrealizmu do sytuacjonizmu nie ulegało zmianie przeświadczenie o konieczności rozbicia świata pozorów, co zgadzało się w pełni z tradycyjnymi koncepcjami okultyistycznymi. Andre Bre-

ton cytuje chętnie ezoteryka Rene Guenona, a jeden z sytuacjonistów Raoul Vaneigem tytułuje swój manifest tak samo, jak nazywała się książka Guenona". Wydawcy pisma sytuacjonistycznego „Here and Now” zamieścili na okładce numeru 7/8 wielki ul różokrzyżowców. Wewnątrz numeru zaś, poza tekstami nawiązującymi do związku Iluminatów, umieszczono portret osiemnastowiecznego założyciela tego związku Adama Weishaupta.

Filia Międzynarodówki Sytuacjonistycznej - Londyńskie Towarzystwo Psychogeograficzne (LPA) - poinformowała pewnego razu: „Wyprawa LPA do groty różokrzyżowców, 21 -23 sierpnia, organizowana w związku z koniunkcją Jowisza i Wenus”. Kolejna wyprawa LPA wyruszyła na wzgórze św. Katarzyny w czasie koniunkcji Wenus, Neptuna, Urana i Księżycy. Tekst LPA informuje też o prowadzeniu badań dotyczących linii zasiewów, wiedzy tajemnej, rytuałów władzy, alchemicznej psychodramy, kontroli umysłu i symboliki architektury.

Letryści z kolei mieli heretycki, najdelikatniej mówiąc, stosunek do instytucjonalnych religii. W „Dekrecie Ministra Czasu Wolnego Międzynarodówki Letrystycznej” czytamy: „G.E. Debord opowiada się za bezwarunkowym i całkowitym zniszczeniem budowli kultowych wszystkich wiar (żaden ślad po nich nie powinien się ostać, a odzyskaną przestrzeń wykorzysta się do innych celów). G.J. Wolman proponuje zachować kościoły, ale pozbawić je funkcji religijnej. Powinny one służyć celom publicznym. Niech bawią się w nich dzieci. Michele Bernastei n domaga się częściowego niszczenia kościołów, tak by pozostałe ruiny nie przypominały o wcześniejszym przeznaczeniu budowli. Najlepszym rozwiązaniem byłoby co prawda całkowite zniszczenie świątyń i wzniesienie nowych ruin na ich miejscu, jednak przedkłada się pierwszą propozycję ze względu na mniejsze koszty”. Ten sam manifest domaga się także likwidacji cmentarzy: „Całkowite unicestwienie nieboszczyków i nagrobków; żadnych prochów, najmniejszego śladu. Należy tu brać pod uwagę problem reakcyjnej propagandy uosobionej poprzez najbardziej elementarne skojarzenia, w tych budzących wstręt przeżytkach wyalienowanej przeszłości”.

Michał Kietlicz
Tirgu Mures

WSPÓŁCZESNE NEOPOGAŃSTWO POLSKIE

Pojęcie neopogaństwa używane jest obecnie w Polsce na określenie szeregu różnych zjawisk, takich jak np. New Age, fascynacja kultami Wschodu, hedonizm życiowy, a nawet sukcesy polityczne postkomunistów. Tymczasem właściwe neopogaństwo jest próbą świadomego nawiązania do przedchrześcijańskich tradycji Europy i do stworzenia z nich współczesnego kultu, bądź drogą ich prostego odtworzenia, bądź zbudowania ich na nowo, traktując przeszłość jako punkt wyjścia. W Polsce mamy do czynienia raczej z nawiązaniem do tradycji religijnej Słowian niż z próbami wiernego jej odtworzenia (wynika to głównie z ubóstwa źródeł pisanych na ten temat).

Neopogaństwo nie jest specyfiką polską. Podobne ruchy istnieją w wielu innych krajach Europy, a ich rola była szczególnie zauważalna w XX-wiecznej kulturze oraz historii Niemiec.¹ Na obszarze Międzymorza bałtycko-czarnomorskiego ruchy te (takie jak Dievturi na Łotwie, Romuva na Litwie, Tałaka na Białorusi czy Runvira na Ukrainie) silnie związane są z odrodzeniem narodowym, a także z orientacjami ekologicznymi. W tekście tym skoncentrujemy się jednak tylko na neopogaństwie polskim.

Historia "Zadruży"

Chronologicznie najpierwszą i jak dotychczas najważniejszą formacją neopogańską w Polsce była założona w okresie międzywojennym "Zadruża".² Wówczas i neopaganie, wobec wątpliwości własnych tradycji, odwoływali się do pojedynczych twórców lub poszczególnych dzieł w kulturze polskiej, np. do "Legionu" Stanisława Wyspiańskiego czy też publicystyki wczesnej endecji, zwłaszcza prac Zygmunta Balickiego.³ Najczęściej wiązało się to z występowaniem u tych ostatnich pewnych idei podzielanych także przez zadrużan, a dotyczących oddziaływania katolicyzmu na polską duchowość, nie miało natomiast nic wspólnego z powrotem do tradycji przedchrześcijańskich. Co prawda wcześniej od "Zadruży" pojawił się "Szczep Rogate Serce" Stanisława Szukalskiego (Stacha z Warty), była to jednak przede wszystkim grupa artystyczna. Jej neopogańskie filiacje są niewątpliwe, podobnie jak szacunek współczesnych neopogan dla jej spuścizny, wykorzystywanej w drukach jako ilustracje.⁴

Twórcą "Zadruży" był Jan Stachniuk, urodzony w 1905 r. w Kowlu w mieszannej rodzinie polsko-ukraińskiej.⁵ Ukończył studia ekonomiczne w Poznaniu, gdzie działał w Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej i zapoznał się z pracami Maxa Webera, które wywarły na jego późniejszą twórczość decydujący wpływ. Jego książka pt. "Państwo i gospodarstwo" miała charakter naukowy, w innych rozwijał już swoje koncepcje historiozoficzne. Najważniejsza z nich to opublikowane w 1939 r. "Dzieje bez dziejów. Teoria rozwoju wewnętrznego Polski". W latach 1937-39 Stachniuk wraz z grupą zwolenni-

ków wydawał też czasopismo o charakterze neopogańskim pt. "Zadruga", którego redakcja znajdowała się w Warszawie, a oddziały terenowe w Łodzi i Bielsku-Białej. Pismo miało ambicje stać się ośrodkiem szerszego ruchu raczej ideowego niż politycznego, jego istnienie przerwała jednak wojna.

Podczas okupacji Stachniuk działał w znajdującym się pod wpływem jego ideologii Stronnictwie Zrywu Narodowego (1943-45). Do liderów SZN należeli związani z nim wcześniej Zygmunt Felczak i Feliks Widy-Wirski. Antykatolicki charakter publicystyki Stachniuka ściągnął na niego jeszcze podczas wojny atak Zofii Kossak w konspiracyjnej broszurze pt. "Pod dyktando Berlina". W czasie Powstania Warszawskiego twórca "Zadruży" walczył w oddziałach Kadry Polski Niepodległej, która pozostawała pod wpływem Zrywu.⁷

W 1945 r. Stronnictwo Zrywu Narodowego ujawniło się, a jego działacze weszli do koncesjonowanego przez władze Stronnictwa Pracy, gdzie stworzyli grupę opozycyjną wobec prezesa Karola Popiela, za to cieszącą się poparciem PPR. Na decyzję tą - poza zwykłym oportunizmem - miały też wpływ względy ideowe - leitmotivem publicystyki Zrywu i Stachniuka była kwestia wyjścia Polski z "niżu cywilizacyjnego" poprzez forsowną industrializację kierowaną przez państwo. Pewną rolę odgrywały też motywy "pozytywistyczne", gdyż większość działaczy z grupy Felczaka wywodziła się z Wielkopolski i Pomorza, gdzie tradycje działalności pozytywistycznej i legalistycznej były bardzo silne. Decyzja "zrywowców" pozwoliła przez jakiś czas funkcjonować ich liderowi, dopóki mogli mieć na to jakikolwiek wpływ (Felczak zmarł w lipcu 1946 r., a Widy-Wirski przeszedł z czasem na pozycje komunistyczne, zostając prominentnym działaczem). Po wojnie Stachniuk wydał jeszcze dwie książki: "Człowieczeństwo i kulturę" (Poznań 1946) oraz "Wspakkulturę" (Warszawa 1948). W 1949 r. został aresztowany - jako polski nacjonalista - i przebywał w więzieniu do 1955 r. Po wyjściu na wolność ciężko chorował, m.in. na skutek pobicia w śledztwie. Zmarł w 1963 r.

Doktryna "Zadruży"

Punktem wyjścia dla myśli Stachniuka była chęć odpowiedzi na pytanie o źródła sukcesu lub klęski narodów. Wprawdzie w jego późniejszych pracach pojawiają się elementy uniwersalistyczne, to jednak naród jest dla niego życiuni publicznym podstawowym punktem odniesienia. Złym stanem narodu polskiego oraz pragnieniem jego naprawy tłumaczył on publiczne zaistnienie "Zadruży".

Czynnik decydującego o sukcesie i klęsce narodu upatrywał on w sferze duchowości, a szczególnie w sposobie, w jaki oddziałuje ona na gospodarkę i życie społeczne. Ponieważ w Polsce "ideologią grupy" - jak pisał Stachniuk - jest katolicyzm, on też (czyli wytworzona pod jego wpływem kultura, stosunek do obowiązków względem zbiorowości itp.) odpowiedzialny jest za "niż cywilizacyjny", w jakim znajduje się Polska od czasów zwycięstwa kontrreformacji u schyłku XVI w. Lider "Zadruży" wskazywał na różnicę w mentalności społecznej, jaką wytworzył protestantyzm, który ze swoim kul-

tern indywidualnej przedsiębiorczości, surowością i etosem pracy przyczynił się do powstania kapitalizmu w tych krajach, gdzie zapanował. W odróżnieniu od nich - podkreślał Stachniuk - rozwój gospodarczy w krajach katolickich nastąpił z opóźnieniem i z oporami. W diagnozie tej widać niewątpliwą wpływ Maxa Webera.

*"Jakie konkretnie słabo ci widział Stachniuk w katolicyzmie? Po co ci ju na to pytanie odpowiedziano wy ej - nie miał on tego, co ma protestantyzm. Po co ci słabo ci te wynikaj z chrze cija stwa jako takiego, z jego przebaczeniem wrogom, kultem słabo ci i bierno ci wyra onym najpełniej w Kazaniu na Górze. Zarzuty Stachniuka s w pewnych punktach zbier ne z zarzutami Nietzschego, a szacunek dla protestantyzmu jest zwi zany ze stopniem, w jakim protestantyzm oznacza odej cie od dysfunkcjonalno ci społecznej Ewangelii!"**

Zdaniem Stachniuka, mentalność wytworzona w Polsce przez katolicyzm kontrreformacyjny charakteryzuje się biernością i kwietyzmem, które wynikają z nastawienia na zbawienie wieczne przy kompletnym lekceważeniu spraw doczesnych. Mentalność ta jest charakterystyczna także dla środowisk zlaicyzowanych: *"Nienawi do instytucji Ko cioła... bezbo nictwo nie stoj na przeszkodzie temu, e kto jest nadal katolikiem, po katolicku zachowuj - cym si w yciu społecznym"*¹⁴ - pisał Stachniuk, znosząc tym samym tradycyjny w Polsce podział na prawicę i lewicę. Jego zdaniem, i jedni, i drudzy nie są w stanie wyjść poza "polakatołickie" schematy, tyle że "lewicy polakatołików" inaczej motywuje swój bezwład. Czyni to przez kult humanizmu laickiego, broniącego dekadentkich ideałów Ewangelii, oraz przez uświęcenie Człowieka, bez odwoływania się do transcendencji.

Stachniuk twierdził, iż umysłowość Polaka-katolika dąży do błogostanu, do katolickiej harmonii socjalnej na ziemi, czyli pełnej wolności od obowiązków wobec wspólnoty oraz braku wysiłków i napięć. Stan taki - jego zdaniem - został już w dziejach Polski raz osiągnięty. Było to w epoce saskiej i społeczność polska wraca do tego stanu instynktownie, gdy nie przeszkadzają jej w tym żadne siły zewnętrzne. Objawy tego powrotu zaobserwowane w latach 1918-26 nazwał Stachniuk recydywą saską. Co światlejsze jednostki dostrzegają zagrożenie, jakie dla bezpieczeństwa kraju niesie takie osłabienie państwa, toteż podejmują one działania reformatorskie. Stachniuk podawał tu jako przykłady m.in. Konstytucję 3 Maja i przewrót majowy 1926 r. Uważał jednak, że działania te nie mogły powstrzymać degradacji, ponieważ nie dotyczyły sprawy najważniejszej - charakteru narodowego Polaków ukształtowanego przez katolicyzm.

Dlatego też "Zadruga" proponowała rozpoczęcie prac nad zmianą polskiej psychiki, traktując sukces w tej dziedzinie jako niezbędny warunek przemian społeczno-gospodarczych. Ostrość jej sformułowań w latach 30. wynikała z poczucia zagrożenia zewnętrznego, które widziała w rosnącej dysproporcji między potencjałem Polski a jej sąsiadów ze Wschodu i Zachodu. Większość swjej publicystyki zadrużanie poświęcał więc krytyce polskiej duchowości, która - ich zdaniem - uniemożliwiała zbudowanie potęgi gospodarczej narodu, a bez potęgi tej naród nie mógł przetrwać. Publicystyka ta, przez

swoj antykatolicyzm, sprawia wrażenie monotematycznej. Brak w niej elementów budzących zainteresowanie klasycznego nacjonalizmu, takich jak zasięg etnosu, geopolityka czy kult tradycji.¹⁰ Postulat radykalnej przebudowy duchowości polskiej musiał się bowiem wiązać ze skrajnie nieprzychylnym stosunkiem do większej części polskiej tradycji oraz z idealizowaniem wszelkich wątków przedchrześcijańskich.¹¹ Na tym tle zrozumiałe staje się nawiązywanie do kultu pogańskiego jako symbolu duchowej samoistości narodu.

"Zadruga" współcześnie

Po roku 1956 "Zadruga" kontynuowała swoje istnienie jako środowisko intelektualne, usiłując oddziaływać ideowo, także w prasie legalnej, stroniąc natomiast od wszelkich form organizacyjnych. Zwraca się uwagę na zbieżność pomiędzy pewnymi fragmentami "Rzeczpospolitej Obojga Narodów" Pawła Jasienicy a tezami Stachniuka na temat społecznych skutków zwycięstwa kontrreformacji. Nie ma jednak żadnych dowodów, że jest to świadectwo oddziaływania ideowego, a nie przypadkowa zbieżność.

Elementy poglądów "Zadruży" można dostrzec natomiast w publicystyce i programie Polskiej Wspólnoty Narodowej - Polskiego Stronnictwa Narodowego, któremu przewodzi Bolesław Tejkowski, choć należy podkreślić, że grupa Stachniuka nigdy nie głosiła rasizmu, co odróżniało ją od neopogaństwa niemieckiego.

Idee "Zadruży" rozwinęły się też w środowisku wrocławskim, gdzie zamieszkał jeden z uczniów Stachniuka i autor kilku prac o "Zadrużu", Antoni Wacyk. W środowisku tym opracowano m.in. rytuały neopogańskie, w tym obrzęd postrzyżyn, z których pierwsze odprawiono w 1987 r. na górze Ślęży. Jeden z uczestników tego obrzędu stwierdził, że są one elementem procesu "repolonizacji Polski".

Niektórzy z członków ruchu zadrużnego starali się godzić tezy Stachniuka z panującą ideologią marksistowską, czego przykładem może być rozpowszechniany w latach 80. w maszynopisie tekst Sławomira Łady pt. "Sedno naszej sprawy". Co ciekawe, traktuje on Sierpień 1980 i powstanie "Solidarności" jako przejaw recydywy saskiej. Dystans wobec opozycji należy najprawdopodobniej tłumaczyć niechęcią wobec katolickiego duchowieństwa, które pozostawało w bliskich stosunkach z "Solidarnością".

Po roku 1989 środowisko "Zadruży" zaczęło funkcjonować jawnie w trzech formach organizacyjnych - wydawnictwo "Toporzeł", Unia Społeczno-Narodowa i Zrzeszenie Rodzimej Wiary.

Wydawnictwo "Toporzeł", którego szefem jest dr Zdzisław Słowiński, ma swoją siedzibę we Wrocławiu. Wydało ono m.in. reprintsy książek Stachniuka oraz broszury Wacyka, m.in. "Na pohybel katolicytwnu".

Unia Społeczno-Narodowa jest partią polityczną opartą na ideach "Zadruży". Powstała w 1992 r. i ma siedzibę w Warszawie. Jej liderzy to: Andrzej Feldon - biznesmen oraz Andrzej Wylotek - wydawca neopogańskiego biuletynu "Żywiół", w latach 80. związany z opozycją antykomunistyczną. Unia w

znacznej mierze przejęła doktrynę Stachniuka - z jednym jednak istotnym wyjątkiem: nie głosi kolektywistycznych koncepcji gospodarczych, lecz opowiada się za wolnym rynkiem. Przejęła też hasła panslawistyczne, co wraz z geopolityczną orientacją na Rosję oraz akcentowaniem zagrożenia niemieckiego upodabnia ją w tym punkcie do endecji.

Tekstem rozpowszechnianym przez USN jest "Wyznanie Polskiej Wiary". Zawiera ono: deklarację religijną o charakterze panteistycznym, definicję życia jako walki będącej źródłem doskonałości, oraz uświęcenie pracy na rzecz narodu, co może być dla jednostki formą zdobycia indywidualnej nieśmiertelności. Wyznanie zawiera też deklarację panslawistyczną.

USN jest partią niewielką i trudno przypuszczać, by w dającej się przewidzieć przyszłości odegrała jakąś znaczącą rolę polityczną.

Z kolei Zrzeszenie Rodzimej Wiary zostało zarejestrowane w 1995 r. jako związek wyznaniowy. Jego liderem jest dr Stanisław Potrzebowski z Wrocławia, autor wydanej w Niemczech i sfinansowanej przez Fundację Ludentorfów monografii "Zadrugi". Szerszej opinii publicznej dał się poznać jako rzecznik Janusza Walusia - Polaka skazanego w RPA na karę śmierci i więzionego obecnie za zabójstwo komunistycznego terrorysty. Deklaracją ideową ZRW jest "Wyznanie Wiary Lechitów", w swojej treści częściowo tożsame z "Wyznaniem Polskiej Wiary" USN. Zasadniczą różnicą jest odwołanie się w dokumencie ZRW do tradycji ludów aryjskich, co może być związane z doświadczeniami lidera grupy podczas jego pobytu w RPA.

Inne grupy neopogańskie

W 1995 r. jako związek wyznaniowy zarejestrowany został Rodzimy Kościół Polski, którego liderem jest Lech Emfazy Stefański, znany dotąd szerzej jako przewodniczący Polskiego Towarzystwa Psychotronicznego. RKP jest wyznaniem henoteistycznym, zakładającym istnienie jednego najwyższego Boga oraz wielu podległych mu istot duchowych - bożków, których wyłonił on z siebie. Ci różni bożkowie i boginki reprezentują różne aspekty jedyne Boga.

W rozmowie z autorem niniejszego tekstu Stefański wyjaśnił przesłanie RKP: "Chodzi o rewindykację tego, co Polakom należy się z racji, iż posługują się językiem polskim. W X wieku ze względów politycznych trzeba było przyjąć chrześcijaństwo - to była konieczność. Ale wiązało się z tym wiele różnych zakazów i nakazów, np. zakazano nazywania Boga imieniem, które nadali mu Polacy: Świętowit. Zakazano odwoływać się do przeszłości Polaków, podsunęto natomiast zupełnie obcą nam księgę, co prawda świętą, ale obcą, Biblię, gdzie czytamy, my Polacy, że naszymi praojcami są Abraham, Jakub i Józef, a nie Prapolacy. Chodziło nam o to, żeby przynajmniej określenie Boga - Świętowit - przywrócić współczesnemu językowi polskiemu. Świętowit nie jest właściwie imieniem własnym, znaczy tyle co świętowity, analogicznie do chorowity czyli notorycznie chory. Świętowity to nieskończenie, notorycznie święty."

RKP neguje utożsamianie polskości z katolicyzmem, zwracając uwagę na licznych wybitnych Polaków, którzy nie byli katolikami. Kościół ten, chociaż ma w nazwie przymiotnik "polski", zaznacza, że jego wyznawcą "można zostać bez względu na to, jakiej narodowości przodków ma się w swoim drzewie genealogicznym". Naród jest więc nie kwestią krwi, co języka, kultury i chęci przynależności do niego.

RKP poświęca większą uwagę niż wymienione wyżej formacje sprawom kultu, wierząc zasadniczo w możliwość odtworzenia pogańskich rytuałów, choć zaznaczając też hipotetyczność pewnych konstrukcji. Odtwarza m.in. ogólną treść ideogramów wyrytych na słupie Światowida, wydobytych 150 lat temu ze Zbrucza. Upatruje w nich zakodowany przekaz o słowiańskim modelu świata, który ma uświadomić człowiekowi, że jest częścią przyrody i społeczeństwa. Nie jest więc wykluczone, że w przyszłości RKP zbliżyć się będzie do ruchów ekologicznych. Stefański opracował też rodzaj słowiańskiego tarota, mającego służyć dywinacji i medytacji.

Inną z kolei grupę stanowi Zakon Jarłów Baldera. Jest to brytyjska organizacja neopogańska o charakterze paneuropejskim, założona w 1990 r. W Polsce działa jej odgałęzienie "Sventovit Celi" z siedzibą w Lublinie. Z uwagi na formułę organizacyjną (część ruchu międzynarodowego) trudno jest dokonać jednoznacznej klasyfikacji - czy jest to neopogaństwo polskie, czy zachodnie neopogaństwo w Polsce. Wśród mniejszości ukraińskiej w Polsce działali też członkowie "Runviry", było to jednak neopogaństwo ukraińskie w granicach państwa polskiego.

Warto wspomnieć jeszcze, że w Bydgoszczy w latach 90. ukazywały się biuletyny "Błyskawica" oraz "Lechita", inspirowane ideami zadrużnymi, zaś w Poznaniu neopogańskie pismo "Jantar". Należy też odnotować przejawy zainteresowania tym tematem w literaturze. Dedykowaną pamięci Stachniuka - i w znacznej mierze inspirowaną jego wizją dziejów polski - satyrę pt. "Xiądz Marek" wydał w 1991 r. niżej podpisany. W tymże roku Jacek Dobrowolski, anglista i kulturoznawca związany niegdyś z Pomarańczową Alternatywą, wydał poemat pt. "Raróg" odwołujący się do polskich wierzeń przedchrześcijańskich i ich indoeuropejskich korzeni. Obecnie pisze on książkę o kulcie maryjnym w Polsce.

Tomasz Szczepa ski

¹ - Leon Halban "Religia starogermańska i jej aktualne znaczenie w Niemczech", Lublin 1949, tam też obszerniejsza bibliografia.

² - Piotr Wiench "Nowi poganie" [w:] "Społeczeństwo Otwarte" 4/1995; Mariusz Maszkiewicz "Neopogaństwo na Litwie" [w:] "Biuletyn Ośrodka Studiów Wschodnich" 27/1993; Bogumił Grott "Runvira - ukraiński ruch neopogański" [w:] "Kultura i Społeczeństwo" 4/1992.

- ³ - Stanisław Potrzebowski "Zadruga - eine volkische Bewegung in Polen", tłum. pol. bmdw
- ⁴ - Bogumił Grott "Zygmunt Balicki - ideolog Narodowej Demokracji", Kraków 1995.
- ⁵ - "Żywioł" 4/1992. Często wykorzystywana jest także symbolika Toporła
- ⁶ - Kazimierz Koźniewski "Jan Stachniuk i Dzieje bez dziejów" [w:] "Zdanie" 1 / 1988. Tam też: obszerny życiorys Stachniuka.
- ⁷ • Waldemar Bujak "Historia Stronnictwa Pracy", Warszawa 1988.
- ⁸ - Barnim Regalica "Recydywa saska?", "Najwyższy Czas!" 46/1995.
- ⁹ - Jan Stachniuk "Dzieje bez dziejów", Warszawa 1939, s.82
- ¹⁰ - Bogumił Grott "Myśl społeczna neopogańskiej Zadrugi i jej religijne aspekty", Zeszyty Naukowe UJ, "Studia Religioznawcze" 21/1989, s.54
- ¹¹ - Antoni Wacyk "Kultura bezdziejów", Szkocja 1945, zwł. str. 53 i następne

DOCIEKANIA PRZYPADKU "JA"

*kiedy zaczynał si dzie moja wiadomo zdradzała
mnie z ka dym napotkanym widokiem*

fascynowały mnie moje narcystyczne kompleksy
- urok osobistego istnienia nie ma analogii
pytałem siebie

jak bardzo mogę uprzytomnić się sobie samemu

wyobrażałem siebie
w nadwrażliwym ciele lub szkielecie ulotnym
pamięci nade wszystko w umiejętności bólu
ale kiedy zaczynał się dzień znikaaś
w ministerstwie spraw zagranicznych

angażowałaś się w dyplomatyczne podróże
do państw mahrebu skąd przywoziłaś mi zwietrzałe przyprawy
pochłaniały cię martwe natury śniadań
płaszczyłaś się do poziomu porannej prasy
lub zamieniałaś się w słuch
gdy leciała nowa melodia wiadomości radiowych
poświęcałaś się nauce języków
a w szczególności wzruszała cię logika
poezja prawdy

i tylko nocą szukałaś mnie
w ciepłym łóżku mego ciała
i ani zasypiałaś ani budziłaś się
nad ranem
nad niewidzialnym widzeniem
nieustannym zaistnieniem
rzeczywistym końcem świata

WILLEM CLEASZ HEDA. NIADANIE

*W strzelistym kieliszku pojmany
zielonkawy prze wit witu
jest jeszcze wczę nie pochylony*

po tych ospałych przebudzeniach
śniadanie napoczynam pytaniami
czy moje sny uśpione
w zwłokach przeszłości
od których pamięć odjęto
istnieją?

*powoli
obieram skórę cytryny
odci gam napletek zmysłów*

nie potrafię oddzielić
istnienia od czasu

*ten kieliszek okaleczyła
pot piona dusza morskiego potwora
(zwanego w obcym j zyku lobster)
cigana przez pierwszego anioła dnia łaknienie*

więc czy poza nami
istnieje istnienie?
w końcu to ode mnie
bierze początek
natrętna przyszłość
i przepadła przeszłość

*mi sisty j zor rozplątanej pol dwicy
musiał by bardzo łzami nabrzmiały
skoro tak soczy cie i słono
smakuje na moim podniebieniu*

a przecież przez te lata
nauczyłem się chociaż tego
że nie ma spraw wielkich i ważnych
jest tylko nierozwiązywalna całość

*szaro lepego nieba
mimo chodem odbita
na wypukło ci szkieł
zostawia odciski palców*

zostaje po mnie
*niedojezony
niezbyt słodki torcik
tłuste siady palców na szklance
okaleczony kieliszek porzucone
łupinki orzechów zgaszony niedopatek
przerażająco martwa natura*

wszystko co po mnie zostaje.

Paweł Nessel

JUŻ NIE "ORA ET LABORA"

Ziemie otrzymał Bernon w 910 roku. Ufundował ją Wilhelm Pobożny, hrabia Owernii, książę Akwitanii, w środkowej Francji, nieopodal Macn. Powstaje opactwo. Celem nadrzędnym staje się odszukanie tego, co zostało zgubione z pierwotnej reguły św. Benedykta. Zgromadzenie szybko rozrasta się, mnożą się dary i wyposażenia. Powstają afiliowane domy w całej Europie, podległe wzniosłej macierzy. Wewnątrz Kościoła rodzi się nowy potężny nurt chrześcijański. Tym sposobem rozprzestrzeniają się nowe idee, oparte na pokorze i kontemplacji, niezależności od władzy świeckiej i promowaniu „pokoju Bożego”. Nowa religijność, powiązana z tym ośrodkiem myśli i modlitwy, wywiera olbrzymie wpływy: nacisk kładziony jest na pielgrzymowanie, oprawę liturgii, uroczyste procesje, śpiewy i udział świeckich w świętach religijnych. Powstają intelektualne i duchowe podwaliny odnowy, która zmienia rysy średniowiecznego chrześcijaństwa. Myśl powstała w owym miejscu zostaje szeroko rozgłoszona po ówczesnym świecie i pod koniec XI wieku - kiedy to opat Zgromadzenia prowadzi około 1450 placówek w Europie - jest ona już tak szeroko przyjęta przez Kościół i struktury świeckie, że samo Zgromadzenie jakby traci na znaczeniu. Tak jakby „dokończono się”. Wpływ wyrosłego w jednym opactwie Zgromadzenia odnowił realnie oblicze całego chrześcijaństwa. Dokończono się to głównie za sprawą modlitwy i myśli.

Z Cluny - bo o nim mowa - powiązane były najprzedniejsze umysły ówczesnego chrześcijaństwa. Opactwo może się poszczycić swymi dwoma wychowankami, wyniesionymi na Tron Piotrowy (Urban II i Pascal II). Wielcy opaci wpisali się w historię Kościoła i dzieje Europy. Do największych należeli: św. Majol, który nie czuł się godnym, by zostać następcą św. Piotra; św. Odilon, który dla opactwa poświęcił proponowane mu arcybiskupstwo Lyonu; czy Piotr Czcigodny, z którym to św. Bernard, opat Citeaux, podjął jakże płodną polemikę. Nie bez powodu Grzegorz VII rzekł, iż „zadne inne opactwo mu nie dorównuje, gdyż nie było w Cluny ani jednego opata, który nie byłby świętym”.

Myśl opierała się na solidnym poznaniu pism. Przepisywanie dzieł mistrzów, Ojców i filozofów, zajmowało sporą część codziennego ożycia mnichów. W średniowiecznym Cluny znajdowała się jedna z największych bibliotek całego Zachodu. Myśl ta potrafiła być odważna i niezależna. Dobrym przykładem są krucjaty, które nigdy nie uzyskały poparcia Cluny, i w których też nigdy Cluny nie uczestniczyło. Odnowa religijności, kontynuowana w wiekach XI, XII i XIII przez tak wiele nurtów w całej Europie chrześcijańskiej, znalazła swe pierwsze urzeczywistnienie właśnie w Cluny. Tam odrodziło się chrześcijaństwo.

Dziś Cluny nie stanowi ani ośrodka religijnego, ani celu pielgrzymek. Upadek nastąpił w czasie Rewolucji Francuskiej, kiedy powiał wicher wolności, równości i braterstwa. Na mocy dekretu z 1790 roku o likwidacji domów zakonnych, opactwo w Cluny przestało istnieć. Mnichów wydalono, a budynki

zamknięto. W 1798 roku zabudowania sprzedano okolicznym handlarzom nieruchomościami. Jedyne Chaptal, minister spraw wewnętrznych, próbował do roku 1801 uratować to, co było można, lecz jego apele pozostawały bez echa. Napisał więc, że poprzestaje wszelkich działań w tym kierunku, lecz uważa za bolesne, iż wpływ rządu nie wystarczy, by uratować jedną z najciekawszych budowli Francji. W 1809 roku rozpoczęto systematyczne burzenie opactwa na rozkaz Napoleona Bonaparte, popadającego w coraz większy konflikt z papieżem Piusem VII. Proces burzenia przeżył Napoleon i był kontynuowany aż do 1823 roku. Perła architektury romańskiej - najdłuższa budowla średniowiecza - obrócona została w ruinę. Ze świątyni zachowało się zaledwie jedno ramię transeptu. Na miejscu ołtarza i chóru Napoleon założył stajnię, która znajduje się tam do dnia dzisiejszego.

Zniszczono nie tylko budowlę, lecz zatarto również wszelkie ślady po prawdziwej roli Cluny. Co zobaczyć można dziś na miejscu opactwa? Nic. Zupełnie nic, co by mówiło o dawnej świetności tego miejsca. Przede wszystkim rozebrano olbrzymi kościół, zaś pozostałe zabudowania zakonne goszczą dziś wyższą szkołę „sztuk i zawodów” (fr: Ecole Nationale Supérieure d'Arts et Métiers). Trochę kamieni, które nie zostały użyte przy budowie wielkiej stajni, pozostało jako pamiątki historyczne chronione przez państwo.

Byłbym zapomniał: nieco na uboczu dawnego opactwa znajduje się też muzeum. Należy do miasta, a opłacane jest z budżetu regionu i państwa. Ośmiopokojowe, nie rzucając się w oczy, wyróżnia się niesłychaną skromnością ekspozycji. Jedynym wymiarem Cluny, na który kładzie się tam nacisk, jest architektura zabudowań opactwa. W muzeum zebrano cudem ocalałe kawałki aniołków i ozdobnych motywów rzeźbionych w kamieniu - razem kilkadziesiąt sztuk. Nie odnaleziono praktycznie nic innego, co byłoby ściśle związane z prawdziwą przeszłością opactwa. Prawdę mówiąc, nie pamiętam, by pokazywan o jakieś wyjątkowe przedmioty związane z kontemplacją, liturgią czy życiem monastycznym.

Gdyby ktoś miał wątpliwości, co to było Cluny, i na czym polegała jego istota - w kulminacyjnym momencie zwiedzania napotyka duży telewizor, a w nim pokazywany na okrągło film produkcji IBM na temat przeszłości Cluny. Mowa jest prawie wyłącznie o architekturze. Nie o jej romańskim - duchowym - charakterze, lecz o symbolice Wielkiej Konstrukcji, zbudowanej przez tradycję Wielkich Budowli, wpisanej w pitagorejskie Siedem Dźwięków Świata, pod czujnym okiem Wielkiego Budowniczego. Kondygnacje w zarysie, rodem z planszy architekta, we wszystkich kolorach tęczy - co stanowi z pewnością uwypuklenie siedmiostopniowej tonacji (to dla sceptyków) - obracają się w symulacyjnej rekonstrukcji komputerowej. Wszystko na tle gwiazd, ziemi, w rytmie słońca i Matki Natury. Odnosi się wrażenie, że to nie obraz naszego europejskiego Cluny, lecz ślady pozostałości wielkiej zaginionej kultury, powiedzmy ródem z Atlantydy, powstałe jz czynnym udziałem myśli hermetycznej, ściśle strzeżonej i całkiem tajemniczej, której przeciętna, nietajemniczona, istota i tak nie zgłębi.

Nagle zwiedzający spostrzega ostatni pokój. To pozostałości wielkiej biblioteki, gdzie spodziewamy się zastać średniowieczne manuskrypty, psalterze i brewiarze. Na pozór wygląda to całkiem okazale. Całe cztery ściany pełne pięknych, nieosiągalnych, skórzanych grzbietów. Wygląda to budująco, lecz nie tłumaczy niczego. Na szczęście dwadzieścia kilka tomów wyłożono w specjalnych, oszklonych gablotach. Głównym eksponatem okazują się być w nich duże księgi. Nie są to jednak ani bibliofilskie wydania Biblii, ani pisma myślicieli antycznych czy średniowiecznych, ani podręczniki kontemplacji czy też psalterze lub brewiarze. Głównym eksponatem biblioteki Cluny są opasłe tomy Wielkiej Encyklopedii d'Alemberta i Diderota. Pierwszego dużego zbioru myśli oświeceniowej, który stał się podstawą całej niemałej myśli encyklopedycznej XVIII wieku.

Wyszedłem pośpiesznie, mocno skonsternowany, ledwie zauważając na kamiennym progu wejścia do muzeum wyryty mały symbol, na który składały się cyrkiel i ekiemka.

Pielgrzymki omijają dziś Cluny. Kilka kilometrów na północ jest Taizé, a niedaleko na południe znajduje się skaliste wzniesienie, zwane Roche de Solutré. Tam już można wybrać się na pielgrzymkę (najlepiej w Zielone Świątki, razem z byłym prezydentem Francois Mitterrandem, który bywa tam co roku). Znajduje się tam jedno z najstarszych miejsc kultu we Francji. U stóp skały archeologowie odnaleźli szczątki dziesięciu tysięcy koni, strąconych ze szczytu w ramach rytualnego obrzędu. Roche de Solutré był o miejsce kultu pogańskiego w sto pięćdziesiątym stuleciu. Przed naszą erą, oczywiście.

Piotr MA. Cywiński

ZA DUŻO RYDZYKÓW, ZA MAŁO MICHNIKÓW

- wypisy z księgi pamiątkowej wystawy "Masoneria Polska" w Muzeum Etnograficznym

„Bardzo ciekawa wystawa i jej organizacja bardzo potrzebna, żeby zmienić stereotyp myślenia „

p. Sobolewska

„Zwiążuję demonicznego ducha wolnomularzy, ducha masonerii nad Polską w imieniu Jezusa Chrystusa Pana panów, Króla królów. Jezus jest Panem. Amen.”

Robert Cerkowski

„Idea wolnomularstwa jest ciekawa w tym sensie, że jest trochę alternatywna wobec katolicyzmu, razi mnie natomiast symbolika zbyt bliska katolicyzmowi, mało oryginalności. Wystawa zbyt statyczna.”

(podpis nieczytelny)

„Szkoda, że prawdziwi przeciwnicy wolnomularstwa tu nie przyjdą, wiedzieliśmy ich jest.”

(podpis nieczytelny)

„Brakuje mi tu masonów pochodzenia żydowskiego.”

(podpis nieczytelny)

„No a Pan ? „ (strzałka skierowana na poprzednią wypowiedź)

(brak podpisu)

„Wystawa b.ciekawa. Dużo ciekawych eksponatów dotyczących XVIII i XIX. Zastanawia jednak fakt, że w czasach obecnych wyraźnie dyskryminuje się kobiety nie dopuszczając do stanu wolno mularskiego. Poprzednie wieki były pod tym względem bardziej tolerancyjne.”

J.Michałowska

„Wystawa dała mi odpowiedzi na nurtujące mnie od dawna pytanie o wolnomularstwo.”

(podpis nieczytelny)

„Siekiera motyka trzymaj fason
przegra wojnę głupi maso n

Siekiera motyka ale wstyd
przegra wojnę głupi Żyd „
(brak podpisu)

„ Za przykładem św. Maksymiliana Kolbe módlmy się za masonów.”
(brak podpisu)

„ Chcę być masonem.”
Marek Jarczyński

„ Z powodu tajności celów i tajności teraźniejszych członków, masoneria powinna być, tak jak przed wojną zdelegalizowana. Ponieważ działa przeciwko Państwow, Narodom i Kościołowi w sposób tajny.”
(podpis nieczytelny)

„ Dziękuję za wystawę, która przybliżyła historię wolnomularstwa, ludzi wspinałych o wielkiej Etyce. Powinni ją zobaczyć Ci wszyscy, którzy z racji ksenofobii obrażają tych, o których nic nie wiedzą.”
Maria Kędra

„ Popieram idee wolnomularskie.”
Krystyna

„ Zasady wolnomularstwa mimo że szlachetne są na tyle groźne i konkurencyjne dla wielu instytucji, w tym zwłaszcza dla Kościoła, że w Polsce rzucono na ten ruch infamię. Tu rękę podali sobie Kościół i komuniści. Mam nadzieję iż to już przeszłość. Tym bardziej pomysł zorganizowania tej wystawy zasługuje na uznanie.”

T. Markiewicz

„ Bracia masoni i tak przegracie.”
T.J.A Małeck i

« Dobrze było, ale mało! Propagujcie tę wystawę i tych szlachetnych ludzi, bo strasznie dużo jeszcze w nas ciemnoty i wiary w złowieszcze działania tzw. „ Żydomasonerii „. (Za dużo rydzyków za mało michników), „
J. Rudlińska

„ Szkoda, że tak mało prawdy o ich wierzeniach.”
(brak podpisu)

„ Z wyraźnej sympatii dla idei masońskiej, z uznaniem dla wiedzy, szacunkiem dla dążenia do prawdy, tylko wiedza i praca na podstawie prawdy zwyciężą ciemności i ciemnotę i ciemnogród. Wystawa skromna ale jest promyk jutrzeńki."

Pozdrawiam (podpis nieczytelny)

„ Jebać masonów."

(brak podpisu)

„ Dziękuję za piękną wystawę. Wstyd mi za niektóre komentarze w tej księdze dotyczącej tej wystawy. Ale proszę się nie przejmować i kontynuować."

Aleksandra A.Z

„Wystawa stanowi przestrozę przed nieświadomym wejściem w krąg masonerii. Szkoda, że nie pokazano skutków działania, które w wielu przypadkach miały negatywny aspekt dla Polski. Również brak np. życiorysów „bohaterów masonerii lub okoliczności ich wstąpienia."

(podpis nieczytelny)

„ Pozdrowienia dla wszystkich BB: od BB: z łoży."

„ Le Droit Humain „

W WODACH POTOPU (część II)

W części drugiej naszego eseju hermeneutycznego przystępujemy do ściślejszych badań nad sensem terminu *tebah*, odnoszonego w Biblii do arki Noego, oraz papirusowej łódki-kołyski Mojżesza-Niemowlęcia. Będzie nam przy tym chodziło nie o to, jakie były intencje semantyczne hebrajskiego współautora Biblii, lecz o wykrywanie, choćby w części, ale w sposób względnie zobiektywizowany, potencjału semantycznego, a właściwie - mitotwórczego, badanego słowa, przede wszystkim w oparciu o dwie procedury hermeneutyczne. Będą to:

1. procedura homojfonii, która kojarzy dane słowo jako całość, i w jego rozbiciu na składniki fonetyczne - z tymi wszystkimi słowami biblijnymi, które współbrzmiają z nim fonetycznie, mówiąc inaczej wykazują analogie fonetyczne; w ten sposób można uzyskać pole fonetycznych skojarzeń, którego ośrodkiem, jest dane słowo, jako jakby „słowo klucz”.

2. procedura gematrii numerycznej, która kojarzy dane słowo, scharakteryzowane czterema wartościami numerycznymi, ze wszystkimi innymi słowami biblijnymi o identycznej wartości zewnętrznej; te cztery wartości badanego słowa, to tzw. w gematrii: wartość zewnętrzna, pełna, ukryta i *ath-basz*; w ten sposób można z kolei ukazać pole skojarzeń gematrycznych, którego ośrodkiem jest dane słowo, jako „słowo-klucz” w jego czterech manifestacjach numerycznych.

Oczywiście, chodzi tu w gruncie rzeczy o powołanie do życia pola semantycznego, bowiem interesują nas znaczenia słów, kojarzonych homojfonicznie, lub gematrycznie, z danym „słowem-kluczem”.

Rezultaty zastosowania obu tych procedur będą naświetlane (w miarę możliwości objętościowych naszego eseju) użyciem analizowanych słów w biblijnych kontekstach, w których występują.

Zastosowanie procedury homojfonii uzasadnia się głównie tym, że sama Biblia pełna jest miejsc, gdzie się o niej wyraźnie mówi. Np. w narracji o mieście i wieży Babel powiada się (Gen. 11.9): *„Dlatego nazwano je Babel, bo tam pomieszal(= baal j Pan j zyk całejziemi...”*, mimo, że pisarz hebrajski doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że Babel znaczy „Brama Boga” (dla niego będzie nim w szczególności - Bel). Zresztą różne inne sakralne teksty starożytne przejawiają również użycie homojfonii. Celują w tym teksty egipskie. Niech za przykład posłuży słynna „Rebelia przeciwko Ra” mówiąca o tym, m. in. jak to egipski Pan Otchłannej Mądrości, czyli Thoth (= Džehuti) staje się, na zlecenie Ra, współtrującym z nim, t.j. jego namiestnikiem (wezyrem): *„(mówi Ra do Thota):... Ty b dziesz w moim miejscu - tronie (= ist) i b dziesz nazywał si Isti (= współtronuj cy), to znaczy reprezentant Ra. A b dzie ci dozwolone wysyłanie twego posła ca (= hab), i z tym Ibis (= habi), który jest wysła cem, Thotha powstał., (dalej Ra objecuje Thothowi, e:) „... obejmie (= ineh) dwa nieba z ich pi kno ciami, a od razu ksi yc (= Jah)*

zaistniał. *Thoth odci gnje obcych (an z dalekich stron i natychmiast Małpa Bo a (=anan) zaistniała*". Mamy więc pary skojarzeń homojofonicznych, które „stwarzają” atrybuty Thotha, tzn.:

ist - Isti, hab - habi, ineh - Jah, oraz an - anan. Nota bene, Thoth egipski Pan wszelkiej mądrości i magii (w tym i zmartwychwstania), występuje w Biblii dwukrotnie pod dobrze dobranym, hebrajskim brzmieniem swego imienia, t.j. Tuchoth (9+6+8+400 = 423), porównywalnym z innymi egipskimi brzmieniami dla Thotha, czyli Tekhi, Dekhi, Tehuti, czemu odpowiadają koptyjskie Thoth lub Thouth, Chaldejskie Tiachut i fenickie Tautos. Zdali sobie z tego sprawę dopiero współcześni tłumacze Anchor Bibie. Teksty z Thothem pokazują zarazem, jak mogą się różnić od siebie tłumaczenia biblijne. Te dwa miejsca to Hi. 38.36 i Ps. 51.8.

Tak więc, w tłumaczeniu polskim Bryt. i Zagr. Bibl. z 1982r. (Prot.), którym zwykle się tu posługujemy, bo jest najłatwiej dostępne, pierwszy z tych tekstów brzmi (Hi. 38.36):

(Prot.). *„Kto nadał wałom obłoków wró ebne znaczenie?*

Albo kto łunie niebieskiej wymow prorocz ?”

(Septuaginta). *„Kto dał kobietom m dro utkania szat?*

Albo rozumienie w sprawach haftowania?”

(Trzeba przyznać, że św. Hieronim miał rację, kiedy od czci i wiary odsądzał Septuagintę).

(Wulgata). *„Kto wło ył we wn trzno ci człowieka m dro ?*

Albo kto dał kogutowi rozumienie?

(New English Version). *„Kto mówi Ibisowi, kiedy Nil wyleje?*

Albo kto mówi kogutowi, kiedy deszcz spadnie?”

(Biblia 1000-lecia). *Kto Ibisowi dał m dro ,*

A rozum dał kogutowi?

(dosłowne tłumaczenia): *„Kto umie cił w Thocie m dro ?*

Albo Ibisowi dał rozumienie?”

Trochę lepiej jest z Psalmem 51 - szym.

Tak więc, mamy tu (Ps. 51.8):

(Prot.). *„Oto miłujesz prawd chowan na dnie duszy,*

I objawiasz mi m dro ukryt ”.

(Septuaginta) *„Oto bowiem prawd umiłowate ,*

Niewidzialne i ukryte m dro ci swoje mi objawił ”.

(Wulgata). *„Oto bowiem wybrał prawd ,*

Niepewne i tajemne rzeczy twojej m dro ci objawił mi”.

(New English Version) . *„Szczero i prawda oto czego wymagasz,*

Napeł mój umysł twój m dro ci ”.

(Biblia 1000-lecia) . *„Oto w szczeru ci serca masz upodobanie,*

A w gł bi duszy uczysz mnie m dro ci.”

(dosłowne tłumaczenie) . *„Otoprawd upodobate sobie w Thocie,*

I dajesz mi wiadomo utrzymanej w ukryciu m dro ci”.

Na szczęście, miejsc aż tak bardzo różnie tłumaczonych, nie jest zbyt wiele. Kwestia analogii z Thothem sięga bardzo głęboko i dotyczy Mesjasza jako Współtronującego (po prawicy Ojca), o którym tak pisze się w liście do

Kolosan (Kol. 2.1-3): „*Chc bowiem, aby cie wiedzieli, jak wielki bóg tocz za was i za tych wszystkich, którzy osobi cie mnie nie poznali, aby pocieszone były ich serca, a oni poł czeni w miło ci, zd ali do wszelkiego bogactwa pełnego zrozumienia, do poznania tajemnicy Bo ej, to jest Chrystusa, w którym s ukryte wszystkie skarby m dro ci i poznania.*”

Nie będziemy się zajmowali dalej tym wątkiem, który prowadzi w głębie gnozy. W związku z tym wystarczy uświadomić sobie tylko fakt, że Thoth jest też panem hermopolitańskiej Ogdoady ubóstwionych mocy ojcowskomacierzynskiej Otchłani Prawód - Nun i Nenet, a jego zasadniczą zoomorficzną teofania był Ibis, zwany po egipsku nie tylko habi, lecz także tekhen, a w innej swej odmianie - Akh, co znaczy: „Rozjaśniony Duch”, najwyższy składnik duchowy człowieka i bóstwa. Jemu to w Biblii odpowiadają terminy: Sekh(e)wi, kHi lub Tukki (ten ostatni mylnie tłumaczony jako „paw”). A ponadto, w gnozie judaistycznej wielkiej wagi jest sama postać Metatrona - Współtronującego, identyfikowana bądź z Henochem „wziętym do nieba”, bądź też z samym Mesjaszem...

Wracając do procedury homojofonii, to za jej podstawową rolę mitotwórczą przemawia nasza hipoteza, że skojarzenia w podświadomości zachodzą na zasadzie wszelkiego rodzaju analogii, a do podświadomości sięgają właśnie stany „objawieniowe” (transowe, zmienionej świadomości itp.); w zakresie materiału werbalnego będą to więc analogie fonetyczne. Tymczasem skojarzenia werbalne w polu świadomości zwykle przebiegają w oparciu o związki pojęciowe, czyli semantyczne.

Taki stan rzeczy doskonale ilustruje eksperyment neurolingwistyczny opisany przez A. R. Łurię („Problemy neuropsychologii i neurolingwistyki”. PWN, 1976). Polegał on na tym, że na oko badanego osobnika, uprzednio przystosowanego do ciemności, skierowano promień świetlny, który spowodował zmianę wrażliwości oka. Powtarzaniu tego oddziaływania towarzyszyło wypowiedzanie słowa doktor, co doprowadziło do wytworzenia odruchu warunkowego. W rezultacie wystarczyło samo wypowiedzenie tego słowa, aby oko badanego reagowało obniżeniem progu pobudliwości na światło, co mierzono okulometrem. Następnie wypowiadano monotonicznie serię słów, wśród których występowały semantycznie wiążące się z nazwą doktor, np: medyk, lekarz itp.

Okazało się, że te ostatnie słowa, choć dźwiękowo zupełnie niepodobne (też w rosyjskim), wywołały tę samą reakcję odruchową oka. Sytuacja uległa jednak zmianie, gdy przygaszono pole świadomości do stanu półdrzemki przez podanie wodzianu chloralu. Wówczas nastąpiło bowiem ujawnienie skojarzeń fonetycznych, semantycznie nie powiązanych. Np. słowo nokturn, homojofonicznie do słowa doktor, powodowało odruchową reakcję, zaś lekarz i medyk już jej nie wywoływało.

Podobne rezultaty opisał w swej książce („Sen”, PWN, 1968) I. Oswald. Mianowicie, jego współpracownik - R. Berger, przeprowadził doświadczenia polegające na odgrywaniu uśpionym imion o jakimś dla nich ładunku emocjonalnym. Budzeni potem opowiadali zapamiętaną treść snu. Oto dwa przykłady:

1. (imię Barbara) : „*Szli my ulic , na której były same bary i re restauracje, jedne za drugimi.*”

2. (imię Iga, rudowłosa) : „*Jedyna rzecz kolorowa, te figi... jakby czerwone, wybijały si spo ród innych owoców.*”

Widać tutaj nie tylko obecność skojarzeń przez homojfonię, ale zarazem, jak słowo przyobleka się od razu w procesualną wizualizację marzenia sennego. Tymczasem lingwiści nazywają pogardliwie homojfoniczne wywody starożytnych autorów „etymologią ludową”, a religioznawcy—„dzieciną grą słów”. Bóg z nimi! Starożytną koncepcję języka wspaniale przedstawił Platon w swoim „Kratylosie”, wydanym ostatnio u nas i znakomicie przetłumaczonym przez W. Stefańskiego (PAN. Z. N. im. Ossolińskich, 1990).

Rzecz jasna, jak we wszystkich tworach ludzkiego umysłu (po matematykę włącznie), tak i w stosowanej przez nas homojfonii jako procedurze hermeneutycznej, tkwi pewien element subiektywizmu. Polega on na tym, że w słowach na granicy podobieństwa brzmieniowego występuje już pewna dowolność i nie jest się pewnym, czy jeszcze ono występuje, czy już nie (a staramy się porównywać dane „słowo-klucz” ze wszystkimi innymi słowami biblijnymi, ujętymi w konkordacji Biblii hebrajskiej G. Lissowky' ego). Wiadomo, że na takich przejściach można wkraść w inne pole i w ten sposób objąć całość słownictwa. Nie ma na to jednak rady, bo taki po prostu jest stan rzeczy i trzeba się decydować na określone cięcia ograniczające. W każdym razie będziemy mniej liberalni, niż pisarz hebrajski, który uznał bałal za homojfoniczne z Babel.

A teraz stów kilka o drugiej procedurze, tj. gematrii numerycznej, opierającej się w tworzeniu pola skojarzeniowego o te wszystkie słowa biblijne, których wartość zewnętrzna jest identyczna z tą czy inną spośród czterech charakterystyk badanego słowa, tj. jego wartością zewnętrzną, pełną, ukrytą lub athbasz.

Te cztery wartości domagają się objaśnienia, chociaż z pierwszej z nich obficie już korzystaliśmy w części pierwszej eseju. Tak więc, przypominaemy, że suma cyfrowych wartości liter hebrajskich, składających się na zapis danego słowa, to jego wartość zewnętrzna (zob. zestawienie 1 w cz. I). Natomiast wartość pełna, to suma wartości zapisu imion liter danego słowa. Wartość ukrytą stanowi różnica między wartością pełną a wartością zewnętrzną. Wreszcie wartość athbasz, to suma odwrotnie ponumerowanych liter, które przynoszą nowe słowo, lub całe wyrażenie o innym zapisie. Idziemy tutaj śladem tradycji gematrii żydowskiej, a szczególnie F. Weinreba, który w swej „Księdze Jonasza” stosował takie właśnie cztery charakterystyki. Znowu tkwi w tym element subiektywizmu, ponieważ takich wartości w gematrii może być więcej (np. al'bam, wartość ostateczna etc). Te i inne bardziej wyrafinowane metody pozostawimy już mędrszym kabalistom żydowskim...

W Biblii, przynajmniej na pierwszy rzut oka, zdaje się odgrywać rolę przede wszystkim wartość zewnętrzna. Zobaczyliśmy już to w części pierwszej eseju, w której podanym przykładem była liczba 580 w dziejach Jakuba i Ezawa. Dobitym przykładem użycia kryptonu gematrycznego jest kwestia liczby 666 w Apokalipsie św. Jana (nasze rozwiązanie przedstawimy kiedy

indziej). Innym przykładem jest niewątpliwie użycie zapisu athbaszdla Babel u Jeremiasza (Jr. 25.26 i 51.41), jako Szeszakh ($300+300+20 = 620$). Należy tu dodać, że nie zawsze jest tak, że jakieś słowo w zapisie athbasz przynosi inne, jedno tylko słowo. Może to być wyrażenie, które podlega interpretacji. Rzecz w tym, że w zapisie athbasz można mieć do czynienia ze skrótami literowymi, szczególnie tam gdzie chodzi o litery z nadanymi im walorami samogłoskowymi (np. przy alef, ajin, waw), albo w ogóle niewymawianymi (np. końcowe he). Jeremiaszowe Szeszakh np. było tłumaczone jako „całkowicie pogrążone”, bo szaja ($300+100+1$

= 401) znaczy: pogrążyć się, zapadać się, podobnie jak szach ($300+8 = 308$) — pogrążyć, zrzucić w dół. Zarazem jednak zapis Szeszakh objaśnić też jako

„Jedynie Sześć” (bo: Szesz = $300+300 = 600$, to sześć, zaś akh = $1+20 = 21$, znaczy: tylko jedynie z pewnością). Albo może to być Szasz-akh, czyli „Tylko Jest Szczęśliwe”, i wobec tego będzie chodziło „tylko o cieszenie się światem liczby sześć”, inaczej—tylko „tym światem”. Wszystkie trzy przekłady athbasz dopełniają się i są komplementarne dla pojęcia Babel (zaiste—Wielkiej Nierządnicy!).

Ponadto, pod wartością zewnętrzną jakiegoś słowa mogą się kryć nie tylko inne słowa, lecz pewna ilość całych wyrażeń, niekiedy o bardzo różnych i przeciwnych sobie znaczeniach. Wreszcie i to jest jeszcze jedna jedna dowolność

o charakterze subiektywnym, przejścia między wartościami gematrycznymi różnych słów niekoniecznie muszą opierać się o prostą regułę, że: $a = x$, albo: $a = x+y+z\dots$, lecz też o nieco bardziej skomplikowane zasady, np. $a = xy$, albo $a = x/y$ itd. (zawsze, przy danym poziomie dokładności). Właściwie, dla każdego słowa można, stosując różne reguły, dobrać przejście do wielu różnych słów. Należy jednak zdawać sobie sprawę z faktu, że związki gematrii numerycznej, to rodzaj jakby „otwartego języka”, który sam przez się ani nie jest fałszywy ani prawdziwy, ale po prostu jest. Nie ma sensu powiedzieć, że język polski (albo jakieś jego słowo) jest fałszywy, czy prawdziwy, bo to są tylko werbalne oznakowania postrzeżeń rzeczy, wyobrażeń, myśli, uczuć albo doznań woli — i tyle!

Stosując procedurę gematrii numerycznej interesuje nas po prostu zagadnienie, w jakie pole znaczeń obrośnie dane słowo ze względu na fakt, że literom alfabetu tradycja żydowska nadała odpowiednie wartości cyfrowe (być może, że system ten został przejęty od Fenicjan).

Przy tej okazji trzeba podkreślić, że tak się dziwnie składa, że litery s-f(p)-r ($60+80+200 = 340$) zapisują takie słowa jak: sefer-księga, zwój, safarliczyć, liczba,

sipper-opowiadać, obliczać (por. niemieckie-erzahlen, f rancuskie-raconter, hiszpańskie-contar, albo azteckie-pohua, wszystkie o analogicznym sensie obliczania i opowiadania). Wartość zewnętrzną 340 ma też słowo szam ($300+40 = 340$), które znaczy: imię, nazwa, tytuł, kategoria, zaś szam, tak samo pisane - wartościować, szacować, oraz sam - ustalić, czynić, ustano-

wić, kształtować. Albowiem szem, to imię istoty rzeczy, a także operacyjnie (magicznie) ją kształtujące. Podobnie jest z naam ($50+1+40=91$), które znaczy: mówić, wypowiadać, obwieszczać, skąd tak samo zapisane n(e)um to: słowo, stwierdzenie, czy też obwieszczenie, wypowiedź, ale zawsze wypowiedź Boga, bezpośrednia, lub przez proroka. Tymczasem słów o man a ($40+50+1=91!$) znów znaczy: liczyć. Konkluzję tego drugiego zestawu stanowi, oczywiście, Amen ($1+40+50=91$), i taką samą wartość zewnętrzną ma mal(e)akh ($40+30+1+20=91$), czyli anioł, postaniec. Konsekwentnie (i pomijając wiele innych bardzo istotnych zbieżności), wewnętrzny Pantokrator wśród siedmiu „kościół” Apokalipsy, właśnie w 7-mym, nazywa siebie „Amen, świadek wierny i prawdziwy, początek stworzenia Bożego” (Apk.3.14).

Na razie powinno to nam wystarczyć, żeby zdać sobie sprawę na wstępie z tego, jak głęboko zakorzeniony jest w hebrajskim słownictwie związek między liczbą a słowem, oraz typowa dla starożytności koncepcja „imienia” (nazwy), które, co warto powtórzyć, poznawczo odnosi się do istoty rzeczy, a operacyjnie powinno ją magicznie tworzyć. W tym miejscu trudno oprzeć się pokusie i nie zacytować stwierdzenia, które pada z ust Sokratesa w platońskim „Kratylosie”: „Prawdę mówi Kratylós twierdząc, że nazwy przysługują rzeczom w sposób naturalny i że nie każdy będzie twórcą nazw, lecz jedynie ten, kto zważa, by nazwa wszystkiego była zgodna z naturą, i potrafi oddać jej obraz za pomocą liter i sylab”.

Po tych wszystkich wprowadzających wyjaśnieniach, przystąpmy do szczegółowej analizy arki - tebah. Jak już wiemy z części I tego eseju, zapisują to słowo litery o imionach (Szemot): taw - znak (granicy), beth - dom i he - tchnienie. Arka - tebah zatem, to „Znak Granicy Domu Tchnienia”. W pierwszym przybliżeniu wypada podkreślić, że arka odgranicza od wód Potopu, będąc jakby pływającym „domem”, w którym znalazły schronienie wszelkie istoty żywe z ruach chajim, czyli Duchem (też: wiatrem, tchnieniem) Życia. Istoty te zostały zbawczo przeniesione znad granicy starego, zepsutego świata, na granicę świata nowego, a taw to znak i granicy i zbawienia, jak dowodziliśmy w części pierwszej oraz liczba 400 - symbol krańca fazowego dowolnego procesu, jego końca. Idąc za uprzednio cytowanym Ezechielem (9.4-6) można by powiedzieć, że w arce znalazły się stworzenia opieczętowane zbawczym taw, znakiem rozdroża (skrzyżowania dróg) i krzyża, którego forma nie uległa zmianie od egipskiego prototypu hieroglificznego dla litery synaickiej, aż po pismo starohebrajskie (kanaaickie).

Beth to: dom, rodzina i liczba 2. 1 oto w arce — domie znalazły się wszystkie istoty lądowe po parze dwupłciowej, tak jak rodzina Noego. Istotą domu jest zresztą zasadnicza dwoistość zewsząd ograniczonej ścianami malutkiej przestrzeni mieszkalnej i ogromnej przestrzeni na zewnątrz. Dom umożliwia utrzymanie odrębności zagospodarowanego wnętrza od środowiska zewnętrznego. Podobnie funkcjonuje łono macierzyńskie i nazywa się homojofonicznie bethen ($2+9+50 = 61$), a dziewica to Betulah ($2+400+6=30+5 = 443$), która jako matka Mesjasza, staje się Domem Bożym, czyli Beth—El ($2+10+400+1+30 = 443$).

Od takiej, na dwa sposoby ujętej, dwoistości zaczyna się Biblia, gdyż jej pierwszym słowem jest B(e)reszith—W początku... Początek ten jest quasi-punktowym zgęszczeniem sapiencjalnej mocy stwórczej i nazywa się wtedy Nequadah - punkt, jak o tym obszernie wywodzi Księga Blasku—Sefer Zohar. Odpowiada też synowi jako Bar, a B(e)reszith to także „Bara — szith”, czyli „stworzył sześć”. Słowo to składa się z 6 liter ($2+200+1+300+10+400 = 913$) i w sześciu etapach zwanych „dniami” następowała kosmogonia w parach biegunowych przeciwieństw. Partykuła b - przed słowem hebrajskim oznacza: w, przez, na... „Punktowe” B(e)reszith umieszczone jest w odchłani pierwotnej —tehom, która staje się w wyniku przedkreacyjnego „samościągnięcia” się Ojca w stan Syna, od-, dla-, przez-, w- którym zaczyna się świat.

I też, maleńka arka-dom dwoistości męsko-żeńskich par pływa pośród otchłani wód Potopu...

Wreszcie, końcowa litera tebah, tj. he, to tchnienie, a jako liczba, to 5 - liczba zjednoczenia się w centrum i nowego początku (potomka), który następuje po krańcowej 4-ce. Pary zamieszkałe czasowo w arce wydadzą więc liczne potomstwo

w „nowym świecie”, po przejściu przez katastroficzny Potop, przez 4,40,400 „wód czasu”. Potomek, nowe życie, zaczyna się od quasi-punktowego ośrodka zjednoczonych przeciwieństw substancji dziedzicznej ojca i matki, ujmując rzecz współcześnie - od stanu zygoty, w której upakowana jest informacja wyrażająca się niewyobrażalną liczbą $3,5 \times 10$ do potęgi 9 par nukleotydów. Jednakże, ujmując rzecz biblijnie, nie wystartuje ona do nowego życia, jeśli nie wstąpi w nią dusza. U człowieka, zgodnie z koncepcją hebrajską, ma ona pięć aspektów, dla których „tchnienie—oddech” jest wspólną manifestacją. W związku z literą he, Księga jasności - Sefer ha-Bahir, tak o tym mówi (u. 53): „A dlaczego złoto nazywa się Zahab ($7+4+2 = 14$)? Ponieważ zawiera w sobie trzy miary: męską - zakhar ($7+20+7 = 27$) jako zekher znaczy: pamiętać, do czego aluzję czyni litera zajin, pierwsza litera Zahab. Drugą zasadę stanowi dusza symbolizowana tutaj przez he, a dusza (neszamah) nazywana jest pięciu imionami: Ruach ($200+6+8 = 214$ - duch, wiatr, tchnienie), Chajjah ($8+10+5 = 23$ - żyjąca, życie), Jechidah ($10+8+10+4+5 = 37$ - jedyna), Nefesz ($50+80+3 = 430$ - dusza życiowa, zwierzęca) i Neszamah ($50 + 300+40+5 = 395$ - dusza wyższa, iskra z Tronu Bożego). Jaka jest jej funkcja w he? Stanowi ona tron dla zajin (= broń, miecz), bowiem zostało napisane (Koh.5.7): „...bo, nad wysokim czuwa wyższy, a jeszcze wyższy nad tamtymi”. Co się tyczy beth w Zahab, to (litera) ta gwarantuje utrzymanie i trwanie dwóch poprzednich zasad, jak to zostało powiedziane: „B(e)reszith bara”... W początku stworzył... (Gen. 1.1).”

Najwyższym, bo sprowadzającym do Jedności aspektem „duszno-duchowych” składników człowieka, jest Jechidach - Jedyna, centralnie położona w wymienionej ich piątce. Ona to też (o.w.z. = 37) zapewni ich jedność z ciałem, czyli ul ($1+6+30 = 37!$). A inne jeszcze znaczenia słowa jechidah, to jedność, jedynność, pojedynczość, poszczególność.

Odchodząc od tego bardziej dosłownego rozumienia zapisu literowego tebah i wkraczając głębiej w jego semantykę, okaże się z kolei, że ów „zbawczo odgraniczający dom tchnienia”, to słowo mówione określonego języka.

Rzecz w tym, że w pozabiblijnym hebrajskim takie jest właśnie drugie znaczenie słowa tebah. Cóż może przywieść do tego drugiego sensu? Otóż, co podał F. Weinreb w swej wyjściowej książce (sens Biblii podług najstarszej tradycji żydowskiej", Bern, 1978), wymiary arki 30x300x350 przynoszą wartości cyfrowe liter dla zapisu rdzeniowego słowa laszon ($30+300+6+50=386$), które jako aramejskie liszon ($30+300+50=380$), o tym samym znaczeniu też w Biblii występuje. A laszon, względnie liszon oznacza: język, zarówno w sensie narządu mowy jak i jej samej (jak to zresztą mamy też w polszczyźnie). Wyprzedzając właściwą analizę gematrii numerycznej dla tebah, dorzucmy jeszcze od siebie, że w.z. tebah wynosi 407 i jest więc równa terminowi oth ($1+6+400=407$), który, m.in. znaczy: litera!!!

Przeto arka w swym drugim sensie, to język, którego słowa mówione i pisane przenoszą życie ze starego świata, poprzez katastrofę powodzi - w nowy. Chodzi o język elity funkcjonującej pod wodzą „męża sprawiedliwego i nieskazitelnego”, który „chodzi z Bogiem” (bo tak został określony Noe w Gen.6.9). Język bowiem jest w stanie zawrzeć i przenieść życie właściwej tradycji kulturowej. Tutaj przez powódź Potopu rozumieć należy wyniszczający wylew, najazd obcych ludów jak to Biblia określa w niejednym miejscu. W tym kontekście wolimy odnieść się do definicji w Apokalipsie (17):

(1) „Chodź, pokażę ci sąd nad wielką wszeteczną, która rozsiała się nad wielu wodami”

(15) „I mówię do mnie: Wody, które widziałeś, nad którymi rozsiała się wszeteczność, to ludy i tłumy i narody i języki.”

Nota bene, głoś Pantokratora, to także e „jak by szum wód” (Apk.1.15), co przedtem tak zostało wyrażone przez Ezechiela w jego wizji Merkabach - ojcowego wozu tronowego Boga Wszzechmocnego (=gr. Pantokrator, też—Wszechwładca),

z wyglądu „podobnego do człowieka”(1.24): „...jak szum wielkich wód, jak głos Wszzechmocnego, jak hałas tłumu, jak wrzawa wojska.”

Do kwestii tej jeszcze powrócimy, a teraz zajmijmy się zebraniem wszystkich możliwych słów biblijnych wokół terminu tebah, które z nim współbrzmia fonetycznie. Okazało się, że dadzą się one podzielić z grubsza na dwie grupy, z których jedna odnosi się do samej sytuacji sprawczej dla Potopu, a druga do struktury arki. Z uwagi na szczupłość miejsca, tylko dla niektórych homjfonów zostną podane ich konteksty biblijne w celach wyjaśniających.

Zacznijmy od toebah ($400+6+70+2+5=483$), które znaczy: obrzydliwość;

czasownikowo mamy zaś teeb ($400+1+2=403$) - brzydzić się. Kontekst użycia pierwszego terminu u Ezechiela pokazuje, że można go przydzielić do grupy i-szej.

Oto cytat (Ez.5.9): „I z powodu wszystkich twoich obrzydliwości dokonam na tobie czegoś, czego nigdy jeszcze nie uczyniłem, i czego nigdy już nie uczynię, (por. Tęczę Przymierza po Potopie i daną wtedy obietnicę). (11) Dlatego jako żyję, mówi wszechmocny Pan - ponieważ swoją świątynię splugawiłeś wszystkimi swoimi ohydami i wszystkimi swoimi obrzydliwościami, dlatego Ja odrzucę cię, moje oko nawet nie drgnie i także nie będę miał litości.” Do

teeb warto zacytować Amosa (6.8): „... mówi Pan Bóg Zastępów: Brzydzą się pychą Jakuba, nienawidzę jego pałaców, wydam na łup miasto i wszystko co w nim jest”.

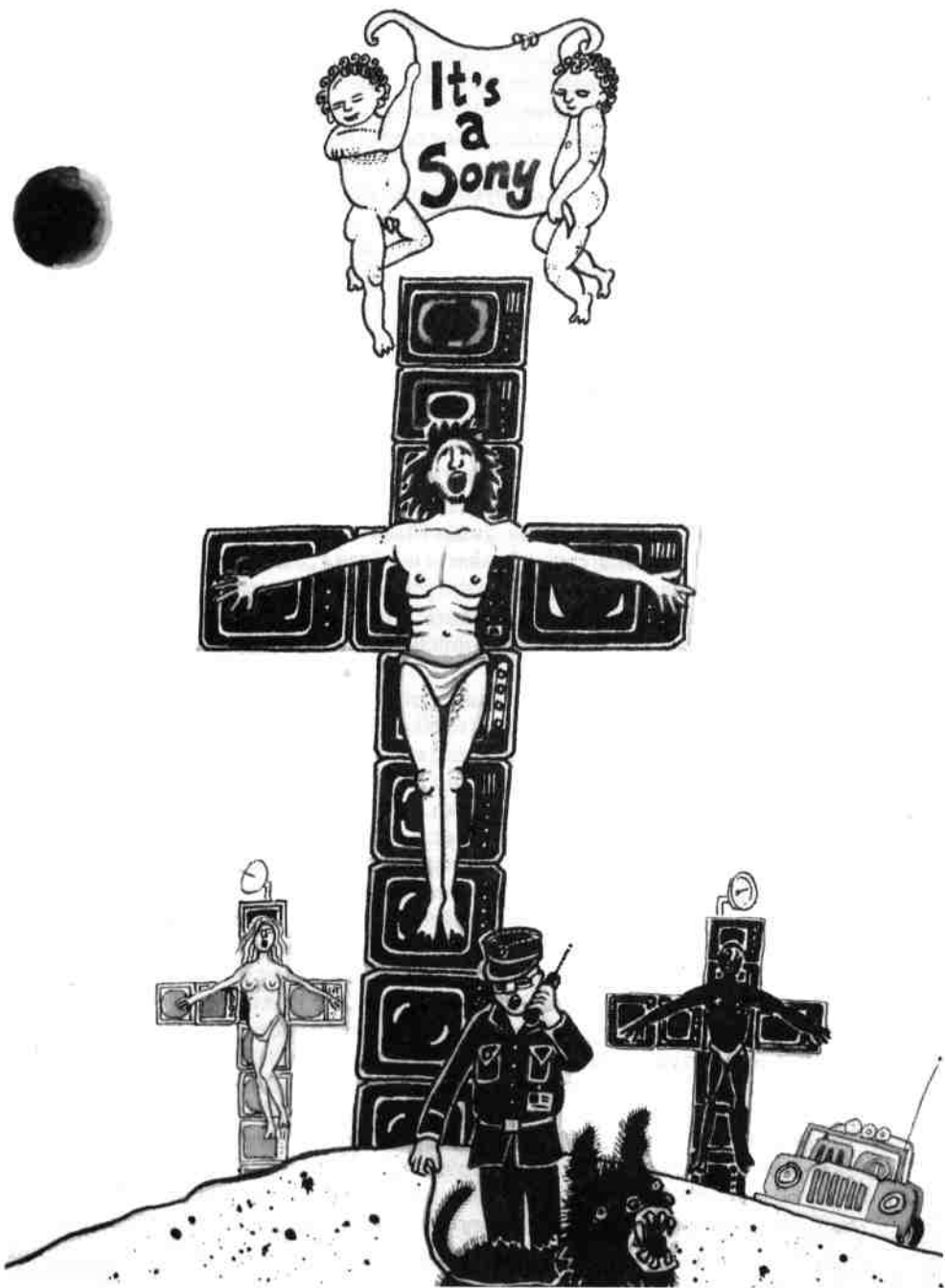
Jak widać, choć teksty te odnoszą się do uprawiania idolatrii przez Izraela, sens użycia w nich toebah jest taki, że równie dobrze mógłby się znaleźć w związku z czasami poprzedzającymi Potop. Chodzi wtedy o ogólne skażenie dróg życiowych stworzeń ziemi, którego przyczyną wyjściową był fakt upadku Synów Bożych z córkami ludzkimi. Ten niezmiernie istotny z wielu względów wątek rozwinie my kiedy indziej, a tu ograniczymy się do roli, jaką w tym pełni pierwsze w Biblii użycie następnego homojofonu do arki, tzn. $bo2+6+1 = 9$) lub $ba (2+1 = 3)$ — przychodzić, wchodzić, wkraczać. Tak się złożyło, że został on po raz pierwszy użyty akurat w odniesieniu do owych Synów Bożych w Gen. 6.4, co w dosłownym tłumaczeniu brzmi: „...Olbrzymi byli na ziemi w dni owe, oraz potem, gdy Synowie Boży wchodzili w córy człowiecze, a rodziły one ich. To są mocarze, którzy od eonu (są) ludźmi imienia (=szem).”

Potem mamy ten czasownik w Gen. 6.13: „...koniec wszelkiemu ciału przychodzi...” I wreszcie w odniesieniu już do arki (Gen. 7.1.): „I rzekł Pan do Noego: Wejź do arki ty i cały dom (Beth) twój”.

Drugim takim składnikiem fonetycznym tebah, będzie $ab (1+2 = 3)$ - ojciec, przodek, który stanowi tylko odwrócenie ba . No i właśnie, Syn Boży „ ba ” wchodzi

w córkę człowieczą, aby stać się „ ab ” olbrzymia i mocarza, zaś Noe był praojcem - ab pokoleń popopotopowych, a pierwszym synem był Szem. Zarówno owa córa ludzka była chwilowo „pomieszczeniem mieszkalnym” dla Syna Bożego, jak i arka, dla Noego i całego jego zgromadzenia; słowo $ta (400+1 = 401)$, znów hojofomiczny składnik tebah, znaczy: komora, komnata, czyli ogólnie—pomieszczenie mieszkalne. Nota bene, wiemy, że było ich trzy w arce, choć inaczej nazwane, jeśli do nich odnosić określenie $qen (100+50 = 150)$ - gniazdo, użyte w Gen. 6.14, co jest niepewne.

Grzesznemu światu został więc wyznaczony kres, a $teah (400+1 +5 = 406)$, to: zaznacza granicę; konsekwentnie i homojofonicznie, i swą warością zew. odpowiada znakowi $taw (= 406)$. O całym tym kompleksie taw była już mowa w części I eseju, a tu podkreślimy tylko jego współbrzmienie z tebah, szczególnie, skoro wiadomo, że $b = w$. Liczbą tego kresu jest 17, m.in. wartość zewnętrzna innego homojofonu tebah, tj. $thob (9+6+2 = 17)$, o ogólnym znaczeniu dobra. I tu jest dobre miejsce, aby poszerzyć jeszcze graniczny sens 17-tki. O takim znaczeniu koziołka - $gedij (3+4+10 = 17)$, i ofiar rzeźnej — zębach $(7+2+8 = 17)$, a ofiara to zawsze dawanie, czy oddawanie czegoś, czyli jahab $(10+5+2 = 17)$ - znaczy: dawać, oddawać, dostarczać — już pisaliśmy. Wracając do granicznego sensu thob, to słowo to zostaje po raz pierwszy użyte na końcu pierwszej (z 10) wypowiedzi stwórczej w Gen. 1.4: „I widział Bóg, że światłość była dobra (thob = 17). Oddzielił tedy Bóg światłość od ciemności.” Charakter tego dokonania został dookreślony w Ks. Hioba przy użyciu terminu chug $(8+6+3 = 17!)$ - nakreślać lub czynić okrąg, koło, okrąg horyzontu:



(Hi.26.10) „Nakreślił okrąg - granicę w obliczu wód, aż po kraniec światła przy ciemności” (tłum. dosł.). Bogu - Stwórcy towarzyszyła wtedy żeńsko upostaciowana i z Niego wywiedziona Mądrość—Chokhmah ($8+20+40+5 = 73$), jak o tym czytamy w Przypowieściach Salomona (8.27): „Gdy budował niebios, byłam tam gdy odmierzał okrąg nad powierzchnią toni (dosł. - otchłani-tehom).”

Ta okrężna granica - chug występuje w Biblii tylko jeszcze w dwóch innych miejscach:

(Iz. 40.22). „ Siedzi nad okręgiem ziemi, a jej mieszkańcy są jak szarańcze, rozpostarł niebo jak zastonę i rozciąga je jak namiot mieszkalny”;

(Hi. 40.22). „Gęste chmury osłaniają Go i nie widzi się, gdy się przechadza na skraju (dosł. ojkregu - chug) niebios.”

Z nad granicy brzegu lub łodzi - łowi się ryby (jakżeż ważna czynność w Ewangelii!), po hebrajsku dajig ($4+10+3 = 17$), a rybak, to dajjag, tak samo pisany. Szczególnie znamienna to czynność, kiedy w obecności zmartwychstałego mesjasza i na Jego zlecenie, apostołowie - „rybacy ludzi” wyłowili z łodzi p o prawej stronie w jeziorze Tyberiadzkim, dokładnie 153 ryby, które wyciągnął na brzeg Szymon Piotr (J. rozdz.21). Dlaczego 153? Bo B(e)nei ha - Elohim - Synowie Boży pisze się: $2+50+10+5+1 +30+5+10+40$, co jest równe 153, czyli $9 \times 17!$ Niechaj czytelnik sam to powiąże z „ okręgiem horyzontu ” - chug, a my wyczerpiemy resztę możliwych słów biblijnych o wartości zewnętrznej wynoszącej 17. Będą to jeszcze: z(e)bub ($7+2+6+2 = 17$), tzn. mucha, g(e)du d ($3+4+6+4 = 17$) - rozbujnicy, band a rabusiów , ora z badda i ($2+4+1+10 = 17$)- kłamca.

Ale jaki terminy te mają związek z dotychczasowymi naszymi wywodami na temat sensu 17? Otóż mają, i to jak najściślejszy!

Aby to pojąć, powróćmy do wyżej wymienionego, pierwszego aktu stwórczego z Gen. 1.4. Powiada się tam tylko o światłości, że jest dobra, skąd wynika, że z ciemnością, która (Gen. 1.2) "była na obliczu otchłani (tehom: $400+5+6+40 = 451$ ") - jest zgoła inaczej... Św. Augustyn w swym „Państwie Bożym” interpretuje całe to zdanie jako stworzenie świetlistej pleromy aniołów, od których odstępują w ciemność zastępy Buntowników. Następuje więc pierwszy podział na Synów Światłości i Synów Ciemności. Widać z tego, że coś z manicheizmu pozostało w poglądach św. Augustyna, a manicheizm to późny, judeochrześcijański wykwit gnostycy z perskiego zoroastrizmu. Wszakże, do pewnego stopnia, werset biblijny z Gen.1.4 może i niezależnie uzasadniać takie podejście, bowiem kiedy jest mowa o oddzieleniu światłości od ciemności, to pada zwrot (w tłum. dosł.): i . . . rozdzielił Elohim pomiędzy światłością i pomiędzy ciemnością". To między, czy pomiędzy (też: pośród, podczas) wyraża się słowem, które może być czytane be(i)n, lub ben ($2+50 = 52$), co znaczy: syn! Wówczas, słuchając tekstu, albo uwzględniając interpretację homojofoniczną, można go też zrozumieć: „...rozdzielił syna światłości i syna ciemności". Ten podział na Synów Światłości i Synów Ciemności jest bardzo charakterystyczny dla Esseczyków z Oumaran (trzeba się upierać tu przy Esseńczykach) i występuje też w Ewangelii.

A jak się to ma do Zoroastryzmu? W tym celu najlepiej postużyć się cytatai ze swoistej Genetis, jaką jest Bundahisz (czyli „Korzeń jest udzielony”, albo: „Od Prapoczątku do Stworzonego”): (I). „Zendpoucza nas, e w prapocztku istnienie zostało udzielone CV777wzfcw/(„Pan-Mądrość”) iPeetiare Arymanowi(„ ródło Zła - Przybrany w Zło”), i jak potem stafs wiat po ich powstaniu, i jaki b dzie a do ko ca, do zmartwychwstania ciat. Bowiemy ra nie napisano w Prawie Mehestana (imi ę uczni a Zoroastra.), e Ormuzd wyniesiony ponad wszystko, obdarzony najwysz m dro ci i czysto ci, zamieszkuje Okr g wiatka wiata. Ten Tron wiatka, pomieszkanie Ormuzda, jest tym, co si zwie „Pierwsze wiatło”, za nad wszystkim góruj ca m dro i czysto - twory Ormuzda, to Prawo.

Zarówno Ormuzd jak i Aryman, w ci gu swego istnienia, s potomkami Bezgranicznego Czasu (Zurvan Akaran), przy czym wspaniały Ormuzd z Prawem był w czasie, jest i b dzie w wieczno ci.

Aryman... mieszkał ze swoim prawem w ciemno ciach. On zawsze uderzał i od prawieków był złym, jest nim jeszcze, ale nie b dzie kiedy złym, ani nie b dzie uderzał. Jego prasiedzib była „Pierwsza Ciemno”. On - Zły, był sam w jej rodku... Samotnie przebywali oni w centrach swych otchłani, a przybli yli si ku sobie... Ormuzd jest ograniczonyale On sam - bez granic, poniewa przenika granice mocy obu Istot wchłoni tych przez niesko czono ... Ormuzd znał, dzi ki swej wszechogarniaj cej Wiedzy, podst pne przedsi wzi cia zło liwych pragnie Arymana: jak b dzie On mógł, do ko ca rzeczy, swe dzieła ze skutkami dobrych bytów wymiesza, i jak jego panowanie sko czy si ... Aryman nie wiedział tego, co wiedział Ormuzd... (następuj e nader zróżnicowana działalność obu Istot, przy czym czytelnik łatwo dostrzeże niewiarygodną bzdurność niekiedy głoszonej tezy, że Zoroastrizm zakładał symetrię między Dobrem a Złem!.. Potem Aryman, w towarzystwie wszystkich Dewów(w Indiach, to bogowie, a w Iranie - demony, którym w Indiach, z kolei, będą odpowiadać Assury) przybli yłsi ku wiat/u i ujrzał niebo. Tylko o niefadzie my l ce De wy zamierzały we uderzy. Jednak jedynie Aryman wtargn ł do nieba (por. Iz.rozdz. 14). W postaci W a zeskoczył z nieba na ziemi ... Przeci gał w regionach wody. Pod sob ujrzał ziemi i przecisn ł si przez wydr ony otwór do rodka ziemi i przyprowadził Drzewa, Byka i Gajmorta (rodzaj pracztowieka,) i Ogje. W postaci Muchy (!!!) dr czył wszystkie stworzenia... Nad wszystkim rozci gn ła si Czer, jak noc... I Gajmort rzekł do : przybywasz jako Wróg, ale wszyscy ludzie z mego nasienia b d czyni to, co czyste, prace pełne zasług, i one rzuc ci na ziemi. Wtedy Aryman wtargn ł w Ogje i wywołał czarny dym. Chroniony przez zast p Dewów, wmiszał si w planety, wznosił si ku niebu gwiazd, przenikn ł przez gwiazdy stałe i wszystko co zostało stworzone. I nagle wzniosły si chmury dymowe ze wszystkich ogni w wszelkich miejsc. Przez 90 dni i 90 nocy walczyły w wiecie Izeoy(Jazatas — Godni Czci) Nieba z Arymanem i wszystkimi Dewami. Str ciły Go, bezsilnego, w otchła Duzakh (tj. Piekiełj itd., itd.)"

I oto pokazuje się nam biblijny Belzebub (Baal — Zebub — Pan Muchy: 2+70+30+7+2+6+2 = 119 = 7x17), najpierw bóg filistyński z Ekronu (zob. II Król. 1.2,6,16), który u faryzeuszki uzyskał kwalifikację „księcia demonów”, zaś u Chrystusa powiązany został z Szatanem - związek ten jest gematrycznie

całkowicie usprawiedliwiony, jeśli wziąć pod uwagę, że Baal-Zebub (=119) plus tzeffa (90+80+70 = 240), tzn. wąż, gad, żmija - wynosi 359, a to jest właśnie wartość zewnętrzna Szatana (hebr.: sathan = 300+9+50 = 359 - przeciwnik, przeszkadzający, oskarżyciel). Analogie z wyżej ukazanym Arymanem staną się jeszcze wyrazistrze, jeśli się przeczyta zdanie z Iz. 14.29, które dosłownie brzmi: „... . gdy z korzenia w a (nachasz) wyjdzie gad (tzeffa), a jego płodem b dzie w lataj cy (sarafm(e) ofef)”. Ot o miejsc a w Ewangeliiach, jak najbardziej godne zacytowania, w których występuje Belzebub;

(Mt. 12.24) : „A gdy to usłyszeli faryzeusze (gdY Jezus uzdrowił nieme - go ślepcą.) , rzekli: *Ten nie wygania demonów inaczej jak przez Belzebuba, ksi cia demonów (dosłowi. archonta) .* (25) A Jezus, *znaj c ich my li, rzekł im: Ka de królestwo rozdwojone samo w sobie, pustoszeje i adne miasto czy dom, rozdwojony sam w sobie, nie ostoi si .* (26) *A je li Szatan szatana wygania, sam z sob jest rozdwojony. Jak e wi c ostoi si królestwo jego?* (27) *A je li przez Belzebuba wyganiam demony, synowie wasi przez kogo wyganiaj ?,,*

Znajduje to ironiczną ekspresję we wcześniejszym zdaniu Jezusa (Mt. 10.25): „Wystarczy uczniowi, aby był jak jego mistrz, a sługa jego, jak jego pan; je li gospodarza Belzebubem nazwali, tym bardziej jego domowników”.

Powtórzenia mamy u Łk.11.19 -20, a też u Mk.3.22—27, ale tam zachodzi niezwykle istotne powiązanie ze słynnym grzechem przeciwko Duchowi Świętemu, a mianowicie czytamy:

(Mk.3.28): „Zaprawd , powiadam wam: Wszystkie grzechy b d odpuszczone synom ludzkim, nawet blu nierstwa, ilekro by je wypowiedzieli. (29) *Kto by jednak zblu nił przeciwko Duchowi wi temu, nie dost pi odpuszczenia na wieki, ale winien b dzie grzechu wiekiustego.* (30) *Bo mówili: Ma ducha nieczystego.*”

Dlaczego przeciwko Duchowi Świętemu? Jaki to ma związek z całym tym „rozgraniczaniem” ?

Może taki, że Bóg zakreśla Okrąg Światłości, oddzielając go od ciemności na obliczu wód, jako Duch Boży - Ruach Elohim (214+86 = 300), jak się o tym bezpośrednio pisze przed staniem się Światłości: (Gen. 1.2) „... a Duch Boży unosił się (= m(e)rachefeth, tzn. unosił się jak orzeł) na obliczu wód (oczywiście: wód Tehom)”.

Konkluzja odnośnie przeciwników Chrystusa zawarta jest w IV - ej Ewangelii:

(J.8.44). „ *Ojcem waszymesdiabeł (a nie Bóg jak była o tym przedtem mow a w 8.41) i chcecie post powa według po dliwo ci ojca waszego. On był m obójc od pocztku i w prawdzie nie wytrwał bo w nim nie ma prawdy. Gdy mówi kłamstwo mówi od siebie bo jest kłamac (czyli baddai) i ojcem kłamstwa.*” Przeciwieństwem Antymesjasza jest Jezus Chrystus, jako Syn Człowieczy, który o sobie tak powiedział: (J.8.12): „*A Jezus znowu przemówił do nich tymi słowy: Ja jestem światło ci (II) wiata; kto idzie za mn , nie b dzie chodził w ciemno ci (!!), ale b dzie miał światło ywota.*”(Tak się składa, że światłość i życie w hebrajskim wyrażą się słowami: or (1+6+200 =

207), oraz chajjah ($8+10+5 = 23$); związek między nimi jest gematrycznie zdefiniowany, bo $207 = 9 \times 23$. „Przeciwnicy Chrystusa i jego owczarni b d te nazwani wilkami„ (por. Mt.7.15 i J.10.12).

Tu trzeba dorzucić, że wilk—zaab ($7+1+2 = 10$) jest homoiof onicznie zawarty

w z(e)bub i że zeh ab, znaczy: ten ojciec. Wiadomo jaki jest wilk, a mucha? Mucha jest jak najściślej związana z wszelką nieczystością, zgnilizną i padliną oraz stanowi udrękę dla ludzi i bydła, szczególnie w klimatach cieplejszych...

Andrzej Wierci ski

przedruk za: "Arcanum" 2/92

MOJA WALKA

Wstałem rano o jedenastej i poszedłem na osiedle. Przed sklepem jakaś stara antysemitka uprawiała swój antysemityzm ostentacyjnie sprzedając ozdunek. Wywaliłem jej kosz i podeptałem to narzędzie prowokacji, po czym oddaliłem się, bo ciemnogród miejscowy chciał mnie zlinczować. Na boisku przy szkole spotkałem Józka. Porozmawialiśmy chwilę o polskiej nietolerancji i wtedy Józek zobaczył faszystę. Dla niepoznaki ubrany był w płaszcz i krawat, a nawet nie miał glanów, ale Józek poznał go po łysej głowie. Poczuliśmy przypływ nienawiści do faszyzmu. Zawołaliśmy jeszcze Staśka i Jurka i wspólnie rozprawiliśmy się z czarną zarazą. Pokazało się przy tym, że Józek dobrze go rozpoznał, bo gdyśmy go glanowali wycharczał: "Panowie, przecieź oddałem wam pieniądze...". A wiadomo przecieź, że panowie są tylko u faszystów. Poszliśmy potem uczcić to zwycięstwo piwem w parku. Przyszła tam do nas Kaśka, co to pierwsza na osiedlu założyła kolczyk w nosie na znak protestu przeciw swoim zgredom. Przyniosła zieloną farbę, którą oblałiśmy jakąś babę w futrze w ramach obrony naszych zwierzęcych przyjaciół. Było przy tym trochę śmiechu, bo ta morderczyni zwierząt rozpląkała się i wyjęczała: "Trzy lata na to pracowałam...". I jak tu takiej nie nienawidzić? Jurek poszedł i odlał się do fontanny, żeby zaprotestować przeciw szykanowaniu kochających inaczej. Jurek jest gejem i to on pierwszy pokazywał nam, jak zakładać prezerwatywy, dzięki czemu możemy się kochać spontanicznie. Potem wsiedliśmy do autobusu i ja nie skasowałem biletu i wszyscy mnie podziwiali. Na szczęście jechaliśmy tylko dwa przystanki i wysiedliśmy przy takim amerykańskim barze, co przez niego wycinana jest puszcza amazońska. Właśnie mieli go otwierać i zebrali się tam nasi z całego miasta. Mieli flagi i megafon i krzyczeli: "Ameryka do domu!". Próbowałem napisać na szybie tego baru "Jankesi do gazu!", ale jakiś goryl w garniturze zabrał mi sprej i obraził mnie. Odpowiedziałem mu: "Ty psie imperializmu!", co wszyscy nasi nagrodzili brawami. Podeszła do nas potem taka ładna lala i powiedziała, że jest dziennikarką i chce porozmawiać z nami o problemach współczesnej młodzieży. Zaprosiła nas do takiej knajpy, gdzie był fagas w takim długim garniturze, a Stasiak założył nogi na stół. Opowiedzieliśmy jej, jak nam ciężko, że starzy dają mało forsy i nas nie rozumieją, że musimy chodzić do szkoły, co nas bardzo stresuje, a potem nie ma pracy i musimy iść na bezrobocie, i że państwo musi coś z tym zrobić. Tej lali bardzo się to podobało, dała nam swoją wizytówkę i powiedziała, że jak to wydrukują, to przyśle nam honorarium z redakcji. Poszliśmy potem do domu, bo w MTV mieli być "Fucking Killers". Puściłem to na fuli, aż tym z dołu znowu rozryczał się bachor. A mówiłem im, że powinni używać pigułek. Wtedy zadzwonił Jurek i powiedział, że za naszą działalność w obronie tolerancji dostaliśmy nagrodę z fundacji jakiegoś Alberta Traumana i w dodatku pojedziemy do Brukseli reprezento-

wać polską młodzież na jakiejś konferencji młodzieży świata. Nie bardzo miałem ochotę, ale on powiedział, że będą tam Indianie i Hindusi. Wiedział, że lubię filozofię Wschodu i fascynują mnie wierzenia Indian, bo nasza cywilizacja nie ma nam nic do zaproponowania. Myślę, że wymienimy tam doświadczenia i znowu będziemy mogli walczyć o postęp i sprawiedliwość.

Zwierzeń wysłuchał

Józef Dostatni



MIRCEA ELIADE

INTELEKTUALIŚCI TO FASZYŚCI

Redaktor „Wolnego Słowa”, Miron R. Paraschivescu, pyta mnie, jak rozumiem określenie „anatomia spirytualno-duchowa” i czy przypadkiem nie oznacza to po prostu „faszyzmu”. Przeczytałem artykuł pana Mirona Paraschivescu ze wstrętem. Wydawało mi się, że w cytowanych wierszach dokładnie wyjaśniłem te zagadnienia. Autonomia (spirytualna) ducha nie oznacza tłumaczenia życia duchowego przez coś innego niż prawa ducha. A więc nie należy mylić „ducha” z krwią (jak to robią rasiści), ani z seksem (jak to robi Freud), ani z zjawiskami ekonomicznymi (jak to robią marksiści). Wiedziałem, że to nazywa się „spirytualizmem”. Pan Paraschivescu twierdzi, że jego prawdziwa nazwa to „fasyzm” lub „zбочzenie”. To jego sprawa, że tak właśnie to rozumie. Zła wiara w szeregach naszych marksistów nie zna granic. I jest ona o tyle bardziej deprymująca, że pan Paraschivescu zwierza się nam, chętny do uczciwej dyskusji. „My lubimy dyskusję”, pisze. I my ją kochamy. Ale, żeby móc z kimś porozmawiać, konieczne jest pewne minimum dobrej woli, a każda informacja powinna dotyczyć tematu dyskusji. Jeżeli ktoś przychodzi i mówi ci, że znaczenie autonomii spirytualnej (ducha) znaczy „fasyzm” i „zбочzenie” (i to tylko dlatego, że taki pogląd jest antymarksistowski), chciałbym wiedzieć, jak jeszcze moglibyśmy o tym „dyskutować”. Narzuca się, że albo jest to nadzwyczajnie zła wola, albo bezgraniczna ignorancja. Czyżby wszyscy filozofowie świata byli „faszystami” czy „zбочeńcami”? Czyżby Croce, Bergson, Russel, Husserl - byli zбочeńcami i niczym? Czyżby cała współczesna psychologia, która analizuje autonomię życia duchowego, była tworem faszyzmu? Żeby fizyk Heisenberg, sam osobiście, był faszystą czy zбочeńcem? Ha! Skąd wiesz! To nie nasi marksiści odkryli Eminescu hitlerowca i Paruana chuligana rasistowskiego? W dyskusji z takimi rewolucjonistami można się wszystkiego spodziewać!

Pan Paraschivescu ma odwagę mnie pouczać. Pan Paraschivescu zwraca mi uwagę, że muszę odpowiedzieć „uczciwie”. Jeśli to nie byłoby charakterystyczne dla całej marksistowskiej prasy rumuńskiej, uśmiechnąłbym się i zignorowałbym go. Ale tutaj obnaża się cała zła wola, cała hipokryzja, cały semidoktryzm i cała jałowość tej pracy. Dlatego, że p. Paraschivescu prosi mnie o „odповідь”, którą mu dałem już dawno, w co najmniej dziewięciu artykułach, a nie w jednym ("Przyszłość inteligencji?", "Nowy barbarzyńca", "Kryzys rumuńszczyzny?", "Pojutrze" itp. itp.). I wtedy, albo p. Paraschivescu nie przeczytał ich i krytykuje w ciemno, albo je przeczytał, ale ich nie zrozumiał, i wtedy nie ja jestem winny, lecz jego ignorancja.

Nie jestem zobowiązany do prowadzenia wykładów z fizyki, psychologii i „filozofii”, żeby uzupełnić kulturę każdego napotkanego marksisty. Tych rzeczy uczy się w domu i zakłada się, że znane są stronom prowadzącym dyskusję „rehabilitacji spirytualnej (ducha)”. Nie można dyskutować o muzyce Beethovena z kimś, kto nie słyszał w swoim życiu niczego więcej niż walca Tytanika! Tak samo nie możesz wytłumaczyć analfabecie - który pyta cię, jak poruszają się tramwaje - praw elektrotechniki. Dyskusja jest jak gra w szachy. Możesz być pokonanym albo zwycięzcą, ale żeby ją zacząć musisz znać reguły gry. Są ludzie, którzy siadają naprzeciw ciębie, prowokują do gry, a potem jednym ruchem pięści zrzucają wszystkie figury szachowe. „Zabiłem ich już na początku!”, dodają oni - zwycięzcy. Mniej więcej tak „dyskutuje” się u nas w kraju.

Panie Paraschivescu, jeśli jest Pan co najmniej tak „uczciwy” jak mnie prosisz, żebym był wobec ciebie, proszę iść najpierw do biblioteki, zdobyć wystarczające informacje, dowiedzieć się, co to znaczy „spirytualizm” i potem przyjąć porozmawiać. Gdyż na Państwa okrzyk - na okrzyk rewolucjonistów marksistowskich - „intelektualiści są faszystami!” - ja nie mogę zrobić nic poza wzruszeniem ramionami.

Mircea Eliade

Powyższy tekst ukazał się pod tytułem "Intelectuali e fasisti!" w piśmie "Masa Yorbirii" z 24 marca 1935

SPÓR O LISICKIEGO

Nie wiem, czy *"Nie-ludzkiBóg"* - książka 29-letniego ozaledwi e Pawła Lisickiego - wejdzie w przyszłości do kanonu polskiej eseistyki, ale już dziś można powiedzieć, że jest ona pozycją wyjątkową na naszym rynku wydawniczym i bardzo wartościową. Po jej lekturze Czesław Miłosz napisał w "Znaku", że Lisicki wyrasta na godnego następcę Bolesława Micińskiego. Trafność tego porównania polega tyleż na uznaniu formatu intelektualnego młodego eseisty, co na wskazaniu, iż podejmuje on pewien wątek w pisarstwie polskim, który przerwany został właśnie na Micińskim.

Miciński zmarł w 1938 r., Lisicki zadebiutował w 1994. Jaki to wątek "zaginał" na okres ponad półwiecza? Gdyby próbować określić to jednym słowem, można powiedzieć: resakralizacja.

Rok 1938 - data śmierci Micińskiego - jest oczywiście cezurą umowną. Marian Zdziechowski zmarł w tym samym roku. Trzy lata później w Palmirach rozstrzelany został Stanisław Piasecki. Karola Ludwika Konińskiego gruźlica kości zżarła w 1943 r., a rok później artyleryjski pocisk rozerwał Tadeusza Gajcego. Podczas wojny zginęli też przyjaciele Gajcego ze "Sztuki i Narodu": Wacław Bojarski, Andrzej Trzebiński, Zdzisław Stroiński.

Choć dzieliło ich wiele, jedna rzecz była dla nich wspólna. Wszyscy byli krytykami współczesnej im cywilizacji, której głównym wyróżnikiem była - by powtórzyć za Miłoszem - *"erozja mylenia religijnego"*. Jedyne o ratunku dla znajdującej się w stanie kryzysu cywilizacyjnego, kulturowego i obyczajowego ludzkości upatrywali w powrocie do *sacrum*.

Po śmierci nie mieli następców. Faszyzm i komunizm nie sprzyjały tego typu refleksji. Ci, którzy mogliby podjąć przerwany wątek, zostali wycięci w pień lub - w najlepszym razie - zakneblowani. Totalitaryzmy uczyniły metafizykę swoim wrogiem. Atakując w 1955 r. pojawiające się nieśmiało tendencje "odwilżowe", Juliusz Kroński pisał, że podważanie marksistowskiej dogmatyki prowadzić może do najgorszego - odrodzenia metafizyki, czyli myślenia antydialektycznego, a to - jak ostrzegał - oznacza triumf sił reakcji.

"Reakcja" oczywiście była, gdyż istniał chociażby Kościół katolicki. Nie brakowało więc książek na tematy metafizyczne, lecz miały one głównie charakter duszpasterski, homiletyczny lub teologiczny; brakowało natomiast dotkliwie przeżnej eseistyki z zakresu filozofii religii i metafizyki kultury. W dodatku takiej eseistyki, która nie zajmowałaby się sprawami "odkurzonymi", lecz znajdowała się w żywym sporze z dominującymi i desakralizującymi prądami epoki. Brakowało takiego typu pisarstwa, jakie w innych krajach reprezentowali m.in. Gilbert Keith Chesterton, Thomas S. Eliot, Clive Staples Lewis, Mikołaj Bierdiajew, Mikołaj Arseniew, Jose Ortega y Gasset, Denis de Rougemont, Giovanni Papini czy Tomas Molnar.

Wyjątkami byli Czesław Miłosz oraz (z pewnymi zastrzeżeniami i tylko na starość) Leszek Kołakowski. Nie tworzyli oni jednak w kraju, lecz na emigracji i jako wielcy samotnicy stanowili wyjątki, potwierdzające ogólną regułę. Szansa na powstanie całej formacji kulturowej, która odwoływać się będzie do idei resakralizacji, pojawia się dopiero w czasach obecnych i wiąże się z młodym pokoleniem. Pojawiają się pierwsze zwiastuny takiego pisarstwa, do których zaliczam eseistykę tak różnych twórców, jak chociażby Krzysztof Kehler, Cezary Michalski czy Paweł Lisicki. Od Miłosza czy Kołakowskiego odróżnia ich wyraźnie to, że owego *sacrum*, w którym widzą jedyny warunek i gwaranta sensu naszego istnienia, nie postrzegają w sposób podszyty gnostycyzmem czy agnostycyzmem.

W tym właśnie nurcie resakralizacji kultury sytuują także FRONDE, toteż ze zdziwieniem przeczytałam w ostatnim (4/5) numerze pisma recenzję br. Zdzisława Szymańdy OP pt. "Kłopoty z Panem Bogiem, ludzkością i tradycją". Zdziwienie moje było potrójne. Po pierwsze - że Lisickiego skrytykowano, i to w sposób miążdzący, właśnie na łamach FRONDY (podczas gdy np. w "Znaku" czy "Tygodniku Powszechnym" ukazały się bardzo przychylnie mu recenzje). Po drugie - że Lisickiego schlał nie żaden ateista czy agnostyk, lecz dominikański brat duchowny. Po trzecie - że recenzja napisana została, niestety, na niskim poziomie merytorycznym.

Br. Szymańda twierdzi, że poglądy Lisickiego są *"powierzchowne, a czasem nawet sprzeczne z Ewangelią"*, zaś o rozumieniu wiary przez Lisickiego pisze, że *"na pewno nie jest to chrześcijaństwo, które zapoczątkował Chrystus"*. Całe szczęście, że to nie br. Szymańda jest Magisterium Kościoła i to nie on orzeka o zgodności danych poglądów z Pismem i z Tradycją. Ciekawsze jednak od tych konkluzji wydają się metody, za pomocą których autor recenzji dochodzi do tak daleko idących wniosków.

Już na samym początku czyni on zarzuty Lisickiemu, używając takich przymiotników, jak: bezkompromisowy, jednoznaczny, powierzchowny. Nie wyjaśnia jednak, dlaczego sąd jednoznaczny i bezkompromisowy może wykrzywiać rzeczywistość. Nie pokazuje też, na czym polega jednoznaczność sądów Lisickiego. Z pewnością wyrażenie *"Bógistnieje"* **jest** jednoznaczne. Czy przez swą jednoznaczność i bezkompromisowość jest więc ono wykrzywieniem rzeczywistości? Otóż o tym, czy dane twierdzenie zniekształca rzeczywistość, czy też nie, decyduje nie jego jednoznaczność czy bezkompromisowość, ale jego zgodność z przedmiotem.

Br. Szymańda twierdzi, że *"zmierzenie się z tak wieloma problemami na niespełna trzystu stronach nie pozostaje bez wpływu na powierzchowność przemysłu"*. I znów wypada przypomnieć bratu, że to nie ilość wypowiedzianych na dany temat słów zapewnia sądowi głębokość, lecz jego zdolność do ujmowania istoty rzeczy. Jedną myśl Pascala ujmuje głębiej istotę chrześcijaństwa niż dziesiątki tomów Woltera. Jeśli przyjąć rozumowanie br. Szymańdy (że im krócej, tym powierzchowniej), to najbardziej powierzchowne jest chrześcijańskie Credo, bowiem streszcza całą religię w kilku zdaniach.

Egzegeza książki Lisickiego przez br. Szymańdę pozostawia wiele do życzenia, gdyż charakteryzuje się skrajną wybiórczością. Najpierw wrywa on z kontekstu jakieś zdanie, następnie dopasowuje do niego odpowiedni cytat z Ewangelii i stwierdza, że to niechrześcijańskie. Jest to metoda o tyleż skuteczna, co szkodliwa, bowiem przy jej pomocy udowodnić można praktycznie wszystko. Można stwierdzić na przykład, że wątpliwości br. Szymańdy co do jednoznaczności i bezkompromisowości sądów nie mają nic wspólnego z chrześcijaństwem, które zapoczątkował Chrystus, ponieważ powiedział On: *"Niech wasza mowa b dzie: tak - tak, nie - nie"*.

Oto przykład takiego wrywania zdań z kontekstu: autor recenzji krytykuje twierdzenie Lisickiego, iż męczennicy *"oddawali swe życie na stracenie dla czego również efemerycznego i niepotwierzonego jak przekaz otrzymany od współbraci w wierze"*, zauważając, że oddawali oni i sw e życie nie dla przekazu, lecz dla Boga żywego. Br. Szymańda z pewnością ma rację, tylko nie dostrzega, że Lisicki pisze przecie ż to samo już w następnym zdaniu. Odnosi się wrażenie, że autor recenzji nie polemizuje z tekstem rzeczywistym, lecz wyimaginowanym.

Podobnie rzecz się dzieje, gdy wytyka Lisickiemu, że *"tradycja nie zawsze jest nieomyln drog ą do zbawienia"*. Pisze on: *"Bóg jest Prawd ą, a w tradycji zdarzaj ą si e elementy prowadz ące na manowce. Dlatego wła nie Kościół, wspierany przez Ducha wi tego, interpretuje tradycj ę i rozeznaje, jakie jej elementy s ą warto ciowe"*. Musiałby br. Szymańda trafić na wyjątkowego tępaka, który twierdziłby, że chrześcijaństwo polega na wierności samej tradycji. W tekście, z którym recenzent polemizuje, sam Lisicki napisał przecie ż, że e *"Objawienie wymaga ci głę biej interpretacji, a nad jej prawidłowo ci czuwa ostatecznie Kościół"*.

Odnoszę wrażenie, że br. Szymańda nie docenia waloru polemicznego recenzowanej przez siebie książki, na przykład gdy krytykuje następujące zdanie skreślone przez Lisickiego: *"Je lico ma by szczególnym zadaniem chrze cijanina wy ce go w o wiecenio wym wiecie, to nie przystosowanie Boga do tego wiata, lecz przeciwnie - obrona suwerenno ci, kapry no ci i samowoli Boga"*. Myślę, że nie chodzi tu wcale o czynienie z Boga kapryśnego satrapy, lecz o stopień naszej determinacji w obronie wiary. Aby lepiej to wyjaśnić, podam przykład Fiodora Dostojewskiego. Swego czasu napisał on, że gdyby mu udowodniono, że prawda jest po jednej stronie, a Chrystus po drugiej, to on nie poszedłby za prawdą, tylko za Chrystusem. Nie znaczy to wcale, że Dostojewski dopuszczał możliwość, że Chrystus jest fałszem lub fikcją. Był to po prostu jego sprzeciw wobec dominującego w XIX wieku scjentyzmu, który utrzymywał, że nauka jest w stanie rozwiązać wszystkie problemy człowieka, a chrześcijaństwo to zabobon. Dostojewski mówił światu: nazywacie Boga kłamstwem, dobrze, nazywajcie sobie, ale ja wytrwam przy tym kłamstwie. Podobnie Lisicki: mówicie, że Dekalog to kaprysy i samowola Boga, dobrze, ja będę się jednak trzymał tych kaprysów... Chodzi po prostu o to, by nie dać się uwieść językowi współczesnego świata, który ma skłonności uzurpować sobie prawo do prawdy czy godności człowieka.

Br. Szymańda jakby nie dostrzega, że Lisicki rzuconą rękawicę podejmuje na terytorium nie swoim, lecz przeciwnika, i że walczy bronią, którą wybrał przeciwnik. Nieprzypadkowo na pierwszych stronicach książki Lisicki przywołuje sztandarowe hasło Oświecenia, głośne zdanie Immanuela Kanta, że *"wiek nasz jest wła ciwym wiekiem krytyki, której wszystko musi si podda"*. To hasło wymierza Lisicki przeciw Oświeceniu, które poddaje bezkompromisowej krytyce. Czasami przyjmuje on niektóre z argumentów przeciwnika, by móc się rozprawić z ich całością - i może to na początku rzeczywiście sprawiać wrażenie, że bierze on je za dobrą monetę. Zwrócił na to uwagę Cezary Michalski w bardzo przenikliwej i dość krytycznej recenzji z książki Lisickiego na łamach "Arcanów" (4/1995).

O wiele niebezpieczniejszy w rozumowaniu br. Szymańdy wydaje się być jednak jego psychologizm. Zaczyna on swoją recenzję od słów: "Czytam Lisickiego i nie wiem, co o tym myśleć. Rozumiem go". Otóż ja czytam Szymańdę i nie rozumiem go. Co więcej, nie zamierzam go rozumieć; nie chcę wiedzieć, jakie motywy psychologiczne powodowały nim, kiedy pisał swój tekst. Interesują mnie tylko wypowiedziane przez niego sądy. Tymczasem br. Szymańda sytuuje się w roli nie komentatora, lecz psychoterapeuty. Jego psychologizm polega na sprowadzaniu sądów o rzeczywistości do ukrytych motywów psychologicznych. Dzięki temu może się on użalić się nad biednym Lisickim: "Przeakcentowanie przez jego oponentów słabości Boga i przekonanie o Jego wycofaniu się z ludzkiego świata... wywołuje sprzeciw i proporcjonalnie odwrotną relację... Psychologicznie taka opcja jest zrozumiała". Świetna argumentacja, spróbujmy zastosować ją do św. Pawła Apostoła: "Przeakcentowanie przez jego oponentów (faryzeuszy) prawa wywołało sprzeciw i proporcjonalnie odwrotną reakcję (wiarę w łaskę). Psychologicznie taka opcja jest zrozumiała".

Takie psychologizowanie jest w stanie zniszczyć wszelką rzeczową dyskusję, dlatego nie uważam za istotne, by w recenzji br. Szymańda dzielił się swoimi wrażeniami, czy suwerenność Boga wywołuje w nim strach czy fascynację, ale by wyjaśnił na czym owa suwerenność polega i w jakim stosunku do niej pozostaje człowiek.

Nie wiem, czy zamiłowania psychologiczne br. Szymańdy łączą się z jego fascynacją osiągnięciami współczesnej myśli, ale i tu mam pewne wątpliwości co do sformułowanych przez niego sądów. Mianowicie pisze on, iż "nie możemy lekceważyć dorobku myśli teologicznej ostatnich kilkudziesięciu lat, podkreślającej znaczenie życia doczesnego, gdzie już zaczynamy uczestniczyć w rzeczywistości Królestwa Niebieskiego, którego pełnię mamy osiągnąć w życiu przyszłym". Mniejsza z tym, że recenzent nie precyzuje kogo ma na myśli - de Lubaca, Ratzingera, Rahnera, Congara, Balthasaara, a może Drewermann? Jeśli jest jednak tak jak mówi, to należy się tylko cieszyć, że nie żyjemy kilkadziesiąt lat wcześniej, bo wtedy nie mielibyśmy szans na uczestnictwo w rzeczywistości Królestwa Niebieskiego. Moja wątpliwość polega jednak na tym, że jeśli za następnych kilkadziesiąt lat dorobek kolejnych teologów pozwoli przyszłym pokoleniom już nie tylko "zaczynać uczestnictwo", ale "w pełni uczestniczyć", to może okazać się, iż urodziłam się za wcześniej.

Terenem, na którym mogłaby się zacząć naprawdę istotna dyskusja między Lisickim a br. Szymańda, jest - jak pisze ten ostatni - "cała sfera, gdzie człowiek działa autonomicznie, bez bezpośredniego wpływu Boga czy szatana". Dyskusja ta mogłaby się zacząć, gdyby br. Szymańda zrezygnował z ogólności sądów. Nie wiemy bowiem, o jaką sferę mu chodzi. O gospodarkę? O politykę? A może o sport lub sztuki piękne? Gdyby wypełnił tę niewiadomą "całą sferę", gdyby wykazał, czym się różni "bezpośredni wpływ" Boga czy szatana od ich wpływu pośredniego, jak to się ma do koncepcji Boga - Wielkiego Zegarmistrza, wtedy mogłaby się zacząć intrygująca dyskusja. Tymczasem brak takowej skutecznie uniemożliwia brak jasnego kryterium używania pojęć przez br. Szymańdę.

Charakterystyczne dla jego recenzji jest posługiwanie się sądami a nie tyle ogólnymi, że wypranymi z wszelkiej treści. Pisze on: "Trzeba podjąć ryzyko wejścia na teren nieznany, niosąc z sobą cały bagaż doświadczeń własnych oraz tych zbieranych przez pokolenia, a następnie skonfrontować je ze światem, który nadchodzi". Jest to przykład zdania zawsze słusznego, bowiem składa się ono z samych pojęć ogólnych, takich jak: ryzyko, teren nieznany, bagaż własnych doświadczeń, świat, który nadchodzi... Jeśli potraktować je jako zwrot retoryczny, to w porządku, ale jako odpowiedź albo rzeczowy głos w dyskusji?...

Wydawać by się mogło, że uczeń zakonu, w którym działał św. Tomasz z Akwinu, nie powinien mieć kłopotu z wnioskowaniem. A jednak... Br. Szymańda pisze na przykład: "Jeśli skupimy się tylko na tych cechach Boga, których świadomość wydaje się nam być szczególnie potrzebna, to nie znajdziemy Boga prawdziwego". Skoro tak uważa, to dziwne jest dlaczego zaraz potem pisze: "W końcu chrześcijaninowi potrzeba również wiary, że Bóg w tej drodze (przez historię zapewne? - przyp. EL) nam towarzyszy". Przecież z poprzedniego twierdzenia wynika, że świadomość, iż mamy Boga jako towarzysza, powinna raczej powodować zagubienie Boga niż Jego odnalezienie.

Te same kłopoty widać w innym zdaniu recenzenta: "Myślę, że Bóg nie chce mieć takich obrońców, którzy wywyższają Go kosztem poniżania człowieka. Co więcej, On w ogóle nie potrzebuje obrony". Jeżeli br. Szymańda wierzy w to, co pisze (a mam prawo zakładać, że tak jest), to nie powinien pisać, tylko poczekać, aż Bóg sam obroni się przed wywyższaniem Go kosztem człowieka. Skoro zaś uważa, że "Bóg w ogóle nie potrzebuje naszej obrony", to po co w ogóle zabiera głos?

Estera Lobjkiewicz

PRZYSZŁE EWENTUALNE ZJEDNOCZENIE PRAWICY, CZYLI OBÓZ 200 MIEJSC

Czytelnicy "Frondy" być może już się na to nie załapali, ale piszący te słowa pamięta cyklicznie powtarzające się lekcje zogniskowane wokół tematu "przyszłej, ewentualnej wojny jądrowej". Podczas przyszłej, ewentualnej trzeba było robić wiele głupot - np. wieszać kocy w oknach i zachowywać pełen spokój; przed przyszłą ewentualną należało się nieustannie szkolić. Nie wiedzieć czemu, to wspomnienie z przeszłości nawiedzało mnie podczas lektury "Prawicy dla wszystkich" Kazimierza Michała Ujazdowskiego. Przypadłość ową wiązałbym z analogią między wojną jądrową a jednoczeniem prawicy, do której wzywa Autor książki. Oba wydarzenia zaliczać trzeba do kategorii zjawisk przyszłych, ewentualnych i o niewiadomych skutkach.

Rzecz jasna, twórcy podręczników "wiedzy obronnej" wiedzieli, jakie będą skutki PEWJ - zwycięstwo globalne lewicy. Ujazdowski z kolei przewiduje, iż skutkiem wspólnego wystąpienia w wyborach parlamentarnych będzie powstanie tak silnego klubu poselskiego, że automatycznie prawicowcy będą współrządzić, a o to w końcu chodzi w polityce. Czas zweryfikował rojenia autorów podręczników. Co będzie z Ujazdowskim? Postawmy przed oczami trzy podstawowe wątpliwości, jakie musi mieć jako tako zorientowany w prawicowej materii Czytelnik.

1. Prawica dla wszystkich.

"Gdyby zliczyć głosy, jakie padły na wszystkie ugrupowania i koalicje prawicowe w wyborach parlamentarnych 1993, czyli głosy oddane na Porozumienie Centrum, Ojczyznę, Porozumienie Ludowe, KPN, "Solidarność", BBWR, Unię Polityki Realnej i Koalicję dla Rzeczypospolitej, to lista utworzona przez te partie zdobyłaby blisko 200 mandatów", pisze Ujazdowski. Lista na pewno - ale czy prawica, to już osobna kwestia. Dla UPR-manów powyższa lista rosi się od socjalistów, dla miłośników Pana Jana - od agentów, dla Konfederatów - od dewotów i tak dalej. Wątpliwości ma tu i sam Kazimierz Michał, skoro na innej stronie pisze, że po wyborach prezydenckich 1990 roku "prawicą (centro-prawicą) poczuli się - mniej lub bardziej nagle - wszyscy prawie popierający Wałęsę działacze" od związkowców do KLD-owców. I tak już zostało, tyle że doszłusowali konserwatyści i wspomagający wówczas Mazowieckiego, a odpłynęli aferzyści. W konsekwencji budujemy listę wyborczą dla 200 prawicowców, na której to liście wjadą do Sejmu ideowi wrogowie czy ludzie o bandyckich poglądach (tj. bandyckich subiektywnie, a czasem i obiektywnie, by przypomnieć Wrzodaka, fuj!).

Ujazdowski wprost przyznaje, że to nie programowe względy - a zwłaszcza nie gospodarcze - uformowały prawicę, lecz nie uważa, by nie istniało wspólne wyznaczenie wiary, pod którymi podpisuje się i Lewi a część działaczy prawicowych. Jako przykład służy program Przymierza dla Polski - w skład którego wchodził i ZChN, i lewicujący w kwestiach gospodarczych RdR, a który jednoznacznie opowiadał się i za wolnym rynkiem, i za wejściem do Unii Europejskiej. Brak wyrazistości programu prawicy jest natomiast pochodną braku charakteru wielu prawicowych tużów, którzy - miast szukać po kłęsce 1993 roku ofensywnej strategii - często gęsto podkulili ogony i próbowali podłączyć się pod moźnych (relatywnie) tego świata: Belweder, Unię Wolności, PSL, NSZZ "Solidarność"... tak, zgoda, pragnienie serwilizmu wyparło chęć walki, budowania prawicowej tożsamości; starczyło, że Ziutekznał Józka, który mógł załatwić biurko z faxem i stałe miesięczne dochody, żeby ustawił się ogonek Prawicowej Niedojdy (a i tak wszystkich przebił pan Szeremietiew - opozycjonista pełną gębą, ale tylko po 16.00, bo do tej godziny chciał być w rządzie Pawlaka ministrem MON).

2. Unia Wolności.

Jeżeli w ramach 200-osobowego przyszłego, ewentualnego klubu znajduje się miejsc e dla... (t u wsta w imi ę i nazwisk o szczególne nie e odpowiadającego Ci polityka "prawicowego"), to czemu brakuje w owym partnerstwie dla pokoju miejsca dla UW?

Przyznam, że odpowiedzią Autora, nie rozbudowaną zresztą nigdzie, ukontentowany nie jestem. Oczywiście, że Unii poczynania jako głównej partii opozycyjnej obecnego Sejmu są jakie są, a w samej organizacji przeważa ładunek laickiej Europy. Fakt, że partia ta słabnie i grozi jej los włoskich liberałów czy niemieckiej FDP. Ale niejedna z "partii" (cudzyśłów niezbędny, boć przecież nie mają oddziałów nawet w połowie województw) polskiej domniemanej prawicy ma się znacznie gorzej, a to właśnie jej ręce każe Autor ścisnąć. A nawet najistotniejsza, jak mi się zdaje, z podniesionych przez Autora kwestii, czyli stosunek do post-pereiowskiej hołoty nie stanowi konstytucyjnej cechy obozu 200 miejsc, o czym świadczy nie tylko publicystyka "Najwyższego Czasu", ale i obrzydliwe umizgi ze strony wielu naszych pod adresem związku zawodowego wiejskiej nomenklatury czyli PSL.

3. Solidarność, solidarność...

To ogromna zawiałość prawicowej scenki politycznej. Nie zapominajmy, że Autor "Prawicy dla wszystkich" to niegdysiejszy symbol opozycji wobec rosnącego znaczenia ustrojowego związków zawodowych, ba, współautor książki przestrzegającej przed rozwiązaniami korporacyjnymi, którym sprzyjało Ministerstwo Pracy, a o które zabiegała legenda europejskiego syndykalizmu. Dziś jedna k ni e wzdryg a się prze d współpracą z tą organizacją i nawet t umieszcza ją pomiędzy "ugrupowaniami prawicowymi". Tak jak w niektórych innych przypadkach, Ujazdowski dostrzegając syndykalistyczne sympatie "Solidarności" liczy, że prawic a zintegrowana będzie i dochodził a d o jednoznacznie pro rynkowego modelu, o ile tylko znajdzie się na szczytach władzy. Sprawować rządy z korzyścią dla Polski można jedynie budując w niej (tzn. w Polsce, a nie we władzy, jak to czynią nasi czerwoni bracia w PSL

i SLD) kapitalizm . Antykapaliści i zwolennicy autarki i gospodarczej , roszczeniowcy i zadymiarze w "Solidarności" istnieją (gdzie ich nie ma?), ale pełnienie funkcji w rządzie ma na nich podziałać niczym skuteczna terapia. Może to działać pośród partyjniaków , ale akurat związkowcy, drogi Pani e Kazmierzu, odmawiają wchodzenia do rządu , i w pełni i kontentują się e permanentnym szantażowaniem go.

Osobiście cieszę się , że nawet Ujazdowski gotów jest do ugadzania się z solidarnościowcami, bo wśród jej działaczy, ekspertów i elektoratu wielu jest ludzi bardzo dalekich od bojówkarstwa czy socjalizmu - i to powinie n być główny motyw dogadywania się, a nie cyniczne liczenie na lokale, faxy i etaty, które wskutek wadliwego prawa otrzymują na koszt zakładu reprezentanci świata pracy uspołecznionej. Ale mówmy jasno: cierpiąca na manię wielkości i fobię antyrządową delegacja związkowców w Sejmie nieźle da nam popalić po zwycięskich, przyszłych, ewentualnych wyborach...

Wątpliwości powyższych (i pewno wielu innych, litościwie pomijam największą - czy istnieje na prawicy wystarczająco wielu ludzi, którzy są w stanie wcielić w życie choćby najlepszy dla wszystkich plan) nie sposób rozwiązać jedną książką. A nawet setką książek, za którymi nie pójdą czyny. Jeśli nie miałyby pójść, to książka Ujazdowskiego i tak zachowa spory walor edukacyjny. Lider Koalicji Konserwatywnej prościutko wyjaśnia bowiem kilka prawicowych prawd, które część zagubionych ewentualnych, przyszłych członków klubu 200 odruchowo oddaje innym obozom. Przypomina podstawowe zasady, jakimi powinna się kierować partia, która chce uchodzić za prawicową - tak, na wszelki wypadek... Także i to, że poszliśmy do wyborów 1993 roku sześcioma komitetami. "To my zmarnowaliśmy naszą szansę" - powtarza wielokrotnie Autor. I co najgorsze, wcale się nie myli.

PS. I jeszcze jedna zaleta tej książki - nie pada tu ani razu nazwa "Gazety Wyborczej", choć to jedyny chyba temat autentycznie żywy i jednoczący na polskiej prawicy. Do tego stopnia, że wielu "naszych" już uwierzyło, że rząd Olszewskiego uwalił Michnik, rząd Suchockiej - Łuczywo, a prezydenturę Wałęsy - Ogórek.

Jan Wróbel

Kazimierz M.Ujazdowski "Prawica dla wszystkich", ARARAT, Warszawa 1996

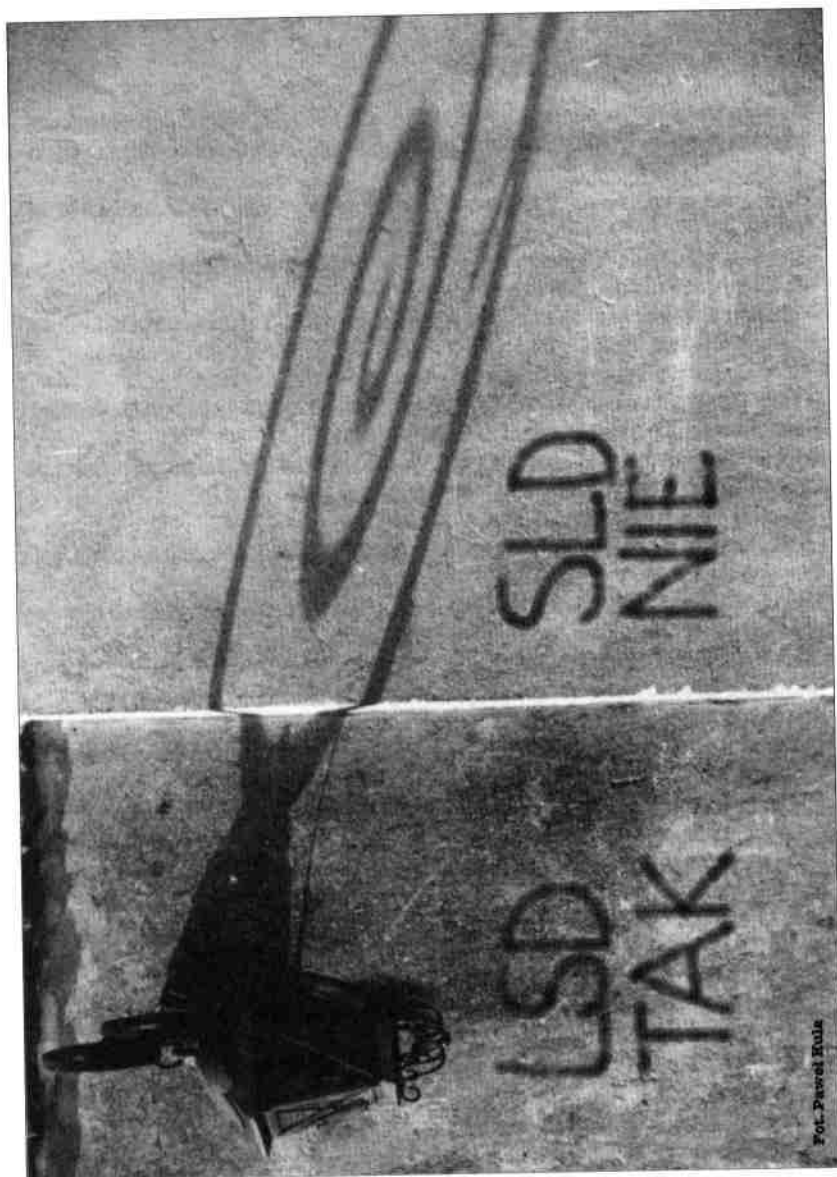
- * Gennadij Ajgi "Tutaj. Eseje i wiersze", Fundacja Pogranicze, Sejny 1995;
- * Philippe Braud "Rozkosz e demokracji", Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1995;
- * Amadee Brunot "Miriam. Mała Arabka", EXTER Gdańsk 1995;
- * Dariusz Brzózka Brzoskiewicz "Złote myśli psa", bruLion, Kraków 1994;
- * Bożena Budzińska "Sezon na pomarańcze", Gdańsk 1992;
- * Charles Mortimer Carty "Padre Pio Stygmatyk", EXTER Gdańsk 1995;
- * Leon Cristiani "Znaki obecności szatana we współczesnym świecie", EXTER Gdańsk 1995;
- * Joan Carol Cruz "Cudowne wizerunki Najświętszej Marii Panny", EXTER Gdańsk 1995;
- * Stanisław Dąbrowski "Męczeństwo księdza Jerzego Popiełuszki", Gdynia-Rumia 1995;
- * Stanisław Dąbrowski "Przeszczę p serca i słowa", Instytut Wydawniczy "Świadectwo", Bydgoszcz 1995;
- * Stanisław Dąbrowski "Wiersz z drogą współbieżny", Gdynia-Rumia 1995;
- * Antoni Dudek "Państwo i Kościół w Polsce 1945-1970", Wydawnictwo PiT Kraków 1995;
- * Paweł Dunin-Wąsowicz "Rewelaja", Lampa i Iskra Boża, Warszawa 1994;
- * Paweł Dunin-Wąsowicz, Krzysztof Varga "Parna s bis. Słownik literatury polskiej urodzonej po 1960 roku", Lampa i Iskra Boża, Warszawa 1995;
- * Ferida Duraković "Przeprowadzka z pięknego kraju w którym umierają róże", Fundacja Pogranicze, Sejny 1995;
- * Roman Dziadkiewicz "chusteczki higieniczne", C&K Studio, Kraków 1995;
- * Stanisław Ehrlich "Wiążące wzory zachowania. Rzecz o wielości systemów norm", Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1995;
- * Andrzej Falkiewicz "Coś z mądrości i lenistwa, snu prawie. Świat pisarski Mieczysława Piotrowskiego", Towarzystwo Przyjaciół Polonistyki Wrocławskiej, Wrocław 1995;
- * Paul A. Fischer "Szatan jest ich bogiem", WERS Poznań 1994;
- * Albert J. Hebert "Przywrócenie życia", EXTER Gdańsk 1995;
- * Mieczysław Ingot "Polska kultura literacka Lwowa lat 1939-1941. Ze Lwowa i o Lwowie. Antologia", Towarzystwo Przyjaciół Polonistyki Wrocławskiej, Wrocław 1995;
- * Dževad Karahasan "Sarajewska sevdalinka", Fundacja Pogranicze, Sejny 1995;
- * Jarosław Klejnocki "Miasto otwarte", LNB, Warszawa 1995;
- * Antoni Koniuszewski "Prawa kardynała państwa polskiego", EL-MA, Wrocław 1995;
- * Ivan Kordić "Szukaliśmy domu" Fundacja Pogranicze, Sejny 1995;
- * Wojciech Kunicki "Rewolucja i regres, radykalizm wczesnej twórczości Ernsta Jngera", Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1995;
- * Zbigniew Landau, Wojciech Roszkowski "Polityka gospodarcza IIRP i PRL", Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1995;

- * Andrzej Lipniewski (Sip) "Mitologie Stegny Gdańskiej", Elbląskie Towarzystwo Kulturalne, Elbląg 1995;
- * Marek Maciejewski i "Doktryna a rewolucyjnego konserwatyzmu wobec narodowego socjalizmu w 1921-1945", Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1991;
- * Piotr Stanisław Mazur "Chryzantemy dla Euterpe", Polihymnia Lublin 1995;
- * Yves Moreau "Czym uzasadniasz swoją wiarę, chrześcijaństwo?", EXTER Gdańsk 1995;
- * Josip Osti "Wszystkie flagi są czarne", Fundacja Pogranicze, Sejny 1995;
- * ks. Marian Polak CSMA "Rafał oznacza *Bóg uzdrawia*", Michalineum, Marki-Struga 1995;
- * ks. Marian Polak CSMA "Święty Michał Archanioł - obrońca Ludu Starego i Nowego Przymierza", Michalineum, Marki-Struga 1995;
- * ks. Michał Poradowski "Nowy Światowy Ład", WERS Poznań 1994;
- * Izet Sarajlić "Sarajewski tomik wojenny", Fundacja Pogranicze, Sejny 1995;
- * ks. Felix Sarda y Salvany "Liberalizm jest grzechem", WERS Poznań 1995;
- * F.X. Schoupe SJ "Piekło", EXTER Gdańsk 1995;
- * Marek Sieprawski "Mokra zmiana", Lampa i Iskra Boża, Warszawa 1994;
- * Goran Simić "Plac Sarajewa", Fundacja Pogranicze, Sejny 1995;
- * Krzysztof Siwczyk "Dziki e dzieci", Instytut Wydawniczy "Świadectwo", Bydgoszcz 1995;
- * Valeria Skrinjar-Tvrz "Sarajewskie grafiki", Fundacja Pogranicze, Sejny 1995;
- * Jan Sobczak "Powieść i inne opowiadania", Lampa i Iskra Boża, Warszawa 1995;
- * ks. Jan Sochoń "Jasność", Księgarnia św. Jacka Katowice 1994;
- * ks. Jan Sochoń "U drzwi Godota", Wydawnictwo Archidiecezji Warszawskiej 1995;
- * William T. Still "Odwieczny plan tajnych towarzystw", WERS Poznań 1995;
- * Olaf Swolkień "Nowy ustrój - te same wartości", Biblioteka "Zielonych Brygad" Kraków 1995;
- * Stefan Szczygłowski "Płot", Śródmiejski Ośrodek Kultury, Oficyna Cracovia, Kraków 1994;
- * Adam Szymczyk "Takie bajki jakie królestwo", Key Text, Warszawa 1994;
- * Marcin Świetlicki "Zimne kraje 2", ZEBRA Kraków 1995;
- * Jerzy Tomaszewicz "Upoławieni", Spocki Klub Pisarzy i Przyjaciół Księgi-Brodwino", Sopot 1995
- * Stevan Tontić "Głupie serce twoje zajączku", Fundacja Pogranicze, Sejny 1995;
- * Marina Trumić "Mojemu listonoszowi i z wyrazami miłości", Fundacja Pogranicze, Sejny 1995;
- * Mark Twain "Joanna d'Arc", EXTER Gdańsk 1995
- * Kazimierz M. Ujazdowski "Prawica dla wszystkich", ARARAT Warszawa 1995;
- * Krzysztof Varga "Chłopaki nie płaczą", Lampa i Iskra Boża, Warszawa 1996 (sic!);
- * Antoni Wacyk "Filozofia polska. Zadruga", Toporzeł Wrocław 1994;

- * Antoni Wacyk "Mit polski. Zadruga", Toporzeł Wrocław 1991;
- * Antoni Wacyk "Na pohybel katolictwu. Zadruga", Toporzeł Wrocław 1995;
- * Wojciech Wiercioch "W cieniu zakwitającej goryczy", Miniatura Kraków 1995;
- * Jakub Winiarski "Przenikanie darów", VEDA Warszawa 1995;
- * Marcin Wroński "Obsesyjny motyw babiego lata", Poli ART studio, Lublin 1994;
- * "Xerof uria. Antologia-katalog. III Warszawski Art Zine Show" (pod redakcją Pawła Dunin-Wąsowicza), Staromiejski Dom Kultury, Warszawa 1995;
- * Teiji Yasuda OSV "Akita. Łzy i posłanie Matki Boskiej", EXTER Gdańsk 1995;
- * Rafał Ziemkiewicz "Pieprzony los kataryniarza", Super-NOWA Warszawa 1995;
- * Marek Zybur a (opr.) *"Do Polski przyjad ... Rainier Maria Rilke w oczach krytyki polskiej"*, Towarzystwo Przyjaciół Polonistyki Wrocławskiej, Wrocław 1995.

INDEKS KSIĄG ZAKAZANYCH

- Roman Bratny: "Super prezydent. Prezydent super". Nakładem autora 1995
- Roman Bratny: "Anioł w butach z ostrogami". Towarzystwo Wydawnicze i Literackie 1995
- Johannes von Buttlar: "Przybywają z odległych gwiazd". Prokop, Warszawa 1995
- Erich von Dniken: "Objawienia" oraz inne wcześniejsze objawienia naukowe tego autora. Prokop, Warszawa 1995
- Karlheinz Deschner: "Kur zapiał jeszcze raz. Krytyczna historia Kościoła". Uraeus, Gdynia 1995
- Gary De von: "Fatalne pożądanie". Amber, Warszawa 1995
- Frank Drake, Dava Sobel: "Czy jest tam kto? Nauka w poszukiwaniu cywilizacji pozaziemskich". Prószyński i Ska, Warszawa 1995
- Karen Armstrong: "Historia a Boga . 400 0 lat dziejów w Bog a w judaizmie , chrześcijaństwie i islamie". Prima, Warszawa 1995
- Eugen Drewerman: "Droga serca". WAB 1995
- Edwin Flatto: "Superpotencja w każdym wieku". Jacek Santorski & Co Agencja, Warszawa 1995
- Max Freedom Long: "Autosugestia oraz nowa teoria mesmeryzmu i hipnozy według Huny". Medium, Warszawa 1995
- Shakti Gawain: "Za głosem intuicji". Medium, Warszawa, 1995
- Manuela Gretkowska: "Kabaret metafizyczny". WAB, Warszawa 1995
- Miroslaw Hermaszewski: "Moje przestworza". Bellona, Warszawa 1995
- Joanna Komorowska: "Autohipnoza. Psychoterapia dla każdego.". Wiedza Powszechna, Warszawa 1995
- Frank Herbert cykl "Diuna" Phantom Press Internatonal Gdańsk - za niezdrowe zabawy (z) czytelnikiem.
- "Kwaśniewski: *nie lubi traci czasu!* Wywiad-rzeka z liderem SLD". Hamal Books, Łódź 1995
- Jim Leonard: "Twoje najskrytsze marzenie". Medium, Warszawa, 1995
- Władysław Pasikowski: "*Psy w kinie*, czyli jak się robi filmy". Test, Poznań 1995
- Tag Powell: "Panowanie nad umysłem. Metody doktora Silvy". Medium, Warszawa 1995
- Marek Różycki : "Wisłock a w pigułce" . Oficyna Wydawnicza Szcpepan Szymański, Warszawa 1995
- Bertrand Russel: "Portrety z pamięci. Wartość wolnej myśli". Wyd."W kolorach tęczy", Wrocław w 1995
- Andrzej Szczypiorski: "Kumkanie żaby, krakanie wrony..." oraz pozostałe bestsellery największego polskiego bestselerarzysty. SAWW1995



Lampa i Iskra Bo a

NUMER 9/14 - KULTOWE PISMO WARSZAWKI - WSZYSTKO WTORNE
120 STRON GWAŁTU, KRWI I PRZEMOCY - 52% PROZY, 16% POEZJI
DEDEKTYW LITERACKI DZIAŁA - CENA 4 ZŁ

i jej kochane ksi ki

POEZJA

Antologia poezji polskiej urodzonej po 1960 roku
wiersze stu poetów (te wszystkie biedrzyckie, brzoński, piwkowskie,
majerany, świetlickie, sendeckie, grzebalskie, sońnickie, suski, podsiadły i
inne) w wyborze P. Dunin-Źasowicza, J. Klejnockiego i K. Vargi.

200sA5, cena 10 zł

Monika Kopie c "Pasjan s empatyczny"

wiersze z rymami, klimat leśmianowski 40sA6, cena 1 zł 50 gr

Munlek Staszczyk "Gandza"

wiersze ponadmedialne gwiazdorka z T. Love, 32sA6, cena 1 zł 50 gr

Andrzej Stefan Rody s "Upadek aniołów"

wiersze secesyjne współtwórcy Lampy i Iskry Bożej, 28sA6, cena 1 zł 50 gr

Artur Ceza r Krasick i "Bajeczki"

wiersze oblesne najslawniejszego polskiego onanisty, 106sA5, cena 5 zł

PROZA

Marek Sleprowski "Mokr a zmiana"

opowiadania (klimaty Vian & Gombrowicz), 106s A5, cena 5 zł

Jan Sobczak "Powieść i Inn e opowiadania"

proza eksperymetalna i odjechana, postmoderna, 104sA5, cena 5 zł

Sławomir Almanzo r Burszewski "Exkluzylv"

zbiór opowiadań twórcy częstochowskiego artzina, 112sA5, cena 5 zł

Krzysztof Varga "Chłopak i nie płaczą"

powieść (?) o Warszawie lat 90. - o picciu, paleniu i pannach, 100sA5, cena 5 zł

Cezary Domaru s "Caligar I Express"

kryminał surrealistyczny vianoidalny, 80sA5, cena 5 zł

REPORTAŻ

Rafał Smoczyński "Żadn a rozrywka dla chłopaków"

redaktor "Frondy" pisze o Polsce i Afryce, 100sA5, cena 3 zł

WSPOMNIENIA

Janina Dunin-Źasowiczowa "Wspomnienia"

pamiętniki babci redaktora Lampy i Iskry Bożej - plotki z otoczenia Marszałka
Józefa Piłsudskiego, ukrywanie Żydów, Pawiak, Powstanie, 212sA5, cena 7 zł.

We wszystkie ceny wliczone koszty wysyłki. Książki wysyłamy w ciągu tygodnia od otrzymania zamówienia na przekazie pocztowym na adekwatną kwotę. Prosimy o pisanie adresu nadawcy na wszystkich odcinkach przekazu i alternatywne propozycje, gdyby wyczerpały nam się zapasy którejs z zamawianych książek. Pieniądze słać na adres:.

Wydawnictwo Lampa i Iskra Bo a, Paweł Dunin-Źasowicz

ul. Przasnyska 18 m 20, 01-756 Warszawa

Nasze książki s w Warszawie w księgarniach im. Prusa, Odeon i Liber.

Sprzedaż hurtowa - DK SWS, ul. Nowolipie 9/11, Warszawa



XIV TURNIEJ POETYCKI

Nowosolski Dom Kultury
"PANOPTICON"
w Nowej Soli ogłasza

XIV TURNIEJ POETYCKI O -PIER CIE Kinaj"

O
PIER CIE KINGI

Zato enia konkursu:

1. Turniej jest imprez otwart dla wszystkich osób, które nie s zreszone w ZLP i SPP.
2. Warunkiem udziału w Turnieju jest nadesłanie nigdzie nie publikowanych i nagradzanych 5 utworów poetyckich w 4 egzemplarzach w terminie do dnia 15 czerwca 1996 r. pod adresem:

Nowosolski Dom Kultury "Panopticon"
67-100 Nowa Sol, ul. T. Ko ciuszki 33, tel. (0-688) 747-07
z dopiskiem na kopercie:
Turniej Poetycki o "Pier cie Kingi"

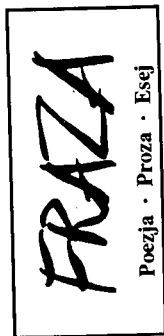
3. Tematyka utworów jest dowolna, prace nale y podpisa godtem i doł czy kopert zawieraj c dane o autorze: imi , nazwisko i dokładny adres. Nadesłane utwory poetyckie oceni jury powołane przez organizatorów. Przyznane b d nast paj ce nagrody:

- nagroda główna "Pier cie Kingi" w wys. 1500 zł
- wyróżnienia na ł czn sum 1200 zł

4. Niezale nie od decyzji jury wr czona zostanie nagroda Teatru "TERMINUS A QUO" w wys. 1000 zł.

5. Organizatorzy dopuszczaj ponadto wszelkie inne inicjatywy fundacyjne - instytucje, towarzystwa, osoby prywatne.

6. Ogłoszenie wyników i wr czenie nagród nast pi podczas imprezy finałowej, która odb dzie si 10/11 listopada 1996 r. w NDK "Panopticon".



Ukazuje si od 1991 roku

*Jest pismem po wi conym literaturze, sztuce
i sprawom wschodnim*

Mioda poezja i proza ; tłumaczeni a literatury niemieckiej , rosyjskiej , słowenskiej , szwajcarskiej , tureckiej ; pytania a filozoficzn e konc a wieku ; emigranci i pisarz e osobni ; dyskusje e i wywiady ; temat y wschodnie ; plastyka; przegląd a nowosci i wydawniczych ; kronik a kulturaln a i inne .

Wachaw Iwaninuk:
"Nje mójce oniećnia, ate dnie decydaj o rodnicy. FRITZ! Jest doślymne redagowanym pismem i naje y wstyp zrosi . Gy dajej wyfozdika. 1? góř serca."

Włodzimierz Odoljewski:
"To dołzje , e gózje aa ożrećnaci fagiu filicajja Sie łafte pisma, wslacujace , e co si tam dzieje , e trwa łam jofe ycie fyturalne i mo e nawet to ycie fahuralne dno łnac podskocy ."

Stefania Koszowska:
"Złój łuj , za przylane ni nuncy „Frazy”. W ród wiczu pism, jufite dostaje z fagite, wyró nia si ona doskonałym poziomem, fionego szczerze gratuluj !"

Janusz A. Iwaszowicz:
"Mam nadzieję , że „Frazy” nie zjnie niereci . finansowango zagłozenia, 60 oćjane to pismo."

Czesław Miłosz:
"Wpi mie inflarzej, interese mie jwo „uffaj si ie” powołanie czyti starania o stosunki do rosniedzięje. Irceli mie przerzajo zagubienie pesymistyczne poów."

Alina Brodzka:
"Ozi był gor co za pismo, zainteresowało mnie 6-ardzo! I ciekawe , e si ga od Rzeczowa do Szczecina."

Adres redakcji: FRAZA, ul. Litawora 21, 35-310 Rzeszów, tel. 335-04

NOTY O AUTORACH

Gerard vanden Aardewg - holenderski psycholog, doktoryzował się na Uniwersytecie Amsterdamskim, obecnie zajmuje się psychoterapią w Overveen w Holandii.

Nikodem Bo cza-Tomaszewski (1974) - student historii na UW. Mieszka w Wilanowie.

Jerzy Braun (1901-75) - poeta i pisarz mesjanistyczny; autor poematów ("Prometej-Adam"), powieści, dramatów, scenariuszy filmowych; jego powojenna twórczość była wydawana gł. we Włoszech oraz Anglii.

Corneliu Zelea Codreanu (1899-1938) - założyciel Legionu Michała Archanioła, informacje o nim wewnątrz numeru.

Piotr M.A.Cywi ski (1971) - absolwent filozofii (ATK, Uniwersytet w Strasburgu). Mieszka w Warszawie.

Józef Dostatni (1970) - student, mieszka w Lublinie.

Paweł Dunin-W sowicz (1967) - redaktor "Lampy i Iskry Bożej", pracuje w "Życiu Warszawy". Mieszka na Żoliborzu.

Mircea Eliade (1907-76) - rumuński religioznawca, autor m.in. "Sacrum, mit, historia", "Traktat o historii religii" i in.

Andrzej Fiderkiewicz - redaktor "Stańczyka". Mieszka w Warszawie.

Grzegorz Górny (1969) - redaktor "Frondy", mieszka w Warszawie.

Artur Grabowski (1967) - poeta i dramaturg, doktorant na polonistyce UJ, mieszka w Krakowie.

Michał Gromki (1969) - absolwent filozofii ATK. Mieszka w Warszawie.

PJ Harvey - właśc. Polly Harvey, angielska wokalistka; wydała dotychczas trzy płyty: "To Bring You My Love", "Dry", "Rid of Me".

Bohdan Herbut-Kozieł - student Uniwersytetu Śląskiego, mieszka w Bytomiu.

Roman Honet (1974) - student romanistyki na UJ, mieszka w Krzeszowicach.

Michał Kietlicz (1970) - dziennikarz, mieszka w Warszawie.

Michał Klizma (1969) - polonista. Mieszka w Warszawie.

Krzysztof Koehler (1963) - poeta, krytyk literacki, współredaktor "bruLionu", mieszka w Nowej Hucie i Warszawie.

Janusz Kota ski - poeta, pracuje w TVP SA, mieszka w Warszawie.

Leon XIII (1810-1903) - właśc. Vincenzo Gioacchino Pecci, papież, autor encyklik: "Rerum novarum" oraz "Aeterni patris".

Paweł Lisicki (1966) - eseista ("Znak", "Debata"), autor książki "Nie-ludzki Bóg"; pracuje w "Rzeczpospolitej". Mieszka w Warszawie.

Estera Lobkowicz (1968) - absolwentka fizyki, mieszka w Krakowie.

Tomasz Majeran (1971) - poeta, współpracuje m.in. z "Nowym Nurtem". Mieszka we Wrocławiu.

Henry Miller (1891 -1980) - amerykański pisarz, autor m.in. "Zwrotnika raka", "Zwrotnika koziorożca" i in.

Fakir Mustafar - jeden z najbardziej rozreklamowanych sadomasochistów

w USA. Mieszka w Los Angeles.

Paweł Nessel - poeta, publikował m.in. w "Res Publice Nowej". Mieszka w Warszawie.

Stanisław Piasecki (1900-41) publicysta i krytyk literacki; redaktor "Prosto z Mostu".

Marcin Pieszczyk (1971) - sekretarz redakcji "Frondy". Mieszka w Warszawie.

Dennis Prager - założyciel i prezes Centrum Micheasza dla Etycznego Matoeizmu. Mieszka w USA.

Wojciech Saramonowicz (1971) - student nauk politycznych na UW, dziennikarz "Życia Warszawy". Mieszka w Warszawie.

Rafał Smoczy ski (1970) - redaktor "Frondy". Mieszka w Warszawie,

ks. Jan Socho (1953) - poeta, historyk filozofii, współpracuje z "Powściągliwością i Pracą" oraz z Polskim Radiem. Mieszka w Warszawie.

Zofia Stanisławska (1968) - absolwentka iberystyki UW, tłumaczka. Mieszka w Wilanowie.

Dariusz Suska (1968) - poeta, fizyk, dziennikarz "Życia Warszawy". Mieszka w Warszawie.

Tomasz Szczepa ski - działacz Konfederacji Polski Niepodległej, mieszka w Warszawie.

Sonia Szostakiewicz (1971) - redaktor "Frondy". Mieszka pod Warszawą.

Rafał Tichy (1969) - doktorant na wydziale filozofii UW. Mieszka w Warszawie.

Unabomber - niezidentyfikowany przez FBI terrorysta amerykański. Dokonuje zamachów głównie na naukowców. Mieszka w USA.

Maciej Urbanowski - redaktor dwumiesięcznika "ACRCANA". Mieszka w Krakowie.

Ernst Weisskopf (1967) - krytyk literacki. Mieszka w Norymberdze.

Andrzej Wierci ski (1928) - profesor, antropolog, religioznawca, kierownik Zakładu Antropologii Historycznej Instytutu Archeologii UW. Mieszka w Warszawie.

Jakub Winiarski (1974) - student polonistyki na UW, mieszka w Warszawie.

Grzegorz Wróblewski (1962) - poeta, publikował m.in. w "bruLionie". Mieszka w Kopenhadze.

Jan Wróbel (1964) - historyk, redaktor "Nowego Państwa", pracownik Centrum im.A.Smitha. Mieszka w Warszawie

Roman Wyborski (1948) - pracownik naukowy Uniwersytetu Śląskiego. Mieszka w Grodzisku.

Igor Zalewski (1970) - publicysta "Życia Warszawy". Mieszka w Warszawie.

Piotr Zaremba (1963) - publicysta "Życia Warszawy" i "Nowego Państwa". Mieszka w Warszawie.

REU0470 4 OVR 76 (RWS FR CRIM VIO) F0200076

BC-GERMANY-POLAND

Romancing Wales a

GARMISCH-PARTENKIRCHEN, Germany, Jan 2 (Reuter) - Lech Walesa, 52, former Polish president, trade union s (Solidarity) leader and Peace Nobel Prize winner, spent New Year s Eve and winter holidays in Garmisch-Portenkirchen with his new young fiancée, novelist Manuel a Gretkowska, 31.

Gretkowska said that Walesa is a wonderful lover and best man she ever met. Walesa agrees and adds that he was tired politics and want to spent rest of his days off of public life. In the end he said he'd like to learn English to become famous ski champion. 'He's very intelligent and learns very quickly' Gretkowska adds with mystery smile.

The new way of Walesa's life makes different reactions in Poland. New president Aleksander Kwasniewski said during the New Year s live broadcasting speech that he understood Walesa. 'I think that the new romance help Mr Walesa find his new own way of living. And solve his personality problems'.

Walesa's wife Danuta is angry and disappointed. 'It's horrible, he was always very faithful with me and our children. I don't want to say it now but in my opinion it's some kind of nervous breakdown and Lech needs immediately medical care. I'm packing my baggage now and flyin g to Germany to rescue my beloved husband.

But the opinion of Walesa's sons is different. 'Daddy needs something new, some changes' said Bogdan, the oldest Lech Walesa's son. (Lech and Danuta Walesa have 8 children - 4 sons and 4 daughters).

Adam Michnik, the editor-in-chief of the biggest national newspaper "Gazeta Wyborcza" gave headline s title of today's issue 'Come back to Danka, we miss you' (Danka is a nickname of Danuta).

The main post-communist daily newspaper "Trybuna" comments: 'After his big election fail, Walesa has normal right to his private life. We'd like to send him New Year s greetings: stay in German Alps and become the ski champion just because nowadays Polish winter sports need a big success'.

Mgr Glemp, the local head of Roman Catholic Church said he could bless the couple if Gretkowska would give Walesa a child. 'The Old Testament knows similar causes' he said.

And the Prime Minister Jozef Olexy adds 'I think that all of this story is a press bullshit. The truth is different. Walesa works for CIA because he left Poland not paying his taxes'.

Last year Walesa accused Olexy to be a KGB agent.

REUTER

0837 02019 6 GMT

UWAGA!

Wytwórnia "Modern People News" ogłosiła plan realizacji filmu u "Seksualne życie Jezusa". W filmie tym Jezus Chrystus przedstawiony ma być jako homoseksualista (wśród jego uczniów byli sami mężczyźni, a jeden z nich był nawet "umiłowanym uczniem Chrystusa"). Rolę Marii Magdaleny przydzielono znanej francuskiej aktorce filmów pornograficznych. Produkcję filmu planuje się jeszcze w tym roku w USA, o ile masowe akcje protestacyjne z całego świata jej nie zahamują. DLATEGO UCZYŃMY WSZYSTKO, CO W NASZEJ MOCY, B Y UDAREMNI Ć JEGO REALIZACJĘ. NIECH LUDZIE LANSUJĄCY TAKI POTWORNIE IDEE DOWIEDZĄ SIĘ, C O M Y , JAK O CHRZEŚCIJANIE, SĄDZIMY O TYM BLUŹNIERCZYM PRZEDSIĘWZIĘCIU.

Wyślij Ty list protestacyjny na podany niżej adres w Belgii podając swoje imię, nazwisko, adres i numer dowodu osobistego. List zaopatrzyć w własnoręcznym podpisem. Odbiorca tego listu prześle go do kompetentnej instancji w USA. Rozpowszechniaj tę akcję wśród przyjaciół i znajomych.

PS. Przed kilkoma laty w Danii usiłowano zrealizować podobny film, lecz fala protestów z całego świata całkowicie uniemożliwiła jego produkcję.

Oto adres:

DE HEER VAN LANDEGHEM TONY
UIJFSTRATEN 93
B-2700 SINT NIKLAAS
BELGIA

List:

"Szanowny Panie Prokuratorze Generalny Scott,
Niniejszym wyrażam zdecydowany protest odnośnie produkcji wszelkich możliwych filmów czy inscenizacji z zamiarem przedstawienia rzekomego "życia seksualnego" Jezusa Chrystusa - w tym wypadku przez firmę MODERN PEOPLE NEWS. Film tego rodzaju byłby nie tylko bluźnierczy i skandaliczny, lecz przede wszystkim stałby w sprzeczności z prawdą.

Zwracam się do Pana z usilną i gorącą prośbą o podjęcie odpowiednich kroków przeciw temu moralnie destruktywnemu i wręcz zwyródniałemu pomysłowi."

*Maciej M. z Mikołowa, Wojtek B. z Krakowa
- prosimy o więcej wierszy

*Robert A. alias Cyna oraz Piotr M. (prosimy
o kontakt!) z Krakowa -
najprawdopodobniej w następnym
numerze

'dziękujemy, nie skorzystamy: za wiersze:
Mariusz W. z Paryża, Juliusz N. z Otwocka,
Gabriel Leonard K. z Wrocławia, Wojciech
B. z Pszczyny, Krzysztof Ś. z Gliwic, Jan
Grzegorz Z. z Warszawy, Bartłomiej M. z
Katowic, Grzegorz O. z Orzecha, Arkadiusz
K. z Mikołowa, Wojtek K. z Chorzowa,
Magdalena Artur z Gdyni, Dariusz P. z
Wrocławia; za opowiadania: Janina C. z
Krakowa, Lucjan Z. z Krakowa, Bożena B.
z Gdańska, Piotr L. z Białegostoku; za
 tłumaczenia: Ferdynand R., Andrzej P. z
Piekar Ślą.; za eseje: Piotr D. z Krakowa; za
akt strzeliste: Paweł Z. z Warszawy



